Anna Brahimi

W NIEWOLI ALGIERSKIEGO PRAWA

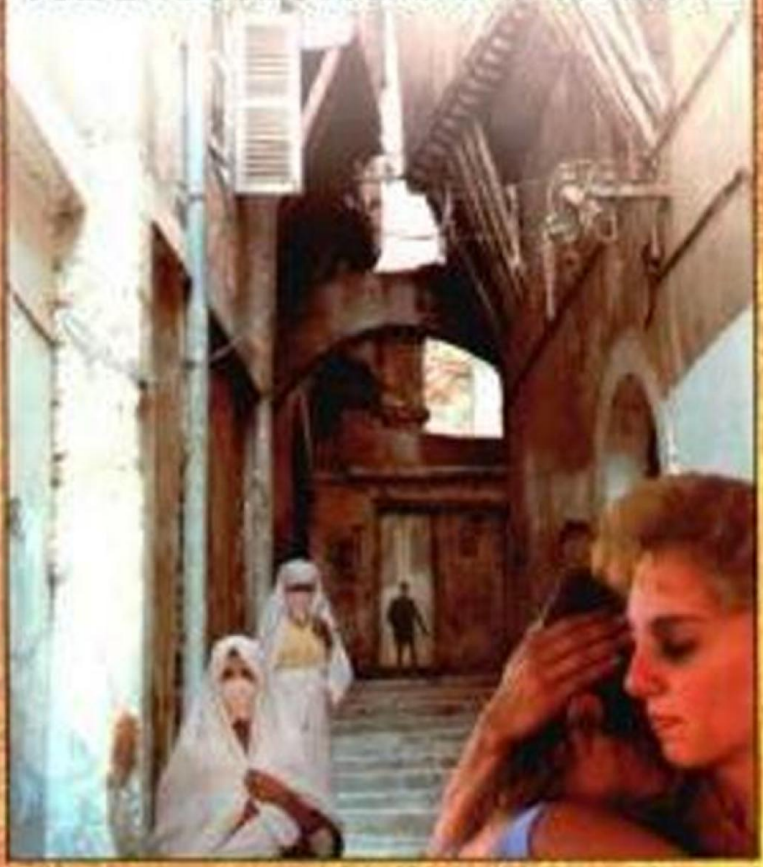

WYDAWNICTWO DOLNOŚLĄSKIE

Anna Brahimi

W niewoli algierskiego prawa

Wydawnictwo Dolnośląskie
Wrocław 2002

© Copyright by Wydawnictwo Dolnośląskie Sp, z o.o., Wroclaw 1998

Projekt okładki
Michał Skrzypiński

Redaktor
Zofia Smyk

Redaktor techniczny
Natalia Wielęgowska

Korekta
Janina Gerard-Gierut
Ewa Krawczyńska-Olesińska

Wydawnictwo Dolnośląskie Sp, z o.o. 50-206
Wroclaw
ul. Strażnicza 1-3

ISBN 83-7023-653-7

Drukarnia Narodowa S.A.
Kraków, ul. Marszałka J. Piłsudskiego 19
Druk z dostarczonych diapozytywów

„Biada tym, którzy ustanawiają niesprawiedliwe ustawy,
i pisarzom, którzy wypisują krzywdzące wyroki,
aby odepchnąć nędzarzy od sądu i pozbawić sprawiedliwości
mojego ludu, aby wdowy stały się ich łupem
i aby mogli obdzierać sieroty”.
Księga Izajasza 10, 1-2

Ta historia wydarzyła się naprawdę. Wszystkie postacie i wydarzenia są autentyczne. Ze zrozumiałych względów, imiona i nazwiska zostały zmienione. Nazwy miejsc lub ich skróty są prawdziwe. Książkę tę poświęcam mojej tragicznie zmarłej córce Sabrinie, mojej francuskiej przyjaciółce Maguy, wszystkim Francuzom zamieszkałym w Algierii oraz wszystkim matkom, które zostały rozdzielone ze swoimi dziećmi przez prawo tego państwa.
Autorka

Prolog

Studencka stołówka w dużym mieście akademickim. Tylko dla studentów zagranicznych. A ja jestem Polką i na dodatek już nie studentką. Jednak codziennie o 15^{30} zasiadam tu do naprawdę doskonałego obiadu. Codziennie czuję na sobie spojrzenie tych samych oczu, które w końcu dostrzegam - ogromne, błyszczące, w oprawie długich rzęs. Pewnego dnia nie tylko spojrzenia, ale i nasze drogi spotykają się. Po skończonym posiłku odnoszę pustą tacę i nagle widzę go: idzie naprzeciw i niesie swój obiad, wpatrzony we mnie tymi wielkimi oczami. Raptem czuję, że cała zawartość jego pełnej tacy ląduje na mojej sukni.

- Bardzo panią przepraszam! Co za niezdara ze mnie! Ale to przez nieuwagę. Czy mógłbym to pani jakoś wynagrodzić? - płynie potok słów w poprawnej polszczyźnie.

Wycieram suknię papierowymi, stołówkowymi serwetkami. Na szczęście jest bardzo ciepło i wszystko schnie błyskawicznie. Jednocześnie zastanawiam się, z jakiego kraju może być ten chłopak. Włoch? Chyba tak, bardzo podobny do Włocha. W końcu wychodzę ze stołówki, a on za mną.

- Niech pani pozwoli się zaprosić. I tak nie zostało mi nic do jedzenia, bo niechcący wylałem wszystko na pani suknię.

Myślę szybko: - „Co robić? Zgodzić się?" Chłopak nie bardzo mi się podoba. Ładna twarz, ale niski. Przyjmuję jednak zaproszenie, bo i tak nie mam co robić popołudniami. G, jest dla mnie zupełnie obcym miastem. Przyjechałam tu do pracy, skierowana z uczelni, nie znając nikogo. Idziemy do kawiarni, w której odtąd będziemy spędzać każde popołudnie. Chłopak okazał się miły i bardzo rozmowny, podobał mi się jego uśmiech, miał wspaniałe zęby. Przedstawił się:

- Yacine Brahimi z Algierii, czwarty rok wydziału elektrycznego tutejszej politechniki.

Z Algierii? Staram się najpierw usytuować to państwo. Chyba Afryka. Chyba... To wszystko, co w tamtym momencie przyszło mi na myśl. Chyba Afryka! Nic więcej. Ale jeżeli Afryka, to chyba powinnam mieć przed sobą kogoś o ciemnym kolorze skóry i mocno kręconych włosach. A tymczasem siedzi przede mną chłopak o całkiem europejskiej urodzie, z włosami tylko lekko falistymi, o smagłej cerze południowca. Mam w głowie zamęt i pustkę. Kończy się nasze przyjemnie spędzone popołudnie, żegnam się z Yacine zupełnie nieświadoma tego, że ta stołówkowa zupa wylana na moją suknię zaprowadzi mnie na 16 lat do kraju o jakże odmiennej kulturze i tradycjach, że będzie przyczyną tragedii mojej i dzieci i że będę musiała, w jakże dramatycznych sytuacjach, walczyć z tamtejszym prawem, które jest współwinne śmierci mojego najmłodszego dziecka - Sabriny.

Część I

W Polsce

Pamiętam jesień tamtego 1973 roku, wyjątkowo ciepłą, słoneczną i kolorową. Do późnych godzin wieczornych zakochane pary przechadzają się pięknie oświetlonymi ulicami miasta, bogatymi w ozdobne XIX-wieczne secesyjne kamienice. Lubię moją codzienną, popołudniową trasę od zakładu, w którym podjęłam swoją pierwszą pracę zawodową, do stołówki studenckiej, gdzie jadam obiady. Mijam rynek, pośrodku którego stoi stylowy ratusz, a następnie główną ulicą idę w dół w kierunku stołówki, będącej jedną z najlepszych w Polsce i służącej głównie studentom zagranicznym. Tutejsza politechnika znana jest z tego, iż kształci wielu obcokrajowców. Z myślą o nich otworzono specjalną stołówkę, w której podaje się potrawy lekkostrawne, a jednocześnie wysokokaloryczne i bardzo urozmaicone. Kierowniczka stołówki jest dobrą znajomą personalnego z mojego zakładu pracy, stąd mam możliwość załatwienia miesięcznego abonamentu.

Codziennie, już od wielu tygodni, o godzinie 15^{30} powtarza się ten sam scenariusz. Gdy wchodzę do stołówki, już od progu czuję na sobie jego wzrok. Kiedy spotykają się nasze spojrzenia, widzę uśmiechniętą twarz i wpatrzone we mnie z zachwytem duże, ciemnobrązowe oczy. Yacine podrywa się znad talerza i szarmanckim gestem przesyła mi swoje „dzień dobry". Jak dowiem się później, po to, ażeby móc zjawiać się w stołówce o tej samej porze, co ja, Yacine opuszcza od czasu do czasu popołudniowe zajęcia na uczelni. Widzę, że zawsze wybiera wolny stolik na końcu sali. Chce, żebym mogła dosiąść się do niego i żeby nikt nam nie przeszkadzał. Chętnie z tego korzystam, nasze wspólne posiłki to również barwne opowieści Yacine przekazywane z dużym poczuciem humoru. Pamiętam, jak się śmiałam, podczas jedzenia tradycyjnych polskich gołąbków, kiedy Yacine opowiadał mi, jak po raz pierwszy zamówił

sobie tę potrawę w polskiej restauracji i - odmówił jej przyjęcia. On chciał pieczone gołąbki, które kiedyś fruwały, a nie jakiś ryż z mięsem zawinięty w liście kapusty. Gołąbki to gołąbki, i basta!

Zauważyłam, że Yacine jest grzeczny, dobrze wychowany, bardzo rozmowny, ale z natury trochę nieśmiały. Jego ładną twarz zdobią zęby, równiutkie i piękne jak perły! Gdyby dodać mu kilkanaście centymetrów, niewątpliwie byłby to bardzo przystojny mężczyzna.

Codziennie, po wspólnym posiłku Yacine wykłóca się ze mną o każdą moją wolną chwilę.

- Co będziesz robiła dzisiaj po południu? Może pójdziemy na spacer, do kina, na lody?

- A ty nie masz nic do roboty?

- O mnie się nie martw, ja kończę studia, piszę pracę dyplomową, więc nie mam dużo zajęć - słyszę od Yacine.

Uspokojona tymi zapewnieniami przyjmuję jego zaproszenia, chociaż zauważyłam, że nie jest synem szejka. Często Yacine proponuje mi po prostu spacer, co, jak czuję, wynika z jego kłopotów finansowych. Męska ambicja nie pozwala mu jednak na to, aby kobieta płaciła za niego rachunki.

W swoich barwnych opowieściach Yacine nigdy nie porusza spraw dotyczących swojej rodziny i jej sytuacji materialnej. Nie wiem właściwie o nim nic, mimo iż nasza znajomość trwa już kilka miesięcy. Wreszcie kiedyś postanawiam zapytać go o rodzinę. Yacine usiłuje wykręcić się od konkretnej odpowiedzi:

- No wiesz, Algieria była długo kolonią francuską, od 1830 do 1962 roku. Nie było nam łatwo, ojciec nie miał stałej pracy, było nas siedmioro dzieci, troje zmarło, pozostało dwóch braci i dwie siostry. Dopóki ojciec był młody, jakoś sobie radził.

- A teraz? - chcę znać jednak więcej szczegółów.

- Teraz to mój brat, Salem, który już pracuje, pomaga rodzinie finansowo. Najstarsza siostra wyszła za mąż i wyjechała, pozostała tylko jedna niezamężna siostra - Madina. No, a ja studiuję. Wiesz, z moimi studiami to była historia - rozkręca się Yacine. - Dawniej ktoś, kto u nas zdał małą maturę, był uważany za szczęściarza, a to dlatego, że Algieria

była jeszcze kolonią francuską i mało algierskich dzieci kończyło francuskie szkoły. Ale ja byłem zdolny, no i udało mi się zdobyć małą maturę zawodową. Podjąłem pracę, ale nie na długo. Organizowano grupę młodych ludzi na wyjazd do Polski na dalszą naukę w szkole średniej. Dostałem się do tej grupy, wyjechałem wraz z innymi kolegami do Łodzi, gdzie ukończyłem technikum. Powróciłem do Algierii, ale znowu nie zagrzałem długo miejsca w swoim kraju, udało mi się bowiem otrzymać stypendium na studia w Polsce, bez egzaminów wstępnych. No i tak znalazłem się na tutejszej politechnice. Za studia nie płacę, mam bezpłatny akademik i wyżywienie w stołówce oraz niewielkie stypendium w złotówkach. Widzę, jaką ogromną radość sprawia Yacine fakt, że jest studentem i już niedługo dostanie dyplom inżyniera. Cóż za ogromny awans społeczny dla chłopaka z małego miasteczka, z biednej, niewykształconej rodziny! Później dowiem się, że matka i obie siostry Yacine są analfabetkami, brat Salem ma wykształcenie zawodowe, ojciec nie skończył żadnej szkoły, ale umie mówić, pisać i czytać po francusku. Ojciec Yacine wyjechał z rodziną z małego miasteczka do Algieru, gdzie zamieszkał u jakiejś dalekiej krewnej. Niestety, stosunki między rodzinami pogorszyły się i trzeba się było wyprowadzić. Ojcu było wstyd powrócić do swoich rodzinnych stron, dlatego pozostał wraz z rodziną w stolicy w skromnym lokum, które udało mu się znaleźć.

- Podoba ci się w Polsce? Chciałbyś tu zostać na stałe? - pytam często Yacine.

- Nie, nie podoba mi się w waszym kraju ze względu na dużą swobodę obyczajów (czytaj: ze względu na dużą swobodę seksualną młodzieży) i brak mocnych więzi rodzinnych. Ja muszę wracać, ażeby pomóc mojej rodzinie. Poza tym w Polsce jest zimno, a w Algierii cały rok świeci słońce, są piękne plaże i dużo owoców.

Yacine często opowiada mi o Algierii w bardzo ciepły, serdeczny sposób. Wyobrażam sobie to niebieskie niebo, palmy, plaże, winogrona i inne owoce, których nigdy nie jadłam. Od tych opowiadań robi mi się ciepło w sercu. Odkąd pamiętam, zawsze byłam zmarzluchem, a zima w kraju była dla mnie prawdziwą karą. Marzyłam często, jeszcze jako dziewczynka, ażeby móc żyć tam, gdzie ciągle świeci słońce, a pomarańcze

są tak tanie jak jabłka. W ogóle byłam marzycielką wychowaną na filmach sentymentalnych, którymi swego czasu szczodrze raczyła nas polska telewizja. Moje kolorowe marzenia, podsycane barwnymi opowieściami Yacine o jego egzotycznym kraju, natarczywie domagały się urzeczywistnienia tym bardziej, że teraźniejszość była beznadziejna i szara, a egzystencja nędzna. Pochodziłam z biednej, robotniczej rodziny, która, borykając się z kłopotami materialnymi, nie mogła mi zapewnić wsparcia finansowego tak potrzebnego na starcie do dorosłego życia.

Studia, które wspominam jako najpiękniejszy i najbogatszy, w sensie duchowym, okres życia, skończyłam po części dzięki pomocy materialnej uczelni, a głównie za sprawą zakładu, który fundował mi stypendium, pozyskując sobie we mnie przyszłego pracownika. W ten sposób, jako świeżo upieczony inżynier, znalazłam się w obcym, przemysłowym i akademickim mieście, z perspektywą pozostania w nim trzy lata. Przewidywała to wstępna umowa o pracę, zawarta z zakładem na trzecim roku studiów.

Od rodziców dzieliło mnie 200 kilometrów. W pracy było nieciekawe towarzystwo i dopóki nie poznałam Yacine, moje popołudnia i wieczory wyglądały tak samo: wszędzie towarzyszyły mi pustka i samotność. Mieszkałam w katastrofalnych warunkach. Zakład pracy wynajął mi prywatne mieszkanie w starym bloku, ciemne i ponure. Mieszkanie było już umeblowane, a właściwie zagracone starociami. Ogrzewane było piecem na węgiel, o który musiałam się sama zatroszczyć, zrzucić do piwnicy, a w zimie nosić codziennie na pierwsze piętro. Drewniana, wspólna ubikacja znajdowała się na podwórku. Starałam się wracać do domu jak najpóźniej, ponieważ moją samotność pogłębiał jeszcze ponury nastrój mieszkania. Gdy poznałam Yacine, było mi lżej psychicznie. Już nie widziałam monotonii pracy, wewnętrznej pustki i szarości codziennego dnia. Przed oczami miałam słońce, ciepłe morze i palmy z opowiadań Yacine, a obok mnie jego fizyczną obecność. Imponowała mi poza tym adoracja Yacine i zabieganie o moje względy.

W tym czasie prowadzę cichą wojnę z zakładem pracy o załatwienie mi własnego mieszkania w nowym budownictwie, zgodnie z naszą wstępną umową. Wreszcie - co za radość! Dostaję niewielką kawalerkę

w wieżowcu na nowym osiedlu. Jest to mieszkanie spółdzielcze. Muszę wpłacić część jego wartości. Zakład pomaga mi uzyskać z banku kredyt, który co miesiąc muszę spłacać. Odbieram klucze i razem z Yacine idziemy zobaczyć te moje dwadzieścia pięć metrów kwadratowych szczęścia. Dziesięciopiętrowy blok został przed tygodniem oddany do użytku i na razie jeszcze nikt się nie wprowadził. Osiedle jest w budowie, całe rozkopane. Stoją dopiero trzy bloki, pod pozostałe zalano tylko fundamenty. Nie ma chodników, ulic, drzew. Do głównego wejścia musimy przedostać się po deskach położonych na cegłach, gdyż po ulewnym deszczu wszędzie jest potworne błoto. Ale my nie zwracamy na to uwagi! Szybciej! Chcę jak najszybciej własnymi kluczami otworzyć drzwi własnego mieszkania!

Któż może zrozumieć, czym była dla mnie ta kawalerka po dwunastoletniej tułaczce poza rodzinnym domem! Pięć lat mieszkania w internacie w szkole średniej, pięć lat na prywatnych kwaterach i w akademiku w czasie studiów, dwa lata na prywatnej kwaterze w ostatnim okresie! Otwieramy drzwi. Mały, ciasny przedpokoik z wnęką na zabudowę. Z przedpokoju wejście do łazienki, WC i pokoju z oknem na całą szerokość ściany. Z pokoju drzwi do malutkiej kuchni. Ale najważniejsze, że jest ona widna - ma duże okno. W ogóle mieszkanie sprawia wrażenie przytulnego i bardzo słonecznego. Jest gaz i centralne ogrzewanie.

Po pierwszym oszołomieniu zaczynamy przyglądać się dokładniej szczegółom. Niestety, wykończenie jest fatalne. Płytki PCV na podłodze całe zachlapane olejną farbą. Pochlapane są również szyby w oknach, wanna, kuchenka gazowa, junkers. Mieszkanie pomalowane jest byle jak. Widzę, że czeka mnie dużo pracy.

- Nie martw się, pomogę ci - pociesza mnie Yacine.

Od tego dnia nasze beztroskie popołudniowe spotkania zamieniają się w trudną i ciężką pracę. Milimetr po milimetrze, zdrapujemy żyletkami olejną farbę. Czyścimy, szorujemy, malujemy. Ja w tym czasie dalej chodzę spać do swojego starego mieszkania i zastanawiam się, skąd wziąć jakieś pieniądze na umeblowanie mojego gniazdka. Zarabiam śmiesznie mało, dwa tysiące sto złotych. Z tego, po odtrąceniu raty kredytu, zostaje suma, za którą trudno swobodnie żyć. Z pomocą przychodzą

mi rodzice, którzy biorą pożyczkę ze swego zakładu pracy i spłacają ze skromnych zarobków. Dostaję od nich pieniądze na zakup pralki, lodówki, telewizora, dywanu i podstawowych mebli. Jakże jestem im za to wdzięczna! Zawsze pomagają mi w trudnych chwilach i finansowo, i moralnie!

Przeprowadzka! Nareszcie! Nareszcie ciasny, ale własny, wygodny kącik do życia po wieloletniej tułaczce. Yacine pomaga mi przy przeprowadzce. Jakże tego niewiele! Całym moim dobytkiem są właściwie jedynie książki. Ale w niczym mi to nie przeszkadza, jestem młoda, mam własne mieszkanko, a w głowie tysiąc pomysłów na życie. Teraz Yacine bywa u mnie częstym gościem, już nie musimy snuć się po mieście zastanawiając się nad programem wspólnego popołudnia. Wreszcie pewnego dnia oświadcza:

- Aniu, kocham cię, czy chcesz wyjść za mnie za mąż?

Yacine nie zaskoczył mnie tą propozycją, a mimo to nie wiedziałam, jaką podjąć decyzję. Sama sobie nie potrafiłam odpowiedzieć na pytanie, czy darzę go uczuciem. Zdawałam sobie sprawę tylko z tego, że nie jest to z mojej strony szaleńcza miłość, której obraz stworzyłam sobie poprzez oglądanie romantycznych filmów i czytanie sentymentalnych powieści. Dla mnie oświadczyny powinny być niezwykle pięknym, uroczystym dniem dwojga zakochanych, z kwiatami i szampanem. A tymczasem usłyszałam tak po prostu wypowiedziane banalne zdanie, bez żadnej „oprawy". Zauważyłam, nie po raz pierwszy, że kwiaty i odpowiedni nastrój nie mają dla Yacine najmniejszego znaczenia, że nie ma on „romantycznej duszy". Yacine nie zna się zupełnie na muzyce, zresztą nie wywołuje ona w nim żadnych emocji. Nie lubi filmów i książek o miłości. Nie istnieją dla niego niuanse, wszystko jest czarne albo białe. Jego sposób bycia i zachowania pozostawia sporo do życzenia. Brak mu taktu. Gdy się rozgada, popełnia lapsusy. Te wszystkie braki nadrabia jednak promiennym i pięknym uśmiechem oraz niewątpliwym urokiem osobistym i dużą wiedzą.

A ja? Byłam dziewczyną o niewielkim doświadczeniu uczuciowym, średniego wzrostu blondynką o niebieskich oczach, podobno ładnej figurze i zalotnym uśmiechu. Jednak za najważniejszy cel w życiu postawiłam

sobie zdobycie dyplomu wyższej uczelni, a nie męża, dlatego zawsze bardziej interesowały mnie książki niż mężczyźni. Od najmłodszych lat miałam artystyczne zacięcie, tańczyłam w ognisku baletowym. Ale artysta w rodzinie robotniczej? To było nie do przyjęcia, musi być inżynier! Ukończyłam więc najpierw technikum chemiczne, a następnie wyższe studia inżynieryjno-ekonomiczne. Wszystko to kłóciło się z moją romantyczną, artystyczną naturą. Miałam jednak to szczęście, że właśnie na studiach poznałam ludzi o wielkiej wrażliwości artystycznej, którzy wywarli ogromny wpływ na mój sposób odbierania świata. Chodziłam do teatru, na koncerty, do opery. Dużo czytałam. Byłam dziewczyną wrażliwą, o dosyć szerokich horyzontach, czekającą na swoją wielką miłość. Wizerunek Yacine na pewno odbiegał mocno od moich oczekiwań wobec przyszłego życiowego partnera. Jednakże na jego propozycję małżeńską powiedziałam w końcu „tak", nie przekonana do końca o słuszności dokonanego wyboru. Co więc skłoniło mnie do zawarcia z nim małżeństwa? Na pewno, jak już wspomniałam, nie była to z mojej strony szalona miłość. Było natomiast przywiązanie i jeszcze jakieś bliżej nie określone uczucie skoro - gdy nie widziałam Yacine dłuższy czas - bardzo mi go brakowało. Byłam też pod wpływem jego osobistego uroku, adoracji i gorących zapewnień o uczuciu z jego strony. Zapragnęłam życia w kraju, gdzie zawsze świeci słońce, jest ciepłe morze i szumią palmy. Marzyłam o przygodzie, chciałam odmienić szarość swojego życia. Chciałam też zwyczajnie oderwać się od biedy, która towarzyszyła mi od urodzenia. Nie widziałam dla siebie perspektyw w Polsce, gdzie coraz bardziej widoczny był głęboki kryzys ekonomiczny, gdzie w sklepach zaczynało brakować wszystkiego. Yacine zapewniał mnie, że w Algierii będziemy pracowali oboje i dwie pensje inżynierów pozwolą nam na dostatnie życie. Takie więc powody zadecydowały, że powiedziałam „tak". Załatwienie formalności ślubnych nie było łatwe i ciągnęło się bardzo długo. W końcu jednak Yacine wszystko pozałatwiał i mogliśmy się pobrać.

Moi rodzice z mieszanymi uczuciami przyjęli tę decyzję. Przed ślubem widzieli Yacine tylko raz. Mamie się nie spodobał. Za niski, mało przystojny. Poza tym Yacine nie potrafił się znaleźć przy spotkaniu z

moimi rodzicami, co na pewno przyczyniło się do negatywnego odebrania jego przez moją mamę. Ojciec miał raczej pozytywne nastawienie do Yacine. „Co sobie wybrałaś, to będziesz miała" - stwierdzili oboje, nie próbując wpłynąć na moją decyzję. Wiedzieli, że Yacine pochodzi z biednej rodziny, no ale ja też nie byłam bogata, więc sprawy tej nie poruszano. Ponieważ Yacine jest muzułmaninem, a ja chrześcijanką, wzięliśmy jedynie ślub cywilny, z czym nie mogli pogodzić się moi rodzice, praktykujący katolicy. Pomogli mi jednak sfinansować i zorganizować małe przyjęcie weselne, które odbyło się w mojej kawalerce. Była moja najbliższa rodzina, moje trzy koleżanki i kilku Algierczyków - kolegów Yacine z uczelni. Wkład finansowy Yacine w koszty imprezy sprowadził się jedynie do kupna kilku litrów wódki. Nawet obrączek nie mieliśmy i trzeba je było gdzieś pożyczyć! Ale przyjęcie udało się, wszyscy byli zadowoleni.

Po ślubie Yacine wprowadził się do mnie ze swoim dobytkiem, który przypominał mój jak dwie krople wody: książki, książki, książki...

* * *

Fakt, że jestem w ciąży, Yacine przyjął za rzecz zupełnie naturalną. W rodzinie muszą być dzieci: im więcej, tym lepiej. Widziałam, że nie napawało go to strachem i raczej po męsku skłonny był stawić czoła przeciwnościom, tym bardziej, że coraz bliższa była perspektywa otrzymania przez niego dyplomu. Tymczasem zamiast upragnionego dyplomu inżyniera Yacine musi powtarzać ostatni rok. Co się stało? Otóż Yacine miał na ostatnim roku bardzo trudny końcowy egzamin z elektroniki. Po egzaminie przyszedł do domu ogromnie zmartwiony.

- Jak ci poszło? - pytam
- Na pewno oblałem.
- A dlaczego tak myślisz? Przecież rezultaty będą dopiero za kilka dni.
- Byłem jedynym studentem spośród wszystkich znajomych Polaków (w tym miejscu chciałabym dodać, że Yacine był jedynym cudzoziemcem na roku na swoim wydziale), który miał inne wyniki, więc na pewno oni zrobili dobrze zadania, a ja źle - stwierdził Yacine i nie poszedł

nawet zobaczyć wywieszonej po kilku dniach listy z ocenami. Tymczasem okazało się, że to właśnie Yacine napisał dobrze swoją pracę, a jego koledzy źle. Ponieważ przez kilka dni nie był na uczelni, nie wiedział o tym, że jest dopuszczony do egzaminu ustnego, na który oczywiście nie stawił się w pierwszym terminie. W drugim terminie wykładowczyni, usłyszawszy wyjaśnienia Yacine, dlaczego zjawia się dopiero teraz, „oblała" go za „brak wiary we własne siły i niepoważne podejście do życia", dając mu bardzo trudne zadania, których oczywiście nie zrobił. Profesor ta trafnie oceniła mojego męża, natomiast ja nie potrafiłam wyciągnąć z tego faktu żadnych wniosków. Yacine „oblewa" również egzamin komisyjny i otrzymuje decyzję dziekana o konieczności powtarzania roku. Tak więc nasz wyjazd do Algierii musi zostać odłożony na rok.

Ciążę zniosłam fatalnie fizycznie, dobrze psychicznie, ponieważ Yacine pomagał mi we wszystkim i spełniał każde (oprócz finansowego) moje życzenie. Urodziła nam się córka Sonia. Yacine szalał ze szczęścia i wbrew obyczajom panującym w krajach arabskich, dobrze przyjął fakt, iż jego „pierworodny" to dziewczynka. A była ona śliczna. Śniada cera, bardzo delikatne rysy twarzy, ogromne brązowe oczy i cała czupryna ciemnych włosów w momencie narodzin! Cały personel szpitala zbiegł się oglądać moją małą Sonię, a prowadzący poród lekarz po zobaczeniu dziecka wykrzyknął: „O Boże, dlaczego nie jestem o trzydzieści lat młodszy, może miałbym szansę u tej małej?"

Po przyjściu do domu wszystko zastałam wysprzątane, a Yacine żalił się, że sąsiedzi go strofują: „Panie, coś pan, to my Polacy nie myjemy okien, a pan afiszujesz się przed całym osiedlem z tym myciem i trzepaniem dywanów? Co powiedzą na to nasze żony? Bierz przykład z Araba? No, tego jeszcze nie było!" Nie było, ale zostało. Yacine mył okna, prał pieluchy, pastował podłogę, wkładał Sonię do wózka i spacerował, dumny jak paw, po całym osiedlu. Znał już w naszej dzielnicy wszystkie młode mamy, z którymi dzielił się uwagami na temat pielęgnacji niemowląt. Ja pracowałam zawodowo i to on miał więcej czasu na zajmowanie się dzieckiem, ponieważ zajęcia na uczelni praktycznie skończyły

się, pozostała mu jedynie obrona pracy dyplomowej. Ażeby dorobić do stypendium, rano roznosił mleko, co dawało mu większy zarobek niż moja inżynierska pensja.

Wreszcie jego dyplom. I decyzja - co robić? On postanawia wrócić sam do kraju, ponieważ czeka go wojsko, a w tej sytuacji lepiej byłoby, ażebym została w Polsce jeszcze dwa lata. Ja się na to zgadzam tym bardziej, że w zachowaniu Yacine pojawiło się coś, co nie daje mi spokoju. Widzi to również ojciec i jest bardzo niespokojny o mój przyszły los. Sprzeciwia się wyjazdowi. Chodzi o ogromną zazdrość, którą zaczął manifestować Yacine. „Nie ma miłości bez zazdrości" - twierdzi moja mama. „Tak, ale jest to chorobliwa zazdrość i to małżeństwo skończy się tragicznie" - dodaje ojciec. Czy bez przyczyny słyszę te słowa? Nie. Było kilka takich momentów, które zmusiły i jego, i mnie do myślenia. Pamiętam, załatwiłam mojej koleżance z pracy bardzo ważną sprawę. Przyniosła mi za to dużą bombonierkę. Wybierałam się wtedy z małą Sonią do rodziców na Boże Narodzenie. Yacine miał przyjechać później. Otworzyłam bombonierkę i wzięłam z niej dwie czekoladki. Akurat dwie. Bombonierkę zostawiłam w kuchni w szafce. Po kilku dniach przyjeżdża do rodziców Yacine. Była to Wigilia. My wszyscy we wspaniałym nastroju, a on z oczami na wierzchu, blady, prawie z pianą na ustach, krzyczy od progu:

- Co ma znaczyć ten brak dwóch czekoladek? Zjadłaś je ze swoim kochankiem, tak? On jedną i ty jedną?

Żadne tłumaczenia nie pomogły. Popsuł nam całe święta Bożego Narodzenia. Wtedy ojciec stwierdził definitywnie: „Żyć z tym człowiekiem nie będziesz, on nie zachowuje się normalnie". Ale po paru dniach sytuacja się uspokoiła, Yacine zaczął czarować swym promiennym uśmiechem wszystkich w rodzinie, incydent poszedł w zapomnienie. Powtórzyły się jednak podobne historie kilka razy: a to zniszczył mi wszystkie pamiątkowe zdjęcia z okresu technikum i studiów, to znowu zabrał mi notes z adresami przyjaciół, kontrolował całą moją korespondencję. Kiedyś zrobił mi piekielną awanturę o kolegę - męża mojej przyjaciółki, który przyszedł do nas coś pożyczyć i został chwilę. Mój mąż zastał nas w czasie rozmowy i doszedł do wniosku, że musiałam go zdradzić,

ponieważ nakrycie na tapczanie było trochę ściągnięte. Skończyło się na „cichych dniach", które jednak szybko minęły. Byłam młoda i niedoświadczona i te sygnały w zachowaniu mojego męża nic mi nie powiedziały, nie wzbudziły we mnie żadnych podejrzeń. Teraz, z perspektywy czasu wiem, że miałam do czynienia z wybitnie patologiczną osobowością, paranoikiem i że choroba Yacine rozwinęła się po przyjeździe do Algierii, ponieważ trafiła na bardzo sprzyjające warunki. Być może, gdybyśmy zostali w Polsce, nie doszłoby do takiego jej rozwoju.

Na razie Yacine wyjeżdża do swojego kraju latem 1976 roku, a ja zostaję sama w Polsce. No cóż, muszę dalej pracować, ponieważ nie mam pomocy finansowej z jego strony. Nie zostawił mi żadnego zabezpieczenia, wprost przeciwnie, po otrzymaniu dyplomu aż do momentu wyjazdu był na moim utrzymaniu, ponieważ nie otrzymywał już stypendium. Nawet odwożąc go na lotnisko do Warszawy musiałam pokryć wszystkie koszty z własnej kieszeni. Niczego jednak od niego nie żądałam, przecież wiedziałam, że Yacine pochodzi z bardzo biednej rodziny.

Po kilkumiesięcznej tułaczce po różnych nierzetelnych opiekunkach Sonia cierpi na niedowapnienie kości, jest bardzo słaba. Rodzice, oboje pracujący zawodowo, podejmują heroiczną decyzję biorąc ją do siebie. Wygląda to tak, że mama idzie z dzieckiem do zakładu na godz. 14^{00} i przekazuje Sonię przed udaniem się do pracy wychodzącemu ojcu. Ale jak długo mogą tak żyć? W końcu zwalniam się definitywnie z zakładu (przepracowałam już moje obowiązkowe trzy lata*) i jadę do B., ażeby zająć się dzieckiem. Moja sytuacja finansowa gwałtownie się pogarsza.

* W przeciwnym wypadku, w związku z wyjazdem za granicę, musiałabym zwrócić państwu koszty mojego wykształcenia.

* * *

Yacine jest w wojsku. Mijają dni, tygodnie, miesiące... Wreszcie, po roku od jego wyjazdu z Polski, dostaję zaproszenie na wyjazd do Algierii. Mąż pisze, że zawarł wstępną umowę z zakładem pracy, który dał mu miejsce w hotelu zakładowym, że pozostał mu jeszcze rok służby wojskowej, ale nie w koszarach, tylko w zakładzie pracy na stanowisku inżyniera. Nie będzie jednak otrzymywał żadnego wynagrodzenia, a jedynie niewielki żołd, za to będzie z nami codziennie po skończeniu pracy.

Przygotowuję się do wyjazdu do Algierii. Załatwiam paszport turystyczny. Nie składam podania o wyjazd na stałe z kilku powodów. Po pierwsze, nie mam pewności, czy zdołam ułożyć sobie wspólne życie z Yacine. Ciągle towarzyszy mi ten dziwny niepokój płynący gdzieś z podświadomości. Po drugie, chcę zatrzymać mieszkanie, a, zgodnie z obowiązującymi wówczas w Polsce przepisami, byłoby to niemożliwe przy ubieganiu się o wyjazd z Polski na pobyt stały (byłam głównym lokatorem z przydziałem mieszkania tylko na mnie). Dochodziła jeszcze jedna okoliczność: w tym czasie, kiedy obie z Sonią byłyśmy u rodziców, w mojej kawalerce zamieszkał brat, który akurat ukończył szkołę średnią i rozpoczynał start do dorosłego życia. Brat bardzo się cieszył z faktu, iż będzie miał własny dach nad głową. Czyż mogłam go tego pozbawić, oddając mieszkanie w zamian za paszport na pobyt stały?

Jako turystka, mam prawo zabrać 40 kg bagażu. Tyle na początek nowej drogi życia. Mój dorobek w Polsce, oprócz mieszkania, jest niewielki, ale jednak już jakiś jest. Tam, w Algierii, czeka mnie start od zera. Co zabrać? Decyduję się na pościel, ręczniki, firanki, odzież dla mnie i Soni oraz prezenty dla rodziny Yacine. Żeby się zmieścić w tych 40, kilogramach!

Ojciec, jakby obawiał się najgorszego, z wielkim bólem serca pakuje nasze bagaże. Rodzice pokochali małą Sonię, rozstanie z nami jest dla nich wielkim dramatem, ale ja wówczas nie byłam w stanie wyobrazić sobie, co działo się w ich sercach. Zrozumiem to dopiero po kilkunastu latach i utracie własnego dziecka.

Na lotnisko Okęcie w Warszawie jedziemy małą bagażówką wynajętą u znajomego ojca: rodzice, ja z Sonią i te 40 kilogramów mojego „bogactwa" na nową drogę życia. Przy pożegnaniu ojcu ze zdenerwowania trzęsą się ręce, a mama płacze. Jestem w tym momencie pewna, że dokonałam złego wyboru decydując się na wyjazd, co mam chyba wypisane na twarzy i co jeszcze bardziej przygnębia rodziców. Ale przychodzi ten czas, że trzeba się rozstać i ich ukochane twarze znikają z horyzontu.

Ogarnia mnie już nie lęk, ale przerażenie. Do tej pory żyłam w swoim kraju, gdzie wszystko było znajome i bliskie, miałam poczucie bezpieczeństwa, które zapewniali mi rodzice, miałam wielu przyjaciół, na których pomoc i moralne wsparcie zawsze w potrzebie mogłam liczyć. Teraz będę zdana tylko na siebie i na Yacine, od którego będzie zależało wszystko. Co mnie czeka? Jakim człowiekiem okaże się mój mąż w swoim kraju? Jak przyjmie mnie jego rodzina? W mojej głowie panuje ogromny chaos, a koło serca odczuwam dziwny ból. Towarzyszy mi niewyobrażalny stres. Tymczasem nieuchronnie zbliża się chwila, kiedy trzeba wsiąść do samolotu. Samolot odrywa kola od ziemi. Przez okna widzę coraz bardziej oddalającą się Warszawę, symbol mojej ojczyzny. W końcu stolica znika pod chmurami, a mnie się wydaje, że to grunt usuwa mi się spod stóp. Nie mam już wyboru, pozostała mi tylko jedna droga.

Pierwszy rok w Algierii

Bezpośredni lot z Warszawy do Algieru trwa 3 godziny 15 minut, ale my lecimy znacznie dłużej, ponieważ samolot ląduje w Wiedniu i Tunisie, gdzie mamy krótkie przystanki. Dla mnie ten kilkugodzinny lot to cała wieczność. Wreszcie stewardesa zapowiada ciepłym głosem:

- Proszę państwa, zbliżamy się do lądowania w Algierze. Proszę zapiąć pasy, nie palić. Miło mi poinformować państwa, że w stolicy jest piękna słoneczna pogoda, a temperatura wynosi 28°C.

Jest jesień 1978 roku. Żegnałam Polskę w strugach ulewnego, zimnego deszczu z niebem zasnutym ciemnymi chmurami. A tymczasem kraj Yacine wita mnie prawdziwym latem. Patrzę z ciekawością przez okno. Widoczność doskonała. Pod nami Algier. Z jednej strony otacza go morze, z drugiej - wysokie pasmo gór. Przepiękny widok.

Podchodzimy do lądowania. Oklaski dla kapitana samolotu. Trzeba przygotować się do wysiadania. Mała Sonia kręci się bez przerwy powtarzając w kółko: „Chcę do tatusia, chcę do tatusia". Ciekawa jestem, jak zachowa się przy spotkaniu z ojcem. Nie widziała go przeszło rok. Czułam, że tęskniła za Yacine. Ale Sonia ma dopiero trzy i pół roku, a w tym wieku zapomina się bardzo łatwo. Czy pamięta ojca?

Wychodzimy z samolotu. Pierwsze wrażenie - potworny upał pomimo późnego popołudnia (28°C? To chyba w cieniu!), niesamowicie niebieskie niebo! I palmy, które widzę na żywo po raz pierwszy w życiu. Dostrzegam w oddali pomost, na którym czeka tłum witających. Trudno jednak kogoś rozpoznać ze względu na odległość. Czy jest tam także Yacine? Czy nas widzi?

Wsiadamy do autobusu, który podwozi wszystkich pasażerów do budynku lotniska. Odbywa się odprawa paszportowa i bagażowa. Gdyby

nie grupa polskich pracowników na kontrakcie, którzy zatrudnieni byli w Algierze i przylecieli do stolicy już któryś raz z rzędu, pogubiłabym się na lotnisku w tych zapowiedziach i oznakowaniach arabsko-francuskich. Na szczęście nasi rodacy pomogli nam przy odprawie paszportowej i bagażowej oraz zorganizowali wózek, na który załadowali moje „40 kilogramy na nową drogę życia".

Nawet nie wiem, kiedy znalazłam się w holu głównym, gdzie w tłumie oczekujących zobaczyłam Yacine, który cały w promiennym uśmiechu podbiegł do nas i odebrał z moich rąk Sonię. O ile pamiętam, oboje byliśmy tak speszeni, że zapomnieliśmy się przywitać. Za to Sonia bez protestu wylądowała w ramionach ojca i od razu zaczęła paplać trzy po trzy w czystej polszczyźnie. Yacine odpowiadał jej również po polsku. Mój mąż przyszedł na lotnisko ubrany w swój wojskowy mundur (wszak odbywał dwuletnią służbę) z gwiazdkami na naramiennikach (otrzymał dosyć wysoki stopień wojskowy). Zaabsorbowani sobą, ojciec i córka, zapomnieli całkowicie o mojej obecności. Nagle słyszę:

- Janek, do cholery, gdzie myśmy przylecieli? Zobacz, w tym kraju nawet oficerowie mówią po polsku!

Odwracam głowę i widzę kilku Polaków, którzy dopiero teraz weszli do poczekalni i z wielkim zdumieniem przyglądają się algierskiemu podoficerowi i jego małej córeczce o typowo arabskiej urodzie swobodnie rozmawiających po polsku.

- Waldek, masz rację! Co za dziwny kraj, nic z tego nie rozumiem!
- Ja też nie - dodaje jego kolega i cała grupa naszych rodaków, oglądając się ze zdziwieniem za Yacine, zajętym rozmową z Sonią, opuszcza budynek lotniska. Ogarnia mnie niepohamowany śmiech. Śmieję się sama do siebie. Zauważa to w końcu Yacine.
- Co się stało? Czym cię tak rozbawiliśmy? - pyta.
- Wy nie, ale moi rodacy tak - odpowiadam przekazując usłyszany przed chwilą komentarz. Teraz śmieje się także Yacine.

Tak oto, na wesoło, rozpoczął się nasz pobyt w kraju mojego męża. Zaczynam się rozglądać za rodziną Yacine.

- Gdzie twoi rodzice, brat, siostra? - pytam.
- Potem ci wytłumaczę, dlaczego nie przyszli - odpowiada Yacine odwracając wzrok.

Nie mogę zrozumieć, że nikt więcej nas nie wita. Rozglądam się po poczekalni lotniska - dużej, przestronnej, ładnie zagospodarowanej. Przeważają mężczyźni o smagłej cerze, kręconych lub falistych ciemnych włosach, ubrani bardzo różnie. Jedni w eleganckich garniturach, drudzy w narzuconych na ubrania tradycyjnych *djellabach**. Kobiet mało, najczęściej ubrane po europejsku, zauważam tylko kilka w tradycyjnych *haïkach* i *seroualach.* Jedna z kobiet ma na twarzy *aâdjar.* Czuję się dziwnie w tym pierwszym kontakcie z jakże odmiennym światem, ale nie mam czasu na refleksje.

* *Djellaba* - długa, najczęściej wełniana szeroka bluza, spadająca aż do kostek, z kapturem i szerokimi prosto opadającymi na ramionach rękawami; *haik* - prostokątny kawałek białego jedwabiu, który w specjalny sposób owija się wokół całej sylwetki, jeden jego koniec przytrzymując ręką, a drugi zakładając za gumkę od spodni *(seroual), seroual* - rodzaj spodni na gumce, z rozcięciami po bokach w dolnej partii, zszyty również w dolnej partii w środku; *aâdjar* - biały prostokątny kawałek jedwabiu zaokrąglony na dwu dolnych rogach, wykończony (oprócz góry) najczęściej szydełkową koronką. Zasłania twarz poniżej oczu. Wiąże się go z tyłu głowy.

- Idziemy do samochodu! Przed lotniskiem, na parkingu czeka mój kolega, który zawiezie nas do hotelu - decyduje Yacine.

Po chwili znajdujemy się obok eleganckiego samochodu, przy którym stoi młody, przystojny mężczyzna.

- Poznajcie się: to Karim, a to moja żona - przedstawia nas Yacine.

Okazuje się, że Karim świetnie mówi po polsku, spędził w naszym kraju kilka lat uczęszczając razem z Yacine do tej samej szkoły średniej, potem ożenił się z Polką i powrócił wraz z żoną do Algierii.

Jedziemy do śródmieścia Algieru. Stolica ma kształt amfiteatru, którego scenę stanowi morze, a trybuny to zamykające je w półkolu dzielnice miasta wznoszące się od poziomu morza łagodnym łukiem coraz wyżej i wyżej. Nad miastem rysują się na horyzoncie góry Atlasu Telskiego. Widok jest przepiękny: pełen słońca, światła, zieleni i świeżości. Moje pierwsze wrażenie: trzema kolorami można namalować roztaczający się przede mną obraz: białym - domy, niebieskim - morze i niebo, zielonym - przyrodę. Jedziemy szybko piękną autostradą. Po prawej

stronie mamy widok na morze, po lewej - na płaską część „trybun amfiteatru", poprzecinaną zielenią.

- Popatrz, przed nami serce stolicy - mówi Yacine. - Tam, na horyzoncie, wznoszą się wysoko w górę dzielnice Les Tagarins i El Biar, a na prawo w oddali widać Casbah.

- A ten supernowoczesny, górujący nad miastem budynek, który widać przed nami, co to jest? - pytam Yacine.

- To jeden z naszych najpiękniejszych hoteli, pięciogwiazdkowy El Aurassi. Został nie tak dawno ukończony. Nie na możliwości takich ludzi, jak my - śmieje się Yacine i kontynuuje przedstawianie stolicy, rzucając nazwami dzielnic, które mi nic nie mówią: - Po lewej stronie zostawiliśmy Bab Ezzouar, El Harrach, Hussein Dey, Belcourt. Te słowa z trudem docierają do mojej świadomości, gdyż jestem oszołomiona i zauroczona widokiem, który rozpościera się przed moimi oczami.

Jest późne popołudnie. Dojeżdżamy powoli do serca Algieru arteriami, które przepompowują z ogromnym wysiłkiem nie krew, ale potężny strumień samochodów przewalających się opornie, hałaśliwie i w wolnym tempie. Jeżeli w tej chwili miałabym ocenić zamożność Algierczyków na podstawie zagranicznych marek aut i ich ilości, to jest to chyba bardzo zamożne społeczeństwo - przechodzi mi przez myśl. Powolna jazda ma jednak dla mnie i swoje dobre strony - mogę swobodnie podziwiać architekturę Algieru - jakże inną od tej, do której jestem przyzwyczajona. Zabudowa jest bogata, pełna fantazji, czasami monumentalna. Jej koloryt uzupełnia susząca się w słońcu na balkonach różnobarwna bielizna. Artystyczny chaos - tylko takie znajduję określenie na oddanie tego, co widzę. Przeważa solidny, przyciężkawy typ zabudowy od trzydo sześciopiętrowej, poprzecinany wieżowcami w nowoczesnym stylu. Te solidne budowle mają bardzo zróżnicowaną architekturę. Patrząc na przykład na piony tego samego budynku widzę najpierw szerokie, półokrągłe loggie, wystające swoimi zaokrągleniami poza płaską ścianę domu, potem szerokie okna balkonowe, „zamknięte" ozdobną balustradą zrobioną z fantazyjnych, kutych w żelazie prętów; znowu okna, tym razem bardzo wysokie i znowu balkony, ale prostokątne, murowane lub zamknięte bądź to betonową ozdobną balustradą, bądź kombinacją

betonu i żelaza lub też taką samą balustradą jak okna balkonowe. Dookoła domów biegną ozdobne gzymsy. Dachy mają płaskie, zabudowane tarasy, ozdobione lasem anten telewizyjnych. Wszystkie okna i drzwi balkonowe zaopatrzone są w drewniane okiennice bądź żaluzje. Dziwi mnie, że wiele balkonów ma dodatkowe zabezpieczenie (przed czym?) w postaci prostokątnego, najczęściej niebieskiego kawałka brezentu, który z jednej strony jest przymocowany do górnej partii drzwi balkonowych, a z drugiej do balkonowej balustrady, za którą jest przerzucony.

Dojeżdżamy do jakiegoś ogromnego skrzyżowania. Przed nami, jak na wyciągniętej dłoni, wznosi się wielopłaszczyznowo w górę i w górę biały Algier. I schody, schody, schody, łączące tę tarasową architekturę stolicy.

- O. tutaj zaraz jest główna poczta - chce mi pokazać Yacine, ale nie zdążył, skręcamy bowiem w prawo.

- Jesteśmy w samym centrum miasta, a wjeżdżamy na jeden z najpiękniejszych jego nadmorskich bulwarów - Zirout Youcef - słyszę od Karima.

Rzeczywiście, przepiękny obraz. Szeroka arteria, po prawej stronie widok na morze i port, po lewej fantastyczna zabudowa znowu w innym stylu niż ta, którą zdążyłam zobaczyć.

- Ten bulwar ciągnie się bardzo daleko, potem przechodzi w bulwar Che Guevary, który prowadzi aż do Place des Martyrs*, położonego u stóp Casbah. Był zbudowany w XIX wieku - prześcigają się w udzielaniu mi informacji Yacine i Karim.

* Plac Męczenników.

Dostrzegam w przelocie, jedziemy bowiem dosyć szybko, solidną zabudowę i długie trzypiętrowe budynki. Pojęcie pięter w tym momencie jest dla mnie rzeczą względną. Budowle, które mijamy, mają bardzo szerokie i wysokie arkady z charakterystycznymi filarami, połączonymi łukiem. Arkady to dla mnie parter zabudowań. Ciągle nie mogę sobie poradzić z miarą wysokości domów, tym bardziej, że dachy są zakończone płaskimi tarasami, pełnymi różnego rodzaju nadbudówek również o płaskim wykończeniu. Przeważa jednorodność stylu zabudowy. Domy

nie mają okien, tylko wysokie drzwi balkonowe zakończone najczęściej półkolem. Wychodzą bądź to na wspólny balkon, ciągnący się wzdłuż całego budynku (I piętro), bądź też na balkony indywidualne. Balustrada balkonowa wykonana jest z kutych w żelazie ozdobnych prętów. Nie brakuje ciekawych płaskorzeźb wokół górnej partii drzwi balkonowych. Ale najbardziej podobają mi się te wysokie i szerokie arkady, pod którymi przemieszcza się tłum przechodniów. Widząc mój zachwyt Yacine wyjaśnia:

- Pod tymi arkadami znajdują się siedziby przede wszystkim banków, biur podróży, APC* , APN** no i przepiękny czterogwiazdkowy hotel Es Safir, oddany do użytku w 1930 roku. Właśnie go mijamy po lewej stronie.

* *l'Assemblée Populaire Communale* - dosi. Ludowe Zgromadzenie Gminy,

** *l'Assemblée Populaire Nationale* - dosł. Ludowe Zgromadzenie Narodowe.

Z błyskawiczną szybkością rejestruję w pamięci piękną architekturę hotelu, odbiegającą od jednorodnego stylu zabudowy bulwaru. Tylko arkady są takie same, szerokie i wysokie, z filarami połączonymi łukiem. Pierwsze piętro hotelu to bardzo wysokie i niezbyt szerokie okna bez żaluzji czy okiennic, zza których widać dekoracyjne firanki. Na drugim piętrze znajdują się półokrągłe balkony, zamknięte balustradą z ozdobnych żelaznych prętów. Trzecie piętro ma tylko okna, a czwarte - tylko loggie, oparte częściowo na wystającym gzymsie, biegnącym wokół budynku, a raczej nadbudówki, gdybyśmy bowiem szerokość hotelu podzielili na trzy części, to środkowa partia, począwszy od drugiego piętra, nie jest zabudowana. Drzwi balkonowe oraz okna (te na trzecim piętrze) mają żaluzje. Całość sprawia wrażenie majestatyczne, królewskie.

Minąwszy hotel i duże skrzyżowanie, skręcamy w lewo, w jakąś wąską uliczkę, z której wyjeżdżamy na ulicę Abane Ramdane, gdzie mieści się nasz hotel. Widzę solidny, trzypiętrowy gmach podobny do budynków z bulwaru Zirout Youcef. Wysokie, piękne arkady cieszą moje oczy. Wysiadamy. Karim i Yacine wnoszą bagaże, ja biorę na ręce Sonię. Nasz pokój znajduje się na trzecim, ostatnim piętrze. Jest to hotel prywatny, w którym mieszkają głównie robotnicy jakichś zakładów, oczekujący na

mieszkanie. Mężowi płaci za hotel jego przyszły zakład pracy.

Karim żegna się z nami i zostajemy sami. Rozglądam się ciekawie. Duży, bardzo wysoki pokój, obity do połowy drewnianą boazerią. Na suficie dekoracyjne białe płaskorzeźby. Trochę przypomina mi to jakąś starodawną salę zamkową. Trzy żelazne łóżka, szafa, stół, umywalka, prysznic za drewnianym przepierzeniem, wysokie, wąskie drzwi wychodzące na mały balkon, zamknięty tymi samymi, kutymi w metalu dekoracyjnymi prętami, które widziałam już na trasie naszego przejazdu. Nie ma tradycyjnego okna. Do pokoju wpada za mało światła i sprawia on przygnębiające wrażenie.

- A gdzie kuchnia? - pytam Yacine.
- Nie ma, musimy ukradkiem gotować na maszynce elektrycznej w pokoju, ale tak, ażeby właściciel nie dowiedział się o tym.

* * *

Pamiętam pierwszą noc w tym hotelu. Było gorąco, spałam więc odkryta. Nagle obudziłam się, ponieważ poczułam, że coś chodzi po moim ciele. Zapaliłam światło. Oczom moim ukazał się straszny widok. Kilka ogromnych karaluchów spacerowało po naszych łóżkach, natomiast drewniana boazeria, a dokładnie mówiąc przestrzeń między ścianą a drewnem była siedzibą milionów innego rodzaju stworzeń z tej samej rodziny. Powyłaziło to wszystko w nocy i wędrowało po ścianach, na zewnątrz boazerii, po stole, po podłodze i po łóżkach. Myślałam, że jest to jakiś koszmarny sen, ale - niestety - była to naga, brutalna rzeczywistość. Obudziłam Yacine, obudziła się także przestraszona Sonia.. Ja cała się trzęsłam.

- Dlaczego panikujesz? - odezwał się Yacine. - W centrum Algieru wszędzie są karaluchy. Trzeba się po prostu do nich przyzwyczaić tak jak do zalegających, nieraz przez kilka dni nie wywożonych śmieci lub wszechobecnych kotów.

Nie mogłam w to uwierzyć. Przesiedziałam do rana przy zapalonym świetle, karaluchy pochowały się. Rano zobowiązałam Yacine do kupienia

mi czegoś na to robactwo. Przyniósł wieczorem do domu kilka butelek płynu w aerozolu. Następnej nocy spaliśmy przy zapalonym świetle, a skoro świt wzięłam się do spryskiwania całego pokoju. Niestety, na tak dużą powierzchnię potrzeba było kilkadziesiąt, a nie kilka butelek drogiej trucizny. Zawahałam się na myśl o kosztach tej wojny z insektami, tym bardziej że sąsiedzi z przyległego pokoju uświadomili mnie, że niepotrzebnie się tak męczę, bo jeżeli nawet wytruję karaluchy u siebie, to i tak po kilku dniach przyjdą inne przez okna, kanalizację, szpary w murach, balkon. Byłam załamana i prawie uduszona od nadmiaru oparów, które musiałam wdychać. Zamknęłam pokój i resztę dnia przesiedziałam z Sonią na tarasie hotelowym.

Tak więc mój pobyt w Algierii rozpoczął się od walki z karaluchami. Nie przypuszczałam wtedy, że za kilka lat będę musiała zmierzyć się z o wiele groźniejszym przeciwnikiem - z algierskim wymiarem sprawiedliwości w walce o prawa do własnych dzieci.

* * *

Tymczasem dni w hotelu monotonnie mijają. Nie mam okazji poznać rodziny Yacine. Nie chce mnie zaprowadzić, wstydzi się. Jego rodzina mieszka na Casbah, najstarszej i jednej z najbiedniejszych dzielnic Algieru. Yacine kategorycznie zabronił mi wychodzić do miasta. Bez niego mam się nigdzie nie ruszać. A ponieważ wraca z pracy dopiero około godziny osiemnastej, jestem skazana na codzienny, wielogodzinny areszt w pokoju, gdzie nie ma ani telewizora, ani radia.

Oczywiście, że zignorowałam polecenie Yacine i już po kilku dniach postanowiłam zobaczyć miasto z bliska.

Wychodzę z hotelu. W którą stronę skręcić - w prawą czy w lewą? Skręcam w lewo i przy najbliższym skrzyżowaniu - jeszcze raz w lewo. Cały czas idę pod arkadami. Dosyć szybko znalazłam się na bulwarze Zirout Youcef. I znowu dylemat - czy pójść na prawo drogą, którą przyjechałam z Yacine, czy też na lewo drogą, która zaprowadzi mnie do

stóp Casbah. Ponownie wybieram skręt w lewo i ruszam przed siebie pod tymi pięknymi, wysokimi arkadami. Po prawej stronie drogi zamkniętej ozdobną balustradą mam widok na morze i port. Oglądam wszystko, co się da, mała Sonia dzielnie drepce obok mnie. Chociaż w Polsce jest już jesień, zimna i deszczowa, my paradujemy w sukienkach bez rękawów, przy upalnej letniej pogodzie.

Kończy się bulwar Zirout Youcef, zaczyna się bulwar Che Guevary o takiej samej strukturze architektonicznej. Monumentalne, stylowe, solidne budowle. Arkady bulwaru są siedzibą różnych instytucji, banków, komisariatu policji, ale są tu też sklepy z odzieżą, drogeria, dwie kawiarnie, hotel.

W końcu docieramy do Place des Martyrs, do którego prowadzi również wznosząca się serpentyną droga z nadbrzeżnej, szerokiej arterii, przy której znajduje się port. Do tej arterii, a zatem i do portu, wiodą zejścia schodami usytuowanymi w kilku miejscach po prawej stronie obu bulwarów: Zirout Youcef i Che Guevary. Jestem na którymś tam poziomie wielopłaszczyznowej zabudowy stolicy z pięknym widokiem z jednej strony na morze, a z drugiej - na wznoszące się za centralną zabudową placu - wzgórze Casbah.

Place des Martyrs jest prostokątem zamkniętym z dwóch stron budynkami o podobnej konstrukcji jak te, które przed chwilą mijałyśmy, z charakterystycznymi wysokimi arkadami. Jest on przedłużony placem Régence, na którym znajdują się przystanki autobusów miejskich. Po lewej stronie, w prześwicie prostopadłej do placu ulicy, widzę część meczetu z dwoma wysokimi minaretami. Domyślam się, że jest to słynny, liczący cztery wieki, meczet Ketchaoua, a wznoszące się za nim budowle to Casbah*.

* Casbah została zbudowana w okresie tureckiej okupacji Algieru, w latach 1515-1830.

Przecinamy z Sonią cały plac, a następnie wąską ulicę, by znaleźć się za chwilę w pobliżu tego architektonicznego cacka. Fasada, otoczona dwoma okazałymi minaretami, wzorowana jest na architekturze bizantyjskiej. Piękne, szerokie i wysokie wejście-krużganek zakończone jest trzema łukami. Środkowa partia opiera się na dwóch ozdobnych kolumnach. Do meczetu prowadzą okazałe szerokie schody. Część środkowa

budowli, ta pomiędzy minaretami, ma kształt kopuły. Minarety pokryte są blachą emaliowaną, fajansową kostką i kaboszonem. Jestem pod wrażeniem tego, co widzę, przeniesiona w zupełnie inny świat. Stoję, zauroczona, dłuższą chwilę, gdy tymczasem mała Sonia kręci się niecierpliwie.

- Bolą mnie nóżki, bolą mnie nóżki - powtarza bez przerwy, sprowadzając na ziemię moje myśli.

Rzeczywiście, dziecko ma powody do narzekania, pokonałyśmy niezły kawał drogi, a przed nami jeszcze długi powrót.

Wybieram ulicę Bab Azzoun, równoległą do bulwaru Che Guevary. Domy o równie pięknej architekturze, z wysokimi arkadami dającymi siedzibę licznym sklepom jubilerskim oraz piekarnio-ciastkarniom *(boulangerie-pâtisserie)**. Ich witryny zachęcają do wejścia. Postanawiamy zafundować sobie po ciastku i lodach. Widzę dziesiątki różnych wyrobów, każdy w innym kształcie, kolorze, rozmaicie udekorowany. Przy takim wyborze trudno się na coś zdecydować. Kupuję więc dwa pierwsze lepsze ciastka pokazując po prostu palcem. A ponieważ na każdym jest cena, nie mam kłopotów z odliczeniem pieniędzy. Ciastka nie są drogie. Za jednego dinara dostajemy z automatu bardzo dobre lody „aż do nieba". Ciastka, nadziewane i posypane orzechami, również mają doskonały smak.

* W Algierii prawie wszystkie ciastkarnie sprzedają również chleb - podłużną francuską bulkę zwaną bagietką *(la baguette)*.

Po chwili odpoczynku i rozkoszy dla podniebienia ruszamy w dalszą drogę. Ulica Bab Azzoun prowadzi wprost na ulicę Abane Ramdane. Powoli docieramy do naszego hotelu. Obie z Sonią padamy jak nieżywe na łóżka. Jesteśmy zmęczone, ale zachwycone stolicą, która tętni życiem, gwarem, jest bardzo kolorowa i młoda. Młodzież, młodzież... Widać ją wszędzie. Są to głównie młodzi chłopcy, ale nie brakuje też nowocześnie ubranych dziewcząt. Stare kobiety paradują w tradycyjnych strojach *(haik, seroual,* twarz zasłania *aâdjar)*. Zdumiewa mnie duża liczba kręcących się wszędzie kilkuletnich dzieci, przez nikogo nie pilnowanych, ciągnących często za rękę ledwo co umiejące chodzić maluchy.

Jestem oczarowana urodą młodej generacji, zachwycona architekturą miasta, oszołomiona bogactwem i liczbą sklepów oraz samochodów, zauroczona bajkową przyrodą, zaskoczona ogromnym tłumem ludzi na chodnikach. Na razie postanawiam nic nie mówić Yacine o naszym wyjściu, a mała Sonia obiecała solidarnie milczeć. Ale wewnętrznie buntuję się przeciwko głupiemu zakazowi Yacine, trzymającego nas w tym hotelu. To gwarne, piękne miasto pełne tylu młodych, modnie ubranych chłopców i dziewcząt, przyciąga mnie i wabi swoim czarem. Niby w imię jakich racji mam siedzieć w domu? Na razie - milczę, a na drugi dzień postanawiam iść na Casbah.

Straszono mnie jeszcze w Polsce, że jest to dzielnica, w którą cudzoziemcy nie powinni się zapuszczać, że różne rzeczy już im się tu przytrafiały, że zostanę porwana, okradziona, a może nawet i zabita. Od mojego męża również słyszałam przestrogi, że - broń Boże! - wszystko tylko nie samotna białogłowa w tej dzielnicy. No cóż, zakazany owoc najlepiej smakuje.,

Rano studiuję plan Algieru, ażeby wybrać najdogodniejszą drogę na Casbah. Przy wyjściu podejrzliwie patrzą na mnie oczy recepcjonisty i jego kumpla. Zdają się one mówić: „Dopiero przyjechała, a już wychodzi sama, bez męża. Widać, że to nieporządna kobieta". Ale ja mam głęboko w nosie ich opinie; moja ciekawość świata jest silniejsza niż wszystko inne. Sonia też nie może usiedzieć w hotelowym pokoju, mam więc dzielną towarzyszkę wędrówek.

Wychodzimy. Tym razem, na pierwszym skrzyżowaniu skręcam w prawo, przechodzę ulicę Abane Ramdane i po szerokich, stromych schodach wspinam się na wyższy poziom - na koniec ulicy Larbi Ben M'Hidi. Wypadałoby teraz skręcić w lewo i kontynuować marsz, ażeby zobaczyć tę najpiękniejszą, obok Didouche Mourad, ulicę Algieru. Ale na to przyjdzie jeszcze czas. Celem mojego dzisiejszego wyjścia jest Casbah.

Idziemy wznoszącą się lekko ulicą Lumumby. Tuż u jej wlotu dostrzegam stojące w grupach kobiety ubrane w tradycyjne stroje. Mają na rękach złote łańcuszki, bransoletki, pierścionki. To targ złotem. Widzę,

że są także kupujące. Czuję już Casbah: wzrasta liczba ciastkarni, sklepów ze złotą biżuterią i tradycyjnymi wytworami sztuki ludowej.

Posuwam się na wyczucie, bacznie obserwując mijane domy, ażeby zapamiętać drogę. Budowle nie są już takie okazałe, monumentalne i stylowe, jak te na bulwarze Zirout Youcef, Che Guevary czy Abane Ramdane.

Dość szybko dochodzę do ulicy będącej przedsionkiem Casbah. Takiego tłumu handlujących ludzi nie można sobie wyobrazić. Sprzedający są ze swoim towarem wszędzie, zarówno na chodniku, jak i na ulicy, która staje się prawie nieprzejezdna ze względu na porozkładane wprost na ziemi artykuły. Czego tu nie ma! Ubiory, zegarki elektroniczne, radia, magnetofony, artykuły gospodarstwa domowego, dywany, nakrycia. Dużo towarów ma francuskie metki, widać silny nielegalny handel z Francją, podobnych wyrobów bowiem nie można kupić w sklepach. Hałas ogromny, każdy stara się przekrzyczeć każdego, zachwalając swój towar. W tłumie przeważają mężczyźni, ale widać też kobiety w tradycyjnych ubiorach. Łatwo tu można zostać okradzionym - przechodzi mi przez myśl. Przezornie mam przy sobie tylko kilka dinarów i żadnych dokumentów. Jedynym moim skarbem jest Sonia, którą ściskam mocno za rękę. Drepcze dzielnie obok mnie, na nic się nie skarżąc. Jestem zaczepiana przez sprzedających, którzy chcą, żebym coś od nich kupiła. Robią to jednak grzecznie, nie nachalnie. Uśmiecham się za każdym razem mówiąc: *lela, sahha*,* bo tyle, na własny użytek, zdążyłam się już nauczyć w miejscowym żargonie. Przeciskając się wśród ciżby docieram z Sonią w okolicę dużego targu, usytuowanego pod gołym niebem. Sprzedają tu owoce i warzywa. Mijam targ, by nagle, już kilka metrów dalej, znaleźć się w otoczeniu murów wiekowej Casbah.

* Nie, dziękuję.

W jednej chwili wydało mi się, że widzę kolorowy film, że za chwilę obraz zniknie, a ja znajdę się w Polsce w mojej kawalerce. Jednak była to rzeczywistość, dla mnie jak nie z tego świata. Otóż z ulicy, na której się znalazłam, na prawo i lewo widać było przejścia (schody) wtopione w

zabudowę, prowadzące do niższych (lub wyższych) partii Casbah. Postanawiam zapuścić się nieco w te wieki historii, które otoczyły mnie tak nagle i tak ciekawie. Jestem na schodach, które wznoszą się, łagodnie i tarasowo. Z obu stron - nie kończący się ciąg jednolitej zabudowy. Ale od strony schodów są tylko mury, poprzecinane od czasu do czasu drzwiami zakończonymi łukiem. Nad nimi biegną na całej długości zabudowy charakterystyczne ukośne belki, podtrzymujące stropy wysuniętej na wysokość pierwszego - drugiego piętra górnej partii budowli, która prawie dotyka murów po przeciwnej stronie schodów, zasłaniając całkowicie niebo. Ma się wrażenie pobytu w tunelu. Od czasu do czasu widać w górnej partii domów wąskie okna szczelnie zamknięte drewnianymi okiennicami. Stoję zafascynowana otaczającą nas historią, która przenika do szpiku kości, tak jak i wszechobecny chłód i wilgoć, pomimo ogromnego upału na zewnątrz. Przypadkowi przechodnie patrzą na mnie jak na zjawisko nie z tego świata. Ja także czuję się jak przybysz z innej planety, któremu dane jest zobaczyć coś zupełnie niezwykłego i wyjątkowego.

Po długiej chwili wycofuję się na centralną ulicę Casbah. Nie mam odwagi pójść dalej i wyżej tymi korytarzami historii, chociaż bardzo tego pragnę. Tak samo pragnę zatrzymać na zawsze w pamięci ten niecodzienny, pełen egzotyki obraz, na którym czas odcisnął swoje pieczęcie.

Chociaż do widoku obecnych wszędzie dzieci zdążyłam się już przyzwyczaić, ich liczba na Casbah zdumiewa mnie. Przebywają na ulicy, na chodnikach, na schodach prowadzących do niższych i wyższych partii dzielnicy. Dzieci, przez nikogo nie pilnowane, są biednie ubrane, najczęściej bose, rzadziej w plastikowych klapkach lub sandałkach. Wszystkie mają śliczne buzie, duże, czarne oczy, kręcone włosy i smagłą cerę. Przyglądają mi się z ciekawością. Słyszę często: *Atyni draham, atyni draham,* co znaczy: „Daj pieniążka, daj pieniążka". Biorą mnie chyba za europejską turystkę. Serce mi się kraje, gdy patrzę na te maluchy pozostawione same sobie już od najmłodszych lat. Tak wyglądało chyba dzieciństwo Yacine, dlatego trudno się dziwić, że zarówno on, jak i cała rodzina jest dumna z jego tytułu inżyniera.

Ponieważ znalazłam się znowu obok tego dużego targu pod gołym niebem, zapuszczam się pomiędzy stragany załadowane owocami i warzywami. Tylu darów ziemi jeszcze nie widziałam. Czego tu nie ma! Warzywa i owoce, które znam, ale są i takie, które widzę po raz pierwszy. Patrzę na ceny: 1,5 dinara za kilogram arbuzów, 2 dinary za kilogram melonów, 50 centymów za kilogram pomidorów *. O wiele taniej niż w centrum, dlatego też nic dziwnego, że tłum kupujących (prawie sami mężczyźni) ogromny. Ogorzałe od słońca twarze sprzedających, charakterystyczne turbany na głowach. Krążymy z Sonią pomiędzy straganami, nie jesteśmy przez nikogo zaczepiane, czuję na sobie raczej przyjazne spojrzenia. Wreszcie decyduję się na kupienie najmniejszego arbuza, jaki widzę na straganach. Arbuz wydawał się mały, ale sporo waży i ręce mdleją mi ze zmęczenia w drodze powrotnej do hotelu. Właściwie mieszkamy niezbyt daleko Casbah, będzie gdzie robić tanie zakupy - myślę sobie.

* W tym czasie pensja inżyniera wynosi od 3-3,5 tys. dinarów netto.

To, co widziałam, trudno opisać słowami. A przecież widziałam lak niewiele! Gdy słuchałam w Polsce barwnych opowieści Yacine o jego kraju, nawet przez myśl mi nie przeszło, że rzeczywistość może aż tak przerosnąć wyobraźnię! Od pierwszych chwil pokochałam to niezwykłe w swej urodzie, egzotyczne miasto. Jakże wdzięczna byłam losowi za to, że postawił na mojej drodze Yacine! Zapomniałam zupełnie o moich wcześniejszych obawach.

W pokoju hotelowym zabieramy się z Sonią do naszego arbuza. Mimo ogromnego wysiłku udaje nam się zjeść tylko połowę. Co zrobić z drugą częścią? Szkoda mi wyrzucić, postanawiam więc zostawić, chociaż podejrzewam, że reakcja Yacine może być gwałtowna. Na wszelki wypadek polecam Soni, ażeby nie mówiła ojcu, gdzie byłyśmy. Przychodzi Yacine. Podejrzliwie patrzy na kawałek dorodnego arbuza.

- Gdzie go kupiłaś? - pyta.

Kłamię mówiąc, że nie pamiętam, że byłam na mieście na przechadzce, trafiłam na jakiś stragan i tam dokonałam zakupu.

- Mówiłem ci, że masz nie wychodzić z domu beze mnie w ciągu tych pierwszych dni! - krzyczy Yacine. - Do kraju i miasta trzeba się przyzwyczajać powoli, a ty ledwo przyjechałaś i już nie ma cię w domu!

- Nie mam zamiaru siedzieć w tym hotelu całymi dniami! Można tu zwariować! - odcinam się podniesionym głosem. - Przecież na ulicach jest pełno nowocześnie ubranych dziewcząt, a ja, Europejka, mam siedzieć w domu? No nie, nigdy!

Zaczynają się codzienne przepychanki z Yacine. Ja nie ustępuję. W końcu on kapituluje i mimo że widać wściekłość na jego twarzy, gdy wraca po południu do hotelu, milczy i już nie pyta mnie, gdzie dzisiaj wychodziłam.

* * *

Dwa tygodnie po moim przyjeździe do Algieru rozpoczyna się w Centre Culturel Français (CCF)* kurs języka francuskiego. Tak się szczęśliwie składa, że Centrum to znajduje się niedaleko od hotelu. Niestety, na razie moja znajomość tego pięknego języka Wiktora Hugo ogranicza się jedynie do dwóch zwrotów - dzień dobry i do widzenia. Co za ironia losu! Na studiach miałam do wyboru naukę języka francuskiego lub niemieckiego. Do dzisiaj nie wiem, dlaczego wybrałam niemiecki.

* Centrum Kultury Francuskiej.

Kurs odbywa się trzy razy w tygodniu po dwie godziny późnym popołudniem. W drodze do Centrum i z powrotem zawsze towarzyszy mi Yacine, dzielnie strzegąc swojej własności, co w duchu ogromnie mnie śmieszy. Na kursie istna wieża Babel. Młodzież i dorośli z całego świata. Z Polski jestem ja i Marek - młody architekt, którego ojciec pracuje w Algierze jako kooperant. Zaprzyjaźniam się z Markiem i jego rodziną, która zaprasza nas kilkakrotnie do siebie. Oczywiście z Yacine, do którego są ustosunkowani bardzo przychylnie i często mu to okazują, co mu się bardzo podoba.

Tak mijają pierwsze dwa miesiące mojego pobytu w Algierii. Naciskam coraz bardziej, ażeby Yacine zapoznał mnie ze swoją rodziną, do tej pory bowiem zręcznie unikał tego tematu. Wreszcie, mając chyba dosyć moich codziennych pytań, podejmuje męską decyzję i postanawia zorganizować nam spotkanie u swojej ciotki, która mieszka niedaleko hotelu, jest wdową i pracuje jako dozorczyni domu. Mieszka sama, wszystkie jej dzieci przebywają we Francji. Mają tam kartę stałego pobytu.

Do spotkania przygotowuję się bardzo starannie. Mam dla nich dużo prezentów z Polski: bieliznę, kolorowe chustki na głowę, prochowiec dla teścia. Zbliża się moment naszego poznania. Jest piątek, Yacine nie pracuje. Wychodzi rano z hotelu i kupuje całe ogromne pudło ciastek z kremem w pobliskiej ciastkarni.

- Co będziesz z tym robił? - pytam.
- U nas jest taki zwyczaj - odpowiada - że idąc do kogoś przynosi się ciastka.

Bierzemy więc te ciastka oraz torbę z prezentami i idziemy. To niedaleko. Zaledwie 10 minut drogi, a przecież upłynęło już tyle czasu! Dlaczego nie zabrał nas wcześniej do tej ciotki? Może są tam jakieś dzieci, z którymi bawiłaby się Sonia? Dziecku bardzo się przykrzy, tęskni do rówieśników. Całe dnie upływają jej na chodzeniu ze mną do południa po mieście i na poobiedniej nudzie w hotelu.

Siostra matki Yacine, Rachida, mieszka przy znanym mi już bulwarze Zirout Youcef. Jej mieszkanie znajduje się na parterze, ale jest to prawie suterena. Dzwonimy. Otwiera nam postawna kobieta ubrana w kolorową bluzkę i spódnicę aż do ziemi. Śniada karnacja, kruczoczarne proste długie włosy, spięte w tyle na karku. Yacine całuje się z nią cztery razy (taki zwyczaj). Zrozumiałam, że jest to ciotka. Całuję się również cztery razy. Patrzą na mnie podejrzliwe, niedobre, strzelające na wszystkie strony oczy. Widzę jadowity uśmiech na jej twarzy. Jeżeli to jest siostra mojej teściowej, to przepadłam - myślę sobie. Rozglądam się. Jestem w długim przedpokoju. Ponuro i nieprzyjemnie, tym bardziej że ściany są zbyt wysokie w porównaniu do powierzchni całego mieszkania,

które będę mogła za chwilę zobaczyć. Gestem ręki ciotka pokazuje, że mamy iść za nią. Idziemy. Na końcu tego długiego korytarza znajduje się pomieszczenie główne, czyli salon, jak się domyślam. Bez okien. Żadnych prawie mebli, jedynie jakiś stary kredens i kilka stołków. Dwa jednoosobowe *banquettes* (drewniane podstawki, na których położony jest materac z gąbki) przykryte narzutami i przystawione do ściany, służą w dzień do siedzenia, a w nocy do spania. Nędza. W salonie czeka cała rodzina Yacine, którą mam poznać.

Teraz następuje konsternacja, gdyż nikt nie wie, jak się ma zachować. Z niepokojem szukam wzrokiem mojej teściowej. Bardzo bałam się spotkania z tą kobietą. Jedyne wiadomości na temat obyczajów w krajach arabskich, jakie udało mi się uzyskać przed wyjazdem do Algierii, dotyczyły właśnie stosunków teściowa - synowa. Przyprawiły mnie już wtedy o zimne dreszcze i silne poty. Tymczasem mam przed sobą drobną kobiecinę, dobrodusznie uśmiechniętą, o miłym, pogodnym i dobrym spojrzeniu. Kruczoczarne, długie i proste włosy ma spięte tak samo jak ciotka Rachida. Teściowa jest ubrana w kolorową bluzkę i *seroual*. Od razu przypada mi do serca i nie zmyliło mnie pierwsze odczucie.

Yacine mówił mi, że jego ojciec ma 60 lat. Tymczasem widzę bardzo starego i zniszczonego człowieka, wyglądającego na dobrą osiemdziesiątkę. Pomimo upału na dworze i tego, że znajdujemy się w mieszkaniu, teść ma na sobie prochowiec i nakrycie głowy w postaci niewielkiej, półokrągłej czapeczki bez daszka. Ubrany jest biednie, chociaż czysto. Jego buty i płaszcz są bardzo zniszczone. Nie wiem, jak się z nim przywitać, ażeby nie popełnić gafy. W końcu teść całuje mnie dwa razy w policzki i mówi po francusku „dzień dobry". Nie podoba mi się. Nigdy z moich ust nie padnie słowo tata.

Teraz kolej na rodzeństwo Yacine. Madina, jego siostra, ma 25 lat i jest panną. Część jej twarzy, szyja i ręka zostały oszpecone przez poparzenie, któremu uległa, będąc małą dziewczynką. Niewysoka i chuda, ma czarne, proste, rozpuszczone długie włosy. Rzuca złe spojrzenia w moją stronę pomimo uśmiechu na twarzy. Dostaję od tego gęsiej skórki.

Salem to młodszy brat Yacine, kawaler w wieku dwudziestu paru lat. Ma około 170 cm wzrostu i szczupłą sylwetkę. Gęste, proste włosy, modnie przycięte, prawie spadają na jego kark. Przystojny chłopak o ładnym uśmiechu i zupełnie europejskiej urodzie.

Fatima, starsza siostra Yacine, zamężna, matka kilkorga dzieci, mieszka gdzieś na wsi poza stolicą. Dzisiaj jest sama, przywiózł ją mąż specjalnie na spotkanie ze mną. Fatima, pomimo że w moim wieku (czyli ma lat 29), jest już bardzo zniszczoną kobietą. Poorana zmarszczkami twarz, spracowane dłonie, chuda.

Salem i Fatima, podobni raczej z urody i charakteru do matki, wywarli na mnie korzystne wrażenie. Za to mój Yacine i Madina to kopie teścia, już widzę, choleryka i despoty. Badawcze spojrzenia z obu stron. Nie możemy się porozumieć, ponieważ ja nie mówię ani po arabsku, ani po francusku. Wiem, że teść i Salem znają francuski. Podobno zna go także ciotka Rachida i Madina*. Nienaturalne zachowanie Madiny i ciotki bardzo mnie męczy. Ażeby przerwać ten krępujący moment, otwieram moją torbę z prezentami i rozdaję je. Kobiety dziękują, teść również.

* Znaczna część algierskiego społeczeństwa, nawet ta niewykształcona, dosyć dobrze zna (w mowie) język francuski (obecny w telewizji, radiu, prasie, urzędach).

Zauważyłam, że jest tu jeszcze jeden pokój, do którego prowadzą drzwi z salonu. Po chwili wychodzi z niego około trzydziestoletnia kobieta, Fatma, jakaś daleka krewna ciotki Rachidy, trochę opóźniona w rozwoju. Całymi dniami siedzi na swoim posłaniu z gąbki, położonym wprost na ziemi, a jedzenie podaje jej ciotka Rachida w metalowym, pogiętym talerzu i stawia wprost na ziemi. Jak psu.

Po chwili rodzina Yacine rozstawia niewysoki, arabski, stół. Jest to metalowa ozdobna okrągła taca, którą kładzie się na drewnianą, rozkładaną podstawkę. Podają oranżadę oraz ciastka, które przynieśliśmy. Chce mi się strasznie pić, ale nic nie przechodzi mi przez gardło, ponieważ oranżada ma smak proszku do prania, chyba dlatego, że umyte w nim szklanki nie zostały dobrze opłukane. Męczę się, ale nie ma sensu poprosić o wodę, ponieważ, jak sądzę, podano by mi również w takim niedopłukanym naczyniu.

Chyba po godzinie wracamy z powrotem do hotelu. Rozmyślam. W rodzinie Yacine żadna kobieta nigdy nie pracowała zawodowo, to mężczyzna decyduje o wszystkim. Jak ustawić się wobec problemów, które będę musiała pokonać? Przecież ja nie wyobrażam sobie zależności od mężczyzny i życia bez pracy zawodowej.

W hotelu pytam męża, z czego aktualnie żyje jego rodzina. Nie chce mi powiedzieć. Niebawem okazuje się, że teść nie ma żadnych źródeł dochodu ani renty, ponieważ za czasów okupacji Algierii przez Francję wykonywał różne dorywcze prace i nie był nigdzie zatrudniony na stałe. Człowiek nieobrotny i niezaradny życiowo doprowadził swoją rodzinę do zupełnej nędzy. Ale jakże potrafił rządzić w domu! Jakiego poszanowania wymagał dla siebie od wszystkich domowników! Tymczasem to pracujący Salem, urzędnik na marnej państwowej posadzie, utrzymywał ojca, matkę i siostrę. Dlatego od dawna wszyscy czekali, aż Yacine pójdzie do pracy i pomoże finansowo. Tak, teraz zrozumiałam, dlaczego w Algierii należy mieć synów. Gdyby nie Salem i Yacine, cała rodzina żebrałaby na ulicy.

* * *

Płyną miesiące hotelowego życia, powoli oswajam się z językiem francuskim, ale moje wypowiedzi przypominają „Ali kochać wielki bwana". Niemniej jednak jakoś potrafię się już porozumieć, a najważniejsze przekazać to, o co mi chodzi.

Teść kilka razy przyszedł do mnie do hotelu i przyniósł mi ugotowany przez teściową obiad. Zabrał też ze sobą Sonię na Casbah, ażeby mogła pobawić się z dziećmi. Nie przypuszczałam, że rodzina męża mieszka tak blisko tego targu, który odwiedzałam prawie codziennie. Moja Sonia, po kilku takich popołudniach spędzonych u teściów, całkiem nieźle radzi sobie z językiem arabskim. Pewnego dnia, będąc ze mną na targu, mówi:

- Mamusiu, chcesz, to zaprowadzę cię do dziadka.

Sonia ma w tym momencie niecałe cztery lata. Konsternacja. Iść czy nie iść? Co zastanę, jak przyjmą mnie teściowie, jak zareagują na moją

niezapowiedzianą wizytę? Idę - decyduję się. Zdaję się na intuicję mojej córki. Wchodzimy w jakąś wąską uliczkę Casbah. Jeden zakręt, drugi, potem prosto, potem znowu ze dwa zakręty - cały czas schody prowadzą do góry. Wspinam się w tym tunelu, pomiędzy obecnymi wszędzie dziećmi i osiami, na których grzbietach wywożone są śmieci (innej możliwości nie ma). Dzieciaki patrzą na mnie zdziwione, a chyba najbardziej szokują je moje jasne włosy i niebieskie oczy. Wreszcie dochodzimy do jakiegoś ogromnego wysypiska śmieci, na którym bawi się gromada dzieci.

- To tutaj - mówi Sonia.

Dreszcz przechodzi mi po ciele. Przechodzimy przez ten śmietnik, innej drogi nie ma. Wchodzimy do jakiejś rudery, na wpół rozwalonej. Teraz po schodach, które ledwie się trzymają i stanowią ogromne zagrożenie dla życia. Jest to dwupiętrowy budynek w bardzo złym stanie, z charakterystycznym dla zabudowy Casbah *patio.* Dookoła wewnętrznego podwórka biegną malownicze niegdyś krużganki. Na podwórko wychodzą też drzwi mieszkań. Na tej rozpadającej się ruinie znać czasy świetnej i bogatej przeszłości. Jeszcze pozostały gdzieniegdzie wspaniałe marmurowe mozaiki zdobiące mury i posadzki, jeszcze nie rozpadły się całkowicie ozdobne kolumny krużganków. Na podwórku, w środku tego czworoboku, mnóstwo kobiet pierze, ponieważ, jak się domyślam, woda jest chyba tylko na parterze.

Sonia prowadzi mnie do mieszkania dziadków. Drzwi są otwarte do wewnątrz, na zewnątrz oddziela mieszkanie od korytarza gruba, niebieska zasłona. Pukam kilka razy w futrynę drzwi. Wreszcie słyszę, że ktoś się zbliża. I oto mam przed sobą teściową. Trzeba by w tym momencie zobaczyć jej twarz! Nigdy nie udało mi się widzieć większego zdziwienia w czyichś oczach. Teściowa stoi oniemiała w drzwiach.

- Khazina, co się dzieje? - dobiega mnie głos teścia i w tym momencie widzę go przed sobą, równie oniemiałego, jak jego żona.

Stoimy tak naprzeciw siebie bardzo długo, oni - zamienieni w słupy soli, a ja przestępując z nogi na nogę. Soni nie ma - porwały ją dzieci sąsiadów, z którymi już zdążyła się zaprzyjaźnić. Wreszcie po chwili,

która dla mnie trwa wieki, teść odzywa się zupełnie zmienionym głosem:

- Proszę, niech pani wejdzie do naszego domu.

Domu? Mój Boże, podobnej nędzy nie byłam w stanie sobie wyobrazić. Pomieszczenie bez okna o długości nie więcej niż 3 m i szerokości 2 m. W „pokoju" - pod każdą ścianą leżą materace z gąbki, w tym dwa podwójne (wszak razem z Yacine „mieszka" tu 5 osób!). W rogu stoi butla z gazem i trzypalnikowa kuchenka. Wszędzie pełno kartonów. Żadnej szafy. Taki standard życia zapewnił teść swojej rodzinie! Jednak niezależnie od tego trzeba mu okazywać szacunek na każdym kroku i bezwzględne posłuszeństwo, bo jest mężczyzną i jego postępowanie nie podlega dyskusji. Żadne z dzieci, nawet Yacine, nie ma prawa głosu.

Tymczasem wieść, że przyszła synowa Khaziny, już rozniosła się po dzielnicy szerokim echem. Zaczynają się odwiedziny bliższych i dalszych sąsiadek moich teściów. Teść oczywiście wyniósł się, niezadowolony. Przez „pokój" paraduje masa arabskich kobiet, uważnie mi się przyglądających. Moja teściowa usiłuje mi coś tłumaczyć, oczywiście nic nie rozumiem. Niektóre z kobiet mówią po francusku. A ponieważ moja znajomość tego języka jest jeszcze bardzo słaba, żadna rozmowa nie klei się. To, co mnie uderza na pierwszy rzut oka, to przenikliwe, świdrujące oczy kobiet i błysk ich złych spojrzeń. Nigdy z czymś takim nie spotkałam się w Polsce. Jakoś inaczej patrzą nasze dziewczyny i nasze kobiety. Jedyną istotą, do której czuję w tym momencie sympatię, jest moja teściowa. Uśmiecha się dobrodusznie, szczęśliwa, że jej synowa jest ładna i wykształcona. Rozumiem tylko: „inżeniora, inżeniora", co ma oznaczać w dialekcie arabsko-francuskim fakt, że jestem inżynierem. Widzę ogromną dobroć na twarzy mojej teściowej, a jej oczy spoglądają na mnie z miłością. Z boku dostrzegam nienawistne, złe spojrzenie mojej szwagierki Madiny, do której czuję niechęć od pierwszego spotkania. Każda z arabskich kobiet chce dotknąć moich jasnych włosów i zobaczyć moje niebieskie oczy. Czuję się jak wystawiona na sprzedaż niewolnica.

Wracam do hotelu, w którym jest już Yacine.

- Gdzie byłaś? - rzuca mi zdawkowe pytanie.
- U twoich rodziców - odpowiadam nastawiając się na najgorsze. A tymczasem nic. Cisza. I wreszcie słyszę:
- A właściwie dobrze, że tam poszłaś, bo mam to już za sobą. No i jak?
- Nie jest tak najgorzej - stwierdzam, kłamiąc oczywiście. Nie chcę go dobijać. - Myślałam, że mieszkacie gorzej.
- Naprawdę? - odpowiada uradowany, nie wyczuwając kłamstwa w moich słowach. Dopiero po chwili reflektuje się.
- No dobrze, ale jak ty tam trafiłaś?
- To ja zaprowadziłam tam moją mamusię! - odpowiada z dumą Sonia, śmiejąc się kokieteryjnie.

Tego wieczoru nastrój w naszym pokoju hotelowym jest przemiły, a Yacine szaleje ze szczęścia, ponieważ pozbył się chyba największego swojego zmartwienia - zapoznania mnie z warunkami życia swojej rodziny.

Yacine kupił duży czarno-biały telewizor. Był to nasz pierwszy zakup i pierwszy mebel.

* * *

Po przyjeździe do Algierii nie miałam pojęcia o arabskiej kuchni, która jest zupełnie inna od naszej. Wychowana byłam na kotlecie wieprzowym, smalcu, śmietanie. Nie potrafiłam ugotować żadnej zupy bez śmietany. I nagle z dnia na dzień znalazłam się w kraju, gdzie wieprzowina nie istnieje, śmietana także, a najdroższym mięsem jest baranina, o której nie chciałam nawet słyszeć przez kilka miesięcy. Wydawało mi się, że baranina ma podobny smak i zapach jak ta, którą jadłam w Polsce. Kupowaliśmy wołowinę, kurczaki oraz rozliczne gatunki ryb.

Podstawą algierskiej kuchni jest olej, cebula, czosnek, pomidory. Moje kulinarne wysiłki miały na początku opłakany efekt. Nie znałam dobrze francuskiego, nie miałam żadnej książki kucharskiej ani kontaktu

z arabską kuchnią i prawie żadnego wyobrażenia o tutejszych potrawach, tylko bowiem kilka razy jadłam coś z menu kuchni algierskiej. Były to potrawy przygotowane przez teściową i przyniesione do hotelu przez teścia. Najczęściej był to kuskus *(couscous),* który jest narodową potrawą Algierczyków *. Kuskus (tak jak w Polsce ziemniaki) spożywa się np. ze zsiadłym mlekiem lub różnego rodzaju sosami z kawałkiem mięsa. Mój mąż znał jedynie smak i nazwy potraw kuchni algierskiej, natomiast nie miał zielonego pojęcia o sposobie ich przyrządzania. Zdałam się więc na własną pomysłowość i doświadczenie wyniesione z domu. Tata był zapalonym wędkarzem, jadaliśmy dużo ryb, więc nauczyłam się je przyrządzać na różne sposoby. Przyrządzałam także mięso w jarzynach, nawet z niezłym efektem, co wywnioskowałam po zadowolonej minie Yacine.

* Kuskus przyrządza się („ruluje") z semuliny, podobnej do naszej kaszy manny. Ma on postać bardzo drobnych ziarenek. Należy gotować go na parze w specjalnych garnkach, zwanych kuskusjerkami.

Cena mięsa w tym czasie wynosiła: 18 dinarów - 1 kg wołowiny z kością, 27 dinarów - 1 kg doskonałej wołowej polędwicy. Kilogram ryby mrożonej kosztował 25 dinarów. Pomimo że mąż mój otrzymywał niewielki żołd, w zupełności wystarczało nam na życie. Kupiliśmy nawet dla Soni mnóstwo klocków lego, które w tym czasie pojawiły się w Algierii po oszałamiająco niskich cenach. W Polsce dzieci nie miały wówczas jeszcze pojęcia o ich istnieniu.

* * *

Tak minął rok mojego pobytu w Algierii. Minęło moje pierwsze Boże Narodzenie i sylwester poza ojczyzną, moje pierwsze lato w Afryce.

Pierwsze święta Bożego Narodzenia były ogromnie smutne, z daleka od rodziny, od jakiegokolwiek kontaktu z polską tradycją i Polakami, w towarzystwie męża, który udawał, że nie wie, o co chodzi. Do tego prawie letnia pogoda* oraz zupełnie inny świat, w którym się znalazłam. Wszystko to było dla mnie trudne do przebrnięcia. Podobnie wyglądał

nasz pierwszy sylwester w Algierii. Spędziliśmy go samotnie w hotelu, bez jakiejkolwiek oprawy.

* Zima w Algierii przypomina polską wiosnę i częściowo lato - temperatura wynosi około plus 10°C i więcej, czasami nawet plus 25°C - z tym, że jest to pora deszczowa. Pomimo że temperatura nie jest zbyt niska, to jednak odczuwa się dotkliwy chłód ze względu na dużą wilgotność powietrza. Zwłaszcza noce bywają bardzo chłodne, temperatura potrafi spaść nawet do 0°C.

Yacine, mieszkając w Polsce, uwielbiał święta Bożego Narodzenia, i sylwestra. Nasze tradycje bardzo mu się podobały, lubił w nich uczestniczyć. Tymczasem w Algierii starał się zapomnieć o tym, że jestem chrześcijanką. Dał mi wyraźnie do zrozumienia, że nie ma mowy, abym chodziła do kościoła katolickiego (było ich kilka w stolicy). Sam też nie chodził do meczetu. Stanął na stanowisku, że ponieważ wyznajemy dwie odrębne wiary, najlepiej będzie dla nas obojga żadnej nie praktykować. Ażeby nie doprowadzić do poważnego konfliktu, w Algierze nie chodziłam do kościoła. Jedynie sprawa religii naszej córki była jasna od początku. Uważałam, że skoro mam żyć w kraju muzułmańskim, byłoby zupełnym nieporozumieniem wychowywać ją po chrześcijańsku. Yacine przyjął moją decyzję z wielkim zadowoleniem. Sonia, urodzona w Polsce, nie została ochrzczona. Ustaliliśmy również, że ja będę porozumiewała się z córką tylko po polsku, a Yacine - na początku po polsku i po arabsku, a w późniejszym okresie - po arabsku **. Z Yacine rozmawiałam wyłącznie po polsku.

** Yacine nie zna dobrze klasycznego języka arabskiego, ponieważ w okresie, kiedy chodził do szkoły, podstawowym językiem nauczania był francuski. Z Sonią porozumiewał się po algiersku, który jest gwarą powstałą z języka arabskiego i wpływów języka francuskiego. Po algiersku rozmawia większość społeczeństwa, jednak przyjęło się mówić „rozmawia po arabsku".

Rodzina mojego męża jest bardzo religijna - teść i Salem chodzą do meczetu, natomiast Madina i teściowa modlą się w domu w określonych porach dnia na specjalnie przeznaczonym do tego celu małym dywaniku. Salem często odwiedza nas w hotelu. Zauważyłam, że jego poglądy są wsteczne, czasami fanatyczne. Pomimo że chłopak wydaje mi się

sympatyczny, coraz bardziej drażni mnie jego sposób myślenia i zasady, które wyznaje. Widzę, że ma duży wpływ na Yacine. Staram się jednak nie ingerować, chcę, aby stosunki z rodziną mojego męża układały się w miarę poprawnie.

Minęło także moje pierwsze lato na kontynencie afrykańskim, lato, przed którym tak bardzo ostrzegano mnie w Polsce: „Zobaczysz, co za upały, nie wytrzymasz". Tymczasem te upały (30°-40°C) były całkiem znośne w dzień ze względu na dużą wilgotność powietrza (bliskość morza). Gorzej było w nocy, spałam prawie naga strząsając od czasu do czasu przechadzające się po mnie karaluchy, do których zdołałam się już przyzwyczaić. Ale na plaży jeszcze nie byliśmy. Yacine twierdzi, że dojazd autobusem dla rodziny z dzieckiem jest niemożliwy z powodu ogromnego tłoku. Akceptuję to, chociaż irytuje mnie fakt, że zupełnie niedaleko są przepiękne plaże i że moglibyśmy skorzystać z tego dobrodziejstwa natury. Szczególnie w czwartki i piątki, dni wolne od pracy, wieje wielką nudą. Yacine tkwi w hotelu, nie ma gdzie wyjść, sklepy pozamykane, miasto opustoszałe. Rozrywka? Jedyny teatr w stolicy rzadko organizuje jakieś spektakle. W kinie byliśmy tylko raz. Na widowni byli sami mężczyźni, którzy zachowywali się skandalicznie głośno, rozmawiając, jedząc i rzucając czym się da.

Zauważyłam, że Yacine nie ma przyjaciół: jest nieufny, podejrzliwy. Najchętniej ograniczyłby również moje życie tylko do kontaktów ze swoją rodziną.

Pomimo wszystko ten pierwszy okres pobytu w Algierii wspominam jako wspaniały. Patrzyłam na ojczyznę Yacine trochę jak turysta, który nie miał zbytniego pojęcia o funkcjonowaniu państwa, w którym się znalazł, i o życiu jego mieszkańców. Zresztą, czyż mogłam myśleć o przyszłości w czarnych barwach?

Dom, praca, Riad

Yacine kończy dwuletnią służbę wojskową i podejmuje pracę w zakładzie, który proponuje mu wynajęcie mieszkania u prywatnego właściciela. Mieszkanie ma znaleźć sobie sam. Zaczynają się wędrówki po różnych agencjach mieszkaniowych. Po rozlicznych propozycjach decydujemy się zamieszkać na Koubie. Jest to dzielnica położona dosyć daleko od centrum, w tej niskiej partii Algieru. Nieciekawa, chaotyczna, niewysoka zabudowa, sprawiająca przygnębiające wrażenie. Ale na peryferiach są nowe bloki i okazałe wille pozostałe po Francuzach, którzy po uzyskaniu przez Algierię niepodległości wyjechali do ojczyzny, sprzedając za bezcen swoje rezydencje Algierczykom. Właśnie w ten sposób kupiła swój społeczny status rodzina Belaici.

Niech piekło pochłonie ten dzień, w którym los skierował mnie w ich progi i to na przeszło dziesięć lat! Przedstawiono mi tę rodzinę jako jedną z najbardziej pobożnych na Koubie - dzielnicy znanej z wyjątkowego zaangażowania religijnego mieszkańców. Jedni z najwierniejszych wyznawców islamu - taką mieli opinię. Islam kojarzył mi się zawsze z tolerancją i dobrocią, wydawał mi się religią, która odrzuca wszelkie formy gwałtu i przemocy, presji moralnej i politycznej. Wydawało mi się, że wynajęcie mieszkania u tych ludzi głęboko religijnych będzie dla nas dobrym rozwiązaniem, gdyż zapewni mnie, cudzoziemce, poczucie bezpieczeństwa. Tak właśnie wtedy myślałam! O święta naiwności!

Pora na przedstawienie tej rodziny, która odegra znamienną rolę w naszym życiu i w tej historii.

Głowa rodziny, pan Belaici to niski człeczyna o potężnej tuszy, jasnej cerze i rudawych włosach - z urody więc zupełnie nietypowy Algierczyk.

Zapisał się w mojej pamięci jako cichy, zgodny i dobry człowiek, niezwykle jednak zacofany i niewolniczo przywiązany do tradycji.

Jego żona, a nasza gospodyni, Zoubida Belaici, mogła mieć pięćdziesiąt lat w momencie, gdy ją poznałam. Była niewysoką i dość otyłą kobietą o śniadej cerze i owalnej twarzy. Długie, proste, kruczoczarne włosy nosiła spięte na karku. Szczyciła się tym, że odbyła pielgrzymkę do Mekki - stąd jej szacowny tytuł *hadja.* Bardzo starała się zrobić dobre wrażenie, chociaż wyglądała na megierę.

Najstarszy syn tej pary, Mohamed, był chudym, dwudziestoośmioletnim osobnikiem o chorobliwie bladej twarzy, rudawych włosach i długiej, rudej brodzie. Jego tępe, dzikie spojrzenie nie zachęcało do zawierania bliższej znajomości.

Dwie zamężne siostry Mohameda mieszkały, jak każe zwyczaj, u swoich teściów. Kolejne dzieci państwa Belaici to: siedemnasto-, a może dziewiętnastoletnie bliźniaki Nacer i Nacera, podobne do siebie i do matki jak dwie krople wody, szesnastoletni Dahmane, piętnastoletni Amine, trzynasto- lub czternastoletnia Karima i dwunastoletni Youcef. O ile Karima (wykapany ojciec) wydała mi się sympatyczna, o tyle rudowłosy Amine ze swoim bandyckim spojrzeniem i popsutymi zębami nie wzbudzał zaufania, podobnie zresztą jak najmłodszy Youcef, który już wtedy miał widoczne zadatki na chuligana.

Jedna z zamężnych córek Zoubidy miała pięcioro dzieci, w tym troje ciężko niedorozwiniętych umysłowo, co było skutkiem małżeństwa zawartego między bliskimi kuzynami. Wszystkie dzieci Zoubidy, oprócz Karimy, miały wykształcenie podstawowe lub niepełne podstawowe. Jedynie Karima dobrnęła do liceum.

Pamiętam pierwszą wizytę u Zoubidy. Byłam z Yacine, towarzyszył nam pracownik agencji mieszkaniowej. Zoubida rozpływała się w promiennym uśmiechu i niezwykłej gościnności. Były obecne wszystkie jej dzieci, które sprawiały wrażenie grzecznych i dobrze ułożonych. Dałam się na to wszystko nabrać - naiwna mieszkanka Europy, wychowana w wielkiej otwartości do ludzi. A przede wszystkim dałam się nabrać na to, co mówiła Zoubida. A mówiła rzeczy niezwykłe, roztaczając przed nami

rajską wizję zamieszkania w jej ogromnej willi. Obiecywała niebiański spokój, który zawsze będzie nam towarzyszył, respekt i ewentualną pomoc z ich strony. Będą dla nas drugą rodziną, gotową na wszystko. Zoubida pokazała nam cały dom oraz przygotowane do wynajęcia mieszkanie.

Sprawą niezwykle ważną dla przebiegu dalszych wydarzeń jest usytuowanie tej willi, a w niej naszego mieszkania. Willa miała dwa wejścia od dwóch różnych ulic, ponieważ znajdowała się zaraz za rozwidleniem głównej arterii na dwie drogi przebiegające na różnych poziomach. Stąd wejście, które prowadziło bezpośrednio do ogrodu i podwórka przed naszym mieszkaniem, miało schody, po których się schodziło, natomiast wejście od drugiej ulicy bezpośrednio na podwórko rodziny Belaici, a później do ich mieszkań zajmowanych na dwu piętrach nad nami, miało schody, po których się wchodziło. Tak więc nasze mieszkanie od strony wejścia do nas znajdowało się na parterze, natomiast od strony drugiego wejścia - na pierwszym piętrze. Mieszkanie było dosyć obszerne (trzy pokoje z kuchnią, łazienką i ubikacją), ale bardzo nieustawne, źle rozwiązane architektonicznie. Okna kuchni i jednego pokoju wychodziły na podwórko przed naszym wejściem. Okna salonu i drugiego pokoju wychodziły na podwórko rodziny Belaici. Przed naszym wejściem było małe, wykafelkowane podwórko. Za niewielkim, niespełna metrowym wzniesieniem rozciągał się mały ogródek, w którym była gliniasta gleba i nic nie chciało rosnąć. Za tym ogródkiem, na wysokości około dwóch metrów, rozciągał się drugi ogródek, przylegający bezpośrednio do muru, który oddzielał go od ulicy.

Dlaczego poświęcam tyle uwagi tym drobiazgom? Otóż te fakty będą miały duży wpływ na dalszy rozwój wydarzeń. Położenie naszego mieszkania sprawiało, że ktokolwiek by do nas przyszedł, musiał być zauważony przez sąsiadów z lewej strony lub przez ciągle obecną całą rodzinę Belaici, schody wejściowe bowiem były bardzo wyeksponowane. To również niesłychanie ważny fakt!

Yacine jako inżynier zarabiał w swoim zakładzie 3200 dinarów netto. Dokładnie 15 sierpnia 1979 roku mąż mój przyniósł w teczce 96 000 dinarów, które wręczył przy świadkach rodzinie Belaici. Oczywiście

sumę tę, za dwa lata z góry po 4000 dinarów miesięcznie, zapłacił jego zakład pracy. My wprowadziliśmy się 31 sierpnia 1979 roku.

W mieszkaniu nie było nic, żadnego mebla, nawet kuchenki gazowej. Puściuteńko. Trzeba było szybko pomyśleć o najniezbędniejszych sprzętach. Pamiętam, kupiliśmy w SNLB (państwowe zakłady meblowe) szafę trzydrzwiową, której w żaden sposób nie mogliśmy złożyć. Dopiero sprowadzona z tego zakładu ekipa (trzech rosłych mężczyzn) z trudem uporała się ze złożeniem tego mebla. Potem nabyliśmy metalowe podstawki, na nie materace z gąbki i były to nasze łóżka. Do salonu wstawiliśmy telewizor. Yacine kupił bardzo ładny komplet wypoczynkowy składający się z dwóch foteli jednoosobowych, jednego trzyosobowego oraz niskiej ławy. Zawiesiłam zielone firanki. Główną ścianę w salonie, od podłogi aż do sufitu, pokrywała tapeta przedstawiająca piękny palmowy las. Pokój sprawiał miłe wrażenie. Brakowało tylko zapachu tego palmowego lasu.

Szafa, telewizor, trzy łóżka, komplet wypoczynkowy, mała trzypalnikowa kuchenka gazowa, to wszystko, co stanowiło nasz wspólny start. Chociaż na ówczesne warunki 3200 dinarów to było dużo pieniędzy, jednak dla młodej rodziny, rozpoczynającej wspólne życie, nie było to fortuną.

Opory Yacine dotyczące mojej pracy zawodowej zaczęły maleć wobec ekonomicznych racji: „co dwie pensje, to nie jedna". Chociaż w Polsce zapewniał mnie, że oboje będziemy pracować zawodowo, widziałam jednak, jak trudno mu było podjąć decyzję z powodu presji otoczenia. W jego rodzinie i środowisku jednoznacznie potępiano kobietę pracującą zawodowo oraz mężczyznę, który jej na to pozwolił. Męska duma nie powinna do tego dopuścić. „Co to za mężczyzna, który nie potrafi zapewnić bytu rodzinie!" - słyszał często mój mąż. Zwyciężyły jednak racje ekonomiczne, zdrowy rozsądek i mój upór, z którym Yacine nie umiał sobie poradzić. Prawie zawsze osiągałam wytknięty cel. Tym razem było to podjęcie pracy zawodowej.

Skończyłam pierwszy rok kursu języka francuskiego i sądziłam, że dam sobie radę. Chociaż nauczanie podstawowe i w większości średnie

odbywało się po arabsku (na uczelniach przeważał język francuski), to w zakładach pracy obowiązywał wyłącznie język francuski.

* * *

Mam pracować w tym samym przedsiębiorstwie, co mój mąż, tylko w innej dyrekcji* i w innej dzielnicy. To Yacine znalazł mi tę pracę i on załatwia wszystkie wstępne formalności dotyczące mojego przyjęcia. Teść na wiadomość o tym, że moja praca zawodowa jest już faktem, dostał szału.

* Zakład S. posiada wiele oddziałów produkcyjnych na terenie całej Algierii. Centrala firmy mieści się w stolicy i obejmuje kilka bardzo dużych działów takich jak: Dział Informatyki, Dział Finansów. Dział Planowania itp.

- Takiego skandalu w mojej rodzinie jeszcze nie było, żeby kobieta pracowała zawodowo! - krzyczał. - Nie chcę cię znać, ty Europejko! Kogo ten nasz syn nam przywiózł?

Za plecami teściowa dawała mi znaki, żeby się nie odzywać, że jest po mojej stronie i że to ja mam rację.

- A co? To, że kobieta idzie do pracy, to jest skandal? Ale to, że pan jako mężczyzna wyciąga od Yacine co miesiąc jego pierwsze zarobione pieniądze, to nie jest skandal?! W moim kraju nigdy by pan się nie nazywał mężczyzną! - krzyczę moją łamaną francuszczyzną.

Teścia po prostu zatkało, zrozumiał. Rozmowa ta odbyła się na Casbah w ich mieszkaniu podczas którejś z moich kolejnych wizyt. Teść padł jak nieprzytomny na swoje posłanie, a ja szybko ulotniłam się. Na schodach dopadła mnie teściowa ze swoją sąsiadką, mówiącą po francusku. Teściowa mówi coś nerwowo, ale jest bardzo zadowolona. Sąsiadka tłumaczy:

- Anno, masz rację, nie daj się uzależnić od mężczyzny, jestem po twojej stronie, idź do pracy!

Moją odpowiedzią zraziłam sobie zupełnie teścia, zjednałam teściową. Po tym wypadku spotkaliśmy się wszyscy jeszcze jeden raz, u ciotki

Rachidy. Była jakaś dyskusja i wtedy moja teściowa wtrąciła grzecznie i cicho swoje zdanie. Teść wstał, podszedł do niej i pchnął ją tak, że zatoczyła się i o mało nie upadła na kamienną podłogę. Jak śmiała wyrazić swoje zdanie w jego obecności?! Nie wytrzymałam, podbiegłam do teścia, złapałam go za poły jego płaszcza i potrząsając nim zaczęłam krzyczeć:

- Jakim prawem traktuje pan tak swoją żonę?!

Nagle widzę, że jego ręka unosi się z zamiarem uderzenia mnie.

- No uderz, uderz, a oddam ci dziesięć razy! - krzyczę, cały czas potrząsając połami jego płaszcza.

Ta scena rozgrywa się na oczach całej, skamieniałej z wrażenia rodziny. Nikt nie jest w stanie zrobić najmniejszego gestu. Ja w końcu puszczam płaszcz teścia, jego ręka opada. Atmosfera grobowa. Ale po tym zajściu teść zaczyna się mnie po prostu bać. Co nie znaczy, że rezygnuje z wtrącania się w nasze sprawy. Ale nigdy nic nie osiąga. Dla mojej teściowej to ja staję się autorytetem w każdej sprawie. Jest to niejednokrotnie przyczyną mego zakłopotania. Pamiętam, jak po podjęciu pracy zawodowej dawałam jej w tajemnicy przed całą rodziną, łącznie z moim mężem, pieniądze na jej własne potrzeby i jak ona długo je oglądała, a następnie z wielką czcią wkładała za dekolt sukni. Tyle pieniędzy nikt nie dał jej przez całe życie, a już na pewno nie własny mąż.

* * *

15 września 1979 roku rozpoczynam pracę w Dziale Informatyki w jednym z największych zakładów Algieru - w S. Zostaję zatrudniona na stanowisku programisty, z pensją inżyniera. Zgodnie z ówczesnymi ogólnymi przepisami, otrzymuję jako cudzoziemka o 40% wynagrodzenia więcej niż obywatele algierscy, ale jestem na jednorocznym kontrakcie, bez żadnych praw.

W pracy - inni ludzie, inne środowisko. Dyrektor jest doskonale wykształconym fachowcem, a przy tym wygląda jak model z amerykańskiego lub francuskiego żurnala - niezwykle przystojny, świetnie ubrany. Pamiętam, że na rozmowę kwalifikacyjną przyszłam do niego z Sonią,

bo nie miałam jej gdzie zostawić. Sonia rozrabiała w gabinecie, ja nie mogłam się skupić, a ponieważ moja znajomość francuskiego nadal była słaba, dyrektor nie mógł się ze mną porozumieć.

- Nie szkodzi, nauczy się pani - stwierdził z uśmiechem. - Ażeby pływać, trzeba iść na głęboką wodę.

Dobre sobie! Informatyka to wcale nie jest mój zawód. Jestem inżynierem ekonomii przemysłu chemicznego, informatyka jest tylko moim hobby. A tymczasem w ośmioosobowym zespole, do którego mnie przydzielono - sami fachowcy, w tym jeden kooperant - ekspert z Belgii.

Moja współpraca z kolegami z zespołu układa się doskonale, bardzo mi pomagają. Muszę jednak włożyć ogromnie dużo wysiłku, ażeby pokonać wysoką poprzeczkę zawodową oraz barierę językową. Na dodatek dochodzi problem dojazdu do pracy w pierwszym roku. To jest niewyobrażalny koszmar.

Dzielnica Kouba położona jest daleko od śródmieścia, w którym znajduje się mój zakład. Dojazd jedynie do Place du 1-er Mai*, a potem kilka kilometrów piechotą i to po schodach do góry, do góry... Ale żeby do tego placu dojechać, wstaję o 5^{30}. Wychodzę około 6^{15} z domu. Na przystanek na Koubę mam dosyć daleko, dobre 15 minut marszu. Niestety, do autobusu udaje mi się wsiąść nieraz po dwóch, trzech godzinach czekania, w najlepszym wypadku - po pół godzinie. Albo przyjeżdżają już zatłoczone do granic wytrzymałości, albo tłum wsiadających, rozpychających się mężczyzn jest tak ogromny, że nie udaje mi się dostać do środka. W końcu jakoś wsiadam. Ale i tak jazda jest koszmarem. W tłoku między mężczyznami jestem ściśnięta jak sardynka w puszce. Zwykle podróż kończy się awanturą, codziennie bowiem jestem w autobusie obmacywana. Do pracy przychodzę nieraz i z dwugodzinnym opóźnieniem, bezsilna z wściekłości po autobusowych „pieszczotach". Dobrze, że w zakładzie prawie wszyscy mają podobne problemy z przyjazdem na czas, nie jestem więc wyjątkiem, nikt się do tego nie przyczepia. Nie ma listy obecności dla inżynierów, co dla mnie jest rzeczą zdumiewającą.

* Plac 1. Maja.

- Jak to nie ma listy obecności? - pytam kierownika.

- Moja pani - odpowiedział mi - będzie pani rozliczana z wykonywanej pracy, a nie z odsiadywanych godzin. Poza tym my mamy zaufanie do inżynierów i wiemy, że o ile nie ma go w pracy, to znaczy, że rzeczywiście nie mógł przyjść, więc gdzie jest problem?

Ja mimo wszystko nie mogę w to uwierzyć, mam jeszcze przed oczami kadrowca z mojego polskiego zakładu, do którego dojeżdżałam tramwajem i to niezły kawałek drogi. Zdarzało mi się nieraz spóźnić do pracy, ale nigdy więcej niż 5 minut. Jednak każde moje spóźnienie było skrzętnie odnotowywane przez niego i przekazywane dyrektorowi naczelnemu, który pewnego razu wezwał mnie i oświadczył:

- Mam dla pani propozycję. Jeżeli już ma pani zamiar spóźnić się, to niech się pani spóźnia godzinę, dwie, tak jak koledzy, a nie jedną lub dwie minuty, bo i tak usłyszy pani ode mnie takie samo kazanie.

W Algierii zaczynam pracę o godz. 8^{00}, kończę o 17^{00} (mam przerwę na obiad). Potem czeka mnie około 25 minut marszu (z góry szybciej) na Place du 1-er Mai i znowu koszmarny powrót do domu. Z tym że podczas powrotu regułą jest co najmniej dwugodzinne czekanie, ponieważ nie można wepchać się do autobusu. Przyjeżdżam do domu często o godzinie 20^{00}. Dojazdy taksówkami nie wchodzą w grę nie ze względu na cenę. Są one po prostu nieuchwytne, bo jest ich niewiele. Kiedyś mama, będąca u mnie na wakacjach, odbyła ze mną taką jazdę do zakładu pracy rano i wieczorem.

- Dziecko, za żadne pieniądze nie chciałabym się tak męczyć! - stwierdziła. - To koszmar - i popłakała się.

Ta zmora z dojazdami trwała rok. Jego wynikiem są nawracające do dziś uporczywe bóle kręgosłupa. Kiedyś, nie mając jeszcze wyobrażenia o pogodzie, wybrałam się wczesną wiosną do zakładu w cienkiej, wydekoltowanej na plecach bluzce. Temperatura po południu zmieniła się, rozszalała się wichura i ulewa. Nie tylko nie mogłam wejść do autobusu, ale także o złapaniu taksówki mogłam tylko pomarzyć. Przyszłam na Koubę na piechotę późno w nocy kompletnie przemoknięta i zmarznięta. Od tego czasu mój kręgosłup często mi o sobie przypomina.

Sonią zajęła się Madina - siostra mojego męża: schizofreniczka i leniuch, który najchętniej przespałby cały dzień. Wracając do domu, napotykałam jej złe spojrzenie. Chociaż zdarzały się momenty, że mobilizowała się do pracy po jakiejś mojej cierpkiej uwadze lub awanturze, to jednak najczęściej ograniczała się do mycia kafelkowych posadzek - zawsze rano po śniadaniu. Był to święty punkt jej codziennych zajęć. Wszystko, co znajdowało się na podłodze, ustawiała na meblach, a następnie zlewała całą podłogę wodą i specjalnie skonstruowaną szczotką zbierała ją. Od tych codziennych porządków czuć było w domu wilgoć, od posadzek ciągnęło.

W przeciwieństwie do hotelu mieszkanie nie miało centralnego ogrzewania i pierwsza w nim zima była dla mnie przeżyciem nie do opisania. Pomimo dodatnich temperatur na zewnątrz, z powodu dużej wilgotności powietrza i poczynań naszej Madiny mieszkanie tchnęło chłodem lodówki i to zawilgoconej. Miałam wrażenie, że lodowate igły przeszywają mnie na wylot. Nic dziwnego, że nawet karaluchy pouciekały. Tymczasem Madina wcale nie skarżyła się na zimno, chodziła w ubiorach z krótkim rękawem i na bosaka(!) lub w ostateczności w plastikowych łapciach, pomimo że nogi miała fioletowe z zimna. Tak była przyzwyczajona, jak większość algierskich dzieci, już od najmłodszych lat biegających bez odpowiedniego obuwia po zimnych, kafelkowych bądź cementowych podłogach.

Yacine od samego początku zaczął mi stwarzać problemy w zakładzie pracy. Przede wszystkim na początku zjawił się w dyrekcji z żądaniem, ażeby cała moja pensja była przekazywana na jego konto (płacono nam przelewem na konta pocztowe - CCP*). Oczywiście, dyrekcja odmówiła. Następnie kilkakrotnie zrobił awanturę w zakładzie żądając zwolnienia mnie. Powód - za późno wracam do domu, chyba mam w pracy jakiegoś kochanka. Dyrektor wysłał mojego męża do diabła, nie wdając się z nim w dalszą dyskusję. Niemniej zaczęto się dziwić, jak mogę żyć z takim awanturnikiem. Zaczęłam się po prostu wstydzić.

* *Carnet Cheques Postaux.*

Po roku zakład zorganizował przewóz pracowników. Uciążliwość dojazdów ustąpiła, jednak ze względu na miejskie korki wyjazd z Kouby odbywał się o 6^{45}, a przyjeżdżałam o 18^{45}, co wraz z dojściem do domu dawało godzinę 19^{00}.

Na Madinę nie mogłam już patrzeć. Nie cierpiałam jej okropnego zachowania, wiecznie niezadowolonej miny, złego, zawistnego spojrzenia, chociaż, trzeba przyznać, w końcu zaczęła zajmować się nie tylko myciem podłóg, ale wieloma innymi rzeczami, odciążając mnie od rozlicznych domowych obowiązków. Nauczyła mnie również przyrządzania wielu algierskich potraw.

* * *

Rodzina Belaici żeni najstarszego syna - Mohameda. Na przyjęciu weselnym, organizowanym w willi Belaici, mężczyźni bawią się w domu w swoim gronie, kobiety - w swoim i to na naszym podwórku, pod oknami (nikt nas nie pytał o zgodę!). Dzieciaki zmasakrowały i zadeptały ogródek, który pięknie wypielęgnowałam i do którego przyniosłam ziemię z pobliskiego lasku. Posadziłam też tulipany, które już zakwitły. Teraz jest tu pobojowisko.

To arabskie wesele, na którym kobiety, oddzielone od mężczyzn, tańczyły arabski taniec brzucha, kończy się bijatyką i awanturą pomiędzy mężczyznami. Któryś z nich popatrzył na cudzą żonę, dopuścił się więc ogromnego przewinienia, naraził na szwank reputację tej kobiety, za którą ujął się jej mąż.

Mam wrażenie, że oglądam film o życiu na innej planecie.

Od tego wesela w domu Belaici pojawiła się Malika, ogromnie chuda, wysoka osiemnastoletnia dziewczyna o bladej, jasnej cerze i cienkich, ciemnych włosach, z przyklejonym do twarzy uśmiechem. Wykonuje tu wszystkie najgorsze prace. Myje codziennie wszystkie pokoje oraz schody w ich dwupiętrowej willi. Pierze ręcznie ubiory całej rodziny. Zoubida, ociężała przez swoją tuszę, przechadza się od rana do nocy, dyrygując, rozkazując lub przesiadując na podwórku. Ma w końcu swoją niewolnicę! Nie po to urodziła pięciu synów, ażeby teraz nie czuć się

królową w swoim państwie. Wszak to synowie są jej dumą i siłą w tym kraju. Wkrótce po ślubie Malika zachodzi w ciążę. Ponieważ okna moich dwóch pokoi wychodzą na podwórko Belaici, często przyglądam się z temu małżeństwu, zaaranżowanemu w pobliskiej kawiarni przez ojców młodych małżonków, bez udziału zainteresowanych. Mohamed pracuje na zmianę z ojcem, zarabiają jako taksówkarze, mają swój samochód. Cała konwersacja pomiędzy Mohamedem i jego żoną ogranicza się do takiej wymiany zdań po jego powrocie z pracy:

- Napijesz się kawy? - pyta żona.
- Napiję się - odpowiada mąż.

Wymiany myśli, poglądów - nie ma. Nigdy nie widziałam uśmiechu na twarzy Mohameda. Duma matki. Pierworodny syn. Nigdy nie zostanie przecięta pępowina między nim a matką. Jak zresztą u większości Algierczyków, silnie związanych uczuciowo właśnie z matką, dla której są nieraz jedyną podporą. Matki są ogromnie zaborcze w stosunku do synów, a ponieważ już do tradycji należy, że kobieta przychodzi mieszkać do mężczyzny, ten układ matka-syn nieprędko zostanie zmieniony.

Madina i Malika szybko znajdują wspólny język. Często, gdy wracam z pracy, zastaję je na podwórku zajęte dyskusją. Chociaż obie w stosunku do mnie zachowują się poprawnie, czuję na sobie ich złe spojrzenia. Dlaczego mnie tak nienawidzą? Myślę, że powodów jest kilka, a najważniejszy z nich to ten, że jestem niezależna i Yacine nie zdołał mnie sobie podporządkować.

Atmosfera w naszym domu jest ciężka, ołowiana i to za sprawą charakteru i zachowania Madiny. Nawet nasz kot nie cierpi tej dziewczyny i gdy ich drogi się przetną, syczy na Madinę i zachowuje się tak, jak gdyby miał ją za chwilę zaatakować. Wreszcie Madina stawia sprawę jasno: albo ja, albo ten kot. Wybieram kota, chociaż robi mi się niedobrze na myśl, jakich obowiązków sobie dokładam i na co skazuję Sonię.

Yacine musi rozwiązać sprawę opieki dla córki. Załatwia miejsce w zakładowym przedszkolu, które mieści się na Ben Aknoun, w odległej od zakładu pracy dzielnicy. Idę je zobaczyć. Ładnie położone w parku,

czyste. Ale ogromnie dużo dzieci, które, tak jak oceniłam na pierwszy rzut oka, pochodzą z bardzo biednych rodzin. Jest jako taka opieka pedagogiczna, ale marne wyżywienie. A przecież są to małe dzieci.

Zaczyna się dla mnie i dla Soni nowy rozdział w życiu. Budzę córkę codziennie przed godziną szóstą, ażeby zdążyć na autobus zakładowy. Dojazd zabiera nam około 40-50 minut. W zakładzie jesteśmy przed godziną ósmą. Piętnaście minut później inny autobus zabiera dzieci spod zakładu pracy i wiezie je do przedszkola jeszcze chyba z 20 minut. Wieczorem wszystko odbywa się w odwrotnym kierunku. Autobus przywozi dzieci przed godziną 17^{00}, aby rodzice mogli skorzystać z transportu zakładowego. Tak więc Sonia spędza poza domem 13 godzin dziennie, w tym około 3 godziny w podróży. Dla dziecka, które nie ukończyło jeszcze pięciu lat, skandalicznie za dużo. Zauważyłam, że zaczyna mieć sińce pod oczami, chudnie. Muszę zmienić taktykę. Wstaję o piątej rano, przygotowuję w termosie picie i porządne śniadanie, które usiłuję wcisnąć Soni w czasie jazdy lub pod zakładem pracy. Odbierając ją po południu muszę mieć dla niej przygotowane jedzenie na drogę powrotną - zawsze jakieś porządne mięso lub kawałek kurczaka. Często na Koubie córka nie chce iść na piechotę do domu. Jest to w końcu jeszcze kawał drogi, dziecko jest zmęczone. Muszę je nieść.

A Yacine? Nie ma tych problemów z transportem, jego miejsce pracy znajduje się niedaleko domu, może dojść na piechotę. Wychodzi z domu później, wieczorem jest dużo wcześniej ode mnie. Niestety, wcale nie kwapi się z jakąkolwiek pomocą. Telewizja, gazeta. A mnie dopiero teraz czeka właściwa praca. Gotowanie, sprzątanie, pranie. Padam ze zmęczenia. Ileż właściwie można zrobić od godziny 19^{00} do 22^{00}? Wszystkie obowiązki muszę zmieścić w tych trzech godzinach. Dochodzi między nami do częstych awantur. Żądam od niego pomocy w domu.

- Chciałaś iść do pracy, to się męcz! - słyszę coraz częściej.

A w nocy prawdziwy koszmar. Wtedy jeszcze nie zdawałam sobie sprawy, że jego nadpobudliwość to wynik rozwijającej się choroby psychicznej. Skąd mogłam o tym wszystkim wiedzieć? Jakieś złe przeczucie,

które miałam już wcześniej w Polsce, nie dawało mi podświadomie spokoju, ale starałam się je zagłuszać. Byłam młoda, wierzyłam, że sobie poradzę, miałam bardzo przyjazne nastawienie do Algierii i jej mieszkańców. Nie miałam żadnego rozeznania w problemach społeczeństwa, w którym przyszło mi żyć. Ciągle z dziecinną naiwnością spoglądałam na świat. Byłam pełna dobrej woli, przymykałam oczy na dziwne zachowanie Yacine, często puszczałam mimo uszu jego krzywdzące słowa, ciągle bowiem byłam pewna, że wystarczą dobre chęci z mojej strony, ażeby zmienić zachowanie męża. Czyż musiałam wiedzieć, że psychopatia to genetyczny błąd, który wypłynie w sprzyjających warunkach i żadne dobre chęci tu nie pomogą? Nie wiedziałam tego wszystkiego, a dni płynęły bardzo szybko, zmierzając ku katastrofie.

* * *

Żona Mohameda, Malika, rodzi córkę Soumiyę. Zaraz po porodzie przystępuje do codziennych rytuałów - mycia i sprzątania całego domu, gotowania dla całej rodziny, ręcznego opierania pięciu dorosłych mężczyzn, którzy palcem nie kiwną przy domowych pracach. Nie mogąc patrzeć na stertę układanych codziennie przez Malikę brudnych rzeczy do prania na tarce, zaczepiam kiedyś jej męża i pytam go, dlaczego nie kupi żonie pralki automatycznej. Właśnie w tym czasie pojawiły się one na algierskim rynku po śmiesznie niskich cenach. W odpowiedzi otrzymuję złe, wrogie spojrzenie. Aż do momentu opuszczenia przeze mnie domu Belaici Malika nie miała pralki.

Karima, siostra Mohameda, uczęszczała do liceum. Niestety, doniesiono ojcu, że widziano ją w szkole rozmawiającą z chłopakiem. Ojciec zakazał jej chodzenia do szkoły i zamknął w domu. Nie miała prawa nawet wyglądać przez okno. Została wydana za mąż za pierwszego lepszego, który poprosił o jej rękę, bez pytania jej o zgodę.

Mohamed wraz z ojcem - jak już wspominałam zarabiają jako taksówkarze. Co robi reszta już prawie dorosłych mężczyzn tej rodziny,

oprócz najmłodszego Youcefa, który jest jeszcze w szkole podstawowej? Nacer, Dahmane, Amine - bezrobotni, zajmują się chyba jakimiś ciemnymi machlojkami, wielokrotnie bowiem dzwonią do naszych drzwi, przez pomyłkę, jacyś ludzie, którym są winni pieniądze. Jedynie ojciec tej rodziny, człowiek dobry i zgodny, ale o wstecznych poglądach, wydaje się mieć jakieś zasady moralne. Nie jest jednak w stanie wszystkiego kontrolować. Wreszcie, wyczerpany i pracą zawodową, i narastającymi problemami, w sile wieku umiera za kierownicą na zawał serca.

Trupa przywożą do domu. Po raz pierwszy w tym kraju mam bliski kontakt ze śmiercią. Zoubida bije głową o podłogę i krzyczy w jakimś szale, wyrywając sobie włosy z głowy. Kobiety płaczą przenikliwie, mężczyźni całą noc czytają na głos Koran. Już następnego dnia rano zmarły zostaje przewieziony na cmentarz. Kobiety nie uczestniczą w pogrzebie. Zmarłego grzebie się bez trumny, zawiniętego jedynie w białe prześcieradło. Wcześniej, jeszcze w domu, zostaje umyty i nagi zawinięty w to białe płótno.

Patrzę na metamorfozę Zoubidy. Jeszcze wczoraj w szaleństwie biła głową o podłogę, a dzisiaj po południu, kiedy cała rodzina zmarłego rozjechała się do domów, ma całkiem normalną (żeby nie powiedzieć: promienną) minę, która nie wyraża ani bólu, ani rozpaczy. Pewnie. Kimże był dla niej mąż? Człowiekiem, którego kochała i wyszła za niego z wielkiej miłości? Na pewno nie. Jej małżeństwo, jak wiele innych algierskich związków, zostało zaaranżowane przez rodziców, a Zoubida powielała w nim wzorce swoich przodków, gdzie rola kobiety w małżeństwie sprowadzała się do okazywania posłuszeństwa temu, którego jej wybrano, rodzenia dzieci, wychowywania ich (trudno odnieść to słowo do synów Zoubidy) oraz do zajmowania się domem. Miłość? Ile algierskich kobiet zna sens tego słowa? Trudno się też dziwić, że na drugi dzień po śmierci męża na twarzy Zoubidy nie było żadnego bólu.

Dla mnie sytuacja ta była nie do przyjęcia. W Polsce ludzie pobierają się przeważnie z miłości i w małżeństwie obowiązuje zwykle układ partnerski. Kobiety latami trwają w bólu, rozpamiętując stratę małżonka i długo nie mogą powrócić do równowagi psychicznej. Zoubidzie

wystarczyło 24 godziny na dojście do całkowitej równowagi. Śmierć męża przywróciła jej „wolność". Przedtem musiała się całkowicie podporządkować jego woli. Teraz, kiedy umarł, ona przejęła całkowitą władzę w domu, dumnie otoczona swoimi pięcioma synami! Aż pięcioma! Nieważne, kim są, jak ich wychowała i na kogo wyrosną. Siła Zoubidy leży w liczbie posiadanych synów. Całymi dniami krąży po domu doglądając, czy Malika właściwie wypełnia służbę niewolnicy. Teraz taksówką jeździ Mohamed i Nacer, którzy oddają matce wszystkie zarobione pieniądze. To Zoubida decyduje o najmniejszych nawet wydatkach swojego przeszło trzydziestoletniego żonatego syna!

Coraz bardziej niechętnym wzrokiem rodzina Belaici patrzy na moje poczynania, na to, że mam decydujący głos w większości spraw, na moją pracę zawodową. Nie wtrącają się jednak, bojąc się, że stracą złotą żyłę. Nie ma spokoju w tym domu. Prawie codziennie, a już obowiązkowo w każdy czwartek i piątek, dom Zoubidy zapełnia się bliższą i dalszą rodziną. Liczę tylko dzieci - na podwórku jest ich około trzydzieściorga. Wrzask, bijatyki. Przychodzą pod nasze okna. Nie można się od nich opędzić, kradną wszystko, co wpadnie im w ręce. Zadeptują nasz ogródek. Nie mam żadnego odpoczynku po całym tygodniu pracy. Gdzie jest ta cisza i spokój, który mieliśmy znaleźć pod ich dachem? Gdzie ten respekt, o którym mnie tak solennie zapewniała Zoubida? Jest to jedno wielkie kłamstwo!

Patrzę na te rodzinne spotkania. Kobiety zbierają się razem na podwórku, siadając byle gdzie. Smętne, postarzałe przedwcześnie twarze. Prawie nigdy ze sobą nie rozmawiają. Ich bezmyślne oczy błądzą gdzieś, nieobecne. Dzieci, pozostawione same sobie, biją się nawzajem, niszczą wszystko, co wpadnie im w ręce. Nikt nie reaguje. Z ust tych dzieci padają liczne arabskie przekleństwa, które już w tym czasie rozumiem, a które nikomu nie przeszkadzają, żadna z dorosłych osób nie reaguje. Wszyscy niecierpliwie oczekują godziny 16^{00}, kiedy zasiądą do rytualnego picia kawy z mlekiem, do której podaje się domowy chleb - *khobz*. Robi go codziennie dla całej rodziny żona Mohameda. *Khobz* wypieka się z semuliny na specjalnych gazowych, okrągłych, niskich piecykach. Oczywiście, mężczyźni w czasie tych domowych zjazdów nie przebywają

razem z kobietami, pomimo że jest to przecież rodzina. Są oni najczęściej zgromadzeni w salonie, gdzie spędzają cały dzień na dyskusji, o czym - nie wiem. Obraz ten, niezmienny przez dziesięć lat mieszkania u Belaici, jest niezwykle smutny i wręcz tragiczny.

Moja praca zawodowa, okupiona niezmiernym wysiłkiem i licznymi wyrzeczeniami, przynosi wymierne korzyści. Zarabiam przeszło 4000 dinarów miesięcznie, podczas gdy wysokiej klasy pralka automatyczna kosztuje 3200 dinarów. W drugim roku pracy kupuję tę pralkę, dużą lodówkę, telewizor kolorowy oraz komplet ekskluzywnych, stylowych mebli do salonu za 15000 dinarów. Do drugiego pokoju zamawiam w prywatnym zakładzie stolarskim komplet mebli, który ma być wykonany według mojego projektu. Yacine kupuje samochód. Niestety, używany, a ponieważ zupełnie nie zna się na samochodach, ktoś sprzedaje mu grata, w którego będzie ładował wszystkie swoje oszczędności.

* * *

Mija dwa lata mojej pracy zawodowej. Sonia idzie do pierwszej klasy szkoły podstawowej. Moje małżeństwo psuje się od wewnątrz. Chcę coś ratować, sama nie wiem, co. Decyduję się na urodzenie drugiego dziecka. Zupełnie świadomie. Jeżeli urodzę syna, może Yacine się opamięta, zmieni swoje postępowanie, przestanie być taki agresywny, oschły. Chcę dać mu syna, tak jak nakazuje arabska tradycja, nie zdając sobie sprawy z tego, w co się pakuję.

Jestem w ciąży! W drugim miesiącu łapię jakąś chorobę. Lekarze, lekarze... Ogromna ilość przyjętych antybiotyków. I wyrok wydany przez miejscowego specjalistę - ciążę trzeba usunąć, dziecko może mieć wadę wrodzoną.

Usunąć? Gdzie? W Algierii jest to surowo zabronione. Jechać do Polski? Jest już koniec trzeciego miesiąca. Yacine milczy, ja nie mogę podjąć żadnej decyzji, nie jestem w stanie. Zresztą nie po to zdecydowałam

się na drugie dziecko, aby teraz go nie urodzić. Jest to również sprzeczne z moimi zasadami moralnymi. Czuję się potwornie, psychicznie i fizycznie. Nie mam żadnego lekarza prowadzącego ani nawet książeczki zdrowia, nic. Sonia urodziła się w Polsce. Opiekowała się mną wspaniała pani doktor. Począwszy od drugiej wizyty nie byłam badana ginekologiczne, ale za to kierowano mnie na masę różnych analiz, badano mój ciężar oraz ciśnienie. A w Algierii była to moja pierwsza ciąża. I od początku szok.

Ze względu na chorobę musiałam zgłaszać się do kontroli co tydzień. I co tydzień - badanie ginekologiczne, tylko i wyłącznie, żadnych innych. Po tych cotygodniowych badaniach zaczyna mnie boleć brzuch, pojawiają się krwawienia. Czuję, że to wszystko może skończyć się poronieniem, a podświadomie bardzo pragnę tego dziecka. Podczas kolejnej wizyty u „mojego" ginekologa pytam się, czemu mają służyć te badania, dlaczego do tej pory nie skierował mnie na żadne analizy. Pan „lekarz" milczy i każe mi wchodzić na fotel. Odmawiam. Zostaję więc wyrzucona z gabinetu.

Dalsze miesiące ciąży pozostawione są *à la nature,* nie jestem prowadzona przez żadnego lekarza, nie robię żadnych badań. Nic. Czuję wstręt do świata medycyny w tym kraju, uraz do wszystkiego. Pozostaje problem - gdzie rodzić? Na Yacine nie mogę liczyć w żadnym wypadku, coraz bardziej przekonuję się o jego niezaradności życiowej, braku operatywności i jakichkolwiek znajomości. Rozmawiam na ten temat w pracy z koleżankami.

- Idź do szpitala - mówią mi - bo w prywatnych lecznicach położniczych czysto i jedzenie dobre, ale brak wyposażenia, no i nie zawsze jest lekarz.

Zaczynają się bóle porodowe. Yacine odwozi mnie do najbliższego szpitala, drugiego co do wielkości w stolicy - Parnet. Po jakichś wielkich, papierkowych przepychankach każą mi iść na oddział ginekologiczny. To, co widzę, jest straszne. W korytarzach na jednym wózku (nie łóżku) leżą po dwie zakrwawione po porodach kobiety, bez prześcieradeł. Gabinet lekarski, w którym się znalazłam, okropnie brudny.

- Proszę, niech pani wejdzie na fotel - słyszę od grubej, ubranej w biały (kiedyś!) fartuch kobiety.

Myślałam, że jest to lekarz. Ale gdzie tam! Była to położna. Patrzę na wskazany mi fotel. Cały zakrwawiony, pod fotelem pełno czegoś, co przypomina resztki po poronieniu. Jestem w jasnej sukience, jest gorąco, pełnia lata, początek sierpnia. Ja mam na to wejść?

- Nie macie tu nawet szmaty, ażeby doprowadzić ten fotel do porządku? - protestuję.

Po długiej naradzie jakieś panie z personelu szpitalnego wycierają fotel i posadzkę, rzucając w moją stronę niechętne i złe spojrzenia. Położna zaczyna badanie ginekologiczne, jestem miętoszona na wszystkie strony, czuję straszny ból. W końcu złowrogim pomrukiem informuje mnie, że rozwarcie na dwa palce i jak chcę, to mogę tu zostać.

- Nigdy! - odpowiadam, biorę swój ogromny neseser i czym prędzej wychodzę.

Tak, jestem z ogromnym neseserem, koleżanki Algierki bowiem poinformowały mnie, że mam zabrać ze sobą wszystko - ubranie i koszulę na zmianę dla siebie, całą wyprawkę dla noworodka, pieluchy, watę, kocyk dla dziecka itp., ponieważ w szpitalu nie dają niczego - rodząca musi mieć wszystko swoje, a po urodzeniu musi sama zajmować się dzieckiem.

Na korytarzu czeka Yacine.

- No i co?

- No i nic! - krzyczę. - Nie zostanę tu za żadne pieniądze! Rób sobie ze mną, co chcesz!

- O Boże, o Boże, co ja teraz z tobą zrobię? - jęczy przerażony tą sytuacją Yacine. - Co ja zrobię, co ja zrobię? - powtarza bezmyślnie.

Ciągnę ten swój neseser, byle dalej od tego miejsca „ulgi"! Prawie biegnę, a za mną przerażony Yacine. Uff! Jestem wreszcie na ulicy. Jest chyba godzina 6^{00} rano. Cisza, ludzi prawie nie ma. Siadam na przydrożnym kamieniu. Bóle mi minęły. Nic nie wskazuje na to, że będę rodziła. Nastąpiła całkowita blokada psychiczna. Tak zaczął się mój bliski kontakt z algierską służbą zdrowia.

- Co ja z tobą zrobię, co ja z tobą zrobię... - powtarza w kółko Yacine, zupełnie zdezorientowany, niezdolny podjąć żadnej decyzji.

- Rób sobie, co chcesz, ale ja w tym szpitalu rodzić nie będę! - krzyczę do niego.

Zaczyna się awantura na ulicy. Tymczasem słyszę, że ktoś nas woła.

- *Madame, madame!* - słyszę za moimi plecami. Widzę ubraną w biały fartuch kobietę, która wybiegła ze szpitala.

- *Madame,* widziałam panią w szpitalu i słyszałam pani rozmowę z położną - mówi. - Niech pani idzie rodzić do lecznicy położniczej niedaleko szpitala. Jest to lecznica państwowa, która należy do szpitala, mają telefon i w razie komplikacji wzywają lekarza. Jest tam czysto.

Biorę adres. Dziękuję. Udaje się nam złapać taksówkę; dojeżdżamy do małej willi, która nie wygląda na obiekt szpitalny. Cisza. Nie ma żadnej izby przyjęć, czekam na korytarzu, nikt się nie zjawia. Wreszcie przychodzi stróż. Yacine wyjaśnia, że przyszłam rodzić. Stróż znika na długą chwilę, aby powrócić z położną (chyba). Kobieta prowadzi mnie na I piętro wprost do małej salki, w której są dwa duże łóżka i dwa malutkie - dziecinne.

- No i jak tam, są bóle? - pyta się grzecznie.

- Nie ma - oświadczam czekając na odpowiedź, że skoro nie ma, to po co tutaj przyszłam. Okazuje się, że moja rozmówczyni niczemu się nie dziwi. Jest kobietą około pięćdziesiątki, cudzoziemką pracującą na kontrakcie, Bułgarką. Mam szczęście. Wyciągam jakiś zwitek pieniędzy, nie pamiętam już ile, wciskam jej w rękę i błagam, żeby mnie wyciągnęła z tego algierskiego porodowego koszmaru. Wiem, że jest to jedyna droga do uratowania życia sobie i dziecku. Mam ogromne szczęście, że zastałam tę Bułgarkę i że klinika jest pusta, rodzących nie ma chyba wcale. Kto zdecyduje się na poród w państwowej klinice? Jeżeli już coś państwowego to ewentualnie szpital, ale nie klinika.

Jest ósma rano. Zaczyna się. Bułgarką próbuje różnych metod w celu wywołania bólów porodowych. Nic. Jestem zablokowana. Widząc, że żadne wypróbowane metody nie dają rezultatu, a jest już późne popołudnie, zaczyna ze mną rozmowę:

- Jeżeli nie urodzisz, i to przy mnie, może się to skończyć tragicznie **dla** ciebie i dziecka. Kończę dyżur o szóstej wieczorem. A co potem?

Pamiętaj, że nie masz wyjścia, przecież nie zostawisz tego dziecka w swoim łonie na całe życie.

I tak dalej, i tak dalej... Zastrzyki. Masaże. Nic. Bierze mnie na salę porodową, ale ja przecież nie mam bólów! Patrzę na zegarek. Jest godzina ósma wieczorem. Nie wiem, co dostałam do picia i jaki tym razem zastrzyk mi dano. Leżę na łóżku porodowym. Położna trzyma ręce na moim brzuchu, stojąc nade mną. Patrzy uważnie na moją twarz, która w pewnym momencie wykrzywia się spazmatycznie. Czuję tak przeraźliwy ból, że jedyną myślą, która przebiega przez moją głowę jest: „To już koniec". W tym momencie położna wraz ze swoją pomocnicą cisną mój brzuch. Wydaje mi się, że umieram. Nagle czuję, że coś się stało, jest mi lżej. Popłoch, panika. Urodziłam, ale dziecko nie krzyczy. Jest mi wszystko jedno. Po dłuższej chwili rozlega się krzyk dziecka. Uszczęśliwiona położna woła do mnie:

- Ma pani syna, dorodne prawie czterokilowe chłopisko!

Mój neseser idzie w ruch. Dziecko jest ubrane w to, co przyniosłam, owinięte w mój koc. Wydaje mi się bardzo duże. Ma uśmiech na twarzy.

Teraz następuje szycie. Jestem ogromnie porozrywana. Zabieg wykonuje ta sama położna. Ale jest mi wszystko jedno, najważniejsze, że mam to już za sobą. Na wózku zawożą mnie do tej samej sali, w której byłam cały dzień, mały Riad zostaje razem ze mną.

- Niech pani da numer telefonu do męża - mówi położna. - Powiadomię go.

W naszym mieszkaniu nie ma telefonu, podaję więc numer telefonu Zoubidy.

Leżę w tym pokoju i myślę sobie, co dalej. Czuję się podle, wszystko mnie boli, nie mogę się ruszać. Na korytarzu pustka, nie ma żywego ducha. Położna poszła już do domu. A gdyby mi się teraz coś stało, gdyby nastąpił krwotok czy coś w tym rodzaju, kto udzieli mi jakiejś pomocy? Powierzam wszystko opatrzności boskiej.

Za godzinę przybiega Yacine z termosem ciepłej wody i z mlekiem w proszku. Wlepia oczy w Riada. Ma syna! Co za duma! W stosunku do mnie - żadnego gestu czy czułego słowa. Nic. Czuję się jak mebel, który

spełnił swoją funkcję użytkową i jest już niepotrzebny. Yacine zabiera się do przygotowywania mleka dla syna.

- Idioto, przynajmniej tyle mogłeś się podszkolić! - nie wytrzymuję. - Gdzie ty widziałeś, aby godzinę po porodzie dawać noworodkowi mleko butelkowe?

Yacine kręci się, przeszkadza, ciągle coś wymyśla dla małego. Wreszcie nie wytrzymuję i każę mu się wynosić do domu. Jest godzina 22^{00}. Zostawiam zapalone światło, po jego bowiem zagaszeniu słyszę roje wyłażących na zewnątrz karaluchów.

Mały Riad zaczyna wiercić się niespokojnie w swoim łóżeczku. Nagłe słyszę głos duszącego się dziecka. Patrzę na syna. Usta ma szeroko rozwarte, łyka bez przerwy ślinę, dusi się, nie może złapać powietrza. Wstaję z łóżka, biorę dziecko na ręce i trzymam w pozycji pionowej. Duszności mijają. Jednak każda próba poziomego ułożenia powoduje u syna objawy duszenia się. Co robić?? Trzymam dziecko na rękach, wychodzę na korytarz, ale nigdzie nie ma żywej duszy. Schodzę na parter. Są tylko jakieś dwie kobiety. Nie wiem, czy są to pacjentki, czy personel. Nie możemy się porozumieć. One nie znają francuskiego, a ja arabskiego.

Wracam do mojej sali. Czuję straszny ból w dole brzucha, mam parcie na pęcherz. Nie mogę znaleźć ubikacji. Zresztą, jak mam się załatwić, skoro nie mogę w ogóle przyjąć pozycji siedzącej? Poza tym nawet na sekundę nie spuszczam z oczu syna, który zaczyna się coraz bardziej dusić przy każdorazowej próbie ułożenia go w pozycji poziomej. Nagle czuję, że coś cieknie mi po nogach. „O Boże, to krwotok!" - przebiega mi przez myśl. Na szczęście to mocz. Trzeba by to sprzątnąć. Ale czym? Wyciągam dwie pieluchy dziecka i w dziwnej pozycji, trzymając w jednej ręce syna, usiłuję wytrzeć podłogę. Udaje mi się to z wielkim trudem. Syn zaczyna stękać. Odwijam pieluchę. Zamiast poporodowej smółki, którą oddaje każdy noworodek, widzę ogromnie dużo czarnej mazi, którą syn jest ubrudzony. Coś nie jest w porządku, zdaję sobie z tego doskonale sprawę.

Do rana syn oddał kilkakrotnie stolec, zupełnie czarny, tłusty, rozlany i ogromny. Wszystko mam pobrudzone tą czarną mazią. Modlę się o

nastanie ranka, o jakąkolwiek pomoc. Nie śpię już drugą dobę. Czterdzieści osiem godzin bez minuty snu plus poród bez picia i jedzenia! Każda minuta wydaje mi się wiekiem.

Wreszcie nadchodzi upragniony ranek, który zamiast lekarza lub chociażby położnej nasyła mi na kark policję. Policja jest wszędzie. Ankieta. Dziewczynka, która urodziła się tu przedwczoraj - nie żyje. Matka była panną. Zabrała dziecko do domu. Babka, w obronie honoru rodziny, zarżnęła nożem i wnuczkę, i własną córkę. Horror!

Około 10^{00} zjawia się lekarz, młody chłopak. Nie wie, o co pytać, co zobaczyć.

- Wszystko w porządku u pani? A u dziecka?
- W porządku - odpowiadam. Kłamię. Byle jak najszybciej wyjść z tej kliniki.

Proszę o natychmiastowe wypisanie mnie do domu. Lekarz nie protestuje. Jakie wypisanie? Po prostu owijam syna w koc i ledwo żywa wychodzę przed klinikę, gdzie Yacine czeka na taksówkę. Żadnych dokumentów nie dostaję. Na drugi dzień Yacine poszedł do kliniki i przyniósł zaświadczenie o urodzeniu Riada. Prosto. Bez kłopotów.

Czuję się okropnie. Jestem słaba jak mucha. W domu „do pomocy" jest Madina. Krew mnie zalewa. Syn zaczyna się dusić. Łapię dziecko i ustawiam w pozycji pionowej. Przechodzi mu. Pokarmu nie mam. Przygotowuję mleko z proszku. Jednak po każdym posiłku Riad krzyczy, mleko chlusta z niego na odległość co najmniej metra. Jednocześnie kilka razy dziennie oddaje stolec. Włosy stają mi na głowie. Coś nie jest w porządku. Co robić? Lekarz? Musiałabym szukać sama jakiegoś dobrego specjalisty. Przecież nie wyślę Yacine, on nie nadaje się do załatwienia czegokolwiek.

Tak upływają trzy dni. Wymioty i dziwna biegunka syna, który cały czas krzyczy, widać z bólu. Jestem potwornie przemęczona. W nocy Yacine i Madina śpią i ani myślą czuwać przy dziecku, zrzucając na mnie cały ciężar. Nie mogę się przespać nawet w dzień, syn bowiem cały czas płacze, a oni oboje łażą po mieszkaniu jak muchy w smole, niezdolni do podjęcia jakiejkolwiek decyzji lub odciążenia mnie przy dziecku. Zaczynam odczuwać silne bóle serca i pieczenie w jego okolicy.

„Wykończę się” - przechodzi mi przez myśl.

Dziecko chudnie w oczach, ja mam pod oczami ogromne sińce.

Wreszcie, chyba na siódmy dzień, dostaję pokarm. Przykładam dziecko do piersi. Riad ssie jak oszalały. Najedzony - zasypia, po raz pierwszy nie wymiotując, a ja również po raz pierwszy od wielu dni zapadam w kamienny sen.

* * *

Trwa walka o życie syna. Pokarm mam tylko w jednej piersi. Riad dalej nie toleruje mleka przyrządzanego z proszku. Więc co sześć godzin - pierś na zmianę z ugotowanym na wodzie ryżem. Mobilizuję Yacine do znalezienia dobrych lekarzy. Pożyczam masę książek lekarskich, obkładam się nimi „do sufitu”. W książkach szukam pomocy i odpowiedzi na pytanie, co jest mojemu dziecku. Jednocześnie odwiedzam z synem wszystkich najlepszych pediatrów. Od każdego otrzymuję antybiotyki przeciwko biegunce. Tłumaczę, że według mnie nie jest to biegunka, stolce nie są wodniste i zielonkawe, ale ciemnobrązowe, tłuste i ogromne. Ale gdzie tam, żadne moje tłumaczenia nie pomagają. Za każdym razem recepta na antybiotyki. Recepty wyrzucam do kosza na śmieci, podświadomie czując, że mogę zabić tym syna. Jednocześnie wertuję dziesiątki podręczników lekarskich. Jest! Znajduję w kilku z nich opis podobnej choroby. Celiakia - uczulenie na gluten. Boże! Tylko nie to! Należy stosować odpowiednie wyżywienie. Usunąć wszelkie pokarmy zbożowe. Jedynie ryż i mąka z kukurydzy nie zawierają glutenu.

Przestaję cokolwiek rozumieć. Przecież syn nie był jeszcze karmiony przetworami zbożowymi! Dlaczego tak reaguje na butelkowe mleko?

Trzy pierwsze miesiące upływają mi na karmieniu: co trzy godziny - pierś, co trzy godziny - woda z ugotowanego ryżu lub woda z zupy z marchwi. Dzieciak jest głodny, pokarm z jednej piersi nie wystarcza. Niestety, druga pierś ani drgnęła, nie wydzieliła kropli mleka. Co za

dramat! Czym dokarmiać syna, ażeby mu nie zaszkodzić? Skąd wziąć specjalną bezglutenową żywność dla noworodka?

Jadę do mojego zakładu pracy, do André, Francuza, który pracował razem ze mną. Tłumaczę, o co chodzi. André telefonuje do siostry. Za trzy dni otrzymuję z Francji dużą paczkę ze specjalną żywnością bezglutenową dla noworodka. Kilkanaście opakowań mączki kukurydzianej i ryżowej, wymieszanej z różnymi owocami, warzywami. Rozpuszczam to w przegotowanej wodzie, wlewam do butelki. Próbuję. Smak wspaniały. Szkoda, że nie mogę dodać mleka. Syn w mgnieniu oka opróżnia każdą podaną butelkę. Robi się ciężki i okrągły. Świetnie śpi. Stolce w miarę się unormowały, nie są już tak częste, ale nadal obfite i tłuste. Trwa moja nieustanna walka o zdrowie syna.

* * *

Kończy mi się płatny urlop macierzyński oraz urlop wypoczynkowy. Jednocześnie kończy się mój ostatni, roczny kontrakt w zakładzie. Mam za sobą trzy lata pracy zawodowej w Algierii - ciekawej i dobrze płatnej. Co dalej? Zdaję sobie sprawę z tego, że pójście teraz do pracy i pozbawienie syna mojej opieki przez 12 godzin dziennie to skazanie dziecka na śmierć. Moje argumenty przedstawiam dyrektorowi.

- Szkoda, że nie może pani kontynuować pracy zawodowej. Chciałem wysłać panią na interesujące szkolenie za granicą. Sądziłem, że uda się pani zrobić u nas karierę - słyszę.

Jednak życie syna nie ma dla mnie ceny. Mogę liczyć tylko na siebie, ignorancja Yacine i Madiny jest niewyobrażalna. Yacine wręcz śmieje się ze mnie i szydzi z mojej troski o zdrowie Riada.

Minęło czterdzieści dni od urodzenia syna. Czterdzieści dni, w których Koran chroni kobietę po porodzie, zabraniając mężczyźnie współżycia z nią. Ale po tym okresie - jest on w swoich prawach. Przez myśl mi to nie przeszło. Osłabiona ciężkim porodem, wyczerpana walką o

życie syna, ledwo żyję. Tymczasem tego czterdziestego dnia Yacine zjawia się w nocy w moim pokoju.

- Czego chcesz? - pytam.
- Jak to czego? Należy mi się, no nie? - butnie odpowiada Yacine.
- Należy ci się? Co?

Dopiero po chwili dociera do mnie sens jego wypowiedzi... Słowa, które wypowiedziałam, nie nadają się do powtórzenia.

- Nie widzisz, jak ja się czuję? Do dziecka to nie masz siły wstać, ale „o swoje prawa" umiesz się dopominać! - krzyczę wypychając go z pokoju.

Jego wytrzeszczone na wierzch oczy doprowadziły mnie do szału.

Yacine usuwa się z drogi, jednak jak wariat całą noc chodzi po mieszkaniu. Agresja i erotomania - główne objawy paranoi, zaczynają się rozwijać u niego w bardzo szybkim tempie. Ja jednak błędnie myślę, że teraz dopiero pokazuje swoje prawdziwe oblicze, nie troszcząc się o pozory. Ale co mogę zrobić w tej sytuacji? Sonia nie wyobraża sobie życia poza Algierią. Riad potrzebuje mojej ciągłej opieki. W Polsce, która przechodzi przemiany polityczne i głęboki kryzys ekonomiczny, nie mam mieszkania (moją kawalerkę zajmuje brat z żoną i dzieckiem, a zamieszkanie u rodziców na stałe nie wchodzi w rachubę). Yacine kocha dzieci na swój sposób, niczego im nie odmawia i szaleje za synem.

Trwam więc nadal w tym małżeństwie, myśląc o rozwodzie jako o ostateczności. Wiem tylko, że jeżeli do tego dojdzie - muszę wyjechać z Algierii, ponieważ nie mam żadnej szansy, jako kobieta rozwiedziona, a więc stojąca na najniższym szczeblu algierskiej drabiny społecznej, na ułożenie życia sobie i dzieciom. W Polsce też nie byłoby mi łatwo, ale przynajmniej byłabym w swoim kraju! Tak więc, w przypadku rozwodu, musiałabym wyjechać z dziećmi i praktycznie pozbawić ich kontaktu z ojcem do końca życia. Zrobię to jednak tylko wtedy, gdy uznam, że nie mam już innego wyjścia z sytuacji. Muszę mieć spokojne sumienie.

Tak sobie to wtedy wyobrażałam. W ostateczności wyjadę z dziećmi. Któż mógłby mnie zatrzymać? To są moje dzieci, ja je urodziłam - dla

mnie było to oczywiste i proste. Żeby mogło mi je odebrać jakieś prawo? W tym czasie nie przeszło mi to nigdy przez myśl.

Nie mam więc pojęcia o algierskim prawie, nie zdaję sobie zupełnie sprawy z psychicznej choroby Yacine. Moja ignorancja nie zna granic.

Choroba Yacine, trzecie dziecko

Wyjeżdżam z dziećmi na trzy miesiące na wakacje do Polski. Riad obchodzi swoje pierwsze urodziny. Nauczył się chodzić, codziennie prowadzany przez mojego ojca, który uwielbia wnuka. Riad to wykapany tata i jego duma! Ojciec jest jednak przerażony stosem żywności, którą przywiozłam ze sobą.

- Co mu jest? - martwi się tata. - Złe wchłanianie? Nigdy o tym nie słyszałem.

Całe wakacje Riad jest nadal odżywiany tylko różnymi papkami i specjalnym, bezglutenowym chlebem. Widzę, jak mu to wszystko nie smakuje, jak wącha i chłonie zapachy naszych potraw. Powoli zaczynam wprowadzać do jego jadłospisu zupy jarzynowe, gotowane na bardzo chudym mięsie. Dziecko wygląda bardzo dobrze i nie ma specjalnych kłopotów ze zdrowiem.

Wracamy do Algierii. Na drugi dzień po przyjeździe Riad budzi się z bardzo wysoką gorączką. Cały jego tułów pokrył się jakąś wysypką. Yacine bierze go do prywatnego gabinetu lekarskiego, znajdującego się niedaleko naszego domu.

- No i co powiedział lekarz? - pytam.
- Powiedział mi, że pogryzły go komary - odpowiada ze spokojem Yacine.

Komary? Nie wierzę własnym uszom! Ale słyszę, że Yacine zupełnie poważnie powtarza mi diagnozę lekarza: „Powiedział mi, że pogryzły go komary".

Nie wytrzymuję. Ta rozmowa odbywa się w kuchni. Łapię garnek z zupą. Sprawdzam najpierw, czy nie jest gorąca. I cały ten gar zupy wylewam na głowę Yacine. Krzyczę:

- Gdzie są komary w naszym domu? No gdzie? Pokaż mi choć jednego! Przecież cały dzień mamy włączone aparaty przeciw komarom! Przecież Riad śpi w koszulce z krótkimi rękawami i w majteczkach, więc gdyby go pogryzły komary, to na rękach i na nogach, a nie na tułowiu, który jest przykryty! Boże, Boże! - krzyczę w nerwach. Nie wiem, co robić, stan dziecka jest bardzo ciężki.

Yacine, ociekający zupą od stóp do głów, wybiegł z domu jak oszalały. Ja łapię receptę, na której wypisano maść na komary i biegnę do lekarza, u którego był przed chwilą Yacine. Nie liczę się z tłumem pacjentów czekających na korytarzu.

- Proszę mi natychmiast oddać pieniądze za wizytę! - krzyczę. - Jeżeli jest pan durniem i trafił pan na durnia, to pana sprawa, ale niech pan nie sądzi, że w tym pańskim kraju wszyscy ludzie nie potrafią myśleć!

Z wrażenia zaniemówił. No, tego tu jeszcze nie było! W sercu stolicy lekarz został nazwany durniem i zrobiła to kobieta! Trzeba było widzieć, jak spiesznie wyciągał z szuflady pieniądze, ażeby mi je oddać. Bał się chyba, że go uderzę i miał rację. Wobec ewidentnej głupoty oraz totalnego chamstwa często zawodzą mnie nerwy i nie potrafię kontrolować swoich reakcji.

Znowu biegnę. Do domu. Syn jest rozpalony jak żelazo. Owijam go w jakiś koc, biorę na ręce i wybiegam na zewnątrz. I co dalej? Gdzie iść? Nie znam żadnego innego gabinetu lekarskiego w pobliżu. Pytam przypadkowych przechodniów, w końcu trafiam do jakiegoś lekarza. Ręce mi mdleją. Riad jest bardzo ciężki. Lekarz długo go ogląda. Potem wypisuje lekarstwa, które wykupuję w aptece. Jest tego cały stos, w tym dwa różne antybiotyki, a każdy z nich na kilkanaście różnych chorób. No tak, któryś musi pomóc. I pomaga, po 10 dniach Riad wraca do zdrowia.

Kołomyjka z lekarzami trwa, syn bowiem zaczyna często chorować (anginy, zapalenia oskrzeli, zapalenie płuc, wysoka gorączka bez innych objawów itp.). Za każdym razem - antybiotyki i to podwójne na zasadzie - któryś na pewno pomoże. Ta ogromna ilość antybiotyków zniszczy mu całkowicie szkliwo pierwszych mlecznych zębów.

Syn odrzuca żywność bezglutenową. Prawie wszystko wypluwa. Nie chce też jadać zup jarzynowych. Nie wiem, co robić. Kto ma mi poradzić, jak go dalej żywić?

Z pomocą przychodzi mi przypadek. Ugotowałam zupę z białej fasoli, dodając dużo arabskich przypraw. W kuchni pachniało wspaniale. Nalałam do talerza już prawie chłodną zupę i postawiłam na stole. Miałam ją zjeść za chwilę. Tymczasem z jakiegoś powodu musiałam wyjść z kuchni. Po powrocie oczom moim ukazał się następujący widok: Riad stoi na krześle przy stole i dwiema łyżkami na zmianę, ażeby było szybciej, dosłownie zmiata zupę z talerza. W pierwszym odruchu podbiegłam, ażeby odebrać mu talerz. Dzieciak objął go obiema rękami, nie pozwala sobie odebrać, krzyczy. Daję za wygraną. Zostawiam go z zupą, a właściwie już z jej resztkami. Riad uszczęśliwiony, cały w rumieńcach, kończy swój posiłek. Boże, Boże, myślę sobie, co teraz będzie, przecież nie wolno mu jeść fasoli. A tymczasem nic. Minęło popołudnie i spokojna noc dla mnie. Nie mogłam jednak spać, bałam się skutków tego obiadu. Nic się nie stało. Zrozumiałam, że mogę wprowadzić normalne jedzenie dla syna. Oboje przyjęliśmy to z ulgą. Wraz z upływem czasu Riad choruje coraz mniej. Rośnie i rozwija się prawidłowo.

* * *

Poznaję dwie Polki, żony z Algierczyków: Marię i Dorotę. Pierwszą poznaję przypadkowo, na targu. Słysząc polski język, zaczepiła mnie. Natomiast druga jest sąsiadką Marii.

W jaki sposób można poznać tutaj Polkę? Jest ich w tym czasie około dwustu, żon Algierczyków. Ambasada nie organizuje dla nas nic. Ówcześni pracownicy konsulatu mają do nas wyjątkowo niechętny stosunek. Kim, według nich, może być Polka, która wyszła za mąż za Araba?

- Wiesz - mówi mi Dorota - jestem tu już tyle lat i właściwie to nie znam, oprócz Marii, żadnej Polki. Już nawet myślałam, ażeby dać ogłoszenie w tutejszej prasie: „Poznam Polkę, żonę Algierczyka, równie samotną jak ja”.

Dorota rozśmiesza mnie tym wyznaniem. W niedługim czasie zmienia się obsada ambasady, przyjeżdża konsul S. Nastają dla nas wspaniałe czasy, pełne spotkań, choinek dla dzieci, imprez rozrywkowych. Bardzo serdeczny stosunek konsula S. do nas sprawił, że po jego odjeździe pozostał ogromny żal w naszych sercach i wspaniałe wspomnienia z jego trzyletniej kadencji. Szkoda, że tak szybko minęło jego urzędowania, że nie przedłużono mu pobytu w Algierii. To dzięki niemu na spotkaniach organizowanych przez ambasadę poznałam wiele Polek, żon Algierczyków.

Pamiętam dobrze bal sylwestrowy zorganizowany przez konsula. W dwóch salach budynku ambasady spotkały się małżeństwa mieszane. Dziwiłyśmy się, że jest nas tak wiele. Do wszystkich rozesłano zaproszenia, ale przyjechały tylko rodziny z Algieru i okolic. Każda z nas przyniosła jakąś przygotowaną przez siebie potrawę. Ambasada zapewniła zimne i gorące napoje, alkohol oraz muzykę. Po południu przyleciał z Polski samolot załadowany świeżutkimi pączkami z Hortexu. Jakąż przyjemność sprawił nam konsul S. tymi stosami wspaniałych pączków! Były jeszcze prawie ciepłe!

Konsul zatańczył z nami wszystkimi. Był wspaniały! A nasze dzieci w czasie jego kadencji otrzymywały zawsze na zabawie choinkowej wspaniałe paczki. W okresie, kiedy polskie dzieci w kraju widziały na półkach sklepowych jedynie przysłowiowy ocet, nasze dzieci otrzymały ogromne, kilkukilogramowe paczki pełne smakołyków z jakiejś polskiej fabryki czekolady. Jak to zrobił konsul? Podobno, ale nie ręczę za prawdziwość informacji, za pośrednictwem męża jednej z naszych dziewczyn, „kupił na pniu" plon z kawałka sadu pomarańczowego. Nasi ludzie zerwali pomarańcze, których cena w tym układzie była o wiele niższa niż normalnie. Pomarańcze zostały przetransportowane do jednej z polskich fabryk czekolady, która, na zasadzie wymiany, przesłała do Algierii te wspaniałe smakołyki. Transakcja okazała się korzystna dla obu stron.

Nie rozumiem do dziś, dlaczego tak szybko skończyła się kadencja tego wspaniałego, pełnego inicjatyw i różnych pomysłów człowieka. Być może dlatego, że w tym czasie w Polsce koniunktura niezbyt sprzyjała ludziom wyrastającym ponad przeciętność.

* * *

Mijają dni i miesiące. Zachowanie Yacine staje się coraz bardziej niewytłumaczalne i trudne do zniesienia. Nie śpi całymi nocami, a jeżeli już śpi, to strasznie krzyczy przez sen. Rano, gdy pytam się, dlaczego tak krzyczał, co mu się śniło, zawsze odpowiada, że śniło mu się, iż go zdradziłam. Mówi to zupełnie poważnie, a ja ignoruję jego słowa, nadal nie zdając sobie sprawy z rozwijającej się choroby psychicznej. Zaczął cierpieć na bóle w łydkach, bardzo się na to skarży. Ale każdą moją uwagę, by udał się do jakiegoś dobrego internisty, który oceniłby jego stan zdrowia, zbywa milczeniem. Najgorsze jest to, że nadpobudliwość Yacine sięgnęła zenitu. Nie zważa na nic: na moje przemęczenie, bóle serca i nóg. Moje zdrowie zupełnie go nie obchodzi. Nie ma najmniejszego zamiaru znaleźć mi dobrego lekarza specjalisty i zapewnić synowi opiekę na czas moich wizyt.

Niestety, nie zabezpieczyłam się przed niepożądaną ciążą. Ze względu na stan zdrowia nie mogłam przyjmować doustnych środków antykoncepcyjnych, a o innym zabezpieczeniu nie pomyślałam, zajęta walką o życie i zdrowie syna. Rozszalałam się na wiadomość o ciąży. To, co usłyszał ode mnie Yacine, nie nadaje się do powtórzenia. Ulotnił się z domu na kilka dni, ponieważ nie panowałam nad swoimi reakcjami.

Co zrobić? Jechać do Polski, ażeby usunąć ciążę? Trzeba by załatwić wizę wyjazdową, kupić bilet, zapewnić opiekę dla dzieci. Wszystkim tym musiałby zająć się Yacine, na co nie mogłam liczyć. A moje zasady moralne? Jestem skrajnie wyczerpana i bliska obłędu. Bóle serca nie ustają, do tego dołączyły się wymioty. Opieka nad dwojgiem dzieci odziera mnie z resztek sił. I list od rodziców: „Anno, po co ci jeszcze jedno dziecko w twojej sytuacji?”

No właśnie!

Ciążę znoszę fatalnie od początku do końca. Lekarz ginekolog, polecony mi przez znajomych, chce tylko słyszeć, że czuję się świetnie, że nic mi nie dolega. Na każdą moją skargę wykrzywia się ostentacyjnie z niezadowolenia. Yacine usuwa mi się w domu z drogi.

* * *

Malika, żona Mohameda, ma już troje dzieci i znowu jest w ciąży! Nadal sprząta całą willę codziennie od drugiego piętra do parteru, pierze ręcznie całe stosy odzieży, gotuje dla całej rodziny. Jest chuda jak patyk. Kiedyś widzę, jak strasznie płacze na podwórku.

- Co się stało? - pytam ją.

- Teściowa powiedziała mi, że jeśli chcę odpocząć, to mam wyprowadzić się do swoich rodziców, że tutaj nie przyszłam na odpoczynek, że mam cały dzień pracować. Poza tym wszystko, co kupuje Mohamed do jedzenia, zaraz zjadają synowie Zoubidy, nie zostawiając nic ani dla mnie, ani dla moich dzieci. Jestem ciągle głodna - mówi przez łzy Malika.

Buntuję ją, ażeby oddzieliła się od całej rodziny. Na parterze jest przecież pomieszczenie, które teść miał zamiar wykorzystać na mieszkanie. Obecnie używane jest jako garaż.

- Kup sobie, dziewczyno, osobną lodówkę, postaw się trochę, nie daj się - radzę jej życzliwie.

- To niemożliwe - odpowiada Malika - ja tu nie mam nic do powiedzenia.

Nic nie zmienia się w obyczajach rodziny Zoubidy. W każdy piątek przyjeżdżają wszystkie cztery zamężne córki wraz z dziećmi. Dalej siedzą na podwórku całymi godzinami, prawie ze sobą nie rozmawiając. Szare, postarzałe twarze, ogromnie smutne.

Syn Maliki, Zoheir, rówieśnik mojego syna, jest mściwym, upartym, niesympatycznym chłopakiem. Bardzo często pluje Riadowi w twarz i bije go. Nie ma spokoju ani w tej rodzinie, ani w tym domu. Ale ta ogromna liczba dzieci i wnuków to bogactwo i siła Zoubidy, która chodzi dumna jak paw, najważniejsza istota na tej ziemi, pępek świata! Nigdy nie widziałam, ażeby ta kobieta coś robiła. Widziałam ją tylko, kiedy jadła, podczas poobiedniej drzemki lub siedzącą godzinami na podwórku. Nietykalna matrona, wyrocznia! Ciągle fałszywie uśmiechnięta, fałszywie uprzejma. Dumna ze swoich pięciu synów!

W naszym ogrodzie jest ogromny korzeń winorośli, który puścił nowe pędy na wiosnę. Podlewam go codziennie. Roślina, jak oszalała, pnie się po przeciągniętych nad całym podwórkiem linkach. Wkrótce nie widać nieba, tylko kiście winogron. Ileż tego może być - chyba kilkaset kilo? Co zrobić z taką ilością winogron, gdy dojrzeją - nie mam pojęcia.

Mam w tej chwili istotniejsze zmartwienie - gdzie urodzić dziecko?

Decyduję się na tę samą lecznicę położniczą, w której urodził się Ri ad. Yacine w tym wszystkim nie uczestniczy, w niczym nie mogę na niego liczyć. Zapraszam więc do Algierii bratową - do pomocy. Bratowa przyjeżdża ze swoją córeczką - Anetką. Pewnego razu Yacine zabiera je na wycieczkę do lunaparku. Jest koniec lipca. Ogromny upał, może z 40°C. Przez cały dzień mój mąż nie kupił im nic do jedzenia ani do picia, chociaż Anetka miała wtedy dwa latka. Nie mógł ścierpieć, że zamiast jego siostry wybrałam do pomocy moją bratową. A ja bałam się, że mogę czuć się po porodzie tak, jak po urodzeniu Riada, kiedy przez pół roku nie mogłam wrócić do zdrowia. Musiałam mieć jakąś pomoc.

Bóle porodowe. Ta sama lecznica położnicza. Bez lekarza - na własne ryzyko. Trafiłam na jakąś młodą położną - Algierkę. Zwyczajowo wsuwam jej w rękę pieniądze. Wiem, że jest to dla mnie jedyne zabezpieczenie, ważniejsze niż lekarz. „W tym kraju wszystkich można kupić", mówi jedna z moich przyjaciółek.

Poród był koszmarny, ciągnął się godzinami i myślałam, że umrę. Sądzę, że tak ogromne komplikacje fizyczne były wynikiem mojego negatywnego nastawienia do ciąży i do mającego narodzić się dziecka. Położna wpadła w popłoch. Była głucha noc, a ze mną działo się coś niedobrego. Czułam, że jestem jedną nogą na tamtym świecie.

- Błagam panią, niech się pani zmobilizuje, ma pani przecież dwoje dzieci, dla których trzeba żyć! - słyszę jej przerażony głos.

Widzę, że nie wie, co robić. Przed moimi oczami pojawia się na moment uśmiechnięta twarzyczka syna. To dla niego mój ostatni wysiłek... Krzyk dziecka... Jest! Urodziło się! Córka. Duża, prawie czterokilowa. Bardzo ładna, widać to od pierwszych chwil. Ale jest mi to zupełnie obojętne. Jest chyba rano. Zostaję przeniesiona do jednoosobowego

pokoju. Klinika jest prawie pusta. Położna telefonuje do Zoubidy. Za chwilę zjawia się Yacine z Riadem i bratowa z Anetką (Sonia jest na wakacjach w Polsce u moich rodziców). Weszli bez przeszkód.

- Jaka śliczna, jaka śliczna! - zachwyca się bratowa.

Przychodzi lekarz. Proszę o wypisanie do domu. Natychmiastowe. Pomimo, że poród był potworny, czuję się tak, jak gdybym nie rodziła, a to dlatego, że nie byłam nacięta. Algierskie położne bardzo rzadko stosują ten zabieg u rodzących.

- Anno, damy małej na imię Sabrinka - mówi bratowa.

Sabrina - piękne imię. Patrzę na córkę, której tak nie chciałam. Jest prześliczna. Poplątała mi całe życiowe plany. Na jak długo jeszcze uzależniła naszą egzystencję od Yacine?

Sabrinka nie ma żadnych kłopotów zdrowotnych, chowa się wspaniale, cały czas śpi. Nie mam problemu z pokarmem. Bratowej bardzo nie podoba się zachowanie Yacine, który w niczym nam nie pomaga i cały czas spędza u swoich rodziców. Obecnie mieszkają oni niedaleko nas, w dzielnicy Badjarah, ponieważ ich dom na Casbah zawalił się (na szczęście nikt nie zginął) i urząd gminy przesiedlił wszystkich lokatorów do nowych bloków. Rodzina męża otrzymała niewielkie, trzypokojowe mieszkanie.

Rodzina, oprócz teściowej, z niezadowoleniem przyjęła narodziny córki.

- Jak dobrze, że jest dziewczynka - cieszy się moja bratowa, co doprowadza Yacine do szału.

- Co to za mąż - dziwi się. - Nigdy nie ma go w domu, znika u rodziców na całe popołudnia, przychodzi późnym wieczorem, wiecznie niezadowolony, z oczami wychodzącymi z orbit.

Bratowa ma dosyć tej atmosfery. Wyjeżdża z Algierii, mimo że prawie nic nie widziała. Yacine czuje się teraz panem i władcą, zupełnie bezkarnym w swoich poczynaniach. Urządza nam codziennie potworne awantury. O wszystko! Podświadomość mówi mi, że stoję na skraju wielkiego niebezpieczeństwa.

Jednym z niewielu gości, którzy odwiedzają nasz dom, jest Tayeb, kolega Yacine ze szkoły średniej. Razem kończyli w Polsce technikum. Tayeb ożenił się z Polką, mają dwoje dzieci. Dotychczas mieszkał z żoną w Polsce, ale kryzys ekonomiczny sprowadził go z powrotem do Algierii, gdzie podjął pracę zawodową. Żona została z dziećmi w Polsce. Tayeb zamienia na czarnym rynku dinary na franki i przekazuje, przez znajomych, do Polski. W Algierii czuje się bardzo osamotniony, nic więc dziwnego, że bywa u nas częstym gościem. Widać, że brak mu rodziny. Ale Yacine coraz bardziej niechętnie patrzy na jego wizyty. W tym kraju swobodna rozmowa mężczyzny z żoną innego jest nie do przyjęcia. Ja nie widzę w takich kontaktach niczego złego, jestem przyzwyczajona do bezpośrednich kontaktów z mężczyznami. Jednak według tutejszych obyczajów takim postępowaniem narażam na szwank nie tylko własną reputację, ale także reputację męża.

W końcu Tayeb prawie przestaje do nas przychodzić. Ma już dosyć ostentacyjnego, nieprzyjemnego zachowania Yacine w stosunku do niego podczas wizyt w naszym domu.

Często odwiedzają nas Dorota i Maria. Maria przychodzi z mężem i dziećmi, a Dorota sama, ponieważ dzieci nie ma, a mąż nie chce jej towarzyszyć. Maria ciągle mnie strofuje: „Anno, jak ty możesz myśleć tylko o domu, aby był pięknie urządzony, o tym swoim mężu, ażeby był dobrze ubrany?" Kiedyś otwiera moją szafę i zdenerwowana mówi:

- Pokaż mi, no pokaż, co tu jest twojego do ubrania!

Rzeczywiście - prawie nic. Cała szafa jest zawalona garniturami Yacine, jego koszulami, swetrami, butami. Wszystkie te rzeczy przywiozłam mu z Polski.

- Anno, pomyśl w końcu o sobie! Przepracowałaś w Algierii trzy lata, zarabiałaś więcej od swojego męża, a nie masz co na siebie włożyć! To nieprawdopodobne! Gdzie podziały się twoje pieniądze ? Jak to możliwe, że nie masz ani jednej sztuki złotej biżuterii? - krzyczy na mnie Maria. - A gdyby coś się stało, pomyślałaś o tym?

Maria ma rację. Ale przecież nie powiem jej, że całe moje zarobione pieniądze przekazywałam na mieszkaniową książeczkę oszczędnościową

mojego męża i że nie byłam nawet upoważniona przez niego do korzystania z nich. Przecież nie powiem jej, że za całą gotówkę, którą dysponowałam, kupiłam na czarnym rynku dolary, które Yacine codziennie przelicza. Nie powiem jej jeszcze wielu innych rzeczy. Dla mnie życie w małżeństwie oznaczało wzajemne zaufanie, bez jakiejkolwiek kalkulacji czy *arrière-pensée**. Nie wyobrażałam sobie, ażeby, nawet w wypadku rozejścia się, nie można było rozstać się na zasadzie wzajemnego porozumienia, dotyczącego również dorobku materialnego. Nie wzięłam jednak pod uwagę wariantu, że kiedyś będę musiała rozstać się z chorym człowiekiem, którego nie stać na żadne normalne, ludzkie reakcje. Nie wzięłam pod uwagę jeszcze wielu innych czynników.

* Ukryta myśl.

Sabrinka rośnie. Ma już pięć miesięcy. Pamiętam ten dzień, w którym je skończyła. Obniosłam ją po całym mieszkaniu. „To jest lampa - wzięłam jej paluszek kierując na lampę. - A to są drzwi. A to jest telewizor. A to jest Miki (obraz na ścianie). To jest szafa. To jest radio". Powiedziałam te słowa jeden raz. Na drugi dzień biorę Sabrinę na ręce.

- Sabrinka, gdzie jest telewizor? - Dziecko kręci główką naokoło, szuka wzrokiem, po chwili wyciąga paluszek i pokazuje telewizor.

- A gdzie jest lampa? - pytam. - Sabrinka unosi główkę w górę i paluszkiem pokazuje na lampę.

Bezbłędnie pokazała wszystkie wymienione wczoraj przeze mnie przedmioty. „Geniusz" - myślę sobie. Jak Sonia, która w szkole otrzymuje obok stopni adnotacje nauczycieli: „bardzo zdolna, inteligentna, niezwykły umysł". Jednak rozwój fizyczny Sabrinki nie idzie w parze z rozwojem umysłowym. Nie chce jeść. Każdy posiłek to wielka tragedia. Odmawia przyjmowania soków owocowych. Ma niedowagę, jest szczuplutka. Kilkakrotnie biorę ją w tej sprawie do lekarza. Tłumaczę, że bardzo niepokoi mnie rozwój fizyczny dziecka. Ale gdzie tam, moich obaw nikt nie podziela i nikt nie przejmuje się niedowagą Sabrinki.

Dalej trwają awantury, w dzień i w nocy, o byle co, o trochę kurzu na meblach, o niedomytą szklankę... Żyję w ogromnym stresie. Co robić ? Ciągnąć jeszcze kilka lat to niewolnicze małżeństwo aż dzieci trochę podrosną czy jednak odebrać im ojca, znikając z tego kraju, nawet bez rozwodu? A okazja nadarza się w czerwcu 1986 roku. Jadę z całą trójką na wakacje do Polski.

Rodzice nawet nie przypuszczali, z jakim obciążeniem psychicznym spędziłam u nich te trzy miesiące wakacji. Moje myśli krążyły nieustannie wokół jednego tematu - wracać czy zostać? A decyzja, tak jak dwa lata temu, nie była łatwa. Pozostanie w Polsce było dla mnie prawie niemożliwe do zrealizowania. Przede wszystkim nie miałam mieszkania, ponieważ moją kawalarkę nadal zajmował brat z żoną i małym dzieckiem. Musiałby się wyprowadzić razem z rodziną, a nie miał gdzie. Zamieszkanie u rodziców było nierealne, dysponowali oni bowiem jedynie niewielkim pokoikiem z kuchnią, a mama często chorowała. Pojawił się więc najważniejszy problem - brak mieszkania. Nie miałam też pracy, a na pomoc finansową rodziców nie mogłam liczyć ze względu na ich niskie zarobki. Do tego dochodziła kryzysowa sytuacja ekonomiczna w Polsce. W kraju brakowało wszystkiego. Jak w tych warunkach, bez mieszkania, bez żadnego zabezpieczenia materialnego, licząc tylko na siebie, poradzę sobie z trójką dzieci? Sabrinka ma roczek, Riad skończył trzy lata, a Sonia jedenaście. Nie chciałam martwić rodziców, starałam się nie mówić o moich aktualnych stosunkach z Yacine, chociaż sądzę, że wiele się domyślali, widząc moją zatroskaną twarz. Może, gdybym powiedziała im całą prawdę, znaleźliby jakieś wyjście z tej sytuacji?

Sonia, przed wyjazdem do Polski, wymusiła na mnie zobowiązanie do powrotu do Algierii. Widzę, jak tęskni za koleżankami, za swoim mieszkaniem, a także za ojcem, z którym również bardzo silnie uczuciowo związany jest Riad. Dzieci nic nie rozumieją z tego, co dzieje się w naszej rodzinie. Chcą mieć swoje stałe miejsce na ziemi, swój dom, do którego można zawsze wrócić, i oboje rodziców. Czy w tej sytuacji mam prawo wyrwać je brutalnie z korzeniami z kraju, który uważają za swoją

ojczyznę i który to w końcu ja im wybrałam? Przecież nie są pingpongową piłeczką, którą można odbijać zgodnie z wolą rodziców. Czy mam prawo odebrać całej trójce ojca? Bo przecież, gdybym zdecydowała się na pozostanie z dziećmi na stałe w Polsce, prawdopodobnie już nigdy nie zobaczyłyby Yacine. Również ich egzystencja byłaby nędzna. Wracać? Do ciągłych awantur i życia w piekle? A może Yacine się opamięta? Może podczas wakacji przemyślał wiele spraw i zrozumiał bezsens swojego postępowania? Ponieważ zawsze stawiałam na człowieka, postanowiłam i tym razem zaufać Yacine, licząc na to, że jednak jego postępowanie się zmieni. Gdybym w tym momencie zdecydowała się na pozostanie w Polsce, nie byłabym przekonana o słuszności mojej decyzji. Niestety nie byłam świadoma, że Yacine jest po prostu chory.

Tak więc wracamy do Algierii - ja i trójka naszych dzieci: Sonia, Riad i Sabrinka. Przy pożegnaniu mama płacze, a ojciec nie ukrywa rozpaczy.

- Riad, Riad, kiedy cię znowu zobaczę? - powtarza bez przerwy.

Do Warszawy jedziemy pociągiem. Towarzyszą nam brat i bratowa. Sabrinka obchodziła w Polsce swoje pierwsze urodziny - 2 lipca skończyła roczek. Bratowa cały czas tuli do siebie Sabrinkę, która rozumie już prawie wszystko po polsku. Jak zwykle oglądają się za nami ludzie, jak zwykle czuję na sobie ich spojrzenia, słyszę szepty: „Popatrz, jakie ładne dzieci. A ta malutka jak laleczka".

Jesteśmy w końcu na lotnisku w Warszawie. Czarne myśli chodzą mi po głowie.

- Jedź, nie bój się, może się wszystko dobrze ułoży - pociesza mnie bratowa, chociaż widzę, że i ona ma niewyraźną minę. Nic dziwnego, przecież była w Algierii i miała okazję poznać układy panujące w naszej rodzinie. W końcu ściskani przez brata i bratową, idziemy do odprawy. Wsiadamy do samolotu i już w tym momencie wiem, że moje przeczucie sprawdzi się, że stanie się coś strasznego, niewyobrażalnego, co zrujnuje życie moje i dzieci. Serce podchodzi mi do gardła. Jeszcze raz z ogromnym bólem serca spoglądam na moją ojczyznę, jakże różną od tego muzułmańskiego kraju, odległego od Polski o prawie trzy tysiące kilometrów.

Podobno każdy człowiek jest kowalem swego losu - tak mówi nasze polskie przysłowie. Czy naprawdę jesteśmy aż tak niezależni w swoich poczynaniach? Przypomniały mi się fragmenty jednej z książek Władysława Tatarkiewicza, w której napisał on, że życie ludzkie podobne jest do pracy rzeźbiarza. Ma on określoną wizję dzieła przed przystąpieniem do rzeźbienia. Ale każdy następny ruch dłuta jest uwarunkowany poprzednim, który zostawił już trwały efekt. I podnosząc znowu dłuto musi uwzględnić to, czego już dokonał. Nie zawsze końcowy efekt jest zgodny z naszą wizją. Zależy od tego, w jakim materiale rzeźbimy, od naszej kondycji, od talentu, od wielu innych czynników.

Awantury

Lądujemy w Algierze. Jest 3 września 1986 roku. Wita nas wspaniałe, jasne niebo i piękna, słoneczna pogoda. Na lotnisku czeka Yacine, całkiem zmieniony. Chuda twarz, wychodzące z orbit oczy, prawie żółta cera.

- Co ci jest? - pytam.
- Co mi jest? Ty k...! - odpowiada.

Pod moim adresem padają okropne wyzwiska. Yacine biega po bagaże jak oszalały. Dzieci są przestraszone. Jedziemy do domu. Całą drogę słyszę jedynie ohydne przekleństwa. W pewnym momencie odwraca się zza kierownicy i pluje mi w twarz. Usiłuję się wytrzeć i wtedy jego pięść ląduje na mojej głowie. Syn oddaje ojcu ciosy.

- Czemu bijesz moją mamusię? - krzyczy po polsku.
- Ty k.... to dzieci nawet zapomniały mówić po arabsku?! To po to wywozisz je do twojego zasranego kraju, aby tam p... się z kochankami, a dzieci dajesz twojej matce, która uczy je po polsku?*

* Jak już wcześniej wspomniałam, ustaliliśmy z Yacine, że ja rozmawiam z dziećmi tylko po polsku, a on - tylko po arabsku. Dzieci rozmawiały między sobą po polsku, po arabsku lub mieszając oba języki, zależnie od okoliczności.

Nie wiem, co robić, co się dzieje. Dojeżdżamy do domu około 17^{00}. Yacine wyciąga bagaże z samochodu, rzuca mi je na schody. I zaczyna się. Podskakuje do mnie z rozstawionymi rękami, obłędem w oczach i pianą na ustach.

- Zrozumiałem, wszystko zrozumiałem, całe twoje zachowanie przed odlotem do- Polski na lotnisku, jak zniknęłaś z tym Tayebem! Co - umawialiście się, gdzie spotkać się w Polsce?

Staram się przypomnieć sobie, co stało się na lotnisku 12 czerwca

1986 roku, w dniu mojego odlotu do Polski. Towarzyszył nam Tayeb, który odwiózł nas swoim samochodem, ponieważ nasz był popsuty. Pamiętam, że na lotnisku poszłam z nim po druki niezbędne do wypełnienia przy wyjeździe, a Yacine został na parę minut z dziećmi. Czyżby ta drobna chwila nieuwagi z mojej strony miała aż taką cenę?

- Opamiętaj się! - krzyczę. - Przecież jest trójka dzieci, w tym dwoje małych.

Nic nie pomaga. Yacine jak oszalały wpada do kuchni, łapie nóż **i** rzuca się na mnie. Udaje mi się wyrwać mu go z ręki. Wtedy chwyta mnie za włosy i ciągnie. Nie mogę się wyswobodzić. Sabrinka krzyczy, Sonia płacze. Riad podbiega i gryzie ojca w łydkę. Widocznie bardzo skutecznie, ponieważ Yacine puszcza mnie i zwija się z bólu. Riad chowa się w drugim pokoju. Niestety, nie mogę się nigdzie ukryć, ponieważ Yacine pozabierał wszystkie klucze od pokoi. Po chwili, kiedy ból mu mija, rozpoczyna na nowo swój atak. Na moją głowę padają ciosy, pluje na mnie i kopie. Dzieci płaczą, są głodne i przestraszone. Biegnę na górę do gospodarzy, proszę o pomoc. Schodzi na dół Zoubida.

- Co tu się dzieje? - pyta.
- Nic - odpowiada niefrasobliwie Yacine.

Podczas gdy opowiadam gospodyni, co przed chwilą ze mną wyprawiał, z jego ust nie schodzi pełen perfidii uśmiech.

- Nieprawda, nie uderzyłem jej, wszystko jest w porządku - odpowiada cynicznie i z kamiennym spokojem.

Zoubida wychodzi i piekło zaczyna się na nowo. Plucie, kopniaki, ciągnięcie za włosy. Znowu biegnę na górę do gospodarzy. Zoubida ponownie schodzi i powtarza się ta sama scena: w momencie, gdy wchodzi do naszego mieszkania, Yacine z diabła przemienia się w anioła i to w ciągu jednej sekundy! Moje nerwy nie wytrzymują. Podbiegam do niego, łapię za poły koszuli i krzyczę:

- Jak to nic się nie dzieje?! Co ty wyrabiasz z rodziną?

Zoubida niezadowolona, że śmiałam uczynić taki gest wobec mężczyzny, któremu należy się szacunek i posłuszeństwo, wychodzi. Wiem już, że nie mogę na nikogo liczyć i serce podchodzi mi do gardła. Usiłuję się schować w jednym z pokoi, na darmo jednak. Yacine jest wszędzie, nie zostawia mnie ani na sekundę w spokoju. Bije, pluje, kopie, popycha.

W pewnym momencie, na oczach przestraszonych dzieci, obnaża się, dodając do tego komentarz niemożliwy do powtórzenia. „O Boże, chyba go zabiję!" - przechodzi mi przez myśl. Riad schował się pod łóżko, Sonia dalej płacze w swoim pokoju, Sabrinka krzyczy bez przerwy. Nie jestem w stanie zrobić jej nic do jedzenia, ponieważ jestem ciągle popychana tak, że prawie padam na podłogę. Nie mogę zrozumieć, co się stało z moim mężem, skąd ten koszmar, którego żadne słowa nie zdołają wyrazić. Horror trwa.

Chcę wyjść z domu. Okazuje się, że Yacine zamknął drzwi wejściowe na klucz. Wbiegam do pokoju, którego okna wychodzą na nasze podwórko. Wyskakuję przez okno (około pół metra wysokości) i przez podwórko Belaici biegnę jak oszalała na ulicę. Zatrzymuję jakąś taksówkę. Jest już bardzo późno. Proszę o zawiezienie mnie na najbliższy komisariat policji.

Dojeżdżamy. W komisariacie na Vieux Kouba pusto, jest tylko dyżurny. Pyta, o co chodzi. Odpowiadam, że nie wrócę sama do domu, że mąż szaleje, że zbił mnie, że jest ogromnie agresywny, że dzieci są bardzo wystraszone. Proszę o interwencję. Dyżurny nie chce, jest noc. Czekam prawie dwie godziny na przyjazd radiowozu, którym zabierają mnie do domu. Dwóch policjantów wchodzi razem ze mną.

- Co tu się dzieje? - pytają Yacine.
- Nic - odpowiada z kamiennym spokojem.
- Nieprawda! - krzyczę. - Nieprawda! To diabeł, który stworzył nam piekło! Nie zostanę ani minuty z tym człowiekiem!

Dwaj młodzi policjanci nic nie rozumieją, dają mi wezwanie na następny dzień rano na komisariat i wychodzą. Zostaję sama i piekło zaczyna się na nowo w tej samej sekundzie, w której zamknęły się drzwi za policjantami. Yacine wyciąga skądś deskę owiniętą całkowicie metalową, grubą linką.

- Zobacz, co przygotowałem w czasie wakacji na ciebie! To tym miałem cię zabić, gdy przyjedziesz, a potem tego s... Tayeba. I miałem oddać się na policję. Ale szkoda mi się zrobiło dzieci, zostałyby same. Ale ja ci, k... pokażę jeszcze! - I wychodzi do swojego pokoju.

Jest już grubo po północy. Dzieciaki zasnęły bez jedzenia i w ubraniu. Yacine zapomniał zabrać swoją deskę. Oglądam ją. Solidny kawałek drewna owinięty szczelnie metalową linką do 3/4 długości. Jedno uderzenie czymś takim pozbawiłoby mnie życia. Chowam to do szmacianej torby. Drzwi od mojego pokoju, w którym śpi Sabrinka i Riad, zastawiam dziecinnym łóżeczkiem. Boję się. Nie mogę zasnąć. Około drugiej słyszę jego kroki. Pcha brutalnie drzwi, pęka drewniane łóżeczko.

- Ty k.... wszyscy cię.... ja też chcę ! Już dawno nie miałem! - rzuca się na mnie, chce mnie zgwałcić.

Obudziła się przerażona Sabrinka, Riad krzyczy. Przybiegła z sąsiedniego pokoju Sonia.

- Tata, tata, daj spokój! - płacze.
- Ty wiesz kogo masz za matkę? To k.... ona się... ze wszystkimi w Algierze i w Polsce!

Sonia strasznie szlocha. Yacine, cały w drgawkach i pianie, coś zamierza. Boże, jak ja się boję! Jakoś udaje mi się wypchnąć go z pokoju, trzymam za klamkę. Dzieci płaczą. Tymczasem słyszę w jego pokoju jakieś straszne odgłosy. Sonia powiedziała mi później, że Yacine klęczał bijąc głową o podłogę i krzyczał: „Ta k... zdradziła mnie, zdradziła mnie!"

Dzieci jakoś zasnęły, ja nie. Jestem cała roztrzęsiona, nie mogę pozbierać swoich myśli. Co się stało? Co się stało? Co się stało?!

Z jego pokoju nie docierają żadne głosy. Wychodzę na palcach, zabierając ze sobą szmacianą torbę z deską i torebkę. Udaje mi się zatrzymać taksówkę.

- Na policję na Vieux Kouba - rzucam.
- Tak rano? Co się stało? - dziwi się taksówkarz. Na posterunku nie ma prawie nikogo.
- Musi pani poczekać na kierownika - słyszę od portiera. Czekam. Powoli zaczynają się schodzić pracownicy komisariatu.

Po dosyć długim oczekiwaniu proszą mnie do jakiegoś pokoju. Tłumaczę, o co chodzi: że boję się być w domu, że zachowanie mojego męża jest skandaliczne. Okazuję „dowód rzeczowy" - deskę ze stalową linką. Policjanci śmieją się ze mnie.

- Proszę pani - odpowiada mi urzędnik - mąż w czasie pani pobytu w Polsce był u nas kilka razy ze skargą, że go pani zdradza w Algierii i w Polsce.

Zatyka mnie. Myślę sobie: jeżeli Yacine sądzi, że go zdradziłam, dlaczegóż nie wniesie pozwu o rozwód zamiast biegać na policję, awanturować się w domu i demoralizować dzieci? No cóż, nie wiedziałam wtedy, że jednym z objawów paranoi jest przyjemność robienia skandali i awantur oraz przekonywania całego otoczenia o swoich racjach.

- Proszę wrócić do domu - słyszę po chwili. - Pani mąż dostanie od nas wezwanie na jutro.

Wracam więc do „domu". Jestem bardzo senna. Widzę, że Yacine nie poszedł do pracy.

- Gdzie byłaś - ty.... poszłaś się.... co? - Znowu rzuca się na mnie, zaczyna się ponowne piekło.

- Uspokój się - odpowiadam. Pokazuję mu zaświadczenie. - Byłam na policji. Jutro ty pójdziesz do nich, zaraz tu przyjedzie radiowóz i przywiozą ci wezwanie. Jeśli się nie uspokoisz, to pójdziesz siedzieć, już przygotowali dla ciebie celę - kłamię. - Spróbuj mnie dotknąć, oderżnę ci głowę! - krzyczę.

To go trochę uspokaja. Za chwilę dzwonek do drzwi. To policja z wezwaniem. Yacine odbiera osobiście. Chwilę jest w domu spokój. Trzęsą mi się ręce, nie mogę się skupić, dzieci są głodne i płaczą. Sonia idzie poprosić ojca, ażeby kupił coś do jedzenia. Yacine wpada do mojego pokoju blady, z wytrzeszczonymi oczami. Słyszę charakterystyczny zgrzyt szczęk, który mu towarzyszy w kryzysowych momentach. Chce coś powiedzieć, przymierza się do splunięcia na mnie. W końcu wychodzi na zakupy. Czuję się potwornie zmęczona psychicznie i fizycznie. Chce mi się spać. Proszę Sonię, by zajęła się Sabrinką i Riadem, a gdy wróci ojciec, niech mnie obudzi. Śpię chyba z godzinę. Jestem jak nieprzytomna, a trzeba coś w końcu przygotować dla dzieci, które od dwóch dni nie miały w ustach nic ciepłego ani gotowanego. Postanowiłam ugotować rosół. Yacine co chwilę zagląda do kuchni.

- Ty.... masz ugotować dzieciom, ale ty nie możesz jeść! - krzyczy.

Pilnuje mnie, żebym nie zjadła kromki chleba czy talerza zupy. Co robić? Czuję się bezsilna. Czy ten człowiek nie pracuje? Nie mam kogo zapytać, zostałam zdana na łaskę potwora w kraju o niepojętych dla mnie zasadach prawnych. I bez pieniędzy! Lata pracy poszły na marne. Gdybym mogła przewidzieć skutki mojego braku przezorności!

Dziesięć dni po przyjeździe z Polski 13 września 1986 roku, otrzymuję pocztą wezwanie na komisariat policji. W tym czasie Yacine nie pracuje, ma chyba urlop. Śledzi każdy mój krok, każdy mój ruch. W domu piekło, pomimo że staram się załagodzić sytuację, nie odzywam się, unikam go. Najgorsze są jednak noce. Żadne słowo pisane nie jest w stanie oddać zachowania Yacine. Nie, to doprawdy jakiś koszmarny sen! Włosy stają mi dęba, pocę się, mam jakieś wizje na jawie. Tymczasem wybieram się na policję.

- Pójdziesz, ale z dziećmi, ty.... bo każda okazja dla ciebie dobra ażeby się...!

Wkładam do wózka Sabrinkę, ubieram Riada. To kawał drogi, biedny Riad drepcze za mną, co chwila pytając, czy daleko jeszcze. Opada z sił, zanim docieramy do komisariatu. Tutaj dowiaduję się, że zostałam oskarżona oficjalnie o zdradzanie męża, że został spisany PV* i mój mąż podpisał się pod nim. Nie mogę się bronić, bo jak, a jednocześnie zdaję sobie sprawę, że ten PV nie ma w ogóle znaczenia, nie jest bowiem poparty żadnymi dowodami.

* *Procès-verbal* - ustne zeznanie, protokół.

Wracam z dziećmi do domu. W drodze chcą pić, są głodne. W portmonetce nie mam ani dinara. Na szczęście przypomniało mi się, że chyba moje konto CCP nie jest puste, mimo że od kilku lat nie pracuję. Zostawiłam tam parę groszy, żeby nie zlikwidowano mi konta. Sprawdzam na poczcie. Jest przeszło 500 dinarów. Co za ulga! Wyciągam je i kupuję dzieciom ciastka i oranżadę. Wracamy do domu. Te 500 dinarów będzie musiało wystarczyć mi jeszcze na długo, żebym mogła kupić sobie w ukryciu kawałek chleba, bo w domu nie mam prawa jeść za „jego pieniądze". Przywiozłam co prawda z Polski trochę rzeczy do sprzedania, ale nie mam żadnej możliwości ich „upłynnienia", ponieważ jestem

pilnowana dzień i noc. Boże, po trzech latach ciężkiej pracy, po ośmiu latach urządzania tego naszego wspólnego domu od łyżki, po corocznych wakacjach w Polsce, na których zamiast wypoczywać, sprzedawałam wraz z mamą rzeczy przywiezione z Algierii po to, ażeby w Polsce kupić ubiory dla niego i dzieci, sprzęt do domu i prezenty dla jego rodziny, dzisiaj nie ma na chleb dla mnie! Co chwila słyszę, że mam s... do mojego kraju, że nic tu po mnie, że nawet nasze dzieci są tylko jego, że nie mam prawa jeść.

Yacine dalej nie pracuje, a przecież minął już miesiąc od naszego przyjazdu. Z domu prawie nie wychodzi, jedynie dla dokonania niezbędnych zakupów. Niestety, kupuje za mało, dzieci są niedożywione, a mnie z głodu kręci się w głowie. Jego stała obecność nie pozwala mi na jakikolwiek manewr. Chodzi za mną po domu krok w krok, szturchając mnie, kopiąc, plując i wyzywając. Przeraża nas piana na jego ustach, wychodzące z orbit oczy, zgrzytające szczęki. Dobrze, że nie jest to człowiek silnie zbudowany fizycznie, bowiem w stanie, w jakim się znajduje, jedno jego uderzenie mogłoby pozbawić mnie życia. Dzieci są śmiertelnie wystraszone. „Wykończy nas ten wariat" - po raz pierwszy w stosunku do Yacine przebiega mi przez myśl słowo wariat. Czy jest to bowiem możliwe, ażeby człowiek o zdrowych zmysłach potrafił się tak zachowywać? Jednocześnie, jeżeli postradał zmysły, to jak to jest możliwe, ażeby wobec obcych błyskawicznie zmieniał swoje oblicze, w ciągu sekundy przeistaczając się z szalejącego diabła w uśmiechniętego, opanowanego człowieka, świetnego mówcę o niezwykłych zdolnościach oratorskich, zdolnego przekonać o swoich racjach całe otoczenie? Stąd wniosek, że potrafi ocenić sytuację i zapanować nad nią.

Dlaczego więc stwarza takie piekło mnie i tym biednym, nic nie winnym dzieciom? Jak to wszystko zrozumieć, gdzie szukać pomocy?

Tymczasem zbliża się dzień powrotu Yacine do pracy, jego urlop już się chyba skończył.

Jest 5 października. Od samego rana w domu rozpętało się takie piekło, że nie jestem w stanie tego opisać. Staram się zachować zimną krew,

zdaję bowiem sobie sprawę, że wszystko ma swoje granice i że jeśli wpadnę w furię, to mogę stracić nad sobą kontrolę.

- Ty.... jak ja będę w pracy to będziesz się.... co? Drogę będziesz miała wolną, co?

Jego rozczapierzone palce przy mojej twarzy, zgrzytające szczęki. **Jak** wariat wpada do kuchni. Na moje nieszczęście nie zdążyłam schować kuchennego noża, łapie go, rzuca się na mnie.

- S... z tego domu, nie masz prawa do niego wrócić, bo cię zabiję. Ale nie, ty k.... sama nie pójdziesz, bo będziesz się...! Wynoś się razem z dzieckiem! - prawie wyrzuca mi na podwórko Sabrinkę.

- Mamusiu, mamusiu! - krzyczy Riad zza zamkniętych drzwi.

Sonia jest w szkole. Biorę na ręce płaczącą Sabrinkę. Nie mam przy sobie nic, żadnego dokumentu, ani jednego dinara. Jestem lekko ubrana, dziecko również. Jest zimno. Sabrinka jest mała, ma tylko roczek. Co robić, gdzie się udać? Na policję? Nie widzę innego wyjścia. Idę na piechotę kilka kilometrów z dzieckiem na rękach. W komisariacie oświadczam, że mąż wyrzucił mnie z domu z dzieckiem i zagroził, że mnie zabije, jeżeli wrócę. Policjanci chłodno oświadczają, że nie mogą nic dla mnie zrobić, że mam udać się do prokuratora, do sądu. Pewnie! Mam tu już ugruntowaną reputację, a to dzięki oszczerstwom Yacine. Wychodzę.

Do sądu rejonowego w Hussein Dey jest kawał drogi, następne kilka kilometrów. Sabrinka płacze, chce jej się jeść i pić, ale nie mam wyboru. Jak długo szłam? Nie wiem. Pamiętam tylko, że zdrętwiały mi ręce i płakałam całą drogę. Miałam szczęście, ponieważ prokurator akurat przyjmował, a w tym okresie przyjęcia interesantów odbywały się dwa razy w tygodniu. Ogromna masa ludzi, trudno się przecisnąć. W końcu dostaję się jakoś do sekretariatu, w którym urzędują dwie sekretarki i sekretarz. Tłumaczę, o co chodzi. Są raczej przychylnie nastawieni do mnie, nic ich nie dziwi, widzieli już chyba niejedno. Trochę zażenowani, że takie rzeczy przytrafiają się w ich kraju również cudzoziemcom. Sekretarz, młody i uprzejmy chłopak, mówi, żebym chwilę poczekała, że zaraz zostanę wezwana. Rzeczywiście, nie czekam długo. Prokurator przyjmuje na pierwszym piętrze dość okazałego budynku sądowego. Ogromna poczekalnia-hol poprzedza wejście do długiego korytarza,

z którego prowadzą drzwi do sekretariatu oraz kilku gabinetów. Poczekalnia-hol odgrodzona jest od korytarza wahadłowymi drzwiami, przed którymi siedzi policjant. Zostaję wezwana przez sekretarza. Wchodzę do obszernego gabinetu, z ogromnym biurkiem na środku pokoju i dużym portretem prezydenta Algierii na ścianie.

- Słucham panią, o co chodzi?

Dobrze, że potrafię wysłowić się po francusku. Co by było, gdybym nie znała tego języka? Myślę o tym, jak radzą sobie nasze dziewczyny w obcych krajach w trudnych sytuacjach bez znajomości języka.

- Czego pani chce? - powtarza prokurator, zapoznany wcześniej z moją sprawą przez sekretarza.
- Chcę wrócić z dziećmi do Polski - oświadczam stanowczo.
- Bez zgody pani męża jest to niemożliwe - odpowiada mi.

Wtedy po raz pierwszy dociera do mojej świadomości fakt, że jakakolwiek byłaby sytuacja, prawo daje całkowitą władzę nade mną i dziećmi mojemu mężowi.

- Więc mam żyć w takim koszmarze, można mnie bić i wyrzucić z dziećmi na ulicę?
- Spróbujemy go trochę uspokoić.

Prokurator pisze coś na oficjalnym druku, wkłada do koperty, zakleja i podaje mi.

- Proszę iść z tym na komisariat. Jeżeli sytuacja się powtórzy, proszę przyjść znowu - słyszę przyjazną odpowiedź, wypowiedzianą ciepłym tonem.

Wychodzę. Na dworze jest zimno, pada deszcz. Sabrinka, głodna i zmęczona, zasnęła na moich rękach. Zastanawiam się, jak pokonać te kilka kilometrów do komisariatu na Vieux Kouba ze śpiącym dzieckiem na rękach, prawie sztywnych ze zmęczenia. Nie mam zupełnie siły. Podchodzę do rzędu stojących przed budynkiem samochodów. W niektórych siedzą mężczyźni. Proszę ich po kolei o podwiezienie mnie na Vieux Kouba. Patrzą na mnie jak na wariatkę. Wreszcie po kolejnej próbie jeden z kierowców zgadza się podwieźć mnie, ale za chwilę, bo oczekuje pasażera. Ta chwila trwa prawie dwie godziny. Siedzę z dzieckiem na przydrożnym kamieniu, gdyż nie mam siły stać. Sabrinka obudziła się

cała posikana, a na dworze jest bardzo zimno. Dziecko może nabawić się przeziębienia.

- Mama, jeść, pić - płacze biedaczka.

Boże, co ja mam zrobić? Boże, widzisz to i nie grzmisz?! Za co **tak** nas karzesz? Czym sobie na to zasłużyliśmy? Czy to ma być próba dla człowieka? Jeżeli tak, to jakiemu celowi ma ona służyć? W końcu wsiadamy do samochodu i jedziemy. Ponury Algierczyk o nic nie pyta i podwozi nas do komisariatu. Jest późno, ale w komisariacie gwarno. Podaję decyzję prokuratora pierwszemu napotkanemu mundurowemu. Każe mi poczekać. Po chwili zostaję wezwana do jakiegoś biura. Informują mnie, że radiowozu nie ma, a muszą pojechać po mojego męża. Czekać? Znowu czekać? A Sabrinka? Biedna, na wpół żywa, z paluszkiem w buzi, znowu zasnęła w moich ramionach. Wreszcie jest radiowóz. Jadą po Yacine. Za chwilę przyjeżdżają razem z nim. Yacine jest zupełnie spokojny, wygląda normalnie. Jeden z policjantów czyta mu decyzję prokuratora:

- Ma pan zostawić żonę i dzieci w spokoju lub podać sprawę do sądu, jeśli coś panu nie odpowiada.

Każą podpisać mojemu mężowi odczytane przed chwilą zdanie. Yacine podpisuje. Uśmiechnięty, zadowolony, wraca do domu. Mnie odwozi policyjny samochód. Jest już późny wieczór. Sabrinka jest odparzona, głodna i wystraszona. Riad patrzy na mnie zdziwionymi oczami - gdzie byłaś mamusiu? Sonia ma oczy spuchnięte od płaczu. Grzeję wodę, kąpię Sabrinkę, smaruję jej odparzoną pupcię. Przygotowuję jej jedzenie - marny posiłek z tego, co jest w lodówce. Nawet nie pytam, czy pozostała dwójka coś jadła i jak spędził dzień mój czteroletni syn, gdzie się podziewał? Przecież ojciec był w pracy, a Sonia w szkole. Sabrinka, wykąpana i nakarmiona, usypia.

Cały czas śledzą mnie bacznie oczy Yacine, czy przypadkiem nie wzięłam sobie czegoś do jedzenia. Jestem straszliwie głodna, ale staram się to jakoś przemóc. Wreszcie nie wytrzymuję i gotuję sobie jajka. Widzi to Yacine, w którego wstępuje szatan. Decyzja prokuratora? Zapomniał o niej chyba w tym samym momencie, w którym dano mu ją do podpisania. Zamyka drzwi wejściowe i zaczyna się piekło. Kopanie,

bicie, ciągnięcie za włosy, krzyki oszalałych ze strachu dzieci. Słyszy to rodzina Belaici, zbiegają się z góry, tłuką się do naszych zamkniętych drzwi. Yacine musi otworzyć. W drzwiach staje Zoubida i jej córka Karima. Yacine z pianą na ustach powtarza jak opętany: „Zabiję tę k.... jadła moje jedzenie!" Zoubida i Karima krzyczą na niego, sytuacja powoli się uspokaja.

Korzystając z zamieszania, blokuję łóżkiem i dziecinnym łóżeczkiem drzwi w moim pokoju, tulę do siebie Sabrinkę i Riada i tak trwamy do rana. Rano Yacine poszedł do pracy, ale zamknął nas na klucz. Tak, jak gdyby mógł w ten sposób odciąć mi drogę do wyjścia! Przecież z okna pokoju Soni jest tylko pół metra wysokości na nasze podwórko! Czy ten człowiek przestał już zupełnie myśleć? Bez trudu wychodzę przez okno. Sonia poszła bez jedzenia do szkoły. Riad siedzi razem z Sabrinką w jej łóżeczku. Pędem biegnę do najbliższych sklepów. Kupuję chleb i mleko, trzeba oszczędzać moje 500 dinarów. Wracam, gotuję mleko, moczę w nim bułkę, daję Sabrince i Riadowi. Na obiad nie mają nic oprócz jakichś nędznych jarzyn. Przychodzi ze szkoły głodna Sonia, nic nie odzywa się, patrzy na to, co jej podsuwam do jedzenia, z niechęcią połyka. Wieczorem wraca do domu Yacine. Krzyk od progu:

- Co.... wychodziłaś się.... co?

I znowu zamierza się na mnie! Tym razem nie wytrzymuję. Czuję nagły przypływ sił i wściekłość bez granic. Na oczach trójki przerażonych dzieci oddaję mu kopniaki, potężny cios mojej pięści ląduje na jego twarzy. Zaskoczony zamiera w bezruchu.

- Spróbuj mnie ruszyć! Zabiję cię!

To jakoś pomogło. Przez chwilę jest spokój.

Mija kilka dni, w czasie których dzieci przymierają głodem, ponieważ nie ma prawie nic do jedzenia. Przecież tak dalej być nie może! Wszystko gotuje się we mnie. Jest 14 października 1986 roku. Yacine wraca z pracy. Zastępuję mu drogę.

- Gdzie jedzenie dla dzieci? - pytam. - Masz zamiar je zamorzyć? Co one ci zrobiły?

Po moich słowach otwiera się piekło. Yacine wpada w szal, którego żadne słowa nie są w stanie opisać. Na przemian to bije głową o podłogę,

to tarza się po niej, to znów dusi mnie za gardło i ciągnie za włosy. Gdzieś udaje mu się znaleźć nóż, chociaż wszystkie pochowałam. Spadają na mnie ciosy zadawane nożem. Brutalne kopniaki w brzuch prawie pozbawiają mnie świadomości. Dzieci płaczą, ja krzyczę jak opętana. Słychać potężne pukanie do drzwi. Yacine znowu zmuszony jest otworzyć. W drzwiach stoi Zoubida, Karima i Malika. Zoubida podbiega i wyrywa nóż z ręki Yacine.

- Co tu się ciągle u was dzieje? - powtarza w kółko.
- Jak to, co się dzieje? Nie widzi pani, że ten wariat chce nas pozabijać?! - krzyczę.

Jestem cała pokrwawiona, ledwo trzymam się na nogach. Zoubida, Karima i Malika nie wiedzą co robić, bezradnie stoją i powtarzają bez sensu: - *C'est impossible, c'est impossible**.

* To niemożliwe, to niemożliwe.

Znowu ta sama scena: łapię Riada i Sabrinkę, biegnę do pokoju, tarasuję drzwi moim łóżkiem i łóżeczkiem Sabrinki. Dzieci są głodne i przerażone. W nocy słyszę w salonie walenie głową o podłogę i krzyki Yacine. Serce podchodzi mi do gardła. Czuję, że nasz koniec się zbliża. Zostawiam dzieci i jak oszalała wybiegam z mieszkania szukać pomocy. Drzwi są otwarte, nikt mnie nie zatrzymuje. Jest druga w nocy. Na ulicy nie ma żywego ducha. W końcu udaje mi się złapać taksówkę. „Badjarah" - rzucam zdziwionemu taksówkarzowi. Pewnie! Samotna Europejka, godzina druga w nocy i dzielnica Badjarah, jedna z tych, w której przebywanie nawet w biały dzień nie należy do przyjemności. Przesiedlono tu biedotę z walącej się Casbah. Ogromne osiedle to rzędy równo stojących długich, jednakowych czteropiętrowych domów wybudowanych w ostatnim okresie z funduszy miasta. Brudno i ponuro. W dzień między budynkami bawią się grupy biednie ubranych dzieciaków. Dojeżdżamy do domu teściów. Płacę za taksówkę, wysiadam. Wokoło nie ma żywego ducha. Na dodatek drzwi wejściowe na klatkę schodową są zamknięte. Krzyczę i rzucam kamieniami do okna, wyrywam ze snu pół bloku. W końcu otwiera się właściwe okno, przez które wygląda Salem,

brat Yacine. Natychmiast zbiega na dół, otwiera drzwi na klatkę schodową i prowadzi mnie do mieszkania.

- Co się stało? - pyta przerażony.

Opowiadam, błagam, ażeby mi pomogli, tłumaczę, że Yacine nas pozabija.

- Ależ nie, skądże! - śmieją się Salem, teściowa i bratowa. - Co ty wygadujesz? To bardzo dobry chłopak.

Niemniej jednak udaje mi się przekonać Salema i Madinę, ażeby pojechali ze mną do domu. Jest czwarta rano. Z bólem serca i niepokojem o los pozostawionych dzieci wracam z nimi taksówką. W domu oddycham z ulgą. Podczas mojej nieobecności dzieciom nie przytrafiło się nic złego, chociaż są przerażone, nie śpią i płaczą. Yacine usiłuje je uspokoić. Jest ogromnie zdziwiony na widok brata i siostry.

- Co tu się dzieje? - krzyczy Salem.

Tym samym krzykiem Yacine odpowiada mu, że nie będzie trzymał w domu k.... która zdradza go z wszystkimi mężczyznami.

- Widziałeś? - pyta lakonicznie brat.
- Nie widziałem, ale ona sama mi o tym powiedziała.

Fakt, zrobiłam ogromny błąd. Przez trzy miesiące koszmaru i przemocy, słysząc sto razy dziennie zadawane mi przy różnych okazjach i w różnych sytuacjach pytanie: „Zdradziłaś mnie, tak?" i myśląc, że może coś zmieni przyznanie się do winy, powiedziałam „tak", sądząc błędnie, że Yacine zostawi mnie w spokoju. Teraz nie wiem, jak wytłumaczyć to jego bratu, który właściwie niewiele z tego wszystkiego rozumie. Następuje wzajemna przepychanka. Salem i Yacine wykrzykują coś między sobą po arabsku, do tego dołącza się Madina. Ja obiecuję sobie bronić się inaczej. Dyskusja braci trwa do rana, w końcu każdy *z* nich idzie do swojej pracy, ja zostaję z Madiną. Ażeby nie wzbudzić jej podejrzeń, po śniadaniu biorę dzieci - Sabrinkę do wózka, a Riada za rękę i postanawiam udać się na policję, ażeby przedstawić ślady pobicia na moim ciele. Znowu daleka droga z dziećmi na Vieux Kouba. Nieprzyjemne, wrogie spojrzenia na komisariacie. Zostaję jednak wezwana do jakiegoś pokoju. Tłumaczę, o co chodzi. Policjanci niechętnie wyjaśniają mi, że nic nie

mogą zrobić bez zaświadczenia wydanego przez lekarza sadowego, praktykującego w szpitalu Mustapha. Całe szczęście, że uzyskałam chociaż taką informację. O wyegzekwowaniu decyzji prokuratora nikt z tych „przedstawicieli prawa" nawet nie wspomniał.

Korzystam z tego, że jestem poza domem, postanawiam dotrzeć do szpitala Mustapha. Koszmarna, długa podróż z dwojgiem dzieci w zatłoczonym do ostatecznych granic autobusie. W szpitalu Mustapha - najpierw wizyta u lekarza ogólnego, który wydaje mi zaświadczenie o pobiciu. Z tym zaświadczeniem mam udać się do innego budynku, gdzie mieści się medycyna sądowa. Czekam w kolejce kilka godzin. Biedne dzieci, nie mam dla nich nic do picia i jedzenia. Pacjenci - w większości kobiety - w opłakanym stanie. Porozbijane głowy, widoczne na ciele sińce. Przychodzi moja kolej. Lekarz, miody człowiek, jest bardzo przychylnie nastawiony do mnie. Słucha wyjaśnień i wydaje mi stosowne zaświadczenie o kilkudniowej niezdolności do pracy, co określa stopień pobicia. Koszmarny powrót do domu, do piekła, które zaczyna się na nowo. Yacine przyszedł już z pracy.

- Gdzie byłaś, ty k...? Czy wiesz która jest godzina?

Kopniaki, ciągnięcie za włosy, krzyki, płacz dzieci, horror! Wybiegam z domu na pół rozebrana, w biegu naciągam spódnicę, już na ulicy zakładam bluzkę. Która jest godzina - nie wiem. Wiem tylko, że jest już bardzo późno. Zatrzymuję w biegu taksówkę. „Vieux Kouba - policja" - rzucam. Taksówkarz patrzy na mnie jak na prostytutkę. Kim innym bowiem może być Europejka, w rozpiętej bluzce, sama na ulicy o takiej porze?

Na policji - te same niechętne, wrogie spojrzenia mężczyzn. Już mnie tu wszyscy znają - z opowieści i skarg mojego męża oraz z moich pobytów. Najwygodniej jest wierzyć w to, co mówi Yacine, ich obywatel. No i te europejskie i amerykańskie filmy, które pokazują w algierskiej telewizji. Wszędzie zdrady i niewierności... Współczucie dla Yacine, ogromna niechęć do mnie. Czytam w ich oczach: - wyjeżdżaj z naszego kraju, nie jesteś godna naszego obywatela, a dzieci są obywatelami algierskimi i nigdy ich nie dostaniesz. Właśnie. Dzieci. Użyłam już wszystkich sposobów, ażeby uzyskać od Yacine pozwolenie na ich

wyjazd ze mną. Po powrocie z wakacji oddałam mu wszystkie nasze wspólne dewizowe oszczędności, ażeby go „kupić" i uspokoić. W chwilach, w których nie urządzał burd, próbowałam spokojnie mu wytłumaczyć, że jeżeli odda mi dzieci, zostawię mu wszystko, więc będzie mógł spokojnie założyć sobie nową rodzinę. Niby słuchał, by po chwili wybuchnąć w szalonej furii: „Ty k.... s... do Polski sama, dzieci nigdy nie dostaniesz!" Powtórzyło się to kilkadziesiąt razy. Dałam spokój, zrozumiałam, że nigdy dobrowolnie nie da mi pozwolenia na wyjazd dzieci. Tym bardziej, że jego brat Salem wyraźnie stanął po stronie Yacine. Po śmierci teścia, który zmarł w listopadzie 1986 roku w wieku 77 lat, zaczął często odwiedzać nasze mieszkanie, ażeby odpowiednio ustawić Yacine wobec mnie. Słyszałam ich rozmowę, z której wynikało, że przecież duma rodu, mój syn Riad, ma służyć całej rodzinie. Nigdy nie zgodzą się, ażeby rósł w Polsce na chrześcijanina i jadł wieprzowinę. Salem zaczął przeobrażać się w fanatyka religijnego, który robił z Yacine to, co chciał. Zrozumiałam, że nigdy nie wygram siłą z tymi mężczyznami w walce o syna, że nigdy nie dostanę pozwolenia na wyjazd całej trójki, że muszę uzbroić się w cierpliwość, wykorzystać całą inteligencję i zacząć się mądrze bronić przeciwko temu męskiemu światu, gdzie kobieta musi podporządkować się woli pana i władcy. Jestem więc na policji, gdzie przeszywają mnie, jak zwykle, niechętne, wrogie spojrzenia policjantów.

- Czego pani jeszcze chce od nas? - słyszę złowrogi pomruk stróżów prawa.

Z któregoś pokoju wychodzi porządnie wyglądający, młody, przystojny policjant w mundurze. Tak poznaję Nourreddine, jedynego policjanta, który okazał mi zrozumienie i przychylność i który usiłował zrobić coś w mojej sprawie. Niestety, był to tylko szeregowy funkcjonariusz, który nie miał żadnej władzy, chociaż był inteligentnym i prawym człowiekiem. Wyjmuję zaświadczenie o pobiciu, wydane przez lekarza przysięgłego ze szpitala Mustapha.

- Nie wrócę do domu na noc - oświadczam zdeterminowana. - Mój mąż to wariat, który nas pozabija. Róbcie ze mną, co chcecie, zostaję tutaj.

Konsternacja wśród stróżów prawa. Nourreddine interweniuje.

- Niech pani zobaczy, mamy tylko dwie cele, obie zapełnione. Gdzie pani będzie spała?

- Na ławce w poczekalni - odpowiadam. - Nie wyjdę stąd do rana, a rano musicie znaleźć jakieś rozwiązanie.

Proszą mnie do jakiegoś biura. Jest ciemna noc. Nie pamiętam już, kto spisał protokół na maszynie i moją deklarację. Dołączono zaświadczenie o pobiciu.

- Musi pani wrócić do domu. Odwieziemy panią radiowozem. Mąż musi podpisać wezwanie na jutro rano. Pani również zgłosi się u nas jutro. Postaramy się, ażeby prokurator podjął stosowne decyzje. Trzeba skończyć z tymi awanturami, raz i definitywnie - mówi Nourreddine

Przyjeżdża radiowóz z nocnego patrolu. Odwożą mnie. Dwóch policjantów wchodzi ze mną do domu. Wołają Yacine. Wychodzi uśmiechnięty, zadowolony, bardzo spokojny. Podpisuje wezwanie.

Jestem potwornie zmęczona. Dzieci już śpią. Czy coś jadły? W lodówce pusto. Codziennie modlę się do Boga o śmierć Yacine. Nie widzę innej możliwości uwolnienia nas od tego chorego człowieka. Rano budzę wcześnie Sonię.

- Nie możesz iść do szkoły, musisz pilnować Riada i Sabrinki.

Sonia płacze. Yacine i ja, każde z osobna, udajemy się na komisariat. O godzinie ósmej zjawia się samochód policyjny. W asyście trzech policjantów jedziemy radiowozem do Hussein Dey, do gmachu sądu, gdzie mamy stawić się przed prokuratorem. Trwa to wieczność. Wreszcie zostajemy poproszeni - Yacine pierwszy. W gabinecie prokuratora przebywa chyba z godzinę. Mogę sobie wyobrazić, co usłyszał prokurator. Yacine potrafił mówić dużo, pięknie i bardzo przekonywająco. Widzę więc w wyobraźni tę scenę: prokurator i siedzący po przeciwnej stronie jego biurka Yacine, uśmiechnięty, czarujący, elokwentny, nie dopuszczający prokuratora do głosu, przekonywający w doskonały sposób o swoich racjach, wiążący w logiczną całość swoją opowieść o moich zdradach... Teraz moja kolej. Co mam powiedzieć? Gdybym wtedy wiedziała, że jego zachowanie to ciężki przypadek paranoi, może potrafiłabym się jakoś bronić. Wchodząc do pokoju prokuratora wiem, że stoję na

przegranej pozycji. Widzę go po raz pierwszy. Nieprzyjemne, zimne spojrzenie. Nie każe mi nawet usiąść. Stoję. To, że jestem matką trójki obywateli algierskich, nikogo nie obchodzi. Takiej k... nikt tu nie potrzebuje.

- Czego pani żąda? - pyta chłodno prokurator.
- Chcę wyjechać z dziećmi do Polski.
- Niemożliwe bez zgody męża - pada lodowata odpowiedź. - Zabrania tego *Code de la familie**.

* Kodeks rodzinny.

Mój pobyt w gabinecie przedstawiciela prawa trwa jedną minutę. Wychodzę. Nikt na mnie nie czeka. Nie ma Yacine. Nie ma policjantów. Koniec, kropka. Sprawa została załatwiona definitywnie. Uginają się pode mną nogi. Zrozumiałam, że znalazłam się w pułapce bez wyjścia. Nie wiedziałam, że jednak prokurator powziął minimalne decyzje. Kazał podpisać mojemu mężowi dokument stwierdzający, że jeżeli żona mu nie odpowiada, ma wystąpić o rozwód i przestać się awanturować. Dokument ten przekazał do sądu, nie mógł bowiem kompletnie zignorować zaświadczenia o pobiciu, wystawionego przez lekarza przysięgłego.

Po niedługim czasie oboje dostajemy wezwanie na rozprawę sądową na 23 października 1986 roku. Nie ma kto zająć się dziećmi. Sonia płacze, chce iść do szkoły. Yacine przyprowadza na ten dzień swoją matkę. Biedna kobiecina patrzy na nas z wyrazem głębokiej troski na twarzy, nic nie mówi. W okresie, kiedy pracowałam, teściowa wielokrotnie była moim gościem. Mieszkała nawet u nas kilka tygodni, ponieważ miała kłopoty z żołądkiem i ja postanowiłam ją wyleczyć naszymi polskimi „kleikami" z kaszki manny. Okazywała mi taki szacunek, że było to dla mnie aż krępujące. Pomagała mi, jak mogła, ze wszystkim zwracała się do mnie, a nie do swojego syna. Pytała nawet o pozwolenie otworzenia lodówki, co wprawiało mnie w ogromne zakłopotanie. Niestety, nie mogłyśmy się porozumieć, bo ja nie znałam arabskiego, a ona - francuskiego. Bardzo bolała ją sytuacja w naszej rodzinie, nigdy jednak nie powiedziała na mnie złego słowa, nie stanęła ani razu po stronie swego

syna. Cóż jednak znaczyło jej słowo? Była meblem, obijanym przez męża i pomiatanym przez własne dzieci.

Tak więc teściowa zostaje z Riadem i Sabrinką, my udajemy się do sądu. Yacine jedzie naszym samochodem, ja biorę taksówkę. Moje 500 dinarów topnieje do zera. Jestem w sądzie punktualnie. Nie bardzo wiem, dokąd mam się udać, całe wezwanie wypisane jest po arabsku. Wreszcie ktoś skierowuje mnie we właściwe drzwi na parterze. Ogromna, ponura sala słabo oświetlona. Na środku podium stoi długi stół. Po jego prawej stronie - mniejszy stół, po lewej stronie - ławy dla adwokatów. Na sali długie ławy do siedzenia: po prawej stronie - dla kobiet, po lewej - dla mężczyzn. Z tyłu za ławami dużo wolnego miejsca - to dla tych, dla których zabrakło miejsc siedzących. Wejście dla sądu jest osobne, od strony podium.

Nie mam miejsca siedzącego. Stoję. Patrzę na wezwanych. Cała sala zatłoczona. Biednie ubrani ludzie, niewielu adwokatów. Punktualnie o godz. 9^{00} wchodzi sąd. Trzech mężczyzn ubranych w sędziowskie togi. Zajmują miejsca przy środkowym stole. Obok - pisarz sądowy. Adwokaci po lewej stronie. Jest chyba także prokurator, który zajmuje miejsce przy stole ustawionym po prawej stronie. W każdym razie na pewno widzę go po raz pierwszy. Rozpoczyna się rozprawa. Pisarz sądowy wywołuje nazwiska. Nic nie słyszę. Przed barierką sądową przewijają się ludzie. Wszystko przebiega bardzo szybko, sędzia wydaje wyroki bez zbędnych ceregieli. Nic nie rozumiem, ponieważ rozprawy toczą się po arabsku. Czasami publiczność, adwokaci i sędziowie wybuchają gromkim śmiechem. Ci prości ludzie najczęściej nie mają adwokatów, więc wszystko idzie błyskawicznie. Zastanawia mnie, jak po pięciu minutach rozprawy (lub krócej) sędzia może wydać jakiś wyrok, nie mówiąc już o jego słuszności?

Sąd kończy pracę o godzinie 13^{00}. Nasza sprawa jest ostatnią spośród kilkudziesięciu paru. Uff! wzywają nas. Sędzia mówi coś po arabsku. Rozumiem, że informuje mnie, iż językiem urzędowym w sądzie jest język arabski i rozprawa musi odbywać się po arabsku. Nie rozumiem dlaczego, skoro sędzia wie, że jestem Europejką, i widzi, że nie znam arabskiego. Okazuje się jednak, że sędzia (bardzo młody z wyglądu) nie

radzi sobie z językiem francuskim i mimo jego dobrych chęci zupełnie nie wychodzi mu konwersacja ze mną. W końcu sędzia pyta, czego chcę.

- Chcę wyjechać z dziećmi do Polski - oświadczam.

Sędzia zwraca się do mojego męża w arabsko-francuskiej mieszaninie:

- Pan się zgadza?
- Nie - odpowiada Yacine.

Teraz padają jakieś słowa po arabsku, ale zupełnie nie rozumiem ich sensu. Dopiero w domu dowiaduję się od Yacine, że sędzia zasądził dwa tysiące dinarów odszkodowania na moją korzyść za pobicie mnie. Gdyby Yacine trzymał się ściśle procedury sądowej, złożył odwołanie od wyroku, a później zażądał odpowiedniej procedury od komornika, nigdy nie otrzymałabym tych pieniędzy, a sprawa ciągnęłaby się latami. Jednak Yacine, który nigdy nie miał do czynienia z sądem, nie znał żadnego adwokata, na drugi dzień wysłał mi pocztą pieniądze. Był nieźle wystraszony. Uspokoił się. Na jak długo?

Dalszy ciąg awantur, rozprawa rozwodowa

Względny spokój w domu pozwolił mi na zmobilizowanie się i sprzedanie rzeczy, które przywiozłam z Polski. Yacine nawet nie zaglądał do walizek. Interesowały go tylko moje „zdrady". Inne sprawy zeszły na dalszy plan. Youcef, najmłodszy syn gospodarzy, wziął ode mnie wszystkie rzeczy i sprzedał je swoim znajomym w dzielnicy, oczywiście nieźle na tym zarabiając. Nie miał żadnych skrupułów, chociaż widział, jaka krzywda mnie spotyka. Wszyscy Belaici nie opowiedzieli się wyraźnie po stronie Yacine tylko dlatego, że zdawali sobie sprawę, iż to ja miałam do tej pory ostatnie słowo w najważniejszych decyzjach naszej rodziny. Bali się, że stracą kurę znoszącą złote jajka. Ponieważ nie mieli mi nic do zarzucenia, musieli zachować dystans do wszystkich spraw i awantur powodowanych przez Yacine. W sumie za sprzedane rzeczy uzbierało mi się około 10 000 dinarów, niezła kwota na niezbędne wydatki. Schowałam bardzo starannie pieniądze. Było mi lżej żyć z myślą, że w razie czego mogę dokupić dzieciom i sobie trochę jedzenia.

Przeglądałam wszystkie swoje kwity wypłat z okresu mojej trzyletniej pracy w S. Podsumowałam. Zarobiłam netto 156 000 dinarów. Gdzie podziały się te pieniądze? Utopiłam je w kupnie dewiz na czarnym rynku (wszystkie oddałam Yacine w nadziei kupienia wolności dzieci), kupiłam samochód na nazwisko Yacine, zapełniłam jego mieszkaniową książeczkę oszczędnościową, na którą nie miałam upoważnienia. Biedna, głupia idiotka, jak powiedziała o mnie Maria, i miała rację. Trzeba być pozbawionym zupełnie instynktu samozachowawczego, nie zostawiając sobie choć minimalnego zabezpieczenia w takim kraju jak Algieria. Niestety. Wpojone mi w rodzinie zasady uczciwości wobec męża okazały się dla mnie zgubne.

* * *

Malika, żona Mohameda, ma już w tym czasie pięcioro dzieci: Soumiyę, Zoheira, Sarah i bliźniaki - Hakima i Hakimę. Pomimo piątki dzieci dalej od samego rana sprząta cały dom Zoubidy, pierze ręcznie stosy ubrań wszystkich domowników, gotuje. Chodzący robot wieloczynnościowy. Jej mąż Mohamed jeździ taksówką, a po pracy znika z domu. Wystaje na ulicy z kumplami lub przesiaduje godzinami w pobliskiej kawiarni, żując tabakę. Na każdej ulicy są małe, zadymione, obskurne kawiarnie, w których nie ma prawa przebywać kobieta. Męski świat, zapełniony dymem z papierosów. Nad małą filiżanką ekspresowej kawy lub zielonej herbaty upływają tym mężczyznom godziny, dni, lata... O czym mogą rozmawiać tyle czasu, jakie problemy mogą poruszać? A tymczasem ich żony, zaharowane w domu, skazane same na siebie, pozbawione są jakiejkolwiek pomocy ze strony męża. Okazywanie żonie uczuć jest rzeczą wstydliwą, której należy unikać. Uczucie? Czy ci mężczyźni potrafią w ogóle kochać? Przecież taki schemat „miłości" powtarza się tutaj od pokoleń. Dzieci rosną w rodzinie, w której nie widują miłości między rodzicami. Najczęściej ona nie istnieje, z reguły bowiem małżeństwa są zaaranżowane. Chłopiec od najmłodszych lat cały swój czas wolny spędza poza domem, ganiając z kolegami lub jako wyrostek wystając z kumplami z dzielnicy na dworze do późnego wieczora. Tak odbywa się jego edukacja. Dziewczynka, zamknięta w domu, od najmłodszych lat wdrażana jest do prac domowych.

Przez wiele lat obserwowałam małżeństwo Mohameda i Maliki, zaaranżowane przez ich ojców podczas spotkań w kawiarni. Nie wiem, czy Malika i Mohamed chociaż raz mieli okazję zobaczyć się przed ślubem. Jeżeli tak, to na pewno nie sami, ale w asyście licznej rodziny. Być może, jak wiele innych młodych par, zobaczyli się dopiero w dniu zawarcia ślubu. Nigdy nie widziałam Mohameda pomagającego żonie lub manifestującego w stosunku do niej jakiekolwiek uczucie. Malika dalej pierze i wywiesza na sznurku po swojej stronie podwórka ciągle te same stare, sprane, podarte ubrania. Nędza. Sama od wielu lat chodzi w tych samych rzeczach. Mąż jej nic nie kupuje. Po co? Przecież nigdzie z nią nie

wychodzi, a w domu i tak jej nikt nie widzi. Malika jest chuda jak patyk. Zaczyna kaszleć. Mijają dni i tygodnie, a kaszel Maliki nie ustaje. W końcu pytam, czy się leczy, nie podoba mi się ten kaszel. Mówi, że lekarz ogólny przepisuje jej syropy, a teraz bierze zastrzyki - antybiotyki. Po ostatnim zastrzyku Malika mdleje. Słyszę jakieś przerażone krzyki. Wychodzę i pytam, co się stało. W domu jest Mohamed, który zupełnie nie reaguje na to, że jego żona straciła przytomność. W końcu Malika odzyskuje świadomość, natomiast ja nie wytrzymuję:

- Zamiast wozić ją po lekarzach ogólnych idź do szpitala i zrób żonie prześwietlenie płuc, bo według mnie ona ma gruźlicę! - krzyczę.

Oczy Mohameda, nienawistne w swoim spojrzeniu, chcą mnie zabić.

- Jakim prawem się wtrącasz? - odpowiada mi wrogo.

- Jakim prawem? Przecież mieszkamy w jednym domu, moje dzieci bawią się z twoimi! Nie wiesz, że gruźlica jest zaraźliwa? - pytam głupio, ten człowiek bowiem nie ma o niczym pojęcia.

W końcu Mohamed bierze Malikę do właściwego lekarza. Diagnoza: zaawansowana gruźlica płuc. A mój syn ciągle przesiaduje z Zoheirem. Są w tym samym wieku. Trzeba zaszczepić przeciw gruźlicy wszystkie dzieci z naszego domu - stawiam sprawę jasno. Ale gdzie tam, nikt ani myśli. Pakuję Zoheira i Riada do taksówki i jadę do szpitala Parnet. Najpierw test przeciw gruźlicy. Po kilku dniach wynik. Riad jest odporny, Zoheir nie. Biorę Zoheira i jadę go zaszczepić, ponieważ wiem. że własny ojciec nigdy tego nie zrobi. Mohamed tymczasem szybko pobiegł zrobić sobie prześwietlenie płuc, ażeby być pewnym, że nie zaraził się od żony. Jej kuracja potrwa sześć miesięcy. Ciężko chora Malika otrzymuje od lekarza zalecenie odpoczynku i dobrego odżywiania się. Odpoczynku? Nic nie zmienia się w ich rodzinie. Synowie Zoubidy, bezrobotni, podpierają cały dzień mury domów, Mohamed jeździ taksówką. Zoubida jak matrona przechadza się po domu nic nie robiąc, jedynie wydając polecenia, a Malika jak pracowała, tak pracuje. Dalej w każdy czwartek i piątek w domu Zoubidy roi się od gości i to Malika ich obsługuje, mając pięcioro własnych dzieci! Wreszcie dziewczyna wybucha. Ale nie

gniewem czy protestem. Widzę ją siedzącą na podwórku, zalewającą się rzewnymi łzami. Już drugi raz widzę ją w takiej sytuacji.

- Co ci jest? - pytam.

- Już nie mogę - odpowiada. - Jestem wykończona. Bardzo źle się czuję. Chciałam odpocząć. Zoubida powiedziała mi, że jeżeli chcę odpoczywać, to mam zabrać dzieci i wynosić się do swoich rodziców. Że u niej nie ma odpoczynku, u niej jest praca. A gdzie ja pójdę z tą piątką dzieci? Rodzina mnie nie przyjmie. A nie mogę ich tutaj zostawić samych, są za małe, kto się nimi zajmie?

Powoli poznaję prawdziwe oblicze tych ludzi. Nie chce mi się wierzyć, ażeby znieczulica miała taki wymiar. Potwierdza to historia z psem Belaici - Popytem. Popyt jest wilczurem, służył rodzinie wiernie przez dwanaście lat. Zestarzał się. Zoubida dostała od sąsiadów nowego psa. Popyta wyrzuciła na podwyższoną część ogrodu po naszej stronie, wcale się o niego nie troszcząc. Biedny pies wielokrotnie przychodził do mojego mieszkania, straszliwie wyjąc i patrząc mi błagalnie w oczy. Jak mogłam mu pomóc? Dawałam mu dobrze jeść, głaskałam uspokajając. Zwierzę czuło swój koniec. Wreszcie Mohamed wziął Popyta do taksówki i wywiózł go kilkaset kilometrów za Algier, bo akurat trafił mu się klient na daleką trasę. Wyrzucił psa na pustyni. Nie potrafił zapłacić kilkadziesiąt dinarów weterynarzowi za uśpienie psa. Wtedy jakiś głos wewnętrzny ostrzegł mnie mówiąc: „Miej się na baczności przed tymi ludźmi i przed całą sytuacją, w której się znalazłaś!"

* * *

Zdałam sobie nagle sprawę, że jestem zupełnie sama, że Yacine odizolował mnie od świata i od ludzi. „Nie dam sobie rady, gdyby coś się stało" - ta myśl nie daje mi spokoju. Cały czas głowię się nad tym, jaką przyjąć wobec niego taktykę. Kodeks rodzinny... Jestem zupełnie uzależniona prawnie od męża, dzieci nigdy nie wyjadą z Algierii, jeżeli on nie da pozwolenia. Postanawiam za wszelką cenę, choćby podstępem, nakłonić go do wspólnego wyjazdu do Polski na wakacje, oczywiście z

trójką dzieci. Zaczynam wprowadzać w życie moją „taktykę". Pomimo jego agresywnego zachowania nie reaguję na zaczepki, chociaż wszystkie wnętrzności wywracają się w moim brzuchu. Yacine, jak zwykle, miewa okresy wzmożonej agresywności. Unika jednak rękoczynów, by znów nie znaleźć się na ławie oskarżonych. Używa jednak innych metod. Każda okazja jest dobra, ażeby napluć mi w twarz i okropnie ubliżyć. Zapomniał już mojego imienia. Dla niego mam na imię „k..." I tak zwraca się do mnie codziennie.

- Ty k.... co jadły dzisiaj MOJE dzieci?
- Ty k.... dlaczego Riad płacze?
- Ty k.... dlaczego lodówka jest wyłączona? itp., itp.

Koszmarne dnie, jeszcze bardziej koszmarne noce. Każdą wolną od jego agresji chwilę wykorzystuję na przekonywanie go, abyśmy wspólnie wyjechali z dziećmi na wakacje. Yacine nie odzywa się, a na jego twarzy za każdym razem pojawia się dziwny, obłąkany uśmiech.

Pewnego wieczoru w algierskiej telewizji oglądam amerykański film. Historia podobna do mojej - szaleńczo zazdrosny mąż, który podejrzewa żonę o zdradę. Przygotowuje cały plan, ażeby ją zabić. Tymczasem żona przypadkowo dowiaduje się o tym, że jego matka i siostra cierpiały na chorobę psychiczną i że jej mąż już był leczony w zakładzie psychiatrycznym. Jest ciężko chorym paranoikiem, zdolnym do popełnienia zabójstwa. To, co żona brała za szaleństwo miłości z jego strony, wcale nie było wynikiem uczucia, a objawem choroby psychicznej. Paranoik, paranoik... Wtedy po raz pierwszy słyszę to słowo. Na drugi dzień, pod nieobecność Yacine, wertuję wszystkie słowniki medyczne znajdujące się w domu oraz francuską wielką encyklopedię zdrowia, w której czytam: „Paranoja - patologiczna konstrukcja osobowości, którą charakteryzują cztery cechy: 1) przecenianie siebie, które prowadzi od zarozumiałości do megalomanii; 2) brak zaufania i ogromna nadwrażliwość; 3) patologiczna odporność na potrzeby i odczucia najbliższych oraz otoczenia; 4) nietowarzyskość, społeczne niedostosowanie".

Paranoika cechuje silna agresywność, którą przypisuje innym. Charakterystycznym symptomem choroby jest zjawisko tzw. lustrzanego

odbicia. Polega to na tym, że jeżeli np. paranoik kogoś pobije, zgodnie z lustrzanym odbiciem, które odbywa się w jego umyśle, jest przekonany, że to jego pobito. Jeżeli paranoik okrada, zgodnie z lustrzanym odbiciem - to jego okradają. Cała patologia osobowości powoduje, że paranoik błędnie osądza i interpretuje realne wydarzenia, dochodząc aż do absurdu. Czytam dalej, że w niekorzystnych warunkach życiowych u paranoika może rozwinąć się psychoza, że różne są postacie tych psychoz. Może to być przekonanie, że jest prześladowany, że ktoś chce go otruć, że czeka go operacja, że ktoś chce go pozbawić wszystkich dóbr materialnych. Najczęstszym objawem psychozy jest chorobliwa zazdrość, połączona z erotomanią i ogromną agresywnością. Paranoik przekonany o swych racjach, potrafi również przekonać całe swoje otoczenie, ponieważ zachowuje sprawność umysłu i inteligencję. Dobrowolnie nigdy nie zgłosi się do lekarza, ponieważ uważa się za człowieka zupełnie zdrowego. Psychoza nie zaczyna się nagle, poprzedzona jest innymi objawami typu: bezsenność, bóle ciała, bóle w łydkach. Paranoik w obronie swoich urojonych racji może zabić.

Czytam to wszystko i włosy stają mi dęba. Zgadza się co do joty z charakterem i postępowaniem Yacine. Żyję pod jednym dachem z chorym człowiekiem, który może nas wykończyć. Jest pozbawiony uczuć wyższych wobec dzieci i opętany żądzą zemsty za urojoną zdradę.

Cała moja istota odrzuca go psychicznie i fizycznie, każdy jego dotyk jest dla mnie cierpieniem, którego nie jestem w stanie opisać. Którejś nocy Yacine krzyczy:

- To tak, ty k...! - To dlatego ze mną „to robiłaś", ażeby wyjechać z dziećmi do Polski? O nie, taki głupi to ja nie jestem! Zapamiętaj sobie, że dopóki żyję, nie dostaniesz pozwolenia na wyjazd dzieci i nie uciekniesz z nimi z Algierii! Będę cię pilnował 24 godziny na dobę. Sama możesz jechać, ty k.... do tej swojej Polski, ale dzieci nigdy nie dostaniesz!

Wiem, że mówi prawdę. Nigdy nie wyrazi zgody na wyjazd dzieci. Pełną władzę nad potomstwem i żoną gwarantuje mu kodeks rodzinny. Nawet gdy jest to psychopata czy życiowy nieudacznik, człowiek

pozbawiony jakichkolwiek wartości, ważne, że jest to mężczyzna, pan i władca w tym kraju. Kodeks rodzinny... Na razie wiem o nim tylko tyle, że mnie uwięził i zupełnie uzależnił od męża. Przeklinam ten kodeks, nie wiedząc jeszcze, że przyjdzie mi zapoznać się dokładniej z wszystkimi jego artykułami.

Kilka dni później cała trójka: Sonia, Riad i Sabrinka dostają ciężkiej grypy. Ja również mam dreszcze i 41°C gorączki. Głowa boli mnie tak, jak gdyby ktoś ciął mi ją żyletką na kawałki. Sabrinka w ciężkim stanie tylko pokwękuje w łóżeczku. Riad jest prawie nieprzytomny z gorączki.

- Co, k.... taki szpital w domu! Ja po pracy chcę odpocząć, a nie bawić się w lekarza! - krzyczy od progu Yacine po przyjściu z pracy.

Zwierzę wyzute z jakichkolwiek uczuć. Ba! Nawet zwierzę nie zareaguje tak w stosunku do własnego potomstwa. Zabiera swoje rzeczy i na trzy dni znika z domu. Idzie do matki i brata. Zostaję sama. Trzeba ratować dzieci. Pakuję do wózka postękującą Sabrinkę, biorę na ręce nieprzytomnego Riada i szybko wychodzę z domu. Mdleją mi ręce, ponieważ Riad jest bardzo ciężki. Nie mogę złapać żadnej taksówki. Dobrze, że mam pieniądze, bo Yacine nie zostawił mi ani dinara.

W Algierii taksówki nie są dla klienta, to klient jest dla taksówek. Jest ich mało i robią wielką łaskę, jeżeli się już zatrzymają. A na ogół nie zatrzymują się, bo jadą już pełne. Wiem, że muszę dojść do lekarza na własnych nogach. Chora, z trojgiem dzieci, ledwo pokonuję ten kilometr drogi, popychając wózek jedną ręką i nogami, podtrzymując przerzuconego przez ramię nieprzytomnego syna. Sonia niewiele może mi pomóc, jest słaba jak mucha.

W poczekalni tłum ludzi. Proszę pielęgniarkę, żeby lekarz przyjął mnie bez kolejki, bo zostawiłam w domu jeszcze jedno małe dziecko. Kłamię, nie po raz pierwszy w ten sposób. Ułatwia mi to omijanie różnych kolejek, wszędzie bowiem spotykam się najczęściej ze zrozumieniem i przychylnością zarówno czekających ludzi, jak i tych, do których się udaję.

W pewnych sytuacjach wykorzystuję z powodzeniem to, że jestem Europejką, przynajmniej o tyle jest mi lżej.

Lekarz dziwi się, że taka chora, przyszłam sama z dziećmi. Nic nie mówię.

- Ciężka grypa - stwierdza.

Przepisuje lekarstwa dla trójki dzieci i dla mnie. Za wizytę płacę 210, za lekarstwa około 500 dinarów. Jak to dobrze, że mam pieniądze. Ciężko chora, nie mam czasu na odpoczynek. Muszę zająć się dziećmi.

Tak mijają trzy dni, które zmieniły mnie zupełnie. Coś przełamało się w mojej psychice. Zabicie Yacine stało się moją obsesją. Zaczęłam się bać, że mogę zrobić jakieś głupstwo. „Zabijesz go, pójdziesz do więzienia, a kto zajmie się dziećmi?" - przekonuję sama siebie. Wreszcie Yacine wraca po trzech dniach. Sucho i zdecydowanie informuję go o tym, co postanowiłam.

- Słuchaj, rób co chcesz - to jest twój pokój, to jest mój i dzieci. Od dnia dzisiejszego nie istniejesz dla mnie. Nie gotuję ci, nie piorę twoich ciuchów. Dla dzieci jedzenie musisz kupować, bo jak nie, to podam cię do sądu, a jeżeli mnie dotkniesz, to przysięgam ci, że cię zabiję!

Po jego powrocie z pracy zamykam się z dziećmi w swoim pokoju. Yacine trzaska drzwiami, piekli się. Dzieci są ogromnie wystraszone, szczególnie mała Sabrinka. Nie dochodzi do rękoczynów, Yacine boi się stanąć przed sądem, ale fakt, że zupełnie nie dopuszczam go do siebie, doprowadza go do szaleńczej wprost wściekłości. Kopanie w drzwi, wywracanie garnków, krzeseł, plucie mi w twarz, ciągłe wyjaśnianie Soni, że jej matka jest k.... która zadaje się z wszystkimi - z Arabami i z Polakami. Biedna Sonia bez przerwy płacze. A ja w myślach ćwiartuję ojca moich dzieci na kawałki, wielokrotnie zadając mu śmierć za wszystkie krzywdy, jakie wyrządza rodzinie.

Z Polski rodzice ślą listy pełne niepokoju o nasz los. Stan zdrowia mojego ojca gwałtownie się pogorszył, zaostrzyła się astma oskrzelowa i ma to związek z jego ogromnym niepokojem o nasze życie. Staram się

pisać jak najmniej o mojej sytuacji, ale rodzice i tak domyślają się dużo. Zbliża się lato, wakacje, a ja już wiem, że do Polski nie pojedziemy. Ojciec nie może tego przeżyć, pisze rozpaczliwe listy do Yacine, prosi go, żeby wysłał na wakacje przynajmniej Riada. Jednak Yacine, mściwie uparty, ani myśli. Piekło, które stwarza nam codziennie, jest niewyobrażalne. Do kogo się zwrócić?

Postanawiam odwiedzić gabinety dwóch znanych w Algierze psychiatrów. Wizyty zamówiłam miesiąc wcześniej. Zostawiam Riada samego w domu, Sonia jest w szkole. Biorę ze sobą Sabrinkę. Do centrum miasta dojeżdżam autobusem z przystanku na Koubie. Wizyta u pierwszego psychiatry nic nie daje. Opisuję zachowanie mojego męża.

- Paranoik - odpowiada lekarz
- Co można robić w tych warunkach? - pytam.
- Nic. Nie ma możliwości zmuszenia pani męża do leczenia. Zresztą, do jakiego leczenia? Widziała pani, jak działają tutejsze zakłady psychiatryczne? Poza tym jest to choroba nieuleczalna, która ma tendencje do zaostrzania się.
- No dobrze, ale przynajmniej jeżeli nie leczenie, to można by chociaż stwierdzić, że jest to człowiek chory psychicznie i odebrać mu prawo do dzieci. Jak to zrobić, ażeby poddać go badaniu psychiatrycznemu?

Lekarz śmieje się.

- Nie ma żadnej możliwości, droga pani. Co, napisze pani do sądu, że mąż piekli się, ponieważ uważa, że pani go zdradza i że powinien być przebadany przez psychiatrę? Tylko na podstawie pani pisma? Po pierwsze, będzie to pogwałcenie praw człowieka, wynikałoby bowiem z tego, że każdy może napisać na każdego, obojętnie co chce, ażeby zrobić z niego wariata. Po drugie, jest pani Europejką i to na dodatek niebrzydką Europejką. Nie muszę chyba dodawać, że każdy w tej sytuacji przyzna rację mężowi, a nie pani, i że to wszystko obróci się przeciwko pani, bo zostanie pani jeszcze oskarżona o zdradę i dzieci mogą być pani oficjalnie odebrane. Poza tym, jak widzę, wie pani doskonale, że paranoik potrafi udowadniać swoje racje, przekonywać o nich i zmieniać się diametralnie w ciągu minuty.

- Co może mi pan poradzić?
- Nic. Jedyne rozwiązanie - musi się pani z nim rozstać, bo wszystko to może się skończyć tragicznie.

Wizyta u drugiego psychiatry. Słyszę słowo w słowo w to samo.

W domu usiłuję uporządkować fakty. Dopiero teraz jasno zdaję sobie sprawę z tego, że w czasie mojej trzymiesięcznej nieobecności, kiedy byłam w Polsce, u pozostawionego samotnie Yacine rozwinęła się psychoza paranoidalna, że mojemu życiu i życiu moich dzieci grozi straszne niebezpieczeństwo. Wspomniałam wcześniej o tym, że w ostatnim okresie Yacine cierpiał na bezsenność, skarżył się na bóle w łydkach i w rękach. Nieraz przez sen strasznie krzyczał, a gdy go budziłam i pytałam, co mu się śniło, odpowiadał, że śniło mu się, iż go zdradziłam. Stał się także zarozumiały, a przy tym bardzo nieufny w stosunku do wszystkich, a najbardziej do mnie. Przestał utrzymywać z kimkolwiek kontakty. Były okresy, że wymienione objawy nasilały się. Wtedy w domu dochodziło do awantur, w niczym jednak nie przypominających tego piekła, które rozpętało się po moim przyjeździe z wakacji. Ale były i rzadkie okresy względnego spokoju, kiedy wydawało się, że wszystko toczy się normalnie, a Yacine jest kochającym ojcem trójki dzieci. Co miesiąc podejmował z konta pieniądze i prawie zawsze kupował to, o co go prosiłam. Niemniej w ostatnich dwóch latach nasza sytuacja finansowa bardzo się pogorszyła. Ceny rosły, płace nie, a ja oczekiwałam trzeciego dziecka. Yacine był ogromnie niezaradny życiowo i o jakimkolwiek dorobieniu do pensji nie było mowy. Zaczęły się momenty trudne i w okresach zaostrzania się choroby awanturował się o każdego wydanego dinara, co brałam niesłusznie za skąpstwo, a co było wynikiem zaawansowanej paranoi. Jakie wtedy miałam wiadomości z dziedziny psychiatrii? Żadne. Czy ktoś, kto jest bardzo elokwentny i oczytany, bywa błyskotliwy i rzeczowy w swoich wypowiedziach, świetnie zna się na problemach współczesnej polityki międzynarodowej, potrafi rozwiązać skomplikowane zadanie z matematyki - może być człowiekiem chorym psychicznie? Dlatego sądziłam, że mam przed sobą normalnego człowieka o niezwykle ohydnym charakterze, z którym należy zacząć walczyć nie przebierając w środkach. Dopiero teraz potrafię prawidłowo ocenić

postępowanie Yacine. Niestety, o wiele miesięcy, a nawet lat, za późno. Co robić? Co robić?!

Swój notes nieprzezornie zostawiłam w torebce, której zawartość Yacine codziennie kontrolował. Znalazł go tam, a w nim dwa ostatnio zanotowane adresy psychiatrów z datami wizyt. Rzucił się na mnie z furią.

- Co, twoi nowi kochankowie, z którymi się...?

Zamknął drzwi wejściowe i chwyciwszy tępy nóż (wszystko co ostre, pochowałam) zaczął na oślep zadawać mi ciosy po całym ciele. Krzyczę jak oszalała, oddając mu razy, nie mam jednak nic do obrony, albo podświadomie nie chcę mieć, ażeby go nie zabić. Teraz jestem silniejsza od niego. Choroba go wyniszczyła, zrobił się mały i chudy, okropnie się postarzał, wyłysiał.

- Mamusiu! Tatusiu! Przestańcie! - krzyczy Riad. Sabrinka w szoku, wydaje jakieś dziwne jęki.

Wreszcie Yacine puścił mnie. Bije głową o podłogę, krzycząc: „Ta k... zdradziła mnie, zdradziła...” Wybiegam z domu, zostawiając go szalejącego i dwoje dzieci. Jest wczesne popołudnie, jadę na policję. Jestem cała posiniaczona, trzęsę się jak galareta. Znowu pogardliwe spojrzenia policjantów, które mówią niedwuznacznie: „Czego tu jeszcze chcesz, zjeżdżaj do swojego kraju”. Nie mogą jednak całkowicie ignorować mojej obecności, mam wyraźne ślady pobicia na ciele. Ktoś prosi mnie do jakiegoś biura. Widzę tego policjanta po raz pierwszy. Nieprzyjemny, odpychający typ. Jego oczy mówią wyraźnie: „Oto efekt małżeństw mieszanych! Algierczycy żenią się z europejskimi k... i potem przywożą je do naszego kraju, ażeby mieć z nimi same kłopoty!”

Przychodzi naczelnik policji. Nie mam wyboru, wiem, że muszę być małym, nic nie znaczącym punktem na ich mapie działania, że pozostaje mi jedynie pokornie prosić, że nie mogę niczego żądać. Błagam, ażeby zabrali mojego męża siłą do szpitala na badania psychiatryczne.

Kilka dni wcześniej wybrałam się na oddział psychiatryczny szpitala Mustapha i szpitala Idrisi na Koubie. Błagam o pomoc. Młodzi psychiatrzy z przymrużeniem oka, z wszystko mówiącymi uśmiechami na

ustach (Europejka, niebrzydka, mąż podejrzewa ją o zdradę), oświadczyli mi w końcu, że są gotowi przebadać mojego męża, ale muszę go przyprowadzić.

- Jak? - pytam, na zewnątrz spokojna, wewnętrznie wściekła, bo wiem, że przecież jako lekarze psychiatrzy doskonale zdają sobie sprawę, że sam dobrowolnie nie przyjdzie. - Jak? - naciskam, nie dając za wygraną.

- Niech przywiezie go policja.

Jestem więc na tej policji i błagam, ażeby zawieźli Yacine na badania psychiatryczne.

- Dobrze, dobrze, postaramy się to pani załatwić! - obiecują. - Wyślemy wezwanie do pani męża i gdy tylko zjawi się w komisariacie, zabierzemy go na badania psychiatryczne.

Wstępuje we mnie nadzieja. Od dłuższego czasu przysłuchuje się tej rozmowie Nourreddine, który wszedł do biura. Widzę sceptycyzm na jego twarzy. Nic nie mówi. Wie doskonale, że policjanci kpią sobie ze mnie i że nigdy nie dotrzymają danego słowa. Tylko ja, w swojej naiwności, nie mam pojęcia, że w tym kraju policja, sąd i prokurator to jeden wielki cyrk, w którym każe mi się chodzić po linie wiedząc, że tego nie umiem, więc i tak spadnę.

Nourreddine wychodzi ze mną na korytarz. Jedyny życzliwy mi człowiek, bezinteresowny do końca.

- Pani Anno, nie ma innego wyjścia, jak zmusić Yacine do podpisania pozwolenia na wyjazd dzieci z Algierii. Postaram się pani pomóc - mówi Nourreddine.

Czekam z nadzieją na to, co obiecali mi policjanci. Minęły dwa dni, Yacine nie otrzymał żadnego wezwania. Idę znowu do szpitala Mustapha po zaświadczenie lekarskie. Po całodziennym czekaniu w poczekalni z Riadem i Sabrinką dostaję stosowne zaświadczenie od lekarza przysięgłego. Po dwóch tygodniach Yacine otrzymuje wezwanie na policję na Vieux Kouba. Łudzę się, że może zabiorą go na badania. Ale gdzie tam! To Nourreddine usiłuje przekonać Yacine, ażeby podpisał zgodę na wyjazd dzieci do Polski. Policja na Vieux Kouba ma mnie już dosyć, robią wszystko, bym mogła opuścić Algierię razem z dziećmi. Na

marginesie dodam, że ja jestem wolna i sama mogę wyjechać w każdej chwili, jeżeli jest to wyjazd definitywny. Jeżeli jednak chciałabym wrócić, a nie pracuję, muszę mieć stosowne zaświadczenie wystawione przez męża stwierdzające, iż jestem na jego utrzymaniu, co pozwoli na wpisanie do mojego polskiego paszportu wizy wjazdowej, niezbędnej przy powrocie do Algierii. Jeżeli pracuję, zaświadczenie mogę zastąpić kartą urlopową. Posiadanie karty pobytowej nie jest wystarczające w żadnym przypadku.

Nourreddine przekonał Yacine. Jest zdecydowany na podpisanie. Tym bardziej, że macham mu przed nosem fotokopią zaświadczenia ze szpitala (oryginał dobrze schowałam).

- Nie podpiszesz - pójdziesz siedzieć, przyrzekam ci to.

Wieczorem do naszego domu przychodzi Salem. To pod jego wpływem, już nie wiem po raz który, Yacine zmienia swoje zdanie. Jedynym argumentem tego fanatyka jest to, że nasz syn będzie w Polsce jadł wieprzowinę i zostanie chrześcijaninem. O córkach w ogóle nie ma mowy, liczy się tylko syn.

- Nie podpiszę - oświadcza stanowczo, butnie i z wielką pewnością, siebie Yacine.

Nogi uginają się pode mną. Wiem, że Salem dopilnuje, ażebym nie wywiozła dzieci. Będzie mieszał się do naszych spraw, ażeby pokazać mi, że jeżeli Yacine nie jest mężczyzną, to on nim na pewno jest i musi mi uświadomić, jaka jest rola kobiety w jego kraju. Obowiązuje ją bezwzględne posłuszeństwo i podporządkowanie się woli pana i władcy!

8 sierpnia 1987 roku piszę długi list do prokuratora. Do listu dołączam fotokopię zaświadczenia o pobiciu. W liście tym, napisanym po francusku przy pomocy koleżanki Algierki, proszę o przebadanie mojego męża przez psychiatrę. Odbywam długą wędrówkę do sądu, składam list w sekretariacie i otrzymuję pokwitowanie. Teraz pozostaje mi tylko czekać.

* * *

Tymczasem postanawiam bliżej zapoznać się z osławionym kodeksem rodzinnym, wydanym tak niedawno, w 1984 roku. Jestem umówiona z poleconym mi adwokatem. Znowu biedna Sonia nie idzie do szkoły, musi zająć się Riadem i Sabrinką, ażebym mogła w odpowiednim czasie stawić się w gabinecie adwokata, położonym na drugim końcu Algieru. Miły, sympatyczny młody człowiek jest bardzo uprzejmy i rzeczowy.

- W czym mógłbym pani pomóc? - pyta.

- Proszę mi powiedzieć, jak to jest z tym rozwodem - mówię. - Chciałabym poza tym poznać główne artykuły kodeksu rodzinnego.

Adwokat wyjmuje kodeks i cytuje mi odpowiedni artykuł 48: *Rozwód jest rozwiązaniem małżeństwa. Może on nastąpić z woli męża, za obopólną zgodą małżonków lub na żądanie żony, ale tylko w przypadkach określonych w artykule 53 i 54.*

- Jak to - pytam adwokata - „z woli męża"? Jak mam rozumieć to sformułowanie.

Adwokat wyjaśnia:

- Proszę pani, rozwód może być orzeczony tylko dlatego, że chce tego mąż, że taka jest jego wola, bez podania przyczyny rozwodu. I zawsze go dostanie. Wyrok rozwodowy, orzeczony w pierwszej instancji, jest prawomocny i nie ma od niego odwołania, kobieta bowiem nie może przeciwstawić się woli męża - ciągnie mój adwokat.

- Wobec tego w jakich przypadkach żona może prosić o rozwód? - pytam.

Adwokat czyta mi artykuł 53, z którego wynika, że kobieta może prosić o rozwód jedynie w następujących wypadkach:

1) Przy zaległości płatności alimentów zasądzonych wyrokiem, chyba że małżonka, zawierając małżeństwo, wiedziała o tym, że małżonek jest biedny, z zastrzeżeniem artykułów 78, 79, 80 obecnego prawa.

2) W wypadku kalectwa uniemożliwiającego osiągnięcie celu założonego przez małżeństwo.

3)W wypadku odmowy małżonka do dzielenia łoża małżonki podczas okresu dłuższego niż 4 miesiące.

4) W wypadku skazania małżonka na karę pozbawienia wolności na okres przekraczający 1 rok za czyn godzący w honor rodziny, uniemożliwiający dalsze wspólne życie i odnowienie pożycia małżeńskiego.

5) W wypadku nieobecności trwającej dłużej niż rok bez ważnego usprawiedliwienia lub bez zasiłku na utrzymanie rodziny.

6) W wypadku wszystkich szkód uznanych przez prawo jako takie, szczególnie przez pogwałcenie rozporządzeń zawartych w artykułach 8 i 37.

7) W wypadku niemoralnego prowadzenia się, zasługującego na naganę.

- Ażeby móc starać się o rozwód z tego artykułu - dodaje adwokat - musi pani dostarczyć dowodów, potwierdzonych przez dwóch świadków mężczyzn (lub za jednego mężczyznę dwie kobiety).

- Ależ proszę pana! - protestuję. - Przecież ten artykuł to utopia! Jak może kobieta starać się o rozwód powołując się np. na trzeci punkt tego artykułu? Gdzie znajdzie dwóch świadków, którzy przyjdą do sądu, ażeby potwierdzić, iż mąż nie sypiał z żoną przez cztery miesiące? A punkt piąty? Jak należy rozumieć „nieobecność bez ważnego usprawiedliwienia"? Co to jest to „ważne usprawiedliwienie"? W punkcie drugim chodzi chyba o to, że trzeba udowodnić, iż mąż jest impotentem. Co za bzdura! - ciągnę dalej tę dyskusję z adwokatem. - Przecież jeżeli kobieta pragnęłaby starać się o rozwód z tego artykułu, dostarczenie przez nią dowodów jest prawie niemożliwe lub bardzo trudne. Natomiast mąż może uzyskać rozwód nawet bez podania jakiegokolwiek uzasadnienia, gdyż „taka jest jego wola!" A jeżeli żona jest bita, maltretowana i ma stosowne zaświadczenia lekarskie, potwierdzone przez lekarzy sądowych, czy może starać się o rozwód? - pytam adwokata.

- Ależ nie, droga pani - słyszę odpowiedź. - Tego kodeks rodzinny nie przewiduje. Przykro mi to pani powiedzieć, ale mąż może bić panią tak, aż będzie pani przypominała odlew z gipsu i nie ma na to żadnej rady. A jeżeli, w obawie o swoje życie, opuści pani wasze mieszkanie, mąż może złożyć podanie o rozwód z winy kobiety z artykułu 55 - „porzucenie ogniska domowego".

- To co mi pozostaje - pytam adwokata - jeżeli mąż nie wyraża zgody na rozwód, a ja nie podlegam pod żaden punkt z artykułu 53?

- Może pani, zgodnie z artykułem 54, wykupić swoją wolność za sumę, która zostanie zasądzona przez sąd - odpowiada, ale zupełnie bez przekonania, adwokat.

- Za jaką sumę? - pytam.

Adwokat milczy.

Nie chce mi się wierzyć, że to wszystko jest prawda. A muszę. Mam przed sobą ten kodeks rodzinny i wpatruję się w to, co jest w nim napisane tak, jak gdybym mogła przeczytać coś innego. Ale to jeszcze nie koniec niespodzianek dla mnie. Dowiaduję się od adwokata o moich prawach, które gwarantuje mi ten kodeks i moich obowiązkach.

Zgodnie z artykułem 38 żona ma prawo:

- odwiedzać swoich rodziców i przyjmować ich wizyty zgodnie z przyjętymi zwyczajami i tradycją,

- dysponować swobodnie swoimi dobrami.

Zgodnie z artykułem 39 żona jest zobowiązana do:

1) posłuszeństwa swojemu mężowi i przyznania mu znaczenia głowy rodziny,

2) karmienia piersią swojego potomstwa, jeżeli jest w stanie, oraz wychowywania go,

3) respektowania rodziców i krewnych swojego męża.

Tylko dwa prawa gwarantuje jej kodeks rodzinny, niewiele więcej obowiązków! A wszystko to razem sprowadza się do wyznaczenia algierskiej kobiecie wyłącznie roli prokreacyjnej oraz zmuszenia jej do czuwania nad *bien-être** swojego męża. Wpatruję się w kartki tego dokumentu i zatyka mnie. A gdzie prawo do pracy, gwarantowane w każdym cywilizowanym kraju jego obywatelowi przez konstytucję? Nie ma! Nie ma zagwarantowanego podstawowego przywileju! Praca daje człowiekowi wolność i niezależność, rozwija i pobudza do działania. Praca jest motorem napędzającym rozwój społeczeństwa. Kobieta algierska zgodnie z kodeksem rodzinnym jest pozbawiona tego podstawowego prawa, jej pójście bowiem do pracy zależy od zgody męża lub ojca, brata lub innego *tuteur,* czyli opiekuna. A jeżeli podejmie pracę zawodową

bez zgody męża i zacznie wychodzić z domu, ten może zgłosić na policji opuszczenie ogniska domowego i uzyskać rozwód z artykułu 55 (z winy kobiety).

* dosł. dobrobyt; błogość.

Poznaję jeszcze trzy niezwykle artykuły tego aktu prawnego:

Art.9. „Związek małżeński jest zawarty za zgodą przyszłych małżonków, w obecności opiekuna matrymonialnego i dwóch świadków oraz poprzez ustanowienie posagu".

Art.11. „Zawarcie związku małżeńskiego przez kobietę spoczywa na jej opiekunie matrymonialnym, którym jest bądź jej ojciec, bądź bliski krewny. Sędzia jest opiekunem matrymonialnym osoby, która takiego opiekuna nie ma".

Art.33. „Małżeństwo zawarte bez obecności opiekuna matrymonialnego, dwóch świadków lub posagu jest uznane za nieważne pod względem formalnym przed skonsumowaniem związku i nie daje prawa do posagu".

Staram się, po przeczytaniu tych artykułów, pozbierać jakoś myśli, które plączą mi się bezładnie. Podlegam algierskiemu prawu. Jestem kobietą, gatunkiem niższego rzędu, bez prawa do pracy i bez możliwości decydowania o zamążpójściu niezależnie od tego, ile mam lat i jaki jest mój status (panna, wdowa, rozwódka, analfabetka czy doktor nauk ścisłych). Do czasu zamążpójścia całkowitą władzę nade mną ma mój „opiekun" (ojciec, brat lub inni mężczyźni z najbliższej rodziny albo - gdy ich nie ma - sędzia), po ślubie zaś - mąż. Tak więc, zgodnie z prawem, jako kobieta jestem małoletnia do końca życia, kodeks rodzinny bowiem pozbawia mnie możliwości decydowania o własnym losie. Ale gdybym popełniła przestępstwo, dopuściła się kradzieży, oszustwa czy morderstwa, ani chybi pójdę do więzienia, bo w myśl algierskiego kodeksu karnego jestem dorosła w wieku 18 lat! Nie mogę już dłużej słuchać i czytać tych bzdur i niedorzeczności.

- Ile płacę za wizytę? - pytam.
- Ależ nic się nie należy, przecież nie poprowadziłem żadnej sprawy - adwokat odpowiada grzecznie, z wyraźnym zażenowaniem.

Wychodzę z pękającą z bólu głową i z takim samym odczuciem wobec haniebnego kodeksu rodzinnego, jak odczucie algierskich działaczek na rzecz równouprawnienia kobiet, które przelały swój komentarz na papier i jeden z egzemplarzy ich pracy trafił do mnie. Jestem cudzoziemką, ale czuję i myślę tak samo jak one, jestem bowiem przede wszystkim kobietą i matką. Postępowe algierskie intelektualistki nigdy nie zaakceptują statusu społecznego, jaki narzucił im ten kodeks. Jest on tak horrendalny, że skandalem byłoby niepokazanie światu dążącemu ku demokracji tego dokumentu, który spowodował tragedie wielu algierskich kobiet i dzieci.

* * *

Po jakimś czasie zostaję wezwana do stawienia się u prokuratora. Widzę go po raz pierwszy. Który to już z kolei prokurator zajmuje się moją sprawą? Jak zdążyłam zauważyć, prokurator przeczytał jedynie połowę mojego listu. Za długi.

- Czego pani żąda? - pyta przyjaznym tonem.

Wiem już, czego żądać nie mogę. Nie mogę żądać wyjazdu wraz z dziećmi do Polski. Wiem, że nie mogę żądać rozwodu - i tak nigdy go nie dostanę, Yacine bowiem stanowczo się sprzeciwia, pomimo że od kilku miesięcy jesteśmy małżeństwem tylko formalnie. Dla niego przyjemnością stało się rozpamiętywanie urojonych krzywd, bieganie po sądach, przekonywanie wszystkich o swoich racjach, moralne i fizyczne znęcanie się nad rodziną. Jedynym rozwiązaniem dla mnie będzie uzyskanie poświadczenia psychiatry o chorobie Yacine lub doprowadzenie do takiej sytuacji, w której on sam wystąpi o rozwód. Ale jak go do tego zmusić? Na pewno prokurator tego nie zrobi. Proszę o przymusowe przebadanie pod kątem psychiatrycznym mego męża. Prokurator tłumaczy mi, że jest to pogwałcenie praw człowieka. Co by to było, gdyby oszczerstwa, donosy i pomówienia stanowiły podstawę do przymusowych badań psychiatrycznych? Prokurator dokładnie powtarza mi słowa psychiatry.

- Jakie jest wyjście? - pytam.

- Musi pani przedstawić dwóch świadków męskich (lub za jednego mężczyznę dwie kobiety), którzy potwierdzą nienormalne zachowanie się męża. Bez tego nic nie mogę zrobić.

- A jego ogromna agresja w stosunku do mnie? Mam być bita i katowana?

- Z tym można zrobić porządek - stwierdza prokurator. - Sprawę odeślemy do sądu.

Na miejscu dostaję wezwanie na 29 października 1987 roku. Do Yacine zostanie ono wysłane pocztą. Wracam z Sabrinką do domu. Dobrze, że mam składany wózek. Sonia jest w szkole, Riad zdany w domu sam na siebie. A przecież ma dopiero 5 lat! Jest taki malutki! Od roku zostawiam go często samego w domu, biegając po policji, po sądach i szpitalach. Modlę się, żeby mu się coś nie przytrafiło, ale nie mam innego wyjścia. Riad nie wytrzymuje całodziennych wędrówek po mieście i męczącego wysiadywania w poczekalniach. Sabrinkę wożę w wózku. Czasami przesypia kilka godzin, ponieważ wózek ma opuszczany podgłówek. Sonia karmi Riada po powrocie ze szkoły. Ileż obowiązków spadło na moją dwunastoletnią, filigranową córkę! Jakie moralne dylematy stanęły przed tym dzieckiem!

Yacine dostaje wezwanie do sądu na rozprawę o pobicie mnie. Straszę go, że jeżeli nie złoży podania o rozwód, to zażądam na rozprawie, żeby go zamknięto w więzieniu i nie wyjdę z sali, dopóki on nie wyjdzie z sądu w kajdankach. Wykrzykuję to codziennie. Yacine jest nieźle wystraszony. Wreszcie w pośpiechu, ażeby zdążyć przed rozprawą o pobicie, składa pozew o rozwód. Boi się. Mnie jest wszystko jedno, marzę tylko o tym, żeby się od niego uwolnić ze względu na dobro dzieci, które nie mogą tak dłużej cierpieć, gdyż codzienne awantury są dla nich nie do zniesienia. Sabrinką jest zalękniona, życie w stresie zahamowało jej rozwój fizyczny, ma dużą niedowagę. Riad stał się agresywny. Sonia mnie unika, bo codzienne wykłady ojca na temat mojego „prowadzenia się" zasiały nieufność do mnie w jej młodej głowie. Ciągle mam bóle serca.

Do rozprawy o pobicie pozostał jeszcze miesiąc. Tymczasem otrzymuję wezwanie na rozprawę rozwodową. Wezwanie to wrzuca listonosz do wspólnej skrzynki z Belaici. Jest to urzędowy, otwarty druk, wysłany jako zwykłe pismo na moje nazwisko, napisane po arabsku. Druk ten

przynosi mi kilkuletnia Soumiya, córka Maliki. Równie dobrze dziecko mogło po drodze zgubić lub wyrzucić ten świstek! W pierwszej chwili nie wiem, co to jest. Dopiero Sonia po powrocie ze szkoły tłumaczy mi, że jest to wezwanie dla mnie na rozprawę rozwodową. Oddycham z ulgą. Widzę zbliżający się koniec mojej udręki.

Muszę mieć adwokata, nie poradzę sobie w tej arabskiej gęstwinie nielogicznych przepisów. Skąd wziąć adwokata? Tego, u którego byłam ostatnio - nie chcę. Wydaje mi się, że mówił mi nieprawdę. Chcę innego, tak jak gdyby zmiana adwokata mogła mi zagwarantować zmianę przepisów kodeksu rodzinnego.

Od znajomej Polki dostaję adres adwokata i jego numer telefonu. Dzwonić mogę jedynie z poczty na Koubie, do której mam około jednego kilometra. Również najbliższy przystanek autobusowy, z którego mogę dojechać do centrum miasta, jest spory kawałek drogi za pocztą. Za każdym razem wygląda to tak, że wsadzam Sabrinkę do wózka i pcham pod górę. Chodnika nie ma, a pobocze jest wyjątkowo kamieniste i wózek z dzieckiem niemiłosiernie podskakuje na kamieniach.

Dopiero za którymś razem udaje mi się skontaktować telefonicznie z adwokatem i umówić się z nim na spotkanie. Mieszka on dosyć daleko i żaden taksówkarz nie chce jechać w tym kierunku. Powtarzam więc stary schemat: wózek, Sabrinka plus jedzenie i pieluchy dla niej, autobus z Kouby. Riada zostawiam samego w domu, dając mu do układania klocki lego. Który to już raz pięcioletnie dziecko zdane jest na łaskę losu i na Opatrzność? Nie mam odwagi znowu zatrzymywać Soni w domu, ażeby opiekowała się siostrą i bratem. Już i tak ma duże zaległości w szkole, nauka przychodzi jej coraz trudniej ze względu na domowe piekło, w jakim żyje. Pcham więc ten nieszczęsny wózek pod górę, a potem przez całą Koubę do przystanku. Po jakiejś godzinie udaje mi się wsiąść do pękającego w szwach autobusu. Jedną ręką trzymam złożony wózek, a na drugiej - płaczącą Sabrinkę. Stoję jak sardynka wśród samych mężczyzn. Nikt z siedzących ani myśli ustąpić mi miejsca. Wymęczona, zła dowlekam się na umówione spotkanie. Adwokat przyjmuje mnie bardzo życzliwie. Za prowadzenie całej sprawy żąda 3000 dinarów, co nie jest

wygórowaną ceną. Jednak nie pieniądze martwią mnie w tej chwili, ale mina adwokata, która jest bardzo niewyraźna. Nasze spotkanie nie zaczyna się dobrze.

- Jakieś problemy? - pytam.

- Hm, nie wiem, jak to pani powiedzieć. Znam pani sytuację. Wiem, że pani nie pracuje, że macie służbowe mieszkanie, za które płaci zakład pani męża. Czy zna pani kodeks rodzinny?

- Trochę znam, ale nie wszystkie artykuły.

Adwokat nie wie, jak ma zacząć zasadniczą rozmowę. Dłuższą chwilę milczy i wreszcie mówi:

- Otóż, proszę pani, artykuł 62 mówi: „Prawo do opieki *(hadana)* zawiera obowiązek utrzymania, kształcenia i wychowania dziecka w religii jego ojca oraz dbania o jego rozwój fizyczny i moralny. Posiadacz tego prawa musi być zdolny do jego wypełnienia". A więc zgodnie z tym artykułem, musi być pani zdolna do zapewnienia dzieciom odpowiedniej opieki - ciągnie adwokat. - Jak pani to udowodni, skoro nie ma pani pracy, mieszkania, rodziny ani żadnego opiekuna? Jeżeli nie przyniesie mi pani zaświadczenia, że ma pani pracę i mieszkanie, sąd może odebrać pani fizyczną opiekę nad dziećmi, zgodnie z artykułem 67, który mówi: „Prawo do opieki wygasa, jeżeli opiekun dziecka nie spełnia jednego z warunków przewidzianych w artykule 62".

- Sąd może mi odebrać fizyczną opiekę nad dziećmi? - dziwię się.

- Ano fizyczną - wyjaśnia adwokat - bo opiekę prawną, i tak zawsze będzie miał pani mąż. To znaczy, że po rozwodzie to on będzie podpisywał wszystkie urzędowe dokumenty związane z dziećmi oraz będzie podejmował ważne decyzje ich dotyczące, pomimo iż na kobiecie będzie ciążył obowiązek utrzymania i wychowania dzieci. Gwarantuje mu to artykuł 87, który mówi: „Opiekunem nieletnich dzieci jest zawsze ojciec. Po jego śmierci matka otrzymuje pełne prawo opieki".

Dopiero teraz mam okazję bliżej zapoznać się z artykułem kodeksu, który uwięził mnie w Algierii i odebrał prawo współdecydowania o losie własnych dzieci.

- Pan chyba żartuje! - prawie krzyczę. - Gdzie w tym wszystkim jest jakaś logika, no gdzie? Kodeks rodzinny nakazuje kobiecie

bezwzględne posłuszeństwo mężczyźnie. Jeżeli on sobie nie życzy, żeby kobieta pracowała, nie ma ona prawa iść do pracy, bo jeżeli opuści mieszkanie bez jego zgody, zgodnie z artykułem 55 mąż może zażądać rozwodu z winy kobiety! Jeżeli zaś podporządkuje się woli mężczyzny i nie pracuje, to w momencie rozwodu traci prawo do fizycznej opieki nad dziećmi, zgodnie z artykułem 62, doskonale popartym artykułem 67! No nie! Nie powie mi pan chyba, że w sytuacji, kiedy kobiety w Algierii stanowią jedynie 8% populacji aktywnej zawodowo, a więc można powiedzieć, że nie pracują, odbiera im się dzieci przy rozwodzie?

Adwokat kręci się niezręcznie.

- No, różnie to bywa, ale najczęściej sąd wychodzi z założenia, że algierska rodzina jest bardzo spójna, solidarna i że Algierka zawsze może liczyć na jej pomoc - na pomoc rodziców, rodzeństwa, bliższych i dalszych krewnych, dlatego przy rozwodzie przyznaje jej się fizyczną opiekę nad dziećmi. Zresztą, zgodnie z kodeksem rodzinnym, kobieta algierska wobec prawa ma zawsze jakiegoś opiekuna i to on musi przyjąć na siebie, po rozwodzie, obowiązki udzielania pomocy jej i dzieciom.

- Opiekun - musi? A jeżeli nie zechce, to co wtedy? Proszę pana! - znowu krzyczę, bo krew kipi we mnie ze złości. - Niech tylko kodeks rodzinny wypuści mnie z dziećmi z Algierii, a poradzę sobie bez żadnego „opiekuna”! Ale skoro to jedynie mój mąż jako opiekun prawny dzieci może podpisać zezwolenie na ich wyjazd, nie moja to wina, że wbrew woli muszę zostać w Algierii, gdzie nie mam ani żadnej rodziny, ani żadnego opiekuna. No, chyba że zostanę ukarana za coś, na co nie mam wpływu, i dlatego dzieci zostaną mi odebrane?!

Adwokat długo milczy. Potem dodaje ogromnie zażenowany:

- Jest jeszcze jeden artykuł, najbardziej dramatyczny w tym kodeksie rodzinnym i on dotyczy także pani.

- ?

- To artykuł 52, który mówi: „Jeżeli kobiecie przyznano fizyczną opiekę nad dziećmi i jeżeli nie ma ona opiekuna, który zgodzi się ją przyjąć, przyznaje się tak jej, jak i dzieciom, prawo do mieszkania,

zależnie od możliwości męża. Ta decyzja nie jest ważna, jeżeli jest tylko jedno mieszkanie. Jednakże kobieta rozwiedziona traci to prawo w przypadku ponownego wyjścia za mąż lub popełnienia czynu niemoralnego, który można jej dowieść".

Nie rozumiem, o co chodzi w tym artykule. Proszę adwokata o wyjaśnienie.

- Otóż, proszę pani, jeżeli mąż ma tylko jedno mieszkanie, to niezależnie od sytuacji, po rozwodzie mieszkanie zawsze należy się mężowi.
- A jeżeli mąż ma więcej mieszkań? - pytam.
- Proszę pani, w obecnym kryzysie mieszkaniowym, gdzie rodzina rzadko ma własne mieszkanie i kobieta najczęściej mieszka z rodziną męża, jest to raczej teoria. Wtedy, ażeby kobieta mogła pozostać z dziećmi w zajmowanym mieszkaniu, musi ona udowodnić, że po pierwsze, mąż ma więcej niż jedno mieszkanie, a po drugie, że jej opiekun odmawia przyjęcia jej wraz z dziećmi.
- Tak? Doprawdy, nie wyobrażam sobie, znając realia życia w Algierii, ażeby opiekun, najczęściej ojciec dziewczyny, zechciał stanąć przed sądem i oświadczyć na swój honor, że odmawia przyjęcia swojej rozwiedzionej córki wraz z jej dziećmi - ciągnę dalej tę dyskusję z adwokatem.
- Dlatego dla Algierek sprawa jest jasna. Jeżeli mąż dysponuje jednym mieszkaniem, po rozwodzie musi się ona wyprowadzić wraz z dziećmi. Opiekę nad nimi musi przejąć opiekun kobiety.
- A w moim przypadku?
- …

Zgodnie z tym skandalicznym artykułem 52, jeżeli nawet dostanę fizyczną opiekę nad dziećmi, to i tak mogę być wyrzucona wraz z nimi po prostu na ulicę, ponieważ mąż posiada jedno mieszkanie. *Ce n'est pas vrai, ce n'est pas vrai** - powtarzam w kółko, bez przestanku. Czy w XX wieku, w erze atomu i demokracji, jakiś sędzia będzie miał odwagę podpisać podobny wyrok dla cudzoziemki, wyrzucając ją wraz z dziećmi, zgodnie z prawem, po prostu na ulicę?! Wiadomo przecież, że nie mam żadnego opiekuna. I niech mi kto powie w tym miejscu, co wspólnego ma ten artykuł z Koranem? Nic. Przecież w Koranie jasno jest napisane,

żeby po rozwodzie nie wypędzać żony, jeżeli nie ma ona dokąd iść, że powinna być godziwie traktowana przez swojego byłego męża, który w takiej sytuacji powinien zapewnić jej i dzieciom jakiś kąt i troszczyć się o nich.

* To nie jest prawda, to nie jest prawda.

Żegnam się z moim adwokatem, przedstawicielem algierskiego prawa, pełna najgorszych przeczuć.

- Nie dostarczę panu ani zaświadczenia o tym, że mam pracę, ani zaświadczenia o tym, że mam mieszkanie, ponieważ nie jest to zgodne z prawdą, a nie mam możliwości dostarczenia panu fałszywych dokumentów. Zobaczymy, co zdecyduje sąd. Liczę tylko na to, że nie wszyscy ludzie w tym kraju pogłupieli. Proszę jeszcze pana tylko o jedno - niech pan zażąda w pozwie rozwodowym badań psychiatrycznych dla mojego męża.

29 października 1987 ma się odbyć w sądzie rozprawa o pobicie mnie przez Yacine. Nie mam najmniejszej ochoty na kolejny kontakt z sądem, ale jest to jedyna droga, która mi pozostała, ażeby bronić się przed agresją Yacine.

Sędzia poznaje nas. Ma niezadowoloną minę.

- Mówiłem panu, że nie chcę pana tu widzieć - zwraca się do Yacine. - Dlaczego znowu pobił pan żonę?

- Nie pobiłem. To ona mnie pobiła - zupełnie poważnie odpowiada Yacine.

- Jak to? Ona cię pobiła? Przecież to nie ty, tylko ona przyniosła zaświadczenie o pobiciu! - śmieje się sędzia.

Yacine, szczerze przeświadczony o swojej racji z zapałem przekonuje, że to ja go biję, że zabrałam mu wszystkie pieniądze, że wyrzucam go z domu. Sędzia śmieje się, bo rzeczywiście wygląda to zabawnie dla kogoś, kto patrzy na nas z boku. Ale ja wiem już, co to znaczy „lustrzane odbicie", i wcale mnie nie dziwią słowa Yacine ani nie jest mi do śmiechu.

- Czego pani chce? - zwraca się do mnie sędzia.

Już nie mówię, że chcę wyjechać z dziećmi do Polski - i tak wiem z góry, jaką usłyszę odpowiedź.

- Chcę, ażeby mój mąż został przebadany przez lekarza psychiatrę.
- Pan jest chory? - zwraca się sędzia do Yacine.
- Ależ skądże! Jestem inżynierem, pracuję, zajmuję odpowiedzialne stanowisko.
- Widzi pani - sędzia zwraca się do mnie, tak jak ostatnim razem, w łamanym arabsko-francuskim języku - pani mąż czuje się dobrze i nie jest chory.

Pewnie! To tak, jak gdyby złodzieja, którego nie złapano na gorącym uczynku, postawiono przed sądem i zapytano: „Ukradłeś? - a on odpowiedział - ależ skądże!"

- Chcę, żeby mój mąż przestał mnie bić, a jeżeli mu się nie podobam, to niech się ze mną rozwiedzie - oświadczam stanowczo.

Yacine podchodzi do barierki i pokazuje coś sędziemu. To chyba poświadczenie tego, że wniósł sprawę o rozwód. Sędzia uważa rozprawę za zakończoną, mówi po arabsku coś, czego nie rozumiem. Domyślam się tylko, że nie mam już czego szukać w tym „przybytku prawa". Wychodzę z sali. Nie pamiętam, w jaki sposób dowiedziałam się, że sędzia postawił jednak Yacine ostatnie ultimatum: albo się rozwiedzie, albo za następne pobicie zostanie skazany na więzienie. Moja taktyka doprowadzenia Yacine do rozwodu nabiera realnych kształtów. Muszę zrobić wszystko, żeby był przekonany o słuszności rozwodu, żeby nie wycofał złożonego wniosku. Jestem już pewna, że jeżeli to ja wystąpiłabym o rozwód, sprawa ciągnęłaby się kilka lat, dochodzenie bowiem swoich praw przed sądem, wyjaśnianie wszystkim swoich racji, przekonywanie całego otoczenia o słuszności swojego postępowania oraz rozpamiętywanie urojonych krzywd sprawiało Yacine przyjemność i ulgę, z której nie zrezygnowałby tak łatwo.

* * *

Zbliża się termin pierwszej rozprawy rozwodowej. Adwokat informuje mnie, że jego obecność nie jest konieczna, ponieważ będzie to

tzw. rozprawa pojednawcza. Stawiamy się razem z Yacine w wyznaczonym dniu, chociaż równie dobrze mogłoby mnie tu nie być, gdyby mała Soumiya wyrzuciła lub zgubiła wezwanie. No, ale jestem. Znowu ta sama ponura sala na parterze w sądzie w Hussein Dey. Patrzę na zainteresowanych. Jest ich bardzo wielu, cała sala jest zapełniona. W większości są to stare kobiety i tacyż mężczyźni. A dzisiaj odbywają się same sprawy rozwodowe. Wszystko idzie błyskawicznie. Siedzę i nudzę się. Mam chyba znowu jakiś końcowy numer. Muszę rozprostować kości. Wychodzę więc na zewnątrz, na podwórko sądu. Jakaś starowinka płacze pod ścianą.

- Co pani jest? - pytam po francusku.

Starowinka na szczęście rozumie.

- Proszę pani, przeżyłam z mężem 40 lat, wychowałam dzieci, które są już dorosłe. Teraz mąż znalazł sobie młodą i podał sprawę o rozwód. Wiem, że go dostanie. Dokąd ja pójdę, dokąd ja pójdę? - płacze babcia.

Jakiś wewnętrzny bunt aż skręca moje wnętrzności. Gdybym mogła, pociągnęłabym do odpowiedzialności przed jakimś Międzynarodowym Trybunałem Sprawiedliwości tych wszystkich, którzy uchwalili ten haniebny kodeks rodzinny. Jakże to tak, aby zgodnie z prawem wyrzucić kobietę na ulicę po czterdziestu latach małżeństwa, bo taka jest wola męża? Tak to jest, niestety, proszę pani - powie mi przy okazji mój adwokat.

Nadchodzi nasza kolej. Oboje z Yacine stajemy przed sędzią. Procedura jest prosta. Sędzia czyta po arabsku: rozprawa rozwodowa Yacine Brahimi przeciwko Annie Brahimi. Potem oświadcza, już po francusku, że po sprawie mamy udać się do sali obok na tzw. rozprawę pojednawczą. Tylko tyle. Pod drzwiami sali czeka już kilkanaście par. Jak się domyślam, są wezwani w tym samym celu, co my. Wszystko idzie niezmiernie szybko. Podejrzewam, że nie ma żadnego pojednania, że to czysta formalność, której trzeba dopełnić zgodnie z procedurą sądową.

Nasza kolej. Sędzia, starszy korpulentny pan, przyjaźnie do mnie nastawiony, komunikuje mi w świetnej francuszczyźnie, że procedura sądowa zabrania mu prowadzenia rozpraw w języku francuskim, dlatego

trzeba chwilę poczekać, bo szukają tłumacza sądowego. Nie wiem, po co nam tłumacz, skoro w biurze jesteśmy sami z sędzią i wszyscy troje rozumiemy i mówimy po francusku. Wreszcie zjawia się tłumacz. Jest w moim wieku. Sędzia prosi nas, abyśmy usiedli.

- Dlaczego chce się pan rozwieść? - pyta chyba z czysto formalnego obowiązku, nie przypuszczając, co usłyszy.

A Yacine odżywa, jest w swoim żywiole. Teraz może wygłosić swoje racje, przekonać wszystkich o prawdzie! Z ogromnym przejęciem w głosie, po francusku, wygłasza swoją płomienną mowę. Widać, że przygotował się do tej „oracji" w domu. Wynika z niej, że od wielu lat żył pod jednym dachem z k.... która zdradzała go na prawo i lewo, nie szanowała jako mężczyzny, nie prowadziła arabskiej kuchni*. Jest tak elokwentny, przekonujący, zaangażowany i przejęty, że ani sędzia, ani tłumacz nie śmie mu przerwać. Zresztą obaj siedzą i słuchają z pootwieranymi ze zdziwienia ustami. Tłumacz chyba zapomniał, w jakim celu został poproszony. A ja patrzę w sufit, kiwając palcem w bucie. Yacine przedstawia szczegółowo niezbite dowody moich kolejnych zdrad w sposób tak przekonujący, że trudno byłoby nie uwierzyć. To są racje Yacine. Jednak widzę, że sędzia i tłumacz są ogromnie zdziwieni, iż mając tak poważne oskarżenia, Yacine występuje o rozwód dopiero po dwunastu latach małżeństwa, mając ze mną trójkę dzieci. Ich miny są dosyć wymowne.

* Jest to taki sam bzdurny zarzut jak pozostałe. W tym czasie przyrządzałam już prawie wyłącznie potrawy kuchni algierskiej. Są one bardzo smaczne i zdrowe. Nie wypiekałam jedynie domowego chleba i nie „rulowałam" z semuliny kuskusu, ponieważ wymagało to sporo czasu. Zresztą gotowy kuskus można było kupić bez problemu i to po bardzo niskiej cenie. Z menu kuchni polskiej zostawiłam jedynie zupę pomidorową, barszcz czerwony, rosół, krupnik, naleśniki i pierogi.

Nie wiem, czy zostanę zapytana o cokolwiek. A nawet gdyby, to jak mogłabym się bronić przed tymi wszystkimi zarzutami, tak świetnie i z taką elokwencją przedstawionymi? Co mogłabym powiedzieć sędziemu? Że jest to paranoik? A czy sędzia w ogóle o takiej chorobie słyszał? Kto mi uwierzy? Obłęd zazdrości połączony z agresją? Naturalna rzecz u

Algierczyka, wszyscy są zazdrośni o swoje kobiety, a ja na dodatek nie jestem brzydka. Więc nie żaden paranoik, tylko po prostu zwyczajny, zazdrosny mąż. Kto może sobie wyobrazić jego domowe skandale, których świadkami są jedynie mury mieszkania i dzieci? Kto może sobie wyobrazić jego nienaturalne zachowanie w nocnych zbliżeniach ze mną, których świadkiem jestem tylko ja? Kto uwierzy, że można mi napluć w twarz przynajmniej 20 razy w ciągu dnia, używając przy tym wyrazów, których nie sposób powtórzyć? Kto może sobie wyobrazić, co i za pomocą jakiego słownictwa jest w stanie opowiedzieć ojciec o swojej żonie dorastającej córce? Kto mi uwierzy, że ten ojciec głodzi dzieci? Nikt. Nie mam na to żadnych świadków. Siedzę więc i milczę.

Po elokwentnym monologu Yacine sędzia długo milczy, po czym zwraca się do mnie w języku arabskim, co tłumacz tłumaczy na francuski.

- Proszę pani, obowiązkiem żony, zgodnie z religią muzułmańską, jest okazywanie mężowi posłuszeństwa. Jeżeli zgodziła się pani wyjść za muzułmanina, należy szanować jego obyczaje, tradycje jego kraju, okazywać jemu i jego rodzinie należyty respekt, prowadzić arabską kuchnię.

Na tym sędzia zakończył. Znowu zapadło milczenie. Nie wiem, czy mam coś powiedzieć czy nie, nikt nie pyta mnie o zdanie. Jednak mówię:

- Panie sędzio, to jest ciężko chory psychicznie człowiek, należałoby go leczyć!
- Co mu jest? - pyta jednak sędzia.
- Paranoik - odpowiadam.
- Co to jest paranoja? - pyta mnie znowu sędzia. - Nie słyszałem.

Nie odpowiadam. Wzruszam obojętnie ramionami. Nie będę przecież robić sędziemu wykładu z psychiatrii.

- Pani adwokat też w pozwie rozwodowym zażądał badań psychiatrycznych męża - stwierdza lakonicznie sędzia, po czym zwraca się do Yacine:
- Jaka jest pana ostateczna decyzja?
- Rozwód - pada odpowiedź.

Tłumacz już nawet nie tłumaczy, wszystko jest jasne. Po twarzy sędziego przebiega grymas bólu. Ten człowiek ma wypisaną na twarzy dobroć i zdaje sobie sprawę z tego, że zaczyna się jeszcze jedna ludzka tragedia. Ale prawo jest prawem, toteż wszystko odbyło się zgodnie z nim. Wstajemy wszyscy i wychodzimy. Nie wiem, po co była potrzebna w sądzie moja obecność. Równie dobrze mogłoby mnie nie być.

Wracam do domu, gdzie Sonia została z Riadem i Sabrinką. Znowu nie poszła do szkoły, bo musiała zająć się dwójką dzieci, chociaż ma dopiero 12 lat. Po rozprawie jestem spokojniejsza, za to Yacine w diabolicznej furii. Przyjechał naszym samochodem, ja taksówką. Już na progu zaczyna się awanturować. Padają słowa, których nawet papier by nie przyjął. Na koniec słyszę, że i tak nigdy nie wyjadę z dziećmi z Algierii. Teraz codziennie, po kilka razy, Yacine ucieka z pracy do domu, ażeby skontrolować, czy jestem, sprawdzić pod łóżkami i w szafach, czy nie ma gdzieś ukrytego kochanka. Widziała to kiedyś Dorota, będąc u mnie. Śmiała się. Tak to wygląda z zewnątrz. Śmiesznie.

Śmierć Sabrinki

Decyzji rozwodowej jak nie ma, tak nie ma. Sędzia ciągle przekłada termin jej wydania, żądając od mojego adwokata dostarczania coraz to nowych, nic nie znaczących dokumentów. Dla Algierki po „rozprawie pojednawczej" orzeczono by natychmiast rozwód. Co powstrzymuje sędziego od wydania decyzji rozwodowej w mojej sprawie? Liczy na to, że się pogodzimy, a wtedy być może znajdę sposób na to, ażeby opuścić Algierię z dziećmi? W czasie „rozprawy pojednawczej" czułam, że sympatia sędziego i tłumacza jest po mojej stronie. Sędzia widzi los trójki dzieci oczami tubylca-prawnika i człowieka doświadczonego, być może chce mi pomóc, nie dopuszczając do rozwodu. Myśli może, że jako mężatka łatwiej będę mogła nakłonić męża do wyjazdu z dziećmi do Polski na wakacje. A wtedy wystarczy już nie wrócić. Nie wie jednak, że nie mam żadnych szans na realizację takiego planu, że w chorej głowie Yacine wszystko jest jasne i że decyzje są już podjęte. Sędzia nie wie również o rozgrywającym się w naszym domu codziennym dramacie, którego jedynym rozwiązaniem jest rozwód. Więc sędzia zwleka. Być może czyni to również dlatego, że nie wie, jaki ma wydać wyrok, z jakiego artykułu. Z 67, zgodnie z którym może mnie pozbawić prawa do dzieci, ponieważ nie mam ani pracy, ani mieszkania, ani żadnej rodziny? A potem, pozbawiwszy mnie dzieci, zgodnie z artykułem 52, wyrzucić na ulicę, ponieważ mój mąż ma tylko jedno mieszkanie i to jemu się ono należy?

Sędzia zwleka. Listopad, grudzień, styczeń 1988.... Szybciej, szybciej! Jakieś nieszczęście wisi w powietrzu, plączą mi się ręce, nogi, myśli. Sabrinka codziennie rano budzi się z krzykiem.

- Mamusiu, boję się, boję się!

- Czego się boisz, dziecko? - pytam tuląc ją do siebie. Jej oczy są okrągłe z przerażenia.

- Boję się, boję się... - powtarza już od miesiąca.

Nie chce w ogóle przebywać w domu. Ciągnie mnie wszędzie: „Mamusiu, chodź ze mną na Koubę, mamusiu, chodź ze mną do parku, chodź na Ben Omar, chodź, chodź..." Tak, jak gdyby chciała wyprzedzić życie. Wszystko ją ciekawi, ogląda każdy drobiazg, witryny sklepów, przechodniów. Zadaje mi mnóstwo pytań czystą polszczyzną. Z Sonią i Riadem mówi świetnie po arabsku. Rozumie wszystko po francusku. Inteligencja tego dziecka zadziwia mnie, olśniewa uroda. Sabrinka staje się ogromnie niespokojna. Wyciąga z szafy wszystkie swoje ubrania, przebiera się kilkanaście razy dziennie. „Co jest temu dziecku?" myślę sobie i przeszywa mnie jakiś wewnętrzny niepokój. Jak w transie, biorę aparat fotograficzny i czekam na powrót Soni ze szkoły. Trak, trak, trak.... zdjęcie za zdjęciem. Pierwsze i ostatnie całej trójki razem. Muszę mieć ich wszystkich w komplecie, muszę, bo mam przeczucie, że życie ich rozdzieli.

* * *

Wszystko zaczęło się w środę 3 lutego 1988 roku. Yacine wrócił z pracy. Była godzina 18^{00}. Już od jego wejścia zrozumiałam, że zanosi się na nowe piekło. Zauważyłam wychodzące z orbit oczy i pianę na jego ustach. Trzasnął drzwiami przy wejściu do domu. - Co, znowu wychodziłaś, ty...?

I nagle szczotka od podłogi, osadzona na długim kiju, ląduje na mojej głowie. Yacine zadaje mi ciosy w obłąkanej furii. Jednocześnie ciągnie mnie za włosy. Nie mam się czym bronić. Nie mam się jak bronić. Riad gryzie ojca w łydkę, krzycząc: „Czemu bijesz naszą mamusię!" Sabrinka jęczy nieprzytomna za strachu, Sonia zamknięta w swoim pokoju głośno płacze. Udaje mi się wyrwać, biegnę do kuchni, łapię ciężki garnek z długą rączką: „Zabiję go, zabiję"... Jestem rozpalona nienawiścią i zdeterminowana. Yacine widzi to w moich oczach. Ucieka przede mną z domu.

Trzęsą mi się ręce, w głowie mam zamęt. Dzieci są głodne, chcą jeść. Machinalnie rozcinam litrowy worek mleka. Wlewam do garnka i stawiam na kuchence gazowej. Trzeba przegotować. Do kuchni wbiega Riad.

- Mamusiu, weź mnie na ręce! - prosi.

Jak mogę odmówić? Biorę syna na ręce i, stojąc niedaleko kuchenki, patrzę na mleko, by nie wykipiało. Wbiega Sabrinka.

- Mamusiu, weź mnie na ręce! - krzyczy od progu.

Uczepiony mojej szyi Riad, chwila wahania... Gdyby... Moja głowa nie pracuje, boli mnie od ciągnięcia za włosy. Myśli są powolne, ociężałe. Zanim zdołam podjąć jakąkolwiek decyzję, Sabrinka przebiega za mną i kopie ze złością nóżką w kuchenkę z kipiącym akurat mlekiem. Oparta o ścianę pokrywa kuchenki spada na garnek, wrzące mleko z przewracającego się garnka chlusta na zwisające z moich rąk nogi Riada i na nogi stojącej obok Sabrinki oraz na moją rękę i brzuch. Rozlega się przeraźliwy krzyk. W jednej sekundzie zdaję sobie sprawę z tego, co się stało. Ściągam błyskawicznie rajtuzy Sabrince i spodnie Riadowi. Pod prysznic, pod zimną wodę! Dzieci krzyczą jak oszalałe (Riad ma 5 i pół roku, a Sabrinka 2 lata i 7 miesięcy). Okno łazienki wychodzi na podwórko Belaici. Wpada Mohamed i jego bracia. Zrozumieli, co się stało, rok temu poparzyła się córka Mohameda, Sarah. Mohamed wyrywa mi z rąk prawie nagą Sabrinkę, wybiega z domu. Zatrzymał jakąś furgonetkę. Czekają na mnie. Zawijam Riada w prześcieradło. Syn popłakuje z bólu, ale jest spokojny. Moje serce wali jak młot. Patrzę na Sabrinkę trzymaną przez Mohameda. Dziecko ma rozbiegane, niewidzące oczy. Na nic nie reaguje.

Jedziemy do najbliższego, nowo otwartego szpitala na Koubie. Zostajemy szybko przyjęci. Europejce nie pozwolili czekać. Kilku lekarzy z pogotowia opatruje dzieci. Riad krzyczy z bólu jak oszalały, Sabrinka nie reaguje. A ponieważ to Riad krzyczy, jestem przy nim, uspokajam go, zostawiając Sabrinkę zupełnie samą w otoczeniu obcych ludzi. Lekarze informują mnie, że rano mam udać się z dziećmi do Nancy - jedynej w Algierii specjalistycznej kliniki, przeznaczonej do opieki nad poparzonymi dziećmi. Nancy znajduje się w Bab El Oued - jednej z centralnych

dzielnic Algieru. Wracamy z dziećmi do domu. Yacine nie ma. Riad płacze z bólu, Sabrinka nie reaguje.

Wieczorem przychodzi do domu Yacine, przed wejściem uprzedzony o wypadku przez rodzinę Belaici. Oczy, jak zwykle, wychodzą mu z orbit, na twarzy maluje się grymas wściekłości, zęby zgrzytają, a szczęki poruszają się, jak gdyby mu miały zaraz wypaść z zawiasów. Nic jednak nie mówi. Nie obchodzi go poparzenie dzieci! Rozbiera się i idzie spać do swojego pokoju, zostawiając nas samych!

Dopiero teraz zaczynam odczuwać dotkliwy ból poparzonej ręki i brzucha. Zupełnie zapomniałam o sobie, w szpitalu nie założono mi nawet opatrunku. Z całej ręki zeszła mi skóra. Riad i Sabrinka, przytuleni do mnie leżą na łóżku. Riad jęczy, Sabrinka nie śpi, ale nie płacze. Dopiero teraz usiłuję jej wytłumaczyć, że nic się nie stało, żeby się nie bała, że mamusia jest razem z nią. Głaszczę ją po rozpalonej główce. „Pić, pić..." - wołają na przemian dzieci. Nie ma nic do picia, jest tylko przegotowana woda z kranu, do której dodaję odpowiednik naszej polskiej aspiryny, lekarstwa, które dostałam w szpitalu.

Nie zmrużyłam oka całą noc, trzymając na rękach na przemian Riada i Sabrinkę. Yacine przespał spokojnie noc w swoim pokoju.

Nadchodzi ranek. Jest czwartek, 31 stycznia 1988 roku. Trzeba zawieźć dzieci do kliniki. Yacine nie chce wstać: „Ty.... nie widzisz, że jestem zmęczony?" Nie wiem, co robić. Kogo prosić o pomoc? Wreszcie Yacine wstaje. Ubieram dzieci, naszym samochodem jedziemy do kliniki Nancy. Yacine długo nie może jej znaleźć. Wreszcie dojeżdżamy. Jest już późno. W poczekalni pełno groźnie poparzonych dzieci. Po dłuższej chwili zostajemy przyjęci przez pielęgniarkę. Lekarzy nie ma, strajkują. W całej Algierii trwa strajk generalny lekarzy, a Nancy to jedyna klinika zajmująca się nagłymi wypadkami poparzeń. Jak to jest możliwe, ażeby żaden lekarz tej kliniki nie poczuwał się do obowiązku udzielania ratunku poparzonym dzieciom, pomimo strajku generalnego? To znaczy, że pogotowia też świecą pustką i w razie wypadku żadna pomoc nie zostanie udzielona? Trzeba umierać?

Pielęgniarka zajmuje się najpierw Riadem, który okropnie krzyczy przy zmianie opatrunku, a potem Sabrinką, która zupełnie nie reaguje. Pytam się pielęgniarki, jak to jest możliwe, ażeby dziecko nie płakało, przecież to jest ogromny ból. Wiem, bo sama jestem poparzona w rękę i w brzuch. Pytam, dlaczego dziecko ma rozpaloną główkę, a zimne ręce i nogi? Pielęgniarka uspokaja mnie: *Ce n'est pas grave, ce n'est pas grave.* Ten zwrot słyszałam bardzo często od algierskich lekarzy przy okazji moich wizyt, w odpowiedzi na pełne niepokoju pytania. Nic poważnego, nic poważnego... Dalej nie daję za wygraną, tłumaczę, że bardzo martwię się o dziecko, bo jest wątłe i ma niedowagę, w ostatnim okresie nie rozwija się prawidłowo fizycznie ze względu na nienormalną sytuację w domu. Pielęgniarka nie reaguje na moje uwagi. Chłodno poleca dawać dzieciom dużo pić i aspirynę, a za dwa dni, to znaczy w sobotę, zgłosić się na opatrunek. Odsyła mnie do domu wiedząc, że obok, 300 metrów dalej, jest duży szpital, w którym jest dział oparzeń i że klinika jest ściśle związana z tym oddziałem, o czym ja nie mam pojęcia.

Wracamy więc z dziećmi do domu, lecz głos podświadomości każe mi podjąć jakieś działanie. Myślę o prywatnej lecznicy położniczej, która znajduje się niedaleko nas, o prywatnym gabinecie, w którym widziałam osobny pokój i kroplówkę... „Kroplówka, kroplówka..." - przebiega mi przez myśl. Ale za każdym razem, gdy chcę podjąć jakąś decyzję, niewidzialna siła zewnętrzna zamazuje wszystkie moje myśli. Instynkt matki i logika mówiąca mi o niebezpiecznym stanie dziecka przegrywają w walce z tajemniczą siłą, która mnie hipnotyzuje i obezwładnia. Trudno w to uwierzyć, ale tak właśnie było. Nie podejmuję żadnej decyzji. Yacine odjechał samochodem do swoich rodziców, zostawiając mnie z Sabrinką i Riadem. Jestem po nieprzespanej nocy. Nie mogę się zdrzemnąć, bo Sabrinką na zmianę z Riadem proszą cały czas: „Pić, pić..."

Wszystkie gazety donoszą oficjalnie o strajku generalnym lekarzy. Nadchodzi druga bezsenna noc. Wieczorem stan Sabrinki gwałtownie się pogarsza. Dołącza się silna biegunka. Z dzieckiem dzieje się coś niedobrego, ale ja nic z tego nie rozumiem.

- Gdzie są wszystkie moje książki lekarskie? - krzyczę jak oszalała na Yacine, który wrócił do domu.

Ten chory człowiek wiedział, że nie pieniądze, a właśnie książki lekarskie, które gromadziłam, były dla mnie najcenniejszą wartością. Wyniósł je więc z domu do swoich rodziców, pozbawiając mnie możliwości jakiejkolwiek konsultacji. Znał doskonale mój pogląd na temat algierskich lekarzy, wiedział dobrze, że uratowałam życie synowi tylko dzięki tym wspaniałym książkom. Z całą premedytacją pozbawił mnie najcenniejszej rzeczy. Zbiegam jak oszalała do Zoubidy. Telefonuję do Dominiki - Polki, lekarki, żony Algierczyka. Odpowiada mi jej gosposia: „Dominiki nie ma w domu, nie wiadomo, kiedy będzie".

Zoubida wraca ze mną. Ogląda Sabrinkę. *Ce n'est pas grave, ce n'est pas grave,* uspokaja mnie. Jej wnuczka Sarah poparzyła się zeszłego roku o wiele groźniej i wyszła z tego bez szwanku. Mnie robi się na przemian zimno i gorąco, gdy patrzę na to, co się dzieje z Sabrinką. Yacine śmieje się. Tak! Śmieje się! Wszystko to jest wyjątkowo śmieszne w jego oczach! Oto ojciec! Oto mężczyzna, któremu prawo dało absolutną władzę nade mną i dziećmi! Boże, jak ja nienawidzę tego człowieka! Butnie rozparty w fotelu, z uśmiechem zadowolenia spokojnie sięga po gazetę i zabiera się do czytania. Nie ma zamiaru ruszyć się z domu. Moje myśli krążą w koło, nie wiem, co robić. Całą noc, na przemian, zajmuję się rozpalonym jak żelazo Riadem i wołającą bez przerwy o picie Sabrinką. Yacine śpi spokojnie w swoim pokoju. W piątek rano oświadcza mi, że nigdzie z domu nie wyjdę. Nie mam wyboru, wiem, że będzie śledził każdy mój krok. Poza tym jest weekend, pora, w której zwykle w szpitalach trudno o jakąkolwiek pomoc. A tu jeszcze strajk lekarzy...

Zbliża się noc. Yacine z obłędem w oczach wchodzi do mojego pokoju oświadczając, że idzie spać i nie życzy sobie, ażeby mu przeszkadzać i żebym nie próbowała przypadkiem wyjść w nocy z domu, bo mnie zabije...

To moja trzecia koszmarna, nieprzespana noc. Sabrinką ma kłopoty z oddychaniem. Trzymam ją na rękach, ale prosi, żeby położyć ją do wózka. Leżąc w wózku prosi, żeby wziąć ją na ręce. Dziecko nie może znaleźć sobie miejsca, nie rozumie, co się z nią dzieje, ja też nie. Riad krzyczy z bólu, jest rozpalony jak żelazo, Sabrinką ma ręce i nogi zimne jak lód. Byle do rana, byle do rana...

Nad ranem Sabrinka staje się spokojniejsza.

Do kliniki wiezie nas Mohamed swoim samochodem, bo nasz nie może zapalić. Po drodze Yacine cały czas opowiada mu o moich zdradach i kochankach. Ja trzymam na rękach Sabrinkę, obok na siedzeniu stękający Riad. Boże, dlaczego zdałeś mnie na łaskę tego człowieka. Dlaczego? Dlaczego?!

Długa kolejka oczekujących. Ta sama pielęgniarka. Lekarzy nie ma, ponieważ dalej strajkują. Tym razem jednak dzwoni do szpitala. Chyba po godzinie zjawia się jakiś lekarz, który ogląda Sabrinkę. Wypisuje skierowanie do szpitala obok. Dopiero teraz dowiaduję się o jego istnieniu. Biorę dziecko na ręce i idę. Nikt nie proponuje mi nawet podwiezienia. Yacine wraca z Riadem do domu. Idę z Sabrinką, moje nogi i ręce są jak z ołowiu, moje myśli równie ciężkie. Podaję na portierni skierowanie do szpitala. Portier nie chce przyjąć, mówi, że nie ma lekarzy, że jest strajk generalny. Nie daję za wygraną. Na siłę wchodzę do korytarza, kieruję się do izby przyjęć.

- Przyjęć nie ma - odpowiada chłodno mężczyzna w białym fartuchu. - Strajk lekarzy.
- Strajk lekarzy? Dziecko jest w ciężkim stanie! - krzyczę.

Mężczyzna widzi, że nie wygra, każe więc zaczekać i dopełnić formalności. To czekanie i dopełnianie formalności trwa przeszło godzinę. Wreszcie ktoś odbiera od mnie Sabrinkę. Zostaję sama w poczekalni. Nikt mnie o niczym nie informuje. Zresztą mam wrażenie, że w tym szpitalu nie ma nikogo, że jest to szpital-widmo. Czekam, a jakiś wewnętrzny niepokój rozsadza moje serce. Dłużą się minuty, mijają dwie godziny. Idę do izby przyjęć. Kategorycznie żądam zobaczenia dziecka. Odmawiają. Upieram się.

- Sala na lewo - pada chłodna odpowiedź.

Wchodzę do dużej sali. Nie ma w niej nikogo, tylko na jednym łóżku leży moja Sabrinka. Jedna sekunda wystarcza mi, aby ocenić, iż stan dziecka jest bardzo ciężki. Pozostawiono ją zupełnie samą jak zdychającego, bezpańskiego psa! Żadnej pielęgniarki, żadnej pomocy lekarskiej, żadnej kroplówki!

- Sabrinka, Sabrinka - nachylam się nad nią. Poznaje mnie.
- Mamusiu - pić, pić...

Jak to? Dziecku w tak ciężkim stanie odmawia się prawa nawet do szklanki wody? Wyjmuję z torby termos, przykładam jej szklankę do ust. Sabrinka pije, ale leci mi przez ręce. Czuję, że są to ostatnie chwile jej życia. Moje serce umiera razem z nią. W pobliżu nie ma nikogo. Zostawiono Sabrinkę samą, czekając, aż umrze. Oto humanitaryzm tego kraju, oto wartość człowieka!

Wybiegam z sali. Na korytarzu spotykam jakiegoś ubranego na biało mężczyznę. Nie jest to lekarz. Pytam o lekarza.

- Nie ma - odpowiada. - Strajk generalny.

- To niemożliwe, żeby w całym szpitalu nie było lekarza! - krzyczę roztrzęsionym głosem. - Błagam, niech się pan zlituje! Niech mi pan pomoże, mam dziecko na sali w ciężkim stanie!

Mężczyzna oświadcza mi, że w szpitalu jest profesor, że postara się go znaleźć. Szybciej, szybciej, błagam w myślach, tak jak gdybym chciała przegonić śmierć.

Przychodzi profesor, mężczyzna około pięćdziesiątki. Nawet nie bada Sabrinki. Jeden rzut oka pozwolił mu ocenić jej stan. Przez jego twarz przebiega wyraz ogromnego bólu, zaczyna krzyczeć na mnie.

- Gdzie pani była z tym dzieckiem, że dopiero dzisiaj się u mnie pani zjawia? Dlaczego nie przyszła pani od razu do szpitalu lub do Nancy - kliniki od poparzeń?

- Jak to nie przyszłam? Dziecko natychmiast zawiozłam do szpitala, a w czwartek rano do Nancy.

Profesor z niesamowitym wyrazem twarzy chwyta słuchawkę i dzwoni do kliniki. Słyszę jego piorunujący głos:

- Jak wy tam pracujecie, kto w końcu zrobi z wami porządek?!

Nie słucham dalej tego, co mówi. Profesor rzuca słuchawkę, zwraca się do mnie w ogromnej złości, pomieszanej z bólem:

- Proszę pani, rozumiem, że zetknęła się pani z karygodną niekompetencją i złą wolą, ale pani ma wypisaną na twarzy inteligencję. Nie widziała pani wczoraj, że dziecko ma biegunkę, nienormalne łaknienie i kłopoty z oddychaniem? Że jest w stanie ciężkiego szoku? Pani tego nie widziała i nie wiedziała? Jak mogła pani zostawić je w domu, nie udzielając mu pomocy! A gdzie był pani mąż?

Co mam odpowiedzieć? Że mam w domu chorego człowieka, który od dwóch lat rujnuje rodzinę? Że w nocy zagroził mi awanturą i poszedł spokojnie spać? Że nie znam tu prawie nikogo, że odizolował mnie od otoczenia?

- Proszę pani! Stan dziecka jest bardzo ciężki, proszę przygotować się na najgorsze - oświadcza profesor.

Nogi uginają się pode mną. I wtedy jak błyskawica powraca fragment snu z ostatniej nocy. Zdrzemnęłam się na kilka minut. Śniła mi się Sabrinka nieżywa, złożona w głębokim dole. Wiem już, że Sabrinka umrze. Widziałam jej śmierć. Wiem już, że nie można nic zrobić. Nie potrafię myśleć, czuć. Jestem chodzącym trupem, niezdolnym do żadnych odczuć, reakcji, decyzji. Mam za sobą trzy nieprzespane noce, cztery mordercze dni. Jestem sama przeciwko algierskiemu prawu, przeciwko mężowi psychopacie, sama wobec tego ogromu nieszczęścia! Sama, sama, sama, tak jak Sabrinka w tych ostatnich chwilach swojego życia!

Profesor podłącza Sabrinkę do kroplówki i wychodzi. W tej ogromnej, pustej sali jest tylko Sabrinka, ja i ŚMIERĆ. Patrzę na kroplówkę. Nie idzie. Sabrinka zaczyna przewracać oczami, rozumiem, że umiera.

- Mamusiu, chcę pić... - to były jej ostatnie słowa skierowane do mnie. Po polsku.

Wybiegam z sali jak oszalała. Szukam profesora. Jest w sali operacyjnej. Jakiś człowiek w białym kitlu broni mi dostępu do wejścia. Krzyczę, że chcę widzieć profesora. Proszą go. Biegnie za mną do sali. Widzi umierające dziecko i moją bezgraniczną rozpacz. Zabiera ze sobą Sabrinkę, powtarzając: „Zmarnowali taką laleczkę, taką ślicznotkę, taką laleczkę, taką ślicznotkę..”

Zostaję sama. Przytłacza mnie straszliwy ciężar.

Mija chyba godzina. Chodzę po sali tam i z powrotem. Nagle otwierają się drzwi. Wchodzi dwóch mężczyzn i kobieta. Są ubrani na biało. Widzę konsternację na ich twarzach. Chcą mi coś powiedzieć. Nie muszą. Już wiem - Sabrinka nie żyje.

Nic nie czuję. Ani rozpaczy, ani bólu. Nic, absolutnie nic. Mam chyba dziwny wyraz twarzy, bo za chwilę zjawia się profesor i potrząsając

mną powtarza: „Co pani jest, co pani jest?...” Podaje mi jakieś proszki i wodę do picia.

- Jeżeli umrze również mój syn, zabiję! - mówię. - Zabiję mojego męża i pielęgniarkę z kliniki. Zabiję sędziego!
- To pani ma jeszcze jedno poparzone dziecko? Gdzie ono jest?
- W domu - odpowiadam w transie.
- W domu? - łapie się za głowę profesor, pojękując: - O Boże, o Boże! Niech mi go pani natychmiast przyniesie, natychmiast!

Na korytarzu pojawia się pielęgniarz z wysokim wózkiem szpitalnym, na którym ktoś leży nakryty kocem. Rozumiem, że to ciało Sabrinki.

- Co zrobić? Jak sobie pani poradzi z ciałem? Trzeba pochować to dziecko! Gdzie jest ten pani mąż? - martwi się profesor, widząc moją woskową, nienaturalną twarz. - Co pani robi w tym kraju? Czy pani nie ma oczu? Taka inteligentna kobieta, co pani tu robi, co pani tu robi? - nie przestaje mówić.

Profesor jest ze mną cały czas. Nie zajmuje się nikim i niczym innym. Chyba zdaje sobie sprawę, że mój stan jest bardzo ciężki, że potrzebuję pomocy. Kto może mi jej udzielić? Co zrobić z ciałem Sabrinki? Musi zostać pochowana w obcym, nienawistnym państwie! Takie zdolne i ładne dziecko miałoby wielką przyszłość w demokratycznym, rozwiniętym kraju. W Algierii większość jej krótkiego życia sprowadziła się do oglądania brutalnych scen i życia w paraliżującym strachu. To prawo tego kraju, wspomagane przez ludzi, wydało na nią wyrok. Przyrzekam ci, mój synu, że odetnę cię od Algierii i od tego przeklętego prawa! Na razie pozostaje mi walka o twoje życie.

Przyjeżdża do szpitala Yacine. Profesor informuje go, że Sabrinka nie żyje. Yacine wybucha sztucznym, suchym szlochem. Obyczaj nakazuje wyrazić żal po stracie bliskich! Nie ma w nim ani krzty cierpienia ojca, który utracił dziecko. Co za potwór! Niech przeklęty będzie dzień, w którym go poznałam!

Wracam do domu taksówką. Wydaje mi się, że za chwilę będę miała atak serca. W domu Riad zupełnie sam, Sonia w szkole.

- Gdzie Sabrinka? - pyta syn, bardzo przywiązany do siostry.
- Została w szpitalu - odpowiadam.

- A co tam robi w tym szpitalu? - dopytuje się Riad. - Czy tam jest telewizja, żeby mogła oglądać Miki?

Oglądanie filmów Walta Disneya należało do przyjemności Riada i Sabrinki. Wybucham spazmatycznym szlochem. Nie mogę się powstrzymać. Coś dusi mnie za gardło, łzy jak grochy spadają na podłogę, płaczę tak okropnie, że rozpłakał się i Riad.

- Mamusiu, dlaczego płaczesz? Czy dlatego, że tam nie ma telewizji? - pyta przez łzy.

O Boże, dziecko, jak dalece rozmijasz się z prawdą! Jak powiedzieć ci o śmierci siostry, jak powiadomić o tym Sonię?

Po południu wraca do domu Yacine. Mówi, że w sobotę wszystkie urzędy miejskie są zamknięte, nie mógł więc załatwić aktu zgonu, ażeby pochować Sabrinkę. Ciało zostało w kostnicy.

Przychodzi ze szkoły Sonia. Ja mam głowę ciężką jak z ołowiu, płaczę.

- Co się stało? - pyta widząc, że płaczę.
- Sabrinka umarła - mówi Yacine zimnym, beznamiętnym głosem.

Sonia wybucha rozpaczliwym płaczem.

- To wy oboje, to wy oboje ją zabiliście! Przez wasze ciągłe awantury! Nienawidzę was! - krzyczy histerycznie.

Co mogę powiedzieć na swoją obronę? Nic. Sonia nie potrafi obiektywnie ocenić tego, co się stało. Ma tylko 12 lat. Wykłady ojca na temat mojego prowadzenia się zasiały nieufność w jej głowie i sercu. Riad słucha i nie rozumie pojęcia śmierci. Nie mogę powstrzymać się od płaczu. Wraz ze śmiercią Sabrinki moje serce przemieniło się w wielką bombę nienawiści do Yacine, do tego kraju i tych ludzi. Czy uda mi się kiedykolwiek jej wyzbyć? Jestem śmiertelnie zraniona i będę krwawić aż po kres życia.

W nocy mam silną gorączkę, biegunkę, wymioty. Wydaje mi się, że umieram. Rano przychodzą Belaici i sąsiedzi, poinformowani o tym, co się stało. Jestem nieprzytomna. Sąsiedzi, młode małżeństwo algierskie o rozlicznych znajomościach (on jest lotnikiem), krzyczą na mnie, żebym wzięła się w garść i zajęła Riadem, który wymaga pomocy lekarskiej. Żona lotnika zabiera syna i mnie i wiezie samochodem do szpitala Beni Messous, kilka kilometrów za Algierem. W Beni Messous jest oddział

dla następstw po poparzeniach, tutaj nie przyjmuje się nagłych przypadków, a dokonuje jedynie przeszczepów. Jednak po znajomości wszystko można. Kilku lekarzy odbiera mi Riada i oddaje go dopiero po godzinie.

- Niech się pani nie martwi, życiu syna nie zagraża żadne niebezpieczeństwo. Będzie pod naszą opieką, wyleczymy go tak, że nie zostanie śladu po poparzeniach.

Syn dostaje antybiotyki. Co drugi dzień mam się z nim zgłaszać na opatrunki, aż do wygojenia.

- Nie pójdziesz ani do żadnego profesora, ani do żadnej kliniki Nancy! - oświadcza sąsiadka. - Syna będziesz leczyła w Beni Messous.

Wracam do domu. Po południu Yacine przyjeżdża szpitalnym ambulansem z ciałem Sabrinki. Zgodnie z tradycją muzułmańską dziecko ma być w domu wymyte, a następnie zawinięte w białe prześcieradło i złożone wprost do ziemi. Nie wyobrażam sobie tego wszystkiego. Nie wyobrażam sobie zmarłej Sabrinki w tym domu, gdzie jeszcze kilka dni temu wszędzie rozlegał się tupot jej małych nóżek. Nie wyobrażam sobie reakcji Soni i Riada, ogromnie do siostry przywiązanych. Ja na pewno tego nie przeżyję. Instynktownie bronię się przed rozpaczą, ażeby zachować siły dla dwójki żyjących, jakże ciężko doświadczonych przez los dzieci.

- Co ja mam zrobić z ciałem? Co ja mam zrobić z ciałem? - powtarza Yacine zupełnie zagubiony, przestępując z nogi na nogę w progu mieszkania.

Ten człowiek jest niezdolny do podjęcia żadnej prawidłowej decyzji. Wypycham go z całej siły na dwór.

- Wynoś się! Chcesz zrujnować również tę dwójkę żyjących dzieci?

Zamykam drzwi na zasuwę. Po chwili słyszę odjeżdżający spod naszego domu ambulans. Yacine zawiózł Sabrinkę do swoich rodziców, by pochować ją na drugi dzień, w poniedziałek. Było bardzo zimno i cały czas lał okropny deszcz. Płakałam tak, że serce chciało mi wyskoczyć z piersi. Sonia była w szkole. Riad płakał razem ze mną, chociaż nie bardzo zdawał sobie sprawę, dlaczego. Ona tak bardzo lubiła ciepło, zawsze grzała rączki koło grzejnika. A teraz zostanie zakopana, zakopana wprost do ziemi w ten lodowaty dzień, nawet bez trumny. Najważniejsze

jednak dla Yacine, że zostanie pochowana na muzułmańskim cmentarzu jako muzułmanka. W „pogrzebie" uczestniczył tylko Yacine, ojciec, który powinien zostać skazany za nieudzielenie dziecku pomocy. Jeżeli prawo dało mu całkowitą władzę nad dziećmi, to prawo powinno również żądać od niego należytego wypełniania obowiązku ojcowskiego, skoro uznaje go za człowieka normalnego.

Pożyczam od koleżanki francuską encyklopedię zdrowia, taką samą jak ta, którą wyniósł z domu Yacine. Znajduję w niej odpowiedź na wszystkie nurtujące mnie pytania oraz wskazówki, dotyczące udzielenia pierwszej pomocy poparzonemu dziecku...

Piszę skargę do prokuratora w sądzie Hussein Dey oraz Bab El Oued, a także do Ministerstwa Zdrowia. Żądam przeprowadzenia śledztwa w sprawie śmierci Sabrinki. Żądam odpowiedzi na następujące pytania: Jak to jest możliwe, ażeby kilku lekarzy z pogotowia w szpitalu na Koubie, opatrujących Sabrinkę, natychmiast nie rozpoznało u niej stanu szoku pooparzeniowego? Miała poparzone z przodu obydwie nóżki. Takie poparzenie powinno okropnie boleć. A dziecko nie reagowało na nic. Jak tylu lekarzy mogło ten objaw zlekceważyć? Jak tylu lekarzy mogło zignorować tak rozległe poparzenie u dziecka z bardzo widoczną niedowagą? Jak to jest możliwe, ażeby pielęgniarka specjalistycznej kliniki, zajmującej się tylko poparzeniami dzieci, nie wiedziała, że szok pooparzeniowy jest jedyną możliwą natychmiastową komplikacją? Że jego objawy, to brak reakcji na ból oraz zimne ręce i nogi na skutek zaburzenia krążenia? Że jest to szczególnie niebezpieczne u małych dzieci? Tego nikt „pielęgniarki" nie nauczył? W specjalistycznej klinice, leczącej tylko poparzenia dzieci, „pielęgniarka" nie ma o niczym zielonego pojęcia? A może ma, tylko jaką wartość przedstawia dla niej życie małego dziecka? A może to ja powinnam wszystko wiedzieć i podjąć właściwe decyzje oraz zastosować odpowiednie leczenie? Jeżeli tak, to po co istnieją w Algierii szpitale, specjalistyczne kliniki, po co kształci się lekarzy i pielęgniarki, skoro nie mają odpowiedniej wiedzy medycznej? Pomijając już zawodowe kompetencje personelu medycznego, gdzież ci ludzie mają sumienie, skoro mogli pozostawić bez opieki i medycznej pomocy ciężko chore małe dziecko, czekając, aż umrze?

Riad, doskonale leczony w Beni Messous w bardzo dobrych, sterylnych warunkach, szybko wraca do zdrowia. A ze mną zaczynają dziać się dziwne rzeczy. Zajęta walką o życie syna, myślałam tylko o nim. Teraz, kiedy syn czuje się dobrze, zaczynam tracić kontrolę nad sobą. Często krzyczę na Riada, żeby był cicho, bo obudzi Sabrinkę, która śpi w swoim łóżeczku.

- Mamusiu, przecież Sabrinka nie żyje! - przypomina mi ciągle syn.

W nocy budzę się, aby sprawdzić, czy Sabrinka jest nakryta kołderką. Rano przygotowuję dla niej jedzenie. Zaczynam tracić wzrok. Czuję się coraz gorzej. Moje myśli błądzą obsesyjnie wokół tego samego tematu: popełniłam błąd, popełniłam wiele błędów, to ja jestem winna śmierci Sabrinki. Mam ogromne wyrzuty sumienia. Tej krytycznej nocy trzeba było zostawić syna samego, jest silnie zbudowany, nic by mu się nie stało. Trzeba było wziąć Sabrinkę i po cichu wyjść z domu, żeby nie obudzić Yacine. Trzeba było spróbować zatrzymać taksówkę i prosić kierowcę o pomoc. Ja nie wiedziałam, ale wszyscy taksówkarze wiedzą, że niedaleko Kouby jest szpital wojskowy mający doskonalą aparaturę i specjalistów. Nie przyjmują cywilów, ale na pewno nie odmówiliby pomocy Europejce z umierającym dzieckiem. Zrobiłam fatalny błąd, czekając do rana. Zrobiłam błąd, zrobiłam wiele błędów...

Moja rozpacz nie ma granic. Biedna Sabrinka... Żyła dwa lata i siedem miesięcy. W swoim krótkim życiu poznała tylko strach i agresję. W momencie krytycznym, przerażona do utraty przytomności po awanturze ojca, półnaga, znalazła się zupełnie sama w rękach obcych, także przerażonych tym, co się stalo, ludzi. Co działo się w jej myślach, skoro zaniemówiła i przestała reagować na cokolwiek? Jaki paraliżujący strach musiał nią zawładnąć, strach narastający całymi miesiącami, przetwarzany w tej inteligentnej, małej główce, zbyt małej, ażeby zrozumieć, ogarnąć świat dorosłych!

Narasta we mnie niewyobrażalne poczucie winy. Obsesyjne „gdyby, gdybym" zawładnęło całym moim umysłem. „Gdyby Mohamed nie

wyrwał mi z rąk półnagiej, krzyczącej z bólu Sabrinki i nie wybiegł z nią na ulicę, gdybym miała możliwość uspokojenia jej i wytłumaczenia, co się stało, tak jak postąpiłam z Riadem, gdyby Yacine nie wyniósł książek, gdyby Dominika była w domu, gdybym wiedziała, że niedaleko Kouby znajduje się szpital wojskowy, gdybym w nocy poprosiła o pomoc sąsiadkę, gdyby nie było strajku lekarzy..."

Gdyby, gdyby, gdyby...

Jakaś siła popycha mnie do samobójstwa. Ciągle myślę o tym, żeby ze sobą skończyć. Chcę umrzeć, ta myśl jest silniejsza niż instynkt samozachowawczy. Jestem na samym dnie. W ostatniej chwili dociera do mojej świadomości, że jest to ciężka depresja.

Taksówka! Jadę do psychiatry w centrum Algieru. Okazuje się, że nie przyjmuje tak po prostu, że trzeba zapisać się na wizytę. Błagam o przyjęcie mnie. To, że jestem Europejką, pomaga mi w wielu okolicznościach, również w tej. Lekarz wyraża zgodę. Widzi chyba mój ciężki stan, wizyta trwa przeszło godzinę. Wychodzę z mnóstwem leków, które natychmiast zażywam.

Walka o mieszkanie, obrzezanie

Niewiele pamiętam z miesięcy, które minęły. Wiem tylko tyle, że ciągle spałam, że wciąż pogarszał się mój wzrok. Nie pamiętam, kto przygotowywał dla dzieci jedzenie i czy w ogóle coś jadły. Wiem tylko tyle, że Yacine był w domu, że się nie wyprowadził. Nie wiedziałam, że 14 lutego 1988 roku sędzia wydał wyrok rozwodowy. Nic mnie nie interesowało w tym moim stanie letargu. Zatraciłam poczucie czasu.

Gdy się „obudziłam", ujrzałam zaniedbane dzieci, zapuszczony dom, a w nim Yacine. Przejrzałam otrzymaną korespondencję, którą przezornie zachowały dla mnie dzieci. Znalazłam odpowiedź prokuratora z sądu w Hussein Dey na moją skargę w sprawie śmierci Sabrinki. Była krótka: „Poruszona przez Panią sprawa nie leży w mojej gestii". Ministerstwo Zdrowia oraz prokurator z Bab El Oued nie zdobyli się nawet na to. Jak widać, można by z całą premedytacją zabić i nikogo to nie zainteresuje. Jaką wartość ma życie dziecka w kraju, w którym przyrost naturalny jest jednym z największych na świecie? A skoro życie dziecka nie ma dla nikogo, oprócz matki, żadnej wartości, dlaczegóż to tak uparcie kodeks rodzinny odmawia przyznania jej prawa do tych dzieci? Dania wolności wyboru kraju? Jakim prawem daje się ojcu absolutną władzę rodzicielską? Pytam jeszcze raz: jakim prawem? Ile jest w Algierii sierot (tak - sierot!, dziecko bowiem, pozbawione miłości matki jest sierotą), którym nie pozwolono wyjechać z matkami-cudzoziemkami, gdy te, będąc w sytuacji bez wyjścia, musiały Algierię opuścić? Ile Algierek haniebny kodeks rozłączył z własnymi dziećmi? Ile dzieci straciło życie „zgodnie z prawem"? Nikt na te pytania nie odpowiada!...

Znalazłam też list od mojego adwokata informującego mnie o wydaniu decyzji rozwodowej i o tym, że przyznano mi fizyczną opiekę nad

dziećmi. Adwokat nic jednak nie wspomniał o sprawie mieszkania. Nie wiem, co mam dalej robić. W świetle prawa już od wielu tygodni jestem rozwiedziona, ale praktycznie dalej mieszkam pod jednym dachem z Yacine, który ani myśli się wyprowadzić. Oświadcza mi, iż zgodnie z decyzją rozwodową mamy mieszkać razem, ponieważ sędzia podzielił mieszkanie na pół. Taką informację uzyskał od swojego adwokata. Niemożliwe! Nie wierzę, ażeby w kraju muzułmańskim można było wydać podobną decyzję! Idę do sądu po jej odbiór. Tu dowiaduję się, że trzeba uprawomocnić wyrok, że sama decyzja nic nie znaczy. Uprawomocnić? Nie mam o niczym zielonego pojęcia. Odsyłają mnie do jakiegoś biura, w którym bardzo sympatyczny chłopak usiłuje wyjaśnić mi całą skomplikowaną procedurę dotyczącą wyegzekwowania zasądzonej decyzji. Decyzja wydana jest po arabsku. Proszę go, ażeby mi przetłumaczył. Chłopak wyjaśnia, że sędzia przyznał mi alimenty w wysokości 500 dinarów na każde dziecko, odszkodowanie w wysokości 10 000 dinarów oraz prawo do mieszkania, ponieważ, jak uzasadnił, nie mam żadnego opiekuna, który mógłby się mną zająć. Prosto, bez powoływania się na krzywdzące artykuły, kierując się logiką i zwykłym humanitaryzmem, sędzia wydał najkorzystniejszy, jaki mógł, wyrok dla mnie. Moje obawy okazały się przedwczesne. Chcę jednak wiedzieć dokładnie, jak to jest z tym mieszkaniem.

- A więc sędzia nie podzielił mieszkania na pół? - pytam.
- Ależ skądże! - odpowiada mi chłopak, jak się okazało, komornik. - Ponieważ otrzymała pani fizyczną opiekę nad dziećmi, sędzia przyznał wam prawo do dotychczas zajmowanego mieszkania. Pani mąż musi się wyprowadzić.

Oddycham z ulgą. A więc dopóki Yacine pracuje w S., zakład będzie płacił za mieszkanie u Belaici lub gdzie indziej. Dopóki Yacine będzie miał oddzielne mieszkanie, ja i dzieci mamy dach nad głową, mieszkanie to bowiem będzie się należało nam, a nie jemu. Na razie mam przed sobą przeszło rok bez zamartwiania się tym problemem, gdyż na tyle jest jeszcze opłacone przez zakład mieszkanie u Belaici. Co jednak zrobić, żeby Yacine się wyprowadził?

Komornik najwyraźniej usiłuje mi pomóc. Tłumaczy, że najpierw należy dokonać notyfikacji decyzji sądowej. Yacine zostanie wezwany

do sądu. Jeżeli po trzykrotnym zawiadomieniu nie stawi się, pojedziemy do niego do domu i rodzina będzie musiała podpisać przyjęcie decyzji sądowej. Podpisać, to znaczy przyjąć do wiadomości. Następnie po upływie trzydziestu dni od dnia podpisania decyzji przez Yacine lub rodzinę mam przynieść z sądu w Algierze zaświadczenie, że Yacine nie złożył odwołania. Dopiero te wszystkie dokumenty: oryginał decyzji, notyfikacja, zaświadczenie o braku apelacji stanowią podstawę do egzekucji. Wcześniej nie można jej dokonać.

Wracam do domu. Zniknął mój paszport oraz książeczka rodzinna, dokument w Algierii szalenie ważny. Wiem, że zabrał je Yacine. Składam podanie do prokuratora o odzyskanie moich dokumentów. Zanoszę je osobiście do sekretariatu. Zostaję przyjęta uprzejmie i natychmiast. Chociaż nie mam żadnych dowodów na to, że Yacine zabrał mi te dokumenty, prokurator oświadcza:

- Niech pani się nie martwi, my to doskonale znamy! Proszę przyjść do mnie za tydzień po odbiór paszportu i książeczki rodzinnej.

Krótko, rzeczowo. Myślę, że śnię. A jednak nie. Za trzy dni Yacine dostaje wezwanie do prokuratora. Domyśla się, o co chodzi. Z wściekłą pasją rzuca mi na podłogę mój paszport.

- Ale książeczki rodzinnej, ty k... nie dostaniesz, żebyś miała jakieś prawa do dzieci!

Jakie te prawa? Leczenie, szczepienia, wizyty lekarskie, zapisanie do szkoły - nie żadne prawa, tylko obowiązki, których wypełnienie wymaga posiadania książeczki rodzinnej.

Po tygodniu odbieram u prokuratora książeczkę. Nie wiem, jakich metod użył w stosunku do Yacine, ale podziwiam skuteczność jego działania. Jest to już czwarty lub piąty prokurator, z którym mam do czynienia.

Yacine nie stawia się na trzy kolejne wezwania do komornika. Komornik tłumaczy mi, że musimy jechać do jego rodziny po podpisanie decyzji rozwodowej.

- A jeżeli nie podpiszą? - pytam.
- Moja już w tym głowa, żeby podpisali!

Jedziemy. Komornik każe mi zaczekać w taksówce, sam idzie do rodziny Yacine. Jest godzina 11^{00}, cała rodzina Yacine jest w domu. Komornika nie ma przeszło godzinę. Taksówkarz denerwuje się, pomimo że zainkasował ode mnie aż trzysta dinarów za niewielki odcinek drogi (zapewnienie transportu komornikowi jest obowiązkiem petenta).

- Uzgadniałem sumę za zawiezienie i przywiezienie, a nie za postój!

W końcu po przeszło godzinie przychodzi komornik, cały czerwony, z wypiekami na twarzy.

- Ba, ba, ba, ale pani trafiła na rodzinę! - mówi. - Serdecznie pani współczuję. Dużo jędz widziałem w swoim życiu, ale takie dwie, jak szwagierki - po raz pierwszy! Ba, ba, ba...

Widzę, że jest okropnie poruszony. Nie zadaję mu żadnych pytań, wyobrażam sobie, co usłyszał na mój temat. Najważniejsze jednak, że uzyskał podpisanie decyzji.

Yacine zostaje poinformowany o tym przez swoją rodzinę już na drugi dzień. Jest wściekły do granic możliwości.

- Co? Udało ci się, udało ci się! - krzyczy. - Ale nie wyprowadzę się, ty k...! Zobaczysz, co ja z tobą zrobię!

Po południu musiałam wyjść do miasta. Po przyjściu okazuje się, że zniknęła z domu maszyna dziewiarska Brohter, zupełnie nowa, jeszcze w kartonie. Pytam się Soni, kto ją wyniósł.

- Tato z babcią Khaziną - mówi mi córka.

Na oczach dziecka zabrał co cenniejsze rzeczy. Wyniósł też telewizor i odkurzacz. Zabrać dzieciom telewizor?

Łapię Yacine za poły marynarki, ciągnę za włosy i wypycham na ulicę. Bijatyka na całego. Jakaś siła wewnętrzna daje mi tyle energii, że jestem w tym momencie kilkakrotnie silniejsza od Yacine, który w żaden sposób nie jest w stanie mi się oprzeć.

- Zabrałeś dzieciom telewizor? Ja ci pokażę! Nie oddasz - nie przestąpisz progu tego domu!

Sąsiedzi są zgorszeni moim zachowaniem. Europejka bijąca na oczach wszystkich swojego męża - tego jeszcze tutaj nie było! Zresztą, któż przyznałby mi rację? Prawo oficjalne i to niepisane, tradycyjne,

zawsze stanie po stronie mężczyzny, niezależnie od sytuacji. Prawo? Zaczynam powoli uczyć się tego prawa, prawa silniejszego.

Yacine nie przychodzi do domu na noc. Na drugi dzień przyjeżdża z telewizorem i odkurzaczem. Nie reaguję.

Yacine nie ma chyba pojęcia o tym, że będzie musiał opuścić mieszkanie. Nic mu nie mówię. Muszę poczekać trzydzieści dni i uzyskać z sądu wyższej instancji w Algierze zaświadczenie o braku apelacji. Jeżeli Yacine złoży odwołanie i weźmie dobrego adwokata, sprawa może ciągnąć się latami, a ja nadal będę z nim mieszkać. Cały czas łudzę się, że nikt nie wyjaśnił mu dokładnie decyzji sądowej i żyje w przeświadczeniu, iż po rozwodzie mamy zamieszkać pod wspólnym dachem. W zupełności by mu to odpowiadało - nadal mógłby urządzać swoje awantury i znęcać się nad rodziną.

Los jest jednak po mojej stronie. Yacine ani myśli wgłębiać się w to, co jest napisane w decyzji sądowej, m.in, dlatego, że nie potrafi dobrze czytać po arabsku. Mija trzydzieści dni. Idę do sądu w Algierze. Składam podanie o wydanie mi stosownego zaświadczenia. Mam przyjść za kilka dni, które wloką się w nieskończoność. Wreszcie z duszą na ramieniu idę do sądu. Jest! Mam w ręce ten papier. Papier uwalniający mnie od człowieka, który zniszczył życie moje i dzieci. Nareszcie! Szczęście moje nie ma granic. Pozbyć się Yacine, pozbyć się Yacine! - to jedyna myśl, która zaprząta mój umysł.

Z centrum Algieru jadę prosto do sądu w Hussein Dey. Do komornika. Oddaję mu zaświadczenie.

- Co teraz zrobimy? - pytam. - Yacine ani myśli się wyprowadzić.
- Niech się pani nie martwi, to już sprawa prokuratora, zaraz zaniosę mu dokumenty - mówi mi życzliwie.

Po chwili ląduję w gabinecie prokuratora. Ten sam energiczny, młody człowiek, który odzyskał moją książeczkę rodzinną, pyta:

- Słucham, co panią do mnie sprowadza?
- Panie prokuratorze, jestem rozwiedziona, mam już notyfikację decyzji sądowej i dalej mieszkam pod jednym dachem z moim byłym mężem. Przecież jest to w waszym kraju groźne przestępstwo moralne! Jak to jest możliwe? - uderzam z największego działa.

Prokurator patrzy na mnie z półuśmiechem. Ten inteligentny człowiek zdaje sobie sprawę, że robię wszystko, aby pozbyć się mojego męża. Czyta decyzję sądową.

- Proszę pani, nie ma powodów, ażeby mieszkała pani z byłym mężem. Decyzja sądowa jest jasna. Mąż pani musi się wyprowadzić, ja już się tym zajmę - oświadcza stanowczo.

Wiem, że mogę na niego liczyć. W ciągu jednego dnia załatwiam rzecz, wydałoby się, nieprawdopodobną - decyzję o wyeksmitowaniu mojego męża z mieszkania!

Po kilku dniach Yacine otrzymuje wezwanie do prokuratora. Nieświadomy, co go czeka, idzie.

Tego, co się działo po jego przyjściu, nie jestem w stanie opisać. Myślałam, że nas pozabija. Piana na ustach, wytrzeszczone oczy, trupio blada twarz.

- Ty... ... się z połową Algieru, a teraz jeszcze wyrzuciłaś mnie z mieszkania? Ten prokurator to też twój kochanek! - krzyczy w obłędzie Yacine. - Zabiję, zabiję! - powtarza jak oszalały.

Łapię Riada, wózek, uciekam z domu. Sonia jest w szkole. Całe popołudnie błąkam się po ulicach Algieru. Wreszcie wieczorem decyduję się na powrót. Widzę przed domem dzieci Maliki. Pytam, czy jest Yacine. Mówią, że zabrał swoje rzeczy i pojechał samochodem. Uff!! Wchodzę do domu, a nogi trzęsą mi się ze strachu jak galareta. Sonia płacze.

- Co ci jest? - pytam.
- Nie odzywaj się do mnie! Nienawidzę cię! - krzyczy w złości.

Mogę sobie wyobrazić, co się stało. Zanim Yacine się wyprowadził, jak zwykle, zrobił Soni kilkugodzinny wykład na temat mojej osoby, przedstawiając mnie jako kobietę wyzutą z wszelkich hamulców, potwora moralnego. Jestem bezradna.

* * *

Zostałam sama z dziećmi. Jest lato. Pewnego dnia po przyjściu do domu z zakupami nie zastaję Riada. Szukam go wszędzie. Rodzina

Belaici informuje mnie, że ojciec jego był rano samochodem i zabrał dziecko. Czekam do wieczora. Daremnie. Przeżywam ciężką, koszmarną noc. Rano biorę taksówkę i jadę do Badjarah. Dzwonię do drzwi. Nie chcą mi otworzyć. Nie ustępuję. Dobijam się głośno do drzwi. Wszyscy sąsiedzi z klatki schodowej wychodzą ze swoich mieszkań. W końcu drzwi do mieszkania rodziny Yacine otwierają się. Widzę Madinę z rozwianym włosem. Pytam, gdzie jest Riad.

- A tam - w pokoju, ty k...! Obrzezany! - krzyczy do mnie i obiema rękami pociera się w wiadomej okolicy. - P... się ze swoimi kochankami, ty rasistko, i jeszcze tu do nas przychodzisz?

Krew mnie zalewa, dostaję białej gorączki. Podbiegam i z całych sił daję w twarz Madinie. Wtedy ona ściąga ze ściany gruby, metalowy pręt, przygotowany specjalnie na taką okazję i zamierza się na mnie. Gdyby nie teściowa, która zatarasowała jej drogę i wyrwała z ręki metal, chybabym już nie żyła, ponieważ nie zauważyłam tego ruchu Madiny. Robi się potworny krzyk. Madina ciągnie mnie za włosy, wyrywając ich całą garść. Ja krzyczę, krzyczy Madina i żona Salema, która obrzuca mnie wyzwiskami. Do mieszkania wpada Yacine, zmieniony fizycznie nie do poznania. Sprowadzili go skądś sąsiedzi.

- Gdzie Riad? - pytam. - Jakim prawem zabrałeś go z domu?

Yacine z oczami na wierzchu i pianą na ustach krzyczy, że zabrał Riada, ażeby go obrzezać, zgodnie z obyczajem muzułmańskim. Ten człowiek nie mówi już do mnie, tylko krzyczy. Ostatnio nie potrafi! w ogóle mówić. Cała jego mowa to był jeden wielki krzyk. Teraz też krzyczy bez ustanku:

- Obrzezałem go, obrzezałem go, ty k...! Już nie będzie chrześcijaninem, tak jak chciałaś! Teraz będzie muzułmaninem, muzułmaninem, muzułmaninem! - śmieje się dziko. Śmieją się szaleńczo Madina i żona Salema, krzycząc:

- Widzisz, ty k.... już nie będzie chrześcijaninem, już będzie muzułmaninem, muzułmaninem!

Tak, jak gdyby fakt obrzezania chłopca decydował o jego późniejszym zaangażowaniu religijnym! W Polsce wykonuje się wiele tego typu zabiegów i jest to podyktowane względami zdrowotnymi, przy kłopotach z oddawaniem moczu, które miał również Riad. Nikt jednak nie miesza

w to aż w takim stopniu religii, pomijając już inne aspekty tej sprawy!

Wpadam do pokoju, gdzie przebywa Riad. Syn stoi bez butów, na cementowej posadzce, nogi ma sine do kostek, bo dziecko nie jest przyzwyczajone do chodzenia boso. Ubrany jest w białą koszulę szytą specjalnie na taką okazję. Riad jest wystraszony i ogłupiały, ma czerwoną twarz. Dotykam jego głowy. Dziecko ma bardzo wysoką gorączkę.

- Co ty z nim wyrabiasz! - krzyczę do Yacine. - Przecież Riad jest bardzo chory!

Ale ten psychopata nie reaguje, podnosi koszulę Riada i wrzeszczy:

- Zobacz na jego członek, ten franca lekarz źle go obrzezał, muszę znowu dzisiaj zabrać go na powtórne obrzezanie!

- Mamusiu, mamusiu, chcę do domu! - krzyczy w przerażeniu syn.

- Ty k...! Nigdzie dziecka nie weźmiesz! - Yacine drze się jak opętany.

Krzyczy Madina, krzyczy żona Salema. Boże, gdzie ja wpadłam! Do takiej rodziny! Boże, Boże, przecież to zwierzęta, a nie ludzie! Jedynie biedna teściowa siedzi w kącie i na nic nie reaguje. Robi mi się słabo, coś dziwnego zaczyna się dziać z moim ciałem. Instynkt samozachowawczy każe mi wyjść z tego mieszkania, gdzie króluje dzicz, gdzie moja obecność pozbawiona jest jakiegokolwiek sensu. Szybko taksówka i do domu.

W domu czuję się okropnie, strasznie się boję i mam wrażenie, że zaraz umrę. Połykam jakieś środki uspokajające, wapno musujące, wylewam na siebie w łazience masę zimnej wody. Całe popołudnie - krople uspokajające, zimna woda na głowę, zimny prysznic na przemian z gorącym, gimnastyka. Nie dać się pokonać przez to „coś", co chce zawładnąć moim ciałem, unicestwić mnie. Tym razem udało się. Wieczorem zasypiam jak nieżywa. Budzę się wcześnie rano. Objawy niepokoju na szczęście ustąpiły.

Ranek musi przynieść jakieś rozwiązanie. Pakuję do torby wszystkie możliwe dokumenty z sądu i idę na posterunek policji, któremu podlega Badjarah. Nie jest zbyt daleko. Wyjaśniam, o co chodzi. Pokazuję

wszystkie papiery z sądu. Naczelnik, dosyć młody, rzeczowy i inteligentny mężczyzna, przegląda uważnie dokumenty.

- Czego pani chce? - pyta się.

- Chcę zabrać syna do siebie do domu - odpowiadam. - Rodzina mojego męża mi go nie da. Zabiją mnie, gdy tam pójdę.

- Damy pani samochód policyjny i dwóch policjantów - rzeczowo odpowiada naczelnik.

Prawie natychmiast wprowadza w czyn swoje słowa. Jadę policyjną furgonetką z silną obstawą. Policjanci każą mi zaczekać przed domem w samochodzie, sami idą pod wskazany adres. Nie ma ich długo. Wreszcie wychodzą. Jeden niesie na rękach Riada, drugi torbę z jego rzeczami. Obaj są bardzo zdenerwowani. Nic nie mówią, ale wyobrażam sobie, co się tam działo! Policja podwozi mnie pod dom. Dziecko jest nieprzytomne ze strachu, ma silną gorączkę. Biedny Riad, biedny „muzułmanin"! Tak to, synu zostałeś przywiązany do wiary, o której nie masz jeszcze zielonego pojęcia. Główny atrybut tej wiary to twój członek, z którego odcięto jakiś kawałek skóry. To jest symbol twojej przynależności do tej wiary! Na razie masz tylko ból, gorączkę, chce ci się pić i jeść.

- Zupy, zupy! - woła Riad, nauczony codziennego jadania posiłków, których *entrée* stanowiła zawsze zupa.

Biorę się do gotowania zupy jarzynowej.

W torbie z rzeczami Riada znajduję dużo lekarstw, kilka recept lekarskich oraz kartkę, na której napisano sposób ich podawania. Antybiotyki, środki dezynfekujące, bandaże. Nie mogę patrzeć na to, co oni powyrabiali z Riadem. Dwukrotnie obrzezany, dzień po dniu, bo zdaniem Yacine pierwszy lekarz zrobił to nieprawidłowo. Yacine - znawca obrzezania! Głupota i fanatyzm tego chorego człowieka nie ma granic. Nie liczy się dziecko i jego cierpienie. Dobrze, że wyrwałam Riada z jego rąk. Nie mogę jednak patrzeć na zmasakrowany członek syna, na cierpiące w silnej gorączce dziecko.

Riad bardzo powoli wraca do zdrowia, rana nie chce się goić. Cierpię okropnie razem z nim. Syn ma portmonetkę, a w niej pięćdziesiąt dinarów. Tyle dostał od gości, którzy zostali zaproszeni w pierwszy wieczór

na tę uroczystość. 50 dinarów! Nagotowano kuskusu. Kobiety w jednym pokoju, a mężczyźni w innym (nigdy razem) „świętowali" uroczyste obrzezanie mojego Riada, który pozostawiony w trzecim pokoju sam sobie z ogromnym bólem i gorączką, siedział na cementowej podłodze z gołymi nóżkami, oderwany od matki i od znanych sobie miejsc, przeniesiony do otoczenia, którego nie znal zupełnie, do mieszkania, w którym prawie nigdy ostatnio nie bywał. Po tym brutalnym doświadczeniu syn w ciągu kilku następnych miesięcy zrywał się w nocy z przeraźliwym krzykiem. Bał się. Sypiał przytulony do mnie, trzymając mnie za rękę. Czy tak ma rodzić się wiara u człowieka?

Poszukiwanie pracy

Po swoim przebudzeniu z „letargu" równocześnie z bieganiem po sądach starałam się o pracę. Nie miałam nigdzie żadnych znajomości. Zaczęłam od odwiedzania wszystkich biur pośrednictwa pracy. Szybko się przekonałam, że było ich w moim zasięgu tylko trzy: jedno w centrum Algieru, drugie w Hussein Dey, trzecie w El Harrach. Wszystkie świeciły pustkami. Zastanowiło mnie, dlaczego.

- Proszę pani, bezrobocie jest tak ogromne, że nie ma szans na znalezienie pracy tym sposobem - informuje mnie szef jednego z nich.

Kierownik biura w El Harrach pokazuje mi stosy dokumentów ludzi szukających pracy. Są to inżynierowie o bardzo konkretnych specjalnościach, lekarze. Jedynie w biurze w centrum Algieru wisi kilka ogłoszeń z ofertami. Poszukiwani są inżynierowie informatycy o bardzo wąskich specjalizacjach. Warunek przyjęcia - posiadanie obywatelstwa algierskiego. W Hussein Dey - żadnych ofert pracy i stosy podań o pracę. Jednak kierownik tego biura jest bardzo przychylnie do mnie nastawiony. Ma wszędzie jakieś znajomości. Wysyła mnie do różnych zakładów pracy z listami polecającymi.

Kilometry przebytych na piechotę dróg, kilkanaście par zdartych butów. Wszędzie to samo - nie ma przyjęć, zablokowane etaty, bo przerost zatrudnienia ogromny. Mój dyplom inżyniera ekonomii nic nikomu nie mówi i jest zupełnie nieprzydatny w algierskich warunkach. Teoretycznie mam takie same prawa do pracy jak Algierka. Jednak na wiadomość, że jestem cudzoziemką i na dodatek rozwiedzioną, rzedną wszystkim miny, nikt nie kwapi się nawet do wstępnych rozmów. Muszę tłumaczyć wszystkim, że nie żądam zapłaty w dewizach, zresztą prawo algierskie pozbawia mnie tego przywileju, że nie przyjechałam do Algierii w

ramach kontraktu. Noszę ze sobą fotokopie tych przepisów, bo kierownicy działów personalnych nie mają o nich pojęcia. Wyjaśniam, przekonuję. Nic. Codziennie jestem w biurze pośrednictwa pracy w centrum Algieru i w Hussein Dey.

W zakładzie C, potrzebują programistów. Kierowniczka przyjmuje ode mnie wszystkie dokumenty.

- Ależ oczywiście, postaramy się pani pomóc - oświadcza z miłym uśmiechem.

Nie mówi mi bezpośrednio - nie, bo jest pod naciskiem kierownika biura w Hussein Dey. Wszędzie, gdzie się udam, by usilnie prosić, prawie żebrać o pracę, słyszę zawsze to samo: - Ależ oczywiście, nie ma sprawy, postaramy się pani pomóc, proszę dowiedzieć się za tydzień, za miesiąc...

Nie używa się tu słowa „nie". „Ależ tak, nie ma sprawy, załatwi się" - to leży w tutejszym zwyczaju, o czym nie bardzo mam pojęcie. Naiwnie wierzę w obietnice. Wszędzie zostawiam podanie, życiorys, wypełniam jakieś ankiety. Przychodzę po odpowiedź w podartych, zdeptanych kilometrami dróg butach. Jutro, pojutrze, za tydzień... Jestem sama ze swoimi problemami, sama w tym męskim świecie, obarczona ogromną odpowiedzialnością za los dzieci. Sama, sama, sama...

Kończą mi się pieniądze. Zaczynam wyprzedawać rzeczy z domu. Sprzedaję głęboki i spacerowy wózek Sabrinki, dywany, odkurzacz, całą „Cepelię", zwożoną z Ojczyzny przez wiele lat. Na jak długo starczy mi tych pieniędzy?

Jedyną podporą psychiczną w tym okresie jest dla mnie Maria. Codziennie do niej dzwonię. Cierpliwie wysłuchuje moich problemów. Gdy jest ze mną niedobrze, słyszę w słuchawce jej ciepłe słowa: „Bierz taksówkę i przyjeżdżaj!" Mieszka niedaleko od Kouby - na osiedlu Garidi. Kochana Maria! Zawsze ma dla mnie czas i dobre słowo. Działa na mnie jak środek uspokajający, jest najlepszym terapeutą i najlepszą przyjaciółką. Ileż dni jej zabrałam, usiłując „wyrzucić" z siebie stres, depresję, żal i rozpacz. Maria nie ma wykształcenia, pochodzi z biednej, wielodzietnej rodziny. Ma jednak w sobie dużo życiowej mądrości. Umie słuchać. Potrafi doradzić. Jej piękne, ciepło urządzone mieszkanie zawsze działa na mnie jak uzdrawiający balsam.

Był jednak moment, kiedy nasza przyjaźń mogła się rozpaść bezpowrotnie. Jej mąż pewnego dnia oświadczył, że zabrania przyjmowania mnie w ich domu. Powodu nie podał, ale domyślam się: rozwódka - gatunek niższego rzędu, może mieć negatywny wpływ na jego żonę. A przecież, gdy byłam mężatką, wielokrotnie uczestniczył wraz z Marią w różnych spotkaniach, które organizowałam w naszym domu. Wiedział też, jakie piekło przeszłam z Yacine. Niestety, to ja byłam wszędzie potępiana za to, co się stało. Zawsze wina leży po stronie kobiety, nigdy po stronie mężczyzny! Maria powtórzyła mi decyzję swojego męża.

- Anno, nie wiem, co robić, boję się go! Boję się, że może mi urządzić piekło z twojego powodu.

Krew mnie zalała. Było południe. Postanowiłam zaczekać na Belaida, aż wróci z pracy i rozmówić się z nim.

- Nie rób tego! - błagała Maria. - To się dla mnie źle skończy!

Ale ja nie dałam za wygraną. Dzwonek do drzwi. To Belaid. Maria natychmiast ucieka do innego pokoju. Belaid nie ukrywa swojego niezadowolenia na mój widok. Zostajemy sami.

- Postanowiłam na pana zaczekać, ponieważ Maria przekazała mi, że zabronił mi pan przebywać w waszym domu. Czy to prawda?

- Prawda - odpowiada po chwili, wyraźnie zaskoczony.

- Ach tak? Wobec tego chciałabym usłyszeć, co pan ma przeciwko mnie. Czym się panu naraziłam, że zabronił mi pan kontaktować się z Marią?

Tego się Belaid nie spodziewał. Nie wiedząc, co odpowiedzieć, zaczyna walić pięścią w stół i mówić podniesionym głosem:

- To jest moje mieszkanie! Ja tu o wszystkim decyduję, a nie Maria!

- Nieprawda! - odpowiadam. - To jest także mieszkanie Marii, każda serwetka, każdy kwiatek w tym mieszkaniu to jej praca. Ona nie jest pana własnością, ona ma także swoje prawa i swoje zdanie. Ale wracając do tematu - chcę usłyszeć, co mi ma pan do zarzucenia. No co?

Przypieram go do muru. W końcu Belaid nie wytrzymuje i z uśmiechem, ażeby rozładować sytuację, odpowiada:

- Niech diabli wezmą te Polki! Zgoda, zgoda, zgoda... Może pani przychodzić codziennie do Marii, bylebym pani nie widział po przyjściu z pracy.

Maria cały czas była schowana w innym pokoju. Bała się. Ale - jak się dowiedziałam następnego dnia - żadnej awantury nie było i Belaid już nigdy nie powrócił do tego tematu. Z biegiem czasu nasze stosunki jakoś się unormowały i nawet zyskałam sobie jego sympatię. Byłam częstym gościem w ich nowej rezydencji - przepięknej willi na przedmieściu Algieru.

* * *

Płyną tygodnie. Nie mam pracy. Topnieją zasoby finansowe. Zastanawiam się, co jeszcze mogę sprzedać. Teraz rozumiem, dlaczego Algierki żądają od swoich mężów złota w prezencie ślubnym. W takiej sytuacji jak moja jest to wymierne zabezpieczenie, łatwe do wymiany na pieniądz. Ofiarowane przy świadkach złoto staje się własnością kobiety i ma ona prawo je zabrać w wypadku rozwodu. Wszystko inne może zabrać mąż i jeżeli kobieta nie ma faktur zakupu wystawionych na jej nazwisko, nie ma żadnej możliwości zatrzymania czegokolwiek. Gdyby Yacine miał gdzie przechować nasz wspólny dobytek, wywiózłby wszystko. Niestety, nie dysponował taką możliwością i chyba jedynie dlatego pozostawił nam wyposażenie mieszkania. Zastanawiam się, co by było, gdybym nie miała co sprzedać.

Rozważam chłodno: Sąd zasądził mi po 500 dinarów alimentów na każde dziecko. Jest to śmieszna suma, która nie wystarczy na pokrycie minimalnych kosztów wyżywienia dziecka. W Algierii nie ma żadnej opieki socjalnej, zapomóg, zasiłków dla bezrobotnych. Wyjechać do Polski nie mogę, ponieważ nie mam zgody ojca na wywóz dzieci. Trudno o pracę dla mężczyzny, a cóż dopiero dla kobiety i to w dodatku Europejki.

Zastanawiam się, co pozostaje kobiecie w takiej sytuacji? Prostytucja? Najczęściej. Lub powtórne małżeństwo. Za wszelką cenę, z byle

kim, za przysłowiowy talerz zupy, co dla mnie jest również prostytucją, tyle że małżeńską, zasłoniętą parawanem oficjalnego aktu ślubu.

Opiekuję się sąsiadką, starszą panią, której mąż zmarł. Nie mieli dzieci. Sąsiadka cierpi na nadciśnienie, a ponieważ mam aparat, często prosi mnie o zmierzenie ciśnienia. Robię jej też nieraz zakupy. Pewnego dnia woła mnie przez płot. Koniecznie mam przyjść do niej dzisiaj o godzinie 16°°. Zjawiam się punktualnie. Przynoszę aparat do mierzenia ciśnienia, sądząc, że o to chodzi. Tymczasem zastaję stół ładnie udekorowany, zastawiony rozlicznymi algierskimi potrawami. W domu są jacyś goście. Zostaję przedstawiona starszemu panu, jego synowi i synowej. Pan dobiega siedemdziesiątki, trzęsą mu się ręce. Sąsiadka wyjaśnia mi, że jej kuzyn, dowiedziawszy się o moich kłopotach, postanowił mi pomóc w znalezieniu pracy, ponieważ jako były dyrektor jednego z większych zakładów w Algierze, ma rozliczne znajomości. Moja radość nie ma granic. Jemy wspaniałą kolację, starszy pan „pożera", ale nie potrawy, tylko mnie - wzrokiem. Je w obrzydliwy sposób. Ohyda. Ale niech tam, najważniejsze, że może mi pomóc. Zostawia mi swój adres. Mam przyjść do niego za tydzień.

Pełna nadziei, jadę na El Biar. Przez kilka godzin błądzę po dzielnicy, szukając podanego mi adresu. Takiej ulicy i takiego numeru nie ma. Okazuje się, że starszy pan na skutek zaawansowanej sklerozy podał mi błędny adres własnego domu! Ktoś wskazuje mi właściwy adres, kierując się nazwiskiem. Dzwonię. Wita mnie starszy pan ogromnie zdenerwowany. Widać, że z niecierpliwością oczekiwał na moje przyjście. Tłumaczę, pokazuję własnoręcznie przez niego napisany adres.

- No tak, przepraszam, pomyliłem się.

Jestem potwornie zmęczona, nie czuję nóg, odpadł mi obcas od jednego buta. „Chyba wrócę boso" - myślę sobie. Gospodarz proponuje wspólną kolację, która została już przygotowana przez jego synową. Syn i synowa dyskretnie usuwają się z pokoju. Zostajemy sami. Biorę się skwapliwie do jedzenia. Starszy pan też, w znany mi już sposób, mlaszcząc, śliniąc się, pomagając sobie rękami. To ma być były dyrektor

ważnego przedsiębiorstwa? Nie chce mi się wierzyć. Rozpromieniony oznajmia mi, że ma dla mnie pewny adres. Mam udać się do Boumerdes, gdzie znajduje się największa wyższa uczelnia kształcąca chemików różnych specjalności i na pewno otrzymam tam pracę wykładowcy.

Boumerdes - kilkadziesiąt kilometrów za Algierem. Ale jest pociąg, a starszy pan zapewnia mnie, że uczelnia ma świetnie zorganizowany transport własny. Wciska mi w rękę adres i proponuje odwiezienie do domu własnym samochodem, wyznaczając mi spotkanie za kilka dni.

Już następnego dnia rano jadę pociągiem do Boumerdes, zostawiając Riada na łasce Boga i Soni. Na miejscu okazuje się, że podany adres jest niekompletny, że jest to ogromna uczelnia rozsiana po całym mieście, mająca dziesiątki różnych instytutów. Pokonuję kilometry drogi, by dopiero późnym popołudniem trafić pod właściwy adres i na właściwą osobę.

- Tak, dzwonił do mnie mój kuzyn w pani sprawie. Ale przecież przekazałem mu niezbędne informacje, niepotrzebnie się pani fatygowała. Na uczelni zatrudniamy wykładowców co najmniej z doktoratem, a kadry pomocniczej nie potrzebujemy.

Krótko i zwięźle. Późną nocą dobijam do domu. Jestem wściekła. Po kilku dniach idę na umówione spotkanie ze starszym panem, który przyjeżdża swoim samochodem. Wsiadam. Opowiadam mu o wizycie w Boumerdes. Nie okazuje żadnego zainteresowania. Wciska mi w rękę sto dinarów. Po chwili jego trzęsące się ręce błądzą po moich kolanach, niebezpiecznie posuwając się coraz wyżej. Zrzucam te ohydne dłonie, krzycząc:

- Proszę natychmiast zatrzymać! Jeżeli nie, to wyskoczę w biegu!

Samochód staje. Trzaskam drzwiami rzucając sto dinarów starszemu panu, który dopiero dwa miesiące temu pochował swoją żonę, przeżywszy z nią kilkadziesiąt lat!

W ten oto brutalny sposób zostałam sprowadzona z obłoków na ziemię - do algierskiej rzeczywistości. Pozostaje mi jedyne wyjście - prostytucja! Oficjalna lub ukryta za parawanem małżeństwa.

* * *

Widzę, jak zmienił się stosunek do mnie całej rodziny Belaici, odkąd Yacine wyprowadził się z domu. Stałam się owcą rzuconą na pożarcie pięciu wygłodniałym seksualnie wilkom - synom Belaici. Naser często puka w nocy do mojego mieszkania, wołając po cichu: „Anno, otwórz!" Podwożąc mnie kilkakrotnie taksówką do miasta, czynił mi bezczelne propozycje. Nawet szczerbaty małolat Amine kilkakrotnie wtargnął do mojego mieszkania i nie miał najmniejszego zamiaru wyjść. Komu się poskarżyć, kto mi uwierzy? Nikt. Powiedziałam raz o tym Malice, żonie Mohameda.

- Jak śmiesz oskarżać moich szwagrów? - zaczęła krzyczeć na mnie. - Jeżeli jeszcze raz coś takiego usłyszę, to zobaczysz, jak się to skończy dla ciebie!

Zrozumiałam, że jedynym wyjściem jest cisza, bo zrobienie szumu z tej sprawy może się skończyć tragicznie dla mnie i dla dzieci. Nic nie mówię. W nocy staram się nie słyszeć nawoływań Nasera, w dzień, jeśli przebywam w domu, zamykam szczelnie drzwi na zasuwę, nikomu nie otwierając.

Dalej biegam i szukam pracy. Daję ogłoszenie w prasie. Banalne, zgodnie z sugestią biura zatrudnienia i znajomych: „Inżynier ekonomii, kobieta, znajomość informatyki, szuka pracy".

Dostaję tylko jedną ofertę, pomimo że ogłoszenie ukazuje się codziennie przez tydzień. Oferta pracy jest z prywatnego biura projektów na Hydrze. Właściciel jest najwyraźniej zdziwiony, widząc przed sobą cudzoziemkę. Elegancka willa, eleganckie samochody, duża pracownia.

- Mogę panią zatrudnić - mówi. - Oto pierwsza pani praca. Jakiś prywatny wytwórca chce produkować tusz. Potrzebne mu jest rozeznanie rynku: ilu jest w Algierze producentów tuszu, czy jest na taki towar zapotrzebowanie itp.

Tylko tyle. Żadnej umowy. Nic. Mam odbyć rejs po algierskich drukarniach, po wytwórniach długopisów. Dowiedzieć się, skąd biorą tusz do wydruków i wyrobu długopisów, czy jest go wystarczająca ilość,

czy też sprowadzają. Zdzieram buty, płacę za taksówki z własnej kieszeni. Odwiedzam różne drukarnie. Wszędzie dostaję niezbędne informacje. Nikt nie pyta mnie o nazwisko ani o żadne dokumenty. W jednej drukarni dostaję nawet szczegółowy opis technologii produkcji tuszu. Dwa tygodnie bieganiny. Opracowuję w domu materiał na kilka stron. Zrobiłam dokładną analizę rynku. Udokumentowałam ją wykresami i liczbami. Sonia pomaga mi w redagowaniu tego elaboratu po francusku. Cieszy się, że znalazłam pracę.

Opracowany materiał zanoszę szefowi biura. Jest najwyraźniej zadowolony. Wyciąga z szuflady 1000 dinarów, po chwili namysłu dorzuca jeszcze 500.

- To dla pani! - mówi z taką miną, jak gdyby ofiarował mi worek złota, a zwraca tylko za taksówki i zdarte buty. Oto algierski kapitalizm!
- Mam dla pani dużo interesującej pracy! - obiecuje.

Do pracowni wchodzi jego żona, cudzoziemka, pięknie ubrana, obwieszona złotem. Szef chce przedstawić propozycję mojego następnego zadania. Wymawiam się zmęczeniem. Nie zamierzam dać się wykorzystywać.

- Proszę przyjechać jutro - oświadcza mi mój „dobroczyńca". - A dzisiaj szofer zawiezie panią do domu.

Fakt. Pięknym mercedesem zostaję podwieziona pod sam dom, ku zgorszeniu i oburzeniu wszystkich Belaici.

* * *

Nadchodzi pamiętny dla Algierii dzień 5 grudnia 1988 r. Był to tragiczny i bolesny wstrząs dla tego kraju. Spowodowały go: spadek światowych cen ropy naftowej i gazu, susza ostatniego roku, wysoki przyrost naturalny oraz wiele nie spełnionych obietnic poprzedniej ekipy. Środa. Ciężka atmosfera w powietrzu. Jestem w centrum Algieru. Coś się dzieje. Widzę masy napływającej do centrum młodzieży, uzbrojonej w żelazne pręty, kije, palki. Sprzedawcy pośpiesznie zamykają sklepy, przechodnie zaczynają uciekać. Nagle przejmujący krzyk rozdarł miasto, na które ruszyła nawała młodocianych, niszcząc, tłukąc, paląc, co się da.

Wpadam do jakiegoś budynku, którego bramy mieszkańcy jeszcze nie zamknęli. W ostatniej sekundzie zatrzaskują się za mną metalowe drzwi. Serce bije mi jak dzwon. „Prędzej, prędzej" - ktoś mnie pogania, ktoś wpycha mnie do jakiegoś mieszkania. Boże, gdzie ja jestem? Co się dzieje? Na zewnątrz przerażający ryk. Łomot w bramę, która nie puszcza. Gryzący w oczy dym wdziera się w każdy kąt mieszkania, w którym przebywam. To z palonych na ulicy samochodów. Rozszalały tłum wdziera się do sklepów, z których wyrzuca wszystko na ulicę, demoluje i podpala. Niszczy budynki urzędów, firm państwowych, banków, poczty. Szczególnie zajadle atakuje restauracje serwujące alkohol, nocne lokale, sklepy z winem. Koniec świata! A tam w domu dzieciaki zostały same! Chcę do domu!

- Nigdzie pani nie pójdzie! Nie dojdzie pani żywa!

Jestem w mieszkaniu pełnym ludzi. Zamknięte szczelnie okiennice, nic nie widać, słychać jedynie groźne, niebezpieczne odgłosy, czuć spaleniznę. O Boże, spalą nas żywcem, a tam w domu dzieci same, zupełnie same!

Nie wiem, jak przeżyłam tę noc, niewiele pamiętam. Wczesnym rankiem ktoś wyprowadził mnie z domu, gdzieś daleko wsadził do jakiegoś samochodu. Wstawał świt, a niebo nad Algierem było czarne. Patrzę na ten przerażający obraz. Wydaje mi się, że jestem na innej planecie. Przepiękna stolica przypomina miasto z jakiegoś horroru. Na ulicach nie ma żywej duszy. Zresztą, są one prawie zupełnie nieprzejezdne, zabarykadowane powywracanymi samochodami, ogromnymi kamieniami.

- Do domu, do domu! - powtarzam jak opętana.

Jakimiś tylko sobie znanymi uliczkami miody człowiek dowozi mnie w okolice Kouby i pośpiesznie zostawia. Mam do przejścia jeszcze kawał drogi. Widzę zdemolowany sklep samoobsługowy, ulice Kouby toną w szkle i kamieniach. Tlą się jeszcze popalone, powywracane samochody. Docieram do domu. Sonia i Riad przerażeni, nie spali całą noc.

- Gdzie byłaś, mama, gdzie byłaś? - płaczą oboje.

Trzęsą mi się ręce i nogi. Jak dobrze, że dotarłam do domu. Około dziesiątej znowu ogłuszający ryk. Wbiegam na ostatnie piętro naszego

domu. Patrzę przez okno. Widzę w akcji Mohameda Belaici, który wraz z innymi mężczyznami tarasuje drogę ogromnymi głazami. Za chwilę obrzucają kamieniami usiłujący przejechać patrol policji, który jednak nie strzela. Drętwieję na widok Mohameda i jego kumpli przemienionych w rozjuszone zwierzęta, opętanych żądzą zabijania. „Czego ty chcesz? - myślę sobie. Tutaj, w Algierii, masz piękną willę, dobrze zarabiasz jako taksówkarz i żyjesz z inżyniera, który nie ma nic. To państwo ci się nie podoba? Powinieneś dziękować swojemu Allahowi, że obdarzył cię taką łaską i dał ci możliwość dostatniego życia w tym pięknym kraju!"

Około południa nad miastem zaczynają krążyć helikoptery, na ulicach pojawiają się czołgi. W mieście ogłoszono stan wyjątkowy. Wojsko zajęło główne punkty miasta. Padły pierwsze strzały i są pierwsze ofiary. Ogłoszono godzinę policyjną - najpierw od 24^{00} do 6^{00}, potem od 22^{00} do 5^{00}. Jednakże w tak popularnych dzielnicach jak El Harrah, Badjarah, Belcourt walki młodocianych z wojskiem trwają bez przerwy.

W piątek, po zakończeniu modłów w meczetach, napięcie zmalało. Piątego dnia wydaje się, że powraca spokój na ulice Algieru. Jednakże wiadomości stacji zagranicznych o wielu ofiarach starć w Algierii na nowo rozpalają nastroje młodocianych. Dochodzi znowu do zbrojnych demonstracji, niebo nad Algierem zasnuwa się gęstym dymem pożarów, słychać strzały.

Następnego dnia, a jest to już szósty dzień rozruchów, niepokój narasta. Po wiecu w dzielnicy Belcourt wielki pochód młodocianych zmierza do Bab El Oued. Demonstranci są kilkakrotnie zatrzymywani przez siły bezpieczeństwa, ale licząca 20 tysięcy masa ludzi forsuje zapory, by w końcu dotrzeć do Casbah, gdzie napotyka czołgi i opór żołnierzy. Rozlega się potężne: *Allah Akbar!** Padają strzały. Bilans oficjalny - 33 zabitych.

* Allah jest wielki!

O godzinie 20 rozpoczyna się w telewizji przemówienie prezydenta Algierii - Bendjedida Chadli. Nagle w Algierze zapanowała cisza. Wydawało się, że głos prezydenta rozlega się nad miastem. Prezydent mówi

zrównoważonym, spokojnym głosem. O trudnej sytuacji gospodarczej kraju, o ogólnych trudnościach. Zapowiada reformy polityczne.

Na drugi dzień na ulicę wyległy tłumy mieszkańców Algieru z okrzykami: „Niech żyje prezydent Chadli!" Wiwatują na cześć prezydenta, wyrażają mu swoje poparcie. Wystarczyło jedno przemówienie, aby uśmierzyć zamieszki tam, gdzie nie pomogły żadne środki. Mieszkańcy niektórych dzielnic wyszli ze szczotkami i wiadrami i sami zabrali się do sprzątania ulic i wejść do swoich domów, do usuwania skutków wandalizmu.

Kouba przedstawia obraz nędzy i rozpaczy. Popalone samochody osobowe tarasują główną arterię. Na środku - spalony autobus. Główny dom towarowy zniszczony, powybijane szyby, cały towar „zniknął" z półek. Wszędzie na ulicach pełno ogromnych głazów, które uniemożliwiają swobodne poruszanie się. Horror! Rezultat frustracji, która została spowodowana ogromnym bezrobociem właśnie wśród młodych (o czym mam możliwość przekonać się na własnej skórze), brakiem perspektywy na własne mieszkanie, porównywaniem własnego standardu życiowego ze standardem wysoko rozwiniętych krajów Europy, a zwłaszcza Francji, gdzie wielu Algierczyków ma swoje rodziny i skąd odbierają oni na co dzień bez trudności satelitarny program telewizyjny.

* * *

Mijają dni, tygodnie bezskutecznych wędrówek po biurach zatrudnienia. Wreszcie pod koniec października 1988 roku dostaję skierowanie do zakładu E. Miły dyrektor ekonomiczny, pan A. oświadcza mi, że potrzebuje kogoś, kto zająłby się informatyką w ich bazie w S. Jest to jedna z peryferyjnych dzielnic Algieru, ale szczęśliwie dla mnie położona w okolicach Kouby. Natychmiast wyrażam zgodę. Z listem polecającym udaję się do bazy w S. Zostaję przyjęta przez dyrektora H. i jego zastępcę Lyesa Ch. Dyrektor H. jest w moim wieku. Lyes Ch. - młodszy, sprawiający wrażenie bezczelnego, pewnego siebie. Obaj prowadzą ze mną niezobowiązującą konwersację, niewiele mającą wspólnego z rozmową w sprawie przyjęcia do pracy. Proszą mnie o wypełnienie ankiety,

każą zostawić mój numer telefonu do domu. Wychodzę z przeświadczeniem, że i tak nic z tego nie będzie, że jest to jeszcze jedna komedia w algierskim wydaniu. Tymczasem po kilku dniach dzwoni telefon u Belaici. Słyszę po przeciwnej stronie:

- Jest pani przyjęta do pracy, proszę zgłosić się do nas 12 listopada!

Skaczę do góry ze szczęścia.

- Co się stało? - pyta Zoubida i Malika.
- Znalazłam pracę! - odpowiadam z ogromną radością w głosie. W oczach kobiet błyska nienawiść, na twarzach pojawia się wyraz niezadowolenia i zawiści. Chciałyby zobaczyć mnie na ulicy! Same, zależne całkowicie od mężczyzny, nie są w stanie zaakceptować faktu, że można w tym kraju egzystować w inny sposób, że prostytucja i ulica nie jest jedynym rozwiązaniem dla kobiety pozbawionej męskiej opieki.

Praca w bazie w S.

12 listopada 1988 roku zjawiam się w bazie w S. Jest to kilka drewnianych, niskich i długich baraków na peryferiach stolicy. Mała stacja kolejowa, tory, polna droga i okolica to raczej nie Algieria, ale sceneria z amerykańskiego westernu, w której brakuje tylko kowbojów. Wszędzie unosi się kurz. Chyba rzadko pojawia się tu jakaś europejska twarz, oglądają się bowiem za mną wszyscy - dzieci, mężczyźni i nieliczne kobiety.

Po podpisaniu kontraktu na rok i dopełnieniu innych formalności zostaję wprowadzona do biura, w którym znajduję ładną, miłą i młodą dziewczynę. Ma gęste, faliste włosy spadające na ramiona, jasną cerę i bardzo delikatne rysy twarzy. To Dalila. Jest jeszcze Nadia - sekretarka. Dawno nie widziałam tak urodziwej dziewczyny o tak doskonałej figurze. Nadia ma smagłą cerę, twarzową, krótką fryzurę, duże, piwne oczy oraz zęby jak perły. Jest bardzo sympatyczna. Pozostały personel stanowią mężczyźni. Główne zadanie bazy to projektowanie central telefonicznych. Dziwi mnie zaraz na wstępie, dlaczego pracuje tu tylu zaopatrzeniowców, a na placu leżą stosy różnych materiałów.

Pierwsze dni schodzą mi na poznawaniu nowych kolegów. Okazuje się, że jest całkiem interesujące towarzystwo. Bardzo podoba mi się Dalila. Jest nie tylko ładna, ale niezwykle wrażliwa i uczuciowa. Poznaję jej historię. Matka zmarła przy porodzie przy trzecim dziecku, ojciec, wojskowy, zginął chyba niedługo potem w wypadku samochodowym. Dalila wraz z siostrą wychowane były przez bliższą i dalszą rodzinę, głównie przez babcię.

Z czasem nawiązuje się między nami serdeczna przyjaźń, więcej - jesteśmy jak siostry. Kilkakrotnie Dalila zaprasza mnie do siebie. Dzieli

pokój ze swoją babcią u jakiejś dalszej rodziny. Nieprzyjemna, ciężka atmosfera w domu. Dalila czuje się tu bardzo źle, nie ma żadnych praw, jest ciągle pilnowana. Szczególnie trudne chwile przeżywa wtedy, gdy babcia wyjeżdża na dłuższy okres do swojego domu w górach Kabylii. Jak każda młoda dziewczyna, Dalila marzy o własnym domu, chce założyć rodzinę. Na razie nie ma starającego się oficjalnie o jej rękę.

Pewnego dnia w biurze widzę, że Dalila zanosi się płaczem. Opowiada mi, co się stało. Od dłuższego czasu spotykała się ze swoim dalekim kuzynem, Mouradem. Była w nim bez pamięci zakochana. Spędzali ze sobą każdą wolną chwilę, Mourad zapewniał ją o miłości. Jeszcze poprzedniego wieczoru byli razem. Następnego dnia Dalila spotkała zupełnie przypadkowo jednego ze współpracowników Mourada.

- Dalila, ty też jesteś zaproszona na dzisiaj wieczór?
- Z jakiej okazji? - zdziwiła się dziewczyna.
- Mourad się żeni - odpowiedział jego kolega.

Nogi Dalili zrobiły się jak z waty, dziewczyna zasłabła. Jest zrozpaczona.

- Popatrz Anno! Jeszcze poprzedniego wieczoru był ze mną, zapewniał o swojej miłości! Jak to jest możliwe?

Jak się później dowiemy, matka Mourada nie widziała w Dalili dobrej partii dla swojego syna, dziewczyna była biedna, bez rodziców. Znalazła mu więc pannę według swojego gustu i chłopak podporządkował się jej woli. Tak, jak gdyby to matka miała żyć jego życiem! Dorosły, 35-letni mężczyzna, zajmujący w pracy odpowiedzialne stanowisko - prawie ubezwłasnowolniony, jeżeli chodzi o życie osobiste. Denerwuje mnie brak dojrzałości u tych „dorosłych" mężczyzn, nie przecięta od urodzenia pępowina. Nie mają odwagi przeciwstawić się matce, ojcu, toteż całkowicie podporządkowują się ich woli. Rozumiem, że obyczaje, język i religia kultywowane przez pokolenia, pozwalają zachować tożsamość narodu. Daleka jestem od akceptacji przenoszenia na muzułmański grunt wzorców płynących z wysoko rozwiniętych, kapitalistycznych państw Europy Zachodniej czy Ameryki. Ale też daleka jestem od akceptacji ewidentnych bzdur, mających niewiele wspólnego ze zdrowym

rozsądkiem czy tradycja jakiegokolwiek narodu, wpływających destrukcyjnie na rozwój człowieka.

Dalila długo nie może dojść do siebie. Zamknęła się w sobie, jest smutna i zrezygnowana.

* * *

Tymczasem kończył się rok. Po raz pierwszy sylwester miał być dla mnie tak smutny i samotny. Bez Sabrinki. Przyjechała do mnie Dorota i mówi:

- Słuchaj Anno! Nasza ambasada organizuje sylwestra dla zaproszonych gości. Może pójdziesz razem z nami?

Nie mogę się zdecydować, chociaż Dorota usilnie mnie namawia. Wiem, że spotkam tam Polki, które patrzą na mnie niechętnym wzrokiem, bowiem mój były mąż robi mi wszędzie niezłą „reklamę". Mam jednak ochotę.

- Idziemy - decyduję się.

Biorę butelkę włoskiego szampana i w trójkę idziemy do ambasady. Wchodzimy do pięknie udekorowanej sali, która za chwilę zapełnia się. Stoliki ustawiono po dwóch stronach. Po jednej stronie zebrały się małżeństwa polsko-algierskie, po drugiej polscy kooperanci ze współmałżonkami. Zarysował się wyraźny podział na tych „mieszanych" i tych „czystych". Widzę, że polscy kooperanci niechętnie patrzą na nasze dziewczyny, które wyszły za mąż za tutejszych i zdecydowały się na życie w Algierii. Zabawa rozkręca się na całego, ale dalej ci „mieszani" bawią się w swoim gronie, a ci „czyści" w swoim. Mnie pozostaje tańczyć jedynie z mężami naszych dziewczyn, którzy są, niestety, bardzo kiepskimi tancerzami i żadna przyjemność poruszać się z nimi na parkiecie. Męczę się okropnie patrząc z zazdrością, jak Polacy pięknie prowadzą w tańcu swoje polskie partnerki. Patrzę na tych urodziwych mężczyzn i rwie się do nich moja dusza. Na parkiecie króluje starszy pan. Tańczy doskonale, ale z coraz to inną partnerką. Czyżby był sam? Nie wiem, w jaki sposób nagle znaleźliśmy się razem w tańcu. Czuję przyciskające mnie silne męskie ramię i uroczy głos mówi: „Od dawna już

panią obserwuję na tej sali i nie bardzo mogę się zorientować, po której stronie pani siedzi - po stronie tych »mieszanych«, czy tych »czystych«?" Śmieję się, nic nie odpowiadam. Tak będzie na razie lepiej.

- Pani sama czy w „duecie"? - pyta dalej mój partner.
- Sama - odpowiadam.
- A to się świetnie składa, bo ja też jestem sam. Już pani nie wypuszczę.

Rzeczywiście, dosłownie nie wypuszcza mnie ze swoich objęć. Pan X świetnie tańczy, ja też nieźle sobie radzę. Jesteśmy chyba najlepiej tańczącą parą wieczoru. Czuję się jak królewna, której królewicz spełnia każde życzenie.

- Pani Aniu - nie chce się pani pić? Może herbatki? A może by pani coś zjadła? Nie jest pani zimno? - pieści moje ucho czuły, opiekuńczy głos.

Zbliża się ranek, zabawa sylwestrowa kończy się. Trzeba wracać do domu. Dorota z mężem nawet nie pytają, czy wracam razem z nimi. Jest oczywiste, że nie. Wiktor - bo tak ma na imię mój partner - proponuje, że mnie odwiezie. Ma samochód. Okrywa mnie czule swoim swetrem, ranek jest chłodny. Nie pyta, dokąd ma mnie zawieź.

- Masz czas, Aniu?
- Tak - odpowiadam.

Jedziemy nad morze. Cicho, pusto. Piękna plaża, szumiące uspokajająco fale.

- Popatrz, co dal tym ludziom Bóg. Dal im wszystko, całe bogactwo natury. I czy oni umieją to docenić? Zobacz, co robią z tego pięknego, bogatego kraju!

Nie odzywam się,, oczarowana widokiem plaży i wschodzącego, odbijającego się w morzu słońca. Jestem zauroczona Wiktorem, który jest przystojnym, wysokim, świetnie zbudowanym mężczyzną o pięknych, przyprószonych siwizną włosach. Czuję obok siebie jego psychiczną i fizyczną obecność, która daje mi w tej chwili takie poczucie bezpieczeństwa, że chce mi się śpiewać. Ale milczę, patrząc z zachwytem na tego Polaka, którego zesłały mi niebiosa.

Wiktor długo nie odjeżdża, wzruszony pięknem przyrody, obejmuje mnie ramieniem, całuje. Jedziemy. Nie pytam dokąd, zostawiam mu całkowitą swobodę decyzji. Jedziemy do Bab Ezzouar, poznaję tę dzielnicę. Wiktor ma tu mieszkanie służbowe. Po drodze dowiaduję się, że jest wykładowcą na tutejszej politechnice, a w Polsce był prorektorem ds. nauki jednej z największych uczelni. Bardzo interesujący człowiek. Wiem już o nim dosyć dużo, natomiast on o mnie - nic. W mieszkaniu zasypuje mnie pytaniami.

- Ty urocza dziewczyno, skąd się tu wzięłaś? Co tutaj robisz? No mów mi i to natychmiast! Pracujesz na kontrakcie? - pyta z nutą nadziei w głosie. - Bo przecież nie jesteś żoną Algierczyka. Żaden Arab nie pozwoliłby na taki numer swojej żonie.

- Nie jestem żoną Algierczyka, ale byłam - odpowiadam jak mogę najspokojniej.

Wiktor ciężko opada na fotel.

- No nie, no nie... - powtarza, najwyraźniej dobity informacją.

Odzywa się dopiero po, dłuższej chwili.

- Co się stało, Aniu? Opowiedz mi, opowiedz mi wszystko o sobie. Opowiadam w dużym skrócie, pomijając chorobę psychiczną męża i śmierć Sabrinki. Wiktor usługuje mi jak może. Szykuje wspaniałe jedzenie, robi gorącą herbatę. Wczesnym rankiem odwozi mnie do domu, co nie uchodzi uwagi całej rodziny Belaici.

- No i jak się bawiłaś, mamusiu? - pyta Riad i Sonia. - A jak się podobała twoja sukienka? - chce wiedzieć syn.

Dobry, kochany chłopak! Ma wszystkie cechy swojego polskiego dziadka. Nie odziedziczył nic po ojcu, na szczęście.

Od tego sylwestra spotykam się z Wiktorem co tydzień. Wiem. że ma rodzinę. Nie szkodzi. Ten człowiek jest tak samo samotny w tym kraju jak ja. Będzie nam razem łatwiej w tej samotności.

- Powiedz, Aniu, gdzie ty to widziałaś, aby naukowiec o dużym dorobku nie mógł w kraju wyżywić rodziny i musiał wyjeżdżać „za chlebem”? Przecież gdybym pracował w Stanach, miałbym wszystko. W Polsce po 30 latach błyskotliwej kariery naukowej nie mam nic. Nie mam nawet zabezpieczenia finansowego dla moich dzieci, dlatego musiałem wyjechać, ażeby chociaż trochę podreperować się finansowo.

Krew mnie zalewa, gdy patrzę na tych łebków, którzy jeżdżą po Algierze wspaniałymi samochodami i żyją tylko z kombinacji. Studenci politechniki, na której wykładam, to przeważnie dzieci bogatych handlarzy, które studiują nie dlatego, że chcą, ale dlatego, że bogaty tatuś zapragnął kupić sobie wyższy status społeczny, mając w rodzinie inżyniera.

- Jakie jest twoje spojrzenie na tę młodzież? - pytam Wiktora.
- Ja kocham młodych niezależnie od koloru skóry. Ale ci młodzi Algierczycy są zupełnie pozbawieni życia, jak gdyby martwi. Brak im energii. Na polskich uczelniach w czasie przerw aż dudni od gwaru. Tutaj - martwo. Smutno. Ponuro. Przygnębiająco.

Wiktor poznaje moje dzieci, które są nim zachwycone. Poznaje Dalilę, która również jest nim oczarowana. Poznaje Farida - naszego biurowego architekta, gitarzystę, który „zakochuje" się nie tylko w Dalili, ale i w Wiktorze. Po prostu jest to człowiek, którego nie można nie lubić. Wszyscy do niego lgną. Ja też. Teraz już razem z Wiktorem, Dalila i Faridem organizujemy sobie cotygodniowe wspaniale wycieczki. Ja przygotowuję z Dalilą jedzenie, Farid zabiera gitarę, Wiktor daje nam do dyspozycji siebie i samochód. Zwiedzamy razem wiele prześlicznych okolic Algieru. Riad przebywa w tym czasie z ojcem, który w każdy piątek przychodzi po niego i wali w bramę tak długo, aż syn wyjdzie. Boję się odmówić mu spotkań z Riadem z powodu jego nieobliczalnych reakcji. Sonia nie chce uczestniczyć w naszych wycieczkach, woli się uczyć.

Te kontakty z Wiktorem pozwalają mi odzyskać częściowo utraconą równowagę psychiczną. Każda chwila z nim spędzona przywraca mi spokój i pogodę ducha, pozwala zapomnieć o nieszczęściu, bólu, kłopotach i czekających mnie zadaniach ponad siły.

Do mojego biura przywożą komputer. Zabieram się do pracy. Mam stworzyć system fakturyzacji związany z budową central telefonicznych. Nie ma żadnej dokumentacji, zdana jestem na łaskawe wyjaśnienia pana Lyesa Ch., a są one celowo tak enigmatyczne, że z trudem sobie radzę. Chodzę po innych działach, pytam. W końcu mogę zaprojektować system, ale żeby go przetestować, potrzebna mi jest drukarka. Przez

trzy tygodnie proszę najpierw pana Ch., potem pana H. o załatwienie mi drukarki. Ale gdzie tam, nie są tym zupełnie zainteresowani. Wiem, że w bazie obok mają taki sam sprzęt komputerowy i drukarkę. Idę do dyrektora tej bazy, proszę o pożyczenie mi drukarki na tydzień. Dyrektor wyraża zgodę. Biorę drukarkę i przez cały plac niosę ją do mojej bazy. Na oczach wszystkich pracowników. Po przyjściu zastaję na moim biurku pismo następującej treści: „W dniu dzisiejszym bez zgody dyrekcji opuściła pani samowolnie stanowisko pracy od godziny 10^{00} do godziny 10^{30}. Proszę o udzielenie mi wyjaśnień. Dyrektor H."

Kpina! Kpina do potęgi! Wszyscy doskonale widzieli, gdzie byłam. Koledzy radzą mi życzliwie, aby napisać, że jest mi przykro, że naruszyłam dyscyplinę zakładową i że więcej już się to nie powtórzy. Piszę, jak mi poradzono. Pomimo to zostaję wezwana przez obu panów.

- Nikt panią nie prosił o przyniesienie drukarki! - krzyczy na mnie dyrektor H.

- Jak pan sobie wyobraża pracę informatyka bez drukarki? Przecież to niemożliwe! - bronię się. - Od trzech tygodni nic nie robię!

- Droga pani, od podejmowania decyzji, i to właściwych decyzji, jesteśmy w tym przedsiębiorstwie my, a nie pani! - pada sucha odpowiedź.

Niemniej jednak mam drukarkę, co wywołuje ogromne niezadowolenie obu panów, tym większe, że moim systemem interesują się prawie wszyscy koledzy z bazy, okazując mi nieskrywane zawodowe uznanie. Pomimo, że system jest bezbłędny, a wydruki doskonałe, przestaję się podobać obu panom dyrektorom. Jestem pilnowana na każdym kroku. Chwilowa nieobecność w biurze powoduje, że znajduję natychmiast na moim biurku pismo o znanej już treści. Na początku piszę bzdurne wyjaśnienia, że wyszłam do toalety, do sąsiedniego budynku w celu uzyskania informacji itp. Potem przestaję.

- Dlaczego nie odpowiedziała pani na moje pismo? - piekli się pewnego dnia pan Lyes Ch.

- Nie będę odpowiadała na te bzdury! Niech pan sobie robi, co się panu podoba! - mówię.

Teraz panowie H. i Ch. przyjmują w stosunku do mnie inną taktykę. Otóż nagle okazuje się, że baza, która pożyczyła mi drukarkę, ma różnego typu „problemy informatyczne". Zostaję poproszona o ich rozwiązanie. Obaj panowie idą za mną krok w krok. Następnie sadowią się obok przy komputerze i tkwią tak nawet przez godzinę, nie spuszczając wzroku ze mnie i moich rąk. Jest to szalenie denerwujące i o to chyba chodzi. Jeżeli nie mogę sobie dać z czymś rady, pan Lyes Ch. mówi z triumfem do pana H.: „Wiedziałem! A co, nie mówiłem? Nic z tego!" Ciągle słyszę cierpkie uwagi. Wyrafinowany, bezczelny cynik! Na szczęście obaj panowie często jeżdżą razem w delegacje, co pozwala mi „złapać oddech".

* * *

Tymczasem z Polski przychodzą niepokojące wieści. Ojciec czuje się coraz gorzej, bardzo pragnąłby zobaczyć Riada. O uzyskaniu od Yacine pozwolenia na wyjazd dzieci nie mam nawet co marzyć. Pomaga mi przypadek. Spotykam na Koubie znajomego komornika z sądu w Hussein Dey. Rozmawiam z nim na ten temat.

- Niech pani idzie do przewodniczącego sądu - radzi mi chłopak. - W niektórych wypadkach można uzyskać zgodę sądu na wyjazd dzieci na wakacje lub na leczenie bez zgody ojca. Niech pani spróbuje! - zachęca mnie.

Próbuję. Pewnego dnia, korzystając z nieobecności obu panów dyrektorów, po prostu uciekam z pracy i jadę do sądu w Hussein Dey. Jest niedziela, dzień przyjęć. Po długim czekaniu zostaję przyjęta przez przewodniczącego sądu. Potężna postać, czupryna gęstych, kędzierzawych włosów, broda. Sprawia wrażenie ociężałego. Tłumaczę, że chciałabym uzyskać zgodę na wyjazd dzieci na wakacje.

- Niemożliwe! - odpowiada przewodniczący. - Jedynie ojciec może podpisać zgodę na ich wyjazd.

Pomimo wyraźnego „nie" widzę, że jest do mnie raczej przychylnie nastawiony. Rozmawiamy dosyć długo.

- Jest pani ładną kobietą - mówi przewodniczący. - Rzadko mamy tu do czynienia z blondynkami.

Wychodzę nic nie uzyskując. W sądzie znowu spotykam przypadkowo „mojego" komornika.

- No i co? Udało się?
- A gdzie tam! - odpowiadam.
- A to nie szkodzi. Nie zauważyła pani, że przewodniczący sądu jest „ociężały"? Trzeba iść do niego kilkakrotnie, nie dawać za wygraną, na pewno podpisze.

Nasza rozmowa odbywa się niedaleko drzwi przewodniczącego sądu, zza których dobiegają mnie odgłosy kłótni. Po chwili z wypiekami na twarzy wybiega przewodniczący, a za nim wychodzi ładna, elegancka kobieta. Czeka na nią na korytarzu młoda dziewczyna. Ta, która była u przewodniczącego, zaczyna strasznie szlochać.

- Co się stało? - pytam.
- Ja ich wszystkich pozabijam, pozabijam! Za ten kodeks rodzinny! - krzyczy kobieta. - Proszę pani, rozwiodłam się, jestem Algierką, mój były mąż jest Algierczykiem. Mieliśmy małego synka. Ja jestem architektem. Tutaj byłam bez pracy, bez mieszkania. Od kilku lat mieszkam w Kanadzie, gdzie mam doskonałą pracę i świetne warunki bytowe. Chciałam zabrać ze sobą synka. Wie pani, co zrobił mój były mąż? Poszedł gdzieś w „świat", a prawa do naszego dziecka przekazał swojemu bratu, który zabrał synka do siebie. Oni tam, proszę pani, mają skandaliczne warunki egzystencji, pełno dzieci. Mój syn żyje jak pies, jada z miski rzucanej mu na podłogę. A ten... (i tu padają w języku arabskim wszystkie znane mi przekleństwa), ten brat mojego byłego męża, oczywiście odmówił zgody na wyjazd syna ze mną. Czy pani by to przeżyła? Ja tam w Kanadzie - jak księżniczka, a moje dziecko tu jak pies? Żeby was wszystkich piekło pochłonęło, cały ten kraj i to arabskie nasienie! - krzyczy histerycznie kobieta. - Boże, jak ja nienawidzę tych ludzi, tego kraju!

Płyną przekleństwa rzucane na Algierię, na Algierczyków, na kodeks rodzinny. Płyną z ust Algierki, która jest przede wszystkim kobietą i MATKĄ. Moja Sabrinka zginęła z winy prawa. Działając zgodnie z tym samym nieracjonalnym i bezdusznym prawem niszczy się życie tego chłopca, pozbawiając go czułości matki i odpowiednich warunków rozwoju. Dziewczyna pociesza ją.

- Nie płacz - mówi. - Nie będziemy walczyć z tutejszym prawem. Głową muru nie przebijesz! Masz pieniądze i to dużo, a za pieniądze można w tym kraju wszystko.

Przypomina mi się w tej chwili historia, o której swego czasu pisały wszystkie algierskie gazety. Otóż pewna Amerykanka, żona Algierczyka, postanowiła opuścić Algierię. Mąż nie chciał podpisać zgody na wyjazd ich małego synka. Amerykanka, bardzo zresztą mądrze, ominęła wszystkie algierskie sądy. Wyjechała sama do Ameryki. Po pewnym czasie grupa zamaskowanych mężczyzn wtargnęła do willi jej męża, zabrała dziecko a wszystkich domowników związała. Rano po odkryciu „napadu" nie było już śladu ani po mężczyznach, ani po dziecku. Ach, te Amerykanki!

Postanawiam nie dać za wygraną i w następnym tygodniu znowu zjawiam się u przewodniczącego sądu. Kolejka jest długa. Z nudów pytam czekające kobiety, co je tutaj sprowadza. Jedna z nich chętnie mi opowiada:

- Proszę panią, rozwiodłam się z mężem. Mieliśmy dwóch chłopców, bliźniaków. Wyszłam powtórnie za mąż. Mój drugi mąż przywiązał się do chłopców, było nam ze sobą bardzo dobrze. Nie wiem, czy pani wie - ciągnie dalej kobieta - że kodeks rodzinny pozwala ojcu, w wypadku rozwodu i powtórnego wyjścia za mąż kobiety, odebrać jej dzieci płci męskiej po ukończeniu przez nich dziesiątego roku życia. Chłopcy, zgodnie z prawem, zostali nam odebrani. Są głęboko nieszczęśliwi z drugą żoną mojego pierwszego męża, która ich nienawidzi. Nie mają żadnych warunków do prawidłowego rozwoju, jest tam już kilkoro małych dzieci z drugiego małżeństwa, chłopcy załamali się, przestali się uczyć. Niech pani powie, co to za prawo, które nakazuje odebrać matce dzieci?*

* Kilkakrotnie próbowałam dowiedzieć się od algierskich specjalistów, znawców Koranu, w jakim to wersecie jest napisane, że w wypadku powtórnego wyjścia za mąż kobieta traci prawo do opieki nad synem po ukończeniu przez niego dziesiątego roku życia. Nigdy nie uzyskałam odpowiedzi na moje pytanie i nie sądzę, aby Koran pozwalał odebrać matce dziecko, tak samo jak po rozwodzie Koran nie pozwala mężowi wypędzić kobiety wraz z dziećmi, jeżeli nie mają dokąd pójść.

Znowu jestem w gabinecie przewodniczącego sądu. Wyobrażam sobie, że jest niedźwiedziem i zaraz mnie zje. Ale nie, mile się uśmiecha, taksując mnie wzrokiem od góry do dołu.

- Co panią do mnie znowu sprowadza? - pyta.

- Chciałam po prostu pana zobaczyć, tak przyjemnie nam się ostatnio rozmawiało! - staram się być bardzo miła. - No, a przy okazji może coś dałoby się załatwić - dodaję.

Przewodniczący wyraźnie zadowolony, powolnym ruchem gładzi swoją czarną brodę.

- Niech pani siada, porozmawiamy. I co, podoba się pani Algieria?

- Ależ tak, jest to przepiękny kraj! - odpowiadam zupełnie szczerze.

- A zna pani dobrze Algierię? - pyta dalej przewodniczący.

- No, nie bardzo...

- A to się świetnie składa! Mam domek letniskowy w... (tutaj pada nazwa jakiejś miejscowości, o której nigdy nie słyszałam). Co by pani powiedziała na moją propozycję?

Mój mózg zaczyna pracować w tej chwili szybciej niż komputer. Co zrobić?

- Chętnie bym zwiedziła tę okolicę. Słyszałam, że jest piękna - brnę w kłamstwie. - Ale dopiero wtedy, gdy dzieci pojadą na wakacje. Teraz nie mogę, synek jest mały i nie mogę go zostawić samego.

Przewodniczący śmieje się przyjaźnie i gładzi swoją długą, czarną brodę.

- Niech pani przyjdzie za tydzień - mówi. - Przyjemnie się z panią rozmawia i przyjemnie jest na panią popatrzeć.

W drodze powrotnej do bazy wstępuję do zakładu mojego byłego męża. Chcę porozmawiać z dyrektorem Yacine o sprawie mieszkania. Mam szczęście. Dyrektor jest w biurze. Przedstawiam się. Widzę po jego minie, że jestem tu osobą bardzo dobrze znaną, na pewno z opowiadań Yacine. Dyrektor ma o moim byłym mężu jak najgorsze zdanie.

- Niemniej jednak - mówi mi - nie mamy podstaw, żeby go zwolnić. A jeżeli on sam się zwolni, straci prawo do mieszkania. Nasz zakład kończy budowę dużego osiedla. Wszyscy inżynierowie mieszkający w

kwaterach prywatnych otrzymają wkrótce mieszkanie zakładowe w tym osiedlu. Pani były mąż będzie miał pierwszeństwo ze względu na długoletni staż pracy. Mieszkania w kwaterach prywatnych zostaną zlikwidowane. Nie sądzę więc, ażeby się zwolnił i przepuścił taką okazję. Nie sądzę, żeby zrobił państwu podarunek wartości około dwóch milionów dinarów. Musiałby być naprawdę wyjątkowym durniem, ażeby zrobić coś takiego! - uspokaja mnie dyrektor, domyślając się chyba, dlaczego o to wszystko pytam i jaka jest moja sytuacja.

Po tych zapewnieniach czuję się raźniej, chociaż gnębi mnie jakiś podświadomy niepokój.

Upływa tydzień. Los mi szczęśliwie sprzyja, obaj panowie dyrektorzy znowu pojechali razem w kilkudniową delegację. Papużki-nierozłączki. Uciekam więc z pracy, by udać się do sądu. W poczekalni jak zwykle tłum ludzi. Zostaję przyjęta po kilku godzinach czekania. Pan przewodniczący znowu o swoim domku w górach - ja o wyjeździe dzieci. Tym razem z innej beczki.

- Zostawię panu wszystkie dokumenty: oryginał świadectwa maturalnego, oryginał dyplomu ukończenia studiów, jego oryginalne tłumaczenie na francuski potwierdzone przez tłumacza przysięgłego - mówię. Proponuję, co tylko się da oprócz paszportu.

- Widzi pan, że mam świetną pracę, kocham ten kraj, mam mieszkanie, dlaczego miałabym oszukać pana z tym wyjazdem? - brnę dalej. Wiem, że jeżeli podpisze mi zgodę na wyjazd dzieci, nie zawiodę jego zaufania, jakąkolwiek cenę musiałabym zapłacić. Słowo dane drugiemu człowiekowi jest dla mnie rzeczą świętą. Ale o tym pan przewodniczący nie ma pojęcia. Gładzi z roztargnieniem swoją brodę.

- Proszę pani, czy pani wie, co by się działo, gdyby pani dzieci nie wróciły? Przecież ja straciłbym swoją pracę. Zresztą i tak nie mogę dać pani zgody na wyjazd dwojga dzieci naraz. A ma pani ich paszporty? - pyta na koniec przewodniczący.

- Nie mam paszportu syna. Zabrał go ojciec - odpowiadam.

- To jak pani ma go zamiar odzyskać? Przecież jeżeli złoży pani skargę u prokuratora, to pani były mąż wyprze się, że ma paszport syna!

Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że Yacine się wyprze. Przecież syn jest dla niego zabezpieczeniem na starość. Zgodnie z tradycją Yacine i Salem dawali ojcu pieniądze, bez których ten musiałby żebrać z żoną i córką na ulicy. Gdy dorośnie Riad, będzie kolej na niego, żeby wspomagał swojego ojca. Ten ojciec, który po rozwodzie nie zapytał się: „Synu, czy ci czegoś nie brak?", będzie walczył o swój przyszły kapitał, o swoje zabezpieczenie. Dlatego przewodniczący sądu boi się. Jeżeli chodzi o Sonię - nie ma sprawy. Ma swój paszport, ojciec nigdy nie sprzeciwiał się jej wyjazdom do Polski. Jest dziewczynką, a więc istotą nikomu niepotrzebną. Jej rola w tym społeczeństwie ograniczona jest do zadań rozrodczych. Przewodniczący sądu myśli długą chwilę, po czym dodaje:

- Proszę pani, dam pani pozwolenie na wyjazd syna, jeśli przyniesie mi pani jego paszport.

No tak, zostałam załatwiona odmownie w bardzo grzeczny sposób.

Czas ucieka. Jak załatwić ten nieszczęsny paszport?

Idę na Koubę do *la mairie**. Pracuje tam Abada, którego poznałam szukając kogoś, kto mógłby mi zredagować pismo do sądu w języku arabskim i zaprzyjaźniliśmy się. Abada drapie się po głowie.

* Merostwo.

- Czy wiesz, że do wyrobienia nowego paszportu potrzebna jest zgoda ojca? - pyta.

Nie wiedziałam. Abada kombinuje, co robić.

- Nic masz nawet co składać podania do prokuratora o paszport syna. Nigdy go nie odzyskasz. A czy on jest jeszcze ważny? - pyta.

Staram się przypomnieć sobie pewne daty. Abada stwierdza, że paszport syna jest już na pewno nieważny. Podsuwa mi pewną myśl. Wysyła mnie do swojego znajomego, pracującego w biurze paszportów w Hussein Dey. Zgłaszam się pod wskazany adres. Pan X, przyjaciel Abady, podaje mi listę dokumentów, które należy dołączyć do wniosku o

paszport Riada. Najważniejsza jest zgoda ojca. Potrzebny jest też akt urodzenia ojca i akt urodzenia dziadka ze strony ojca oraz zaświadczenie o narodowości syna. Co za szczęście, mam te dokumenty. Ale zgoda ojca? Wiadomo, że nigdy jej nie będę miała.

- Proszę pana - tłumaczę panu X - chcę wysłać syna na wakacje do Polski. Jego dziadek jest ciężko chory i chce zobaczyć wnuka. Przewodniczący sądu chce mi wydać pozwolenie na wyjazd syna.

Pozostała tylko sprawa paszportu. Gdzie ja znajdę ojca mojego dziecka? Zniknął gdzieś, od paru miesięcy wszyscy go szukają - kłamię.

Chyba moje argumenty trafiają do pana X, bo prowadzi mnie do dyrektora wydziału paszportów. Powtarzam swoją opowieść, w którą wszyscy chyba wierzą, znając realia życia w Algierii i ogromną „miłość" ojców do swoich dzieci po rozwodzie z matką.

- Droga pani - mówi dyrektor - jeżeli przyniesie mi pani zgodę sądu na wyjazd syna, wystawię pani paszport.

No tak, błędne koło zamknęło się. Przewodniczący sądu żąda paszportu, w biurze paszportów żądają zgody przewodniczącego sądu. Myślę gorączkowo, co robić i nic nie przychodzi mi do głowy.

Zbliża się niedziela, dzień przyjęć przewodniczącego sądu. Idę. Cała jestem spocona z wrażenia. Wydaje mi się, że dzisiaj czekam na swoją kolej całą wieczność. Do ostatniej chwili nie wiem, co powiem. Pukam. Wchodzę z zupełną pustką w głowie. Przewodniczący wita mnie przyjaźnie. Gładzi swoją czarną brodę powolnym, ociężałym ruchem. Uśmiecha się. Ja cały czas stoję.

- Zgodnie z naszą umową przyszłam po pozwolenie na wyjazd dzieci - mówię.

- Nie dzieci, tylko dziecka! - przerywa mi przewodniczący. - Nie mogę dać pani pozwolenia na wyjazd dwojga dzieci. Gdy jedno przyjedzie, pojedzie drugie.

- Ależ proszę pana! - zaczynam błagalnie. - Rodzice są starzy i chorzy, mieszkają daleko od Warszawy. Czy zdaje pan sobie sprawę, jakim utrudnieniem dla nich byłaby dwukrotna podróż do stolicy? Po prostu byłoby to niemożliwe. W takim razie rezygnuję z wyjazdu dwojga dzieci. Proszę dać zgodę na wyjazd jednego! - mówię szczerze zmartwiona. - Zostawiam tę sprawę pańskiemu sumieniu. Musi pan wybrać, którego

wnuka zobaczy przed śmiercią mój ciężko chory ojciec.

Przewodniczący sądu głęboko się zamyślił.

- A paszport syna pani ma? - pyta po długiej chwili milczenia, bacznie na mnie spoglądając.

W końcu padło pytanie, którego tak się bałam.

- Mam - odpowiadam sama się sobie dziwiąc, z jaką łatwością przychodzi mi to kłamstwo. Jednocześnie wymownym ruchem kładę rękę na torebce. Przewodniczący sądu nie spuszcza ze mnie wzroku. Bardzo długo. Ja również patrzę mu prosto w oczy, nie robiąc najmniejszego gestu. Wyobrażam sobie, co dzieje się w jego głowie. Na pewno nie wie, jaką ma podjąć decyzję. Jeśli każe mi otworzyć torebkę i okaże się, że kłamię, to wtedy pozostanie mu już tylko wyrzucenie mnie z gabinetu bez prawa powrotu. A chce mi najwyraźniej pomóc. Ta chwila trwa wieczność. Wreszcie przewodniczący zdecydowanym ruchem sięga po długopis i podpisuje.

- Ma pani zgodę dla dwojga dzieci. Biorę pod zastaw wszystkie dokumenty, które mi pani zaproponowała. Wierzę, że nie zawiedzie pani mojego zaufania - dodaje przewodniczący, podając mi rękę na pożegnanie.

Wydaje mi się, że śnię. Odbieram w sekretariacie dwie zgody na wyjazd dzieci. Sekretarki, życzliwie uśmiechnięte, gratulują mi. Cała w skowronkach wybiegam z sądu. Wiem, że nie złamię słowa danego temu człowiekowi. Jadę do biura paszportów, oddaję zgodę na wyjazd syna.

- Proszę przyjść po paszport za dwa tygodnie - informuje mnie dyrektor.

Przychodzę po paszport w określonym terminie. Przez te dwa tygodnie ubyło mi kilka kilogramów. Ze stresów. Jest paszport! Oglądam go sto razy, nie chce mi się wierzyć, że udało się załatwić rzecz niemożliwą teoretycznie do załatwienia. Wiktor szaleje ze szczęścia.

- Aniu, zawsze marzyłem o tym, żeby pojechać do Hiszpanii. Proponuję ci dwutygodniowy wspólny wyjazd! - mówi Wiktor.

Mam do wyboru: wyjechać z dziećmi na dwa tygodnie (bo tyle mam urlopu) do Polski lub z Wiktorem do Hiszpanii. Liczę pieniądze. Na trzy

bilety lotnicze do Polski nie wystarczy. Koszt pobytu w Hiszpanii łącznie z przejazdem pokryje Wiktor. Wybieram Hiszpanię, nie zdając sobie sprawy z tego, że już nigdy nie zobaczę ojca.

Na razie trzeba wysłać dzieci. Jak to zrobić, ażeby nie dowiedział się o tym Yacine, który w każdy czwartek i piątek zabiera do siebie Riada? Jeżeli dowie się o tym, zablokuje dzieciom wyjazd na lotnisku. A więc Riad nie może wiedzieć, że jedzie do Polski, bo mógłby powiedzieć o tym ojcu. Wtajemniczam we wszystko Sonię. Ostatniej nocy przed wyjazdem dzieci, kiedy Riad już mocno śpi, pakuję walizki. Budzę ich o czwartej rano, z domu trzeba wyjechać przed piątą, ponieważ samolot odlatuje o godzinie siódmej. Przed domem czeka w samochodzie Wiktor. Riad zaspany o nic nie pyta. Dopiero na lotnisku wyjaśniam mu:

- Słuchaj synku, jedziesz do babci i dziadka do Polski na wakacje.

Riad nie może uwierzyć. Uszczęśliwiony żegna się ze mną i z Wiktorem. Całujemy Sonię. Odprawa przebiega bez zgrzytów. Dzieci już zniknęły. Uff!

Czekamy z Wiktorem aż do chwili, gdy zobaczymy startujący samolot. Odlecieli. Do Polski. Do dziadków, którzy z takim utęsknieniem na nich czekają. Nie widzieli Riada trzy lata. Długo. Ojciec tak go kocha. To on nauczył go stawiać pierwsze kroki. Zresztą Riad jest jego żywym odbiciem. Wyobrażam sobie szczęście moich rodziców. Jest to zasługa przewodniczącego sądu, który zawierzył mojej uczciwości i mojemu słowu.

Hiszpania, utrata pracy

Zostajemy z Wiktorem sami. Jest nam cudownie.

- Widzisz - mówi Wiktor - zawsze powtarzałem ci, że jeżeli człowiek postawi sobie w życiu jakiś cel, do którego konsekwentnie i logicznie dąży i jeżeli ten cel jest możliwy do osiągnięcia, nie ma powodów, ażeby go nie osiągnąć.

To Wiktor nauczył mnie konsekwentnego działania, szeregowania spraw według hierarchii wartości. Uświadomi! mi, że o sukcesie jednostki nie decydują jakieś jej wybitne predyspozycje, ale pomysł poparty ogromną pracą. To Wiktor często powtarza mi: „Aniu, wierzę w ciebie. Masz niezwykłą osobowość i siłę charakteru zdolną obalić wszystkie przeszkody na swojej drodze".

Teraz codziennie jestem u Wiktora, który okazuje mi tyle uczucia, tkliwości i zainteresowania, że dziękuję niebiosom za zesłanie mi tego człowieka. Wiem, że jemu również jest teraz łatwiej, że nie czuje się już taki samotny, że odmieniłam jego szarą egzystencję w Algierii.

Wiktor planuje naszą wycieczkę. Jest początek lipca 1989 r. Jedziemy do Hiszpanii samochodem. Najpierw do Oranu, a następnie promem do Alicante. Zwiedzamy miasta, zabytki, kąpiemy się w cudownym, ciepłym morzu. Piwo, wino, a nocą - flamenco, tańce. Wiktor okazał się wspaniałym gawędziarzem, mającym w zanadrzu niezliczoną ilość dowcipów. Te dwa tygodnie minęły jak sen. Do dzisiaj wydaje mi się, że była to bajka z tysiąca i jednej nocy.

Powrót do Algierii jest wyjątkowo smutny. Wiktor wraca do Polski. Czeka tam na niego rodzina, której jest filarem i zabezpieczeniem. Nie protestuję. Wszystko było jasne od początku naszej znajomości. Nadchodzi moment rozstania. Wiktor jest wzruszony, do głębi przejęty.

Ja mam myśli rozbiegane, zwrócone w kierunku Polski i przebywających tam dzieci, w kierunku niepewnego jutra.

* * *

Zostaję sama. Wracam do pracy po trzech tygodniach. A w pracy powiało w stosunku do mnie chłodem. Przed wyjazdem zostawiłam instrukcję użytkowania mojego systemu panu Ch. Oczywiście nic z tego nie zrozumiał. Usiłował uzyskać wydruk, ale niestety do tego pan Lyes Ch. nie dorósł zawodowo. Więc wszystko zostało obrócone przeciwko mnie: że jestem niepoważna i niekompetentna. Dalila informuje mnie, że obaj panowie H. i Ch. są niezadowoleni z mojej pracy.

Po kilku dniach zastaję na moim biurku list następującej treści:

Szanowna Pani,

W celu przedłużenia kontraktu prosimy Pania o dostarczenie nam możliwie najszybciej zaświadczenia o obywatelstwie algierskim wydanym przez nasz sąd. W przypadku gdy takie zaświadczenie nie wpłynie do nas w grudniu 1989, prosimy potraktować nasze pismo jako koniec Pani kontraktu z dniem 31.12.89 r.

Jestem wściekła! To tak? Gdy już nic nie można zarzucić cudzoziemcowi, zawsze można mu zarzucić brak obywatelstwa algierskiego! Ciekawe, że nie było to przeszkodą przy przyjęciu mnie. Otrzymanie obywatelstwa algierskiego jest praktycznie niemożliwe, nawet dla żony Algierczyka, wymaga bowiem spełnienia ogromnej ilości warunków. I to pismo zostało wysłane kobiecie, która nie może opuścić Algierii i która ma na utrzymaniu dwoje dzieci! Przy obecnym bezrobociu jest to praktycznie wyrzucenie mnie na ulicę. Z całą premedytacją. Odwołam się? Do kogo? Nie istnieją żadne instytucje, które broniłyby praw pracownika, a już tym bardziej kobiety, cudzoziemki i na dodatek rozwiedzionej.

Przez kilka dni z rzędu usiłuję złapać obu panów dyrektorów. Bez skutku. Zniknęli, ulotnili się. Doniesiono im o mojej reakcji na pismo i woleli zniknąć mi z oczu. Kopiuję na dyskietki mój system, biorę całą jego dokumentację. Jadę do dyrektora naczelnego zakładu, do pana R. Dyrekcja mieści się w centrum Algieru. Dyrektor jest w biurze. Zostaję

przyjęta. Mam przed sobą ogromnego, barczystego, chyba młodszego ode mnie mężczyznę.

- Słucham panią - o co chodzi?

Podaję mu pismo, które otrzymałam.

- Proszę pana, zwolnienie mnie jest nielogiczne. Zrobiłam wam cały system, tutaj jest dokumentacja, a tutaj są dyskietki, mogę panu zaraz przekopiować to na pański komputer. Pokażę panu, jak działa system. To sprawa zawodowa. A po ludzku rzecz biorąc - nie wiem, jak można nie mieć wstydu zwalniać kobietę, która ma na utrzymaniu dwoje dzieci i która nie może opuścić waszego kraju.

Dyrektor wydaje się wszystko rozumieć.

- Proszę pani, proponuję pani stanowisko mojej asystentki. Proszę napisać podanie. Jest pani zatrudniona u mnie, natychmiast - pada rzeczowa odpowiedź.

Nie wierzę własnym uszom. Awansuję na asystentkę dyrektora naczelnego! Zbyt piękne, ażeby było prawdziwe. Piszę jednak podanie, nie wiedząc, że pod drzwiami naczelnego stoją już obaj panowie H. i Ch., bacznie śledzący każdy mój krok, pilnujący swoich interesów. Nie wiem także o tym, że naczelny jest serdecznym przyjacielem pana dyrektora H. Wychodząc z gabinetu naczelnego, natykam się na obu panów H. i Ch., i już wiem, że przegrałam. Panowie bez pukania, w pośpiechu wchodzą do dyrektora naczelnego.

Na drugi dzień w biurze rzucają się na mnie agresywnie. W ich ataku pełno jest krętactwa i zarzutów bez pokrycia. Oni obaj krzyczą i ja też. Chcę wiedzieć jedno - na czyje polecenie napisano to pismo, które mi doręczono, podpis bowiem jest nieczytelny. Obaj panowie wypierają się.

- Jak to? Pismo zostało mi doręczone bez waszej wiedzy? Czy jestem aż na tyle głupia, ażeby w to uwierzyć?

Oto mężczyźni! Rzucona im w twarz prawda doprowadza ich do furii, nie są w stanie, po męsku, stawić jej czoła. Trzeba się wyprzeć, namotać, nakłamać, a już najlepiej - obciążyć przeciwnika. Obaj dyrektorzy w strasznej furii trzaskają drzwiami i wychodzą. Wiem już, że jestem na straconej pozycji.

Przez następne kilka dni czekam na pismo dyrektora naczelnego, angażującego mnie na swoją asystentkę. Czekam na próżno. Zdaję sobie doskonale sprawę z tego, że przegrałam. Usiłuję skontaktować się z naczelnym telefonicznie. Bez skutku. Nie jestem łączona. Nie mam wyboru. Wychodzę z pracy, jadę do dyrekcji, gdzie portier informuje mnie, że dyrektor naczelny wyjechał. Wracam do zakładu pracy. Mój podpis na liście obecności jest przekreślony i widnieje na nim napis: „nieobecna". Pytam się kolegów, kto przekreślił moje nazwisko.

- Pan Lyes Ch. - pada odpowiedź.

Wściekła wchodzę do jego biura.

- Dlaczego przekreślił pan mój podpis na liście obecności? - pytam. - Przecież byłam nieobecna trzy godziny. O ile się orientuję, mam prawo w ciągu trzech miesięcy wychodzić codziennie na godzinę w celu poszukiwanie pracy.

- Ja przekreśliłem pani podpis? - cynicznie uśmiecha się Lyes Ch. - Nigdy w życiu. Ciągle mnie pani o coś oskarża. Nie podoba się pani? Czego pani tu jeszcze szuka w moim gabinecie?

Patrzę na tę bezczelnie uśmiechniętą twarz. Mam przed sobą człowieka bezwzględnego, postępującego bez skrupułów. Nie tak wyobrażał sobie współpracę z Europejką. Ta współpraca miała się skończyć w łóżku. Jeżeli się nie skończyła - wszystkie metody są dobre, ażeby się mnie pozbyć. Chodzi też o to, aby system fakturyzacji, który opracowałam na zlecenie dyrektora ekonomicznego, pana A., nie ujrzał światła dziennego. Przejrzystość danych otrzymywanych z wydruków pozwoliłaby ujawnić zawodowe niekompetencje obu panów H. i Ch.

Następnego dnia nie zostaję wpuszczona na teren zakładu. Portier tarasuje mi drogę.

- Dostałem instrukcję niewpuszczania pani do zakładu! Stanowi pani element zagrożenia!

- Kto panu dał taką instrukcję? - pytam wściekła.

Portier nie odpowiada. Zresztą, co ma powiedzieć. Wiadomo, kto dał taką instrukcję. Stoję pod zakładem cztery godziny, aż do przerwy obiadowej. Wiem, że Dalila, Nadia i Farid będą wychodzić na pobliski

targ, ażeby kupić sobie coś do jedzenia. Nie mylę się. Widzę całą trójkę. Prawie biegną naprzeciw mnie.

- Anno! Wiemy, że cię nie wpuszczono. Co za draństwo, co za świństwo! - krzyczą jednocześnie. - Jak możemy ci pomóc? - martwią się.

- Anno, idź do naczelnego jeszcze raz! Proś go, błagaj, poniż się! - radzi mi Farid.

Dalila i Nadia są szczerze zmartwione. Zostają ze mną całe popołudnie, nie idą do pracy.

- Będziecie miały kłopoty - mówię im.

- Nie szkodzi, poradzimy sobie - odpowiada Nadia, która nie czuje żadnego respektu przed panem Ch. Jest znajomym jej rodziny, to on załatwił jej pracę. Pan Lyes chyba śni o ślicznej Nadii po nocach. Jedyne zresztą, co mu pozostaje - kpi sobie z niego dziewczyna świadoma swojej przewagi nad tym cynikiem. Wie, że jest nietykalna, bo ma poparcie swojej rodziny, która może zrobić z panem Ch., co jej się podoba. Ja nie mam nikogo po swojej stronie - ani rodziny, ani prawa.

- Anno, mam już dość przebywania w tym zakładzie! - zwierza mi się Dalila. - Patrzę, co oni z tobą robią i chyba się zwolnię.

- Nie rób głupstwa, Dalila - proszę. - Z czego będziesz żyła?

Dalila płacze. Jest mi szczerze oddaną duszą, bezgranicznie życzliwą.

Zbliża się dzień przyjazdu dzieci i mój niepokój narasta. Jeszcze w tym momencie mogę wyjechać z Algierii, gdy dzieci są w Polsce. Ale nie potrafię zrobić świństwa przewodniczącemu sądu, nie potrafię złamać danego mu słowa. Przecież mógł nie dać mi pozwolenia na wyjazd syna i córki. Mam poza tym pewność, że już niedługo będę mogła wyjechać razem z dziećmi oficjalnie. Wszak kończy się kontrakt na mieszkanie, które zajmuję. A Yacine bardzo potrzebuje mieszkania. Przecież całe życie nie będzie mieszkał u matki, a dopóki ja będę z dziećmi w Algierii, jego sytuacja mieszkaniowa będzie kłopotliwa. Dyrektor Yacine zapewniał mnie, że na pewno nie będzie on taki głupi, ażeby zwolnić się w momencie, gdy będzie mógł otrzymać mieszkanie z zakładu, państwowe mieszkanie, skarb na wagę złota w obecnym kryzysie

ekonomicznym kraju. Sądzę, że Yacine zwróci nam wolność za prawo do mieszkania. Zostaję więc w Algierii, czekam na powrót dzieci.

Yacine domyślił się od razu w pierwszym tygodniu, że dzieci wyjechały do Polski. Natychmiast rozpoczyna swoje działania - składa raport na policji. Zostaję wezwana na przesłuchanie, jestem oskarżona o porwanie dzieci. Na szczęście zrobiłam sobie fotokopie decyzji przewodniczącego sądu, zezwalającego na ich wyjazd. Na szczęście. Ale maszyna administracyjna wyjątkowo szybko zostaje wprawiona w ruch. Yacine działa. Do wszystkich możliwych władz pisze listy oskarżające przewodniczącego sądu. Jeden z takich listów zostaje wysłany do prokuratora w Hussein Dey. Przewodniczący musi się tłumaczyć przed prokuratorem. Na szczęście dzieci przyjechały już z Polski. Na drugi dzień po ich przyjeździe idę do przewodniczącego sądu i zanoszę mu paszporty dzieci oraz prezent od mojego ojca. Przewodniczący z ulgą opada na fotel.

- Może pani sobie wyobrazić, co by się działo, gdyby dzieci nie wróciły? Przecież pani mąż do końca życia walczyłby przeciwko mnie. Bardzo dziękuję, że dotrzymała pani słowa. Jeżeli będzie miała pani jakieś problemy w Algierii, proszę się do mnie zwrócić, chętnie pani pomożemy - zapewnia mnie.

Codziennie jeżdżę do zakładu pracy i codziennie otrzymuję odpowiedź, że nie mam prawa wstępu. Jadę do dyrekcji. Okazuje się, że naczelnego nie ma. Czekam na niego prawie cały dzień. Wreszcie idzie.

- Dzień dobry - mówię.

Dyrektor nie odpowiada, idzie na górę po schodach do swojego gabinetu. Ja za nim.

- Proszę pana, bardzo bym chciała z panem porozmawiać.

Dyrektor udaje, że nie słyszy.

- Bardzo proszę, niech mi pan pomoże - prawie błagam.

Żadnej reakcji. Zatrzaskuje mi przed nosem drzwi swojego gabinetu. Zostaję sama na korytarzu. Chce mi się płakać. Stoję tak długą chwilę. Jakiś urzędnik z wydziału administracji prosi mnie do biura, podsuwając

mi do podpisania pismo. Czytam. Czego tam nie ma! Zgromadzono przeciwko mnie wszystkie możliwe do wymyślenia zarzuty: niezdyscyplinowana, arogancka, nie ma respektu dla przełożonych, przywłaszczyła sobie dokumentację należącą do zakładu (czyli w podtekście złodziejka). Lista zarzutów obejmuje całą stronę. Nie jestem w stanie ich wszystkich powtórzyć, bo czytałam je tylko raz i dostałam tzw. białej gorączki. Lista kończyła się stwierdzeniem, że wobec tak licznych zarzutów zostaję zwolniona dyscyplinarnie z dniem 31 grudnia 1989 roku. Zrobiło mi się słabo. Tego typu zwolnienie równało się zamknięciu mi drogi do jakiegokolwiek zakładu pracy w Algierii. Zabieram zwolnienie i oświadczam, że idę do dyrektora ekonomicznego, pana A. Sekretarka tarasuje mi drogę.

- Nigdzie pani nie pójdzie, dyrektor jest zajęty! - bezczelnie mówi dziewczyna, obrzucając mnie nienawistnym spojrzeniem od góry do dołu.

- Nie szkodzi - oświadczam zdeterminowanym głosem. Będę czekała do oporu, do jutra.

W końcu kiedyś pan A. musi wyjść ze swojego gabinetu. Widząc moją zdecydowaną postawę, sekretarka wchodzi do gabinetu dyrektora A. Po długiej chwili zostaję poproszona.

- Proszę, niech pani siada - życzliwie mówi pan A. - O co chodzi?

Pokazuję mu wypowiedzenie, które przed chwilą dostałam. Wyjaśniłam moją sytuację oraz poczynania obu panów H. i Ch. Trafiam na życzliwy grunt, pan A. bowiem ma nie tylko ludzkie podejście do całej sprawy, ale jest również przeciwnikiem całej „mafii" w osobach obu panów dyrektorów oraz naczelnego.

- Postaram się coś dla pani zrobić. Przede wszystkim niech pani napisze, że się pani sama zwalnia, bo jak rozumiem, chodzi o to, żeby się pani pozbyć. Musi się pani zwolnić, pani praca w tym zakładzie nie ma racji bytu, zresztą ja też mam już dosyć pobytu tutaj - ciągnie pan A. - Przecież nie zostanie pani wbrew woli tej świętej trójcy. Na podstawie pani zwolnienia przygotuję nowe wypowiedzenie.

Pan A. podsuwa mi kartkę i długopis. Dyktuje, co mam napisać. Piszę. Pan A. drze na moich oczach to haniebne zwolnienie dyscyplinarne. Uff! Niemniej jednak pozostaje wiele nie wyjaśnionych spraw. Moja

„kradzież” dokumentacji! Nie rozliczyłam się z zakładem. Mam w biurze wszystkie swoje rzeczy. Nie mogę wejść na teren zakładu.

- Postaram się to załatwić - obiecuje mi pan A. - Proszę przyjść do mnie za kilka dni. A na razie nic pani nie traci. Niech pani szuka pracy, będziemy pani płacić do 31 grudnia.

„Jak to jest - myślę sobie - nie będę chodziła do pracy prawie miesiąc i będę dostawać normalną pensję?” Nie zastanawiam się jednak nad tym dłużej, bo mam ważniejsze sprawy na głowie.

Konflikt z rodziną Belaici

Jest dzień 1 listopada 1989 roku. Riad chce oglądać telewizję, swoje ulubione filmy rysunkowe. Nie ma obrazu w telewizorze. Widzę, że jest to problem anteny. Antena zainstalowana jest na dachu. Pukam więc do Belaici. Jest podejrzanie cicho. Pukam wiele razy. Mieszkanie zamknięte na cztery spusty. „Co się stało, myślę sobie, przecież nie leży to w zwyczaju rodziny". Schodzę do domu. Riad zanosi się szlochem, nie może oglądać swojej ulubionej Miki. Tak upływa czas do wieczora. Wieczorem wszyscy Belaici, na czele ze Zoubidą, zjawiają się na naszym podwórku.

- Masz się natychmiast wyprowadzić! Twój mąż zwolnił się i zakład pracy przestał nam płacić za mieszkanie.
- Ale...
- Wynocha! - ryczy Zoubida, popychając mnie. - Twoje bękarty oddaj ich ojcu, a ty wynoś się do swojego kraju, europejska k...!
- Nigdzie nie pójdę! - odpowiadam w złości. - Nie macie prawa wyrzucić mnie na ulicę! Jeżeli rościcie sobie jakieś pretensje, to zwróćcie się do mojego byłego męża i do sądu. Nie ze mną podpisywaliście umowę o mieszkanie, tylko z moim byłym mężem!
- My ci k... pokażemy nasze prawo! - to najstarszy, Mohamed, zamierza się na mnie z uniesioną ręką, która jednak zamiera nad moją głową.
- Spróbuj mnie dotknąć! - krzyczę. - No, tylko spróbuj!
- Jutro ma cię tu nie być, ty zasrana Polko!

Płyną przekleństwa z ust wszystkich członków rodziny. Tej rodziny, która przez dziesięć lat czerpała korzyści z wynajmowania mieszkania, której przywoziłam co roku z Polski liczne prezenty. Tej rodziny, której wszystkie dzieci Mohameda przychodziły do mojego domu i zawsze

dostały coś do jedzenia, ich ojciec bowiem żył zgodnie z zasadą, że skoro Allah dał dzieci, to i Allah je wychowa i wykarmi. Tej rodziny, która była świadkiem mojego ciężkiej pracy w jej kraju i mojej wielkiej tragedii - śmierci Sabrinki.

Rodzina Belaici wynosi się z podwórka wykrzykując groźby pod moim adresem. Potem ktoś kilkakrotnie kopie butami w drzwi, wyzywając nas wszystkich. Po nie przespanej, pełnej najgorszych przeczuć nocy, wychodzę z domu, ażeby jak najszybciej dostać się do zakładu Yacine. Udaje mi się złapać taksówkę. Na miejscu mam szczęście. Spotykam zakładowego kolegę Yacine - Beloufę, szczerze mi życzliwego. Cała roztrzęsiona wyjaśniam mu, co się stało.

- Tak, Yacine zwolnił się oficjalnie z naszego zakładu pracy 1 listopada. Ale odszedł wcześniej, wykorzystując zaległy urlop - informuje mnie Beloufa.

A więc to, o czym zapewniał mnie dyrektor Yacine, nie sprawdziło się.

- Beloufa - błagam chłopaka - skombinuj mi jakieś zaświadczenie z waszego zakładu pracy poświadczające to, co mówisz. Przecież nikt mi na słowo nie uwierzy.

- Dobrze, postaram się coś dla pani zrobić - odpowiada Beloufa, znikając na bardzo długo w swojej dyrekcji. Ja czekam na podwórku. Czekam i czekam. Wreszcie Beloufa przychodzi. Przynosi mi dwa dokumenty. Są to kopie pism wysłanych do Yacine i Zoubidy Belaici. Na kopiach tych przystawiono oryginalne pieczątki zakładu. Oba dokumenty o podobnej treści są dla mnie na wagę złota. Informują one, że w związku z dymisją Yacine z dniem 1 listopada, od tej daty zakład wstrzymuje opłatę za mieszkanie. Straszne. A jednak prawdziwe. Beloufa oddał mi ogromną przysługę, doręczając mi te pisma. Na razie jest to tylko papier - jedyna moja broń przeciw Yacine. Bardzo dziękuję Beloufie i wracam do domu. Po powrocie - koszmar. Cała rodzina, łącznie z Maliką, wdziera się na nasze podwórko. Chcą mnie pobić.

- Wynoś się, ty polska k.... z naszego domu! Już TRZY DNI mieszkasz u nas bezpłatnie! Czy wiesz, ile nam jesteś winna, ty k.... za te trzy dni? Sześćset dinarów! Płać, płać! - ryczy cała rodzina.

I zaczyna się. Na oczach przerażonego Riada, który właśnie wrócił ze szkoły, zdejmują wszystkie okiennice i okna, zostawiając jedynie drzwi, z którymi nie mogą sobie poradzić. Najbardziej szaleje Zoubida i Malika. Ta Malika, w obronie której stanęłam tyle razy! Której okazałam tyle współczucia w jej chorobie i w jej trudnym życiu u rodziny Belaici! Malika pluje mi kilka razy w twarz. Syn podbiega z chusteczką, usiłując mnie wytrzeć.

- Mamusiu, mamusiu, dlaczego oni plują na ciebie? Przecież ty jesteś taka dobra! Mamusiu, dlaczego oni zabierają nam wszystkie okna? Jak my będziemy mieszkać? Przecież jest zimno! - krzyczy oszalały ze strachu Riad.

Cała rodzina śmieje się szyderczo z płaczu dziecka, a Amine robi wymowny ruch ręką, mówiąc do syna:

- Twoja matka może zarabiać, o tak, to będziecie mogli wynająć sobie inne mieszkanie!

Plucia, krzyki, wyzwiska, szum i bałagan. Zoubida i jej pięciu synów plus Malika - siedem dorosłych osób przeciwko jednej kobiecie! Tulę krzyczącego Riada. Wraca ze szkoły Sonia.

- Gdzie są okna i okiennice? - pyta.

Riad płacząc mówi, co się stało. Sonia jest głodna. Chcę podgrzać jej coś na kuchni. Ale gdzie tam, gazu nie ma. Odcięli nam gaz! Wyłączyli nam także prąd! Jest listopad, temperatura w nocy na zewnątrz około 7°C. I tyleż samo w mieszkaniu. Zapalamy świeczki. Dzieci boją się, oboje tulą się do mnie. Jak mamy spać, gdy w każdej chwili ktoś może wejść od strony naszego podwórka przez wyjęte okna? Całą trójką zamykamy się w pokoju, którego okna wychodzą na podwórko Zoubidy i są dosyć wysoko. W nocy jest potwornie zimno. Cała rodzina Belaici nie śpi, kręcąc się po naszym podwórku. Słyszymy, jak nas wyzywają i grożą nam. Dopiero teraz uświadamiam sobie, w co się wpakowałam. W sytuację bez wyjścia. Jestem rzucona na pożarcie ludzi bez żadnych skrupułów i bez uczuć. Jak mogłam wierzyć w ich miłość bliźniego, w przyklejone do twarzy uśmiechy, w usłużną grzeczność? Dopóki mogli ciągnąć korzyści płynące z naszego pobytu w ich domu - wszystko było *o key,* a ja byłam boginią, której oddawano cześć. Gdy kran z pieniędzmi został zamknięty, ludzie ci pokazali swoje prawdziwe oblicze.

W tym momencie muszę przytoczyć pewne fakty. Otóż po wyprowadzeniu się Yacine Belaici postanowili wybudować naprzeciwko naszego mieszkania, na wzniesieniu od strony ulicy - garaż. Trzeba było usunąć całą ziemię, zrobić fundamenty i postawić budynek. Do tego celu najęli kilkunastu młodych ludzi. Świetnie wykorzystali rok nieobecności Yacine do własnych interesów. Wiedzieli, że on nigdy by się nie zgodził na coś takiego. A ja? Cóż miałam powiedzieć? Cała rodzina z przyklejonymi do twarzy uśmiechami, z obłudną uprzejmością przepraszała mnie ciągle za kłopot, który mi sprawia dodając, że chyba rozumiem ich sytuację. Ja rozumiałam. Sprzątałam codziennie dom i podwórko, nic nie mówiąc na cement, który był wszędzie - w garnkach, w pościeli, w ubraniach. Nic nie mówiłam na hordę mężczyzn przewalających się przed oknami i po podwórku, pożerających mnie łapczywym wzrokiem. Rozumiałam. Trwało to rok. Belaici wybudowali garaż, założyli pracownię wulkanizacji, która prosperowała znakomicie, ponieważ był to okres kryzysu części samochodowych, dętki były nieosiągalne. Nie brakowało im ptasiego mleka.

Teraz minęły trzy dni, od kiedy zakład S. przestał płacić za mieszkanie. Trzy dni, które doprowadziły Belaici do szału! Nie otrzymali swoich 600 dinarów! Ich własność jest święta i gotowi jej bronić, nie przebierając w środkach! Nietykalni Belaici - państwo w państwie! To oni ustalają reguły gry, zgodnie z którymi - im wolno wszystko, prawo to oni! Natomiast przeciwko nim nie można nic! Potężni, zwarci w swojej nienawiści do każdego, kto mógłby naruszyć ich interesy! Niepomni na to, że istnieje Bóg, ich Allah, do którego modlą się pięć razy dziennie! Tam, gdzie w grę wchodzą pieniądze, nie ma Allana u Belaici, jest nienawiść zdolna popchnąć do zabójstwa.

Po nie przespanej nocy w mieszkaniu bez okien, światła i gazu udaję się na policję. Składam raport przeciwko rodzinie Belaici. Te same nieprzychylne twarze. Naczelnik policji - mały, gruby, z czerwoną, nalaną twarzą, z czerwonym pijackim nosem. W oczach wszystkich to samo: „Wynoś się z naszego kraju, ty wstrętna Europejko". Mam ochotę wykrzyczeć im w twarz: „Wyjadę wtedy, gdy ja tego będę chciała, i na takich warunkach, na jakich ja będę chciała, a nie na takich, jakie dyktuje mi wasz kodeks rodzinny. Przyjechałam tu z własnej woli, pełna dobrych

chęci i pozytywnie do was nastawiona, wyjadę również z własnej woli i nie będziecie mi dyktować warunków!" Patrzą na mnie nieprzyjazne, świdrujące oczy. Przeszkadzam tej sforze jako kobieta inteligentna i wykształcona. Przeszkadzają im moje oczywiste racje. Jakich argumentów można użyć przeciwko mnie wtedy, gdy nie pozostaje już nic? Pracy zawsze można mnie pozbawić, zarzucając mi brak algierskiego obywatelstwa. W innych sytuacjach pozostaje stereotyp: „europejska k..." Naczelnik policji musi mnie przyjąć, czy chce, czy nie. Zostaje spisany protokół. Wiem, że nie mam co liczyć na pomoc tych ludzi. Jednak muszę się jakoś bronić.

Wracam z policji na Vieux Kouba. Otwieram furtkę prowadzącą na podwórko domu. Na schodach stoi cała rodzina Belaici - nie brakuje nikogo. Muszę przejść koło nich. Zaczyna się. Każdy po kolei, nie wyłączając Maliki i Zoubidy, pluje na mnie, a Amine niedwuznacznym jak ostatnio przed Riadem, ruchem ręki, określa swój stosunek do mnie krzycząc:

- No, gdzie byłaś, ty polska k...? Poszłaś się p...? Tylko to potrafisz!

Cała opluta wbiegam jak oszalała do domu. Wkrótce przychodzi ze szkoły Riad, również cały opluty. Syn zanosi się od płaczu.

- Mamusiu, mamusiu, pluli na mnie i wyzywali, że jestem synem k...! Chcieli mnie pobić, cała rodzina.

Wycieram syna, uspokajając go jak mogę. Po chwili cała rodzina Belaici zjawia się w moim mieszkaniu.

- Ty k...! Już tyle dni mieszkasz za darmo! Wiesz, na jakie straty nas naraziłaś?!
- Na jakie straty!! - krzyczą jeden przez drugiego.

Teraz Belaici są wszędzie. Rano, w południe i wieczorem wpadają do naszego domu, plują na nas i obrzucają przekleństwami. Zamiast do śmietnika wysypują mi zawartość swoich kubłów do pokoju i do kuchni. Dzieci są głodne. Nie mam gazu ani prądu. W nocy po mieszkaniu hasają szczury i myszy, żerując na wrzuconych odpadkach. Dzieci nie śpią, krzyczą. Riad ma jakieś dziwne drgawki.

Znowu jestem na policji na Vieux Kouba. Bo gdzie mam iść? Proszę o interwencję, błagam.

- Czego pani tutaj szuka? - krzyczy na mnie szef. - Co, może postawimy przed pani drzwiami policjantów, co?

Robi mi się słabo, płaczę po wyjściu z komisariatu. Boże, w co ja się wpakowałam? Z jednej strony „przedstawiciele prawa", z drugiej samowolna banda, pewna swojej bezkarności, opętana chęcią zysku. Płacząc dochodzę na Koubę. Jestem przy poczcie. Do kogo zwrócić się o pomoc? Dzwoniłam do Doroty i Marii, ale oświadczyły, że ich mężowie są przeciwko mnie, że dawno już, jako rozwódka, powinnam opuścić kraj. Jestem przecież wolna i w każdej chwili mogę wyjechać. A dzieci? Mają przecież ojca! Gdy dorosną, to mnie odnajdą. Tak myślą chyba wszyscy w tym kraju oprócz pracowników polskiej ambasady. Ale cóż oni mogą zrobić w tej sytuacji? Dzieci w świetle prawa algierskiego są obywatelami algierskimi i wara od nich jakiemukolwiek innemu państwu! Na to, co wyrabia z nami rodzina Belaici, nie mam żadnych dowodów. Posiadam jedynie zaświadczenie z merostwa z Kouby, które stwierdza, że wraz z dziećmi zostałam wyrzucona „pośrednio" z domu przez rodzinę Belaici, która odcięła mi gaz i światło oraz wymontowała okna. Faktycznie mam jeszcze dach nad głową, no i żyję, więc zdaniem władz algierskich nie ma podstaw do jakiejkolwiek interwencji.

Przypominam sobie o Francuzce, która pracuje na poczcie na Koubie. Znamy się z przelotnych rozmów. Maguy - bo tak ma na imię - jest postawną blondynką w moim wieku z prostymi, krótko obciętymi włosami. Nie wie nic o moich przeżyciach i kłopotach. Jednak w tym momencie czuję, że Maguy jest jedyną osobą na świecie, która może mi pomóc. Ostatnią deską ratunku. Idę więc do Maguy, która akurat jest przy okienku.

- Co się stało, Anno? - pyta serdecznie i szczerze, zmartwiona moim wyglądem. Popłakując, smarkając i kichając opowiadam jej, już na zapleczu poczty, co się dzieje w mojej rodzinie. Bardzo chaotycznie, ale Maguy chwyta wszystko w lot. Bez żadnego usprawiedliwienia zostawia swoją pracę przy okienku i wybiega ze mną na policję.

- Ja tym s... pokażę! - syczy.

Jesteśmy znowu na policji na Vieux Kouba. Maguy znika w gabinecie „szefa" zostawiając mnie w poczekalni. Wychodzi po dłuższej chwili, cała czerwona.

- Chodź, Anno! - krzyczy na korytarzu, mimo że wszyscy ją słyszą. - To nie żadna policja, to, to... - milknie nie kończąc.

- Co się stało? - pytam.

- Wiesz, co mi powiedział ich szef? Że wzywali rodzinę Belaici i oni złożyli na ciebie donos, że jesteś k…!

- Tak? Ciekawe, na jakiej podstawie?

- Widziano cię kilka razy z jakimiś mężczyznami, którzy podwozili cię pod dom, a to wystarczy.

No tak, pamiętam jak po rozwodzie, pracując w bazie w S. miałam kłopoty z dojazdem. Często stojąc rano na przystanku autobusowym i widząc przejeżdżającego kierownika pracowni architektów, sama dawałam znak ręką, ażeby mnie podwiózł do pracy. Kierownik jako człowiek o europejskich poglądach nie miał nic przeciwko temu. Po pracy prosiłam kolegów o podwiezienie do domu, gdyż w ten sposób oszczędzałam około dwóch godzin, które mogłam poświęcić dzieciom. Każde piątkowe popołudnie spędzałam z Wiktorem, który później odwoził mnie samochodem, co nigdy nie uchodziło uwagi rodziny Belaici. I kilka innych podobnych sytuacji. Tylko k... mogła się tak prowadzić! Opowiadam to wszystko Maguy.

- Po co mi to wszystko opowiadasz, Anno? Myślisz, że ja nie rozumiem? Że nie wiem, w jakim świecie my żyjemy? A ty jesteś na dodatek strasznie naiwna. Czy ty nie widzisz, że wszystko to, co mieli przeciwko tobie Belaici, nawet gdyby było prawdą, nie przeszkadzało im, dopóki zakład płacił za mieszkanie i kapało złoto do sakiewki? Przecież tą wielką k... stałaś się dokładnie w dniu, w którym zakręcono tym złodziejom kurek z pieniędzmi! No powiedz, czy ty tego wszystkiego nie widzisz i nie rozumiesz?

- Pewnie, że widzę. Tylko jak się przed tym bronić?

- Anno, idź do domu! Ja będę działać ze swojej strony i zrobię, co będę mogła. Postaramy ci się pomóc.

Maguy dodaje mi otuchy jak może. Czuję się bezpieczna w jej obecności. Siła jej charakteru działa na mnie uspokajająco. Wracam do tego znienawidzonego domu, ażeby odebrać swoją dzienną porcję upokorzeń ze strony Belaici. Co mogę zrobić?

Dzwonię często do Marii, która służy mi swoimi życzliwymi radami.

- Idź do naszej ambasady - radzi. - Niech interweniują u władz algierskich w celu przyznania ci jakiegoś mieszkania. Innej rady nie ma, i tak z Algierii nie wyjedziesz.

6 listopada 1989 roku zjawiam się w naszej ambasadzie. Jestem życzliwie przyjęta przez konsula, który wysłuchuje przekazywanych informacji.

- Co pani chce, żebym zrobił? - pyta.

- Bardzo bym prosiła o oficjalną interwencję u władz miasta Algieru w celu uzyskania jakiegoś mieszkania.

- Nie ma sprawy! - decyzja konsula jest błyskawiczna.

Kilka minut potem trzymam w ręce oficjalne pismo ambasadora Polski, w którym prosi się o pomoc dla mnie i dla dzieci w sprawie mieszkaniowej. Pismo to natychmiast zanoszę osobiście do gabinetu wojewody Algieru, już poinformowanego telefonicznie przez naszą ambasadę o celu mojej wizyty. Zostaję przyjęta przez sekretarza, który podaje mi numer telefonu i każe dzwonić za kilka dni w celu ustalenia terminu przyjęcia mnie. Dzwonię za kilka dni pod wskazany numer.

- Proszę się stawić jutro o godzinie... - pada krótka odpowiedź.

Idę na umówione spotkanie. Mam ze sobą zaświadczenie wydane przez merostwo z Kouby o tym, jak obecnie mieszkam. Mam kilka innych zaświadczeń, którymi mogę udokumentować swoją sytuację. Siedziba *Wilaya** jest pięknie położona w centrum miasta przy znanym mi już bulwarze Zirout Youcef. Jakiś strażnik prowadzi mnie do gabinetu. Piękne korytarze, posadzki chyba marmurowe, palmy. Jest to część reprezentacyjna urzędu. Tylko nieliczni zainteresowani mogą do niej wejść, ponieważ jest strzeżona przez policję. Część robocza mieści się z drugiej strony budynku. Przyjmuje się tam interesantów w różnych sprawach.

* Odpowiednik naszego urzędu wojewódzkiego.

Strażnik zostawił mnie w ogromnej poczekalni jakiegoś gabinetu i wyszedł. Czuję się jak mały robak, który zostanie za chwilę rozgnieciony przez duży but. Czuję się zagubiona, samotna i bezbronna. Jestem pełna

niepokoju o rezultat mojej wizyty. Po chwili wchodzi wojewoda.

- Słucham panią - o co chodzi? - pyta dosyć oschłym tonem.

Nie wiem po raz który relacjonuję moją sprawę przed tutejszym przedstawicielem władzy i prawa. Pan wojewoda słucha do końca.

- No cóż, proszę pani, przykro mi, ale sytuacja mieszkaniowa w naszym kraju jest ciężka! Jeżeli będę mógł coś dla pani zrobić, to dam pani znać.

Tylko tyle. W holu dopada mnie sekretarz.

- A co, szanowna pani nie rozwiodła się przypadkiem ze swoim mężem i nie zaaranżowała całej tej sprawy, by dostać mieszkanie? Znamy to, znamy...

Zdębiałam. Nie wiem, co powiedzieć na swoją obronę. W końcu nie mówię nic, a wychodząc z tego budynku wiem już, że nie będzie żadnej interwencji. Jeszcze kilkakrotnie próbuję dzwonić do gabinetu pana wojewody. Na dźwięk mojego nazwiska po prostu odkłada się słuchawkę. Kilkakrotnie usiłuję dostać się do wojewody osobiście, ale nie zostaję wpuszczona przez strzegących wejścia policjantów. Pomimo że w mojej sprawie interweniował ambasador Polski, wojewoda Algieru ma w nosie oficjalnego przedstawiciela naszego kraju.

Tak więc stanowisko prawa wobec mnie „wyklarowało" się. Nie mam i nie będę mieć w tym kraju mieszkania, pomimo iż moje dzieci mają algierskie obywatelstwo, którego ja nigdy nie dostanę. Nie mam pracy nie tylko ze względu na duże bezrobocie, ale także ze względu na cudzoziemski paszport, którym się legitymuję. Żadna pomoc społeczna w tym kraju nie istnieje. Nie istnieje żadne prawo chroniące interesy kobiety i jej dzieci. Co mi pozostaje? Już po raz enty wyciągam te same wnioski z mojej sytuacji: jeżeli nie prostytucja, to zostawić dzieci i wracać do kraju. Wszystkie działania tutejszych władz do tego zmierzają. „Zgodnie z prawem" odbiera się mi dzieci, które są jedyną racją mojego istnienia. Ciągle dzwonią mi w uszach słowa Wiktora: „Pamiętaj Anno, że logiczne działanie i mądrze ustawiony cel zawsze dadzą pozytywny wynik, niezależnie od tego, w jakiej znalazłaś się sytuacji. Jeżeli cel jest jasny, a działania rozumne - wygrasz!"

Nie pozostaje mi nic innego, jak trzymać się tej zasady i znaleźć sposób na pokonanie tego prawa. Tylko czy wystarczy mi sił psychicznych i fizycznych?

* * *

Teraz codziennie, przechodząc przez Koubę, zaglądam na pocztę. Widzę Maguy w „akcji". Ponieważ pracuje przy okienku i ma kontakt z klientami oraz duże znajomości, każdego bez wyjątku pyta: „Nie zna pani kogoś, kto wynająłby kawalerkę i zatrudnił Europejkę?" Wysyła mnie do różnych firm, których przedstawicielstwa odbierają przesyłki w jej okienku. Niestety, wciąż bez rezultatu, bezrobocie bowiem w tym kraju sięgnęło zenitu.

Maguy prowadzi mnie do swojej sąsiadki, Belgijki, żony Algierczyka - biznesmena, który mógłby mi, według niej, pomóc. Belgijka, przystojna kobieta, przyjmuje nas w swojej wspaniałej rezydencji.

- Nie sądzę, ażeby mógł on coś dla pani zrobić - mówi. - Nie zajmuje się drobnymi sprawami. Prowadzi handel z różnymi firmami na świecie. Poznaliśmy się za granicą. Jestem jego trzecią żoną.

Belgijka wypytuje mnie o moje losy. Usłyszawszy o tym, że były mąż nie chce podpisać mi zgody na wyjazd dzieci, opowiada:

- Wie pani, mój mąż miał dziecko ze swoją drugą żoną, Francuzką. Gdy zajęłam jej miejsce, Francuzka wyjechała, ale niestety mąż nie pozwolił zabrać jej dwuletniego synka. Widziałam rozpacz tej kobiety. Zapewniłam ją, że dziecko dostanie. Udało mi się przewieź je przez granicę.
- Jak? - pytam.
- Za pieniądze w tym kraju wszystko można.
- A co na to pani mąż?
- Wściekł się, ale wie, że nic przeciwko mnie nie może zrobić. Takie ma ze mną układy! - śmieje się Belgijka.

Maguy. Poznaję jej rodzinę. Czwórka dzieci, mąż Algierczyk, polityczny idealista. Nic tych ludzi nie łączy oprócz wspólnego domu i dzieci. Maguy jest równie nieszczęśliwa jak i ja w tej Algierii.

- Dlaczego nie wyjechałaś wcześniej do Francji? - pytam Maguy.
- Wiesz, to długa i skomplikowana historia. Byłam młoda, głupia, czas uciekał no i zobacz, do czego doszłam. Nie potrafię już żyć w tym kraju, a we Francji nie mam do kogo i po co wrócić.

Teraz codziennie widuję się z Maguy, która szaleje. Jest wszędzie. Pyta swoich znajomych o pracę i o mieszkanie dla mnie.

- Jest to jedyne wyjście **dla** ciebie, Anno. Najpierw praca i mieszkanie, potem będziemy myśleć, jak wywieźć dzieci. Wystarcza ci pieniędzy na życie? - ciągle martwi się o mnie Maguy.
- Na razie wystarcza. Nie pracuję, ale zakład jeszcze mi płaci.

Rodzina Belaici zaciska pętlę wokół mojej szyi. To, co się codziennie dzieje w domu, przechodzi ludzkie pojęcie. Widzą to wszystko sąsiedzi, ale nikt nie reaguje, nikt nie staje w mojej obronie. Idę do znajomych mieszkających w tej samej dzielnicy. Ich córka Nabiła przyjaźniła się z Sonią i często u nas bywała. Proszę, żeby mi pozwolili przez pewien czas u siebie gotować. Przynajmniej jakąś zupę dla dzieci oraz mleko. Zgadzają się, ale niezbyt chętnie, dodając, że może ze dwa, trzy razy, ale nie więcej. Czuję się jak intruz w tej rodzinie. Ciotka Nabili, która mieszka razem z nimi, jest dziennikarką radiową i mogłaby mi pomóc. Ale gdzie tam, o żadnej pomocy nie może być mowy.

...Po raz drugi niosłam w garnku przygotowaną dla dzieci zupę. Widziała to Malika z Zoubidą i gdy weszłam na podwórko, podbiegły do mnie i wyrwały mi garnek, a zupę wylały (!!!). Riad i Sonia płaczą, nie wiem, od jak dawna nie jedli nic gotowanego, nie pili nic ciepłego.

Codziennie jesteśmy opluwani i wyzywani, codziennie śmieci wrzucane są do naszego domu. Wreszcie nadchodzi ten pamiętny dzień. Od rana rozpętało się piekło. Podczas mojej nieobecności, (wyszłam coś kupić) Amine przewrócił mi do góry nogami mieszkanie, zabierając **wiele** rzeczy, wśród nich książki Soni. Przychodzę z miasta. Sonia **płacze.** Krew mnie zalewa na widok mieszkania, z którego zrobiono pobojowisko. Wbiegam na górę do Zoubidy.

- Kto pozwolił pani kraść i buszować po moich rzeczach? - krzyczę.

Zoubida spycha mnie ze schodów, a Amine łapie nóż. Uciekam. Zamykam drzwi, chociaż i tak można wejść przez okno. Wszyscy Belaici wpadają na nasze podwórko. Wyrywają drzwi z zawiasami. Dzieci krzyczą ze strachu. Nagle Sonia woła: „Mamo, uważaj!" Odwracam się i widzę Zoubidę z podniesionym na mnie nożem. Gdyby nie Sonia, pewnie wbiłaby mi go w plecy. Robię unik i nóż ląduje na mojej ręce, raniąc przedramię. Krwawię. Zoubida ciągnie mnie za włosy, kopiąc i bijąc.

- Ty k.... ty k...! Już tyle dni mieszkasz u mnie i nie płacisz! Zabiję cię, zabiję cię! Oddaj mi moje pieniądze za te dni, co mieszkałaś!

Amine i Mohamed plują na dzieci, Youcef chodzi po mieszkaniu i na moich oczach zabiera to, co mu się podoba. Wszystkiemu towarzyszy wrzask nie do opisania. Sonia strasznie płacze, Riad krzyczy. Jak mam się bronić? Nie mamy już nawet drzwi. Riad podbiega do mnie i kopie mnie z całej siły.

- To przez ciebie - krzyczy. - Ty jesteś k... i przez ciebie te wszystkie nasze problemy! Mój mały syn w bezsilnej złości usiłuje wyładować na mnie całą swą agresję. Co mam powiedzieć w tej dramatycznej chwili? Jak mam się bronić przed jego zarzutami? Jak bronić siebie i dzieci w tej sytuacji?

Koszmar trwa. Krzyki, plucie, wyzywanie nas, złowieszcze pogróżki, że nasze dni są policzone. Dzieci płaczą przez cały czas, a mnie wraca ten dziwny stan, kiedy moje ciało chce się oddzielić od umysłu. Tylko nie załamać się, tylko nie załamać się! Szybko do łazienki. Wylewam na siebie hektolitry zimnej wody, pomimo że w mieszkaniu jest chyba tylko 5 stopni ciepła i panuje przejmująca wilgoć. Na szczęście jest woda. Belaici nie mogli nam jej odciąć, bo główna arteria prowadząca do ich warsztatu wulkanizacyjnego przechodziła przez nasze mieszkanie. Odcinając nam wodę, sami by się jej pozbawili. Zimny prysznic przywraca mnie do przytomności i podnosi na duchu. Ale zbliża się noc, a Belaici uparcie krzyczą na naszym podwórku i ani myślą się wynosić. Noc schodzi na ich pogróżkach i płaczu moich dzieci. Rano muszę je zostawić,

szybko łapię taksówkę i jadę do szpitala Mustapha po zaświadczenie lekarskie o pobiciu. Po kilku godzinach mam w ręku stosowny dokument, z którym udaję się prosto na policję na Vieux Kouba. Pokazuję go funkcjonariuszom oznajmiając, że jeżeli policja nie zrobi z tym wszystkim porządku - powiadomię opinię międzynarodową, co się tutaj dzieje. A jeżeli coś mi się stanie, to moi francuscy przyjaciele załatwią sprawę po swojemu.

- Mam prawo do bezpieczeństwa! - krzyczę - Nie pozwolę się atakować nożami bandzie Belaici! Powysyłam fotokopię tego zaświadczenia wszędzie, gdzie się da!

Policja ma już mnie naprawdę dosyć, to wszystko ich przerasta. Ale racja jest po mojej stronie. Dostaję wezwanie na następny dzień na komisariat. Takie samo wezwanie policja zanosi rodzinie Belaici. Wracam późnym wieczorem do domu i zastaję dzieci skulone w rogu mieszkania, przytulone do siebie, nakryte kocami. Drżą i płaczą. Cały dzień nic nie jadły i nie poszły do szkoły, banda Belaici bowiem nie przepuściła ich przez podwórko!

Noc jest spokojna, ale pada ulewny, monsunowy deszcz. Nigdzie nie ma okien ani drzwi, nie ma też progu dzielącego mieszkanie od podwórka. Woda nie nadąża ściekać do kanału, wlewa się do domu. Wszystko, co znajduje się na podłodze, musimy szybko położyć na meblach, bo w pokojach jest kilkanaście centymetrów wody. Nie po raz pierwszy zresztą zostaliśmy zalani w ten sposób. Poprzednio też ponosiliśmy dość często niemałe straty wskutek zalania, a rodzina Belaici nie starała się nic poprawić w wadliwej konstrukcji domu, chociaż inkasowała czynsz w wysokości prawie dwumiesięcznej pensji inżyniera! Jednak tym razem jest o wiele groźniej, ponieważ woda wdziera się nie tylko utartym szlakiem, ale również przez otwory pozbawione okien i drzwi. Silne strumienie ostrego, bijącego deszczu rozpryskują się po ścianach i meblach, siejąc prawdziwe zniszczenie. Jesteśmy mokrzy, po zalanym mieszkaniu hula zimny wiatr, nie ma światła ani gazu. Nie ma się czym ogrzać, a temperatura wynosi około 5°C w nocy przy ogromnej wilgotności. Chodzimy boso - po kostki w wodzie. Nasi gospodarze śpią teraz spokojnie, przekonani o swojej racji!

Po tej koszmarnej nocy, zakładając mokrą odzież i zostawiając dzieci w mokrej pościeli przyrzekam sobie, że historia ta ujrzy światło dzienne. Ale muszę zacisnąć zęby i poczekać, muszę przetrwać.

Rano w komisariacie zjawia się Zoubida i jej pięciu bandziorów. Pewność siebie, buta. Długie brody, dzikie spojrzenia, białe *kamis** mające świadczyć o ich religijnej orientacji. I ja - po przeciwnej stronie barykady. Na straconej pozycji od początku. Zostaję sama w poczekalni, ale słyszę wszystko to, co dzieje się w biurze obok.

* *Kamis* - luźna, biała, długa do kostek koszula.

- Kontrakt jest kontraktem! - wydziera się rodzina Belaici. - Ona musi opuścić to mieszkanie, bo nie płaci! Poza tym nasz brat Naser żeni się i nie ma gdzie mieszkać!

Wy małpy - myślę - za grosze kupiliście tę willę po Francuzach, którzy opuścili wasz kraj po wyzwoleniu Algierii, zarobiliście przeszło pół miliona dinarów za wynajmowanie mieszkania dla zakładu S., a teraz nie dacie mi nawet trzech miesięcy na uporządkowanie moich spraw? Naser się żeni? Może uwierzy w to ktoś obcy, ale nie ja!

Szef próbuje się jednak targować z Belaici, żeby dali mi trochę czasu na znalezienie innego mieszkania.

- Nigdy!!! - histerycznie krzyczy Zoubida popierana pokrzykiwaniami pięciu synów.

- Nigdy, nigdy! Chyba, że zapłaci 6000 dinarów za miesiąc.

- Jak może zapłacić? - wtrąca się Nourreddine. - Przecież nie pracuje, a gdy pracowała to zarabiała tylko 4 tysiące. Skąd ma na to wziąć?

- Niech sprzeda wszystko!

- Komu? - pyta Nourreddine.

- Nam! - ryczy jednogłośnie cała rodzina Belaici. - Kupimy wszystko!

- A tak? To znaczy, że macie pieniądze, a nie możecie jej darować paru tygodni, ażeby uporządkowała swoje sprawy? - krzyczy Nourreddine. - Zabierać się wszyscy, jedziemy do prokuratora!

Nourreddine aż kipi ze złości i chociaż to nie on powinien podjąć tę decyzję, tym razem szef mu się podporządkowuje. Jedziemy więc do prokuratora do Hussein Dey. Ja w jednej furgonetce, a cała rodzina Belaici - w drugiej. Chociaż to nie jest dzień przyjęć, zostajemy wprowadzeni przez policję. Zostajemy sami. Po jednej stronie - prokurator (znowu jakiś nowy!), po drugiej ja, Zoubida i jej pięciu bandziorów ubranych w swoje religijne *kamis*. Prokurator mówi coś do Zoubidy po arabsku. Nagle Mohamed zrywa się jak oparzony. Oczy błyszczą mu dziko, twarz wykrzywia grymas wściekłości.

- Jak śmiesz adresować słowo do mojej matki?! - krzyczy do prokuratora i mam wrażenie, że zaraz go uderzy.

No tak! Jego matka to *hadja,* to świętość! Nie wolno się do niej odezwać obcemu mężczyźnie! Nieważne, że jest to prokurator. Pięciu bandziorów podrywa się w obronie honoru matki, który doznał uszczerbku! Prokurator najwyraźniej boi się! Wstaje i każe nam wszystkim wyjść, po czym Mohamed zostaje gdzieś wezwany, a ja z pozostałą częścią rodziny Belaici zostaję na korytarzu. Czekamy około dwóch godzin. Nikt się nami nie interesuje ani nikt po nas nie przychodzi. Jakaś kobieta płacze. Zoubida podchodzi i gładzi ją po włosach, całuje i pociesza w nieszczęściu, używając najczulszych słów. Nie mogę znieść jej zakłamania, tej hipokryzji posuniętej do granic absurdu.

Belaici wychodzą, ja czekam jeszcze kilka godzin bez żadnego efektu. W końcu opuszczam budynek. Wracam do domu, gdzie dowiaduję się, że cała rodzina szuka Mohameda, który nie wrócił z sądu. Później okazuje się, że został na kilka godzin zatrzymany w areszcie i wypuszczony wieczorem. Malika, jego żona, wpada do mnie z pianą na ustach.

- Żeby przez taką, jak ty k.... mój mąż siedział w areszcie! Pożałujesz tego! - grozi mi. Tyle zrobił prokurator. Po prostu uciekł, wydając nakaz aresztowania Mohameda na kilka godzin i kierując do sądu oskarżenie o pobicie mnie i grożenie śmiercią.

Na drugi dzień rano znowu biegnę do Maguy na pocztę. Opowiadam jej, co się stało. Maguy mówi:

- Nie ma co, musimy powiadomić Ligę Obrony Praw Człowieka w tym kraju. Mój mąż zna przewodniczącego, pana R.B.

Maguy zwalnia się z pracy i idziemy porozmawiać z jej mężem.

- Coś ty?! - oburza się pan M. - Przecież to lipa! To parodia Ligi, a jej przewodniczący R.B. to karierowicz szukający swoich korzyści. Szkoda, żebyście się tam udawały.

- To co mamy zrobić? Co? - krzyczy Maguy. - Przecież to, co się tutaj dzieje, jest pogwałceniem wszelkich praw człowieka!

Mąż Maguy jednak ugina się pod jej presją i telefonuje do przewodniczącego Ligi, który obiecuje przyjąć mnie jeszcze w tym samym dniu. Idę do centrum miasta, do siedziby Ligi. Pana R. B. jeszcze nie ma, za to jest tutaj pełno różnych ludzi, a przede wszystkim działaczy tej organizacji, którzy znani mi są z telewizji. Korzystając z okazji wykrzykuję im swoją historię. Pytam, dlaczego godzą się z tym, że w ich państwie nie ma zagwarantowanych podstawowych praw obywatela, nie mówiąc już o prawach kobiety. Jak to jest, że nie mając pracy ani dachu nad głową dla siebie i dzieci, nie mogę wyjechać z kraju, bo „opiekun" dzieci nie wyraża na to zgody, a jednocześnie robi wszystko, ażebyśmy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia? Dlaczego uchodzi mu to bezkarnie? Jak to jest możliwe, że tak bezkarnie poczyna sobie rodzina Belaici?

Kilkanaście znanych w Algierii osób słucha moich racji, obiecując interwencję. Kończy się na wysłaniu suchego telegramu do policji na Koubie. To wszystko, co zrobili dla mnie wielcy działacze Ligi Obrony Praw Człowieka tego kraju! Natomiast pan przewodniczący, który przyszedł po kilku godzinach, powiedział mi, że Liga nie może się wszystkim zajmować, a spraw jest tysiące: gwałty, rozboje, kradzieże. Pokazał mi stosy akt na swoim biurku. Rozumiem. To tak działa Liga Obrony Praw Człowieka, będąca w powszechnym mniemaniu ostatnią deską ratunku dla obywatela, który wyczerpał wszystkie możliwości prawne! Pan R. B. mówi, że postara mi się pomóc, mam przyjść za kilka dni. Na wyznaczone spotkanie przychodzę z Riadem, który i tak nie chodzi do szkoły, bo rodzina Belaici nie puszcza go przez podwórko, plując na niego i wyzywając go. Czekam na pana R. B. 5 godzin! Riad zasypia z głodu i przemęczenia na podłodze. Pan R. B. nie przyszedł na umówione spotkanie. Mąż Maguy miał rację.

Tymczasem w domu dalej tragedia. Dzieci boją się zostawać same, ponieważ narażone są na agresję ze strony Belaici. Nie mogę stale być z

nimi, bo muszę szukać wyjścia z sytuacji. Jeżeli będę siedziała w domu - niczego nie rozwiążę. Dużo czasu i energii pochłania zorganizowanie w tych warunkach ciepłych posiłków dla dzieci. Jesteśmy brudni - już dawno się nie kąpaliśmy. Mamy brudną bieliznę. Maguy dwoi się i troi, szukając mi pracy. Nie śmiem wykorzystywać jej tak dalece, by codziennie gotować u niej, prać i kąpać się wraz z dziećmi, tym bardziej, że i tak poświęca mi wiele czasu, wydzwaniając ze swego telefonu, gdzie się da. Pożyczam od znajomego sklepikarza butlę gazową i kupuję jednopalnikową kuchenkę.

Gdy po raz drugi ugotowałam na niej ciepłą strawę, wyczuły to Zoubida i Malika. Wpadły do domu i wyrwały talerze jedzącym dzieciom, wylewając zupę na podłogę. Resztę z garnka rozlały po całym mieszkaniu, śmiejąc się złośliwie i wykrzykując: „No masz, ty polska świnio, swoją zupę dla dzieci, możesz ją teraz wylizać razem z nimi z podłogi!"

Wtedy po raz trzeci doznałam tego dziwnego, trudnego do opisania uczucia, że nie panuję nad swoim ciałem i - co gorsza - nad umysłem, który wymyka mi się spod kontroli. Wydało mi się, że wariuję, chciało mi się krzyczeć i wyć, nogi miałam jak z waty, umysł też. Oblałam się cała zimną wodą, jak poprzednio, pomimo że w mieszkaniu było przeraźliwie zimno i wilgotno. Przecież była zima! Całą noc działo się ze mną coś nieokreślonego i niezrozumiałego. Nie spałam. Rano czułam, że za wszelką cenę muszę wyjść z domu, że zbliżam się do jakiejś granicy. Broniłam się przed czymś niewidzialnym, nieznanym, co napawało mnie lękiem. Był to początek choroby, z której nic zdawałam sobie jeszcze sprawy, początek silnej nerwicy lękowej, będącej następstwem zaistniałej sytuacji, ciągłych stresów i agresji wobec mnie.

Biegnę na pocztę. Rozglądam się za Maguy, ale nigdzie jej nie widzę. Nagle słyszę:

- Anno, Anno! Jak dobrze, że cię widzę! - To Maguy.
- Co się stało? - pytam.
- Dzisiaj jedziemy wszystkie do centrum! - odpowiada. - W sali APC jest ogólnonarodowe spotkanie kobiet z całej Algierii. Koniecznie musisz z nami pojechać.

- Dobrze - odpowiadam. - Z chęcią pojadę, aby tylko jak najmniej przebywać w tym koszmarnym domu, przypominającym piekło, którego nie potrafię już dłużej znosić.

Sonia jest już kilkunastoletnią panienką, może zająć się młodszym bratem. Ja zaś muszę szukać wyjścia z tego impasu. Być może kontakt z algierskimi działaczkami kobiecymi podsunie mi jakieś rozwiązanie.

Umawiamy się o godzinie 14^{30} przed pocztą. Czuję się bardzo dziwnie. Na spotkanie przychodzę punktualnie. Jedna z przyjaciółek Maguy podjeżdża samochodem i zabiera nas. W samochodzie jest nas pięć: Maguy, ja oraz trzy Algierki - wszystkie pracujące, na stanowiskach. Wchodzimy do ogromnej auli APC. Gwarno jak w ulu. Na dużej scenie ustawiono stoły, przy których zasiadają przedstawicielki wszystkich organizacji kobiecych z całego kraju. Mikrofony. Jest radio i telewizja (chyba z Francji). Sala jest piękna, amfiteatralna, scenę widać zatem doskonale. Zebraniu przewodniczy K. M., młoda, przystojna kobieta, postać znana w ruchu feministycznym.

Wygłasza krótkie przemówienie: „Nie można napisać historii naszego kraju pomijając udział kobiet w wojnie o niepodległość. Wciąż walczymy o naszą emancypację i nie możemy dopuścić, by karty dziejów, zapisane również krwią kobiet walczących w listopadzie 1954 r.*, zostały sfałszowane bądź zapomniane. Nie pozwolimy przekreślić ich zasług, jak to się próbuje czynić. Pomimo że również *moudjahidates*** przyczyniły się dzięki swemu ogromnemu poświęceniu do wyzwolenia Algierii - dzisiaj są już zapomniane i nie mają satysfakcji z bycia pełnoprawnymi obywatelkami niepodległej Algierii. Przypominamy ich walkę po to, by obronić kobiety przed obelgami i oszczerstwami, które je dotykają. Walczymy o honor, który nam zabrano. Walczymy o zniesienie kodeksu rodzinnego, o prawo kobiet do nauki, do pracy, do wolności poruszania się, o godność i wszechstronny rozwój kobiety na równi z mężczyzną, o kobietę-obywatela z pełnymi prawami. Walczymy o to, ażeby nasze dzieci nauczyły się dziejów Algierii, w których zaznaczyłyśmy swoją obecność".

* 1 listopada 1954 r. - początek rewolucji algierskiej, która przyniosła, w roku 1962, niezależność Algierii od Francji.

* Partyzantki.

Ogromne brawa!

Następnie zostaje przedstawiony porządek obrad. Prosi się również, ażeby osoby, które zechcą się wypowiedzieć publicznie, zapisywały się na listę u przewodniczącej. Siedzimy z Maguy i naszymi przyjaciółkami, przyglądamy się kobietom znajdującym się na sali. Młode, przystojne, świetnie po europejsku ubrane. Dowiaduję się, że prawie wszystkie pracują i zajmują odpowiedzialne stanowiska, są wykształcone. Jest ich w tej sali kilkaset, może przeszło tysiąc. Czy jest to jednak wystarczająca siła zdolna do pokonania kilkumilionowej „męskiej armii", rządzącej tym krajem? Wątpię. Przeglądam materiały które dostałam przy wejściu. *Association pour la défense et la promotion des droit des femmes** pisze:

* Stowarzyszenie Obrony i Promocji Praw Kobiet.

„Stowarzyszenie nasze jest głęboko oburzone aktem barbarzyńskiego napadu na mieszkanie członka naszej organizacji w województwie Annaba. Znaki rozpoznawcze agresorów nie mylą - są to siły nietolerancji, ciemnoty i faszyzmu w naszym kraju. Już raz siły te uderzyły w Ouargla**, gdzie trzyletni Ali poniósł śmierć. Siły te dały znać o sobie w Remchi, Mascara, etc. Dzisiaj Annaba! Kto będzie następny? Stowarzyszenie jest oburzone ciszą, a więc współodpowiedzialnością autorytetów za takie kryminalne akty. Jaki jest sens demokracji, jeżeli kobiety, dzieci i mężczyźni narażeni są na niebezpieczeństwo, samowolę, terror i śmierć? Dzisiaj nikogo już nie dziwi fakt, że przez akty zastraszania chce się zniszczyć wysiłek organizacji kobiecych w walce o równe prawa oraz zdusić rodzącą się dopiero demokrację. Żądamy od odpowiedzialnych władz przykładnych sankcji w celu położenia kresu tym faszystowskim akcjom w naszym kraju. W obliczu zagrożenia, wzywamy wszystkich obywateli, Ligę Obrony Praw Człowieka, partie polityczne, do odpowiedzialności i do złączenia się w walce z przejawami faszyzmu w naszym kraju".

** W Ouargla (miasto wojewódzkie) podpalono, po uprzednich pogróżkach, mieszkanie kobiety rozwiedzionej, bez żadnych środków do życia, mającej na utrzymaniu kilkoro dzieci. Kobieta starała się zapewnić jakoś byt swojej rodzinie, uznano ją za „nieporządną" i wydano na nią wyrok śmierci. Mały Ali spłonął żywcem w płomieniach. Pozostali członkowie rodziny cudem uniknęli śmierci.

Mikrofon krzyczy. Kobiety mówią bez kartek, odważnie, wspaniale dobierając słowa. Mówią wyłącznie po francusku. Siedzę pięć godzin dosłownie z otwartymi ze zdumienia ustami. Jak to jest możliwe? Z jednej strony tyle wspaniałych, mądrych kobiet, a z drugiej ten kodeks rodzinny, który został zatwierdzony w 1984 roku przez Zgromadzenie Narodowe*. Dzisiejsze zebranie kobiet ma na celu jedną rzecz - obalenie tego kodeksu rodzinnego odpowiedzialnego za aktualną sytuację kobiet. „Mur berliński runął - krzyczy jedna z mówiących - dlaczego nie może runąć ten haniebny kodeks?"

* Nic dziwnego, skoro skład Zgromadzenia stanowili prawie wyłącznie mężczyźni. Ale, jak wspaniale napisała jedna z algierskich dziennikarek, ci mężczyźni, którzy w ciągu kilku godzin uchwalili ten haniebny dokument, zapomnieli o tym, że oni także mają matki, córki, siostry...

Przewijają się przed mikrofonem mówiące. Opowiada jedna z nich:

- Po dwudziestu latach małżeństwa mąż wystąpił o rozwód. Jako powód podał fakt, że znalazł w szafie źle wyprasowaną jedną ze swoich licznych koszul. Rozwód otrzymał. Nikt mnie nie pytał o zdanie. Dostałam od prokuratora wezwanie do opuszczenia z dziećmi mieszkania. Dokąd pójdę? Przecież w tym mieszkaniu każda łyżka, każda serwetka i kwiatek to moja praca. A czwórka dzieci? Jaką im zapewnię przyszłość?

Następna mówczyni:

- W szkole podstawowej już od pierwszej klasy rozdziela się dziewczynki i chłopców. Osobno, nie ma klas koedukacyjnych. Zaprotestowałam. Zwolniono mnie po 20 latach pracy zawodowej.

I jeszcze jedno ciekawe przemówienie.

- W szkole już od pierwszej klasy kształtuje się przyszłą pozycję kobiety w społeczeństwie. Usunięto zajęcia techniczne dla dziewcząt, zastąpiono je kucharstwem i krawiectwem. Zmniejsza się liczbę godzin lekcyjnych języków obcych starając się wyeliminować język francuski. Kobiety częściej wysyłane są na emeryturę. Zdarzają się zwolnienia kobiet w czasie urlopu macierzyńskiego, a przecież jest to podstawowe prawo kobiety i urlop ten powinien być traktowany na równi z urlopem wypoczynkowym lub zwolnieniem lekarskim. Karanie kobiet z tego powodu nie może być tolerowane i stawia pod znakiem zapytania wszystkie nabyte przez pracownicę prawa.

Wiele jeszcze mądrych i wspaniałych przemówień słyszę na tej sali. Zgromadzenie kończy się wystosowaniem do rządu petycji z żądaniami reform i unieważnienia kodeksu rodzinnego. Patrzę na ten inny świat, świat w „świecie" i nie wiem, czy dzisiaj jestem naprawdę w Algierii, czy może przeniesiono mnie do innego państwa, w inną rzeczywistość. Trudno uwierzyć, że istnieją takie kobiety, mając przed oczami obraz Zoubidy i jej synowej Maliki. Nie do wiary, że w tym kraju jest tyle mądrych ludzi. Ale mądrzy ludzie są w takiej samej proporcji we wszystkich krajach - to była teoria Wiktora. Jestem oszołomiona. Zbyt dużo wrażeń jak na jeden dzień.

Wracam do domu około 20^{00}, odwożą mnie przyjaciółki Maguy. Wchodzę jak do wymarłej, zimnej piwnicy. Ciemno. Wszędzie pełno wody po południowej ulewie.

- Sonia, Riad! - wołam.

Słyszę pochlipywanie w kącie. Są oboje.

- Co się stało? - pytam.

Dzieci opowiadają mi z płaczem o wszystkim. Belaici wtargnęli do mieszkania i zabrali butlę gazową oraz przygotowane dla nich jedzenie. Zabrali też świece i zapałki. Dzieci są zmarznięte i przemoczone. Nic nie jadły całe popołudnie. Robi mi się słabo, świat wiruje przed oczami. To już koniec, nie jestem już w stanie zapanować nad swoim ciałem i umysłem. Czuję bijące serce, ale wydaje mi się, że jest to organ jak gdyby poza moim ciałem, które zostało opętane przez coś nie znanego, a umysł został doprowadzony do szaleństwa. Wybiegam z domu. Na szczęście jest jakaś taksówka.

- Błagam, szybko do szpitala!

Moje ciało od środka chce się rozerwać na strzępy. Wewnątrz mam jakąś bombę, która mnie rozsadza. Oblewa mnie zimny pot. Ręce i nogi mam jak z lodu. Tracę w nich czucie.

- Prędzej, prędzej - ponaglam kierowcę.

Dojeżdżamy pod samą izbę przyjęć w szpitalu Mustapha. Ciemno, brudno. Pełno czekających ludzi, ale lekarz jest. Jacyś pielęgniarze, sanitariusze. Powtarzam w kółko: „O Boże, nie wytrzymam, nie mogę".

Błagam, żeby przyjęli mnie bez czekania. W końcu litują się i przyjmuje mnie lekarz. Bada mnie dosyć dokładnie.

- To nerwy siadły - oznajmia. - Dam pani zastrzyk uspokajający.

Lekarz przeciera skórę przedramienia spirytusem. Wata robi się czarna, ale on dyskretnie udaje, że tego nie widzi. Jestem brudna! Ileż to już tygodni się nie kąpałam? A moje włosy? Są jak strąki. I ja tak chodzę? Ta refleksja plus zastrzyk sprowadzają mnie na ziemię, uspokajam się. Wracam do domu taksówką. Dzieci płaczą. Kładę je do łóżka, ale sama zasnąć nie mogę. Która to już bezsenna noc? Nie policzę. Tak zaczęła się moja choroba, której nawroty, jak powiedział mi lekarz, będą się pojawiały już do końca życia. Jedyną możliwością ich uniknięcia byłoby stworzenie sobie komfortowych, bezstresowych warunków życia. Czy będzie to możliwe?

Nagonka rodziny Belaici trwa nadal, przybierając coraz to bardziej drastyczne formy. Boję się zostawiać dzieci, bo każda moja nieobecność w domu powoduje jakiś dramat. Na moich oczach nie mają odwagi krzywdzić dzieci. Jeżeli mnie nie ma, dzieci są opluwane, kopane, popychane i wyzywane. Nie puszczają ich do szkoły.

Zaczyna się ostatni atak Belaici. Kilkakrotnie po przyjściu z miasta zastaję zabarykadowane drzwi do podwórka. Nie mogę wejść do domu. Muszę udać się na policję, która przywozi mnie radiowozem i wprowadza do mieszkania. Po ich kolejnej interwencji zostaję odesłana do prokuratora (znowu nowy!), od którego otrzymuję decyzję stwierdzającą, że Belaici nie mają prawa blokować mi wejścia do domu. Doręczona przez policję decyzja działa na Zoubidę jak płachta na byka.

- Co, prokurator będzie mi tu coś nakazywał? Nigdy!

Następnego dnia po przyjściu z miasta zastaję drzwi zabarykadowane, a Zoubida wykrzykuje mi, że dzieci odesłała do ich ojca. Ona mi teraz pokaże prokuratora, niech no tylko zjawię się z policją, ona już nam wszystkim pokaże! Tak więc znalazłam się dosłownie na ulicy, brudna, głodna, nawet bez ubrania na zmianę. Znowu wracam na policję. Wszyscy mają już dosyć tych awantur. Nawet wrogo nastawieni do mnie

„przedstawiciele władzy" są zmęczeni tą sytuacją. Ostatnio nic nie robią, tylko zajmują się moją sprawą. Okazuje się, że przed chwilą wyszedł z policji Yacine z dziećmi. A raczej został wyrzucony! Jednak! Zrobił to Nourreddine i Touafik. Yacine przyszedł z awanturą oznajmiając, że Belaici wyrzucili dzieci na ulicę i nie pozwalają im wejść do domu zabrać swoich książek i ubrań. Oskarżył policję o współpracę z Belaici. Tego było już za wiele. Nourreddine i Touafik po prostu wzięli go za frak i wypchnęli na zewnątrz budynku. Trzej policjanci wsiadają ze mną do furgonetki i jadą do Belaici. Drzwi wejściowe na podwórko są zabarykadowane. Policjanci nie dają za wygraną i walą w furtkę. Dosyć długo. Wreszcie otwiera im Zoubida, za którą stoi jej pięciu bandziorów. Zoubida krzyczy histerycznie:

- Nie wpuszczę jej, nie wpuszczę! To moje mieszkanie, to moje mieszkanie!

Zaczyna rwać sobie włosy z głowy i pada na ziemię jak nieżywa. Na to jej pięciu synów z minami nie wróżącymi nic dobrego, z groźnymi pomrukami, rusza w naszym kierunku. Widzimy, że sytuacja zaczyna być groźna, wycofujemy się do furgonetki i wracamy na komisariat. Jest mi już wszystko jedno. Stawiam wszystko na jedną kartę.

- Słuchajcie - mówię do zgromadzonych policjantów. - Na waszych oczach - przedstawicieli prawa - wyrzucono mnie na ulicę i odebrano dzieci. Decyzja prokuratora w waszym kraju nic nie znaczy. Decyzja sądowa również. To Belaici są „prawem" w Algierii. Pytam, czy także zgodnie z tym prawem zabrali cały mój życiowy dorobek? Nie mogę wejść, ażeby odzyskać swoje rzeczy. Więc oficjalne złodziejstwo jest również usankcjonowane w waszym kraju prawem? Przecież u Belaici pozostał mój kilkunastoletni dorobek, a raczej jego resztki zostawione przez Yacine! Stoję przed wami brudna i nie mam nawet majtek na zmianę. Przysięgam wam, że jeżeli tego nie załatwicie, moi francuscy przyjaciele opłacą mi bilet do Francji i sprowadzą wam tutaj na głowę wszystkie stacje telewizyjne! - krzyczę już. - Draństwo, chamstwo, bezprawie!

Mówię to, choć nie muszę. Jest oczywiste, że mam stuprocentową rację.

- Pytam was, gdzie mam spać?

Widząc moją zdeterminowaną, gotową na wszystko postawę, nawet szef usiłuje załagodzić sytuację.

- Niech pani idzie gdzieś do przyjaciół na kilka dni, a my w tym czasie postaramy się uregulować sprawę z Belaici i pani mężem.

Nie mam gdzie spać. Dzwonię do Marii.

- Niemożliwe - odpowiada - mój mąż się nigdy na to nie zgodzi. Dzwonię do Doroty.

- Możesz przyjechać - oświadcza.

Jadę do Doroty, gdzie w końcu, po wielu tygodniach, biorę prysznic i zasypiam kamiennym snem. Rano Dorota oświadcza mi, że mam sobie pójść, bo taka jest decyzja jej męża - jego dom nie jest hotelem dla pozbawionych dachu nad głową rozwódek. Dokładnie zapamiętałam te słowa. Muszę więc rano opuścić ten „gościnny" dom. Nie mam się gdzie udać. Pozostaje mi, jak zawsze, Maguy. Idę na pocztę. Moje ubranie jest brudne i zbyt lekkie na taki ziąb.

- Anno! Tragicznie wyglądasz! - woła na mój widok Maguy i już jej nic nie muszę tłumaczyć, już wie, co się stało.

- Niech ich krew zaleje i piekło pochłonie! - przeklina pod nosem Maguy. - A co twoje koleżanki - Maria i Dorota? Przecież mają mężów na wysokich stanowiskach! Nic nie mogą dla ciebie zrobić?

Powtarzam słowa, które usłyszałam.

- No tak, oni wszyscy żyją według zasady: Bóg dla wszystkich, a każdy dla siebie - podsumowuje z goryczą.

Maguy zostawia pracę i po prostu zabiera mnie do swojego domu, gdzie spędzam kilka dni. Jej córka Mina oddaje mi swoje łóżko, a sama śpi na podłodze. Mieszkanie jest małe, wiem, że nie będę mogła tu długo zostać. Przez te kilka dni Maguy i cała jej rodzina opiekuje się mną niezwykle serdecznie.

- Pamiętaj Anno, że jeżeli ty padniesz - marny będzie los twoich dzieci. Pamiętaj, że od twojego życia zależy ich życie, nie możesz się poddać i załamać.

Maguy jest przy mnie cały czas, do pracy wychodzi na krótko. Pilnuje, żebym nie zrobiła głupstwa, walczy o to, żebym nie załamała się nerwowo. Ma na głowie cały dom, czwórkę dzieci i jeszcze mnie z moimi problemami.

- Nie martw się, Anno, znajdziemy rozwiązanie! To tylko kwestia czasu. Pamiętaj, że czas będzie pracował na naszą korzyść, tylko żeby twoje zdrowie nie wysiadło! - bez przerwy powtarza mi Maguy. - Nie myśl o dzieciach, są u swojego ojca i z głodu nie zginą, najwyżej dostaną jeszcze jedną życiową nauczkę, z której, jeżeli będą mądre, wyciągną odpowiednie wnioski.

Łatwo powiedzieć - nie myśl o dzieciach. To one są racją mojego bytu. Zostały pozbawione najważniejszego - opieki matki i poczucia bezpieczeństwa. Jak chodzą do szkoły? Gdzie? Co jedzą? Gdzie i jak śpią? Te pytania nie dają mi spokoju. Muszę jednak zająć się sobą, pomoc Maguy przyszła w ostatniej chwili. Jeszcze moment dłużej takiego życia i wylądowałabym w zakładzie psychiatrycznym. Na całą resztę życia.

Maguy znalazła mi tymczasowe schronienie u swej przyjaciółki, Francuzki Sophie, mieszkającej niedaleko. Związana z Algierią, po jej wyzwoleniu pozostała tu na stale i uczy języka francuskiego. Ma małe mieszkanko, przez które przewija się tłum ludzi, Sophie bowiem jest niezwykłą kobietą i ma dużo przyjaciół. Samotna pani około sześćdziesiątki, bardzo serdeczna, o szczupłej budowie ciała i krótko obciętych, prostych włosach. Wiem, że nie będę mogła zostać u niej na dłuższy okres, ale jest mi bardzo dobrze. Sophie opiekuje się mną jak dzieckiem. Stara się, ażebym chociaż na chwilę zapomniała o mojej sytuacji, gotuje mi wspaniale rzeczy.

Sophie, rodzina D., Pierre, Halima

Zbliża się Boże Narodzenie - jakże smutne Boże Narodzenie 1989 roku! Gdyby moi rodzice chociaż w części zdawali sobie sprawę z mojego położenia, chyba by tego nie przeżyli. Jak mogę im o tym wszystkim napisać? Dobrze, że w Algierii żyją jeszcze Francuzi, że tak silna jest ich społeczność, że zawsze można na nich liczyć!

Maguy i Sophie zabierają mnie na uroczystą mszę do kaplicy Sacré Coeur, położonej w centrum Algieru. Po raz pierwszy uczestniczę w nabożeństwie odprawianym w języku francuskim. Kaplica jest bardzo okazała architektonicznie, o pięknym wystroju. Nabożeństwo odbywa się z udziałem licznie zgromadzonych księży. Katedra zapełniona jest chrześcijanami różnych narodowości i kolorów skóry. Następuje uroczyste składanie sobie życzeń. *Monseigneur** T., Francuz, głowa kościoła katolickiego w Algierii, składa nam życzenia radosnych świąt Bożego Narodzenia. Po nim zbliżają się do mikrofonu przedstawiciele poszczególnych państw, którzy składają życzenia w swoich językach. Są również życzenia po polsku. To jedna z polskich sióstr, pełniąca swą chrześcijańską misję w Algierii, składa wszystkim Polakom życzenia spokojnych świąt Bożego Narodzenia. Msza przerywana jest muzyką. Młody skrzypek gra przepiękne, klasyczne utwory mistrzów. I to jak gra! Chce mi się wyć z rozpaczy. Łzy jak groch toczą się po mojej twarzy. Po mszy idziemy na uroczysty obiad do domu diecezjalnego na Hydrze. Tak poznaję *Groupe d'Amitié***, która działa przy kościele katolickim pod kierunkiem wspaniałego francuskiego księdza G., który jest nie tylko wybitnie interesującym człowiekiem, ale również bardzo przystojnym mężczyzną.

* Jego wielebność.

** Grupa Przyjaźni.

Pomaga mu ksiądz B., też Francuz. Grupa Przyjaźni to kilkadziesiąt cudzoziemek, żon Algierczyków, głównie Francuzek. Ale są też Niemki, Belgijki, Szwajcarka, Austriaczka, Czeszka, Jugosłowianka. Spotkania odbywają się raz w miesiącu. Porusza się na nich wszystkie tematy, łącznie z problemami głęboko osobistymi. W spotkaniach uczestniczą tylko kobiety. Szczególnie uroczyście jest z okazji świąt Bożego Narodzenia i Wielkanocy. Zgodnie z tradycją Grupy każda przygotowuje narodową potrawę swojego kraju oraz jakiś wypiek i organizuje się wspólny poczęstunek. Potem jest śpiewanie kolęd, a następnie wspólna zabawa. Maguy poznaje mnie ze wszystkimi uczestniczkami naszej grupy. Są dla mnie niezwykle serdeczne. Patrzę na bogato zastawiony stół, uginający się od jedzenia. Nie mogę nic przełknąć. Po uroczystym obiedzie, przy kawie i ciastkach rozpoczynamy śpiewanie kolęd. Jest *monseigneur T.* oraz dwaj księża - opiekunowie grupy - ksiądz G, i ksiądz B.

- No to kto zaśpiewa nam na początek kolędę w swoim języku?
- Anna, Anna! - odzywają się głosy.

Jestem zażenowana. Nigdy nie śpiewałam przed takim dużym audytorium. Zaczynam *Jezu malusieńki.* W połowie dołącza do mnie Czeszka, która śpiewa tę kolędę w swoim ojczystym języku. Ma mocny, dźwięczny głos. Dostajemy duże brawa. Tak mija nam popołudnie. A wieczorem u Sophie spotykają się jej najbliżsi przyjaciele - w większości Francuzi. Poznaję wspaniałych ludzi, żyjących jak jedna wielka rodzina. Sophie przygotowała bardzo smaczne dania. Wieczory Bożego Narodzenia spędzane w tym gronie są tradycją. Pada propozycja, aby umieścić mnie u Pierre'a, mającego niezłe warunki mieszkaniowe. Jest to Francuz, nauczyciel. Jego dzieci i żona obecnie przebywają we Francji, będę więc miała u Pierre'a dobre warunki. Pozostaje mi tylko skontaktowanie się z nim. Na przyjęciu jest kilkanaście osób i wszyscy są zgodni co do tego, że mogłabym zamieszkać z Pierre'em. Nikomu jakoś nie przychodzi na myśl, że ja jestem kobietą, a on mężczyzną. Po prostu ludzie ci nie widzą nic złego we wspólnym zamieszkaniu kobiety i mężczyzny. W środowisku Algierczyków byłoby to nie do przyjęcia. Rozwódka i samotny mężczyzna razem w jednym domu, to bezczelna obraza moralności! Tymczasem oni wszyscy są zgodni - Anna powinna zamieszkać u Pierre'a. Dzięki im za ten wspaniały stosunek do sprawy.

Kończy się jakże smutne dla mnie i jakże zarazem wspaniale Boże Narodzenie. Gdyby nie mój tragiczny los, czyż dane by mi było spotkać tych wszystkich niezwykłych ludzi, którzy wyciągnęli do mnie rękę? Jestem zauroczona społecznością francuską, mieszkającą w Algierii. Ileż w niej ciepła i chęci niesienia pomocy drugiemu człowiekowi! Jakże bogate i silne osobowości! Poznaję Anne i Margot, z którymi od razu znajduję wspólny język. Teraz wcale się nie dziwię, że Polskę i Francję zawsze łączyły więzi przyjaźni. Nie sposób nie polubić tych ludzi, mamy jakieś wspólne cechy, które nas ogromnie ze sobą łączą i przyciągają do siebie. Jak to dobrze, że udało mi się ich poznać, czuję się silna i bezpieczna w tym wspaniałym otoczeniu.

Mijają dni. Zanim wprowadzę się do Pierre'a, który mieszka na przeciwległym krańcu stolicy, muszę wziąć się w garść i doprowadzić do porządku moje sprawy z Belaici. Nie mam się w co przebrać, więc Sophie pożycza mi ciągle swoje ubrania.

Idziemy z Maguy na policję, która oświadcza, że mogę wejść do domu Belaici i zabrać swoje rzeczy. Boję się iść sama, towarzyszy mi więc Maguy. Drzwi na podwórko od strony warsztatu wulkanizacyjnego są otwarte. Synalkowie Zoubidy stoją przed warsztatem. Mierzą nas pełnymi nienawiści spojrzeniami. Nikt nas jednak nie zatrzymuje. Wchodzimy na podwórko. Moim oczom ukazuje się straszny widok. Wszystko, co było w domu, zostało po prostu wyrzucone na zewnątrz w okropnym bałaganie. Meble wyniesione, telewizor rzucony byle jak, po całym podwórku poniewierają się moje osobiste rzeczy, wśród których buszują dzieciaki Mohameda, nieźle się bawiąc i niszcząc wszystko, co im wpadnie w ręce. Patrzę na żałosne resztki mojego dobytku i tego, co czuję, nie da się opisać.

- Anno, daj spokój! To są tylko rzeczy materialne, myśl o sobie - powtarza bez przerwy Maguy, widząc moją zmienioną twarz.

Staramy się uporządkować porozrzucane przedmioty, ale okazuje się to niemożliwe. Tutaj potrzeba tygodnia pracy. Rezygnujemy więc i wracamy do domu. W nocy znowu ogarnia mnie ten dziwny stan. Moje

ciało rozsadza jakaś złowroga siła, chce mi się krzyczeć, boję się okropnie, cała jestem zlana potem. Sophie siedzi ze mną do drugiej w nocy, wreszcie widzi, że mój stan jest krytyczny, więc wsadza mnie do swojego samochodu i wiezie do szpitala Parnet. Natychmiast robią mi EKG. Pomimo że jest druga w nocy, zostaję dokładnie przebadana przez dwóch lekarzy. Diagnoza brzmi: zaburzenia podstawowych funkcji organizmu na tle nerwowym.

- Proszę pani, jest to choroba, która będzie powracać do końca życia. Jedynym lekarstwem jest spokój. Wtedy można mieć nadzieję, że kolejne nawroty przybiorą łagodniejszą formę. A więc spokój i tylko spokój mogę pani zalecić! - mówi zatroskany lekarz.

Potwierdza się wcześniejsza diagnoza, wystawiona przez lekarza ze szpitala Mustapha. Dostaję domięśniowy zastrzyk wapna, który chwilowo pomaga. Wracamy do domu. Sophie czuwa przy mnie do rana. Potem zwalnia się na kilka godzin z pracy, żeby zostać ze mną. Wydaje mi się ciągle, że spadam w jakąś przestrzeń bez dna i bez końca. Żyję jak w letargu, z którego budzę się po kilku dniach, ażeby znowu uświadomić sobie moje położenie bez wyjścia. Myślę o tym, co się dzieje z dziećmi. W jaki sposób uporządkować mój dorobek, który został u Belaici? W jaki sposób uregulować mój stosunek z ostatnim zakładem pracy? Ciągle zadaję sobie pytanie, czy istnieje jeszcze w tym kraju jakiś oficjalny urząd, do którego mogłabym zwrócić się o pomoc?

* * *

Dnia 23 grudnia 1989 roku wysyłam listy polecone z potwierdzeniem odbioru do następujących algierskich instancji: ministra sprawiedliwości, ministra spraw zagranicznych, ministra spraw wewnętrznych, wojewody Algieru. Proszę o interwencję, dokładnie przedstawiając moją sytuację. Proszę o umożliwienie mi wyjazdu w dziećmi. Z naiwną wiarą oczekuję pomocy. Daremnie. O żadnej interwencji nie ma mowy. Mało tego - nikt nawet nie fatyguje się, żeby mi odpisać, a wiem, że wszyscy adresaci

otrzymali moje listy, bo dostałam potwierdzenia odbioru. Jak zwykle jedyną „instytucją", na której wymierną pomoc mogę liczyć, jest w tym kraju społeczność francuska, a konkretnie - Maguy i Sophie.

Całą siłą woli próbuję doprowadzić do porządku swoje ciało i umysł. Muszę wziąć się w garść - powtarzam sobie bez końca i to mi ostatecznie pomaga.

Maguy i Sophie załatwiają mi jedno pomieszczenie w kaplicy na Vieux Kouba.

- Możesz tam złożyć wszystko, co zechcesz, a resztę trzeba sprzedać! - oświadczają. - Ale zanim to zrobisz, poproś kogoś z merostwa z Kouby o spisanie protokołu twojej sytuacji. Powiedz, że Belaici wyrzucili cię wraz z dziećmi i rzeczami na ulicę.

Jeszcze raz udaje mi się przekonać panią z merostwa, ażeby poszła ze mną zobaczyć, gdzie znajdują się moje rzeczy i stwierdzić, że zostałam pozbawiona dachu nad głową. Ta sama urzędniczka była już wcześniej u mnie, ażeby stwierdzić, iż rodzina Belaici wymontowała mi okna, odcięła gaz i światło. Wystawiła mi stosowne zaświadczenie. Udaje mi się wprowadzić ją na podwórko Belaici, którzy sądzą chyba, że jest to jeden z potencjalnych nabywców mojego „dobra". Urzędniczka dyskretnie rejestruje wszystko wzrokiem. Wychodzimy bez przeszkód.

Na drugi dzień otrzymuję urzędowe pismo na firmowym blankiecie, stwierdzające zaistniałe fakty. Te dwa dokumenty mają dla mnie bezcenną wartość. Są dowodem przestępstwa, popełnionego przez rodzinę Belaici, a zarazem świadczą o słabości algierskiego prawa, skutecznie ignorowanego przez pewne grupy obywateli, czujące się bezkarnie.

Codziennie chodzę do tego znienawidzonego domu, ażeby doprowadzić do porządku swój dobytek. Sortuję, układam, myję meble. Brakuje mnóstwa rzeczy. Muszę sprzedać z tego, co jeszcze zostało, jak najwięcej, ponieważ czekają mnie ciężkie miesiące bez pracy i tysiące spraw do załatwienia.

Maguy znajduje mi klientów, którzy kupują komplet foteli wypoczynkowych, grzejnik gazowy, obrazy. Komplet mebli sypialnych

bierze Maguy, nieźle mi za niego płacąc. Cieszę się, że te meble trafiły do niej, są solidne i z drewna. Pomimo najkorzystniejszych transakcji uzyskuję sumę, która zapewnia nam utrzymanie tylko na kilka miesięcy. Jest to ochłap rzucony mi przez Yacine po trzynastu latach małżeństwa nie dlatego, że taka była jego wola, lecz dlatego, że po prostu nie zdołał uporać się na czas z zabraniem mi absolutnie wszystkiego.

Maguy pomaga mi sprzątać i porządkować, ale nie zawsze może być ze mną. Wtedy, kiedy jej nie ma, mojej pracy przygląda się cała rodzina Belaici, tak jak gdybym miała im coś ukraść. Śmieją się ze mnie i ubliżają mi, używając wulgarnych przezwisk. Przoduje w tym Amine.

Któregoś dnia widzę na podwórku przechodzącego Mohameda. Zastępuję mu drogę.

- Słuchaj złodzieju, gdzie podziały się wszystkie moje elektryczne roboty kuchenne, mikser, garnki, pościel, firanki, nakrycia na łóżka, leżaki? Były tu jeszcze kilka dni temu! Nawet choinkę ukradliście! Gdzie to wszystko jest?

- Zamknij mordę ty polska k... i s... do swojego kraju! A co, myślałaś, że podarujemy ci to, że mieszkałaś u nas za darmo? - odzywają się cynicznie Youcef i Amine. - Nie ma nic za darmo, u nas wszystko kosztuje, trzeba płacić, płacić, płacić! - śmieją się oba bandziory.

- Pójdę z tym do prokuratora! - odpowiadam w bezsilnej złości.

Cała rodzina Belaici wybucha śmiechem.

- Tutaj mamy twojego prokuratora! No, zobacz sobie, zobacz! - i wymownie pokazują ręką.

Uczestniczy w tym wszystkim Malika, z prawdziwą zajadłością i cynicznym uśmiechem rzucając najzłośliwsze uwagi pod moim adresem. Oto następne ofiary kodeksu rodzinnego: Zoubida i Malika. Wszystkie inne racje oprócz racji osobistych są im obce. Kobiety te nie potrafią kochać, bo nigdy w życiu miłości nie zaznały, potrafią tylko nienawidzić. Są przeznaczone tylko do spełnienia biologicznej funkcji w społeczeństwie. Ofiary zacofania i głupoty, które sieją zło i zniszczenie. Czują się szczęśliwe i zadowolone, że udało im się zabrać wszystko to,

czego mi tak bardzo zazdrościły: pięknej, zwożonej całymi latami z Polski pościeli, którą widziały od czasu do czasu wywieszoną na sznurku, pięknych nakryć na łóżka, także z Polski, które dodawały uroku całemu domowi, firanek, robotów, które tak bardzo ułatwiały mi życie, i wielu innych drobiazgów, niezbędnych w dobrze funkcjonującym gospodarstwie domowym.

Teraz Zoubida będzie mogła wyposażyć na nową drogę życia swojego ukochanego syna Nasera. Ta „święta" kobieta, która była w Mekce, zabrała mi wszystko jako rekompensatę za dwa miesiące mojego mieszkania u niej bez zapłaty. Ale wypiera się wszystkiego, bo doskonale zdaje sobie sprawę, że jest to złodziejstwo. Oficjalnie mówi, że sprzedałam te rzeczy wraz z innymi. Nie potrafię udowodnić prawdziwości moich słów, pozostawiam wszystko do rozstrzygnięcia Allahowi.

Muszę załatwić transport, żeby przewieźć resztę dobytku do kaplicy. Pomaga mi koleżanka z ostatniego zakładu pracy, Samia. Jej ojciec ma bagażówkę, mieszkają niedaleko Belaici. Ojciec Samii przewozi mi wszystko do kaplicy za darmo, pomagając przy tym załadować i wyładować rzeczy. Jest bardzo uprzejmy. Przy okazji dowiaduję się od Samii, że chce mnie widzieć dyrekcja mojego zakładu, czyli obaj panowie H. i Ch. Nareszcie! Do zakładu wchodzę bez problemu. Idę do mojego biura.

- Gdzie Dalila? - pytam.
- Zwolniła się, nie mogła na to wszystko patrzeć - słyszę od kolegów.

Obaj panowie H. i Ch. już na mnie czekają. Jest jeszcze szef pracowni architektów, który ma być świadkiem naszej rozmowy. Ach, czegóż w niej nie ma - krętactwa, matactwa, żadnej prostej, logicznej myśli, chociaż wszyscy i tak wiemy, o co chodzi. Obaj panowie dyrektorzy doskonale zdają sobie sprawę z tego, co ja o tym wszystkim myślę i jaki jest mój stosunek do nich. Ja wiem, jaką opinię mają o mnie. Ale trzeba z tego wybrnąć tak, żeby nic nie powiedzieć, to znaczy trzeba mówić bardzo dużo, ale nic nie może z tego wynikać.

Rozmowa trwa dwie godziny i kończy się konkluzją, że muszę odejść, bo innej rady nie ma. Mogę wreszcie uporządkować swoje

biuro, zabrać książki i rzeczy osobiste. Dostaję oficjalne zwolnienie, obaj panowie cofają w stosunku do mnie zarzut złodziejstwa. Muszę obiektywnie dodać, iż pomimo że nie chodziłam dosyć długo do pracy, z powodu zakazu wstępu, otrzymałam wynagrodzenie aż do końca kontraktu plus wynagrodzenie za przysługujący urlop, co mi się bardzo przydało. W momencie, kiedy zdecydowałam się odejść i przestałam walczyć o pozostanie w zakładzie - poszli mi na rękę.

Uff, mam więc załatwione dwie bardzo ważne sprawy. Pozostała teraz sprawa dzieci.

* * *

Idę do szkoły Soni. Jest akurat przerwa, wszyscy uczniowie są na podwórku. Córka, widząc mnie, biegnie krzycząc z daleka:

- Mamo, mamo! Gdzie byłaś tak długo? Co się z tobą działo? Patrzę na jej wymizerowaną postać.

- Miałam problemy. Opowiadaj, co u was?

- Mamo, czy wiesz, że tata się ożenił i mieszka u babci ze swoją nową żoną, która jest w ciąży?

Biedna Sonia. Nie chciałam jej nic mówić o tym, co zrobił jej ojciec po złożeniu dymisji w zakładzie w S. Wiedziałam już wcześniej, że podjął pracę w Médéi, małej miejscowości położonej dziewięćdziesiąt kilometrów za Algierem. Dostał tam mieszkanie zakładowe. W ten sposób postawił mnie i dzieci w sytuacji bez wyjścia. Bo przecież, nawet mając wyrok sądowy dający mi prawo do mieszkania, nigdy nic udałoby mi się przejąć dla mnie i dzieci mieszkania zakładowego w Médéi. A nawet gdyby, to Yacine natychmiast by się zwolnił, tłumacząc się brakiem mieszkania. Wtedy by mi je odebrano. Zakładając nierealnie, że udałoby mi się jakoś utrzymać to zakładowe mieszkanie, gdzie znalazłabym pracę w takiej miejscowości jak Médéa? Niemożliwe. A więc Yacine realizował konsekwentnie plan odebrania mi dzieci, zrujnowania mego zdrowia fizycznego i psychicznego i zmuszenia mnie do powrotu do Polski z przysłowiową jedną walizką. No cóż, nawet najbardziej przemyślany

plan może wziąć w łeb, szczególnie wtedy, kiedy jest budowany na cudzym nieszczęściu. Po miesiącu pracy w Médéi Yacine został wyrzucony z zakładu z wielkim hukiem, a mieszkanie zostało mu odebrane. Był już wtedy żonaty. Nie mając innego wyjścia, zamieszkał wraz z żoną u brata w Badjarah.

- Wiesz, ona jest wyższa od niego i bardzo młoda - dodaje Sonia.
- No dobrze, ale jak wy się czujecie?
- Mamo, szuka cię szkoła Riada. Coś chyba jest nie w porządku. Idź, zobacz, co się dzieje.
- Soniu, powiedz mi, jak wy sobie radzicie? - pytam.

Córka spuszcza głowę.

- Ja już dłużej nie wytrzymam - prawie płacze. - Tam jest taki szum, że w ogóle nie mogę się skupić, żeby się uczyć. Śpimy na podłodze. Wydzielają nam jedzenie, dostajemy jedną pomarańczę dziennie, mięsa nie jemy wcale, tylko codziennie groch, fasolę, soczewicę, makaron - tak na zmianę. Ostatnio z Riadem strajkowaliśmy.
- Jak to strajkowaliście? Co to znaczy?
- Gdy nam dawali na obiad bób, fasolę, groch lub soczewicę, to nie jedliśmy i kazaliśmy im sobie to zabrać. Mówiliśmy wtedy, że chcemy jeść mięso, kurczaka lub ryby, tak jak u mamy.
- I co, skutkowało?
- Gdzie tam! Madina zabierała nam talerze, a tata mówił wieczorem, że on też tak się wychował, na bobie i fasoli, też spał na ziemi, więc my nie jesteśmy lepsi, bo jesteśmy u niego, a nie u swojej matki.
- I co jedliście na obiad? - chcę wiedzieć.
- Nic. Chodziliśmy głodni, ale w końcu musieliśmy zacząć jeść, bo inaczej nie przeżylibyśmy.

Liczę w myślach, ile osób mieszka w tym małym, trzypokojowym mieszkanku o powierzchni trzydziestu kilku metrów kwadratowych: teściowa, Madina, Salem z żoną i ich dwoje dzieci, Yacine z żoną, Sonia, Riad. Dziesięć osób!

- Mamo, ojciec nam kazał mówić na swoją żonę - mama. A Madina, jak tylko przyjdę pięć minut później ze szkoły, to pokazuje, no wiesz co, i mówi, że wyrosnę na taką samą k... jak ty.
- No, a jak wy chodzicie do tej szkoły? - pytam Sonię.

- Mamo, to jest tragedia! Musimy rano sami iść kawał drogi z Badjarah do szkoły, a jest ciemno i przeważnie leje deszcz. Jeśli mam zajęcia później, to Riad musi iść sam, a to jest niebezpieczne. Przecież znasz drogę, nie ma chodników, trzeba iść po jezdni i kilka razy przechodzić przez nią, gdzie jak szalone pędzą samochody. Cztery razy dziennie!

No tak. Rano do szkoły. Potem jest dwugodzinna lub dłuższa przerwa i trzeba wrócić do domu na obiad, a następnie przyjść na zajęcia popołudniowe. I biedny siedmioletni Riad sam codziennie cztery razy pokonuje kilkukilometrową drogę do szkoły i z powrotem. Ojciec nie troszczy się o zapewnienie bezpieczeństwa swojemu synowi, o którego tak uparcie walczy.

W szkole Riada również trafiam na przerwę. W tłumie dzieci dostrzegam syna, ogromnie zmienionego. Głowa nabrała kwadratowego kształtu, oczy wychodzą z oczodołów - jednym słowem już z daleka widzę, że cierpi na odwodnienie organizmu.

- Riad, Riad!

Podbiegam do niego. Syn ucieka jednak z przerażeniem w oczach. Boi się mnie, czy nie poznaje? Co ten chory człowiek zrobił z dzieckiem w ciągu paru tygodni? Serce mam jak z ołowiu. Idę do wychowawczyni Riada.

- Proszę panią, od dawna pani szukam. Co się dzieje z pani synem? W ciągu kilku tygodni zmienił się nie do poznania. Nie może skupić uwagi na lekcji, jest bardzo nerwowy, ma wyraźne symptomy odwodnienia organizmu. Niech pani ratuje syna! - mówi mi nauczycielka, chociaż nie wie jeszcze, o co chodzi.
- Może mi pani napisać to, co pani przed chwilą powiedziała?
- Ależ oczywiście!

Nauczycielka pisze mi swoje spostrzeżenia. Rozmawiamy dłuższą chwilę. Wyjaśniam jej przyczyny zachowania Riada. Jest zaszokowana. Nic jednak na razie nie można zrobić. Syn nie chce mnie widzieć. Uciekł.

Wracam do Soni. Dowiaduję się od niej, że od kilku dni oboje z Riadem nie chodzą już na obiad do domu Yacine, tylko do państwa D. Są to Algierczycy, rodzice serdecznej przyjaciółki mojej córki. Mieszkają

niedaleko szkoły w małym domku z ogrodem. Dzielą go z jakąś dalszą rodziną. Mają do swojej dyspozycji trzy pokoje z dosyć obszerną kuchnią i dużym przedpokojem oraz łazienkę. Dowiedzieli się o zaistniałej sytuacji i postanowili pomóc dzieciom, chociaż sami są biedni. Mają piątkę małoletnich dzieci i jeszcze przygarnęli Riada i Sonię. Postanawiam zobaczyć się z panią D. Nie mogę obciążać tej rodziny kosztami wyżywienia moich dzieci.

- Czy ojciec wie, że jadacie obiady u państwa D.?
- Oczywiście, że wie.
- No i co, nie zaproponował tej rodzinie żadnej finansowej rekompensaty?

Sonia patrzy na mnie tak, jak na kogoś z innej planety. Ma rację. Nie czekam na odpowiedź. Pokazuje mi, gdzie mieszkają państwo D. Idę tam. Otwiera mi bardzo sympatyczna, ładna kobieta około czterdziestki. Przedstawiam się. Pani D. wita mnie niezwykle serdecznie. Jest szalenie gościnna. Wie, co nam się przytrafiło. Mówi, że nie może pogodzić się z tym, aby dzieci chodziły tyle kilometrów na obiad do domu, żeby aż cztery razy dziennie pokonywały tak niebezpieczną, daleką trasę. Będzie się nimi opiekować w przerwie obiadowej i dwa talerze więcej nie sprawią jej kłopotu. W domu państwa D. jest biednie, ale serdecznie i gościnnie. Daję pani D. pieniądze na obiady dla dzieci. Nie chce wziąć, ale upieram się, więc wreszcie bierze. Moja wdzięczność nie ma granic. Nigdy jej nie zapomnę tej troski i serdeczności. Pani D. obiecuje „wyciągnąć" Riada z jego obecnego stanu. Wiem, że zrobi wszystko, co będzie w jej mocy, ażeby na twarz syna wróciły rumieńce i żeby się zaokrągliła.

Wracam do Sophie. Jest mi bardzo ciężko na sercu, nie mogę zapomnieć widoku uciekającego przede mną Riada i jego zmienionej, kwadratowej głowy. Liczę na rodzinę D. i na Opatrzność Boską czuwającą nad tym chłopakiem.

Jeszcze parę razy przychodzę pod szkołę. Za każdym razem syn ucieka przede mną.

Umawiamy się z panią D., że przyjdę do nich w czasie obiadu, ażeby zobaczyć się z Riadem, że przygotują go na spotkanie ze mną. Jest to

dla mnie szalenie krępujące, bo na pewno pani D. zechce poczęstować mnie obiadem. Ale nie mam wyjścia. Z niecierpliwością czekam na ten moment, kiedy będę mogła uściskać syna. Wreszcie jestem. Riad bawi się w pokoju z synem pani D. Udaje, że mnie nie widzi, ale jest bardzo poruszony.

- No co, synku, jak ci leci? - pytam jak mogę najspokojniej.

I nagle Riad odwraca się i podbiega do mnie zanosząc się płaczem.

- Mamusiu, ja się boję sam chodzić rano! Mamusiu, oni mi nie dają jeść! Mamusiu, kiedy mnie zabierzesz?

Boże, patrzysz na to i nie grzmisz?! Nie mogę powstrzymać łez, tulę syna i nienawidzę siebie za swoją bezsilność. Przyrzekam sobie, że użyję wszystkich możliwych sposobów, ażeby wyciągnąć dzieci z tego bagna. Nie będę już przebierała w środkach w walce o ich życie. Czuję się bardzo silna w tym momencie, muszę być silna, mając przed sobą tego małego, płaczącego mężczyznę.

- Nie bój się - tłumaczę synowi. - Wszystko minie, zobaczysz, że już niedługo będziesz z mamusią.

Wyjaśniam mu, jakie środki ostrożności ma zachować, idąc rano do szkoły. Odczuwam paraliżujący strach na myśl, że może go spotkać jakieś nieszczęście.

Od tej chwili codziennie po południu przychodzę pod jego szkołę i wsadzam Riada do taksówki, która odwozi go do Badjarah. Wiem, że w południe ma zapewnioną opiekę pani D. Niestety, nie mogę synowi pomóc rano. Modlę się tylko, ażeby nic przytrafiło mu się coś złego. Włosy stają mi dęba z przerażenia, gdy pomyślę, że moje siedmioletnie dziecko wychodzi o siódmej rano, kiedy miasto spowija jeszcze ciemność (jest zima), i samotnie musi maszerować kilka kilometrów do szkoły ulicą pełną pędzących samochodów! I musi tę ulicę przeciąć! Nic nie mogę zrobić dla mojego syna, na razie jestem bezsilna.

* * *

Nadchodzi dzień mojej przeprowadzki. Żegnam się czule z Sophie. Pierre przyjeżdża po mnie swoim samochodem. Jest przystojnym, wysokim, dobrze zbudowanym mężczyzną. Może podobać się każdej kobiecie. Jedziemy do jego mieszkania położonego na drugim końcu stolicy. Piękne, duże, świetnie urządzone. Dostaję swój pokój i klucze. Pierre nie pyta mnie nawet o nazwisko. Ważne, że zna mnie Sophie i inni francuscy przyjaciele. Ma do mnie absolutne zaufanie. Często dzwoni jego żona przebywająca obecnie we Francji i nierzadko ja odbieram telefon. Pani X ma miły głos i nie zadaje żadnych pytań. Co za wspaniałe małżeństwo - oparte na zaufaniu i tolerancji! Mieszkając z Pierre 'em pod jednym dachem trzy miesiące, nigdy nie spotkałam się z najmniejszym niewłaściwym gestem z jego strony. Jest to wspaniały pedagog, uwielbiany przez młodzież, która licznie przewija się przez jego dom.

Pierre'a często nie ma, wyjeżdża ze swoimi uczniami, zostawiając mi dom do dyspozycji. Wtedy umawiam się z Riadem i biorę go do siebie. Pewnego dnia robię synowi wspaniałą ucztę, smażąc mu aż kilogram baranich kotletów, które są jego przysmakiem. Zjada wszystko, sapiąc ze szczęścia. Nieraz zastanawiałam się, co pozytywnego zapamiętał ze swojego pobytu w Algierii. Okazuje się, że najsilniej wryła się w jego pamięć ta uczta z baranich kotletów. Riad do dzisiaj mi o tym opowiada. Głodne, niedożywione dziecko nareszcie mogło się najeść do syta! Chyba najtragiczniejszą rzeczą jest głód i niemożliwość zaspokojenia go.

Czas upływa bardzo szybko! Codziennie jeżdżę z drugiego końca Algieru na Koubę, tam biegam pod adresy otrzymane od Maguy, która ciągle szuka dla mnie pracy i mieszkania, w południe odwiedzam dzieci u państwa D., a wieczorem zjawiam się pod szkołą Riada, by wsadzić go do taksówki i dopiero wtedy mogę wrócić do domu. Jestem tak przemęczona, że wystarcza mi sił jedynie na wieczorną toaletę i, jak nieżywa, padam na łóżko.

Pewnego dnia spotykamy z Maguy jej znajomą - Algierkę Halimę. Jest adwokatem w średnim wieku. Modnie ubrana, bardzo pewna siebie, rozwódka, ma jednego syna. Maguy dosłownie w biegu przedstawia jej moją sprawę.

- Masz szczęście, dziewczyno, że jeszcze żyjesz! - słyszę od algierskiej adwokatki. - Co za bezprawie, co za bezprawie! - powtarza Halima. - Słuchaj, dziewczyno, zabierzemy te twoje dzieci do mnie, a potem będziemy myśleć, co dalej - decyduje.

- Uff! - oddycha z ulgą Maguy. - Nareszcie coś się dzieje, nareszcie przynajmniej jedną sprawę popchnęłyśmy.

Halima mieszka w bloku na osiedlu położonym niedaleko szkoły dzieci, a więc przynajmniej problem ich bezpieczeństwa byłby rozwiązany. No i po cichu liczę na to, że jednak jako adwokat będzie mogła mi pomóc.

- Ale jak my te dzieci zabierzemy? - pytam Halimę. - Przecież Yacine nigdy ich nie odda!

- Już ty się o to nie martw! - stwierdza twardo. - Dzieci odda i to tak szybko, że aż będzie się kurzyło.

Halima zaprasza nas do siebie. Pojutrze, tj. w piątek rano, mamy pojechać odebrać dzieci. Pisze krótki list do Yacine, który przekazuję przez Sonię. Jest w nim podany cel naszej wizyty, data i godzina.

W piątek o umówionej porze jestem u Halimy. Jedziemy do Badjarah jej samochodem. Podjeżdżamy pod blok. W oknie mieszkania Yacine widzę już ciekawskie głowy mieszkających tam kobiet. Gdy nas dostrzegają, znikają natychmiast, by poinformować „opiekuna" dzieci o przyjeździe ich matki. Za chwilę przed dom wychodzi Yacine z ironicznym uśmiechem na twarzy.

- Gdzie dzieci? - rzuca sucho Halima, patrząc na niego z góry, gdyż jest wysoką, ładnie zbudowaną i przystojną kobietą, przy której Yacine wygląda jak karykatura mężczyzny.

- Już schodzą! - odpowiada wystraszony i znika w bloku.

Po chwili pojawia się Sonia z Riadem, ciągnąc swoje rzeczy. Dzieciaki kilkakrotnie wracają do mieszkania po swój dobytek. W tym czasie Madina sypie w moim kierunku ordynarnymi arabskimi przekleństwami. Wreszcie dzieci wsiadają do samochodu. Jedziemy do domu Halimy. Kamień spada mi z serca. Dzieci są szczęśliwe, że mogły opuścić dom ojca, i nie ukrywają radości. Szczególnie Sonia, która

potrafi już prawidłowo ocenić sytuację i kieruje w jakiś sposób zarówno poczynaniami, jak i sposobem myślenia młodszego o siedem lat brata. Gdyby nie Sonia, pewnie Yacine z rodziną ukształtowaliby Riada na swój sposób. Sonia jednak czuwała nad wszystkim, dzielnie sobie radząc.

Dzieci dostają osobny pokój. Jest w nim telewizor kolorowy i antena satelitarna, pozwalająca odbierać wszystkie francuskie programy. Są bardzo zadowolone, a ja muszę wracać do Pierre'a. Halima nie proponuje mi zamieszkania z dziećmi, widocznie ma w tym swoje racje. Następnego dnia oświadcza, że spróbuje jednak załatwić coś dla mnie sądownie. Na razie zabiera mnie do prokuratora w Hussein Dey. Nie pytając nikogo o zgodę, wchodzi ze mną bez kolejki do gabinetu. Nie pozwalając dojść do słowa prokuratorowi (znowu jakiś inny), wykłada mu swoje racje, które są tak oczywiste, że normalnie myślącemu człowiekowi zupełnie zbędne jest ich wykładanie.

- Oni nie mieli prawa wyrzucić jej z domu! On musi jej zapewnić mieszkanie! Jeśli nie, to niech ją wypuści z tego kraju! - Halima miesza arabski z francuskim, nie wszystko udaje mi się wychwycić.

- Może masz rację - przez „ty" odpowiada jej prokurator - ale pokaż mi w tym kodeksie jakiś artykuł, który mógłbym natychmiast zastosować, ażeby jej pomóc. Przecież jesteś adwokatem.

Prokurator podtyka pod nos Halimy kodeks rodzinny i powtarza:

- No pokaż mi, pokaż mi jakiś artykuł, który mógłbym teraz, w tej chwili zastosować, aby znaleźć wyjście z sytuacji!

Halima wie, że prokurator ma rację. Nie ma takiego artykułu, zgodnie z którym można by pomóc kobiecie znajdującej się w podobnej sytuacji. „Zgodnie z prawem" można ją tylko jeszcze bardziej pognębić. Wychodzi ze mną z gabinetu prokuratora, ale nie daje za wygraną i skręca wprost do biura przewodniczącego sądu. To ten sam, który podpisywał zgodę na wyjazd dzieci i zapewniał mnie, że zawsze będę mogła liczyć na jego pomoc. Może myślał o „pomocy osobistej", bo dzisiaj już wiem, że na pewno nie o pomocy prawnej. Patrzy na mnie posępnie, skubiąc swoją długą, gęstą, czarną brodę. Halima wykrzykuje swoje argumenty:

- Niech pan podpisze zgodę na wyjazd dzieci, przecież pan wie, co ich ojciec wyrabia z rodziną. Przecież pan wie, że ona nie ma pracy i mieszkania, że razem z dziećmi jest na ulicy.

- Nie mogę nic podpisać, nie mogę nic podpisać - nerwowo kręci się przewodniczący. - Tylko ojciec dzieci może podpisywać dokumenty ich dotyczące. Nikt inny nie ma prawa.

- Ojciec? Jaki ojciec? - nie ustępuje algierski adwokat - kobieta i matka jednocześnie. - Pan nazywa go ojcem? Przecież jemu powinno się odebrać wszystkie prawa!

- To niech mu je pani odbierze sądownie - odpowiada przewodniczący. - Tylko sąd może zmienić prawo, ja nie.

Halima coś tam jeszcze wykrzykuje w mieszaninie francusko-arabskiej. Może sobie na to pozwolić. Jest adwokatem i obywatelem w swoim kraju. W końcu wychodzimy, a ona ze złością prawie trzaska drzwiami.

- Ty widziałaś to prawo? Ucz się, ucz, Europejko! Jeżeli przeżyjesz, może wyciągniesz z tego jakieś wnioski!

Jest złośliwa, bezwzględna w stosunku do siebie i do całego świata. Pyta mnie obcesowo, co ja robię ze swojej strony. Czy kontaktuję się ze znajomymi Polkami, z ambasadą? Mówię jej, że byłam w Lidze Obrony Praw Człowieka.

- Ha, ha, ha - śmieje się. - Głupia, naiwna dziewczyno! Jest to ostatnia instancja, która mogłaby ci pomóc. Jeśli w tym kraju nie masz pieniędzy i przyjaciół dobrze ustawionych - zdechniesz pod płotem - zgodnie z prawem!

Halima dobiła mnie. Swoim zachowaniem, swoimi wywodami. Wracam do Pierre'a i znowu powraca ten mój stan, którego tak bardzo się boję. Trzęsę się ze strachu, moje ciało oddziela się od duszy, zapadam się gdzieś i zapadam. Już w autobusie czuję zbliżający się kryzys. O Boże, żeby tylko dojechać do domu, żeby zapomnieć o otaczającym mnie świecie i problemach, żeby znaleźć się w azylu, dającym mi namiastkę innego świata. Dojeżdżam w głębokim kryzysie. Winda. Byle prędzej, byle prędzej. Jestem cała mokra, oblewa mnie zimny pot. Otwieram drzwi. W domu oprócz Pierre'a jest jakiś młody, może dwudziestoletni chłopak.

- Poznajcie się, to mój syn Robert - przedstawia mi go Pierre, który widzi, że dzieje się ze mną coś dziwnego, ale dyskretnie nie pyta. Za to Robert od razu rozładowuje atmosferę.

- Pani Anno, nie ma sytuacji bez wyjścia. Mam w Sidi Fredj jacht. Pakujemy dzieci i przemycamy przez morze.

Nie wiem, czy Robert mówi to poważnie, czy żartuje. Ale ojciec go popiera.

- No, można by dzieci schować pod pokładem, a jeżeliby je znaleźli - zawsze się coś wymyśli. To co, pani Anno, organizujemy ten przerzut?

Chce mi się teraz śmiać. Dopiero przed chwilą byłam w stanie skrajnego załamania nerwowego, a teraz ten młody Francuz doprowadził mnie do śmiechu. Jak niewiele mi potrzeba, trochę psychicznego wsparcia, a już czuję się zupełnie inaczej.

Robert jest przystojny, błyskotliwy, niezwykle operatywny. Prawie wierzę w to, co mówi. Wiem, że gdybym mu zaproponowała nielegalny przerzut dzieci, na pewno by się tego podjął, chociaż jest to ogromne ryzyko. Czy mogłabym go jednak na nie narazić po tym, co zrobił dla mnie jego ojciec? Nigdy!

Robert zostaje z nami kilka dni, wnosząc do domu Pierre'a tyle żywiołu, ile może wnieść „huragan młodości". Ja dalej kursuję między domem Pierre'a, Halimą, u której są moje dzieci, oraz Maguy i jej pocztą. Maguy dwoi się i troi, szukając dla mnie i pracy i mieszkania. Działa również Halima mimo bardzo sceptycznego nastawienia do sprawy. Pewnego dnia oświadcza mi:

- Słuchaj, prawie nic dla ciebie nie mogę zrobić, przynajmniej na razie, ale jedziemy do twojej ambasady, niech interweniują.

- Co oni mogą zrobić? Przecież sama wiesz, że nic! - odpowiadam.

Halima jednak zabiera mnie swoim samochodem do konsula, który przyjmuje nas bardzo serdecznie. Halima żąda interwencji.

- Gdzie i jakiej? - pyta rzeczowo konsul. - Jest pani algierskim prawnikiem, zna pani lepiej wasze prawo, niech mi pani powie, co ja mógłbym zrobić z prawnego punktu widzenia?

- Proszę wystosować protest do naszego Ministerstwa Spraw Zagranicznych - odpowiada Halima. - Niech wypuszczą Annę wraz z dziećmi do Polski.

- Zgoda - mówi konsul, chociaż i tak chyba nie wierzy, że coś wskóra.

Niemniej jednak kieruje do algierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych bardzo ostry list, którego kopię otrzymuję. W swoim piśmie konsul sygnalizuje fakt, że zwracałam się do tegoż ministerstwa z prośbą o pomoc w liście poleconym z dnia 23 grudnia 1989 r., ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Konsul protestuje przeciwko bezkarnemu i bezprawnemu poczynaniu sobie mojego byłego męża wobec mnie i dzieci, podkreślając moją niezwykle trudną sytuację z powodu braku dachu nad głową oraz pracy. Wyraża oburzenie, że były mąż, wykorzystując sytuację, którą sam stworzył, zabrał dzieci do siebie, nie zapewniając im jednak godziwych warunków życia. Dalej ostro zaprotestował przeciwko bezprawnemu wyrzuceniu nas z mieszkania przez rodzinę Belaici.

A jakże! Wkrótce nasza ambasada otrzyma odpowiedź z algierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych. Jest ona krótka: *Pani Annie Brahimi odpowiedzieliśmy listem z dnia 3.03.1990 r. (fotokopia w załączeniu). Jednocześnie informujemy Ambasadę Polską o tym, że w sprawie prywatnej dot. ww. i jej byłego męża obywatelka powinna zwrócić się do sądu algierskiego.* Koniec. Kropka. Pragnę dodać, że list, który otrzymałam w międzyczasie z algierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych, był również krótki i rzeczowy: *Proszę udać się z Pani sprawą do sądu.*

Do sądu? Po co? Żaden sąd nie da mi oficjalnie pozwolenia na wyjazd z dziećmi, jeżeli nie będzie na to zgody ich ojca. Prosić o zapewnienie dzieciom przez ich ojca mieszkania? W obecnym kryzysie mieszkaniowym i w sytuacji, kiedy sam Yacine tego mieszkania nie ma? Niedawno powiedział mi: „Ja ci mieszkania nie załatwię, bo sam nie mam. Najwyżej niech mnie wsadzą do więzienia za to, że nie mam mieszkania. A z dziećmi i tak nie wyjedziesz. Dzieci zostaną w Algierii, bo są muzułmanami i muszą umrzeć jak muzułmanie! Nigdy nie zgodzę się na to, żeby moje dzieci jadły w Polsce wieprzowinę!"

- Pozostaje ci jedno - mówi Halima. - Wynająć mieszkanie i uzyskać od właściciela zaświadczenie o tym, ile za nie płacisz. A potem

możesz wystąpić na drogę sądową o to, żeby były mąż płacił za nie.

Dobre sobie! Mam już dokładne rozeznanie, jeżeli chodzi o wynajmowanie mieszkań w Algierze. Pod adresami, które udało mi się uzyskać od Maguy, żądają ode mnie od trzech do pięciu tysięcy franków francuskich miesięcznie. No cóż, jestem cudzoziemką, więc muszę płacić w dewizach i nikogo nie obchodzi moja sytuacja. Tylko w dwóch miejscach chcą zapłaty w dinarach (sześć tysięcy miesięcznie!), ale pod warunkiem, że będę mieszkać bez zameldowania i bez żadnych formalności. Czy w mojej sytuacji mogę dyktować jakiekolwiek warunki?

Prywatna wojna, praca w bibliotece, mieszkanie

Mijają ponure dni. Ciągle szukam pracy i mieszkania. Bez rezultatu. Muszę uzbroić się w cierpliwość. Przede mną walka na wszystkich frontach: z algierskim sądem, z Yacine oraz walka o zdobycie pracy i mieszkania. Zaczynam kompletować dokumenty. Mam zaświadczenie z zakładu pracy Yacine, dwa zaświadczenia wystawione przez merostwo na Koubie, dotyczące tego, co zrobiła z nami rodzina Belaici, protest naszej ambasady oraz odpowiedź algierskiego Ministerstwa Spraw Zagranicznych.

Potrzebuję teraz dobrego adwokata, który potrafiłby na podstawie posiadanych dokumentów znaleźć jakieś rozwiązanie dla mnie i dla dzieci. Z pewnych względów Halima odpada jako mój adwokat.

W międzyczasie postanawiam działać na własną rękę. Jak dowiedzieć się, gdzie pracuje Yacine? Jak dowiedzieć się, z kim się ożenił, gdzie mieszkają jego teściowie? Jest to niezwykle trudne w takiej metropolii jak Algier.

Zaczynam od tego, że proszę jednego z moich znajomych Algierczyków o śledzenie Yacine. Nic jest to sprawa prosta. O szóstej rano jadę z chłopakiem do Badjarah. Chowamy się w klatce schodowej przyległego domu. Nagle widzę wychodzącego Yacine. „To ten!" - daję znak chłopakowi, który rusza po chwili, a ja zostaję. Spotykamy się po południu na Koubie.

- No i co wykryłeś? - pytam niecierpliwie.
- A niech licho porwie twego męża! - żali się chłopak. - Najpierw kluczył pomiędzy domami jak jakiś wariat, który zdaje sobie sprawę z tego, że jest śledzony, a później wsiadł do autobusu, na którym był napis: przewóz pracowników. Przecież nie mogłem wsiąść za nim, nie miałem karty pracowniczej.

Jeszcze dwukrotnie usiłujemy razem bawić się w detektywów, ale nam się to nie udaje. Pozostaje mi zdobycie adresu jego teściów. W kilkumilionowej stolicy, bez żadnego punktu zaczepienia? Myślę nad tym kilka dni. W końcu idę do merostwa na Koubie, gdzie pracuje mój znajomy.

- Słuchaj Abada, znowu musisz mi pomóc! Proszę cię, chcę dotrzeć do aktu ślubu mojego byłego męża, ażeby uzyskać nazwisko i adres jego żony.
- A gdzie brali ślub? - pyta Abada.
- Chyba w Badjarah - odpowiadam.
- W porządku. Mam jednego znajomego w tamtejszym merostwie, dam ci do niego list.

Abada smaruje coś po arabsku i wręcza mi kartkę. Idę do urzędu w Badjarah, odszukuję osobnika.

- Pani wie, że to jest przestępstwo? Ale czego się nie robi dla znajomych!

Trach, trach - i po chwili akt ślubu Yacine leży przede mną.

- Tu są wszystkie informacje. Niech pani spisuje.

Piszę szybko nazwisko panieńskie jego żony, datę oraz miejsce urodzenia. Zauważam, że jest bardzo młoda. Nie ma, niestety, żadnych innych informacji. Bardzo mu jednak dziękuję i wychodzę. Jadę bezpośrednio do Maguy na pocztę. Łapię książkę telefoniczną. Szukam nazwiska teściów Yacine - Kebaili. Jest ich mnóstwo. Jak trafić na właściwych?

- Anno, przyjdź do nas do domu, coś wymyślimy - proponuje Maguy.

Po południu jestem w jej domu.

- Wiesz co? Niech Mina (córka Maguy), dzwoni po kolei do wszystkich Kebaili i mówi, że chce rozmawiać z Radią (to imię żony Yacine), że jest jej dawną koleżanką i nie może jej odnaleźć, bo zgubiła adres.

Przystaję na ten plan. Kilkadziesiąt razy powtarza się ten sam scenariusz. Wiele godzin straconych przy telefonie. Staram się nie myśleć, ile Maguy zapłaci za rachunek. Wreszcie...

- A, chodzi o Radię? Tak, to nasza rodzina, ale oni mieszkają w

Bab El Oued (to jedna z dzielnic Algieru).

- Adres, adres! - pokazujemy na migi Minie, która szybko coś pisze.

- Tak, tak, tak, tak - mówi Mina i dziękując odkłada słuchawkę.

Otóż rodzina ta zaproponowała zawiezienie „koleżanki" Radii do mieszkania Kebaili. Trzeba się tylko stawić u nich jutro o określonej godzinie. Stawiam się. Przepraszam za nieporozumienie, wyjaśniam pokrótce sprawę. Głowa rodziny oświadcza mi, że nigdy nie zgadzał się z ojcem Radii, że nie jest on solidnym człowiekiem. Gdyby miał poczucie odpowiedzialności, to nie dopuściłby do małżeństwa swojej córki, nie zbadawszy uprzednio wszystkich faktów, tym bardziej że dziewczyna była już rozwiedziona. Ażeby pozbyć się rozwódki hańbiącej honor rodziny, wydał za pierwszego lepszego, niczym się nie interesując. „No, miała dziewczyna szczęście! - myślę sobie. - Już raz rozwódka, a teraz to się jej dopiero trafiło! Dobrze, że nie zdaje sobie z tego sprawy". Ale wcześniej czy później prawda i tak wypłynie na wierzch.

Krewniak Radii podwozi mnie aż pod sam dom rodziny Kebaili i pokazuje wejście. Obskurna kamienica. Mogę sobie resztę wyobrazić.

- Niech pani radzi sobie dalej sama - mówi mężczyzna i odjeżdża.

Wchodzę na podwórko i pukam we wskazane mi drzwi.

- Kto tam? - słyszę pytanie.

- Jestem byłą żoną Yacine, chcę zobaczyć się z panem Kebaili - rzucam przez zamknięte drzwi.

Cisza. Bardzo długo. Nikt nie otwiera i nikt nie odpowiada. Pukam powtórnie.

- Czego? - pada wrogie pytanie.

- Jestem byłą żoną Yacine, chcę zobaczyć się z panem Kebaili - powtarzam.

Nikt jednak nie reaguje. Pukam znowu, głośno mówiąc:

- Proszę mnie wpuścić, bo i tak nie odejdę od drzwi.

Zostaję wpuszczona. Nędzne mieszkanie, salon w typowo arabskim stylu - pod ścianami drewniane *banquettes,* na których położono materace i nakryto je jakimś materiałem. Na tym wszystkim - pełno kolorowych, małych poduszek. Na środku mały, okrągły arabski stół. To całe

umeblowanie tego pokoju. Siadam na jednym z tych łóżko— tapczanów. Po przeciwnej stronie - jakieś dwie młode panny, chyba córki Kebaili. Jest i pan Kebaili, natomiast nie ma jego żony. Już od razu widzę, że z tym człowiekiem nie osiągnę żadnego porozumienia. Ma tępy i bezmyślny wyraz twarzy, chociaż jest grzeczny w stosunku do mnie.

- Co panią tu sprowadza? - pyta.

Staram się w kilku zdaniach wyjaśnić moją sytuację kończąc tym, że chcę, ażeby Yacine podpisał mi zgodę na wyjazd dzieci do Polski. Proponuję mu pokazanie fotokopii wszystkich dokumentów.

- Tylko żadnych papierów, żadnych papierów, my o niczym nie chcemy wiedzieć! - cynicznie odzywa się jedna z dziewczyn.

Obie są zresztą niesympatyczne i na pierwszy rzut oka - wyrafinowane. Zastanawiam się, jaka jest ich siostra, a żona Yacine.

- Czego pani ode mnie chce? - pyta pan Kebaili.

- Chcę, żeby zmusił pan Yacine do wystawienia mi pozwolenia na wyjazd dzieci - mówię spokojnie. - Jest pan w końcu mężczyzną, czyż nie ma pan nic do powiedzenia?

Wychodzę, żegnana nieżyczliwymi spojrzeniami obu dziewczyn. Co za rodzina! Pełna problemów! Świetnie się zeszli z rodziną Yacine. Jeszcze tylko nie było mi dane poznać samej pani Kebaili. Na razie.

Za dwa dni Yacine przyszedł do Soni z pretensjami, że pan Kebaili po mojej wizycie zabrał Radię z powrotem do domu do czasu, aż sprawy zostaną uregulowane. Cieszę się przedwcześnie i po tygodniu każę iść Soni do ojca do Badjarah po pozwolenie na wyjazd. Oczywiście, nic nie zostało załatwione. Yacine z Madiną pojechali odebrać Radię. Musieli być bardzo przekonujący, skoro pan Kebaili bez sprzeciwu oddał im córkę, a ja nic nie uzyskałam. Za to Madina dała Soni niedwuznacznie do zrozumienia, co myśli o ewentualnym pozwoleniu na wyjazd z Algierii. Córka czuje się upokorzona i rozgoryczona.

Nie daję za wygraną i jadę jeszcze raz do domu Kebaili. Znowu powtarza się ta sama scena przy drzwiach. Kiedy w końcu wchodzę do środka, tym razem wita mnie sama pani Kebaili. Typowy okaz

wiedźmy-kostuchy, chociaż jeszcze w miarę młodej. Rozjuszona na mój widok, o mało nie rzuca się do bicia.

- Po co tu przychodzisz, ty polska k...? Chcesz pozwolenie na wyjazd dzieci? To niech ci podpisze ten twój kochanek z sądu, który ci podpisał w zeszłym roku, albo niech ci pomogą twoi inni kochankowie, których masz pełno w Algierze i wszyscy już o tobie mówią. Wynoś się z mojego domu, ty polska prostytutko i oddaj Yacine pieniądze za meble, które sprzedałaś! Oddaj telewizor i lodówkę, oddaj wszystko, ty polska k...! - krzyczy rozwścieczona Kebaili z podniesioną na mnie dłonią.

Wycofuję się do drzwi. W tym napadzie furii towarzyszą mamie Kebaili jakieś inne dwie młode pannice, które widzę dzisiaj po raz pierwszy.

- Oddaj pieniądze za meble, oddaj wszystko naszej siostrze, to jest jej i Yacine! - pokrzykują na mnie.

Nie wierzę własnym uszom. Oto następne ofiary kodeksu rodzinnego. Nie interesuje ich, co mam do powiedzenia, nie interesuje ich los własnej córki czy siostry. „Oddaj pieniądze, ty polska k...!" - oto ich jedyny system wartości! No cóż, czas pokaże, pani Kebaili, czyje wartości są lepsze. Chce pani wojny - będzie wojna. I niech mi pani wierzy, źle pani trafiła. Mam już na sobie potężny „pancerz", który pozwala mi znieść bardzo dużo i który sprawi, że stanę się pani bezwzględnym przeciwnikiem. Pozna pani prawo silniejszego!

Rozpoczyna się moja prywatna wojna z Yacine i z Kebaili. A ponieważ los mi sprzyja, dostaję dokładny adres zakładu pracy Yacine. Moje szczęście nie ma granic. W dniu 8.03.1990 roku piszę list do dyrektora naczelnego tego zakładu, przedstawiając mu dokładnie moją sytuację i prosząc go, ażeby wpłynął na Yacine w sprawie podpisania zgody na wyjazd dzieci ze mną do Polski. Piszę też do zakładowych związków zawodowych. Kopie listów wysyłam do Kebaili. Wiem, że Yacine był wzywany do dyrektora, który jednak nic nie wskórał. Nie mogąc się doczekać odpowiedzi dyrekcji, idę do bezpośredniego szefa Yacine. Po drodze, już bez żadnych skrupułów, robię Yacine czarną reklamę u sekretarki. Szefowi pokazuję wszystkie możliwe dokumenty i wyroki

sądowe, wyjaśniam, co zrobił z nami Yacine. Niestety, bez rezultatu. Kto będzie się wtrącał do prywatnych spraw? A poza tym kto z nich wie, co znaczy słowo paranoik? Nikt - i to jest moja przegrana.

Wstępuję do biura Yacine. Robię mu okropną awanturę. Szkoda tylko, że jest on sam.

- Zobaczysz, co z ciebie zrobię - krzyczę. - Marmoladę! Jeszcze będziesz mnie prosił, żebym wróciła do kraju z dziećmi!

Yacine uśmiecha się tym swoim cynicznym uśmiechem psychopaty, zupełnie mnie ignorując. Mam ochotę, już nie po raz pierwszy zresztą, go zabić. Wypowiedziałam mu wojnę. Teraz nie przebierając w środkach wszystko obrócę i wykorzystam przeciwko niemu i Kebaili.

Kilka dni potem wsiadam do zakładowego autobusu, którym wraca do domu Yacine. Autobus rusza, ja tarasuję wyjście, idąc w kierunku byłego męża. Na oczach wszystkich krzyczę do niego:

- Dlaczego za mną chodzisz? Co, nie masz swojej żony? Gdzie jest pozwolenie na wyjazd dzieci? Dlaczego nie płacisz alimentów?

Yacine wije się ze wstydu wobec kolegów z pracy, biegnie do wyjścia, a ja za nim. Prosi kierowcę o zatrzymanie autobusu. Wybiega z niego jak szalony. Ja za nim. I znowu krzyczę mu to samo na ulicy:

- Zobaczysz, co z ciebie zrobię! Marmoladę! Nie podpiszesz zgody na wyjazd dzieci - codziennie będziesz miał awantury!

Wiem, że to, co robię, jest ohydne i kłóci się z moimi zasadami, ale zrozumiałam, że nie mam innej drogi walki z tym chorym człowiekiem. Muszę pokonać go na wszystkich frontach. Do Kebaili wysyłam otwarte kartki pocztowe z ciągłymi zapytaniami: „Gdzie jest pozwolenie na wyjazd dzieci?" Wysyłam im listy, nawet telegram, nie przebierając w słowach. Ciekawe, jak długo będą w stanie to znosić? Bo ja uzbroiłam się w cierpliwość. Jestem przygotowana na wszystko. Wiem, że użyję każdej dozwolonej i niedozwolonej broni, w celu osiągnięcia swojego celu. O ileż sprawa byłaby łatwiejsza, gdybym miała pieniądze! Niestety, nie mam ich, a rodzina też nie może mi pomóc. Mam jednak cel, który nadaje sens mojemu życiu. Poza tym mam obok siebie wspaniałych francuskich przyjaciół, dzięki którym czuję się w tej chwili silna i gotowa do dalszej walki.

Podczas któregoś z kolejnych spotkań córka obwieszcza mi radośnie, że mamy mieszkanie, że matka jednej z jej szkolnych koleżanek chce się ze mną widzieć, ponieważ jest wstrząśnięta naszą sytuacją i pragnie nam pomóc. Idziemy tam obie. Oczywiście, cały czas jesteśmy na Koubie, tak znienawidzonej przeze mnie dzielnicy. Bardzo pragnęłabym zapomnieć o tej Koubie, pełnej bandziorów Belaici, rozbijających się nowoczesnym samochodem. Riad wyzywany jest często przez Youcefa, najmłodszego z Belaici oraz przez Zoheira i Soumiyę - dzieci Maliki, które chodzą do tej samej szkoły, co mój syn. Te dzieci, które rosły razem z Riadem i które były często gośćmi w naszym domu, jadły razem i bawiły się, teraz wyszkolone przez babkę i matkę, dokuczają synowi w najbardziej wyrafinowany sposób. Co wyrośnie z tych dzieci?

Tymczasem mam szansę na załatwienie mieszkania i to znowu na Koubie, niedaleko od znienawidzonych Belaici. Idziemy do rodziny O. Ulica małych, ładnych willi. Dzwonimy do jednej z nich. Drzwi otwiera mi przystojna kobieta, lat około czterdziestu, o bardzo europejskim wyglądzie, jasnej cerze, niezbyt ciemnych włosach. Ściska Sonię i mnie, radośnie wołając:

- No, to mama Soni, nareszcie mogę panią poznać!

Od pierwszego momentu czuję do Saidy ogromną sympatię. Jest niezwykle błyskotliwa i tak elokwentna, że najlepszy adwokat nie mógłby się z nią równać.

- Pani Anno - słyszę cieple słowa wypowiadane świetną francuszczyzną. - Dowiedziałam się o waszej historii. Nie mogę przejść nad tym do porządku dziennego. Moja teściowa, która mieszka obok, ma na górze pokój z kuchnią, co prawda zapełniony, ale można go opróżnić. Rozmawiałam z nią i zgadza się wynająć. Zaraz ją tu poprosimy!

Saida wybiega z domu i po chwili przyprowadza starszą Arabkę.

- Wiem, wiem, o co chodzi ! - mówi właścicielka. - Mogę wynająć pani ten pokój z kuchnią.

- A za ile? - pytam i widzę, że Saida groźnie mierzy wzrokiem swoją teściową, jak gdyby chciała powiedzieć: „No, spróbuj mi tu wygórować cenę!”

Stara Arabka myśli o czymś, a potem mówi:

- Ile pani może dać?

Przyznaję, że nie spodziewałam się takiego obrotu sprawy. Myślę, ile będę mogła zarobić idąc do pracy. Cztery, pięć tysięcy dinarów? Jest to tylko pokój z kuchnią, więc ryzykuję:

- Tysiąc pięćset dinarów.

- Zgoda - mówi gospodyni, a Saida oddycha z zadowoleniem. Posesje Saidy i jej teściowej dzieli tylko brama. Przechodzimy po prostu z podwórka na podwórko. Willa jest ładnie utrzymana, czysta. Idziemy po zewnętrznych schodach na górę, na duży taras.

- Wejście do waszego mieszkania jest od wewnątrz domu. No, ale żebyśmy sobie wzajemnie nie przeszkadzali, możecie wchodzić od zewnątrz, dorobi się kłódkę do drzwi wychodzących na taras - stwierdza rzeczowo gospodyni.

Bardzo mi się podoba pokój - niezbyt obszerny, ale obudowany ściennymi szafami. Mieszkanie ma dużą łazienkę oraz przestronną kuchnię. No i ten ogromny taras! Mam niezwykłe szczęście, bo za te pieniądze nigdy nie znalazłabym podobnego mieszkania. Ale stoi za tym Saida i jej mąż - bardzo sympatyczni i porządni ludzie. Dzieci nie posiadają się ze szczęścia, że będziemy razem, cieszy się również Maguy, która natychmiast przychodzi zobaczyć moje lokum.

- Wspaniale, wspaniale! - powtarza. - Tak bardzo się cieszę, tak bardzo się cieszę.

Sophie i Maguy pomagają mi w przewieźć rzeczy, które złożyłam w kaplicy na Vieux Kouba. Pierre przywozi mi rzeczy, które były w jego domu. Halima, przywozi dzieci i ich dobytek. Cieszą się moi francuscy przyjaciele. Cieszy się rodzina D. Dzieci szaleją.

Próbujemy zorganizować się w nowych warunkach. Mamy trzy materace, które będą nam służyć za łóżka, fotele i kanapę. Mebli nie mam i nie potrzebuję, bo zarówno w kuchni, jak i w pokoju jest pełno szaf wbudowanych w ściany. Bardzo dobrze, że nie sprzedałam telewizora, lodówki i kuchenki gazowej.

Po wielu miesiącach rozłąki i tułaczki jesteśmy wreszcie razem. Pierwsza wspólna noc na materacach rozłożonych na podłodze. Riad koniecznie chce spać ze mną. Zasypia przytulony do mnie mocno. Ale w nocy zrywa się kilkakrotnie z przeraźliwym krzykiem, który słyszy również rodzina gospodyni. Krzyczy także w dzień przy każdej okazji, jest bardzo agresywny. Nie jest już tym spokojnym dzieckiem sprzed kilku miesięcy. Co się z nim stało?

- Agresja rodzi agresję - stwierdza Linda, córka gospodyni, która jest psychologiem z wykształcenia.

* * *

Powoli poznaję rodzinę O. i jej obyczaje. Gospodyni jest wdową. Mimo podeszłego wieku świetnie się trzyma i jest bardzo elegancka. Jeden z jej synów, mąż Saidy, zajmuje dość wysokie stanowisko w policji. Drugi, wzięty adwokat, mieszka z rodziną na tej samej ulicy. Ma niezwykle sympatyczną żonę. Niestety, pan mecenas ma oficjalnie przyjaciółkę, z którą mieszka. Żona nic ma nic do powiedzenia - i tak należy do tej nielicznej grupy wybranek, z którymi mężowie się nie rozwiedli, nie wyrzucili ich z dziećmi na ulicę i płacą dobrowolnie na utrzymanie rodziny. Zdarzyło się tak sąsiadce mojej przyjaciółki, która poszła rodzić do szpitala, a po wyjściu znalazła zamki w drzwiach wymienione i nie miała gdzie się udać ze swoim nowonarodzonym maleństwem.

Poznaję historię trzydziestoparoletniej córki gospodyni. Lindy. Wyszła za mąż za Algierczyka mieszkającego w Stanach Zjednoczonych i wyjechała tam razem z nim. Przeżyła piekło - obłędne sceny zazdrości nie miały końca. Podobnie jak Yacine, wszędzie widział potencjalnych kochanków swojej żony. Bił ją, nie dawał pieniędzy, matka musiała przysyłać jej paczki z odzieżą, bo nie miała się w co ubrać. Wreszcie znalazła sobie pracę jako nauczycielka języka francuskiego, zarobiła pieniądze i wróciła do Algierii, zostawiając, jak się wyraziła, „tego psychopatę" w bezpiecznej odległości. Linda ma z nim małą, uroczą córeczkę.

Nouar, trzeci i najmłodszy syn gospodyni, jest niesympatycznym chłopakiem. Jego żona Lamia nie pracuje i zajmuje się wykonywaniem różnych domowych prac dla całej rodziny naszej gospodyni, podobnie jak Malika u Zoubidy, tylko nie w takim wymiarze. Pomimo że Nouar, Lamia i gospodyni zachowują się w stosunku do mnie bardzo poprawnie, nie lubię ich i nie lubię atmosfery panującej w tej rodzinie. Natomiast z wielką chęcią wpadam zawsze do Saidy, która w mojej obronie gotowa jest każdemu wydłubać oczy. Popiera ją dzielnie mąż.

Saida opowiada mi o swoim życiu. Wyszła za mąż mając 14 lat, zamieszkała u teściowej, gdzie wykonywała najcięższe obowiązki domowe. Jadła dopiero wtedy, kiedy wszyscy domownicy i goście porozchodzili się. Dostawała to, co spadło z „pańskiego stołu". Ale nie skarżyła się na swój los, bo miała dobrego męża, który wspierał ją jak mógł i zawsze był po jej stronie.

- No, a te prace domowe, które na ciebie spadały? - pytam Saidę.
- Taka jest nasza dola - dola synowej mieszkającej u teściowej! Ten los przeżywa większość algierskich kobiet i wydawało mi się, że tak musi być.
- A teraz - pytam - jak to wszystko widzisz?

- A, teraz... - uśmiecha się Saida. - No, teraz wszystko się zmieniło. Nie dam sobie dmuchać w kaszę, jestem na swoim i teściowa trzyma się ode mnie z daleka.

Z daleka - to mało powiedziane. Śmiem dodać od siebie, że Saida budzi obecnie ogromny respekt w teściowej. Pomimo że jest kobietą niewykształconą, potrafi być tak odważna i mądra w swoich wypowiedziach, że trudno byłoby jej nie szanować. Wielka szkoda, że nikt nie kształcił tej kobiety. Byłby z niej doskonały adwokat lub sędzia, ale zgodnie z kodeksem rodzinnym jej rola w społeczeństwie została sprowadzona do prokreacji i Saida z pokorą i bez sprzeciwu przyjęła ten los.

* * *

Próbuję się zagospodarować. Telewizor jest popsuty. Zauważyłam jeszcze u Belaici, że był otwierany i został uszkodzony. Antena telewizyjna

jest zniszczona, brak także 20 metrów kabla. Zanim wywiozłam lodówkę od Belaici, widziałam, że zniszczona jest cała instalacja zewnętrzna, rurki doprowadzające gaz są porozrywane. Idąc za radą Maguy nie awanturowałam się jednak o to. Nie mam żadnych garnków - zniknęło całe wyposażenie mojej kuchni, tak skrzętnie gromadzone latami. Brakuje mnóstwa drobiazgów, bez których trudno sobie wyobrazić normalnie funkcjonujący dom. Muszę na razie obejść się bez łyżek, noży, nożyczek firanek, pościeli...

Przeżywam koszmar z naprawą lodówki. Wniesienie jej było nie lada wyczynem, ponieważ trzeba było iść po wewnętrznych schodach mieszkania gospodyni, tak krętych i stromych, że czterech mężczyzn z trudem dało sobie radę. A nie było na razie możliwości zostawienia tej ogromnej lodówki gdzie indziej. Teraz muszę szukać zakładu reperującego te urządzenia i wynająć wysoką bagażówkę oraz znaleźć czterech mężczyzn, którzy by mi znowu ściągnęli tę lodówkę na dół. Płacę za transport 200 dinarów. Za naprawę 600, za przywóz lodówki znowu 200. I znowu czterech mężczyzn do wnoszenia. Podłączam lodówkę - nie działa, z zamrażalnika kapie woda. Znowu jadę do zakładu naprawczego.

- Ależ proszę pani, u nas lodówka działała! - stwierdzają.

No cóż, nie przyszło mi do głowy sprawdzić.

- Proszę przywieźć lodówkę - pada odpowiedź.
- I co, będę musiała znowu płacić?*

* Nigdy nie spotkałam się w Algierii z dawaniem gwarancji na naprawiany sprzęt.

- Oczywiście! - odpowiadają.

Krew mnie zalewa. Szukam następnego zakładu. Wszędzie mi mówią, że lodówkę trzeba przywieźć, ponieważ nie wykonują napraw w domu. I znowu powtarza się ta sama historia. Bagażówka, czterech mężczyzn, którzy omal nie łamią sobie nóg przy znoszeniu mojej lodówki. Za kilka dni odbiór. Tym razem płacę 800 dinarów za naprawę. Ale sprawdzam, czy lodówka chłodzi. Chłodzi. Znowu bagażówka i znowu czterech mężczyzn do wniesienia. Włączam lodówkę. Chłodzi do rana. Rano - z zamrażalnika leje się woda. Wszystko się we mnie gotuje, brakuje mi już sił do pokonywania problemów.

- Mamusiu, kiedy naprawimy telewizor? - pyta Riad. - Chcę oglądać Miki.

- Mamo, kiedy kupisz jakieś garnki? - dopytuje się Sonia. - Potrzebuję też nożyczki - dodaje.

Nie mamy żadnych misek do prania. Ukradli je Belaici. Muszę, niestety, kupić te rzeczy, dokonać napraw. Za 20 metrów kabla płacę ciężkie pieniądze, bo te rzeczy są w Algierii drogie. Naprawa rozgrzebanego telewizora kolorowego pochłania mi również znaczną sumę. Pieniądze ciekną jak woda, a przecież nie pracuję. Nie mam na nic czasu, usiłując „zlepić" normalny dom z pozostałych resztek. Ta nieszczęsna lodówka zjada całe moje zdrowie. Już nie mam siły po raz trzeci organizować jej znoszenia. Znajduję w końcu firmę, która zgadza się dokonać naprawy w domu. Przyjeżdżają dwaj panowie wyglądający na takich, którzy nigdy w życiu nie widzieli żadnej lodówki. Wreszcie po długich oględzinach obaj dochodzą do wniosku, że trzeba wymienić i agregat i termostat, czyli dwie najważniejsze rzeczy w lodówce.

- A ile to będzie kosztowało? - pytam, by po chwili usłyszeć cenę, która przyprawia mnie o zawrót głowy.

- Nie, dziękuję - odpowiadam obu panom, płacąc za dojazd.

Mam już dosyć nie tylko tej lodówki, ale w ogóle wszystkiego, przynajmniej w tym momencie.

Biegając w poszukiwaniu zakładów naprawczych mojej chłodziarki, zaglądam do wydziału podatków w merostwie na Koubie. Pytam, czy rodzina Belaici płaciła w ostatnich latach jakiekolwiek podatki. Urzędnicy skrzętnie sprawdzają jakieś księgi, nie pytając mnie w ogóle kim jestem, ani po co mi taka informacja.

- Nie płacili nic - słyszę odpowiedź. - Ale niech pani idzie do urzędu podatkowego w Hussein Dey i tam sprawdzi - radzą.

Idę więc do urzędu podatkowego, z fotokopiami wszystkich kontraktów, które zakład S. zawarł z tą rodziną. Ale wcześniej pytam, czy Belaici płacili jakieś podatki państwu.

- Nie, żadnych! - pada odpowiedź.

Są zdziwieni moją informacją. Ja także jestem zdziwiona. Jak to jest możliwe, ażeby przez dziesięć lat nie zapłacili ani jednego dinara? Przecież

prawdopodobnie co roku musieli wypełniać oświadczenia podatkowe. Jak to jest możliwe, ażeby przez tyle lat nikt nie zainteresował się tym, na jakich warunkach u nich mieszkamy? Przecież pieniądze za najem pochodziły z państwowego zakładu pracy, a nie z naszej kieszeni! Doskonale wiedzieli o tym, że muszą płacić podatek w wysokości 40% dochodu. Tak bardzo bronili swojego interesu, nie darując mi ani jednego dnia u siebie poza kontraktem, stwarzając nam piekło na ziemi, a państwu winni byli tyle pieniędzy!!

- Niech pani złoży na piśmie stosowne oświadczenie - informują mnie w urzędzie podatkowym w Hussein Dey.

Oczywiście muszę to dobrze przemyśleć i napisać w domu. Moja złość i nienawiść do Belaici sięga zenitu. Piszę do nich list wyszczególniając, z grubsza zresztą, rzeczy, które mi ukradli. Przyrzekam im, że o tej ich działalności poinformuję nie tylko miejscowe autorytety, ale również opinię międzynarodową. Nie przebieram w słowach. Przyrzekam, że zajmę się podatkiem od sumy, którą wyciągnęli od zakładu.

Mniej więcej po trzech dniach pojawia się na podwórku Zoubida, która woła na rozmowę gospodynię domu. Na szczęście słyszy to Saida i natychmiast dołącza do teściowej. Zoubida zrobiła fotokopię listu, który jej wysłałam i bez żadnego skrępowania wręcza ją gospodyni, krzycząc:

- Popatrz na tę Europejkę! Komu wy wynajęliście mieszkanie? Wyrzućcie ją, to k.... która sprowadza sobie mężczyzn!

No, po tych słowach w Saidę wstąpił diabeł.

- Wynoś się z naszego domu! Jeżeli jeszcze raz twoja noga tu postanie - mój mąż jest komisarzem policji, zobaczysz, co ci zrobimy! Jeżeli dowiemy się, że w jakikolwiek sposób dokuczacie Annie i jej dzieciom - pożałujesz, ty czarownico!

Świetnie, Saido, od dawna należało się to Zoubidzie!

W tym momencie Belaici znikają z naszego horyzontu. Po kilku dniach dowiaduję się, że w błyskawicznym tempie zasięgnęli porady adwokata i sami złożyli deklarację podatkową. A ponieważ podatek mógł być ściągalny z czterech lat wstecz, pierwszych sześć lat mieli darmowych. A tak nawiasem mówiąc, to bardzo jestem ciekawa, czy zapłacili oni chociaż jednego dinara podatku. Również bardzo jestem ciekawa, dlaczego Mohamed, skazany przez sąd w Hussein Dey na rok

więzienia za pobicie mnie z użyciem noża przez jego matkę oraz grożenie śmiercią, nigdy żadnej kary nie odbył.

Moja prywatna wojna rozkręca się, nabiera rozmachu. Kebaili, Yacine, Belaici. Jednak najważniejsza sprawa - zdobycie pracy - tkwi w martwym punkcie. Ciągle szukam, biegam, odwiedzam urzędy pracy. Nic. Często przechodzę koło biura naszych Polskich Linii Lotniczych, usytuowanego w samym centrum Algieru. Pracuje tam młoda, sympatyczna dziewczyna. Lubię tam zaglądać, zawsze można dostać najnowsze polskie gazety. Jest to dla mnie namiastka ojczyzny, w której nie byłam już cztery lata. Cztery lata nie widziałam rodziców! Dziewczyna pewnego dnia mówi mi, że wyjeżdża, że zwalnia się jej miejsce pracy, że mogę złożyć podanie. Przecież znam komputer i język francuski i ona nie widzi dla mnie konkurentki do tej pracy.

- A czy są inne kandydatury? - pytam.
- Są, ale twoja, według mnie jest najlepsza.

Składam więc podanie i życiorys. Po kilku dniach dostaję wezwanie do kierownika LOT-u. Rozmowa jest niezwykle rzeczowa. Nasz rodak nie ma zastrzeżeń co do moich kwalifikacji zawodowych, ale...

- No właśnie. Ale pani ma dzieci, a wiadomo, co się z tym wiąże!
- Jakie dzieci? Przecież to nie są niemowlaki! Sonia ma już prawie piętnaście lat, a Riad siedem.

Nie daję za wygraną. Argumentuję. Zależy mi na tej pracy. Nie tylko dlatego, że jestem bez środków do życia, ale także dlatego, że godziny pracy są dogodniejsze, że miałabym więcej czasu dla rodziny. Poza tym dzieci nie chorują. Są nauczone samodzielności, ponieważ całymi dniami są same, ja ciągle przebywam poza domem w poszukiwaniu pracy. Kierownik wysłuchuje moich argumentów, po czym oświadcza, że powiadomi mnie o swojej decyzji za kilka dni.

Owszem, po kilku dniach otrzymuję odpowiedź, ale negatywną. Przyjęto inną Polkę, która nie miała balastu w postaci dzieci i teoretycznie stanowiła dla LOT-u lepszą ofertę. Teoretycznie, praktycznie bowiem moje dzieci w niczym nie przeszkodziłyby mi w wypełnianiu

obowiązków. A nawet gdyby, czy już nie dostrzega się człowieka? Nasza dziewczyna nie musiała pracować, miała męża Algierczyka, który zapewniał jej dobre warunki bytu. No, ale to ona dostała tę pracę, gdyż liczyło się tylko dobro firmy!

Jestem rozgoryczona tą decyzją kierownika, nie jako przedstawiciela firmy (powiedzmy, że ma rację), ale przede wszystkim jako CZŁOWIEKA i jako POLAKA.

Żyję w ogromnym stresie, pieniądze topnieją mi w zastraszającym tempie. Ciągle boję się, że się skończą, że pracy nie będzie i że zginiemy z głodu. Wreszcie zjednoczona w niesieniu mi pomocy Grupa Przyjaźni na czele z jej przywódczynią, prężną i dynamiczną Margot, znajduje rozwiązanie. Margot, w porozumieniu się z księżmi G, i A., proponuje mi tymczasową pracę w bibliotece uniwersyteckiej, prowadzonej przez Francuzów i Francuzki, ale w służbie narodu algierskiego. Z radością przyjmuję ofertę. Moja praca będzie polegała na wpisywaniu numerów wypożyczonych książek do kartotek.

Biblioteka, ogromna zresztą, znajduje się w centrum Algieru i jest niezwykle popularna wśród studentów. Ma kilka działów i każdy z nich obsługiwany jest przez jedną osobę.

Tak poznaję Jeana, Juliette, Philippe'a, Antoine'a. Co za wspaniali ludzie, ogromnie kulturalni, wykształceni. Juliette na przykład jest fizykiem. Patrzę z przyjemnością na ich pracę. Nigdy w życiu nie widziałam tak serdecznego podejścia do młodzieży. Jak oni ją kochają! Nie tylko wypożyczają książki, ale interesują się problemami tych młodych ludzi i starają się im pomóc w każdej najdrobniejszej sprawie. Młodzież lgnie do nich, znajduje tutaj to, czego często nie może znaleźć we własnych domach - zainteresowanie ich życiem, ciepło, miłość.

Przyjaźnię się z Juliette, uwielbiam patrzeć, jak pracuje. Wszyscy pracownicy biblioteki to żyjący tu od lat Francuzi, którzy nie zdecydowali się po wyzwoleniu Algierii na powrót do swojej ojczyzny uznając, że ich obecność będzie bardziej pożyteczna tutaj niż we Francji. Podporządkowali całe swoje życie jednemu celowi - pracy z tutejszą młodzieżą. Z wielką przyjemnością jeżdżę codziennie do biblioteki, przebywanie bowiem z tymi ludźmi jest dla mnie ukojeniem po doświadczeniach z Belaici.

Jean, kierownik biblioteki, jest tak przychylnie do mnie nastawiony, że aż mnie to krępuje. Kiedyś bardzo bolał mnie ząb. Philippe, pracownik sekcji medycznej mający kontakty ze studentami oraz z młodymi lekarzami wypożyczającymi książki, natychmiast umówił mnie z jedną ze swoich czytelniczek, młodą dentystką, która na drugi dzień za darmo zaplombowała mi ząb. Juliette bez przerwy pyta, czy czegoś nie potrzebuję. Antoine bardzo interesuje się moimi dziećmi, pyta, czy nie mam problemów wychowawczych.

Jestem zachwycona tą nowo poznaną społecznością francuską, tak bardzo otwartą na świat zewnętrzny, na dawanie z siebie wszystkiego, co najlepsze, algierskiej młodzieży. Zauważyłam, że wszyscy oni są uwielbiani przez tych młodych Algierczyków, przewijających się przez bibliotekę.

Oferty pracy

Sytuacja w Algierii w zastraszającym tempie zmierza ku jakiejś katastrofie.

Z niepokojem patrzę na ulice Kouby w każdy piątek. A z tarasu mojego domu mam doskonałą widoczność. Kouba to dzielnica szczególna, ponieważ właśnie w tutejszym meczecie odprawiają swoje piątkowe modły przywódcy partii FIS* - Abassi Madani i Ali Belhadj.

* *Front Islamique du Salut* - Islamski Front Ocalenia.

Któregoś piątkowego popołudnia zabieliły się ulice Kouby. Niezliczone masy młodych ludzi ubranych w białe *kamis* po prostu gnały, a nie szły, do meczetu na Koubie. A ponieważ jest on niewielki, wierni siedzieli na zewnątrz na chodnikach i ulicach, które były zamknięte dla ruchu kołowego. Meczet był doskonale nagłośniony i kazanie przywódców FIS słychać było bardzo daleko. Tak jest teraz co piątek. Jak okiem sięgnąć po Koubie - biało, biało...

Ale ja, zaabsorbowana swoimi sprawami, obojętna na politykę, nic wcześniej nie zauważyłam. Dotarło to do mojej świadomości jakoś tak nagle, w jeden piątek. Czyżby sytuacja w kraju zmieniła się w ciągu 24 godzin? I kiedy przegapiłam ten moment? Przecież jeszcze nie tak dawno w piątkowe popołudnie ulice Kouby były po prostu szare, a nie białe. Co się stało? I co się dzieje?

Nadchodzi szczególny dla całej Algierii piątek 20 kwietnia 1990 roku.

Już od czwartku do stolicy kraju zaczynają napływać z całej Algierii tłumy członków FIS i instalować się na głównych ulicach stolicy. Trudno podać dokładną liczbę. W każdym razie prawie cała Kouba zastawiona

jest autobusami, mikrobusami i samochodami osobowymi z rejestracją spoza stolicy.

Po popołudniowej modlitwie i po wyjściu z meczetów masy ruszają w kierunku Pałacu Prezydenta. Demonstracją kierują przywódcy FIS - Abassi Madani, Ali Belhadj i inni, którzy na specjalnie przygotowanej trybunie wygłaszają swoje przemówienia. Piętnastopunktowy program zostaje przez nich przedłożony w Pałacu Rządu. Wynika z niego między innymi, że Algieria jest krajem muzułmańskim, w którym powinno panować prawo koraniczne. Proponuje się reformy w szkolnictwie, sądownictwie. Trzeba powstrzymać galopujące bezrobocie, ucieczkę ludzi wykształconych za granicę, szerzącą się narkomanię oraz zbrodnie. Proponuje się rozważną interwencję polityczną w Chinach, w Indiach, Związku Radzieckim i Bułgarii w celu położenia kresu pogromowi muzułmanów i uciśnionych, proponuje się pomoc okupowanej Palestynie oraz afgańskim bojownikom.

Następnego dnia tytuły algierskich gazet krzyczą o zwycięstwie demokracji. Mityng FIS odbył się bez zakłóceń, w pełnym rozwagi spokoju. Partia FLN*, która również przygotowała wiec na ten dzień, odwołała go, ażeby nie doprowadzić do niepotrzebnej konfrontacji i być może przelewu krwi. A ja dalej nic nie rozumiem z tego, co się dzieje w tym kraju. Dla mnie FIS - to Belaici, a rząd to kodeks rodzinny i przedstawiciele prawa, którzy pozwolili wyrzucić mnie wraz z dziećmi na ulicę. Wierzę jednak w demokrację, o której tak bardzo zapewniają algierskie gazety. Postanawiam to wykorzystać w szukaniu pracy. Nie będę mogła długo pracować w bibliotece ze względu na niskie wynagrodzenie, koniecznie muszę szukać jakiegoś lepiej płatnego zajęcia.

* *Front de Liberation Nationale* - Front Wyzwolenia Narodowego.

Postanawiam znowu dać ogłoszenie w „El Moudjahid", tym razem takie, ażeby zwróciło ogólną uwagę. Muszę coś wymyślić. Czuję, że dwa lata temu dając ogłoszenie do gazety popełniłam błąd, usłuchawszy sugestii znajomych Algierczyków oraz urzędu pracy. Czuję, że nie tak ono powinno wyglądać jak wtedy. Teraz mam już ogromny bagaż życiowego doświadczenia. Piszę więc anons następującej treści:

Kobieta cudzoziemka zamieszkała na Koubie z dwojgiem dzieci obywatelstwa algierskiego na swoim utrzymaniu, bez możliwości opuszczenia Algierii, posiadająca dyplom wyższej uczelni, znająca chemię i informatykę, o dużej kulturze ogólnej, pilnie szuka pracy.

Z tym tekstem idę do biura ogłoszeń gazety „El Moudjahid". Konsternacja. Urzędnicy spoglądają po sobie. Wołają dyrektora, który z uwagą czyta treść anonsu.

- Bardzo mi przykro, proszę pani, ale czegoś takiego nie możemy wydrukować.
- Dlaczego?
- Proszę wykreślić: „bez możliwości opuszczenia Algierii".
- Nigdy - mówię. - To jest prawda. Jestem zakładnikiem w waszym kraju, a wasze prawo nie pozwala mi wyjechać z dziećmi, mimo że nie mam ani pracy, ani mieszkania. Poza tym macie w Algierii demokrację. Więc dlaczego nie chcecie wydrukować mojego ogłoszenia?

Dyrektor usiłuje mnie jednak przekonać o konieczności wykreślenia wyrażenia „bez możliwości opuszczenia Algierii" uprzedzając, że nigdy nie wydrukuje mi tak zredagowanego ogłoszenia. Wiem, że nie wygram i wykreślam ten nieszczęsny fragment. W rezultacie mój anons ukazuje się przez kilka kolejnych dni w najbardziej poczytnym dzienniku - „El Moudjahid".

W międzyczasie dowiaduję się przypadkowo, że w zakładzie S., w którym pracowałam zaraz po przyjeździe z Polski - odblokowano etaty. Pracuje w nim Polka Basia, mądra i życzliwa dziewczyna, mająca bardzo dobrą opinię. Idę do niej. Basia natychmiast prowadzi mnie do swojego dyrektora i przedstawia mu moją sytuację. Dyrektor S. cierpliwie słucha, po czym stwierdza, że u niego nie ma ani wolnych etatów, ani zapotrzebowania na kogoś takiego jak ja, ale widziałby mnie doskonale w innym dziale, u pana T. Na zakończenie dodaje, że jeżeli dyrektor T. mnie nie przyjmie, wtedy mam przyjść jeszcze raz do niego i zostanę jednak zatrudniona ze względów humanitarnych. Basia ogromnie się cieszy i towarzyszy mi aż do gabinetu dyrektora T., który przyjmuje mnie bardzo życzliwie. Jest to mężczyzna w średnim wieku, średniego wzrostu, o smagłej cerze, okrągłej, sympatycznej twarzy i gęstwinie

czarnych, prostych włosów. Przystojny i bardzo sympatyczny - to moje pierwsze odczucie. Wyjaśniam dyrektorowi, że kiedyś pracowałam trzy lata w tym zakładzie, przedstawiam stosowne zaświadczenia. Przedstawiam mu również moją sytuację, podkreślając fakt, że nie mam ani pracy, ani mieszkania, ani nie mogę wyjechać z Algierii.

Dyrektor T. jest szczerze przejęty. W ogóle nie patrzy na moje dyplomy ani nie słucha tego, co mam mu do powiedzenia o swoich kwalifikacjach zawodowych.

- Przyjmę panią, to byłoby niehumanitarne odmówić człowiekowi w takiej sytuacji, nawet gdyby pani okazała się nieprzydatna, w co bardzo wątpię. Proszę pani - dodaje - mamy bardzo niewielki pożytek z tej nielicznej grupy kobiet pracujących w moim dziale, nie mam więc najmniejszych obiekcji w przyjęciu pani, tym bardziej że te panienki pracować nie muszą, bo nie mają żadnych obowiązków, a pani - aż strach pomyśleć!

Słucham dyrektora T. z ogromnym podziwem i wdzięcznością. On nawet nie wie, że w tej chwili ratuje moje życie i życie moich dzieci.

- Proszę iść do działu E., tam pani załatwi wstępne formalności. Proszę jak najszybciej przyjść z kontraktem do podpisania.

Nie wierzę własnym uszom. Moja wdzięczność dla tego człowieka nie ma granic. Basia szaleje ze szczęścia. Idę do działu E., gdzie pamiętają mnie jeszcze z czasów zatrudnienia w tym przedsiębiorstwie. Wtedy było nas stu kilkudziesięciu cudzoziemców, dzisiaj razem ze mną będzie ich w zakładzie pięciu: Basia, ja, Francuz i dwóch Palestyńczyków. Dostaję do wypełnienia formularz, który zanoszę do dyrektora T. Natychmiast mi go podpisuje. Ale drogę do rozpoczęcia pracy mam jeszcze daleką. Teraz z odpowiednimi formularzami muszę iść do Urzędu Pracy dla Cudzoziemców, ażeby otrzymać pozwolenie pracy, bez którego nie mogę jej podjąć. Zakład podpisał mi kontrakt na dwa lata. Składam niezbędne dokumenty w Urzędzie Pracy dla Cudzoziemców i teraz pozostaje mi tylko czekać.

W tym czasie ukazuje się w „El Moudjahid" już właściwie nieaktualne moje ogłoszenie o poszukiwaniu pracy. Postanawiam jednak sprawdzić rezultaty mojego działania. Po kilku dniach idę do biura

ogłoszeń. Uśmiechnięta pani podaje mi ogromną paczkę listów. Nie tylko listów. Są nawet telegramy. Sześćdziesiąt osiem propozycji pracy! Dobrze, że zaufałam swojej intuicji. Ogłoszenie zwróciło na siebie uwagę i zostało prawidłowo odczytane przez Algierczyków, pomimo że musiałam wykreślić sformułowanie „bez możliwości opuszczenia Algierii". Przeglądam te oferty w domu. Czegóż tam nie ma! A najważniejsze - jest humanitarny oddźwięk na moje ogłoszenie. No bo jak inaczej można odczytać taką propozycję:

Szanowna Pani,

Jeżeli interesuje Panią praca w turystyce, między ludźmi, którzy tworzą jedną wielką rodzinę, proszę nawiązać z nami kontakt. Jeżeli ma Pani ochotę uciec z Algieru, nie ma żadnego problemu ze szkolą dla Pani dzieci. Będzie Pani mieszkała w naszym motelu. Posiada on klimatyzację, jest woda i elektryczność.

Aktualnie zaczyna funkcjonować hotel, kawiarnia i restauracja. W przyszłości planujemy stację wielousługową, centrum rozrywki, basen olimpijski, centrum handlowe etc. Jeżeli ma Pani ochotę na przygodę, jest pani przystojna i na dodatek dynamiczna, proszę się z nami skontaktować.

List ten, wysłany z dalekiej Sahary, został podpisany przez kobietę.

Jest nawet propozycja od *Association Enfance et Familles d'Accenti Bénévole* (AEFAB) *, od Ogrodu Zoologicznego. Pełno ofert od różnych prywatnych producentów wszelkiego rodzaju artykułów (guziki, materace, strzykawki). Są też oferty od wielu państwowych firm, bardzo porządnie napisane, nawet z rysunkiem i opisem dojazdu.

* dosł. Związek Dzieciństwa i Dobrowolnych Rodzin Zastępczych.

Sześćdziesiąt osiem ofert! Myślę o moim koszmarze poszukiwania pracy po rozwodzie, o koszmarze pracy w zakładzie w S., o ogromnym wysiłku Maguy i wszystkich moich francuskich przyjaciół szukających mi, bez rezultatu, zatrudnienia! Dlaczego nikt z nas nie wpadł na to

proste i banalne rozwiązanie z ogłoszeniem? Może dlatego, że wszyscy w tym kraju myślą tak jak Halima: „Bez pieniędzy i znajomości - zdechniesz. Niczego nie można załatwić bez znajomości, a już tym bardziej pracy przy tak ogromnym bezrobociu".

Przy tak niskich opłatach za anonse dotyczące poszukiwania pracy, mogłam się ogłaszać przez dwa lata. Jakiż ogromny błąd popełniłam! Przekonałam się teraz, jak nie wolno działać schematycznie, przekonałam się, że aby w życiu coś osiągnąć, trzeba wyjść poza stereotypy działania i myślenia. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że wiele ofert będzie niepoważnych lub nieuczciwych. Ale wierzę też, że na pewno znalazłoby się kilka do przyjęcia.

W bibliotece zapowiedziałam swoje odejście. Moi francuscy przyjaciele bardzo cieszą się z tego, że udało mi się trafić do tak dobrego zakładu pracy i że otrzymam wynagrodzenie, które pozwoli mi na opłacenie mieszkania i wyżywienie rodziny.

Ponieważ nie otrzymałam jeszcze pozwolenia na pracę, a mam sporo wolnego czasu, postanawiam sprawdzić niektóre z otrzymanych ofert.

Wybieram się do S.M., miejscowości położonej niedaleko Algieru, skąd przyszła ciekawa propozycja pracy. Okazuje się, że jest to firma zarządzana przez Francuzów, chociaż oferta o tym nie mówiła. Dyrektor bardzo rzeczowo mówi mi, że pracę mogłabym rozpocząć natychmiast. Polega ona na wprowadzaniu do komputera danych z księgowości. Bardzo proste. Dyrektor interesuje się moją sytuacją rodzinną. Dowiedziawszy się o moich problemach mówi, że mógłby mnie zakwaterować na terenie zakładu, gdybym tylko chciała. Pytam, dlaczego odpowiedział na mój anons. Przecież do takiej pracy, przy obecnym bezrobociu w Algierii, miałby dziesiątki kandydatek z okolicy.

- Proszę pani - odpowiada szczerze dyrektor - my jesteśmy poważną firmą, a kobieta w pani sytuacji na pewno będzie dobrze i solidnie pracowała.

Dziękuję mu za szczerość, jestem bardzo poruszona. Wyjaśniam mu cel mojej wizyty, przepraszam za kłopot, mówię, że przed ukazaniem się ogłoszenia zdążyłam podpisać kontrakt z S.

- Nie szkodzi - odpowiada dyrektor. - A czym pani do nas przyjechała?

- Autobusem - mówię.

Dyrektor wyciąga pieniądze i wręczając mi mówi:

- A, to wróci pani taksówką. Firma płaci.

Naprawdę to spotkanie było dla mnie wspaniałe. Gdybym pomyślała o tym dwa lata wcześniej! Gdybym, gdybym... Ciągle się o coś obwiniam, a przecież to oczywiste, że nie jestem w stanie zawsze prawidłowo reagować na wszystkie problemy, które muszę rozwiązywać. Niemniej jednak gdy myślę o tym, że tak niewiele nieraz potrzeba, ażeby nasze życie było zupełnie inne, nie mogę tego przeboleć.

Druga oferta. Pięknie urządzony gabinet lekarza w centrum stolicy. Pan doktor potrzebuje sekretarki do odbierania telefonów, przyjmowania pacjentów, uzgadniania dat wizyt.

- Dlaczego odpowiedział pan na moją ofertę? - pytam. - Przecież wiele algierskich dziewcząt szuka właśnie takiej pracy.

- Proszę pani, uznałem, że będzie pani pracowała lepiej niż Algierka. A poza tym Europejka jako sekretarka znakomicie podniosłaby prestiż mojego gabinetu.

Następna oferta również z centrum Algieru. Jakiś adwokat pisze, ażeby skontaktować się z nim niezwłocznie, ponieważ wyjeżdża za granicę. Umawiam się telefonicznie na poczcie głównej. To on ma mnie poznać. Podchodzi do mnie pan w średnim wieku. Przydługi włos, typ lowelasa. Taksuje mnie bezczelnie wzrokiem. Udaję, że nie widzę.

- Mam tutaj obok swój gabinet, zapraszam panią, pójdziemy pieszo.

Rzeczywiście nie jest daleko. Wchodzimy do zaśmieconego papierami pokoju z biurkiem na środku. Bałagan, jaki trudno sobie wyobrazić. Pan mecenas zmiata na podłogę ręką jakieś papiery z krzesła i każe mi usiąść. Zaczyna się rozmowa.

- Wyobrażam sobie pani sytuację! Dwoje dzieci! To musi być bardzo trudne w obcym kraju...

Już wiem, do czego zmierza ten lowelas. Ale słucham cierpliwie.

- Wie pani, prowadzę interesy z całym światem, jestem bogaty (no, nie widać tego - myślę sobie).
- A co ja mogłabym u pana robić? - pytam.
- Mogłaby pani przyjmować telefony, gdy mnie nie ma, no i porządkować te wszystkie papiery.
- A ile pan mi za to zapłaci?
- Tyle, ile pani zechce.
- Na przykład pięć tysięcy dinarów?
- Na przykład.
- No cóż, muszę już iść.

Pan mecenas proponuje, że podwiezie mnie do domu. Wyrażam zgodę, ponieważ w tych godzinach dojazd na Koubę jest ogromnie uciążliwy. Po drodze pan mecenas zmienia zdanie.

- Wie pani, właściwie to mi się pani bardzo podoba. Co by pani powiedziała na rolę damy do towarzystwa dla mnie?

Udaję, że nie rozumiem, proszę o wyjaśnienie.

- No, wie pani, ja dużo podróżuję, moglibyśmy podróżować razem, byłoby mi o wiele przyjemniej.

Mówię, że się namyślę i zadzwonię, każę wysadzić się w centrum Kouby. W domu znajduję w torebce kilkaset dinarów. Musiał mi je włożyć w chwili, kiedy skorzystałam w jego mieszkaniu z ubikacji. Kilkaset dinarów! Dla mnie to majątek, będzie na dodatkowe jedzenie dla dzieci, ani myślę mu ich oddać.

Czwarta propozycja. Agencja turystyczna znajdująca się na lotnisku prosi mnie o natychmiastowy kontakt. Mam problemy z dojazdem na umówioną godzinę. Przy biurku siedzi młody mężczyzna. Nic muszę się przedstawiać, zdradza mnie europejski wygląd. Mężczyzna zachowuje się bardzo nerwowo i dziwnie. Rozmowa nie klei się.

- Proszę pana, kazał mi pan natychmiast przyjechać, czy to takie pilne?
- Nawet bardzo - wierci się nienormalnie. - A może przejdziemy do pokoju obok i tam porozmawiamy, żeby nam nikt nie przeszkadzał?
- Dlaczego? - pytam. - Przecież tutaj nikt nam nie przeszkadza. Jesteśmy sami.

Mężczyzna udaje, że nie słyszy i ruchem ręki wskazuje, że mam udać się do biura obok. Ryzykuję. Wchodzę do tego biura i siadam. On sadowi się naprzeciwko mnie i wymownym gestem kładzie sobie rękę na genitaliach. Widać, że jest szalenie podniecony. Udaję, że nie widzę tego wszystkiego.

- Co miałabym robić u pana w biurze? - pytam.
- No, od czasu do czasu napisać jakieś pismo na maszynie.
- Od czasu do czasu? To znaczy jak często?
- No, raz na tydzień jedno pismo - precyzuje mężczyzna.
- A ile bym za to dostała? - pytam.
- Ile pani chce?
- Pięć tysięcy dinarów miesięcznie - mówię.
- Zgoda. Mój szofer będzie panią codziennie przywoził i odwoził.

Widzę, że pójdzie na każde układy, ponieważ jest „w potrzebie", a ja mu się najwyraźniej podobam.

- To kiedy pani zacznie? - pyta.
- Dam panu znać.

Żegnam się pośpiesznie, bo koniecznie chce otrzymać moje „namiary". No, jeszcze tego brakowało!

Tak zakończyłam rozpoznawanie rynku pracy. Na cztery oferty - dwie były poważne. Można by więc uogólnić i stwierdzić, że na 68 - 34 byłyby do przyjęcia. To bardzo dużo. Nie mogę odżałować tego, że od początku nie poszłam właściwą drogą. Ale widocznie tak już musiało być. Nic można cofnąć czasu.

Kończę pracę w bibliotece, żegnana serdecznie przez wszystkich francuskich przyjaciół. Jean płaci mi moją ostatnią pensję za pełny miesiąc, pomimo że ostatnie dwa tygodnie pracowałam tylko na pół etatu. Nie chcę wziąć, ale on stanowczo wciska mi pieniądze.

Otrzymałam już pozwolenie pracy, więc mogę ją rozpocząć. Pozostaje tylko do uzgodnienia termin. Zgłaszam się do dyrektora T., który jest ogromnie zadowolony, że udało mi się pozałatwiać wszystkie formalności. Uzgadniamy datę rozpoczęcia pracy- 2 czerwca 1990 r., sobota.

Dyrektor życzliwie wypytuje o dzieci, dodając:

- Przecież nie można było pani tak zostawić, przecież musi pani z czegoś żyć w tym kraju.

Zostaję zatrudniona jako pracownik z wyższym wykształceniem na tej samej stawce, co moi algierscy koledzy, tj. 4430 DA brutto, plus premie i dodatki stosowane w przedsiębiorstwie. Niestety, na dwuletnim kontrakcie z prawem odnawiania każdorazowo na rok. Takie są ogólne przepisy!

Oddycham z wielką ulgą. Mam zagwarantowaną na dwa lata nieźle płatną pracę w jednym z największych i najsolidniejszych zakładów w Algierii, w stabilnym ekonomicznie przedsiębiorstwie o strategicznym znaczeniu. Mam pracę, która jest podstawą egzystencji i która daje mi poczucie bezpieczeństwa.

Maguy dzieli moją radość. A ponieważ zarówno szczęścia, jak i nieszczęścia lubią chodzić parami, w tym samym tygodniu znajduje mi adwokata, który ma opinię solidnego i uczciwego człowieka. Jakież było nasze zdziwienie, kiedy się zobaczyliśmy. Okazało się, że znamy się już z sądu w Hussein Dey. To Amir - tłumacz w mojej sprawie rozwodowej. Jestem zadowolona, że to właśnie on, trochę mi to ułatwia zadanie.

Przedstawiam mu wszystkie posiadane dokumenty i dokładnie wyjaśniam sytuację. Pytam, czy mogę starać się o wyjazd z dziećmi do Polski.

- Mowy nie ma, przegra pani sprawę. Ale można wystąpić do sądu o to, ażeby pani były mąż płacił za mieszkanie. I to na pewno pani wygra.

12 czerwca 1990 r. Amir składa w sądzie Hussein Dey stosowny pozew, nieźle udokumentowany.

W tym samym dniu odbywają się w całej Algierii wybory samorządowe do APC i APW*. Dużą przewagą głosów wybory wygrywa partia FIS. Na drugim miejscu plasuje się rządząca partia FLN. Trzecie miejsce zajmuje partia RCD*. Algieria zmienia oblicze polityczne. Islamiści dochodzą do głosu na razie na najniższych szczeblach władzy.

Jak się to wszystko skończy? Dla Algierii, dla mnie?

* APW *(l'Assemblée Populaire de Wilaya)* - dosł. Ludowe Zgromadzenie Województwa.

** *Ressemblement pour la Culture et la Démocratie* - Ruch na Rzecz Kultury i Demokracji.

Praca w S., śmierć ojca, sąd, wyjazd dzieci

Drugiego czerwca 1990 roku rozpoczynam pracę w S. Lubię to miejsce, budynki są ładnie położone w centrum stolicy. Mój dział zajmuje piąte piętro jednego z dziewięciopiętrowych wieżowców. Ja pracuję na dziewiątym piętrze. Jest to jedyne biuro działu poza piątym piętrem budynku. Mam współpracować z Arabi L, przy obliczaniu premii kwartalnych dla pracowników.

Wieżowiec jest nowoczesnym, ładnym budynkiem, nieźle wyposażonym. Biura są najczęściej dwuosobowe. Moje jest ładnie pomalowane, czyściutkie, z klimatyzacją. Z okna roztacza się wspaniały widok na port, na morze i na Algier. Warunki pracy są doskonałe. Jest też stołówka zakładowa i zakładowy transport. Całe szczęście. Powtarza się jednak sytuacja sprzed kilkunastu lat. Autobus zakładowy odjeżdża z Kouby o 6^{45} (praca zaczyna się o 8^{00}). Wieczorem jestem na Koubie po godz. 18^{00} (pracujemy do 17^{00}). Ten wydłużony czas przejazdu jest spowodowany zarówno dużą odległością mojego zakładu od Kouby, jak i niesamowitymi korkami w kilku punktach miasta. Poza domem przebywam dokładnie 12 godzin. Po powrocie robię zakupy i przygotowuję posiłki dla dzieci na następny dzień. Zostaje mi niewiele czasu. Dzieci zdane są właściwie same na siebie przez cały dzień. Z Maguy widuję się coraz rzadziej.

Niepokoję się o rodziców w Polsce. Mam złe przeczucia. Od dłuższego czasu gnębią mnie niejasne obawy. Mówię o tym Maguy. Proszę ją, żeby mnie zaraz zawiadomiła, gdyby nadszedł jakiś telegram na *poste restante.* W czwartkowe popołudnie pod koniec czerwca jestem w domu. Nagle zjawia się Maguy, zupełnie zmieniona. Już od progu czuję, że coś się stało.

- Maguy, Maguy! - cieszę się.

Ale ona zachowuje się tak dziwnie, że nie wytrzymuję i pytam:

- Co się stało? No mów!
- Anno, nie bierz tego tak, no nie wiem...
- Czego nie wiesz?! Mów!
- Anno, masz telegram na poczcie! - wyrzuca z siebie Maguy.

Nogi uginają się pode mną. Czuję, że coś się stało w Polsce, w domu, że zmarło któreś z rodziców.

- Dlaczego nie przyniosłaś tego telegramu? - rzucam Maguy, która kręci się niespokojnie i nie wie, co mi odpowiedzieć. - Maguy, jak ja go teraz odbiorę? Poczta jest zamknięta.
- Możemy iść do kierownika - decyduje blada i nieswoja Maguy.

Ubieram się. Nogi mam jak z ołowiu. Głowę też. Znowu moje ciało oddziela się od duszy.

Idę z Maguy na pocztę, a po drodze myślę, które z rodziców zmarło. Nie widziałam ich cztery lata. I nagle nasuwa mi się okrutne pytanie, na które nie potrafię sobie odpowiedzieć. Które z nich chciałabym zachować przy życiu? Nie potrafię wybrać, ale wiem, że los już to za mnie zrobił.

Maguy dzwoni do mieszkania kierownika, który schodzi do nas z kluczami. Po chwili przynosi mi kopertę, a w niej ten telegram. Będę musiała otworzyć i przeczytać. Otwieram. „Zmarł tata. Pogrzeb...” Nie czytam dalej. Jest mi słabo, dziwnie, wydaje mi się, że umieram. Nie płaczę. Nie potrafię nic powiedzieć. Maguy szarpie mnie za rękaw, kierownik patrzy milcząco.

- Co się stalo, Anno, no co?
- Ojciec nie żyje! - odpowiadam i wybucham płaczem.

Płaczę, ponieważ nie zdążyłam się z nim pożegnać. Płaczę, bo moja sytuacja dobijała go codziennie od kilku lat. Płaczę, bo w ostatnich listach, które dostawałam z domu, pisał ciągle, że tak bardzo chciałby zobaczyć Sonię i Riada. Nie zdążył, a mógł je jeszcze spotkać, dzieci miały już wakacje. Było to jednak uzależnione od decyzji ich „opiekuna”, zgodnie z algierskim prawem. Jak to dobrze, że sędzia w zeszłym roku wydał pozwolenie na wyjazd dzieci. Wtedy ojciec widział je ostatni raz. Gdyby nie to, z jakim żalem umarłby ten człowiek, któremu bezsensowne prawo odebrało możliwość spotykania się ze swoimi ukochanymi

wnukami i pośrednio, z córką. Ileż rodzin rozdzieli jeszcze to okrutne prawo?

Jest czwartek po południu. Ażeby wyjechać z Algierii, muszę mieć wizę wyjazdową. Ażeby dostać taką wizę, muszę przedłożyć zaświadczenie, że jestem na utrzymaniu męża lub zaświadczenie o udzieleniu mi przez zakład urlopu. Skąd je mam wziąć? Czwartek i piątek są w Algierii dniami wolnymi od pracy. Biuro, które wydaje wizy, nie pracuje ani w czwartek po południu, ani w piątek. Najbliższy samolot do Polski jest dopiero w poniedziałek. Jak pokonać te wszystkie bariery? Nie jestem w stanie! Na pogrzeb nie dojadę, podobnie jak wiele żyjących tutaj Polek nie dojechało na pogrzeby swoich najbliższych. Dzwonię do koleżanki do Warszawy. Dyktuję jej przez telefon treść telegramu do mamy. To wszystko co mogę zrobić. Mogę jeszcze płakać do woli nad marnością ludzkiego losu.

W sobotę dzwonię do pracy. Nie jestem w stanie przyjść do zakładu. Zresztą, nie muszę. W związku ze śmiercią ojca należą mi się jakieś wolne dni, o czym szefowa informuje mnie przez telefon. Ale pozostanie w domu jest dla mnie większym koszmarem niż pójście do pracy. W takich chwilach boję się samotności, a właściwie nie tyle samotności, ile ataku nerwicy, której nabawiłam się pod wpływem agresji Belaici. Jedyną obroną przed tym dziwnym stanem jest obecność obok mnie życzliwych osób, ich uspokajające słowa, ich psychiczna pomoc. Maguy pracuje. Idę do Marii, przy której odzyskuję wewnętrzny spokój. Atmosfera jej domu, ciepło i życzliwość, które ma w sobie, zawsze mi pomagają. Tak jest i tym razem.

Wracam do pracy. Koledzy składają mi kondolencje.

Mijają dni, już od trzech tygodni są wakacje. Sonia bardzo chce jechać do Polski, nie chce zostawić babci samej w tak dramatycznym okresie.

- Idź do ojca - mówię jej - niech podpisze ci pozwolenie. Pokaż mu telegram, że zmarł dziadek.

Sonia idzie do Yacine, który, mimo że widzi telegram, nie wierzy w jego treść. Myśli, że to jest podstęp moich rodziców, aby ściągnąć dzieci do Polski. Jednak podpisuje Soni pozwolenie na wyjazd na wakacje,

ponieważ Riad zostaje jako zakładnik, że Sonia wróci. Zresztą nawet gdyby nie wróciła - nie ma problemu, ona się nie liczy, ważny jest tylko syn. Kupuję Soni bilet za ostatnie pieniądze, które mi pozostały. Nie mogę pozwolić, aby mama została w takiej chwili sama.

Riad spędza wakacje siedząc całymi dniami sam w domu. Przez dwanaście godzin dziennie musi się czymś zająć. Staram się, jak mogę, ażeby na każdy następny dzień podsunąć mu coś ciekawego. Nie starcza mi pomysłów na dwa i pół miesiąca. W pracy z niepokojem myślę, co też syn porabia w domu. Jedzenie zostawiam mu codziennie w lodówce.

Tak, naprawiłam w końcu tę nieszczęsną lodówkę. Pomógł mi w tym współpracownik z biura, który sprowadził do domu specjalistów. Okazało się, że gaz chłodzący był po prostu nabity pod niewłaściwym ciśnieniem. Panowie zażądali bardzo wysokiej sumy za naprawę. Musiałam jednak zapłacić.

Piękne, gorące lato 1990 roku. Czuję się bardzo zie. Budzę się po nocach z uczuciem zamierania serca, nie mogę złapać oddechu, ogarnia mnie przerażenie. Jak się ratować? Próbuję wykorzystać przyrodę i jej bogactwo. Postanawiam jeździć z synem na plaże. Te najpiękniejsze, położone niedaleko Algieru, są dla mnie niedostępne. Ażeby tam dojechać, trzeba mieć własny samochód. Pozostaje mi jedynie plaża Ain Taya. Jedziemy najpierw taksówką do dworca, a stamtąd autobusem do plaży. O ile dojazd jest niezbyt uciążliwy, o tyle powrót bywa koszmarem, ponieważ bardzo trudno wsiąść do autobusu, a złapanie taksówki z dworca na Koubę graniczy z cudem. Nie zniechęcamy się jednak i przez całe lato w czwartek i piątek jeździmy nad morze. Czuję, że po każdej kąpieli słonecznej moje ciało i umysł powracają do równowagi. Prawie nie wychodzę z wody, syn również. A na plaży sami mężczyźni. Kobiety można policzyć na palcach jednej ręki. No cóż, wybory do władz lokalnych wygrał FIS i zaraz widać zmiany w algierskim krajobrazie. Z plaż zniknęły piękne dziewczyny w kostiumach kąpielowych. Na ich miejsce pojawili się brodaci osobnicy w religijnych *kamis*.

Koniec lata jest również końcem moich spotkań z Maguy, która podjęła dramatyczną decyzję. Wraca do Francji na stałe.

- A twoja praca zawodowa? - pytam. - Przecież we Francji musisz zaczynać od nowa, a dobiegasz już pięćdziesiątki. Tutaj masz wypracowaną emeryturę. Dlaczego?

- Nie mogę już zostać dłużej w tym kraju. To, co widzę, przerasta mnie.

Czuję, że moje przeżycia zaważyły na jej decyzji. Wiem, że Maguy pojedzie. Za kilka dni będziemy się żegnać. Mam wrażenie, że tracę ją na zawsze, tak jak Sabrinkę i ojca.

- No co ty, Anno! - żartuje Maguy. - Przecież jadę tylko do Francji, a ty wrócisz do Polski i będziemy sąsiadkami. Na pewno będziemy się spotykać, chociaż może nie tak często.

Jedź Maguy, skoro odczuwasz taką potrzebę. Nigdy nie zapomnę tego, co dla mnie zrobiłaś. Dla mnie Francja to ty i twoi przyjaciele. Do końca życia pozostanie mi miłość do twojego kraju, dzięki tobie i twojej Grupie Przyjaźni. Kocham cię, Francjo, i was, Francuzi, zupełnie zwariowaną, idealistyczną miłością, której nic nie jest w stanie zburzyć. Za tę wielką miłość, którą dane mi było przeżyć - dziękuję ci Maguy.

* * *

W pracy w S. układa mi się nieźle. Do zespołu przychodzi Kamil, młody inżynier informatyk. Od razu poczułam do niego sympatię, chociaż z wyglądu niczym się nie wyróżnia. Jest to wysoki (180 cm), chudy osobnik o rzadkich, krótko obciętych, prostych włosach. Ma jasną cerę i okrągłą twarz z nasadzonymi na nos okularami o grubych szkłach. Moje pierwsze wrażenie po ujrzeniu go było: jakiś zagubiony w świecie marzyciel - naukowiec.

Kamil ma samochód i pod koniec lata kilkakrotnie zabiera mnie i Riada na plażę do Club des Pins, jedynej miejscowości położonej niedaleko stolicy, gdzie jeszcze można zobaczyć nieco więcej dziewczyn. Club des Pins zawsze należał do najlepszych, najbardziej luksusowych i najlepiej zagospodarowanych plaż w Algierii. Riad jest niezmiernie szczęśliwy, że widzi mnie w dobrej formie.

Kończy się lato, przyjeżdża Sonia.

Tymczasem w sądzie odbyły się dwie rozprawy dotyczące płatności za mieszkanie, bez rezultatu oczywiście. Przeniesione, odłożone na późniejszy termin.

- Ciekawa jestem, jaką sąd podejmie decyzję - interesuje się Basia.
- Nie mają właściwie wyboru, będą grali na zwłokę - kto kogo przetrzyma. Być może w międzyczasie dasz za wygraną, opuścisz dzieci i wyjedziesz z tego kraju - ciągnie Basia. - Wtedy problem będzie rozwiązany.
- Owszem - przyznaje adwokat. - Sprawa będzie się wlokła, ale w końcu muszą wydać werdykt korzystny dla pani.
- No dobrze, a gdybym nie miała pracy, to z czego bym żyła przez te wszystkie miesiące? Z czego płaciłabym za wynajmowane mieszkanie? A przecież od wydania wyroku do jego wyegzekwowania - w takich sprawach - droga długa. Od tego wyroku, gdyby był niekorzystny dla Yacine, będzie się on mógł odwołać do wyższych instancji. To może trwać latami. Jakie praktyczne znaczenie ma orzeczenie sądu, zobowiązujące Yacine do płacenia za wynajmowane przeze mnie mieszkanie? Według mnie - żadnego.

Yacine był mi winien 5000 dinarów alimentów za pięć miesięcy (za dwa miesiące zeszłego lata, kiedy dzieci były w Polsce, oraz za trzy miesiące, kiedy dzieci były u niego po wyrzuceniu nas przez rodzinę Belaici). Oświadczył mi zdecydowanie, że nigdy tych pieniędzy nie dostanę, ponieważ nie ponosiłam w tamtym okresie żadnych wydatków związanych z utrzymaniem dzieci (*sic!* - a chociażby zakup dwóch biletów do Polski czy opłaty za obiady u rodziny D.?).

W kwietniu złożyłam u prokuratora pismo w sprawie tych zaległych alimentów, jednak wezwanie na rozprawę dostaję dopiero jesienią. Gdybym pracowała w innym zakładzie, na pewno dałabym spokój z odzyskaniem tych pieniędzy, ale korzystam z tego, że szefowa nie stwarza mi

problemów z wyjściem (od czasu do czasu) w celu załatwienia różnych formalności. Chcę się również przekonać, jak wygląda, zgodnie z algierskim prawem, odzyskanie należnych dzieciom alimentów.

Stawiam się w sądzie w Hussein Dey grubo przed rozpoczęciem posiedzenia sądu. Na wezwaniach podaje się datę, nie ma jednak godziny, więc wszyscy zainteresowani, którym sąd wyznaczył na ten dzień rozprawę, muszą stawić się na rozpoczęcie posiedzenia sądu, tj. na godzinę dziewiątą. Czekam prawie cały dzień na sali rozpraw, zapełnionej po brzegi, moja sprawa bowiem jest znowu ostatnia. W dniu dzisiejszym odbywają się tylko sprawy o alimenty, odszkodowania itp. Idzie szybko i taśmowo, sala często wybucha śmiechem po słowach pozwanych, do czego jestem już przyzwyczajona. Niestety, nadal nic nie rozumiem, bo w sądzie obowiązuje język arabski. Jak zwykle nudzę się, a ponieważ i tak w tylnych partiach sali jest dosyć głośno, nawiązuję rozmowę z siedzącą obok mnie kobietą, mniej więcej w moim wieku.

- Co panią sprowadza? - pytam.
- Pragnę odzyskać moje rzeczy od byłego męża - chętnie mi odpowiada. - Po rozwodzie musiałam wynosić się z mieszkania z czwórką dzieci, a cały mój dobytek łącznie z tym, co przyniosłam jako swoją wyprawę ślubną, mój mąż zatrzymał i do dzisiaj nie mogę tego odzyskać. Nie mówię już o wspólnym dorobku. Pracowałam zawodowo wiele lat i nadal pracuję. Inwestowałam w nasz wspólny dom, pomagałam mężowi, jak mogłam. Czyż na zakup każdego garnka i łyżki miałam brać faktury na moje nazwisko, ażeby teraz móc udowodnić, że właśnie ja je kupiłam? W przeciwnym wypadku, zgodnie z prawem, mogę zabrać jedynie to, co w prezencie ślubnym ofiarował mi przy świadkach mój mąż oraz moją wyprawę ślubną. Podziału majątku nie ma. Proszę pani! - ciągnie dalej kobieta - zabezpieczanie się od pierwszych dni małżeństwa, zakładanie z góry, że może się ono skończyć rozwodem, mijałoby się z celem. Zresztą prowadziliśmy wspólną kasę. Czy wyobraża sobie pani taką sytuację: mąż idzie kupić np. łóżeczko dziecinne i ja mówię mu: „Tylko nie zapomnij wziąć faktury na moje nazwisko, bo to ja dałam pieniądze”? Czysta bzdura. Po szesnastu latach małżeństwa jestem bez żadnego

dorobku materialnego, bez mieszkania, u rodziców, którzy nie akceptują moich dzieci. Mieszamy jak sardynki w puszce, 20 osób na 30 metrach kwadratowych.

Siedząca z drugiej strony elegancka kobieta przysłuchuje się naszej rozmowie. W końcu nie wytrzymuje î wyrzuca swoje żale tym chętniej, że słucha jej Europejka.

- Proszę pani, ja jestem lekarzem i też pracuję zawodowo. Miałam ziemię kupioną na moje nazwisko. Mąż pod presją rodziny domagał się ode mnie dowodów miłości i zaufania. No cóż, przeniosłam akt własności na nazwisko męża. W dodatku to ja w większej części finansowałam budowę naszej willi, ale on zajmował się organizacją i nadzorem. Czyż mogłam żądać od niego, żeby przynosił mi rachunki na wszystkie materiały budowlane, na które dałam pieniądze? Teraz *monsieur* ma drugą, młodą żonę, a ja mam opuścić z moimi dwiema córeczkami mieszkanie, ponieważ mąż nie ma innego lokum. Widziała pani coś takiego?

Słowa te padają z ust algierskich kobiet, muzułmanek, które tak samo jak ja nie mogą pogodzić się z bezprawiem czy raczej - z ewidentną głupotą i bezdusznością prawa, któremu podlegają. Czego ja się jeszcze nasłucham w tych sądach! Boże, gdzie ty jesteś, że patrzysz na tę mękę kobiet i dzieci „zgodnie z prawem"? Zgodnie z jakim prawem?!?

Wszystkim rozprawom przewodniczy sędzia, którego miałam już okazję poznać na rozprawie przeciwko Zoubidzie i Mohamedowi za pobicie mnie z użyciem noża i grożenie. Właśnie ten sędzia wydał wyrok skazujący Mohameda na rok więzienia. Wywarł na mnie bardzo korzystne wrażenie, wydaje się „twardy" i uczciwy. Takie samo wrażenie odnosi chyba adwokat Yacine, przekłada bowiem rozprawę.

Tak, Yacine wziął sobie adwokata, któremu prawdopodobnie zapłacił tyle, ile był mi winien alimentów. Wolał dać adwokatowi niż własnym dzieciom! No cóż, straciłam cały dzień.

Za dwa miesiące odbywa się następna rozprawa. Tym razem postanawiam nie być ostatnia. Wchodzę do sekretariatu, gdzie wszyscy znają mnie już z widzenia. Pokazuję wezwanie, proszę, ażeby sprawdzili,

który mam numer. Sprawdzają - ostatni, jak zwykle. Zanosi się więc na cały dzień czekania. Nie dając za wygraną, przekonuję sekretarza sądowego, ażeby przełożył mój wniosek z ostatniego na pierwsze miejsce. Wreszcie sekretarz daje się ubłagać, chociaż mówi, że może mieć nieprzyjemności od sędziny.

- Sędziny? - pytam. - To dzisiaj przewodniczącym sądu jest kobieta?

Wychodząc z sekretariatu, spotykam na korytarzu adwokata Yacine, rozmawiającego z jakąś kobietą w todze. Są na „ty" i bez skrępowania prowadzą po francusku luźną rozmowę. Jeżeli to jest pani sędzina, to przepadłam - myślę sobie. Wchodzę na salę rozpraw. Za chwilę pojawia się skład sędziowski, któremu przewodniczy znajoma adwokata Yacine.

Rozpoczynają się rozprawy. Jako nr 1 - ja i Yacine. Widzę zdziwienie na twarzy adwokata Yacine, a sędzina jest wyraźnie wściekła. Po lewej stronie podium, za osobną barierką, siedzi znany mi już prokurator, po prawej stronie - zespół adwokatów. Sędzina zaczyna mówić do mnie po arabsku.

- Wysoki sądzie! Nie rozumiem po arabsku, czy można prowadzić rozprawę po francusku?

- Po tylu latach pobytu w Algierii jeszcze się pani nie nauczyła naszego języka? - sarka złośliwie sędzina, ale widząc karcący wzrok prokuratora, zaczyna rozprawę po francusku.

- Słucham, o co pani chodzi? - pyta.

Stoimy przed tym sędziowskim podium za barierką dla pozwanych - ja, obok mnie Yacine i jego adwokat. Wnoszę o wypłatę zaległych alimentów dla dzieci i podaję zrobiony przez siebie wykaz. Sędzina naradza się ze składem sędziowskim, który tworzą dwie kobiety, po czym pada odpowiedź:

- Musi mi pani udowodnić, że pani nie dostała alimentów za te miesiące.

Nie wierzę własnym uszom! To nie Yacine ma udowodnić, że mi te alimenty wysłał, tylko ja mam udowodnić, że ich nie dostałam! W jaki sposób, zgodnie z logiką tej algierskiej sędziny, można to udowodnić? Moim zdaniem, w żaden sposób.

- Wysoki sądzie! Niech mój były mąż udowodni, że mi te alimenty wysłał! - odpowiadam patrząc na prokuratora, który w tym momencie dorzuca, że to nie ja mam udowodnić, iż pieniędzy nie dostałam, ale Yacine, że mi je wysłał. Na to podchodzi do sędziny adwokat Yacine i coś jej podaje; wymieniają przy tym jakieś uwagi.

- Proszę, oto dowód dla pani, że mąż zapłacił wszystko - oświadcza głośno sędzina podając mi cieniutką kartkę formatu A4, napisaną ręcznie, z zestawieniami oraz pieczątką adwokata Yacine w lewym górnym rogu.

- Ma pani swój dowód - dorzuca zjadliwie.

Patrzę na ten rękopis i ogarnia mnie pusty śmiech.

- Czy mogę coś powiedzieć? - zwracam się do prokuratora.

- Proszę bardzo - odpowiada.

Biorę tę kartkę papieru (do dzisiaj pieczołowicie przechowuję tę „relikwię") i, pokazując ją wysoko, głośno pytam:

- Bardzo przepraszam, czy ręczne zestawienie adwokata jest uznanym dowodem rzeczowym dla algierskiego sądu?

Ława adwokacka nie może powstrzymać się od śmiechu, prokurator nerwowo kręci się za swoją barierką, a sędzina zaczyna krzyczeć:

- Nie pani nas będzie uczyła prawa, proszę wyjść i czekać!

Jej twarz jest czerwona ze złości. A przecież jest to kobieta, na pewno ma dzieci. Jako sędzia powinna zdawać sobie sprawę z tego, co przyprowadziło mnie na tę salę - na pewno trudna sytuacja, z powodu której cierpią dzieci. Ta przedstawicielka prawa wie, że jestem uwięziona w jej kraju przez kodeks rodzinny. Walczę o alimenty dla algierskich dzieci, których jestem matką.

Wracam na miejsce. Mam czekać. Jak długo? Okazuje się, że bardzo długo. Wreszcie sędzina wzywa nas. Oświadcza, że mamy iść do komornika, który wszystko sprawdzi, a następnie wrócić z jego decyzją na salę. Yacine, jego adwokat i ja wychodzimy na pierwsze piętro budynku. Pracują tam komornicy. Akurat trafiamy na tego, który już wiele razy udzielił mi bezinteresownej pomocy i okazał dużą przychylność.

Zaczyna się przepychanka między adwokatem, komornikiem i mną. Ja swoje, adwokat Yacine swoje, a komornik nie może się w tym

wszystkim rozeznać. Adwokat Yacine przyjął metodę obliczania alimentów - od... do.... co w różnych kombinacjach pozwala mu „zgubić" trzy tysiące dinarów. Ja upieram się przy tym, że alimenty powinny być liczone za pełny miesiąc, niezależnie od tego, w którym dniu została wydana decyzja sądowa. Popiera mnie komornik. Na zestawieniu adwokata wyszczególniono także, że alimenty dla Sabrinki liczą się tylko do końca stycznia ponieważ zmarła na początku lutego. Wszystko zmierza do tego, żeby mnie okpić. Kuty na cztery nogi adwokat Yacine nie daje za wygraną. Ja i komornik również. Kłócimy się i liczymy wszystko od początku przeszło godzinę. Wreszcie komornik podaje jakieś zestawienie adwokatowi Yacine i wracamy na salę rozpraw. Oczywiście, musimy odczekać swoje. Wreszcie sędzina nas prosi. Gramy według poprzedniego scenariusza.

- Proszę pokazać mi przekazy za te miesiące lub przekazy, na których wpłacone były podwójne sumy - upieram się. - Adwokat kłamie i kręci! - oświadczam głośno i, o dziwo, uchodzi mi to na sucho.

Sędzina znowu wysyła całą naszą trójkę do komornika, gdzie po godzinie bezowocnych negocjacji dochodzi do kłótni.

- I co, nie wstyd panu? Kogo pan broni i przed kim? Gdzie pana zawodowe sumienie? Przecież ja walczę o pieniądze dla dzieci. Ile pan dostał od mojego byłego męża? Chyba więcej niż suma, o jaką pan tak zajadle walczy!

Mówię to w obecności Yacine, komornika i ludzi, którzy znajdują się akurat w biurze. Adwokat zachowuje się jednak elegancko i puszcza mimo uszu wszystkie moje złośliwości. Wracamy na salę rozpraw. Adwokat wygłasza swoje zawiłe argumenty, ja powtarzam swoje:

- Chcę zobaczyć dowody nadania pieniędzy za te pięć miesięcy. Adwokat kręci i kłamie!

Sędzina nie jest w stanie sprawdzić wszystkich przedstawionych jej cyfr, oświadcza więc, że po zakończeniu posiedzenia sądu mamy zgłosić się w sali (tu pada numer) w celu dokładnego zbadania sprawy.

No cóż, muszę czekać do zakończenia rozpraw. Wreszcie jestem w małym biurze. Wraz ze mną Yacine, jego adwokat, pani sędzina i jej skład przyboczny - dwie młode sędziny. Zaczyna się od początku

- adwokat swoje, ja swoje, Yacine swoje. Przyznam, że adwokat Yacine nieźle sobie radzi, gmatwając wszystko tak, że nie nadążam z moimi kontrargumentami. Wreszcie jedna z młodych sędzin nie wytrzymuje i pyta wprost Yacine:

- Proszę pana, przecież to są pana dzieci, dlaczego pan nie chce zapłacić tych 5 tysięcy dinarów?

- Bo ona (chodzi o mnie) zawsze chciała mnie oszukać. Ja się nie dam oszukiwać - pada odpowiedź Yacine.

Sędzina oświadcza, że musi wszystko jeszcze raz dokładnie sprawdzić, że przekłada rozprawę na 17 listopada. Wychodzę z tego przybytku prawa nie załatwiwszy niczego. Ciekawa jestem, jaka decyzja zapadnie 17 listopada?

W wyznaczonym dniu czekam do końca po to, ażeby dowiedzieć się, że przyznano mi 2000 dinarów. Po rozprawie idę do mojego znajomego komornika, który mówi mi, że mogę odwołać się od tej decyzji. Dwukrotnie zjawiam się z tym odwołaniem w sekretariacie sądu, godzinami wyczekując na przyjęcie, by w końcu zrozumieć, że nigdy nie zdołam je złożyć. Dzwonię do adwokata, który prowadzi mi sprawę o mieszkanie.

- Niech pani mi poda numer akt - prosi Amir. - Zrobię pani to odwołanie do sądu w Algierze.

Amir wszystko pozałatwiał i sprawa znalazła się w sądzie w Algierze, a rozprawa ma się odbyć wiosną 1991 roku. Fotokopie wszystkich decyzji sądu, wezwań i innych pism wysyłam do rodziny Kebaili, która dalej milczy jak zaklęta. Wysyłam im również fotokopie protestu naszej ambasady i wszystkich moich podań do sądu o przeprowadzenie badań psychiatrycznych Yacine. I nic, żadnej reakcji. Zupełna cisza.

Dni mijają szybko. W pracy stykam się ze wspaniałymi ludźmi o szerokich horyzontach i gruntownym wykształceniu. Oprócz Kamila, z którym się szczerze przyjaźnię, poznaję Khatimę, Fellę, Anissę i Nassibę oraz szefa Anissy - Abdellatifa. Khatima to mała trzpiotka z dużym poczuciem humoru i uśmiechem lśniącym śnieżną bielą zębów. Fella ma bardzo subtelną urodę i dużo wewnętrznego ciepła.

Anissa jest zgrabną dziewczyną o wiotkiej figurze, z burzą wijących się do pasa ciemnoblond loków, zawsze modnie i kolorowo ubrana. Ma ukończone, tak jak Khatima i Fella, wyższe studia ekonomiczne. Wszystkie trzy są niezamężne, chociaż Khatima dobiega do trzydziestki, a Fella i Anissa już ją przekroczyły. Nassiba to wrażliwa i bardzo subtelna w obejściu samotna kobieta w średnim wieku, której rodzina jest rozsiana po świecie. Zna języki, literaturę i muzykę, gra na pianinie. Posiada bogatą płytotekę i bibliotekę. Lubię przebywać w jej towarzystwie, podobnie jak w towarzystwie Khatimy, Felli, Anissy i Abdellatifa, mądrego i postępowego Algierczyka o odważnych poglądach społecznych i politycznych. Darzę sympatią współpracownika Arabiego L., chociaż drażni mnie jego bałaganiarstwo i brak jakichkolwiek metod pracy.

Zbliża się koniec roku, listy od mamy są coraz bardziej niepokojące. Czuję, że nie może odnaleźć się po śmierci ojca. Muszę się z nią zobaczyć. Ale jak? Z kim zostawić dzieci?

Otrzymuję trzytygodniowy urlop. Szefowie idą mi bardzo na rękę. Pozostaje tylko problem dzieci.

- Możesz jechać - zapewnia mnie Saida. - Pomogę dzieciom, będę ich codziennie doglądać.

Również Sophie deklaruje swoją pomoc. Przygotowuję się do wyjazdu do Polski. Robię odpowiednie zapasy w lodówce, gotuję, upycham do zamrażalnika. Niektóre produkty zanoszę do Saidy i pełna niepokoju o los dzieci wyjeżdżam do kraju. W samolocie siedzę obok polskiego pracownika, zatrudnionego przy budowie metra w Algierze. Podróż upływa mi na milej rozmowie. Rozstajemy się w Warszawie nie przeczuwając, w jakich dziwnych okolicznościach przyjdzie nam się jeszcze spotkać.

W Warszawie na lotnisku czeka na mnie mama, której nie poznaję. Nie dlatego, że upłynęło prawie pięć lat od naszego spotkania, ale dlatego, że śmierć taty tak ją zmieniła. W B. widzę, jak żyje. Samotnie, myśląc o mnie i o dzieciach. Moja nerwica lękowa zaostrza się tak bardzo, że idę po poradę do lekarza, który nie bardzo wie, co ze mną zrobić. Mama jest zmartwiona. Swoim przyjazdem nic jej nie pomogłam, a jedynie przysporzyłam trosk. W nocy nie mogę spać, oblewa mnie zimny

pot, chce mi się krzyczeć ze strachu, narasta potworny lęk. Wreszcie po wielu nie przespanych nocach nafaszerowana lekarstwami - zasypiam. Jednak do końca pobytu w Polsce czuję się źle.

Po wylądowaniu w Algierze objawy choroby ustępują. Dzieci zastaję w doskonałej formie, pod troskliwą opieką Saidy i Sophie. Kamil wita mnie radośnie, Fella i Nassiba wypytują o mamę.

Dnia 10 lutego 1991 roku sąd w Hussein Dey po jedenastokrotnym!! odraczaniu sprawy opłaty za mieszkanie wydaje wyrok. Jest on korzystny dla mnie, ale bardzo nieprecyzyjny. Zobowiązuje Yacine do opłaty za wynajmowanie lokum. Dodatkowo adwokat zażądał podwyższenia alimentów z 500 na 750 dinarów miesięcznie na dziecko i sąd przychylił się do tej prośby, co zostało ujęte w decyzji. Będę ją mogła odebrać dopiero za kilka tygodni, gdy zostanie napisana na maszynie i podpisana. Yacine przysługuje prawo odwołania się. Z dobrym adwokatem może tę sprawę odwlekać w nieskończoność. Jakoś nierealna wydaje się mi możliwość wyegzekwowania kiedykolwiek tej decyzji sądu. Niemniej jednak walczę z Yacine na wszystkich frontach o mój wyjazd z dziećmi z Algierii.

W sądzie wyższej instancji w Algierze ma się odbyć sprawa z odwołania o alimenty. Czekam na Yacine pod jego zakładem pracy. Dopadam go przy wyjściu.

- Jeżeli nie zapłacisz tych zaległych alimentów, wsadzę cię do więzienia, nawet gdybym miała przespać się ze wszystkimi sędziami w Algierze! Nie oddasz mi praw do dzieci - będziesz płacił po pięć tysięcy dinarów miesięcznie za mieszkanie! Zobaczysz, że to zrealizuję, nawet gdybym miała uwieść samego ministra sprawiedliwości!

Wiem, że mówię bzdury, ale znam już jego sposób widzenia mnie i wiem, z jakiej strony uderzyć. Yacine nie odzywa się. Po kilku dniach otrzymuję pocztą 3000 dinarów. Nadal wysyłam fotokopie dokumentów i listy do Kebaili, którzy milczą jak zaklęci. Do Yacine piszę ciągle bzdurne listy, strasząc go, czym się da. Wysyłam mu otwarte kartki do zakładu pracy: „Chcę wyjechać z dziećmi. Gdzie jest pozwolenie? Gdzie

jest mieszkanie? Gdzie są alimenty?" itp., itp... Niech wszyscy w zakładzie czytają! Również przez dzieci przekazuję mu nieprzyjemne listy, ponieważ w każdy piątek rano zjawia się przed naszym domem, wykrzykując: Riad! Sonia! Krzyczy tak długo, aż dzieci wyjdą. Nie podoba się to gospodyni. Ale co ja mogę zrobić? Ma prawo do widywania się z dziećmi. Zrobiłabym teraz wszystko, ażeby go od tych dzieci oddzielić, a szczególnie od córki, której za każdym razem opowiada bzdury na mój temat, usiłując ją przekonać, że to przez moich „kochanków" rozpadło się nasze małżeństwo. Ma to fatalny wpływ na dorastającą dziewczynę, która nie potrafi obiektywnie ocenić motywów postępowania rodziców. Mój atak na tego człowieka jest doprawdy paskudny, wstydzę się sama przed sobą tego, co robię. Jest to niestety jedyna metoda walki o naszą wolność. Walczę bez skrupułów, omijając prawo, które nie stanie po mojej stronie. Wygra silniejszy. A czyż może być większa siła niż siła matki walczącej o dzieci? Muszę wygrać, czuję, że jestem już niedaleko celu.

Odbieram decyzję sądową o przyznaniu mi racji w sprawie mieszkaniowej. Robię kilka fotokopii, które w kolejnych listach wysyłam zarówno do Kebaili, jak i na domowy adres Yacine licząc, że wpadnie to w ręce kogoś z domowników. Wreszcie pewnego dnia pod moim zakładem pracy zjawia się Yacine.

- Słuchaj, chcę z tobą porozmawiać.
- O co chodzi?
- Wiem, że masz wszędzie kochanków, którzy ci pomagają i nie jestem w stanie wygrać z tobą we własnym kraju. Powiedz mi, czego chcesz ode mnie?
- Chcę, żebyś mi oddał prawo do dzieci. Na razie zostaję w Algierii, ponieważ tak mi się ułożyło. Jak widzisz, mam świetną pracę i mieszkam w ładnej willi w porządnej dzielnicy. Dlaczego miałabym wyjeżdżać? - kłamię, żeby uśpić jego czujność. - Nie widzę powodów, ażeby, mając dzieci na utrzymaniu, ciągle zwracać się do ciebie o różne pozwolenia. Chcę być prawnym opiekunem dzieci. To trzeba załatwić sądownie!
- Dobrze, pomyślę o tym - odpowiada Yacine i odchodzi.

Hurra!!! Prawie wygrałam, czuję, że wygram, obrałam prawidłową drogę walki! Niestety, moja radość jest przedwczesna. Zapomniałam, że to nie Yacine ma najwięcej do powiedzenia we własnych sprawach, ale Madina i jego fanatyczny brat Salem. Po kilku dniach zjawia się Yacine zupełnie zmieniony.

- Mogę ci dać prawo do dzieci, ale załatwimy to nie przez sąd, tylko przez notariusza. I musisz mi podpisać to, co ja zechcę, bo ja dyktuję warunki!

- A jeśli nie podpiszę twoich warunków?

- No, tylko spróbuj! - odpowiada z obłędem w oczach. - Przygotowałem tekst umowy, którą musimy oboje podpisać.

Czytam ten tekst, w którym znajduje się m, in., że mogę wyjeżdżać z dziećmi za granicę i podpisywać wszystkie dokumenty w zamian za to, że obywatel Yacine Brahimi nie będzie płacił za mieszkanie, a ja odstąpię od roszczeń, do których uprawnia mnie decyzja sądu wydana 14 lutego 1988 roku (decyzja rozwodowa, która została uprawomocniona!). Alimenty obywatel Brahimi będzie płacił pod warunkiem, że dzieci zostaną w Algierii.

Jak widzę, wszystko zostało dokładnie przemyślane. Po rozwodzie prawnie nic mi się nie należało, bo nie posiadałam dowodów zakupu czegokolwiek, wystawionych na moje nazwisko. Na wspólną książeczkę oszczędnościową, gdzie wpływały również moje pieniądze, nie miałam upoważnienia. Zwolnienie się Yacine z zakładu pracy było jednoznaczne ze zmuszeniem mnie do opuszczenia Algierii bez dzieci z przysłowiową jedną walizką. A gdy plan ten nic powiódł się, dla Yacine istnieje zawsze wyjście. Może sprzedać matce prawo do jej własnych dzieci. Nic nie uszło jego uwagi. Nawet zapłacenie marnych 1500 dinarów jest uwarunkowane szantażem: dzieci mają zostać w Algierii! A więc, kobieto - martw się o wszystko: o zapewnienie im wyżywienia i mieszkania w obcym dla ciebie kraju, o ich prawidłowy rozwój fizyczny i psychiczny, ojciec bowiem umywa ręce. A jeżeli nie poradzisz sobie i wyjedziesz - stracisz prawo do alimentów. Podsuwając mi do podpisania tę umowę, zabezpieczył bardzo dokładnie swój interes, a nie interes dzieci. Teraz zaczyna mnie ciągać po różnych notariuszach na Koubie. Każdy wydaje mu się podejrzany, każdy chce go oszukać.

- W czym ci ludzie chcą cię oszukać? - pytam? - Przecież masz napisany tekst umowy.

Yacine przewraca niebezpiecznie oczami mówiąc: - W tym kraju wszyscy to skurwysyny. Chcą mnie wykołować, już się o tym przekonałem.

Mijają dwa tygodnie, wreszcie oświadcza mi, że znalazł notariusza w sądzie w Hussein Dey.

- Tak będzie bezpieczniej - notariusz sądowy i dwóch świadków - stwierdza.

Jedziemy do sądu, gdzie wszystko załatwia Yacine. Ja nie mam nic do powiedzenia, ja muszę podpisać. Yacine płaci notariuszowi. Podpisuję ten akt nie mający mocy prawnej, jak się niedługo okaże. Mam go i doznaję dziwnego przeczucia, które prawie nigdy mnie nie myli. Jest koniec maja. Ponieważ zbliżają się wakacje, postanawiam zdobyć pozwolenie na wyjazd dzieci posługując się tym aktem notarialnym. Idę do komisariatu policji.

- Nieważny! - słyszę z ust wszystkich obecnych policjantów.

- Jak to nieważny? - oburzam się. - Przecież został sporządzony w sądzie w Hussein Dey przez notariusza sądowego w obecności dwóch świadków! Jest na nim podpis mojego męża!

- Nieważny i koniec - mówią zdecydowanie. - Prawo jest prawem i tylko sąd może je zmienić, a nie notariusz. Zgodnie z prawem tylko ojciec może podpisać takie zaświadczenie.

- A, tak? To po co wobec tego wystawiono mi ten papier? - zwracam się do jednego z policjantów.

- Po to, żeby pani zapłaciła pieniądze! - pada odpowiedź.

- W takim razie proszę o wystawienie mi zaświadczenia, iż posiadany przeze mnie akt notarialny nie daje mi opieki prawnej nad dziećmi.

- Nie wystawimy! - słyszę.

Widzę, że nie mam tu już nic do szukania, wycofuję się. Postanawiam, nie dając za wygraną, iść do Centralnego Komisariatu Policji. Zostaję przyjęta w odpowiednim wydziale, grzecznie, ale chłodno. Ta sama odpowiedź: „Prawo jest prawem, jedynie ojciec, jako prawny opiekun może podpisywać dokumenty dotyczące dzieci. Prawo nie może

być zmienione aktem notarialnym, a już w żadnym wypadku decyzja sądowa, która została uprawomocniona, nie może być anulowana przez taki akt". Od początku czułam, że tak będzie. Co robić? Znowu sąd, adwokaci? Ale czy ten sąd zechce zmienić prawo w moim przypadku? Wątpliwe. I jak długo to potrwa? Znowu wszystko wymyka mi się z rąk. Jak wywieźć dzieci, a szczególnie syna? Wracam do domu, nie śpię całą noc, rozmyślając nad strategią postępowania.

Wreszcie idę do Yacine do zakładu pracy. Spokojnie, jak tylko potrafię, mówię mu, że właśnie idę kupić bilety dla dzieci, że miałam ogromne problemy ze zdobyciem pieniędzy na ten cel, a teraz szukam przez znajomości miejsc w samolocie, bo w biurach lotniczych mówią, że biletów już nie ma na całe wakacje.

- To może załatwię te miejsca - proponuje Yacine. - Mam znajomości.

- Jeśli naprawdę chcesz mi pomóc, to idź i wyrób pozwolenie na wyjazd dzieci - rzucam od niechcenia podając mu książeczkę rodzinną.

- Dobrze! - mówi Yacine, ale po chwili pyta zaniepokojony:

- A jaką mam gwarancję, że dzieci wrócą?

- Jak to? Przecież Sonia musi zdać w Algierii maturę, a mama jest chora po śmierci ojca i nie może zajmować się Riadem. A poza tym dałeś mi chyba prawo do dzieci? - wyciągam ten nieszczęsny akt notarialny. - Wycofujesz się z tego i będziesz płacił za mieszkanie? - pytam obojętnie, jak gdyby od niechcenia.

- Dobrze, dobrze - mruczy Yacine - niech Sonia przyjdzie do mnie za tydzień.

Jest to najdłuższy tydzień mojego życia. Nie jem, źle śpię, chudnę. Wiem, że od tego pozwolenia zależy nasza przyszłość. Po tygodniu wysyłam Sonię do ojca, a w pracy o mało nie dostaję zawału serca. Po pracy - szybko do domu. Jest już Sonia.

- Masz papiery? - pytam.

- Mam! - odpowiada córka, pokazując mi cztery egzemplarze pozwolenia na ich wyjazd.

Patrzę i nie wierzę własnym oczom! Przede mną leży przepustka do życia, do wolności, do przyszłości! Jesteśmy uratowani!

Teraz działam w piorunującym tempie. Miejsc w samolocie nie ma, ale wykorzystując wszystkie możliwości, załatwiam je. Telegram do mamy! Jak powiedzieć synowi, że wyjeżdża z tego kraju i już do niego nigdy nie wróci? Czy wytłumaczyć mu i przygotować psychicznie do tego, że będziemy musieli rozstać się na jakiś czas? Czy lepiej tak jak przed ostatnim wyjazdem do Polski, niech o wszystkim dowie się dopiero na lotnisku? Sophie organizuje mi spotkanie ze swoimi znajomymi, których córka jest psychologiem. Wspólnie, w szerokim gronie, ustalamy, że syna trzeba przygotować psychicznie do tego wyjazdu. Mam przed sobą dwa tygodnie. Z pomocą przychodzi mi sytuacja polityczna w Algierii.

Pewnego dnia nad Koubą rozlega się przeraźliwy krzyk setek ludzi: - *Allah Akbar*. Zaczynają świstać kule, mam wrażenie, że nad naszymi głowami. Zamykają się natychmiast bramy wszystkich domów, a my gasimy światło i chowamy się w łazience, gdzie siedzimy do późnej nocy, ponieważ świst kul jest przeraźliwy, wydaje się, że za chwilę nasz dom zostanie na wylot podziurawiony. Dzieci strasznie się boją.

Wszystko stało się tak nagle, że nie zdążyliśmy nawet zbiec do domu Saidy, gdzie na pewno byłoby nam raźniej. Teraz jednak siedzimy w łazience, a ja zaczynam:

- Widzisz, synku, jest wojna i trzeba będzie wyjechać z Algierii. A ponieważ ty jesteś chłopcem, mamusia boi się o twoje życie. Wiesz chyba o tym, że chłopcy idą na wojnę. Mamusia zdecydowała, że będziesz musiał wrócić do Polski, a my z Sonią przyjedziemy później, jak tylko ona zda maturę. Co ty na to?

Widzę konsternację w oczach syna, ale w tej chwili, przerażony sytuacją, zgadza się.

- A jak ty wyjedziesz? Jak będzie wojna i nie będą latały samoloty? - martwi się.

- My z Sonią sobie poradzimy. Wiesz, że w tym kraju nikt nie zwraca uwagi na dziewczynki i kobiety. Ale bardzo cię proszę, gdybyś widział tatusia, to mu nic o tym nie mów. To jest tajemnica między nami, a ty jesteś już dorosłym mężczyzną i mogę na ciebie liczyć.

Mój Boże, dorosły mężczyzna! Ma niecałe 9 lat!

Jeszcze kilkakrotnie w ciągu następnych dni szukamy schronienia u Saidy lub chowamy się w łazience z obawy przed świszczącymi w powietrzu kulami. Powoli pakuję walizki dzieci. Riad sam układa w nich swoje rzeczy. Mówię mu codziennie o potrzebie wyjazdu. Często ma łzy w oczach, kilka razy płacze. Staram się, jak mogę, przygotować go do nowego życia.

- A szkoła? - martwi się dziecko. - Przecież ja nie umiem pisać!

- Ale umiesz bardzo dobrze mówić po polsku, a to jest najważniejsze! Dasz sobie radę i będziesz najlepszym uczniem! - zapewniam, by dodać mu otuchy.

Riad pakuje do walizki swoje książki szkolne w języku arabskim. Nie protestuję.

Zbliża się arabskie święto, będą trzy dni wolne przed samym wyjazdem Riada. Wiem, że przyjedzie po niego ojciec. Postanawiam, że te trzy dni Riad spędzi u Yacine. Tłumaczę synowi, że w żadnym wypadku nie może powiedzieć, iż nie wraca do Algierii. Liczę na jego życiową dojrzałość. Ryzykuję ogromnie dużo. Gdyby Yacine wiedział o moich planach, mógłby zablokować na lotnisku wyjazd dzieci. Ale przecież Riad kocha ojca i byłoby barbarzyństwem pozbawić go jego widoku w tych ostatnich dniach wiedząc, że być może już nigdy więcej się nie spotkają. Chcę, żeby mimo wszystko syn zachował w pamięci pozytywny obraz ojca, więc gdy Yacine zjawia się jak zwykle pod domem, ażeby zobaczyć dzieci, oddaję mu Riada na trzy dni, drżąc ze strachu o dochowanie tajemnicy. Na drugi dzień wieczorem syn przybiega do domu z płaczem. Nikt go nie odprowadził. Przybiegł sam, chociaż było już bardzo ciemno, a Badjarah leży spory kawałek od naszego domu.

- Co się stało, synku? Dlaczego nie zostałeś do jutra?

- Ja nie chcę go widzieć! - opowiada szlochając. - Byliśmy na spacerze i ja prosiłem go, żeby mi kupił nóż do cięcia papieru. I on mi powiedział, że mi nie kupi, żebym dał mu spokój. Mamusiu, ten nóż kosztuje 20 dinarów! No powiedz, co to jest 20 dinarów? - płacze Riad, który doskonale zna już wartość pieniądza i ceny wszystkich podstawowych artykułów, ponieważ często sam robi zakupy. Ostatnio prosił mnie,

żebym mu kupiła ten nóż. Ja, pochłonięta innymi ważnymi sprawami, po prostu zapomniałam. Teraz, gdy poprosił o to ojca, bo przechodzili razem koło otwartego sklepu, ten odmówił mu!

- Już go nie chcę widzieć! Nie chcę go widzieć! - płacze syn.

Z tym wielkim żalem w sercu wsiada do samolotu. Jest to zbyt wielki ciężar na wątle barki niespełna dziewięcioletniego chłopca. Przygniata je żal do ojca o nieobecność w jego życiu, żal z powodu rozłąki z matką, żal o utracony kraj dzieciństwa, samotność i obawa przed nieznanym...

Wszystko minie, mały człowieku! Czas leczy rany, wszystko jest kwestią czasu!

Ten wznoszący się w powietrze samolot, na którego pokładzie znajdują się moje dzieci, jest dla mnie symbolem wolności i przepustką do szczęścia. Ale przede wszystkim symbolem wolności i gwarancją tego, że już nigdy żadne prawo nie będzie próbowało rozdzielić mnie z dziećmi.

* * *

Tak wyrwałam syna z kleszczy prawa algierskiego, oderwałam też - przyznaję - od ojca. Oczywiście, mój postępek nie pozostał bez echa. Raz po raz płaciłam za niego. Ale Yacine nie znalazł w sobie już tylu sił, by móc mi zaszkodzić w życiu, w pracy...

Część II

Przeprowadzka, nowi sąsiedzi, dymisja prezydenta

Czerwiec - grudzień 1991 roku

Po wyjeździe dzieci do Polski zostaję sama. Korzystając ze swobody, zaczynam wieczorami pisać wspomnienia. Zamiar ten tkwi we mnie od dawna, jak dokuczliwy cierń. Gdy byłam maltretowana, poniżana i krzywdzona, wyłam nieraz z bezsilności i przysięgałam sobie, że wykrzyczę kiedyś światu swój bunt przeciw niesprawiedliwości i deptaniu elementarnych praw człowieka - w majestacie algierskiego prawa! Teraz próbuję to robić - z jakimż trudem! Chciałabym, żeby moje wspomnienia stały się ostrzeżeniem dla młodych kobiet, zbyt łatwo nieraz podejmujących decyzję o związaniu swego losu z człowiekiem obcej narodowości, kultury i wyznania. Opowiadając o swoich przeżyciach pragnę pokazać różne strony życia w Algierii na tyle obiektywnie, na ile pozwoli mi wiedza, ale także odniesiony tutaj głęboki uraz psychiczny i... miłość do tego pięknego kraju.

Pisanie przychodzi mi niełatwo. Robię notatki, porządkuję wspomnienia, przeglądam dokumenty, rozmyślam. Samotność przybija mnie. Nie mogę usiedzieć w domu. Jest pełnia przepięknego lata. Chciałoby się pojechać na plażę, ale nie mam ani z kim, ani czym. Bez własnego środka lokomocji mogę tylko powłóczyć się pięknymi ulicami Algieru, podziwiając wspaniałą architekturę miasta. Codziennie po pracy zbiegam w dół schodami, by za parę minut znaleźć się przed centralnym skrzyżowaniem stolicy, w pobliżu Poczty Głównej.

Monumentalny budynek, pomalowany na biało jest prawdziwym cackiem architektonicznym. Wejście - jak do meczetu Ketchaoua. Dach poczty - płaski, wykończony koronkowym obramowaniem - ma w

środku jedną szeroką, niską kopułę, a po bokach dwie wąskie, wyższe, na kształt minaretów. Wzdłuż frontowej ściany budowli biegną wąskie, wysokie okna zakończone łukiem. Jedynie ostatnie, czwarte piętro ma przylegające do siebie szerokie okna - arkady, „obramowane" w górnej partii kolorową mozaiką. To z tej poczty wysyłam listy do najbliższych w Polsce.

Tak więc jestem przy centralnym skrzyżowaniu stolicy. Mogę teraz skręcić w prawo lub w lewo na jedną z najpiękniejszych ulic miasta - Didouche Mourad lub Larbi Ben M'Hidi. Obie ulice są zabudowane w podobnym stylu - czteropiętrowe budynki z wysokim parterem i płaskimi dachami z różnego rodzaju ciekawymi, również płaskimi, nadbudówkami. Fantazyjne balkony, zrobione z kutych w żelazie prętów, podtrzymywane są ozdobnymi, rzeźbionymi podpórkami. Budynki posiadają prześliczne, różnorodne i ciekawe reliefy, którymi udekorowane są obramowania i łuki okien oraz ściany. Reliefy i podpórki pomalowane są najczęściej na złoty kolor, co, na tle bieli domów, wyjątkowo podkreśla bajkową, fantazyjną architekturę stolicy. Każdy z tych domów „przylepionych" do siebie ma swój oryginalny wystrój i charakter. Chodniki ocieniają rozłożyste, krępe drzewa. Wysoki parter jest siedzibą licznych prywatnych sklepików, biur, banków.

Zaopatrzenie w sklepikach doskonałe - szczególnie w ubiory dla dzieci, biżuterię, wyroby ludowe. Doskonale zaopatrzone są również księgarnie. Niestety, w ostatnich latach zaczęło brakować na rynku sprzętu gospodarstwa domowego (lodówek, pralek, kuchenek) oraz sprzętu elektronicznego.

Włóczę się więc po centrum Algieru prawie w każde popołudnie po pracy. Bardzo to lubię, ogromną przyjemność sprawiają mi spacery po uroczych ulicach stolicy. Pulsujące życiem miasto, jego przepiękna architektura, przyroda, jasne niebo, wspaniała pogoda pozwalają zapomnieć o dotkliwej samotności i pustce. Także do pracy chodzę z radością. Lubię swoją pracę, ładne biuro w nowoczesnym wieżowcu i ładne położenie zakładu. Lubię Kamila, Anissę, Nassibę, Khatimę, Fellę. Tak łatwo znajduję z nimi wspólny język.

Jest jeszcze Basia - moja rodaczka, pracująca w sąsiednim budynku. Codziennie ucinamy sobie krótką pogawędkę przez telefon. Obecność

Basi również działa na mnie jak balsam. Ile nas jest, tych pracujących Polek, żon Algierczyków? Na przeszło 200 mieszanych małżeństw - trzy, pięć? To chyba wszystko. Jak to dobrze się składa, że właśnie Basia jest blisko mnie! Wspaniała, mądra dziewczyna, o czym wielokrotnie mogłam się przekonać, mająca doskonalą opinię zawodową.

Jednakże niezbyt długo cieszę się jej bliskością. Basia wyjeżdża wraz z mężem na stałe do Francji. Mąż otrzymał obywatelstwo francuskie, ponieważ jego matka jest Francuzką.

Czuję się bardzo dobrze w tym zakładzie, otaczają mnie życzliwi ludzie. Mam swobodę w pracy. Nikt mnie specjalnie nie kontroluje i nie patrzy mi na ręce. Dlatego siadam przy komputerze i uczę się języka programowania Dbase III Plus, chcę ulepszyć swoją pracę. Bardzo nie podoba się to mojemu koledze - Arabiemu. Kobieta kompetentna zawodowo i dobrze zorganizowana działa na niego jak płachta na byka. Arabi wypowiada mi wojnę. Wygłasza o mnie niepochlebne opinie. Posuwa się nawet do wymazywania mi niektórych programów i plików.

- Nie wytrzymam, złożę na tego drania pisemną skargę! - denerwuję się.

- Tylko spokojnie, Anno, tylko spokojnie! - ucisza mnie Kamil. - Właśnie chodzi o to, żeby cię sprowokować. Nigdzie nie idź i nic nie pisz, ja ci pomogę.

I Kamil uzupełnia brakujące w systemach programy oraz pliki, a ja moją codzienną pracę przekopiowuję na dyskietki i noszę do domu. Kamil pomaga mi, jak może. Zawsze mogę liczyć na pomoc tego sympatycznego chłopaka.

Nic wiem, jak by się skończyła wojna z Arabim, gdyby nie szefowa, która wysłała go na wielomiesięczne szkolenie, przerywając naszą nierówną walkę. Widząc co się dzieje, stanęła po mojej stronie, za co jestem jej ogromnie wdzięczna. Szefowa to postawna brunetka o doskonałej figurze. Już samym spojrzeniem wymusza posłuch i szacunek. Charakterem przypomina panią Thatcher. „Żelazna dama" - mówią o niej współpracownicy. Jest w moim wieku. Niezwykle kompetentna, bardzo nie lubi współpracy z kobietami. Ja jednak nie mogę na nią narzekać, pomimo kilku starć, do których doszło między nami. Niestety, słabym punktem

szefowej jest to, że zawsze reaguje najpierw jako kobieta, potem jako szef. Prowadzi to do różnego rodzaju komplikacji, które poprzednio i mnie głęboko dotknęły. Zareagowałam jednak natychmiast, stawiając sprawę szczerze i otwarcie, pomimo że stałam na trudnej pozycji pracownika na kontrakcie. O dziwo, zamiast wywołać niechęć, zjednałam sobie tym przychylność szefowej, która pozostawiła mi swobodę działania okazując pełne zaufanie.

Z Kamilem prowadzę nieraz długie i szczere dyskusje na różne tematy. Poznaję jego serdecznego kolegę, pracującego również w naszym dziale. To głęboko religijny chłopak, do pracy przychodzi ubrany w tradycyjny *kamis*. Jest to wyjątkowa jednostka o niewzruszonych zasadach moralnych i nieskazitelnym charakterze, bardzo grzeczny i uczynny.

Poznaję przyjaciół Kamila ze studiów. Jeden z nich - Fadi ma w Polsce dziewczynę i często jeździ do naszego kraju. Nieraz przynosi mi do tłumaczenia listy do swojej Katarzyny. Fadi jest już informatykiem, przygotowuje się do obrony pracy doktorskiej.

Znajomi Kamila należą do grona postępowych, światłych i mądrych ludzi. Chociaż wszyscy są muzułmanami, nie wszyscy równie głęboko wierzą i gorliwie praktykują. Mają różne poglądy na problem miłości, małżeństwa, kobiety, wiary. A jednak przyjaźnią się, wykazując dużą tolerancję. Udaje mi się „przeniknąć" do tej grupy. Zostaję życzliwie zaakceptowana, z łatwością znajduję z nimi wspólny język. Cieszę się, że darzą mnie szacunkiem i szczerą przyjaźnią.

* * *

Przeprowadzka. Pełnia lata. Upalny sierpień. Szkoda mi odchodzić z tego domu, szkoda mi porzucać wspaniale sąsiedztwo Saidy. Zżyłam się z tą rodziną. Ich życie było moim życiem, a moje sprawy były ich sprawami. Właścicielka domu wykazała dużą wyrozumiałość, rozstajemy się w przyjaźni. Wiem, że gdybym nie znalazła mieszkania, ta kobieta na pewno nie wyrzuciłaby nas na ulicę. Czuwała nad tym Saida i jej mąż.

Chcę opuścić Koubę, gdzie widzę wrogie spojrzenia, gdzie nie czuję się pewnie na ulicy i skąd mam daleko do pracy, a dojazdy są bardzo męczące.

Nowe mieszkanie znajduje się o kilka minut drogi od zakładu, w centrum Algieru, w tej wznoszącej się części „amfiteatru". Aby do niego dojść, trzeba pokonać dziesiątki schodów wielotarasowej zabudowy miasta. Nie dziwi mnie położenie domu - na trzech poziomach. Jest to niewielki, stary, zaniedbany budynek, wtopiony w gęstwinę eleganckich willi z jednej strony i małych, niezbyt okazałych domów z drugiej. Do domu można dostać się z dwóch stron - wchodząc po schodach od „niższego tarasu" bądź schodząc po ukrytych wśród murów, wąskich schodach z „wyższego tarasu". Na najniższym poziomie jest jedno zamknięte, nie zamieszkane pomieszczenie. Na środkowym poziomie mieszka Rabia i Orkia. Ja mieszkam na trzecim poziomie, ale, biorąc pod uwagę tarasowe położenie budynku - na parterze. Nad moim mieszkaniem znajduje się jeszcze jedno - mieszka w nim córka właścicielki. Zajmuję pokój z kuchnią. Brak łazienki, wspólna ubikacja na podwórku. Nic ma gazu z sieci, lecz butle gazowe. Moje lokum ma niewielkie okna w stylu arabskim, przez które wpada bardzo mało światła, ale jest podwórko, na które wychodzą drzwi kuchni. To podwórko to cały majątek. Rosną tu różne drzewa, a przeogromną palmę, sięgającą nieba, widać nawet z centrum miasta. Tak więc mieszkam pod prawdziwą palmą. Jest cicho, rano przez otwarte okna budzą mnie swoim śpiewem ptaki.

Gospodyni wynajęła te mieszkania kobietom w trudnej sytuacji życiowej. Sama przeszła przez małżeńskie piekło, rozumiała więc doskonale, co znaczy być samotną kobietą. Mieszka tu Orkia z trójką niezwykłych dzieci. Jest przystojną i inteligentną kobietą. Jej piękna córka i młodszy syn studiują. Starszy już pracuje. Orkia nieźle maluje, miała już wystawę swoich prac. Poza tym sama projektuje i szyje. Jest krawcową z potrzeby, ale również mistrzynią w swoim fachu. Pięknie wykańcza swoje prace. Krawiectwo nie ma dla niej tajemnic. Wyszła za mąż bardzo młodo, w wieku piętnastu lat, za wojskowego, który nie mógł pogodzić się z tym, że chciała się uczyć, że miała wyższe aspiracje. Dla niego

ambicja kobiety arabskiej miała kończyć się na mężu, dzieciach i kuchni. Był też, bez powodów, ogromnie zazdrosny o śliczną żonę. Dochodziło do coraz częstszych awantur, które trwały i do białego rana. Wreszcie prawie wykończył psychicznie Orkię, którą dzieci zawiozły do szpitala bezwładną, z objawami skrajnej nerwicy. Po powrocie zastała drzwi domu zamknięte, a zamki zmienione. Wraz z trojgiem dzieci, tak jak stała, znalazła się na ulicy. Poprzez znajomych wynajęła to mieszkanie. Gospodyni pożyczyła im materace i koce. Trzeba było jednak z czegoś żyć. Orkia postanowiła zająć się krawiectwem. Początki były niezwykle trudne, nigdy nie szyła. Ale ogromny talent i pracowitość przyniosły sukces. Pojawiła się klientela, starszy syn rozpoczął pracę i tak rodzina zaczęła sobie radzić. Obecnie Orkia myśli o otworzeniu własnej pracowni, w której modele będą szyte według jej projektów. Mąż otrzymał rozwód, Orkia nie miała tu nic do powiedzenia. Nie udało się jej odzyskać ani jednej z rzeczy pozostawionych w domu, który przez tyle lat urządzała i wypieściła własnymi rękami. Ale nie poddała się, a wprost przeciwnie, zaczęła szybko awansować w hierarchii społecznej.

- A wiesz dlaczego, Anno? - zwierza mi się. - Bo odzyskałam spokój. A wraz z nim równowagę ducha i wolność. Już nikt nie dyktuje mi, co mam robić. Nie muszę się też bać. Postawiłam sobie cel i osiągnę go. Mam też ze sobą dzieci, które bardzo pomagają mi moralnie.

Lubię Orkię i dyskusje z nią. Jest piękna i mądra. Jej mąż nie ożenił się powtórnie. Nie ma też takiego zamiaru. Po prostu liczy na to, że kiedyś Orkia wróci do niego, że nie da sobie rady sama.

- Nigdy - mówi Orkia. - Teraz, gdy wiem, jak wygląda inne życie, nigdy nie powrócę do tego poprzedniego.

Były mąż kilkakrotnie namawiał właścicielkę mieszkania, żeby je wymówiła Orkii, ale mu się nie udało. Podobno nawet ją straszył, ale dzielna kobieta nie ugięła się.

Poznaję drugą lokatorkę. To Rabia. Trochę młodsza ode mnie. Ładna. Mieszkała u teściów. Miała czworo dzieci. Mąż, bez jej zgody i wiedzy, zabrał całą czwórkę i wyjechał na stałe do Maroka, a Rabia musiała się wyprowadzić. Gospodyni jest jej daleką krewną. Rabia nie może znaleźć

sobie miejsca, ciągle myśli o dzieciach. Jest najnieszczęśliwszą istotą na Ziemi.

- Jestem żyjącym trupem, Anno. Jaki sens ma moje życie? Gdybym to ja spróbowała wywieźć czwórkę dzieci za granicę, bez zgody męża!

Patrzę na ten ogrom problemów nie do rozwiązania. Na bezmiar ludzkiej tragedii.

- Anno - chcesz kotka? - pyta mnie pewnego dnia Orkia.

Pewnie że chcę, zresztą warunki są idealne do trzymania jakiegoś zwierzaka. Orkia przynosi mi malutkie zwierzątko rudawego koloru. Ta malizna nie chce w nocy zostać w kuchni, drapie w drzwi pokoju, a po ich otworzeniu - pakuje się po prostu do łóżka i zasypia przy mojej twarzy. Tak trafił do nas Mruczek, najwspanialszy kot pod słońcem.

Sonia wraca już do nowego domu. Wszystkim lokatorom bardzo podoba się moja córka.

* * *

Zapisuję się do Centrum Kultury Francuskiej, żeby poznać głębiej ten piękny język. Po wstępnych egzaminach zostaję zapisana na drugi rok. Nisko. Ale prawdą jest. że o ile mówię po francusku dosyć dobrze, o tyle piszę jednak kiepsko. Trafiam do jedynej międzynarodowej grupy. Po prostu wszystkich cudzoziemców „wrzucono do jednego worka", chociaż nasz poziom był zróżnicowany, ale nie za wysoki. Dało to doskonałe efekty. Bawimy się świetnie.

Od razu spodobała mi się Węgierka Weronika, Japończyk Youtaro oraz Włoch Pascal. Youtaro stwarza niezwykłą atmosferę. Lekcje bez niego to nie są lekcje. Jest to pan około pięćdziesiątki, ale miody zarówno z wyglądu, jak i duchem. Otwarty, dowcipny i komiczny. Kilka lat spędził na placówce dyplomatycznej w Ameryce Południowej. Nic więc dziwnego, że nie ma w sobie nic z powściągliwości i rezerwy Japończyka. Youtaro najmniej z nas wszystkich rozumie po francusku i trzeba

słyszeć i widzieć, co z tego wynika. Czasami wszyscy zaśmiewamy się do łez z komicznych sytuacji, które stwarza. Ale Youtaro wcale się tym nie zraża, wprost przeciwnie, jest szalenie zadowolony z takiego obrotu sprawy. Pascal, młody Włoch, jest tak żywiołowy, że wydaje się nam, iż huragan przelatuje po klasie.

Zajęcia odbywają się dwa razy w tygodniu po trzy godziny, od 18^{00} do 21^{00}. W tych dniach wychodzę z domu przed ósmą, pracę kończę o 17^{00}, schodzę do centrum miasta, oglądam trochę wystawy i idę do CCF. Z powrotem w domu jestem o 21^{30}. Trochę się boję, bo muszę wracać na piechotę, jako że złapanie taksówki jest niemożliwe o tej godzinie. Po minięciu centrum Algieru mam do wyboru dwie drogi: mogę iść wijącą się serpentyną w górę, ale wtedy powrót dłuży mi się w nieskończoność. Mogę też iść na skróty licznymi ciemnymi schodami, wtłoczonymi między budynki. Zwykle wybieram drugi wariant, licząc na boską opatrzność. O tej godzinie nawet w samym sercu stolicy jest niewielu ludzi na ulicach, a kobiet - nie ma wcale. Oglądają się za mną zdziwieni mężczyźni, widząc białogłowę samotnie maszerującą tak późną porą. Jest to jednak cena, którą muszę zapłacić za wiedzę. Chcę ukończyć czteroletni kurs języka francuskiego i zdobyć dyplom Aliance Française.

Koniec 1991 roku

26 grudnia odbyła się pierwsza tura wyborów parlamentarnych - FIS zdobył 47 procent głosów i 188 miejsc w 430-osobowym parlamencie. Do uzyskania absolutnej większości zabrakło mu zaledwie 27 mandatów, które winien bez trudu wywalczyć w „dogrywce", czyli w drugiej turze wyborów. Problemy socjalne Algierii są bodaj najważniejszym powodem popularności tej partii. Niezadowolenie z władzy, która nie potrafi ich rozwiązać, wielka inflacja, drożyzna, to pole do popisu dla islamistów. Oni obiecują dać pracę i chleb Algierczykom, zapewnić im lepszą przyszłość. Otwiera się nowy rozdział w historii Algierii.

Sylwestra mam spędzić u Doroty, w towarzystwie Weroniki z mężem i kilku innych gości. Rano tego samego dnia jestem zaproszona na obronę pracy doktorskiej Fadiego. Jest to wielki triumf naszego kolegi.

Otrzymuje piątkę z wyróżnieniem, gratulacje jury i brawa publiczności. A teraz, zgodnie z algierskim zwyczajem, wszyscy zgromadzeni oraz jury zostają zaproszeni na poczęstunek, który przygotowała wcześniej rodzina i przyniosła ze sobą. Bardzo szybko i sprawnie stoły zostają zastawione algierskimi smakołykami, wśród których jest *m'hadjeb* - mój ulubiony algierski przysmak. Jest to rodzaj kwadratowych placków, których ciasto stanowią cieniutkie, oddzielające się od siebie warstwy. Placki te mają w środku pikantne nadzienie z pomidorów i cebuli. Do wyrobu ciasta używa się 2/3 semuliny i 1/3 mąki.

- Jedz, Anno, jedz! - podsuwają mi ciągle moją ulubioną potrawę.

No i jem, bo mija południe i jestem bardzo głodna. Zapomniałam o swoim woreczku żółciowym szwankującym od dłuższego czasu. Po południu dostaję boleści i ciężkiej niestrawności. Ledwo żywa wlokę się do Doroty, która cały dzień spędziła w kuchni na przygotowaniu różnych sylwestrowych smakołyków.

Ponuro wygląda Algier tej sylwestrowej nocy. Po bezapelacyjnym zwycięstwie FIS w wyborach parlamentarnych, z okazji Nowego Roku nie ma żadnych imprez w restauracjach, również nasza Ambasada boi się cokolwiek urządzić. Ulice są wymarłe, głuche, a przecież zbliża się najpiękniejsza noc roku.

Jesteśmy w małym, kilkuosobowym gronie i nie jest nam wcale wesoło. A przecież powinniśmy patrzeć z optymizmem w przyszłość. Mamy jednak ponure nastroje i pełni jesteśmy najgorszych przeczuć.

Styczeń 1992 roku

Siedzę przy obiedzie w stołówce zakładowej. Przybiega Sonia z wyrazem twarzy, który mówi mi wszystko.

- Co się stało, Soniu?
- Okradziono nas! O Boże, mamo, co oni zrobili z naszym mieszkaniem!

Zostawiam nie dojedzony posiłek i razem z Sonią szybko biegnę do domu. To, co zastaję, przyprawia mnie o zawrót głowy. Nie tylko widok, ale i zapach. Zdemolowane kompletnie mieszkanie, wszystko powyciągane z szafy i biblioteki na środek pokoju, obsikane. A w kuchni na

środku - po prostu wielka kupa kału. Zaduch okropny. Chce mi się wymiotować. Sonia sprząta nieczystości, a ja jadę po policję, która przyjeżdża i spisuje protokół. Nie sądzę jednak, żeby ta sprawa miała ciąg dalszy. Algierska policja ma o wiele większe zmartwienia niż nagminne kradzieże, o których ciągle słyszę na prawo i lewo. Teraz dotknęło to i nas. Przez tydzień piorę posikaną pościel, rzeczy osobiste. Końca nie widać.

Zabrano mi jedyną drogocenną rzecz, jaką posiadałam - piękne futro, które udało mi się kupić dzięki znajomości Marii za śmiesznie niską cenę, ponieważ w Algierii akurat takich rzeczy się nie nosi ze względu na temperaturę. Bardzo cieszyłam się z tego futra, myślałam, że po powrocie do Polski będę miała przynajmniej jedną porządną rzecz w mojej garderobie. Jak widzę, nawet w takich sprawach los mnie nie oszczędza. Złodzieje szukali pieniędzy i złota, a ponieważ nic nie znaleźli, pofolgowali sobie ze złości, wyrządzając wiele innych szkód, już wyjątkowo złośliwych. Soni ukradziono np. jedną kasetę z całego kompletu do nauki języka angielskiego, dwa Rotringi z kompletu, kilka kaset z nagraniami jej ulubionych zespołów itp. Złodzieje mieli, jak zauważyłam, bardzo dużo czasu. Musieli znać dokładnie nasz codzienny rozkład zajęć, ponieważ widać było, że wcale się nie spieszyli. Wiadomo, kto to mógł zrobić - jedynie ktoś z podpierającej ciągle mury bezrobotnej młodzieży, która wystaje całymi dniami na ulicach dzielnicy i obserwuje wszystko, co się wokół niej dzieje. Podpieranie murów to jedyna rozrywka tych młodych, pozbawionych pracy i przyszłości ludzi. I od czasu do czasu „skok w bok". Przecież z czegoś trzeba żyć.

11 stycznia prezydent Bendjedid Chadli złożył dymisję. Stwierdził, że kraj znajduje się w kryzysie, przechodzi przez trudny etap, przez który on jako prezydent nie czuje się na siłach go przeprowadzić, dlatego uważa, że jedynym słusznym pociągnięciem będzie wycofanie się ze sceny politycznej.

Następnego dnia do Algieru wjechały czołgi, które ustawiły się przed budynkami wszystkich ważniejszych instytucji państwowych. Ogłoszono stan wyjątkowy. Gdy na to patrzę, przechodzą mnie ciarki. Powołany

zostaje Wysoki Komitet Państwowy *(Haut Comité d'Etat - HCE),* na czele którego staje 72-letni Mohamed Boudiaf, o zdecydowanej postawie, o odważnych poglądach. Bogata przeszłość polityczna. Będąc w opozycji przeciwko Ben Belli, po roku 1962 musiał opuścić Algierię. Najpierw osiedlił się w Tunisie, później w Szwajcarii, następnie w Maroku, skąd został wezwany na scenę polityczną Algierii.

Na skutek sytuacji politycznej w Algierii nie odbyła się, zapowiedziana na 16 stycznia 1992 roku druga tura wyborów parlamentarnych, dająca duże szanse zwycięstwa partii FIS. Wybory przesunięto na czas nieokreślony.

Meczety stają się areną polityczną. Rząd wydał rozkaz kontroli dwóch głównych meczetów w Algierze - Su'na w Bab El Oued oraz Ben Badis na Koubie. Dozwolona jest jedynie modlitwa, dyskusje i mowy polityczne są zakazane. Następują liczne aresztowania muzułmańskich integrystów, którzy na wiadomość o możliwości rozwiązania partii FIS nasilili akty terroru.

Polacy z „Metra", Krzysztof, ślub Dalili

Luty 1992 roku

Jak ja cierpię! Nie mogę spać całymi nocami, potwornie bolą mnie oczy i kręgosłup. Badało mnie wielu okulistów, ale nic nie stwierdzili. Poprosiłam szefową, ażeby zwolniła mnie od pracy przy komputerze. Zgodziła się. Trzy tygodnie mija, jak nie mam kontaktu z ekranem komputera. Niestety, żadnej poprawy nie widać, a więc ten ból oczu nie jest wynikiem mojej pracy. Jaka może być jego przyczyna?

Ostatni raz postanowiłam zasięgnąć porady okulisty, tym razem w szpitalu Mustapha. Czekam w szpitalnej poczekalni na przyjście lekarza. Czytam gazetę. Nagle czuję na sobie czyjś wzrok. Odwracam się. Widzę jakby znajomą twarz. Ależ tak! To Polak, jeden z naszych rodaków budujących metro w Algierze. Lecieliśmy razem do kraju w grudniu 1990, siedział koło mnie w samolocie. Widzę, że nie jest pewny, czy to ja. Wzywa nas lekarz. Prawie zderzamy się w drzwiach.

- O. przepraszam - odzywa się do mnie po polsku. - Poznaje mnie pani?
- Chyba tak - odpowiadam. - Lecieliśmy razem samolotem. Co za spotkanie!

Lekarz prosi nas do środka sądząc, że jesteśmy razem. Wyjaśniam, że jesteśmy osobno, ale ponieważ mój znajomy nie mówi po francusku, mogę być tłumaczem. Tomasz - bo tak ma na imię Polak - ma chore oko. Odłamek metalu wbił mu się do źrenicy. Lekarz wyciąga ten odłamek. Potem bada moje oczy. Nic nie stwierdza. Wychodzimy razem ze szpitala.

- Pani Anno, zapraszam panią do Sidi Fredj na piątek po południu.

Zgadzam się i umawiamy się koło hotelu El Aurassi, który znajduje

się niedaleko mojego domu. Oczy bolą mnie tak, że chce mi się krzyczeć. Teraz jestem już pewna, że to uboczne działanie leku nasercowego. Codziennie wieczorem muszę zażywać jedną tabletkę. Trwa to już cztery miesiące, zostało mi jeszcze dwa miesiące do ukończenia kuracji. Ten okropny ból zbiegł się w czasie z rozpoczęciem zażywania lekarstwa na zaburzenia rytmu serca. Nie wiem, co robić: przerwać leczenie, czy dalej jeszcze męczyć się z oczami?

Tymczasem nadchodzi piątek. Jest ciepło. Ubieram się w jasny kostiumik, kupuję ciastka i idę na umówione miejsce. Rodacy przyjeżdżają samochodem. Za kierownicą siedzi przystojny mężczyzna. - Poznajcie się - przedstawia nas Tomasz. - To jest Mirek, mój współlokator.

- Dokąd jedziemy? - pytam.
- Na ryby - odpowiadają. - A potem do nas.

Jedziemy więc za Algier, a po drodze rozmawiamy. Mirek jest zabawny, rozśmiesza mnie do łez. Przyjeżdżamy do nadmorskiej zatoczki. Dają mi wędkę. Rozmawiamy jednak tak głośno i wesoło, że chyba ryby słyszą nas z daleka i omijają naszą trójkę. Po trzech godzinach zwijamy się. Nic nie złapaliśmy.

- Jak to nic? - śmieje się Mirek. - A dziewczyna? Nie złowiliśmy ryby, ale jaką dziewczynę!!!

Są fantastyczni! Jest mi z nimi bardzo dobrze. Jeszcze przed odjazdem zapraszają mnie na piknik. Ach, czego tam nic ma! Same przysmaki z naszej Ojczyzny. Czuję się jak w Polsce, gdy jestem w towarzystwie tych dwóch sympatycznych mężczyzn, którzy dogadzają mi, jak mogą. Wraca na powierzchnię stale spychana do podświadomości tęsknota za krajem, za polskim słowem, za Polakami. Nigdy tego nie zrozumieją, bo nie potrafią, kim jest naprawdę polski mężczyzna dla takiej kobiety jak ja. Jakże inaczej widzę teraz naszych rodaków. Urastają w moich oczach do ideałów, bogów prawie...

Jedziemy do Sidi Fredj, do hotelu El Manar, gdzie mieszkają wraz z całą trzydziestoosobową grupą Polaków, budujących metro w Algierze. Pokoje są dwuosobowe, dosyć przyjemnie urządzone. Zaraz na stole pojawia się polska kiełbasa i polska wódka.

- Czekaj Anno! Zaraz zaprosimy naszych kolegów. Ale się zdziwią, gdy zobaczą, jaką rybę udało nam się złowić!

Tomasz gdzieś znika. Po chwili ktoś puka do drzwi. Wchodzą dwaj mężczyźni, ogromnie zdziwieni na mój widok.

- Poznajcie się - mówi Tomasz. - To jest „nasza dziewczyna", a to Zbyszek i Janusz.

Siadamy. Zbyszek nie przestaje komentować, na wesoło, mojego przyjazdu. Łzy śmiechu cisną mi się do oczu. Dawno już się tak nie bawiłam. Wydaje mi się, że jestem w kraju wśród rodaków, a mój pobyt w Algierii jest tylko złym snem. Rozbawiliśmy się w najlepsze. Nagle pukanie do drzwi.

- A, chodź no tu, ty największy z kontraktu! - śmieje się Zbyszek. - Anno, poznaj naszego „najstarszego" i „największego" kontraktowicza, Krzysztofa.

Krzysztof jest najstarszy stażem w Algierii, bo przebywa już szósty rok na kontrakcie. A „największy"? To uszczypliwość kolegów pod adresem jego wzrostu. Nie jest wysoki. Może mieć najwyżej 165 cm, ale jest przystojnym i dobrze zbudowanym mężczyzną. Krzysztof podaje mi rękę i siada naprzeciwko. Cały wieczór nic nie mówi. Czuję tylko jego spojrzenie. Staram się nie patrzeć w jego stronę. Nie, nie chcę zawierać żadnych bliższych znajomości, nie chcę już komplikować sobie życia, teraz pragnę tylko spokoju. Jednak to spojrzenie rozbraja mnie całkowicie. Daremnie staram się od niego uciec. Jestem jak sparaliżowana. Co się stało? - myślę. - Przecież nie zamieniliśmy ze sobą ani słowa.

- To co, Krzysztofie - mówi Zbyszek - zaprosiłbyś nas na tę swoją słynną fasolówkę?

- A czemu nie?

I Krzysztof wstaje. Dopiero teraz widzę, że jest na rauszu. Po chwili wraca i zaprasza nas wszystkich do swojego pokoju. Nie mam ochoty, zastanawiam się, jak może wyglądać stół przygotowany przez pijanego mężczyznę. Jednak wypada mi iść. I co widzę? Czyściutko. Przyjemnie. Stół świetnie nakryty. Krzysztof nalewa nam z wprawą fasolówkę. „Jeżeli tak potrafi podać, będąc podpity, to jakiż to musi być wspaniały organizator, gdy jest trzeźwy!" - myślę sobie. Jemy tę doskonałą fasolówkę,

a Mirek trąca łokciem Tomasza i mówi:

- Wiesz co, stary? Musimy tu Anię częściej przywozić, przynajmniej skorzystamy!

Śmieją się do łez. Reszta wieczoru upływa nam we wspaniałym nastroju. Gdyby oni wiedzieli, jaką przyjemność zrobili mi swoją obecnością.

...Mijają godziny, które są dla mnie jak sekundy. Trzeba zbierać się do domu. Ktoś podaje mi płaszcz. To Janusz. Wychodzimy na korytarz. Cały czas jest obok mnie Krzysztof. Na schodach bierze mnie pod rękę. Mirek z Tomaszem są z przodu, nic nie widzą.

- Czy mógłbym się z panią zobaczyć gdzieś w Algierze? - pyta.

Odpowiadam, że nie. Nie mam ochoty na jeszcze jeden romans bez przyszłości. A tymczasem... Na drugi dzień w pracy dzwoni telefon.

- Pani Anno, mamy ogromny problem! - słyszę zmartwiony głos Tomasza. - Nasz „największy" kontraktowicz bardzo chce zdobyć od nas pani namiary. Czy wyraża pani na to zgodę?

- Absolutnie nie, panie Tomaszu. Jestem szczęśliwa, że mogłam was poznać, mam nadzieję, że się jeszcze spotkamy, ale bardzo pana proszę, niech pan nic daje adresu i numeru telefonu panu Krzysztofowi!

- Może pani na mnie liczyć!

Wiem, że Tomasz dotrzymał słowa. Jednak kilka dni później znajduję w pokoju ogromny bukiet kwiatów w wazonie oraz małą karteczkę: *Pani Anno, zastałem tylko Pani córkę. Koniecznie muszę się z Panią zobaczyć w pewnej sprawie.* I podpis: *Krzysztof.* Ciekawe, w jaki sposób mnie znalazł?

Na drugi dzień już z daleka widzę czekającego koło domu Krzysztofa. Prosi, ażeby mu towarzyszyć, ponieważ nie zna francuskiego, a musi coś załatwić niedaleko. Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że jest to tylko wybieg z jego strony. Idziemy jednak w kierunku centrum miasta. Jest przepiękny wieczór. Krzysztof milczy. Po chwili odzywa się:

- Pani Anno, muszę to wyrzucić z siebie, bo inaczej zwariuję. Niech się pani nie gniewa za to, co powiem, ale po prostu zakochałem się w pani.

Milczę, bo cóż mogę powiedzieć? Krzysztof zaprasza mnie na piwo. Siedzimy w wytwornym hotelowym barze w El Aurassi, Krzysztof nie spuszcza ze mnie wzroku.

- Niech pani coś powie, błagam.

- Dobrze. Niech się pan zastanowi nad wszystkim. To, co nazywa pan miłością, jest jedynie wynikiem tego, że od wielu lat żyje pan w oderwaniu od polskiej codzienności, bez stałego fizycznego kontaktu z kobietą. Poza tym dochodzi jeszcze wspaniała przyroda, pogoda, wszystko to wpłynęło na pewno na pana w ten sposób, że przypadkowe spotkanie ze mną wydało się panu wielkim uczuciem. A może chce pan po prostu przeżyć przygodę, która ubarwi monotonię pańskiego życia?

- Nieprawda! - protestuje Krzysztof. - Wiem, co się ze mną dzieje, po prostu zakochałem się jak głupi szczeniak. Czy mógłbym się z panią jeszcze zobaczyć?

- Nie - odpowiadam zdecydowanie.

Kończymy pić piwo, wychodzimy. Rozstajemy się, nie mam ochoty kontynuować tej znajomości.

Na drugi dzień ktoś puka do drzwi mojego biura. - Proszę!

Drzwi otwierają się. To Krzysztof. Jest bardzo zmieszany. W biurze jest ze mną Kamil. Przedstawiam ich sobie.

- Jak pan mnie tu znalazł? - pytam. - Przecież nie miał pan pojęcia, gdzie pracuję ani nawet jak się nazywam.

- Dla kogoś, kto kocha, wszystko jest proste! - odpowiada Krzysztof. - Poza tym już niedługo pani imieniny, chciałem podarować pani mały drobiazg.

Na moim biurku ląduje małe pudełko. Otwieram. Piękny zegarek. No cóż, zauważył, że nie mam zegarka. Nie wiem, jak się zachować. W końcu jednak decyduję się nie przyjąć prezentu.

Marzec - kwiecień 1992 roku

...I tak mijają dni. Codziennie telefon od Krzysztofa lub jego wizyta w biurze wtedy, gdy ma popołudniową zmianę. Na nieszczęście - pracuje bardzo blisko mojego zakładu. Bronię się przed tą znajomością, **ale,** ciągnie mnie do polskiej, bratniej duszy. Już nie czuję się taka samotna, zagubiona i bezbronna. Czuję, że mogę w każdej chwili liczyć na pomoc tych trzydziestu silnych pod każdym względem rodaków.

Za kilka dni organizują wycieczkę do Kabylii. Mają do dyspozycji mikrobus. Jesteśmy zaproszone obie z Sonią, ale córka nie może jechać. Mikrobus podjeżdża blisko domu. Znajome twarze. Jest także Krzysztof. Pogoda przepiękna. Nasz cel - Béni-Yenni oraz Djurdjura.

Wąską, wijącą się wśród gór drogą docieramy do Béni-Yenni. Zatrzymujemy się w oberży „Srebrna Bransoleta". Prawdziwe cacko architektury ludowej, świetnie wkomponowane w górski krajobraz.

Wchodzimy do baru. Muzyka, czysto i przyjemnie, oryginalne dekoracje. Zamawiamy piwo i chociaż jest ramadan, dostajemy je bez żadnego sprzeciwu ze strony obsługi. Potem recepcjonistka pokazuje nam pokoje. Jest ich tylko 10, ale jak urządzone! Prawdziwe małe cudeńka, z lodówką i telewizją satelitarną.

Jedziemy na Djurdjurę, która jest zespołem górskim w odległości 47 km od Tizi-Ouzou, niedaleko Béni-Yenni. Błądzimy. W końcu dojeżdżamy. Śnieg, mgła, nic nie widać na odległość kilku metrów. Próbujemy jednak jechać na zapalonych światłach. Nic z tego. Śnieg tamuje drogę. Widzimy nadjeżdżający z przeciwka samochód. To Niemcy. Usiłują nam wytłumaczyć, że droga na Djurdjurę jest nieprzejezdna. Zawracamy. Po drodze lepimy kulki ze śniegu i obrzucamy się nimi jak dzieci. Szkoda, że nie mogliśmy dojechać na samą Djurdjurę, gdzie również jest piękna oberża i skąd rozciąga się przepiękny widok na górzystą Kabylię.

W Algierze jesteśmy o godz. 21^{00}- Żegnana serdecznie przez kolegów, wracam do domu, gdzie czeka Sonia i Mruczek.

W sobotę rano w pracy prawdziwy kołowrotek. Przyszło pismo do naszego działu od Naczelnego, aby za trzy tygodnie dostarczyć kompleksowe opracowanie metod kalkulacji premii kolektywnej i indywidualnej,

ponieważ ma się odbyć zebranie dyrekcji zakładu poświęcone zmianie systemu obliczania tych premii. Już od roku słyszę, że mieliśmy to przygotować, ale mój współpracownik Arabi robił wszystko, żebyśmy się nigdy do tego nie zabrali. No cóż, teraz Arabi jest na sześciomiesięcznym szkoleniu, a na moje barki spadło opracowanie tego wszystkiego w ciągu trzech tygodni. Codziennie spędzam przy komputerze 8 godzin. Bolą mnie oczy, ale pracę kończę na czas, dosłownie „za pięć dwunasta". Piszę w edytorze tekstu. Szefowa dołącza część opracowaną przez siebie i dzieło jest gotowe. Byłoby lepsze, gdybym miała więcej czasu, a tak - zrobiłam kilka matematycznych błędów i jest mi wstyd. Szefowa jest zadowolona, ja - nie.

Moja pensja w S. wynosi prawie 10 000 dinarów netto, a więc w ciągu niecałych dwóch lat podwoiła się. Czy to znaczy, że żyje mi się lepiej? Skądże. Inflacja galopuje na łeb na szyję. Ledwo sobie radzę z wydatkami i to naprawdę niezbędnymi. Dochodzi jeszcze opłata za kurs języka francuskiego, za korepetycje i basen Soni, za usługi dentystyczne, za mieszkanie, od czasu do czasu paczka dla Riada i łapię się na tym, że pozostaje mi jedynie na skromne życie. A gdzie jakieś oszczędzanie? W tym czasie cena lodówki - 15 000 DA. pralki - 18 000. Coraz trudniej radzę sobie finansowo. Chociaż mam, jak na warunki algierskie, całkiem niezłą pensję, zaczynam odczuwać teraz większy niż przed dwoma laty brak pieniędzy. A ceny żywności galopują niemiłosiernie. Towarzyszy im prawie taki sam szybki wzrost cen innych artykułów. Trwa głęboki kryzys ekonomiczny i ja odczuwam go namacalnie. A w tej chwili jestem tylko z córką. Jak sobie radzą moi algierscy koledzy, mający często na utrzymaniu liczną rodzinę? Nie wiem.

Zbliża się koniec miesięcznego postu ramadanu, nadchodzi L'Aïd Srir, dwudniowe święto obchodzone tutaj bardzo uroczyście. Dzieciom kupuje się nowe ubrania i to one są bohaterami tych dwóch świątecznych dni. Pięknie wystrojone paradują z rodzicami po ulicach. Piecze się też z tej okazji ogromne ilości różnych ciastek, którymi tradycja każe obdzielić

wszystkich odwiedzanych w tym czasie bliskich lub znajomych. Tłumnie idzie się pierwszego dnia na cmentarz. To nie dzień 1 listopada, tak jak u nas, jest dniem przeznaczonym dla zmarłych, ale właśnie pierwszy dzień święta. Odpowiednik naszego święta zmarłych nie istnieje. 1 listopada jest świętem rewolucji algierskiej, która wybuchła właśnie tego dnia 1954 roku i zakończyła się odzyskaniem niepodległości w roku 1962. A więc zbliża się L'Aïd, a wraz z nim cztery wolne dni. W czwartek i piątek nie pracujemy ustawowo, w sobotę i niedzielę wypadają święta.

- Anno, jedziemy do Béni-Yenni na cztery dni! - telefonuje Krzysztof.

Nie sprzeciwiam się. Jak długo można opierać się adoracji mężczyzny? I to na dodatek w mojej sytuacji, kiedy codziennie towarzyszy mi ogromna samotność i stres, kiedy żyję w tak niecodziennych warunkach i układach? Każda chwila spędzona z Krzysztofem przenosi mnie w inny świat, pozwala zapomnieć o trudach życia, pozwala na odreagowanie napięcia psychicznego. Poza tym chcę jeszcze raz zobaczyć Béni-Yenni. Byłam tam na kabylskim weselu. To Dalila zaprosiła mnie na swój ślub. Właśnie w tej miejscowości się urodziła i stąd wywodzi się jej rodzina. Dalila jest Kabylką.

* * *

Pamiętam ten dzień, kiedy razem z Riadem wybraliśmy się do Béni-Yenni. Było to w maju 1991 roku. Utknęliśmy w Tizi-Ouzou, nie było dalej autobusu. Co robić? - myślę sobie. Nie dojadę na ten ślub, a Dalila tak mnie prosiła.

- Mamusiu, jedźmy autostopem - proponuje syn. - Taka ładna blondynka jak ty nie będzie miała problemu z zatrzymaniem czegoś - dodaje filuternie ku mojemu rozbawieniu.

Widzę, że nie ma innego wyjścia oprócz tego, który zaproponował Riad. Ktoś wskazuje nam szosę wylotową w kierunku Béni-Yenni. Stoi tam pełno autostopowiczów jak również czekających taksówek, ale w tym okresie oszczędzam każdy grosz. Ustawiamy się z synem na pierwszej linii, przed wszystkimi autostopowiczami i machamy oboje. Od razu zatrzymuje się jakiś samochód.

- Dokąd? - pyta sympatyczny mężczyzna.
- Do Béni-Yenni - odpowiadam. Kierowca ma zatroskaną minę.
- Akurat nie mój kierunek.
- Szkoda. Spieszę się na ślub mojej koleżanki - Kabylki.
- Na ślub? A to nie ma sprawy, muszę panią tam zawieźć - mówi z uśmiechem kierowca. - Niech pani wsiada.

Wsiadamy z Riadem, oboje bardzo zadowoleni. Mężczyzna jest bardzo grzeczny. Umila nam drogę rozmową. Patrzę na przepiękne górzyste okolice, na wznoszącą się drogę. Béni-Yenni to siedem połączonych ze sobą wiosek, odległych o 144 km od Algieru. Pięknie wygląda to w nocy: świecące punkciki wiosek porozrzucanych po górach Kabylii. Nasz miły kierowca pyta w Béni-Yenni o rodzinę Dalili. W końcu wysadza nas prawie przed jej domem. Nie chce przyjąć zapłaty, życzy nam przyjemnej zabawy.

Wchodzimy pomiędzy wąskie, kamienne zabudowania wioski. Specyficzna konstrukcja z kamienia i jakiegoś lepiszcza. Niskie domki o płaskich dachach, przylepione do siebie w różny, nie kontrolowany architektonicznie sposób. Konstrukcja najczęściej parterowa, rzadko jednoczy dwupiętrowa. Wąskie uliczki przypominają trochę nastrój algierskiej Casbah - tajemnicze, malownicze, przeniesione jak gdyby w inną epokę.

Po raz pierwszy uczestniczę w kabylskim weselu, jakże daleko odbiegającym swoją tradycją od polskiego wesela. Już na progu wita mnie Dalila i jej babcia, ubrane w regionalne, długie haftowane kabylskie suknie.

- Mamusiu, jak nazywa się ten kraj? - pyta mnie Riad, czym rozśmiesza mnie do łez.

Syn, słysząc wokół dialekt kabylski, zupełnie inny niż język arabski i niezrozumiały dla niego sądzi, że przyjechaliśmy do innego państwa.

Częstują nas kuskusem z mięsem. Gości jest dużo, chyba kilkadziesiąt osób. Dom jest obszerny, ma dużo pomieszczeń. W jednym z nich znajduję Dalilę w otoczeniu kobiet. Oglądają prezenty, które dostała Dalila. Jest tego cała masa. Ale przeważają koce, nakrycia na łóżko oraz

szlafroki. Mnóstwo koców! A jeszcze trzeba dodać, że babcia wyposażyła Dalilę również we własnoręcznie utkane, piękne, oryginalne kabylskie nakrycia na łóżko oraz koce.

- Dalilo, co ty zrobisz z taką furą koców, nakryć i szlafroków? - śmieję się do niej. - No, przynajmniej ode mnie masz coś innego! - wyjmuję mój prezent, który Dalila otwiera z wielkim zainteresowaniem, a ciekawe oczy otaczających nas kobiet śledzą jej ruchy.

- Jaki śliczny? - woła zachwycona Dalila, widząc piękny serwis do kawy.

A jest on rzeczywiście ładny. Przywiozłam go z Polski kilka lat temu. Bardzo oryginalny, był naszą rodzinną pamiątką. Dalila nie może oderwać oczu, cieszy się jak dziecko. Ą mnie jest przyjemnie, że taka piękna porcelana trafiła właśnie do niej. Jak to dobrze, że zaraz po rozwodzie wyniosłam ten serwis do koleżanki. Inaczej na pewno zniknąłby z mojego mieszkania. Zabrałby go albo Yacine, albo Belaici.

Powoli poznaję bliższą i dalszą rodzinę Dalili. Mężczyźni są dyskretnie nieobecni, siedzą w którymś z pomieszczeń, sącząc swoją kawę, paląc, żując tytoń i dyskutując. Tylko od czasu do czasu widzę jakiegoś przemieszczającego się korytarzem mężczyznę lub ich małą grupkę, zebraną w przedsionku lub na zewnątrz. W całym domu królują kobiety, które są obecne wszędzie.

Wieczorem zaczyna się właściwe święto. Kobiety, zebrane w największym pomieszczeniu domu, siedzą w kucki pod ścianami na rozłożonych na podłodze wąskich materacach z gąbki, obleczonych kolorowymi kretonami. Jest magnetofon, z którego płynie kabylska muzyka. Na środku tego pomieszczenia tańczy kilka dziewcząt, którym z uwagą przygląda się reszta zgromadzonych kobiet. Jest to taniec kabylski - każda z dziewcząt tańczy osobno, na swój własny sposób, rytmicznie poruszając biodrami i rękami, dostosowując do tego odpowiednie kroki. Na biodrach dziewczyny mają przewiązane kabylskie chustki, które w pewnym momencie rozwiązują i trzymają w dłoniach na wysokości bioder. Potem chusty unoszone są w górę i dalej trzymane za dwa rogi trójkąta. Młode Kabylki tańczą swój regionalny taniec. Oczy siedzących kobiet bacznie obserwują i „taksują" tańczące dziewczyny, usiłując wybrać

przyszłą synową. Jest to najczęściej praktykowany w Algierii sposób na zaaranżowanie przyszłego związku małżeńskiego.

Wesele.

- A gdzie twój mąż? - pytam Dalili.
- Nie ma go tu, jest w Algierze, gdzie spędza czas ze swoimi kumplami, chyba w kawiarni, popijając kawę - mówi Dalila.

Tak mija noc. Na jedzeniu kuskusu z mięsem i domowych ciastek, popijanych oranżadą i kawą. Nad ranem układamy się wszyscy do snu na materacach porozkładanych na kafelkowych posadzkach.

Wystrój wnętrza całego domu jest skromny: bardzo mało mebli, najczęściej poukładane pod ścianami materace, przykryte kabylskimi nakryciami i ozdobnymi poduszkami, dużo dywanów własnej produkcji. Gaz na butle. Jest światło i woda. Noce są bardzo zimne (region jest położony na wysokości około 900 m n.p.m.), a dom nie ma żadnego stałego ogrzewania, jedynie przenośny piecyk, również na gaz z butli. Rano nie chce mi się wychodzić spod mojego nakrycia, w pomieszczeniu jest bardzo zimno, chociaż śpi w nim chyba 25 osób.

Dostajemy wczesny obiad - zupę siorbę *(chorba)* oraz znowu kuskus z potężnym kawałkiem baraniny. Każdy z gości, zgodnie z obyczajem panującym na wszystkich algierskich weselach, otrzymuje malutki kartonowy koszyczek, w którym znajduje się kilka weselnych domowych ciasteczek.

Dalila przygotowuje się do wyjazdu do swojego męża, oczekującego ją w Algierze, gdzie odbędzie się dalsza część uroczystości. Młodzi mają zamieszkać u ich dalszej, wspólnej rodziny (oboje są dla siebie kuzynami). Dalila zostaje ubrana w białą suknię i welon, uczesana i umalowana. Potem wychodzi z domu w asyście wszystkich kobiet, żegnana błogosławieństwem przez babcię, która zajmowała się nią po śmierci rodziców. Siostra Dalili płacze, płaczą również jej kuzynki. Towarzyszą temu głośne „ju, ju" - wydawane przez kobiety. Zaczyna płakać i Dalila. Dlaczego? Przed czekającym ją losem? Znam duszę tej wrażliwej dziewczyny, pragnącej miłości, pragnącej własnego domu. Jak twierdzi, wychodzi

za mąż z miłości, ale mówi mi to bez przekonania. Wiem, że małżeństwo zostało wyswatane przez rodzinę. I chociaż Dalila miała teoretycznie ostatnie słowo, to czuję, że powiedziała „tak" w obawie przed staropanieństwem i samotnym borykaniem się z życiem. Co ją czeka, jeżeli nie posiadają własnego kąta i będą musieli zamieszkać u rodziny?

Kilka samochodów, odpowiedników naszych bagażowych nysek, zabiera wyprawę ślubną oraz prezenty. Za nimi - samochody osobowe, którymi wracają do Algieru goście, ażeby kontynuować rozpoczętą uroczystość. My z Riadem też wracamy jednym z tych samochodów.

Dojeżdżamy do domu w Algierze, w którym ma zamieszkać Dalila i gdzie czekają następni goście. Jest to trzypokojowe mieszkanie w bloku na osiedlu. Przy wejściu tradycyjne „ju, ju" kobiet. Jest to specyficzny, głośny krzyk. Nigdy nie potrafiłam się tego nauczyć, chociaż nauczyłam się arabskiego tańca i opanowałam tajniki arabskiej kuchni. Do zgromadzonych gości dołączają przybyli. Jest pełno ludzi i kręcących się dzieci. Znowu dostajemy ciastka i oranżadę. Dalila zostaje wprowadzona do pokoju, w którym ma zamieszkać ze swoim mężem. Siadam obok niej. Jest jeszcze jej siostra. Zostajemy same. W pozostałych pomieszczeniach zaczynają się tańce, tak jak w Béni-Yenni. Jakoś nikt się nami nie interesuje. Całe towarzystwo fetuje, nie przejmując się specjalnie główną bohaterką, czyli Dalila.

- Gdzie twój mąż? - dalej pytam Dalilę.

Dziewczyna zaczyna płakać. Mówi, że przyjedzie dopiero wieczorem, na noc poślubną. Dalej mogę sobie dopowiedzieć. Zostanie najbliższa rodzina, która będzie czekać w sąsiednich pokojach na dowód czystości Dalili, czyli pokazanie zakrwawionego prześcieradła. Jak w tych warunkach można mówić o intymności pierwszego zbliżenia? Zbliżenia, które jest decydującym wstępem do dalszego życia? Dalila drży, chyba ze strachu przed czekającą ją nocą. Goście bawią się w pozostałych dwóch pokojach. To znaczy bawią się kobiety, mężczyźni bowiem, zgromadzeni w małych grupkach, stoją przed blokiem popijając herbatę lub kawę i dyskutując. Dzieci biegają i krzyczą. A mnie aż skręca żołądek. Stawiam się na miejscu Dalili i po prostu chce mi się

krzyczeć. Nigdy tak! Jestem kobietą, ale jestem też człowiekiem mającym prawo do własnej godności. Żegnam się z Dalila, życząc jej szczęścia i pośpiesznie wychodzę, zabierając ze sobą Riada, buszującego z innymi dziećmi po pobliskich wysypiskach śmieci.

Po raz ostatni spotykam Dalilę - przychodzi do mnie do zakładu w zaawansowanej ciąży. Chce się pożegnać, ponieważ jej mąż, wojskowy, otrzymał mieszkanie w innej miejscowości. Opowiada, że przeżyła gehennę z tą rodziną, u której mieszkała, i że to kobieta tak jej dokuczała. Znowu kobieta, która niszczyła inną kobietę! Dlaczego? Chyba w odwet za przegrane życie, za brak miłości, za brak perspektyw. Za to, że zgodnie z algierskim prawem, jej rola w społeczeństwie została sprowadzona do rodzenia dzieci. Tak jak rola Zoubidy, Maliki i wielu, wielu innych kobiet. A przecież każda z nich chciałaby być kochana prawdziwą, wielką miłością. Niejedna chciałaby odnaleźć się w pracy zawodowej, twórczości artystycznej, nie tracąc pozycji „kapłanki domowego ogniska". I chociaż kobiety dostosowują się do roli, jaką wyznaczył im kodeks rodzinny i los, to w krytycznych momentach przychodzi „odreagowanie" w formie agresji wobec innych kobiet, którym się lepiej w życiu powiodło.

Po kilku miesiącach spotykam również Farida, wielbiciela Dalili z E., tego, z którym jeździliśmy zawsze na wycieczki organizowane przez Wiktora. Bardzo przeżywa wiadomość o ślubie Dalili.

- Za bardzo się spieszyła, a ja nie umiałem podjąć decyzji, byłem przecież zaręczony od dziecka z moją kuzynką! - mówi. - Zresztą teraz zaręczyny zerwałem, uregulowałem sprawę wojska, jestem wolny. Gdyby poczekała, gdyby poczekała...

- Spieszyła się, bo skończyła 26 lat, a sam wiesz, co to u was oznacza.

- No tak, no tak - powtarza bezmyślnie Farid, a jego myśli błądzą gdzieś daleko. W jego oczach widać smutek i rozpacz za tym, co utracił. Tych dwoje było dla siebie stworzonych. Świetnie się rozumieli, była między nimi głęboka więź psychiczna. Rozdzieliły ich obyczaje własnego kraju.

* * *

Teraz, kiedy Krzysztof wspomniał o Béni-Yenni, powróciły do mnie wspomnienia o Dalili - wspaniałej, mądrej i wrażliwej dziewczynie. Czy kiedykolwiek jeszcze ją spotkam?

Oświadczam Soni, że nie będzie mnie cztery dni w domu. Widzę zadowolenie na jej twarzy. Sonia cieszy się, że zostanie sama. Obie „potykamy się" o siebie codziennie na kilku metrach kwadratowych i ta siedemnastoletnia dziewczyna marzy o chwilach, kiedy będzie mogła pozostać sama ze sobą i ze swoim ukochanym Mruczkiem.

Telefonicznie zamawiam pokój. Na szczęście są wolne miejsca, ponieważ L'Aïd jest świętem rodzinnym, spędzanym w gronie najbliższych osób. Wyjeżdżamy rano autobusem do Tizi-Ouzou, które jest oddalone od stolicy o 104 km. Komunikacja na trasie Algier -Tizi-Ouzou i z powrotem jest nieźle zorganizowana, ponieważ obsługują ją w większości prywatne przewozy. W Tizi-Ouzou stoi już autobus do Béni-Yenni. Znowu przeszło godzina jazdy, chociaż jest to tylko 40 kilometrów. Ale droga nie jest dobra, wije się serpentyną pomiędzy górami.

Wysiadamy w Béni-Yenni, jest godzina 10^{00} rano. Co za wspaniałe powietrze! Już samo oddychanie przyprawia nas o zawrót głowy. Pogoda doskonała, świeci słońce, ale jest chłodno. Załatwiamy pokój w recepcji. Z okna rozciąga się niezapomniany widok na góry Kabylii. Pokój jest świetnie urządzony, czyściutko. Duża łazienka, gorąca bieżąca woda, włączone centralne ogrzewanie. I cena za jedną dobę doprawdy przy takim komforcie nie jest wygórowana - niecałe 500 dinarów za dobę. Biorąc pod uwagę obecną cenę czarnorynkową dolara (50 dinarów) jest to 10 dolarów za doskonałe warunki w przepięknej scenerii.

Krzysztof przywiózł całą torbę prowiantu. Polskie konserwy, szynka. Szykuje mi prawdziwie królewskie kolacje i śniadania. Jak on to potrafi sprawnie zrobić i elegancko podać! Po raz pierwszy mam do czynienia z tak energicznym mężczyzną o sprawnych ruchach nastolatka. Patrzenie na niego sprawia mi ogromną przyjemność. Ale godziny biegną

nieubłaganie szybko, chciałoby się zatrzymać ten czas tak szczodrze podarowany mi przez los. O ironio, czyż to możliwe, że właśnie w tym kraju przeżyłam swoje piekło i swój raj? Wydaje mi się, że jestem w raju i tak chyba ten raj wygląda w pozaziemskim życiu. Cisza przerywana śpiewem ptaków (oberża jest prawie pusta), komfort, fizyczna i psychiczna bliskość drugiego człowieka w otoczeniu przepięknej przyrody i słońce, słońce, słońce...

Wychodzimy na taras hotelu w ubraniach z krótkimi rękawami. Opalamy się (jest wczesna wiosna!). Ale po pół godzinie czuję, że zaczynam się smażyć. Wracamy do hotelu. Twarz i ręce mam spalone „na raka". Tylko pół godziny! Czy to możliwe? Smaruję się, czym mogę, trochę pomaga.

Wychodzimy na zwiedzanie Béni-Yenni. Kabylskie kobiety uśmiechają się do nas serdecznie i pierwsze nas pozdrawiają. Ich twarze są ogorzałe od słońca, a ręce bardzo zniszczone. Wszędzie widzimy napisy w języku *amazight.* Ludność utrzymuje się głównie z wyrobu biżuterii ludowej ze srebra. Co krok sklepiki z kabylską biżuterią. Jest misternie wykonana, piękna i nie tak droga. Niestety, rządowy przydział srebra dla kabylskich rzemieślników maleje z miesiąca na miesiąc, powodując wzrastające w tej dziedzinie bezrobocie.

Zwiedzamy kabylskie muzeum. Oprowadzający nas chłopak wyjaśnia, że to skromne muzeum zorganizowała społecznymi siłami tutejsza młodzież, że Kabylia jest regionem zapomnianym przez rząd algierski. Kabylowie, rdzenni mieszkańcy tego regionu, od wielu lat walczą o swoją autonomię i niezależność. Chcą wprowadzenia do szkół i urzędów języka *amazight.* Arabowie, przeważający mieszkańcy Algierii, wiodą swój rodowód od Arabów, którzy podbili po roku 700 północną Afrykę. Istnieje duży antagonizm pomiędzy Kabylami a Arabami. Niechętnie są zawierane małżeństwa arabsko-kabylskie. Od razu odczuliśmy inną atmosferę tego regionu. Ogromnie życzliwa ludność, chętna do niesienia pomocy i rady na każdym kroku. Kobieta kabylską pracuje bardzo ciężko, ale ma dużą swobodę i jest bardzo poważana w społeczności i w rodzinie. Kabylowie są podobni do Słowian, mają jasną cerę, niezbyt ciemne, nierzadko jasne, lekko faliste włosy, często niebieskie oczy.

Zaskoczyło mnie to, że w kilku restauracjach zaproponowano nam wieprzowinę.

Krzysztof jest zachwycony Kabylią, ja również. Wszyscy ludzie, których spotykamy, są aż żenująco gościnni, serdeczni i uprzejmi. Jadąc autobusem do Béni-Yenni nie mieliśmy siedzących miejsc. Wtedy stary człowiek wstał i ustąpił mi miejsce. Zaprotestowałam ze względu na jego wiek. Ale zaraz prawie wszyscy pasażerowie zaczęli mnie serdecznie zachęcać, ażeby przyjąć zaproponowane miejsce, że jest to normalne. Było mi głupio, że stary człowiek stoi koło mnie, a ja siedzę. W Polsce byłoby akurat odwrotnie i to mnie wypadałoby ustąpić mu miejsca. Ale dla tych prostych ludzi honor, gościnność i życzliwość są najważniejsze. Widziałam, że stojący za mną Krzysztof również miał niezbyt wyraźną minę.

...Czas biegnie nieubłaganie i cztery dni pobytu w „Srebrnej Bransolecie" mijają jak krótka chwila. W ostatni wieczór Krzysztof zamawia do pokoju dwie butelki wina. Siedzimy i właściwie słów nam brak na wypowiedzenie tego wszystkiego, co czujemy. Jest tak cudownie, że aż boimy się poruszyć, by nie popsuć tego nierealnego snu. Zanim się spostrzegliśmy, jest godz. „3^{30} rano. Trzeba zbierać się do wyjazdu. Do Algieru dojeżdżamy bez żadnych problemów. W pracy jestem o 8^{30}.

Sensacja! Jestem opalona na Murzyna i wyglądam jak świeżutki i zdrowiutki owoc. Podobno przytyłam. No pewnie! Po takim jedzeniu! Każdy chce wiedzieć, skąd wróciłam w takiej świetnej formie! Nic jednak nie mówię. Takie chwile nie są dane każdemu. Ażeby je przeżyć, czasami trzeba za nic wcześniej zapłacić bardzo gorzkimi łzami.

Te cztery dni podarowane mi przez Krzysztofa są ogromnym kapitałem sił fizycznych i psychicznych, który musi mi wystarczyć na bardzo długo w walce o lepsze jutro dla mnie i dzieci.

Zbliża się Wielkanoc. Dzwoni Jeanne.

- Anno, zapraszam cię na uroczysty wielkanocny obiad zaraz po mszy.

Niestety, odmawiam, chociaż bardzo chciałabym się spotkać z koleżankami z Grupy Przyjaźni. Wybieram Wielkanoc w towarzystwie

moich rodaków. Msza w katedrze Sacré Coeur odbywa się o godzinie 10^{00}. Mam dzień ustawowo wolny od pracy. Przychodzę na nabożeństwo, są już prawie wszyscy znajomi - Sophie, Anne, Hana, Dominique. Serdecznie się witamy i całujemy.

Katedra Sacré Coeur, położona w centrum Algieru, jest prawdziwą perłą architektoniczną stolicy. Duża, nowoczesna budowla. Wnętrze sprawia niesamowite wrażenie swoją przestrzenią i wysokością. Katedra jest zapełniona ludźmi prawie wszystkich ras. W Algierze jest maleńka garstka chrześcijan, w sumie kilkuset. Msze, szczególnie w okresie Wielkanocy i Bożego Narodzenia są pięknie celebrowane, ale zupełnie inaczej aniżeli w polskich kościołach. Przed ołtarzem, na dużym podium siedzą na krzesłach ustawionych w półkolu księża różnych wyznań. Kazanie transmitowane jest bezpośrednio przez algierskie radio. Pamiętam tą samą Wielkanoc dwa lata temu. Płynęły słowa kazania *monseigneur* T. o istnieniu Boga. W pewnym momencie usłyszałam jego piękny, potężny głos: „Jak można nie wierzyć w Boga, w to, że on istnieje, skoro samotna matka cudzoziemka znajduje siły na przetrwanie w obcym państwie i potrafi stworzyć normalny dom swoim dwojgu dzieciom w sytuacji, kiedy nie ma ani mieszkania, ani pracy, ani możliwości wyjazdu do swojej ojczyzny?!"

Wiem, że te słowa były poświęcone mojej osobie.

Doprawdy, ojcze T., skąd wzięłam siły na pokonanie tego algierskiego piekła? Ile w tym wszystkim zasługi Boga, a ile ludzi dobrej woli, takich jak Maguy, Anne, Pierre'a, Sophie, Juliette, Jeana, Antoine'a, rodziny D. i Saidy? Gdyby nie ten tragiczny bieg wydarzeń, nigdy nie byłoby mi dane spotkać tych wspaniałych ludzi, których nie zapomnę do końca mojego życia. Sensem ich istnienia jest niesienie pomocy innym. Ubogo, ale jakże bogato, jaka życzliwość, ile dobrych i ciepłych słów, podtrzymujących wiarę w drugiego człowieka! To im można zadedykować piękny wiersz Alberta Schweitzera:

To co możesz
uczynić
jest tylko
maleńką kroplą
w ogromie oceanu.

ale właśnie jest tym,
co nadaje znaczenia
twojemu życiu.

Po mszy Krzysztof i Janusz zabierają mnie do Sidi Fredj. Przygotowałam paszteciki z mięsem, u nich stół jest już bogato zastawiony. Jesteśmy w szóstkę: Mirek, Tomasz, Zbyszek, Janusz, Krzysztof i ja. Święta wielkanocne w bardzo polskim gronie i stylu. Są nawet pisanki. Życzymy sobie smacznego jajka, a myśli nasze biegną w stronę Ojczyzny. Oni wszyscy na pewno myślą o swoich najbliższych. A ja? Czy ktoś potrafi zrozumieć, jak bolesna jest tęsknota za Ojczyzną?

Pamiętam wiosnę w B. w czasach mojej młodości, kiedy topniały śniegi, a wokoło robiło się tak pięknie zielono. I pamiętam również do dzisiaj wiersz Broniewskiego: „Mnie ta ziemia od innych droższa, ani chcę, ani umiem stąd odejść, tutaj Wisłą, wiatrami Mazowsza, przeszumiało mi dzieciństwo i młodość".

Pięknie położone, 35-tysięczne B. zostawiło w mojej pamięci niezatarte ślady dzieciństwa i młodości, spędzonej wśród serdecznych sąsiadów i w kochającej się rodzinie. Chociaż, jak wiele robotniczych rodzin, moja nie była bogata, byliśmy jednak razem bardzo szczęśliwi. Dom rodziców jest położony na krańcach miasteczka, u podnóża Gór Sowich. Z okna roztacza się wspaniały widok na góry, obok znajduje się duży ośrodek wypoczynkowy nad jeziorem oraz ogromny teren ogródków działkowych, wychuchanych przez właścicieli. Uciążliwa była jedynie zima, kiedy zawiało drogi i trzeba było dobrze palić w piecu, ażeby w mieszkaniu było ciepło. Ale i zima w górach była niezapomniana. Na sankach można było zjechać pod sam dom, a wieczorami poprzez firanki jaśniały kolorowe lampki choinek.

Minęła Wielkanoc.

Zaraz po świętach otrzymałam list od mamy. Pisze:

Aniu, Wielkanoc upłynęła nam dosyć przyjemnie. Riad bardzo chciał, ażeby przygotować mu koszyczek ze święconym. Włożyłam mu więc baranka, pisanki, kiełbasę i chleb. Ładnie ubrany poszedł do kościoła poświęcić dary Boże. Przychodzi, a w koszyczku tylko baranek.

- *Gdzie reszta? - pytam.*

- *A, zjadłem po drodze, bo byłem głodny.*

Tak więc idea poświęcenia darów bożych została przekształcona przez mojego syna na własny, dosyć praktyczny użytek. Ile jeszcze, mój synu, będziesz musiał sobie przyswoić, ażeby odnaleźć się w tym nowym dla ciebie świecie?

Urlop w Polsce, spotkanie z Riadem i mamą, lato w Algierii

Czerwiec - lipiec 1992 roku

Na początku czerwca świętujemy zakończenie roku szkolnego w Centrum Kultury Francuskiej. Są wszyscy: Japończyk Youtaro, Węgierka Weronika, Anna i Walentyna (Rosjanki), Sarah i Abdellatif (Palestyńczycy), koledzy z Iranu, Iraku, Egiptu, Indonezji. Każdy przynosi ze sobą tradycyjne ciastka swojego kraju. Jest dużo kwiatów dla naszej nauczycielki. Muzyka. Tańczymy arabskie tańce. Każdy usiłuje zatańczyć taniec brzucha. Prawie nikomu się nie udaje, ale śmiechu jest co niemiara. Spędziliśmy w tej istnej wieży Babel cały rok, wynosząc bardzo miłe wspomnienia i, niestety, nie za wiele wiedzy. Chyba dlatego, że byliśmy grupą międzynarodową. Wszyscy bardzo kiepsko pisaliśmy po francusku, w mowie zaś byliśmy na różnym poziomie. Niestety, poziom nauczania dostosowano do najsłabszych, stąd dosyć mierne rezultaty. Grupa była niezwykle sympatyczna. Tutaj poznałam Weronikę, Węgierkę, która stała się moją serdeczną przyjaciółką. Ile przegadanych razem dni, ile pięknych chwil spędzonych w gronie jej rodziny!

Tymczasem koniec czerwca zbliża się nieubłaganie szybko. Od 1 lipca zapowiedziano podwyżkę cen biletów lotniczych. Chcę zdążyć przed podwyżką, decyduję się na trzytygodniowy wyjazd do Polski. Sama, ponieważ nie stać mnie na kupno dwóch biletów. Ale co zrobić z Sonią przez tak długi okres? Sytuacja w Algierii, ze względu na szerzący się terroryzm, jest coraz bardziej niebezpieczna. Z pomocą przychodzi mi koleżanka z kursu języka francuskiego - Rosjanka Katia.

- Dawaj Sonię do nas, dobrze się nią zajmę. Wiem, co to znaczy znaleźć się w takiej sytuacji jak ty!

Przyjeżdżają z mężem po Sonię dwa tygodnie przed moim odlotem. Córka bardzo niechętnie opuszcza dom. A Mruczek? Kto się nim zajmie? Nasz wspaniały kot będzie musiał zostać trzy tygodnie bez naszej opieki! Jest to kot, który potrafi okazać uczucia człowiekowi. Wszystko rozumie po polsku. Uroda i inteligencja Mruczka sprawia, że obie z Sonią traktujemy go jak domownika. Mam więc poważny problem, co zrobić z Mruczkiem w czasie mojej nieobecności. Ale są przecież sąsiedzi, na których mogę liczyć. Rabia ofiarowuje się zaopiekować Mruczkiem. Idę więc na targ. Kupuję dwa kilo sardynek, które smażę, a następnie dzielę na małe porcje i wkładam do zamrażalnika. Klucz do mieszkania zostawiam Rabii.

Jestem spakowana. Do kraju lecę wraz z dwoma rodakami z „Metra". Na lotnisko odwozi mnie Krzysztof oraz Janusz. Startujemy z Algieru o godz. 7^{45}. W samolocie spotykam kilka Polek, żon Algierczyków, lecących z dziećmi na urlop do kraju. Siedzę w towarzystwie naszych kolegów z „Metra", zabawiają mnie rozmową, czas szybko mija. Po trzech godzinach słyszymy zapowiedź kapitana samolotu:

- Proszę państwa, zbliżamy się do Warszawy. Pogoda w stolicy słoneczna, 28 °C.

Lądowanie. Szybka odprawa paszportowa.

- Mama, mama!

Już z daleka słyszę głos Riada i widzę jego okrągłą, uśmiechniętą buzię. Rzuca mi się w ramiona. Co czuję w tej chwili? Oprócz wielkiej radości mam tę satysfakcję, że nie mogę sobie nic zarzucić, jeżeli chodzi o podjęte przeze mnie decyzje. Wiem, że postąpiłam słusznie. Przeszłam wraz z dziećmi przez piekło, ale nigdy nie będę żałowała tego, co zrobiłam. Jak on urósł i zmężniał! Buzia mu się nie zamyka. A jak pięknie mówi po polsku! Co za radość i duma!

Witam się z mamą. Nie poznaję jej. Odmłodniała. Ma ładną fryzurę. Zimą 1990 roku, po śmierci taty była starym, zniszczonym, przytłoczonym zmartwieniami człowiekiem. Nogi ugięły się pode mną, gdy ją zobaczyłam. Teraz mam przed sobą pogodną, rozpromienioną starszą panią, zakochaną w swoim wnuku. To, że są razem, na oboje wpłynęło bardzo korzystnie.

Na lotnisku czeka na mnie Jadwiga, koleżanka ze studiów, mieszkająca w Warszawie. Zabiera nas swoim samochodem do siebie, ponieważ pociąg do B. mamy dopiero wieczorem.

Jakże piękna jest stolica! Czuję aż fizyczny ból, przeszywający moje ciało. Moje skronie pulsują, a jakiś wewnętrzny głos woła: „Popatrz, to jest twój kraj, tutaj są twoje korzenie! Spójrz, jaki on piękny, a ci wszyscy ludzie na ulicach mówią po polsku, czują po polsku, myślą tak jak ty! To są twoi rodacy!" A jednocześnie czuję w sercu ogromny żal, że w tym kraju tak ciężko się żyje, że tylu moich rodaków poniewiera się po świecie w poszukiwaniu chleba. Myślę o sobie i swoich staraniach o emigrację do Kanady. Złożyłam dokumenty w ambasadzie kanadyjskiej w Maroku i zostałam zakwalifikowana wraz z dziećmi; obiecano mi ostatni decydujący etap - osobiste przesłuchanie. Czekam na nie już ponad rok bez rezultatu, chociaż ponaglam biuro emigracyjne swoimi listami. Ale jakiś instynkt wbrew wszelkiemu rozsądkowi mówi mi: „Nie jedź!" Ten głos wewnętrzny jest tak silny, że przyprawia mnie o dreszcze i ból głowy. „Czy osiągnięcie wysokiej pozycji materialnej jest najważniejszym celem w twoim życiu? Pozbawisz swoje dzieci raz na zawsze ich polskości, wyrwiesz ich z korzeniami z naszej ojczystej gleby". Wielu naszych rodaków miało możliwość emigracji. Pozostali jednak w Ojczyźnie, bo, jak napisała Agnieszka Osiecka „bardzo ci dziękuję za to, że jesteś moim krajem, że jesteś piekłem mym i moim rajem". Glos rozsądku, o wiele cichszy i jakby przytłumiony, odzywa się jednak: „Jak wykształcisz tych dwoje zdolnych dzieciaków w kraju, w którym nie ma żadnej rozsądnej relacji między wartością pracy a wynagrodzeniem? Kto ci pomoże w twojej sytuacji? Gdzie, w twoim wieku, znajdziesz pracę przy tak dużym bezrobociu?" A mieszkanie? Milion wątpliwości. Niepewność jutra. Znowu potrzeba podjęcia decyzji, trudnej i bardzo złożonej. Jest mi niezwykle ciężko psychicznie, w całym bowiem moim dotychczasowym życiu nic spotkałam człowieka, partnera życiowego, który czułby się odpowiedzialny za los mój i dzieci, który przyjąłby na swoje barki chociaż część tych wszystkich spraw, decyzji i problemów.

Różne myśli kłębią mi się w głowie, gdy przez parę godzin patrzę na Warszawę. Cieszę się, że mam przy sobie mamę i Riada. Jadwiga jest niezwykle gościnna i już od wielu lat wita mnie tak samo serdecznie.

Rano przyjeżdżamy do B. Uszczęśliwiony Riad zasypia przy mnie na tapczanie. Przez sen czuję jego spokojny oddech i słyszę mamę krzątającą się w kuchni. Nie chce mi się otworzyć oczu...

Na drugi dzień jest zakończenie roku szkolnego. Idę razem z Riadem. Ta sama szkoła podstawowa, do której uczęszczałam i byłam jedną z najlepszych uczennic. A teraz chodzi tu mój syn. Jest bardzo dumny z tego, że przyjechała jego mama. Zaraz prowadzi mnie do „swojej" pani nauczycielki, która jest śliczną, chyba dwudziestoletnią dziewczyną. Mój syn jest nią oczarowany, ja zresztą również. Pani jest aniołem. Widać, że kocha dzieci. Rozmawiamy o Riadzie. Pani stwierdza, że jest to wyjątkowe pod każdym względem dziecko: mądre, grzeczne, ma duży talent sportowy. Wszyscy go bardzo lubią. Wierzę. Jest to chłopak, którego nie sposób nie kochać. Odziedziczył po swoim dziadku wszystkie wspaniałe cechy prawdziwego Polaka: odwagę, rycerskość, a także towarzyskość, łatwość nawiązywania kontaktów, zaradność.

...Po odśpiewaniu hymnu narodowego oraz przemówieniu dyrektorki, następuje uroczyste rozdanie nagród. Pada nazwisko mojego syna, trzykrotnie przekręcone przez dyrektorkę, ku ogólnemu rozbawieniu. Gorące oklaski uczniów i rodziców. Riad puszcza moją rękę i bardzo dumny idzie odebrać swoją nagrodę. Potem dzieci idą do swoich klas. Towarzyszę synowi. Co za zbieg okoliczności! To moja klasa, pamiętam, chociaż upłynęło już tyle lat! Pamiętam nawet ławkę, w której siedziałam, chociaż teraz są już inne, nowoczesne. W klasie Riada jest piętnastu uczniów. Przyglądam się jego kolegom i koleżankom. Syn niczym się nie różni od polskich dzieci. Uczniowie swobodnie rozmawiają z panią, która rozdaje świadectwa.

Uroczystość dobiega końca. Zabieram syna na przechadzkę i na lody. A zwłaszcza na lody! Tych mógłby zjadać Riad codziennie pełne wiadro, babcia jednak na nic nie pozwala. Ma bardzo skromną emeryturę, z której musi utrzymać siebie i wnuka. Ja niewiele mogę jej pomóc finansowo.

Wchodzimy z synem do sklepów. Zauważyłam, że o nic nie prosi, nie zna też żadnych smakołyków, wystawionych na półkach. Kupuję mu paczkę chipsów, które bardzo szybko zjada.

- Synku, dlaczego tak się spieszysz z tym jedzeniem? - pytam.
- Muszę zjeść, zanim dojdziemy do domu, żeby babcia nie widziała, bo będzie krzyczeć - wyjaśnia.

Jest mi przykro, że moje dziecko nie ma takich drobnych przyjemności, a jednocześnie myślę, że tak kształtuje się charakter człowieka i że jedynie z ludzi, którzy poznali wszystkie kolory życia, wyrastają nieprzeciętne indywidualności.

Wieczorem, kilka dni po moim przyjeździe, ktoś puka. Otwieram - to Gracjan. Co za niespodzianka! Wiedział, że będę w Polsce i przyjechał odwiedzić nas aż z dalekiego Lublina, gdzie jest studentem teologii. Poznałam go w pociągu zimą 1990 roku, kiedy przyjechałam odwiedzić mamę. Jest Rumunem. Rozmawiamy w trójkę do północy. W niedzielę rano wyjeżdżamy z Gracjanem do R., niedużej wioski położonej około 10 km od B. Mieszka tam mój kuzyn Marian, który obchodzi akurat imieniny. Riad jedzie z nami. Marian ma dwie dorastające córki. Ostatni raz widziałam je, gdy jedna miała roczek, a druga dwa latka. Potem nasze drogi rozeszły się, rozdzieliła nas odległość. Ale dla mojej mamy jest to ciągle bardzo bliska rodzina. Teraz mój syn lubi tam jeździć. W wujku Marianie odnalazł męską opiekę. Pisząc do mnie listy z Polski, Riad często wspominał: „Mamusiu, wujek Marian ma psa owczarka. Mamusiu, wujek Marian nauczył mnie jeździć na traktorze. Mamusiu, wujek Marian kupił sobie telewizor kolorowy". Podobnie jak ja spędzałam wszystkie moje wakacje w R, u nieżyjącej już cioci Janki, tak teraz do jej syna chętnie jeździ mój syn.

Zastajemy dużo gości. Stół ugina się od wspaniale przyrządzonych dań. Takich smakołyków nie jadłam od czasu opuszczenia kraju. Kto to wszystko przygotował? Jaki wspaniały smak swojskich potraw, jak niezwykle pachnie rosół z domowej kury! Gracjan opowiada dowcipy i anegdoty. Wszyscy zaśmiewamy się do łez. Po południu wracamy do B. Gracjan zostaje u nas kilka dni. Jakże przyjemne i pełne filozoficznej

zadumy są z nim rozmowy. Opowiada mi dużo o Rumunii, o reżimie Ceausescu, o ogromnej biedzie, jaką wycierpiał on i jego rodzina. Gracjan jest człowiekiem bardzo biednym, ale ma w Polsce wielu przyjaciół. Moja mama uwielbia go. Wcześniej kilkakrotnie odwiedził ją ofiarując swoją pomoc. Ma niespotykane zdolności komunikowania się z ludźmi oraz słuchania! Nie na darmo wybrał teologię i zdecydował się zostać księdzem. Rozmawiamy godzinami o sensie życia i jego wartościach. Duchowe bogactwo tego chłopca olśniewa mnie. Jakże względne znaczenie może mieć pojęcie - bogactwo! Jakże biedną, ułomną pod każdym względem jest rodzina Belaici pomimo willi i pieniędzy. Jakże bogatym człowiekiem jest Gracjan pomimo pustego portfela.

- Anno - mówi - zawsze patrz na świat poprzez drugiego człowieka i jego potrzeby. Tyle jesteśmy warci, ile możemy ofiarować i pomóc innym. Tylko życie dla innych ma sens. Bo pomyśl, komu właściwie zawdzięczasz to, że wyszłaś z takiego dna, w jakim znalazłaś się w Algierii? Tylko ludziom, którzy wyrośli ponad przeciętność. Dzięki ich humanitaryzmowi udało ci się pokonać twoje piekło. Pamiętaj, że człowiek umrze, nawet gdy posiada tysiące rzeczy... Ileż istnień ludzkich jest bez barwy i sensu! Jak wielu ludzi dąży tylko ku celom materialnym! Są nimi przepełnieni, opanowały one ich najgłębsze myśli. Nastąpiło u nich chorobliwe przewartościowanie pieniądza, władzy i bogactwa, posiadania...

Milczę zadumana nad słowami Gracjana.

* * *

Dni biegną szybko. W końcu czerwca dziennik telewizyjny pokazuje straszną rzecz. Prezydent Algierii - Mohamed Boudiaf - zostaje zastrzelony. Cała scena zabójstwa zostaje przypadkowo sfilmowana, ponieważ rzecz dzieje się w Annabie, w sali, w której zgromadzone były setki osób słuchających przemówienia prezydenta. Ta wiadomość dobija mnie. Przecież za dwa tygodnie mam wracać do Algierii. Co zastanę?

Przygotowuję się powoli do odjazdu. Wreszcie nadchodzi ten dzień. Na dworzec kolejowy odprowadza mnie mama i Riad. Jakże przybity jest mój syn! Pomimo swoich dziewięciu lat jest już bardzo dojrzałym psychicznie chłopcem. Siedzi na peronie ogromnie smutny. W końcu łzy zaczynają mu kapać po policzkach.

- Mamo, nie jedź, proszę cię! - krzyczy.

Żegnam go pospiesznie, całuję i nie oglądając się wsiadam do pociągu, ażeby jechać do dalekiego kraju, z którym mnie nic nie łączy, ale pozostały układy niemożliwe do natychmiastowego przerwania. Czy rzeczywiście nic mnie z nim nie łączy? A moi francuscy przyjaciele? A Grupa Przyjaźni? A rodzina D. i rodzina Saidy? A koledzy z pracy - Kamil, Anissa, Nassiba, Khatima, Fella? A Anna, Weronika i wielu, wielu innych wspaniałych ludzi, których dane mi było poznać w Algierii? Chociaż nie chcę się przed sobą do tego przyznać, to w Polsce brakowało mi uroku tego słonecznego kraju i obecności bliskich osób.

* * *

Kamil na mój widok wydaje przeciągłe okrzyki radości ze słynnym „ju, ju".

- Jak dobrze, że już wróciłaś, Anno, jak dobrze!

Jak ja lubię tego chłopaka! Jak brata. Nic mamy przed sobą żadnych sekretów, rozmawiamy bez skrępowania. Kryształowy charakter. Kompetentny zawodowo, zdolny, życzliwy, prawy. Zawsze chętny do pomocy. Zawsze ma dla mnie dobre słowo, potrafi pocieszyć. Jakie szczęście miałam trafiając na takiego kolegę biurowego! Dzieli nas duża różnica wieku (Kamil ma 28 lat), bariera narodowościowa, wyznaniowa, ale to w niczym nie przeszkadza. Rozumiemy się wspaniale i jesteśmy przyjaciółmi. Kamil jest praktykującym muzułmaninem. Przede wszystkim jednak jest wzorem człowieka.

Mówi się, że koty są fałszywe, że przywiązują się do mieszkania, a nie do człowieka. A tymczasem po moim przyjeździe z Polski Mruczek toczył się z radości po całym podwórku. Postanowiłyśmy nie zostawiać

go w Algierii. Pojedzie do Polski. To będzie cały nasz algierski dorobek. Kot Mruczek! Cały majątek, jaki posiadamy, oprócz książek i kilku innych drobiazgów. Po szesnastu latach pobytu poza Ojczyzną!

W stolicy względny spokój, ale jest to przysłowiowa cisza przed burzą. 16 lipca sąd wojskowy skazuje na dwanaście lat pozbawienia wolności głównych przywódców partii FIS - Abassiego Madaniego i Alego Belhadja. Pozostali przywódcy tej partii otrzymują karę od czterech do sześciu lat pozbawienia wolności. Na czele rządu staje Belaid Abdesselam, na prezydenta zostaje powołany Ali Kafi.

Lato w pełni. W każdy czwartek i piątek jeżdżę z Sonią na plażę z wycieczkami organizowanymi przez zakład pracy. Córka ćwiczy się w pływaniu, idzie jej to już całkiem nieźle. Natomiast ja mam uraz do wody, pływam tylko wtedy, gdy czuję pod nogami dno.

I znowu zachwycam się urokami tego kraju. Podziwiam przepiękne plaże: Figuier, Tipaza Mattares, Cap Djenet, Plage Bleu, Sidi Fredj, Zeralda, Chenoua Plage, odległe od stolicy zaledwie o kilkadziesiąt kilometrów. Niestety, na niektórych plażach kąpiel nie należy do przyjemności. Dlaczego? Często jesteśmy z Sonią obmacywane w wodzie przez wyrostków tłumnie oblegających plażę.

Jestem opalona na Murzyna, pomimo że nie wystawiam się na działanie słońca. Wspaniałe działanie wody morskiej poprawia samopoczucie. Przestaję się pocić w nocy, nie budzę się z lękiem.

Lato dzielę między Sonię i Krzysztofa. Krzysztof... Jak długo jeszcze potrwa ta znajomość? Brnę w to uczucie, które dodaje mi sił do przetrwania, a jednocześnie uświadamia bezsens miłości. Ale czy miłość zawsze musi mieć jakiś sens?

Sierpień 1992 roku

W środę 26 sierpnia podłożono bombę na międzynarodowym lotnisku Houari Boumediene w Algierze. Bilans: ośmiu zabitych, przeszło stu rannych. Telewizja nadaje reportaż z miejsca zamachu. Okropne sceny. Po posadzce poniewierają się pourywane nogi, w instalacji oświetleniowej na suficie lotniska - zaczepiona kończyna ludzka. Trupy bez rąk

i nóg, zmasakrowane głowy. Ze szpitali, gdzie poumieszczano rannych - też nie lepsze sceny. Niektórzy są w bardzo ciężkim stanie. Poparzone dzieci.

Również w środę podłożono bombę we francuskiej agencji lotniczej Air France w centrum Algieru. Na szczęście, po ostrzegawczym telefonie ewakuowano ludzi z agencji. Bomba jednak wybuchła. Straty materialne są duże.

Przeszło stu policjantów zostało zastrzelonych w czasie pełnienia służby w ciągu ostatnich kilku miesięcy.

Dzisiejsza Algieria! Bezrobocie sięgające prawie trzech milionów ludzi. Drożyzna okropna. Dezorganizacja, bezprawie i anarchia na każdym kroku.

A oto obraz mojego działu w sierpniu 1992 roku.

Normalnie pracę powinniśmy zaczynać o godz. 8^{00}. Jest godz. 8^{30}, a na korytarzu ciemno, nie ma żywej duszy. Fakt, 3/4 pracowników jest na urlopie, jednak 1/4 powinno być w pracy. Gdzie tam! Ponieważ nie ma nikogo z kierownictwa, frekwencja w godzinach rannych jest zerowa. Biuro, w którym dwa razy dziennie (rano i po obiedzie) powinniśmy podpisywać listę obecności - prawie zawsze zamknięte. Korzystam i ja z okazji i dzisiaj przed południem wychodzę do miasta załatwić kilka spraw. Najpierw - CASORAL (kasa ubezpieczeniowa). Gorąco, daleko. Ale jakoś docieram. Bolą mnie nogi. W poczekalni ogromne tłumy ludzi.

- Dlaczego od pół roku nie dostaję zasiłku rodzinnego na córkę*? - pytam w informacji.

* 160 dinarów miesięcznie.

- Ukończyła 17 lat, jest dorosła i według prawa zasiłek jej się nie należy, chyba że się uczy i zostanie przedstawione zaświadczenie ze szkoły - wyjaśniają mi po sprawdzeniu.

Tymczasem paszport może sobie wyrobić samodzielnie po ukończeniu osiemnastego roku życia, bez zgody ojca może wyjeżdżać za granicę po ukończeniu dziewiętnastu lat, natomiast niezależnie od wieku, zawsze musi uzyskać zgodę opiekuna na zawarcie związku małżeńskiego. Algierskie prawo nie może się zdecydować, czy kobieta jest pełnoletnia

w wieku siedemnastu, osiemnastu, dziewiętnastu lat, czy w ogóle pozostaje niepełnoletnia do końca życia.

W moim zakładzie S. pracuje ok. 22 tysięcy ludzi, z czego 53% stanowią pracownicy fizyczni, 33% nadzór średni i 14% kadra kierownicza oraz administracyjna. Gołym okiem widać ogromny przerost administracji nad sferą produkcyjną. Zarobki robotników wahają się między 4500 a 6500 dinarów, zarobki średniego dozoru oscylują między 5800 a 8800 dinarów, a zarobki pracowników z wyższym wykształceniem oraz kadry kierowniczej wynoszą od 7300 do 15 600 dinarów. Wszyscy pracownicy S. należą do zakładowej kasy ubezpieczeniowej CAPAS. Przysługuje im częściowy zwrot kosztów leczenia u prywatnych specjalistów oraz zwrot kosztów lekarstw. Aby otrzymać pieniądze, wrzucają stosowne pokwitowania do specjalnej skrzynki w zakładzie i po kilku dniach otrzymują zaświadczenie upoważniające ich do odbioru pieniędzy w kasie. Cała procedura jest bardzo prosta i wygodna dla pracowników.

Inaczej ma się rzecz z cudzoziemcami, których w całym zakładzie jest tylko czworo. Należymy do kasy ubezpieczeniowej CASORAL, gdzie musimy zgłaszać się po zwrot kosztów leczenia. Na samo oddanie recept (maksymalnie cztery jednorazowo) trzeba czekać nieraz cały dzień ze względu na ogromną liczbę petentów. Przed okienkiem kasowym też stoi się po parę godzin. Przeważnie nikt z naszej czwórki nie ma tyle cierpliwości, samozaparcia i czasu, żeby wyegzekwować swoje przywileje.

Zgodnie z prawem wydanym w 1981 roku i obecnie obowiązującym nawet ci cudzoziemcy, którzy mają za współmałżonków obywateli Algierii lub utrzymują dzieci posiadające algierskie obywatelstwo, nic mogą być zatrudnieni inaczej niż na zasadzie jednorocznych kontraktów*, z prawem do ich przedłużania. Jak to prawo wygląda, miałam okazję przekonać się pracując w E, i przekonuję się nadal.

* Jedynie pierwszy kontrakt z danym zakładem może być zawarty na okres dwóch lat.

Przed upływem terminu zakończenia kontraktu muszę iść osobiście do Biura Pracy dla Cudzoziemców, pobrać stosowne formularze do

wypełnienia przez zakład pracy i z powrotem odnieść je wypełnione do tegoż biura. Każdorazowo dołączam również sześć zdjęć, zaświadczenie o stanie zdrowia, wynik prześwietlenia płuc, fotokopię dyplomu w przekładzie na język francuski lub arabski oraz *fiche familiale**. Te dokumenty stanowią podstawę do wydania mi pozwolenia na pracę, ważnego na rok lub dwa, zależnie od okresu, na jaki został zawarty kontrakt. Przy zmianie zakładu pracy należy przedłożyć opinię z poprzedniego zakładu. Jeżeli opinia ta nie jest pozytywna, można nie otrzymać pozwolenia na pracę.

* Jest to poświadczenie z merostwa, wystawiane na podstawie okazanej książeczki rodzinnej, stwierdzające fakt zawarcia małżeństwa z obywatelem Algierii lub posiadanie z nim dzieci.

Już po podpisaniu kontraktu wstępnego z S., niezbędnego dla Biura Pracy dla Cudzoziemców, podsunięto mi w zakładzie do podpisania kontrakt wewnętrzny, z którego wynikało między innymi, że nie mogę poświęcić się żadnej działalności politycznej i muszę wystrzegać się wszystkich działań, które mogłyby niekorzystnie wpłynąć na interes materialny i moralny Algierii.

W tym miejscu każdemu normalnie myślącemu człowiekowi nasuwa się refleksja - po co te wszystkie kłopoty związane z posiadaniem polskiego obywatelstwa? Czy nie lepiej byłoby je zmienić na algierskie? Oczywiście, święta prawda. Kiedy byłam bez pracy i bez mieszkania oraz bez możliwości opuszczenia tego kraju, pierwszą rzeczą, o której pomyślałam, była zmiana obywatelstwa. Sądziłam, że ułatwiłoby mi to życic w Algierii. Spełniałam podstawowy warunek - mieszkałam tu więcej niż siedem lat. Wiele miesięcy zajęło mi gromadzenie wymaganych zaświadczeń. W końcu jakoś uporałam się z tymi załącznikami i na początku 1988 roku złożyłam w Ministerstwie Sprawiedliwości cały stos papierów niezbędnych do otrzymania tej „przepustki do raju". Minęły miesiące i lata i pomimo moich licznych interwencji nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. No nie - przepraszam, raz udzielono mi wyjaśnienia w Ministerstwie Sprawiedliwości. A mianowicie powiedziano mi, że moje dossier nie może się podobać, ponieważ składałam w sądzie skargę na mojego męża. A więc nie wolno mi się nawet bronić, bo wtedy moja samoobrona zostanie

wykorzystana przeciwko mnie! Sądzę, że na moim ujemnym koncie w ministerstwie były również inne zapisy. Jak chociażby ten w sprawie otrzymania karty pobytowej, którą trzeba odnawiać co dwa lata. W tym celu należy przedłożyć każdorazowo osiem zdjęć, zaświadczenia lekarskie o ogólnym stanie zdrowia, zaświadczenie z prześwietlenia płuc, wyniki badań na choroby weneryczne, *fiche familiale* i zaświadczenie potwierdzające fakt „gościnnego zamieszkania" *(certificat d'hébergement)*. Tak się złożyło, że termin ważności mojej karty pobytowej upłynął w chwili, kiedy Belaici wyrzucili nas na ulicę. Nie miałam również w tamtym okresie pracy. Kierownik biura dla cudzoziemców w komisariacie w Hussein Dey oświadczył wtedy:

- Nie wydam pani karty pobytowej, ponieważ nie posiada pani ani pracy, ani mieszkania!

- Tak?! - nie mogłam opanować swojego wzburzenia po usłyszeniu tych słów. - A czy to moja wina? Dobrze pan wie, co zrobił z nami mój były mąż! Obecnie marzę tylko o jednym - żeby opuścić wasz kraj! Ale niech Algieria odda mi moje dzieci! Jeżeli wypuścicie mnie razem z nimi, odlecę najbliższym samolotem i w nosie będę miała pańską kartę pobytową! A jeżeli zmusi mnie pan do opuszczenia Algierii bez dzieci, oświadczam, że wyjadę, ale do Francji, gdzie wystąpię przed kamerami wszystkich stacji telewizyjnych - krzyczałam w wielkim gniewie.

- Niech pani liczy się ze słowami, to komisariat policji! - złowrogo odpowiedział kierownik, skrzętnie coś notując.

Kartę pobytową dostałam bez problemów, ale sądzę, że moja wypowiedź została przesłana do odpowiednich władz. Przy tej okazji warto wspomnieć, że Algierczycy, mający w Polsce rodzinę i pragnący zamieszkać w naszym kraju, dostają bezterminową kartę pobytową (stałego pobytu).

Tak więc sprawa numer... o obywatelstwo pozostała w sferze milczenia, a mnie wypadło dalej pracować na kontrakcie, a więc na straconej pozycji, która dla pracodawcy jest szalenie wygodna. Dlaczego? Nie jesteś zadowolony z pracy, żądasz zmian, podwyżki - nie odnowimy z tobą kontraktu, bo nie musimy. Cała dyrekcja może nie przychodzić do pracy, ty musisz, bo nie odnowimy ci kontraktu. Cały zakład może

chorować - ty nie możesz. Po co nam chorowity cudzoziemiec? Nie odnowimy kontraktu. Jesteś za mądry i za bardzo kompetentny - nie zawsze takich potrzebujemy i możemy nie odnowić kontraktu.

Często muszę się płaszczyć, poniżać, uśmiechać, przymilać, często też daje mi się odczuć, iż spotkała mnie wielka łaska, że mam pracę przy takim bezrobociu. Fakt. Dyrektor T., który mnie zatrudnił, nie tylko wyświadczył mi łaskę, ale uratował przyszłość moją i dzieci. Nigdy mu tego nie zapomnę i chwała Bogu, że tacy ludzie istnieją. Ale są i tacy, którym bardzo przeszkadzam. Dlaczego wobec tego zmuszono mnie do pozostania wbrew mojej woli, nie pozwalając wyjechać do Polski z dziećmi wtedy, kiedy chciałam i kiedy to było dla nas najkorzystniejsze? Nie byłabym dla tego społeczeństwa ciężarem. Teraz teoretycznie jestem wolna. Ale pozostaje, sprawa szkoły, której przerwanie akurat w tym momencie byłoby najbardziej niekorzystne dla córki. Więc ta ciężko wywalczona moja wolność jest również rzeczą względną. Jakże ograniczeni jesteśmy w swoich poczynaniach, w podejmowaniu decyzji! Od ilu czynników zewnętrznych i układów jesteśmy zależni!

Chciałabym podkreślić w tym miejscu jeszcze jedną ogromnie ważną sprawę. Otóż moje niezadowolenie, krytyka bądź okazanie komuś antypatii często poczytywane jest za przejaw rasizmu. Mnie wszystko musi się podobać, ja muszę lubić wszystkich, ja nic mogę egzekwować swoich praw, pomimo że dałam Algierii dwoje (troje!) obywateli. Jeżeli zdarzy mi się „wychylić" z czymkolwiek, słowo „rasistka" słyszę równie często jak słowo „kurwa". Zresztą, gdybym policzyła, ile razy użyto w Algierii w stosunku do mnie tego ostatniego słowa, powinnam znaleźć się w Księdze Rekordów Guinnessa.

A oto jeden z przykładów mojej codziennej działalności biurowej. Mam oprawić wyniki obliczeń kwartalnej premii. Ażeby to zrobić w zakładowej drukarni, należy mieć zaświadczenie wypisane przez moją dyrekcję (dosłownie trzy słowa plus pieczątka). Idę z tym do szefowej. Odsyła mnie do sekretariatu. W sekretariacie „księżniczka" Lilliet czyta gazetę. Odpowiada mi z wyżyn swego majestatu, że nie leży to w zakresie jej obowiązków (kątem oka widzę na jej biurku bloczek niezbędnych

druków). Pytam grzecznie, prawie uniżenie, kto ma to zrobić. Odsyła mnie do personalnego, gdzie następna „księżna" zajęta rozmową telefoniczną i zła, że jej przeszkadzam, odburkuje mi niegrzecznie, że nie wchodzi to w zakres jej obowiązków (*sic!* 30 sekund pracy). Pytam znowu grzecznie, uniżenie jaśnie panienki, kto ma to zrobić. „Sekretariat!" - słyszę niebezpieczny pomruk. Wycofuję się w ukłonach przepraszając, że zakłóciłam spokój jaśnie panienek sekretarek, które tak wysoko awansowały w tym świecie męskiej dominacji, że aż im się przewróciło w głowach. Wracam do szefowej, kobiety wykształconej, zajmującej odpowiedzialne stanowisko, wysoce kompetentnej, prawidłowo spoglądającej na świat. Pytam ją wprost, jak to jest możliwe, ażeby inżynier zależny był od widzimisię pracowników najniższego szczebla i nie mógł załatwić takiego głupstwa? I co słyszę? Szefowa z wielce znaczącym uśmiechem odpowiada mi: - „Nie podoba się? Zwolnić się!" Po co to powiedziała? Bardzo dużo jej zawdzięczam i szanuję ją jako szefa, człowieka i kobietę. Tego nie zmieniła swoją odpowiedzią, a jednak... było mi przykro.

No cóż, nie warto załamywać rąk nad głupotą i małostkowością personelu biurowego niższego szczebla. Zawsze z optymizmem przychodzę do pracy wiedząc, że spotkam tu Kamila, Anissę, Khatimę, Nassibę czy Fellę, wyjątkowe osoby, szczerze mi życzliwe, prawdziwych przyjaciół, na których zawsze mogę liczyć zarówno w sprawach prywatnych, jak i zawodowych.

Wrzesień 1992 roku

Sobota rano. Przypominam sobie o zapisaniu się do Centrum Kultury Francuskiej na naukę języka francuskiego. Zapisy zaczynają się o godz. 8^{30}. Muszę, być jedną z pierwszych. Ale jak to zrobić? Zapomniałam w środę załatwić sobie przepustkę na wyjście z pracy. Jestem w zakładzie o 8^{00}. Na korytarzu mojego działu ciemno, nie ma żywego ducha. Wszystko pozamykane. Czekam do 8^{45}. Ponieważ dalej nie ma nikogo, wychodzę z zakładu. Po drodze mijam kilka osób pracy. Udają, że mnie nie widzą. W Centrum tłok niesamowity. Wracam do pracy o 11^{30}, czyli na przerwę obiadową. Po obiedzie idę podpisać listę obecności. Moja

rubryka *matin* (rano) jest pusta. Podpisuję więc przyjście o 8^{00} i po południu o 12^{00}. Jest to metoda praktykowana nagminnie prawie przez wszystkich pracowników naszego działu. Ja robię to po raz trzeci w ciągu trzech lat. Co znajduję nazajutrz? Mój podpis na liście obecności przekreślony kilka razy i wpisane: *absente* (nieobecna) z kilkoma wykrzyknikami. A więc to tak!

- Kto to zrobił? - pytam w sekretariacie.
- Personalny - słyszę odpowiedź.

Zastanawia mnie jedno: skąd miał pewność, że nie było mnie w biurze? Nie dziwię się jednak, że zrobił coś takiego. Wiedząc, że mam kontakty z polskimi pracownikami kontraktowymi, często nagabywał mnie o załatwienie mu dewiz. Przed moimi wyjazdami do Polski napomykał, żeby przywieźć mu to, i tamto. Gdy ponownie przyjęto mnie do pracy w S., pan D. (personalny) udając współczujące zainteresowanie moimi problemami, wyciągnął ode mnie podstępnie różne informacje, a potem sam zaczął mnie nagabywać:

- Przygotuj mi wszystkie dokumenty. Gdybyś wiedziała, jakie ja mam wszędzie znajomości: w sądzie najwyższym, w rządzie! Pomogę ci wywieźć dzieci z Algierii.

W dobrej wierze porobiłam niezbędne fotokopie i cały ich stos wylądował w rękach pana D. Wzywa mnie po miesiącu.

- Wiesz, sprawa upadła, ale mam możliwość wywiezienia twoich dzieci nielegalnie przez granicę.
- Tak? - dziwię się. - A ile to będzie kosztowało? - pytam.
- A ile możesz zapłacić w dewizach?
- 5000 franków francuskich - odpowiadam z głupia frant.

Pan D. na chwilę milknie i przelicza coś w swojej głowie. Po chwili mówi:

- Pomyślimy.

Jeszcze jeden oszust na mojej drodze. Widzę oczyma wyobraźni koniec tej sprawy: ja w algierskim więzieniu, dzieci na ulicy, mój marny dobytek wywieziony. Nic nie mówię na propozycję pana D., choć widzę, że czeka na wznowienie pertraktacji. Nie podejmuję jednak tego tematu,

co bardzo oziębia nasze wzajemne stosunki i sprawia, że każde moje potknięcie jest skrupulatnie zapisywane.

* * *

Koszmar! Od miesiąca woda jest tylko od trzeciej do piątej lub szóstej nad ranem. Do tej pory zwykle bywała wieczorami. Nigdy jednak w czwartki i piątki, dni wolne od pracy, kiedy można by poświęcić się zajęciom domowym. W innych dzielnicach Algieru też jest różnie, chociaż są i takie, gdzie woda jest cały dzień. Czy brak wody jest wynikiem suszy? Gdzie tam! Co drugą noc muszę czuwać, ażeby napełnić zbiorniki. O praniu nie ma mowy, nie chce mi się prać o trzeciej w nocy. Chodzę prawie brudna, Sonia też. Włosy mam przetłuszczone, niedomyte. Chce mi się ciągle spać.

Początek października 1992 roku

O godzinie 8^{30} dzwoni w biurze telefon.

- Halo, Anna? Mówi Nidhal z Air Algérie. Dlaczego nie przychodzisz już do naszej agencji?
- A dlaczego mam przychodzić?
- No pewnie, twoi rodacy mają już wszystko załatwione! Truliście mi głowę całe lato i jak to sobie wyobrażasz?
- O co ci chodzi? - pytam.
- Dobrze wiesz, o co mi chodzi! Co? Myślałaś, że robię to za darmo? Usługa za usługę!
- Słuchaj Nidhal, jesteś młody, znajdź sobie dziewczynę, czy naprawdę nie możemy być przyjaciółmi?
- A, nie, w tych sprawach nie ma przyjaźni. Nie chcesz? To mi się więcej nie pokazuj w mojej agencji! Razem z tymi twoimi Polakami idź do diabła!
- Dobrze. Jak chcesz. Dziękuję ci za wszystko co zrobiłeś dla moich przyjaciół i dla mnie.

Nidhal ma 31 lat, znam go od ośmiu lat, załatwiał mi nieraz miejsca w samolocie wtedy, kiedy wszystkie bilety były już wykupione. W czasie

ostatnich wakacji załatwiał miejsca dla polskich pracowników kontraktowych z „Metra". Prosiłam go o to sądząc, że po starej znajomości może mi wyświadczyć taką przysługę. Było mi przykro, że nasi rodacy nie mogą kupić biletów lotniczych. W kraju czekają na ich przyjazd rodziny, a tymczasem miejsca zostały wykupione przez Algierczyków jeżdżących do Polski „na panienki". Myślałam, że przynajmniej Nidhal zrozumie to i z czystego humanitaryzmu postara się im pomóc. Zawsze zanosili mu potem jakieś upominki. Ale gdzie tam! Nie ma nic za darmo.

Jak gdyby wrażeń na jeden dzień było za mało, po południu znowu telefon. To Adel - kolega z pracy

- Anno, jesteś sama w biurze?
- Tak, a o co chodzi?
- O nic, zaraz do ciebie przyjadę. A co, nie mam może prawa?
- A nie masz. Jestem zajęta. Przygotowuję się na zajęcia z francuskiego.
- Jesteś bezczelna! Za co płaci ci mój kraj? Za naukę języka w czasie godzin pracy?
- Tak, to prawda, że nie powinnam tego robić, ale teraz pracy nie ma, a moja szefowa pozwoliła mi w takim wypadku wykorzystać wolny czas na naukę.
- Jak chcesz! - pada cierpka odpowiedź. - Ale pożałujesz tego, z góry cię uprzedzam, weź to pod uwagę!

W pracy alarm. Ewakuują wszystkie budynki S. Podobno centrala telefoniczna w Komendzie Głównej Policji otrzymała wiadomość o podłożeniu bomby w jednym z budynków naszego zakładu. Szybko zbiegam z dziewiątego piętra, bo winda jest nieczynna. Setki ludzi są na zewnątrz. Co robić? Wszyscy czekamy. Przyjeżdża kilka policyjnych radiowozów. Budynki są przeszukiwane. Po godzinie powiadamiają nas, że możemy już wejść.

W tych dniach miejscowe gazety donoszą o złapaniu ludzi odpowiedzialnych za podłożenie bomby na lotnisku. Wszyscy są członkami partii FIS. Gazety publikują wypowiedź jednego z głównych organizatorów

tego zamachu - Hocine Abderrahima, który powiedział, że byli oni finansowani przez integrystów międzynarodowych z Teheranu, Libii, Sudanu, Afganistanu.

Tymczasem codziennie giną policjanci zastrzeleni podczas wykonywania obowiązków służbowych. W Grarem-Gouga, Constantine, Sidi Bel Abbes w czwartek 8 października 1992 roku zostali zabici policjanci. Codziennie słyszę przejeżdżające na sygnale wozy policyjne. Jak długo jeszcze?

21 października 1992 roku

Wieczorem transmitowano w algierskiej telewizji spotkanie dziennikarzy z szefem rządu - Belaidem Abdesselamem. Z sali padło kilka wspaniałych pytań zadanych przez K. M., znaną działaczkę organizacji kobiecych, m.in.:

- Kiedy w końcu zostanie zmieniony kodeks rodzinny, który sprowadził pozycję algierskiej kobiety w społeczeństwie do roli kury wysiadującej jaja? Dopóki nie zmieni się status społeczny kobiety, jak można mówić o zahamowaniu skandalicznego w Algierii przyrostu naturalnego, o planowaniu rodziny, o jakimkolwiek planowaniu w ogóle, skoro jedyną racją bytu algierskiej kobiety jest urodzenie jak największej liczby dzieci!

- Co ma zamiar zrobić rząd, ażeby zmienić skandaliczną liczbę - 8% (tylko!) pracujących zawodowo kobiet w stosunku do ogółu zatrudnionych?

Odpowiedź szefa rządu była ogólnikowa i wymijająca:

- Islam chroni kobietę i zrobimy wszystko, ażeby uzyskała ona prawa zagwarantowane przez Koran.

Czyni się jednak wszystko, ażeby pozycja społeczna kobiety była taka, jak przedstawiła ją K. M.

23 października 1992 roku

Prawie wszyscy młodzi Algierczycy marzą o tym, żeby wyjechać. Trwająca od 1986 roku recesja gospodarcza, ogromne bezrobocie, brak inwestycji, spadek realnej wartości pieniądza to są argumenty przemawiające za poszukiwaniem pracy poza granicami kraju. „Ucieczka

mózgów, sportowców wysokiej klasy, artystów. Kandydaci na emigrację mnożą się. Jak powstrzymać ten krwotok?"

Tysiące młodych ludzi bez wykształcenia, bez pracy i mieszkania, nie mają nic do stracenia opuszczając Algierię. Ale ich życie na emigracji nie wygląda różowo. Pracują na czarno, bardzo ciężko, ściga ich policja. Pomimo to twierdzą, iż wolą takie życie niż powrót do kraju i że ich noga nigdy nie postanie w Algierii*.

* Por, np. „Algérie-Actualité" z 23 października 1991 r.

Tragiczny jest los tych młodych. Widzę to wokoło siebie. W moim dziale goniec M. ma jedenaścioro dzieci i jedną izbę bez żadnych wygód. Koleżanki zaniosły mu kiedyś pieniądze, zebrane wśród pracowników na pomoc dla jego rodziny. Były zaszokowane warunkami, w jakich żyje. Zastanawiano się, jak śpią ci wszyscy domownicy, bo miejsca nie ma chyba nawet dla połowy.

Niedawno znalazłam artykuł poruszający problem zamieszkiwania ludzi w piwnicach. Są to wypadki bardzo częste. Pomimo okropnych warunków egzystencji (brak kanalizacji, elektryczności, wody, gazu, okien i powietrza) rodzi się tam bardzo dużo dzieci. Jaka jest odpowiedzialność tych rodziców za potomstwo? Żadna. Urodzić, a potem - „Allah dał, Allah wychowa", jak mawiał Mohamed Belaici.

Statystyczna rodzina w Algierii ma siedmioro dzieci, nie licząc tych, które umierają w wieku niemowlęcym. Cóż może zapewnić siódemce dzieci nie pracujący często ojciec? Trudno się więc dziwić, że jedyne, co pozostaje tym młodym ludziom, to wyjechać z Algierii, nawet najgorsza bowiem egzystencja w kraju rozwiniętym będzie lepsza od tej w ich ojczyźnie. Tymczasem przyrost naturalny jest nadal jeden z największych w świecie i nic nie wskazuje na to, aby sytuacja uległa zmianie.

29 października 1992 roku

Czwartek rano. Pukanie do drzwi. To Krzysztof. Ma trochę wolnego czasu przed pracą, proponuje mi pomoc przy robieniu zakupów. Wychodzimy na *marché* do centrum Algieru. Jest przepiękna pogoda, idziemy w ubraniach z krótkimi rękawami. Na targu jest wszystko, ale jakie ceny!

Kilogram mięsa wołowego kosztuje 240 dinarów, kilogram sera żółtego - 280 dinarów, kilogram kury - 75 dinarów! Ogromny wybór jarzyn: kalafiory, kapusta (po 16 dinarów za kilogram), winogrona (40 dinarów), mandarynki, pomarańcze, arbuzy i melony. Robimy zakupy, na które wydaję przeszło 1000 dinarów. Mam zaopatrzenie na tydzień, ale tylko w podstawowe produkty. Wracamy do domu. Robienie zakupów na targu jest wyjątkowo męczące, ponieważ dźwigając torby i pakunki muszę pokonać niezliczoną ilość schodów, w górę i w górę... Przychodzimy do domu zlani potem. Biorę się do gotowania obiadu, na który zapraszam Krzysztofa.

Po południu Krzysztof wychodzi do pracy. Zostaję sama. Wody nie ma, chociaż ostatnio pojawia się wieczorem w dni robocze. Ale regułą jest, że nigdy jej nie ma w czwartki i piątki, czyli w dni wolne od pracy. Ręce opadają mi na widok stosu czekającego mnie prania. Muszę również przygotować na jutro gołąbki z kapusty, mięsa i ryżu. Zaprosiłam na obiad Krzysztofa z kolegą. Jedziemy na cmentarz pomalować nagrobek Sabrinki i posadzić kwiaty.

Nagrobek Sabrinki, pożegnanie z Weroniką, Boże Narodzenie

Piątek, 30 października 1992 roku

Wczoraj woda „przyszła" o 20^{00}. Pracowałam do drugiej w nocy. Punktualnie o dwunastej zjawia się Krzysztof z kolegą. Gołąbki bardzo im smakują. Stęsknieni za polskim jedzeniem, są bardzo zadowoleni z każdej możliwości kontaktu z naszą kuchnią. Jedziemy na cmentarz El Alia. Ale najpierw do Marii, która przyjmuje nas bardzo serdecznie. Oprowadzam moich gości po obejściu Marii. Przepiękny, wypielęgnowany, ogromny ogród. Są nawet polskie kwiaty, przywiezione z kraju. Wchodzimy do salonu na pierwszym piętrze ich okazałej willi. Gustownie i nowocześnie urządzone pokoje. Śliczne firanki na całą ścianę, ogromne okna wpuszczające dużo słońca. Dwa duże tarasy. Wypijamy po lampce wina. Maria daje mi kwiaty do posadzenia na grobie Sabrinki i teścia. Żegnamy się. Po drodze wstępujemy do Weroniki, która mieszka niedaleko Marii. Ach, wspaniała jest ta Weronika. Witają nas z mężem niezwykle serdecznie i starają się zatrzymać jak najdłużej. Na stole zjawia się dobre wino, przysmaki, domowe ciasto.

- Zostańcie jeszcze chwilę! - błaga Weronika.

Niestety, musimy jechać, robi się już późno. Zajeżdżamy na cmentarz. Sonia jest zaskoczona nagrobkiem. Nie przypuszczała, że będzie tak solidnie zrobiony. Tak, to zasługa Polaków. Kiedy dowiedzieli się o tym, że Krzysztof przygotowuje w swoim pokoju konstrukcję z drewna, ażeby zrobić nagrobek, każdy przychodził z jakąś radą. Znakomicie wykonali konstrukcję. Uzbroili fundamenty nagrobka, do których wmurowali dwie tablice. Jakże jestem im wdzięczna za okazane serce i dobrą wolę! Kierownik kontraktu, pan Henryk, za każdym razem pożyczał samochód,

pomimo że właśnie w tym okresie ze względu na bardzo niebezpieczną sytuację w Algierii miał nakaz niewyrażania zgody na opuszczanie hotelu przez jego pracowników. Inni przynieśli deski, pręty metalowe, piasek. Ja zamówiłam w zakładzie kamieniarskim dwie marmurowe tablice z wygrawerowanymi danymi Sabrinki. Krzysztof kierował organizacją prac.

Widzę, jak bardzo przeżywa to Sonia. Bierze do ręki pędzel i maluje boki nagrobka białą farbą olejną. Sadzimy przywiezione od Marii kwiatki, a obok nagrobka wkopujemy drzewko. Nie zauważyliśmy jednak, że po przeciwnej stronie, gdzie chowa się dorosłych i gdzie groby są doprowadzone do porządku, pasie się ogromne stado baranów. Tratują groby i obgryzają posadzone na nich rośliny. Kolega z pracy, który ma syna pochowanego niedaleko Sabrinki powiedział mi, że za każdym razem, kiedy przychodzi na cmentarz, widzi pasące się na grobach barany, pilnowane przez pasterzy.

Sonia krzyczy na pasącego barany. Ten nie reaguje. Za to dostrzegają nas chuligani towarzyszący pastuchowi. Boję się, ażeby nie zrobili nam krzywdy albo nie zniszczyli grobu Sabrinki.

- Soniu, uspokój się - proszą obaj rodacy. - To nic nie da, w tym kraju niczego nie można zmienić! Uważaj, bo możesz sobie i nam napytać biedy!

Ale Sonia trzęsie się z oburzenia. Tymczasem pastuch spokojnie przegania barany w kierunku tych grobów, na których pozostało jeszcze coś zielonego do obgryzienia. Bezsilność ogarnia człowieka na widok takiego barbarzyństwa. Krzysztof i jego kolega zostali natychmiast zauważeni i „zgarnięci" przez policję, gdy za pierwszym razem przyjechali sami, ażeby postawić konstrukcję grobu. W komisariacie musieli się gęsto tłumaczyć ze swojej obecności na muzułmańskim cmentarzu. Nikt natomiast nie reaguje na ogromne stado baranów, tratujące wszystko, co spotkają na swojej drodze i ogołacające groby z najmniejszego kwiatka. Na grobie teścia również widoczne są ślady zwierząt. W ziemi pozostały jedynie korzenie jakichś kwiatów, które ktoś tu posadził. Porządkujemy grób, sadzimy krzewy przywiezione od Marii. Zadaję sobie pytanie: na jak długo - do następnego wypasu?

14 października 1992 roku

Dzwoni Weronika.

- Anno, podjęłam decyzję. Wyjeżdżamy z dziećmi na stałe na Węgry. Mam już dosyć tego kraju, tych ludzi, tej dziury, w której mieszkam. Zmarnowałam sobie 20 lat życia, nie chcę marnować tego, co mi zostało. Przyjedź koniecznie, musimy porozmawiać.

W środę po pracy jadę zakładowym autobusem do tej „dziury", czyli do B., położonego około 30 kilometrów za Algierem. Rozumiemy się z Weroniką doskonale, jest dla mnie jak siostra. Możemy porozmawiać bez skrępowania o wszystkim. Czeka na mnie suto zastawiony stół z dużą ilością alkoholu.

- Weroniko, zostawisz mnie samą i wyjeżdżasz?

- Anno, rób, co możesz, żeby ratować siebie i dzieci. Skończ kurs języka francuskiego i uciekaj z tego kraju, byle dalej! Popatrz, oboje z mężem harujemy od świtu do nocy i co mamy? Mieszkanie służbowe w takiej dziurze, żadnej rozrywki, właściwie czekamy tylko na śmierć. A przyszłość naszych dzieci? Żadna.

- Powiedz mi jeszcze jedno - zwraca się do mnie Weronika - ale tak zupełnie szczerze - co u nich jest lepszego w porównaniu z moim krajem? Wymień mi przynajmniej jedną rzecz.

- No, słońce, plaże...

- Co masz z tego słońca i z tych plaż bez samochodu i możliwości przemieszczania się? U mnie też jest Balaton i piękne plaże, a gdy chcę iść do toalety, to nie mam z tym przynajmniej problemu. Nic muszę rozkładać się na plaży na nic sprzątanych śmieciach! Gdzie są ubikacje na tych plażach, gdzie jakaś infrastruktura? Wchodzisz do wody i jesteś zaraz otoczona przez chmarę wyrostków, którzy patrzą na ciebie, jak gdyby nigdy nie widzieli kobiety! No dalej, dalej, wymieniaj! - prawie krzyczy Weronika. - Nie ma nic, nic! Zmarnowałam życie sobie i dzieciom. Ale może jeszcze nie wszystko stracone, przynajmniej dla dzieci. Koniec, jadę, a moja noga nie postanie więcej w tym kraju.

- A mąż? - pytam.

- Jedzie ze mną. To znaczy, przyjedzie później, jak pozałatwia sprawy związane z oddaniem mieszkania, z samochodem.

Weronika zaprasza mnie do stołu, gdzie smakowicie pachnie gulasz po węgiersku. Mąż rozlewa węgierskie wino. Jest mi szalenie przykro, zastanawiam się, czy kiedykolwiek jeszcze zobaczę się z Weroniką i jej trójką niezwykle ładnych dzieci.

Ostatnie uściski. Wszyscy płaczemy. Prawie biegnę do samochodu jej męża, który ma mnie odwieźć do stolicy. Nie oglądam się.

Grudzień 1992 roku

Krzysztof stara się o wyjazd na urlop do Kanady. Ma tam matkę. Ile to już razy towarzyszę mu, jako tłumacz, do ambasady kanadyjskiej? Pomimo zaświadczenia wystawionego przez tamtejszy szpital o ciężkim stanie matki (wycięte jedno płuco, drugie zaatakowane przez raka), otrzymanie wizy wlecze się i wlecze. Widzę z bliska, jak wygląda otrzymanie tej kanadyjskiej „przepustki do raju". Zdaję sobie teraz sprawę, że z naszej emigracji chyba nic nie wyjdzie, skoro prawie niemożliwością jest otrzymanie wizy na trzytygodniowy wyjazd w celu zobaczenia śmiertelnie chorej matki, obywatelki kanadyjskiej, żyjącej w tym kraju od wielu lat.

W końcu po wielu interwencjach Krzysztof otrzymuje upragnioną wizę i w połowie grudnia wyjeżdża do Kanady.

* * *

Zbliża się Boże Narodzenie. Telefon od Jeanne.

- Anno, koniecznie musisz przyjść!

Przygotowuję więc rano potrawy na wspólny stół, nasza Grupa Przyjaźni bowiem spotyka się w domu diecezjalnym na Hydrze na uroczystym obiedzie.

Msza rozpoczyna się o godz. 10^{30}. Jestem w katedrze już o dziesiątej. Powoli zaczynają się pojawiać znajome twarze. Składamy sobie życzenia świąteczne. Obok mnie Szwajcarka, Belgijka, Niemka, Czeszka, Słowaczka. Znamy się wszystkie z naszych spotkań w Grupie Przyjaźni. Msza jest bardzo uroczysta. Na zakończenie przedstawiciele każdej narodowości w swoim ojczystym języku składają rodakom życzenia

szczęśliwych świąt Bożego Narodzenia. Płyną życzenia po niemiecku, polsku, angielsku, hindusku, w nie znanych dla mnie narzeczach afrykańskich, azjatyckich. Namawiam Katię, Rosjankę, aby i jej córeczka coś powiedziała. Mała, sześcioletnia Safia podbiega do mikrofonu. *Monseigneur* T. podsadza ją.

- Wesołych Świąt Bożego Narodzenia! - dziecinnym, dźwięcznym głosikiem mówi po rosyjsku Safia i przenika to do głębi naszych serc. Safia, dziecko Rosjanki i Algierczyka, mówi równie swobodnie po rosyjsku, jak po arabsku.

Po mszy przed katedrą tworzą się małe grupki rozmawiających z ożywieniem przyjaciół.

- Anno, jedziemy! - to głos Eweliny.

Zabiera mnie, Dominique i jeszcze jedną koleżankę do domu diecezjalnego, na Hydrę. Wszystkie sale pięknie przygotowane, w progu wita nas ksiądz B. Dokładamy nasze potrawy do wspólnego bufetu. Rozpoczyna się uroczysty obiad. Ksiądz B. wznosi toast za jeszcze jedno Boże Narodzenie, które zjednoczyło nas przy wspólnym stole. A przecież nasze grono co roku uszczupla się. Wspominamy tych, co odeszli na zawsze, i tych, co opuścili Algierię, ponieważ nic mogli przystosować się do tutejszych warunków życia.

Po obiedzie przechodzimy do drugiej sali, gdzie śpiewamy kolędy w różnych językach. Śpiewam polską kolędę. Wszystkim się bardzo podoba, dostaję ogromne brawa. Potem śpiewają inne cudzoziemki. Wszystkie są żonami Algierczyków. Niektóre mają już dorosłe dzieci, inne są w Algierii od niedawna. Mężowie nie towarzyszą żonom w tych uroczystościach, są więc prawie same kobiety oprócz kilku księży katolickich i kilku młodych Algierczyków-katolików. Każdy myśli o swoich najbliższych, którzy zostali daleko w kraju. A ja? Mam przed oczami syna, który w mojej ojczyźnie spędza drugie w swoim życiu święta Bożego Narodzenia, pozbawiony ojca i matki. Również Sonia w tej chwili jest sama w domu w Algierze. Córka czuje się muzułmanką i nie chce towarzyszyć mi w takich uroczystościach. Wiem, jak bardzo jest samotna, zagubiona w tym skomplikowanym świecie dorosłych. Myślę o Sabrince, której życie nie dało szansy tylko dlatego, że takie a nie inne

było prawo państwa, w którym się urodziła. Jest mi ciężko, jak każdej z nas tutaj obecnej.

Rozmawiam z Haną. Ma troje dzieci. Mąż zachorował, cierpi na paranoję, jak Yacine. Twierdzi, że żona chce go otruć i że jest prześladowany przez wojskowych. Stał się bardzo agresywny. Hana boi się o życie swoje i dzieci. Łudzi się jednak, że uda się go wyleczyć. Tłumaczę jej, że nie ma w tym kraju możliwości leczenia tego typu chorób psychicznych. Hana nie wierzy, nie chce wyjechać, nie chce odbierać dzieci ojcu. A ma okazję, ponieważ jej mąż daje co roku w okresie wakacji pozwolenie na wyjazd dzieci do ojczyzny matki.

Nie udaje mi się przekonać Hany. Przerywamy rozmowę, włączamy się do wspólnej zabawy. Wszyscy uczestniczymy w różnych grach „zuchowych", którym towarzyszy dużo śmiechu.

Po godzinie Niemka T. przyprowadza kilkuletnie dzieci z pobliskiego domu dziecka. Wszystkie wyglądają na upośledzone umysłowo, a przecież urodziły się normalne. T. - młoda matka trojga dzieci odnalazła w Algierii sens swojego istnienia. W Niemczech organizuje zbiór zabawek i lekarstw dla osieroconych dzieci algierskich. Nie ona jedna zajmuje się tego typu działalnością. Belgijka i Austriaczka również organizują w swoich krajach różne akcje na rzecz pomocy algierskim dzieciom.

Dzieciaki spędzają z nami całe popołudnie, wieczorem odprowadzamy je do domu dziecka. T. jest tu zadomowiona, zna cały personel i dzięki temu mamy możliwość wejścia do budynku dla niemowlaków. Jestem zaskoczona, nigdy bym nie przypuszczała, że w Algierii może istnieć taki dom dziecka. Czyściutko i cieplutko, pokoiki pięknie umeblowane, piętrowe łóżeczka, w których leżą dzieci. Zwiedzamy wszystkie sale. Jak w bajce! Nie widać, żeby niemowlaki cierpiały na chorobę sierocą. T. informuje mnie, że dzieci nie zostają tutaj długo. Dyrektorka ma wszędzie znajomości i udaje się jej prawie zawsze znaleźć rodzinę dla malucha. Patrzę na napisy na poręczach łóżeczek - imiona bez nazwisk. To przeważnie dzieci znalezione. Gdzie? Wszędzie! T. bierze na ręce prześliczną dziewczynkę w wieku około sześciu miesięcy. Bardzo przypomina mi Sabrinkę. Patrzy oczami kogoś, kto już przeżył całe swoje życie. Straszne!

- Wczoraj przywiozła ją do nas policja. Znaleźli ją na śmietniku - informuje jedna z opiekunek.

Opiekunkami są młode dziewczyny bez przygotowania zawodowego. Chyba nieźle zajmują się maluchami, ale trudno byłoby im wychować starsze dzieci. Dobrze, że udaje się znaleźć rodziny zastępcze dla tych maluchów. T. prowadzi nas do drugiej części budynku, w którym przebywają dzieci z wadami fizycznymi i upośledzone umysłowo. Takich dzieci nikt nie chce. Widok jest straszny, nie mogę na to patrzeć. T. pyta o kogoś.

- Popełnił samobójstwo, popełniła samobójstwo! - słyszę odpowiedź opiekunek.

- Jak to? - pytam. - Taki kilkumiesięczny maluch popełnił samobójstwo?!

- Zwyczajnie, odmawia przyjmowania posiłków i umiera śmiercią głodową.

Muszę wyjść, jest mi słabo. Potem z T. wdajemy się w długą rozmowę.

- Anno, tutaj dzieci nie mają tak źle - mówi. - Czy myślisz, że tak jest wszędzie? Znam prawie wszystkie domy dziecka w Algierze, ten jest wyjątkiem. W pozostałych sytuacja jest tragiczna. Zimno, okna bez szyb. Brak wszystkiego. Ogromna śmiertelność niemowląt (500 na 1000)*. Rząd nie dostrzega, że problem sieroctwa społecznego istnieje i powiększa się z roku na rok. W samym tylko województwie Algier (Algieria liczy ich 48) porzucono w 1989 roku 437 dzieci, a w okręgu Tizi-Ouzou w 1991 roku 300 dzieci! Szacuje się, że w całym kraju rocznic porzuconych zostaje od kilku do kilkunastu tysięcy dzieci! Nikt nie potrafi podać dokładnej ich liczby, problemu bowiem nie ma. Jest tylko tragiczna rzeczywistość i pozostawiona samej sobie kobieta oczekująca dziecka!

* „Hebdo-Liberté" nr 13 z 19 września 1991 r.; „Le Matin" nr 46 z 6 listopada 1991 r.

No tak! Zabiegów przerywania ciąży nie ma, nielegalne są surowo karane i kosztowne. Ojciec dziecka? Przeważnie ślad po nim ginie. Biedne dziewczyny, najczęściej nie uświadomione, niewykształcone, nie mają pojęcia o tym, jak rodzą się dzieci. Padają ofiarą obietnic małżeńskich,

gwałtów. W obliczu ciąży są bezradne i zmuszone wbrew sobie do urodzenia dziecka. Rodzina boi się skandalu, więc dziewczyna przez całą ciążę jest zwykle ukrywana daleko od domu. Kiedy urodzi dziecko w szpitalu lub klinice, najczęściej go tam zostawia. Jeżeli zdecyduje się zabrać dziecko, własna rodzina prawie nigdy jej nie przyjmie, ponieważ jest to wielki skandal, którego tutaj tak wszyscy się boją. Samotne matki zamieszkują rudery na przedmieściach lub piwnice*.

* „Algérie-Actualité" nr 1373 z 26 lutego 1992 r.

Dużo mogłaby zrobić telewizja nadając audycje uświadamiające. Niestety, programów edukacyjnych nie ma. W godzinach największej oglądalności wyświetla się egipskie tasiemce w odcinkach - o miłości i problemach rodzinnych egipskiej burżuazji. Filmy te oprócz rozrywki nie wnoszą żadnej wartości w życie młodego człowieka. A dzieci niechcianych, pozamałżeńskich ciągle przybywa. Ich los w Algierii jest szczególnie okrutny. Jeżeli uda im się przeżyć pierwsze szpitalne dni i dom dziecka, rozsyła się je po całej Algierii do ognisk *(foyers),* gdzie są źle traktowane przez „wychowawców". Znane są przypadki stosowania tortur: biczowania i przypalania papierosami podopiecznych. Gdy dorosną, mają do swej dyspozycji jedynie „Centrum" na Koubie w Algierze. Na początku było ono przewidziane tylko na okres trzech miesięcy. Ale istnieje już sześć lat i musi istnieć, ponieważ nie wiadomo, co zrobić z tymi dorosłymi już ludźmi, pozbawionymi wszelkich perspektyw na mieszkanie, najczęściej bez pracy. Jest to kompleks budynków z pokojami dwu- i trzyosobowymi. Jedna ubikacja przypada na 50 osób, kuchni brak, pokoje nie są ogrzewane. W zimie przez sufit kapie deszcz. Żadne decyzje w sprawie pomocy tym ludziom nie zostały podjęte przez rząd.

Kodeks rodzinny przekreślił szansę tych dzieci na normalne życie, wyjmując je całkowicie spod prawa. Dlaczego? Obowiązujący do 1992 r, artykuł 120 mówił, że dziecko zaadoptowane nie może mieć nazwiska swoich przybranych rodziców. Co to oznacza? Wiadomo: znikomą szansę na adopcję i prawie żadnej szansy na wyjście za mąż dziewczyny, która jest dzieckiem nieślubnym, pomimo że wychowała się w normalnej, choć przybranej rodzinie. W końcu walcząca z tym okrutnym

przepisem AEFAB uzyskała niedawno podpisanie przez rząd dekretu pozwalającego na danie nazwiska opiekuna adoptowanemu dziecku. Nie mam jednak pojęcia, jak wygląda w praktyce realizacja tego dekretu.

Wycieczka do Ghardai i Tamanrasset, ramadan

Koniec grudnia 1992 roku - początek stycznia 1993 roku

Zakład organizuje trzydniową wycieczkę do położonego 600 km od Algieru, miasta Ghardai zwanego oknem na Saharę. Mamy tam spędzić sylwestra i Nowy Rok. Z trudem udaje mi się zdobyć dwa miejsca - dla Soni i dla mnie. Wyjeżdżamy o siódmej wieczorem. W autokarze - sami młodzi ludzie, w większości spoza zakładu pracy. Jest też chłopak z gitarą. Ma piękny głos i wspaniale opanowaną grę na instrumencie. Jest bardzo wesoło przez całą noc. Do Ghardai przyjeżdżamy o godz. 4 rano. Niestety, nie czeka na nas wygodne łóżko w hotelu. Sonia płacze ze zmęczenia, bolą nas nogi od niewygodnej, siedzącej pozycji. Autokar zatrzymuje się w mieście i czekamy do dziesiątej, kiedy wreszcie zjawia się właściciel pensjonatu, wynajętego do naszej dyspozycji. Jak mi powiedział organizator wycieczki, nocleg w tym pensjonacie kosztuje 70 dinarów od osoby. Ażeby nie zawyżać kosztów wycieczki, nie zarezerwowano nam noclegu z 30/31 grudnia. Dopiero o jedenastej pozwolono nam wejść. Jestem przemarznięta. W nocy było w autokarze zimno pomimo włączonego ogrzewania. Na szczęście poradzono nam, ażeby ubrać się bardzo ciepło. Mam zimową kurtkę, spodnie, botki. W czasie podróży zatrzymywaliśmy się kilkakrotnie w jakichś niewielkich przydrożnych knajpkach, ażeby napić się gorącej herbaty. Stwierdziłam, że na zewnątrz jest okropnie zimno i pomimo ciepłego ubrania cała się trzęsę. Zimą na Saharze jest duża rozpiętość temperatur między dniem i nocą (od około +50°C do około +4°C). Czułam to na własnej skórze. Sonia też.

Nareszcie! Bez entuzjazmu wchodzimy do środka nieciekawego, parterowego budynku. Jestem zaskoczona bajkowym wystrojem wnętrza.

Arabski styl, czworobok, w środku patio, naokoło niego ciągnie się korytarz, z którego prowadzą wejścia do pokoi. Korytarz jest pod gołym niebem. Jego dach stanowią półokrągłe metalowe pręty, rodzaj rzadkiej siatki, po której wije się tropikalna roślinność o przedziwnych barwach i zapachach. W środku - ogród z ławkami i stolikami w otoczeniu bujnej roślinności. Nigdy bym nie przypuszczała, że za tymi nieciekawymi, parterowymi murami można spotkać prawdziwie rajski ogród. Sonia też jest zachwycona.

Rozchodzimy się po pokojach. Są wieloosobowe, ale czyste. Mamy do dyspozycji ogromną kuchnię oraz dużą salę na zorganizowanie zabawy. Pytam organizatora wycieczki, jaki jest plan na popołudnie.

- Żaden - odpowiada. - Jedziemy tylko na obiad, który jest zapłacony, a po obiedzie aż do wieczora - czas wolny.

Korzystamy więc z czasu wolnego i po obiedzie nie wracamy z Sonią do pensjonatu, ale idziemy zwiedzać Ghardaię. Świeci słońce, jest chyba około 22°C. Główna ulica wysadzana jest po obu stronach palmami. Wszędzie pełno sklepów z wyrobami ludowymi, dywanami. Niestety, ceny obłędne. Wyroby regionalne są droższe niż w stolicy. To chyba z myślą o turystach, których dawniej bywało tutaj sporo, ale na skutek szerzącego się w kraju terroryzmu nie ma ich prawie wcale. Decydujemy się na zwiedzanie słynnej Méliki położonej niedaleko Ghardai. Trzeba jednak przejść kilka kilometrów wznoszącą się drogą. Wreszcie jesteśmy na miejscu. Przed nami rozciąga się przepiękny widok na położone w dole, wśród piasków, miasto Ghardaią, zbudowane w XI wieku, mające kształt półkuli i otoczone, jak forteca, wysokim, kamiennym murem.

Mélika jest cmentarzem, na którym został pochowany Sidi Aissa i jego rodzina. Zaiste specyficzne to cmentarzysko, w niczym nie przypominające ani muzułmańskich, ani chrześcijańskich cmentarzy. Ciekawa, nietypowa architektura, na biało pomalowane niewysokie bloki kamienne z dziwnymi wieżyczkami to nagrobki. Podobno na takich cmentarzach chowa się ludzi wybitnie zasłużonych dla regionu. Sidi Aissa w wieku 80 lat był ojcem 28 dzieci i dziadkiem przeszło 200 wnuków. W roku 1378 założył pierwszy prywatny park zoologiczny w Attef, 10 kilometrów za Ghardaią. Cmentarzysko wywiera na nas

niesamowite wrażenie. Fotografujemy się z Sonią na jego tle, a następnie schodzimy do Ghardai.

Po drodze spotykamy dwóch chłopców, wyglądających dosyć sympatycznie. Decyduję się zapytać ich, co jeszcze ciekawego można zobaczyć w mieście, ponieważ w Algierii brak jest w sprzedaży jakichkolwiek informatorów i przewodników turystycznych. Chłopcy zapraszają nas do zwiedzania ich palmiarni. Słowo palmiarnia ma tu trochę inne znaczenie niż w Polsce. Prawie każda rodzina posiada tutaj ogród palm daktylowych, który uprawia i to stanowi jedno ze źródeł jej dochodu. Sonia mówi mi po polsku, że nie pójdzie z nimi, bo się boi. Tłumaczę jej, że nie mogą nam zrobić nic złego, ponieważ wyglądają sympatycznie. W końcu umawiamy się z jednym z nich za godzinę. Chłopak jest miły, w wieku Soni. Prowadzi nas dosyć daleko za miasto. Wreszcie znajdujemy się w palmiarni. W bardzo dużym ogrodzie rośnie kilkanaście palm daktylowych. Przy wejściu stoi mały domek. Skrępowany chłopak zaprasza nas do środka. Domek to jedna izba z małym okienkiem. Rzucony na betonową podłogę materac, koc i arabski stolik stanowią całe umeblowanie tego pomieszczenia. Brudno i bardzo ubogo. Chłopak prosi, byśmy usiadły. Właściwie nie ma na czym. Siadamy na materacu. Chłopak usiłuje zrobić nam herbatę, ale kończy mu się gaz w butli. Opowiada, że ojciec zostawił rodzinę, wyjechał do Francji do pracy i tam ułożył sobie nowe życie, a on z matką i rodzeństwem zostali tutaj i muszą sobie jakoś radzić.

- To z czego żyjecie? - pytam.

Chłopak odpowiada mi, że poznał młodą francuską turystkę. Teraz wysyła jej z Ghardai dywany do Francji. Dziewczyna sprzedaje je za dewizy i, po potrąceniu niewielkiej prowizji, wysyła pieniądze na jego konto w Algierii. Biorąc pod uwagę fakt, że obecnie na czarnym rynku jeden frank kosztuje dziewięć dinarów, wychodzi na tym całkiem nieźle. Zarabia grubo więcej niż inżynier.

Soni podobała się ta egzotyczna przygoda. Późnym wieczorem wracamy do pensjonatu, w którym trwają przygotowania do zabawy sylwestrowej. Jestem tak zmęczona, że nie w głowie mi zabawa. Idę do właściciela i proszę go o dodatkowe koce dla córki i dla mnie, bo jest

bardzo zimno. Dostaję jeszcze cztery koce i czuję, że wpadłam gospodarzowi w oko. Wywiązuje się krótka rozmowa.

- Podoba się pani w Algierii?

- Zależy, co - odpowiadam. - Kraj piękny, ale drażni mnie mentalność ludzi.

- Ja ofiarowałbym pani siedem cudów świata! - odpowiada z miłym uśmiechem.

Wierzę, jest jednym z najbogatszych ludzi w okolicy. Nie podejmuję jednak konwersacji i dyskretnie wycofuję się do dziesięcioosobowego pokoju. Zsuwam dwa łóżka razem i kładę Soni dodatkowe koce. Rozbieram się i jak nieprzytomna zasypiam, ażeby obudzić się już w 1993 roku. Może to lepiej? Przespałam, zamiast cierpieć. Bo jakże można nie cierpieć wiedząc, że w odległej o trzy tysiące kilometrów ojczyźnie została samotna mama i syn, że Weronika bawi się z mężem w jakimś dobrym węgierskim lokalu? Jak można nie cierpieć, kiedy człowiek jest taki samotny?

Sonia bawiła się ze wszystkimi, podobno tańczyła wspaniale. Przyszła jednak trochę wcześniej i położyła się spać. W nocy jedna z dziewczyn dzielących z nami pokój ściągnęła z niej dwa koce i przykryła się nimi sama. Sonia obudziła się skostniała z zimna i już nie mogła zasnąć. Algierskie powiedzenie, że każdy myśli o sobie, a Allah o wszystkich, sprawdziło się raz jeszcze. Gdy rano zapytałam dziewczynę, dlaczego tak postąpiła, nie otrzymałam żadnej odpowiedzi.

Po obiedzie postanowiono zorganizować nam wycieczkę do Béni Izguen. Jest to, można powiedzieć, miasto w mieście Ghardai, otoczone wałem ochronnym o wysokości od czterech do pięciu metrów. Do Béni Izguen prowadzą dwa główne wejścia w postaci potężnych bram. Miasto jest znane ze sterylnej wprost czystości ulic i placów publicznych oraz z surowej moralności jego mieszkańców. Wąskie uliczki wznoszą się aż do dzielnicy Tolba, w której naucza się praw religijnych. Przed wejściem do Béni Izguen znajduje się budynek, w którym urzędują przewodnicy. Zwyczaje Béni Izguen zakazują wpuszczania do miasta obcego przybysza bez przewodnika. Dostajemy więc przewodnika i idziemy grupą na zwiedzanie. Miasto robi na mnie ogromne wrażenie. Czuję, że

czas stanął tu w miejscu. Wydaje mi się, że jestem w innej epoce. Na ulicach nie widać ani kobiet, ani dzieci. Nawet mężczyźni pokazują się rzadko. Życie tego miasta toczy się we wnętrzach domów, ściśle odizolowanych od świata zewnętrznego (brak okien wychodzących na ulice, szczelnie pozamykane drzwi). Przewodnik prosi nas o zachowanie ciszy i o respektowanie spokoju mieszkańców. Sam mówi niezbyt głośno, a ponieważ grupa jest bardzo liczna, dociera do mnie niewiele jego informacji. Po wyjściu z Béni Izguen proponują nam zwiedzanie miejscowego muzeum. Mam okazję zobaczyć chaty regionalne, ich wyposażenie i tradycyjne wyroby ludowe. No cóż, wszystko to bardzo prymitywne, bo też i zrobione prymitywnymi narzędziami i w prymitywnych warunkach. Przewodnik informuje nas, że od stuleci niewiele się zmieniło, ponieważ postęp techniczny dociera tutaj bardzo powoli.

Wracamy do pensjonatu. Wieczorem wspólne ognisko. Chłopak pięknie gra na gitarze, pięknie śpiewa. Ale atmosfera jest sztywna, brak tego luzu, który towarzyszy polskiej młodzieży w takich momentach. Nie czuję się swobodnie. To samo odczuwa Sonia, a przecież powinna jakoś identyfikować się z tym społeczeństwem: jest muzułmanką, tutaj żyje, uczy się i tutaj upłynęło jej dzieciństwo i wczesna młodość.

Jeszcze jedna chłodna noc do przespania. Wcześnie rano pobudka i wyjazd z Ghardai. A przecież powinnam być dzisiaj w pracy, jak większość pasażerów tego autokaru. Ale kto by się tym przejmował!

- Powie pani, że autokar popsuł się w drodze! - instruuje mnie przewodnik wycieczki. - Oczywiście, gdyby ktoś zadawał pani kłopotliwe pytania.

Na razie wyjeżdżamy z miasta. Jest dzień i dopiero teraz, z perspektywy, mogę podziwiać wspaniałe położenie Ghardai. Leży w kotlinie i wygląda tak, jak gdyby była ukryta wśród piasków.

Mijamy płonące szyby naftowe oraz miasteczka, biedne i ospałe, Ogromne, nie zagospodarowane przestrzenie! Takie są moje ogólne wrażenia z tej podróży.

W autokarze potworzyły się już pary. Jak widać, młodzież na całym świecie pod tym względem nie bardzo różni się od siebie. Gitarzysta gra i śpiewa, wtóruje mu prawie cały autokar. Po arabsku i po francusku,

ludowe piosenki i najnowsze światowe przeboje. Trzeba przyznać, że nieźle sobie z tym radzą. Sonia zadaje mi kłopotliwe pytanie:

- Mamo, dlaczego z tych młodych, pełnych życia, wesołych ludzi wyrasta potem tak wielu osobników nadętych, zamkniętych w sobie, nieufnie nastawionych do świata, pozbawionych energii i chęci do życia?

Milczę, nie znajduję odpowiedzi.

Luty 1993 roku

Jedziemy razem z szefową do Tamanrasset. Przeszło 2000 km od stolicy. Właściwie jest to delegacja służbowa szefowej, ja jadę na dokładkę. Jakoś uzyskała zgodę dyrekcji naszego zakładu na wyjazd dwóch osób. Wszystkie koszty pokrywa zakład. Lecimy samolotem. Lot trwa dwie godziny. To z Tamanrasset organizowane są wszystkie wycieczki na Saharę i w góry Hoggar. Razem z nami leci dość duża grupa turystów z Francji i Niemiec oraz minister turystyki Algierii wraz ze swoją kilkudziesięcioosobową świtą. Aż tyle osób? Czy rzeczywiście wszyscy oni są niezbędni w tej służbowej delegacji pana ministra?

Szukam toalety. Wreszcie ktoś mi ją wskazuje, ponieważ brak jakichkolwiek oznakowań. Lotnisko jest obskurne, ale widok ubikacji przechodzi wszelkie wyobrażenia. Brak wody, wszędzie pełno śmieci i ludzkich odchodów, śmierdzi okropnie. Brud niesamowity. Zastanawiam się, kiedy ostatni raz ten przybytek ludzkiej ulgi oglądał wodę. Chce mi się wymiotować. A przecież jest rano i wszystko powinno być wysprzątane. Ciekawa jestem, gdzie załatwi swoją potrzebę pan minister.

Wychodzimy z szefową na zewnątrz. Po okropnym pierwszym wrażeniu - piorunujące drugie. Przepiękny, prawie księżycowy krajobraz. Jak w bajce. Słońce, słońce. Piaski i góry, kamieniste, w przedziwnych kształtach i barwach. Po chwili przyjeżdża po nas zakładowa toyota. Jedziemy do oddziału S. w Tamanrasset. Przyjmuje nas kierownik, młody, operatywny człowiek, pan K. A. Po kilkuminutowej pogawędce zawozi nas do najlepszego w tym mieście hotelu - Tahat (od nazwy najwyższego szczytu gór Hoggar - Tahat, 2918 m n.p.m.). Hotel jest prawie pusty. Szefowa zamawia dwa oddzielne

pokoje - jeden dla siebie, drugi dla mnie. Pokoje są dwuosobowe, typowo urządzone. Dwa łóżka, szafa wnękowa na ubrania, mała łazienka. Brak radia i telewizora. Za to sala jadalna oraz hotelowy hol mają przepiękny ludowy wystrój w stylu Tuaregów, rdzennych mieszkańców tych okolic. Około godziny 12^{30} spotykamy się w hotelu z dwoma kolegami z Ouargla, którzy razem z szefową mają omawiać sprawy zawodowe S.

Idziemy na obiad do restauracji hotelowej. Wybór dań skromny, niewielka liczba gości. A gdzie podział się nasz pan minister? Czyżby wziął ze sobą również kucharzy i kelnerów? Ależ nie, jest i pan minister ze swoją świtą. Robi cierpkie uwagi kierownictwu na temat obrusów. Nie, broń Boże, żeby obrusy były brudne. Pan minister nie jest zadowolony, że są białe. A powinny być w regionalne wzory. Opowiedział nam to zaprzyjaźniony kelner. Był rozgoryczony tą uwagą. W jego prostym i słusznym zresztą rozumowaniu to nie kolorowe obrusy decydują o turystyce.

- Mamy tutaj tysiące innych, ważniejszych problemów, o które pan minister nie raczył się spytać - ciągnie chłopak. - Na przykład - ciągły brak wody, problemy zaopatrzenia i cen.

W ciągu pięciu dni pobytu stwierdzam, że chłopak miał rację. Odnosi się wrażenie, że jest to region pozostawiony samemu sobie. Brak na przykład mleka w proszku. Na czarnym rynku jedna paczka kosztuje 50 dinarów (2 razy drożej niż w Algierze).

Po obiedzie idziemy do dyrekcji oddziału S. Mały, niski budynek w pożałowania godnym stanie. Biuro oczekującego nas kierownika jest ciemne, smutne, ściany nie były malowane chyba od wieków. Kierownik dostrzega mój wzrok.

- Tak, tak, droga pani - mówi ironicznie - tutaj nie stolica i nie Dyrekcja Naczelna.

Potem dowiaduję się o warunkach pracy tego oddziału. Zaiste, trzeba podziwiać tych ludzi. Muszą radzić sobie w każdej sytuacji. Są odpowiedzialni za elektryczność w całym województwie Tamanrasset. I jednocześnie pozostawieni w wielu wypadkach sami sobie. Dyrekcja

Naczelna, oddalona o przeszło 2000 km, mało energicznie i najczęściej z opóźnieniem reaguje na potrzeby tego oddziału. Pan K.A. został oddelegowany do Tamanrasset ze stolicy. Przebywa tutaj wraz z żoną i dziećmi. Ma służbowe mieszkanie. Jest młody, ale bardzo nerwowy. Pali papierosa za papierosem. To dzięki niemu nasz pobyt w Tamanrasset ma nie tylko oficjalny, służbowy charakter, ale również prywatny, przyjemny.

Rano zbieramy się w biurze pana K.A. Do godziny trzynastej załatwiamy sprawy. Potem obiad. Na drugi dzień, po obiedzie, jedziemy parę kilometrów za miasto zobaczyć elektrownię cieplną. Urządzenia są japońskie, bardzo nowoczesne. Wszędzie panuje niezwykły porządek. Elektrownia jest pod gołym niebem. Wokół niej ciągną się piaski, w oddali widać góry Hoggar. Co za niezwykłe wrażenie! XXI wiek w zderzeniu ze starą kulturą Tuaregów. Kierownikiem tego cudu jest młody, przystojny wysportowany chłopak. Inżynier. Pytam, ile ma lat. Odpowiada, że 30, ale nie dałabym mu więcej niż 26. Pytam, czy jest mieszkańcem tego regionu. Śmieje się. Opowiada:

- Po studiach w stolicy miałem do wyboru: albo nudną pracę w Algierze, albo przygodę z Tamanrasset. Wybrałem to drugie. Codziennie muszę podejmować dziesiątki decyzji. Czuję się tu bardzo potrzebny.

Podoba mi się ten młody człowiek. To wspaniałe, że w kraju, gdzie praca straciła tak wiele na wartości, są ludzie, którzy potrafią właśnie w niej widzieć sens swojego istnienia. A poza tym co za przyjemność zobaczyć Algierczyka, z którego twarzy i sylwetki emanuje pewność siebie, odwaga, patriotyzm! Bo jakąż trzeba mieć odwagę, ażeby zdecydować się żyć w tym sennym, małym miasteczku, pozbawionym wszelkich rozrywek, z daleka od rodziny i przyjaciół, z poczuciem ogromnej odpowiedzialności! Tak, Tamanrasset to stolica województwa, licząca około 20 000 mieszkańców. Niskie domki, jedna główna ulica na której nie widać ani ludzi, ani samochodów. Mam wrażenie, że miasteczko śpi, tak leniwie toczy się życie jego mieszkańców.

Na czwarty dzień rano jedziemy do Ideles, odległego o 205 km od Tamanrasset. Jest tam elektrownia cieplna o mocy 400 kilowatów,

zarządzana przez oddział S. z Tamanrasset. Do końca życia nie zapomnę tej wyprawy. Na głowach mamy chusty, twarze całkowicie zasłonięte, widać nam tylko oczy. Górzysty krajobraz zmienia się po chwili na płaski, kamienisto-piaszczysty. Samochód niemiłosiernie podskakuje na wybojach, bo właściwie nie ma drogi. Jest to wijąca się kamienisto-piaszczysta ścieżka. Od czasu do czasu widzimy przebiegające gazele lub dzikie wielbłądy. Jedziemy w zupełnej ciszy. Nikt nie rozmawia. Po pierwsze dlatego, że piasek wciska nam się wszędzie. Pomimo że wszystkie okna w samochodzie są zamknięte, mam go w nosie i w ustach, trudno mi oddychać. Za naszym jeepem unoszą się tumany kurzu. Po drugie dlatego, że mamy już wszystkie mięśnie obolałe od ciągłego podskakiwania w samochodzie.

Po czterech godzinach morderczej jazdy lądujemy w Ideles. Wśród kamienistej pustyni, pod gołym niebem stoi elektrownia, która zaopatruje w prąd okoliczne wioski. Poznajemy jej szefa. Jest to mieszkaniec jednej z pobliskich osad. Nie ma żadnego wykształcenia. Został przyuczony do zawodu, pracuje na zmianę z drugim kolegą. Warunki okropne, pordzewiałe urządzenia, brak niezbędnych aparatów kontrolnych. Wiele urządzeń z trudem jest uruchamianych. Cud, że w ogóle wszystko to razem pracuje. A jednak! Przerwy w dopływie prądu zdarzają się niezwykle rzadko. Ogromna ofiarność i pracowitość tych dwóch młodych ludzi sprawia, że to, co wydaje się niemożliwe, jest jednak realne. Znowu jestem pełna podziwu dla Człowieka.

Szef elektrowni zaprasza nas do swojego domu w pobliskiej wiosce. Jedziemy. Mam okazję zobaczyć typową wioskę na Saharze i poznać jej mieszkańców. Kilkadziesiąt parterowych domów, wykonanych z kamienia i specjalnego lepiszcza. Dachy są płaskie, brak okien na zewnątrz. Wchodzimy do domu pracownika elektrowni. Duże podwórko w środku domu. Na to podwórko wychodzą okna z poszczególnych pomieszczeń. Jesteśmy zaproszeni do salonu. Duża kwadratowa izba. Bardzo czysto. Wszędzie arabskie maty. Pod wszystkimi ścianami leżą na tych matach materace, przykryte narzutami. Kolorowe małe poduszki. Podkładamy je sobie pod plecy i opieramy się na nich. Jest mi niewygodnie, nie wiem, co zrobić z nogami ponieważ siedzę bardzo nisko, prawie na podłodze. Jedynymi meblami w tym salonie są: mały

telewizor kolorowy i okrągły niewielki stół arabski. Pracownik elektrowni przynosi dla wszystkich kuskus w dużej misce, którą stawia na podłodze na środku salonu. Do tej wspólnej miski jest nas 8 osób: szefowa, ja, dwóch kolegów z Ouargla, kierownik elektrowni - pan K.A., nasz szofer, pracownik Ideles i jego brat.

Po posiłku wychodzę na zewnątrz domu. Otacza mnie gromada dzieciaków. Niektóre jeszcze z tornistrami, dopiero wróciły ze szkoły. Chce mi się płakać na ich widok. Wszystkie są bose i w podartych, ale bardzo czystych ubraniach. Włosy mają w strąkach, bo wszędzie wciska się piasek. Chcę je fotografować. Wszystkie są bardzo śmiałe i chętnie pozują. Tak upływa mi z nimi dobra chwila. Niebawem woła mnie szefowa. Jesteśmy zaproszeni na poobiednią herbatę. Na moich oczach odbywa się parzenie zielonej arabskiej herbaty. Potrzebne są do tego dwa dzbanki, ażeby przelewać płyn z jednego naczynia do drugiego kilkanaście razy z odpowiedniej wysokości. Nareszcie ceremonia skończona. W malutkiej szklaneczce dostaję swoją porcję. Herbata ma niezwykle cierpki, prawie gorzki, ale orzeźwiający smak. Tradycyjnym zwyczajem, ażeby nie obrazić domowników, musimy wypić trzy kolejki herbaty. Wypijam ją ze smakiem.

W czasie całego pobytu w domu pracownika elektrowni z Ideles nie widziałam kobiety. Nie mogą one przebywać z obcymi mężczyznami, nie mają prawa im się pokazać. Ukryły się przed naszymi oczami w innym pomieszczeniu.

Korzystam z ubikacji. Niezwykle czysto. Na podwórku olbrzymi kilkudziesięciolitrowy zbiornik na wodę, cały napełniony. Zauważyłam, że mieszkańcy tego regionu są bardzo wysocy. Z czego to wynika? Czyżby z tego, że jednym z elementów pożywienia jest mięso wielbłądów? Nie miałam odwagi zapytać, z czego żyją mieszkańcy wioski, w której byliśmy. Przecież nie ma tam żadnego przemysłu, rolnictwo jest niemożliwe, wokół piasek i kamienie.

Wracamy. Szofer skręca gdzieś na pobocze. Dojeżdżamy do przepięknego wąwozu. Jak kanion Kolorado! Kilkadziesiąt metrów w dole ślady płynącej tu kiedyś rzeki. Ale dzisiaj nie ma tam kropli wody, chociaż wokoło pełno jest zieleni. Gdzieś musi być woda. Kilka kilometrów dalej toyota zatrzymuje się przed ogromnym kamieniem,

na kilkanaście metrów szerokim i kilka metrów wysokim. Z jednej strony jego powierzchnia jest zupełnie gładka. Widoczne są na niej rysunki, mające chyba kilka tysięcy lat. Żyrafy, wielbłądy, słonie, byk głęboko wyryte w skale, dobrze zachowane. Stoimy zadumani nad tymi świadkami minionego czasu. Zastanawiam się nad sensem mojego życia, nad tym, jaki ślad po nim zostanie.

Wracamy do Tamanrasset. Jest godzina 19^{00}. Wchodzę do swojego pokoju w hotelu. Patrzę w lustro. Nie poznaję się. Włosy mam sztywne, zupełnie białe. Moja fioletowa, ortalionowa kurtka jest koloru fioletowo-czarnego, kolorowy jeszcze dzisiaj sweter jest barwy jednolitej, szaroburej. Wchodzę pod prysznic. Patrzę na podłogę. Płynie po niej czarna woda. Pakuję do plastikowej torby bluzkę, koszulę, majtki i rajstopy, prawie zupełnie czarne od brudu. Akurat to mam do przebrania. Niestety, sweter, spodnie i buty mam tylko jedne. Jak ja się pokażę w stolicy?

Następnego dnia rano nasz bardzo gościnny szef elektrowni, pan K. A. pyta, jakie mamy życzenia na przedpołudnie (samolot startuje o 14^{00}). Odpowiadam, że chciałabym kupić sobie jakieś pamiątki z Tamanrasset, ale nigdzie nic ciekawego w sklepach nie widziałam. Pan K.A. daje nam do dyspozycji szofera z samochodem. Jedziemy za miasto, do sklepu z wyrobami Tuaregów. Jest on zamknięty, ale szoferowi udaje się znaleźć pracownika sklepu. Wchodzimy. Jestem zachwycona. Wspaniała biżuteria ze srebra, ręczny wyrób, przepiękne kolorowe torby ze skóry, skórzane ozdoby na ścianę. Szefowa „rzuca się" na biżuterię, ja podziwiam torby. Koledzy z Ouargla właściwie nie mają zamiaru nic kupić. Do sklepu wchodzi jeszcze dwóch Tuaregów. Nie mogę się na nic zdecydować. Ale nikomu to nie przeszkadza. Tuaregowie uśmiechają się życzliwie i podają mi do oglądania coraz to inne rzeczy. Rozumiem, że mówią do mnie, żebym się nie spieszyła. W końcu wybieram dwie torby damskie oraz ozdobę na ścianę. Za wszystko mam zapłacić 2750 dinarów. Mam tylko 2500. Pokazuję, że nie mam więcej. Nic nie szkodzi. Grzeczny uśmiech. W porządku. Wszystko zostaje zapakowane. Co za przepiękne pamiątki! Duże, głębokie torby skórzane w bajecznych kolorach, malowane ręcznie naturalnymi barwnikami we wzory Tuaregów, ozdobione niezliczoną ilością kolorowych frędzli. Wszystkie

koleżanki będą mi zazdrościły tych nabytków. Na ścianę kupiłam dekoracyjną maselnicę z naturalnej skóry wielbłądziej, ozdobioną skórą wyprawioną, ręcznie malowaną w przepiękne tradycyjne wzory, udekorowaną również licznymi frędzlami. Jest to kopia dawnego, tradycyjnego urządzenia, w którym Tuaregowie robili masło. Wiem, że do końca życia będzie mi ona przypominała wspaniały pobyt w Tamanrasset.

Szef elektrowni przypomina, że na lotnisko należy przybyć dużo wcześniej, ponieważ nie przestrzega się tu godzin odlotu samolotów. Nie wierzę. Rozumiem, że w algierskiej telewizji jedynie czas rozpoczęcia dziennika o godz. 20^{00} jest respektowany. Inne programy przekazywane są w dowolnych porach. Godziny nie zgadzają się prawie nigdy, bardzo często to, co podają gazety, nie pokrywa się z tym, co oglądamy. Ale żeby samoloty? Na wszelki wypadek słuchamy jednak pana K. A. i na lotnisku jesteśmy dwie godziny wcześniej. Szybka odprawa i już wsiadamy do samolotu. Jestem w mojej brudnej kurtce, ubrudzonym swetrze, spodniach-dżinsach koloru czarno-niebieskiego. Zawstydzona wchodzę na pokład samolotu. Bardzo przystojny, miły steward uśmiecha się życzliwie i mówi po francusku:

- Niech się pani nie krępuje, widzieliśmy już gorsze przypadki!

Duży, amerykański Boeing startuje o godzinę i piętnaście minut wcześniej, niż przewiduje plan. Korzystając z okazji pytam stewarda, jak to jest możliwe? Z rozbrajającym uśmiechem odpowiada:

- Wszyscy pasażerowie, którzy byli na liście, stawili się. A więc na co czekać? Szybciej będziemy w domu, nieprawdaż?

Prawdaż, prawdaż... Już nic nie jest w stanie mnie zadziwić. Jeszcze raz, korzystając z okazji, patrzę z góry na wspaniale wyrzeźbioną płytę Hoggar, 480 000 km^2. Pod nami skalista pustynia. Jest to obszar tak ogromny, że przez półtorej godziny lotu samolotem nie widzi się nic innego. Czasami krajobraz, rozciągający się pod nami, przybiera kształty symetrycznych rzeźb, kwiatów, geometrycznych figur o doskonałej symetrii i formach, których człowiek nie byłby w stanie stworzyć. Natura jeszcze raz okazała się silniejsza i doskonalsza od ludzkiej wyobraźni.

* * *

Dostaję pod opiekę trzy praktykantki - Nadjimę, Sarnię, Nassimę. Mają po dwadzieścia lat, wszystkie trzy oblały dwukrotnie maturę, obecnie są w Technikum Informatyki i przygotowują się do zawodu analityka-programisty. Mam kierować ich pracą dyplomową. Dostały do opracowania system, który pozwoli przetwarzać w różnych wariantach dane dotyczące młodej kadry S. Przetwarzać, to znaczy otrzymać wydruki różnych statystyk dotyczących kilkuset młodych ludzi. Dziewczyny są bardzo ładne i niezwykle sympatyczne, ale niewiele wiedzą o informatyce. Moja opieka będzie więc polegała na wykonaniu za nie zadania oraz na nauczeniu ich całej roboty. Nie jest mi łatwo, ponieważ w czasie, gdy ja siedzę przy komputerze, one najczęściej rozmawiają, i to głośno. Trudno się skupić. Ale wniosły do biura powiew młodości. Są otwarte na świat i ludzi, można z nimi dyskutować na wszystkie tematy. Widać że pochodzą z tzw. dobrych rodzin. Jeżdżą z rodzicami za granicę, dużo widziały.

- Wiesz, Anno - zwierza mi się Sarnia - ja mam opinię największej, przepraszam cię, k... w dzielnicy. A to dlatego, że mam liczną rodzinę. Latem ciągle jakiś kuzyn w towarzystwie kumpli zajeżdża pod mój dom samochodem, żeby zabrać mnie na plażę. Wychodzę z domu w szortach, z torbą plażową na ramieniu. Słyszę docinki chłopaków podpierających dzień i noc mury naszej dzielnicy: „Życie jest piękne, nieprawdaż ślicznotko?" Ale wcale się tym nie przejmuję. Zresztą, zrobię wszystko, ażeby wyjechać z mojego kraju. Myślę o Kanadzie. Ale zanim wyjadę, muszę mieć jakiś zawód. Informatyka może mi się przydać. Czy wyobrażasz sobie życie w tym kraju? Mąż, dzieci, kuchnia. Żadnego sensu w tym wszystkim. Gdybyż to jeszcze mężczyzna potrafił docenić kobietę! Ależ skądże, będę dla niego tylko matką jego dzieci. Nigdy w życiu nie pójdę na takie układy!

Nadjima jest postawna, energiczna, bardzo dynamiczna. Właśnie zaręczyła się z Algierczykiem. Kto jak kto, ale ona nigdy nie da sprowadzić się do roli kury domowej. Dwoje dzieci, podróże, małżeństwo

partnerskie - to jej ideał. Babcia Nadjimy jest Hiszpanką. Po wielu latach pobytu w Algierii zostawiła swojego męża i wróciła do Hiszpanii. Nie mogła przystosować się do panujących obyczajów i stylu życia.

Nassima jest niezwykle wrażliwą, pełną wdzięku dziewczyną, praktykującą muzułmanką. Bardzo podoba się Kamilowi. W ogóle od czasu, kiedy dziewczyny zjawiły się u nas, Kamil nie opuszcza biura. Pomaga „ustawić" pracę, dużo im tłumaczy. W końcu decyduje się:

- Anno, proszę cię, postaraj się dyskretnie dowiedzieć, czy Nassima nie jest przypadkiem zaręczona.

Okazja nadarza się już wkrótce. Z rozmowy wynika, że dziewczyna jest oficjalnie zaręczona. Przekazuję to Kamilowi. Jest zawiedziony.

- W tej sytuacji nie mam odwagi zabiegać o jej względy, Anno. I tak nie zrozumiesz, dlaczego.

20 lutego z biura emigracyjnego w Maroku dostaję definitywną odmowę na nasze podanie o zgodę na wyjazd do Kanady.

22 lutego rozpoczyna się święty miesiąc - ramadan i pierwszy dzień postu. Post jest jednym z pięciu głównych obowiązków religijnych muzułmanina, zwanych pięcioma filarami islamu, którymi są: 1, wyznanie wiary *(szahada); 2,* modlitwa *(saku);* 3, jałmużna *(zakat);* 4, post *(saum);* 5, pielgrzymka do Mekki *(hadżdż).* Wierzący muzułmanin musi przestrzegać postu w czasie świętego miesiąca. Przynosi on człowiekowi dwa ogromne bogactwa - jedno duchowe, a drugie fizyczne. Osłabiając czasowo ciało człowieka wzmacnia jego umysł, pozwalając mu zbliżyć się do Boga, ujrzeć swoją marność wobec Jego potęgi. Z punktu widzenia fizycznego post przynosi również duże korzyści. Kwasy, które wytwarzają się w żołądku na skutek głodu i pragnienia, zabijają bakterie żołądkowe. Post rozwija w człowieku zdolność odmawiania sobie wszystkiego w kryzysowych momentach życia, jeśliby takie nastąpiły.

Podobnie jak islam jest religią powszechnie obowiązującą w Algierii (wyznawców innych religii jest mało), tak post w czasie ramadanu

uznaje się za nakaz tak oczywisty, że jego wypełnianie nie budzi wątpliwości. Nawet niedowiarków zmusza do przestrzegania postu presja opinii publicznej. Każdego dnia telewizja podaje po kilka razy dziennie godziny rozpoczęcia i zakończenia postu, który trwa dokładnie od wschodu do zachodu słońca*. Z meczetu, który jest w każdej dzielnicy, o zachodzie słońca rozlega się przez mikrofony głos imama wzywającego wiernych do modlitwy. Po odprawieniu modłów przystępuje się do jedzenia. Do wschodu słońca można ucztować, bawić się, kochać. Wszystko jest dozwolone.

* Ramadan jest świętem ruchomym, co roku zaczyna się dziesięć dni wcześniej w stosunku do roku poprzedniego.

W tym miesiącu następuje wyraźne zwolnienie tempa życia. Chociaż w zakładach pracuje się normalnie, to jednak wydajność gwałtownie spada. Ludzi męczy głód, którego następstwem jest odczuwane już po kilku dniach osłabienie, senność, rozdrażnienie. Szczególnie cierpią palacze, którzy muszą przez całe dnie powstrzymywać się od zażywania nikotyny.

Podczas ramadanu ludzi ogarnia szał zakupów. Wydaje się, że tylko sprzedawcy pracują, a pozostali kupują, kupują kupują... Ceny rosną w sposób nie kontrolowany, szerzy się spekulacja, której rząd nie potrafi przeciwdziałać.

Sonia czuje się muzułmanką, ale pości tylko dlatego, że nie chce narazić się na szykany koleżanek, które w szkole sprawdzają za pomocą „niezawodnych" metod (oglądanie języka, oczu itp.), czy każda przestrzega postu. Ponieważ lekcje rozpoczyna o dziewiątej, wstaje po wschodzie słońca, a więc nie je śniadania ani nie pije. Nauka trwa do szesnastej bez przerwy. Wraca do domu i dalej nie je, chociaż jej wątły organizm goni resztkami sił (wydaje mi się, że nie ma odwagi przerwać postu - sprawia wrażenie zaszczutej). Pada jak nieżywa na łóżko i przesypia czas modlitwy. Około ósmej wieczorem zjada niewiele i przystępuje do nauki, która zajmuje jej czas do północy. Nazajutrz wstaje o ósmej i tak w kółko przez cały miesiąc.

Cierpię okropnie patrząc na nią. Jest w okresie dojrzewania, więc powinna się dobrze i regularnie odżywiać. Tymczasem je niewiele raz

na dobę, a z każdym dniem blednie, chudnie i marnieje w oczach. Boję się, że ten post odbije się fatalnie na zdrowiu mojego dziecka, które już z natury jest wątłe i słabe fizycznie.

Ja nie muszę pościć. Mam półgodzinną przerwę w pracy na zjedzenie posiłku. Mogę w tym czasie nawet wyjść z biura. Koledzy są tolerancyjni i zachęcają mnie nawet do zjedzenia obiadu, mimo że sami zachowują wstrzemięźliwość.

Sytuacja w Algierii, Zielone Świątki

Czwartek 18 marca 1993 roku

„Algieria w szoku" - krzyczą tytuły gazet. Djillali Liabes, zamordowany we wtorek przez terrorystów w momencie opuszczania swojego mieszkania, był dyrektorem *Institut National des Etudes et de Stratégie Global* (INESG)* i przewodniczącym komisji ekspertów powołanej przez HCE w celu zbadania perspektyw rozwoju społeczeństwa algierskiego.

* dosł. Narodowego Instytutu Studiów i Strategii Globalnej.

Dr Laadj Flici, lekarz, działacz polityczny i pisarz - autor popularnych nowel - został zastrzelony w swoim gabinecie w czasie godzin przyjęć przez dwóch uzbrojonych terrorystów. Miałam okazję poznać go osobiście, ponieważ jego gabinet znajdował się na Casbah i swego czasu Sonia była jego pacjentką. Leczył też moich teściów. Był znany jako dobry lekarz i człowiek niezwykle humanitarny. Pamiętam, że widząc mojego męża w mundurze wojskowym, nie chciał wziąć od nas pieniędzy za wizytę, ponieważ rozumiał, że jesteśmy w trudnej sytuacji finansowej.

Poniedziałek 22 marca 1993 roku

Dzisiaj na godzinę 12^{00} przewidziano ogólnonarodową manifestację przeciwko przemocy i terroryzmowi. *Marche contre le terrorisme!* - zapowiadają tytuły wszystkich gazet. „Dosyć! Żandarmi, policjanci, zwyczajni obywatele, intelektualiści, Senhadri, Liabes, Flici! To musi się skończyć! Zjednoczmy się razem w pochodzie przeciwko destabilizacji naszego kraju, niech terror nie zagląda nam w oczy!" - te słowa możemy znaleźć w każdej gazecie.

Jesteśmy zwolnieni z pracy po to by uczestniczyć w pochodzie, który transmitowany jest przez telewizję. Przychodzę do domu, włączam telewizor, oglądam. Tysiące osób wyszło na ulicę, aby utworzyć ogromny pochód, który idzie główną arterią miasta od Place des Martyrs do Place du 1-er Mai. Transparenty z hasłami, ogromne tłumy młodzieży, kobiety w *haikach,* dziewczyny nowocześnie ubrane.

Marsz skończył się, a terror i przemoc jak istniała, tak dalej istnieje **i** pogłębia się z każdym dniem.

Koniec marca - początek kwietnia 1993 roku

Praktykantki kończą swoją pracę. W ostatni dzień Sarnia daje mi mały pakunek. Jest w nim zagraniczne mydło, kilka serwetek i karta pocztowa, na której napisała: „Anno, żadne słowa nie są w stanie wyrazić mojego podziękowania za to, co dla nas zrobiłaś. Jesteś wspaniała! Szczerze oddana Sarnia".

Po kilku dniach ktoś puka do biura. To szefowa z ojcem jednej z naszych podopiecznych. Przyszedł nam podziękować za pomoc okazaną dziewczynom. Obroniły na piątkę pracę zrobioną w S. Oboje z Kamilem jesteśmy z siebie zadowoleni.

Dziewczyny poszły. A Kamil od razu stracił cały entuzjazm. Osowiały pęta się bez celu po biurze.

- Anno, nic mi się nie chce, nic mam żadnego celu w życiu.
- A Nassima?
- Daj mi spokój! - odpowiada. - Ty nic wiesz, co u nas znaczy dziewczyna zaręczona. Nie chcę się do tego mieszać.

Obserwuję go przez kilka dni. Znowu pustka w jego życiu, znowu dni podobne do siebie jak krople wody. Ta sama jednostajna codzienność, brak perspektyw. Gdyby ci młodzi ludzie mieli odpowiednie warunki egzystencji i możliwości rozwoju oraz widzieli sens swego życia, ileż energii mogliby z siebie wykrzesać, ileż mogliby dać krajowi !

Minął miesiąc postu. Z okazji L'Aïd Srir dostaję po ogromnym pudle ciastek od każdej z moich trzech praktykantek, które przyszły po świętach specjalnie **w** tym celu. Także Kamil i Fella przynoszą mi

domowe wypieki. Potem szefowa, gospodyni domu, w którym mieszkam, koledzy z kursu języka francuskiego. Moja duża lodówka wypełniona jest po brzegi ciastkami. Sonia jest zachwycona. Ciastka są wspaniałe, z kokosem, orzechami i innymi bakaliami.

Sonia łamie sobie nogę i zostaje na sześć tygodni uwięziona w gipsie. Lekarz stwierdza ogólne osłabienie i brak wapna w organizmie. Było to do przewidzenia! Przybywa mi dodatkowe zmartwienie i kłopot oraz koszty. Leczenie postępuje powoli. Córkę trzeba cztery razy dziennie odwozić do szkoły i przywozić do domu. Organizowanie dla niej transportu jest dla mnie prawdziwym horrorem.

Koszmar! Jeszcze raz koszmar! Na skutek silnych wiatrów została zniszczona instalacja elektryczna w naszej dzielnicy. Przez pięć dni jesteśmy bez światła. Nie ma wody. Skończył mi się gaz w butli. Patrzę na termometr w mieszkaniu. Pokazuje 8°C. Do tego przejmująca, przeszywająca do szpiku kości wilgoć. Zwykle ogrzewam pokój grzejnikiem elektrycznym, ponieważ jako pracownik zakładu energetycznego płacę £a prąd tylko 10%, co miesięcznie kosztuje mnie niewiele. Prądu nie ma, więc mieszkanie jest nie ogrzewane. W nieskończoność ciągnie się tych pięć koszmarnych dni! Klnę jak szewc na los, który zaprowadził mnie do tego „gorącego kraju", budzącego zazdrość wszystkich moich znajomych w Polsce! Sonia płacze, nawet Mruczek nie wie, gdzie schować się przed tą przejmującą wilgocią. Tymczasem zakład energetyczny naprawia uszkodzenie w iście żółwim tempie. W pracy klimatyzacja popsuta i dokuczliwe zimno przeszywa codziennie całe moje ciało. Wydaje mi się, że zamiast kości mam kawałki brył lodowych, a w moim ciele płynie nie krew, tylko ciecz o jakiejś niskiej temperaturze zamarzania.

Koniec kwietnia - początek maja 1993 roku

26 kwietnia, w piątek rano, jedziemy z Jeanne i księdzem B. do oddalonego od Algieru o kilkanaście kilometrów B. Mamy tam spotkanie z okazji Zielonych Świątek. Jesteśmy prawie wszyscy w komplecie - Dominique, Alice, Lucie, studenci z Madagaskaru, Czadu. W B. znajduje

się parafia chrześcijańska z przeuroczą kaplicą wybudowaną przy pomocy polskich kooperantów. Przez kilka lat była ona zarządzana przez polskiego księdza - Bogdana, którego miałam okazję poznać osobiście. Jest nas w sumie 20 osób. O godzinie dziesiątej zaczyna się msza. Po mszy dzielimy się na trzy grupy (każda prowadzona przez katolickiego księdza) i rozsiadamy się w ogrodzie otoczonym wysokim murem. Jest piękna pogoda. Każda grupa ma zastanowić się i przedyskutować sens *l'esprit saint* (w dosłownym tłumaczeniu - umysł święty), czyli inaczej mówiąc musimy przemyśleć, co sprawia, że osobowość człowieka może być nieskazitelna, pełna wiary i wewnętrznej siły. Jest jeszcze parę innych tematów. Dyskusja jest burzliwa, kończymy o godz. 12^{30}. Następnie zasiadamy do obiadu, na który składają się dania przygotowane przez każdego z nas. Stół zastawiony jest po królewsku. Czego tam nie ma! Specjalności kuchni całego świata. Siedzę obok dwóch studentów z Czadu. Zmiatają wszystko z talerzy. A co chwilę nasi gospodarze wnoszą coś nowego. Na deser jest ogromny keks, wspaniały w smaku. Nikt nie chce się przyznać do jego wypieku, chociaż przysporzyłby chwały swemu twórcy. Po cieście - sałatka owocowa przygotowana przez Alice. Są w niej banany, wiśnie, pomarańcze, nèfle, a wszystko razem ma niezapomniany smak. Mój sąsiad z prawej, który zaklinał się, że jego żołądek już nic więcej nie zmieści - trzeci raz nakłada sobie tę sałatkę. Zaiste, chyba nawet królowie nie spożywają takich dań! Na koniec aromatyczna kawa. Jemy, dyskutujemy, śmiejemy się do godziny piętnastej. Potem spotykamy się wszyscy w kaplicy. Przyjeżdża *monseigneur* T., którego witamy bardzo gorąco. Przysłuchuje się naszym wypowiedziom, bo każda z dyskutujących grup wysunęła jakieś wnioski, które należy przedstawić. Czym dla mnie jest „umysł święty"? Nie mam pojęcia. Wiem tylko jedno: że dzięki jakiejś niewytłumaczalnej sile udało mi się przetrwać bardzo trudne okresy życia. To ta dziwna siła dalej formuje i „lepi" moją osobowość, stawiając mi coraz to nowe wyzwania. Czuję JĄ nieraz tak mocno, że przechodzą mnie dreszcze.

Po dyskusji robimy sobie pamiątkowe zdjęcia w ogrodzie i o godzinie 17^{30} rozjeżdżamy się do domów. Ksiądz B. odwozi Jeanne, Dominique i mnie swoim samochodem.

Po dwóch dniach następują prawdziwe, kalendarzowe Zielone Świątki. Mam dzień wolny od pracy. Jestem zaproszona na uroczysty obiad do Jeanne, która mieszka niedaleko mnie. Przychodzi też Słowaczka Hana.

- Jak tam twój mąż? - pytam.

Niestety, nie ma żadnej poprawy. Już pół roku nie pracuje. Przez jakiś czas był u swoich rodziców, od miesiąca jest z Haną. Teraz mieszka z nimi również jego siostra, ponieważ Hana boi się o swoje życie. Objawy psychozy u męża nasiliły się, stał się bardzo agresywny. Co trzy tygodnie musi brać zastrzyk. Ostatnio nie było tego lekarstwa. Hana zdobyła je z wielkim trudem i do tego z dwutygodniowym opóźnieniem, co okazało się fatalne w skutkach. Nie ma jednak zamiaru opuszczać Algierii, pomimo że mąż co roku daje jej pozwolenie dla dzieci na spędzenie wakacji w Słowacji. Pracuje zawodowo, nieźle zarabia. Czuje się poza tym potrzebna i to trzymają w Algierii. Myślę, że jednak nie bardzo zdaje sobie sprawę z niebezpieczeństwa grożącego jej ze strony męża. Skarży się, że krewni męża ciągle chcą, ażeby im coś kupiła i wcale nie są to drobiazgi. Ostatnio zażyczyli sobie jakichś maszyn przemysłowych z Francji.

Liczę wydatki poniesione w kwietniu. Mieszkanie - 1500 dinarów, wyrobienie polskich paszportów - mojego i Soni - 3800 dinarów, wyrobienie arabskiego paszportu Soni - 700 dinarów, opłata za korepetycje Soni - 1400 dinarów. Razem - 7400 dinarów. Oczywiście, nie zawsze wyrabiam paszporty. Ale jak nie paszporty, to płacę za kurs języka francuskiego lub za leczenie zębów albo za lekarstwa itp. Na cały miesiąc zostaje mi 2600 dinarów. Nie wystarczy to nawet na skromne wyżywienie dwóch osób. Do 9 czerwca mam wykupić bilet dla Soni do Polski na wakacje za 9400 dinarów. Muszę jej dać co najmniej 200 dolarów na pobyt w Polsce. A 200 dolarów to jest 10 000 dinarów! Skąd brać na to wszystko? Gdyby wiedziano, jak żyje się naszym rodakom w niektórych krajach! Do pracy chodzę w podartych butach. Na szczęście nie jestem wyjątkiem, oznaki biedy widać tu na każdym kroku, więc nikogo specjalnie nie dziwią oczka w pończosze czy sfatygowana garderoba.

Sytuacja ekonomiczna Algierii pogarsza się z każdym rokiem, wartość rynkowa pieniądza spada z dnia na dzień. Dzisiejszych warunków nie można nawet porównać z sytuacją sprzed piętnastu lat, kiedy właściwie za jedną pensję inżyniera można było swobodnie ubrać się, doskonale wyżywić i jeszcze sporo odłożyć. Na szczęście Kamil przyniósł mi 15 000 dinarów za coś, co sprzedałam z „majątku" pozostawionego mi przez Yacine. Właściwie nie mam żadnej motywacji do pracy. Jakkolwiek bym pracowała - nie mogę zarobić więcej, ponieważ zarobki są stałe, możliwość awansu ograniczona nawet dla Algierczyków, a dla nas - cudzoziemców na kontrakcie - żadna. Jak zwykle spędzam przed komputerem tylko cztery godziny dziennie, przez resztę czasu - czytam lub uczę się francuskiego.

21-22 maja 1993 roku

Ciągle nie ma wody. Aż do godziny 23^{00}. I już rano o siódmej. Nie wiem, jak prać, gotować, myć się. Pakuję cały neseser brudnej pościeli i jadę do Doroty. Kąpię się. Pierzemy w automacie całe popołudnie. U Doroty woda jest stale. W mojej dzielnicy prawie nigdy. Po południu przychodzą do Doroty goście, małżeństwo algierskie. Spędzamy bardzo przyjemne popołudnie. Po ich wyjściu dyskutujemy jeszcze do godziny 22^{00}. Rano pakuję do nesesera mokre pranie. Mąż Doroty odwozi mnie do pracy. Jestem obładowana jak wielbłąd. Zostawiam swoje toboły w portierni. W czasie przerwy obiadowej, zamiast do stołówki pędzę do domu, aby jak najszybciej rozwiesić moje pranie. Schody, schody, schody... Do domu docieram cała mokra, przepocona, a przecież to zaledwie parę minut drogi. W domu bałagan nie z tej ziemi.

- Nie było wody nawet w nocy - informuje mnie Sonia. - Mamo, ugotuj jakąś zupę - prosi.

No tak, ale w czym? Wszystkie garnki brudne, a w zbiorniku na wodę jest jej zaledwie kilka litrów! Sonia musi zadowolić się chlebem. A zbliża się jej matura i powinna właśnie w tym okresie dobrze się odżywiać.

* * *

Matura...

Można by na temat tego egzaminu w Algierii napisać całą książkę. Program nauczania, wzorowany na programie francuskim, ma bardzo wysoki poziom. Ale przeniesiony na algierski grunt - zupełnie nie zdaje egzaminu. Dlaczego? Liczba uczniów w klasach nie schodzi poniżej czterdziestu. Nauczyciele nie nadążają. Trudno powiedzieć, że z powodu niekompetencji. Ale większość pedagogów zarabia niewiele, a ich warunki bytowe nie pozwalają na porządne przygotowanie się do prowadzenia przedmiotu. Wyobraźmy sobie nauczycielkę, która obarczona jest kilkorgiem swoich dzieci i zajmuje z rodziną dwupokojowe lub jednopokojowe mieszkanie z wspólną kuchnią. Mąż nie włącza się do prac domowych. Na rynku brak jakichkolwiek gotowych półproduktów żywnościowych, ułatwiających przygotowanie posiłku. Kiedy i gdzie ona ma przygotować się do zajęć na następny dzień? Problem mieszkań w Algierii rozkłada wszystko, nawet szkolnictwo. Nauczyciele nie mają zapewnionych prawie żadnych warunków do samokształcenia lub chociażby do solidnego opracowania wykładanego przedmiotu. Więc odbywa się to byle jak i uczniowie pozostawieni są sami sobie. A wymagania programu są wysokie.

Patrzę na moją córkę i naprawdę jest mi jej żal. Pracuje minimum 14 godzin dziennie. Zajęcia w szkole trwają dziewięć godzin dziennie, z godzinną przerwą na obiad. W domu siedzi nad książkami do godziny 23^{00}. I nie dlatego, że zbliża się matura. Tak jest przez cały okres liceum, od pierwszej klasy. Córka ma widoczną wadę postawy, od pierwszej bowiem klasy szkoły podstawowej aż do ostatniej klasy liceum nie miała ani jednej godziny zajęć wychowania fizycznego. Po prostu w większości szkól ten przedmiot nie istnieje. Rozkład godzin lekcyjnych nie pozwala na normalne uczęszczanie na basen. Jedyny publiczny basen w Algierze na Place du 1-er Mai jest dostępny dla kobiet w soboty, poniedziałki i czwartki między godziną 12 a 13^{30}. Z trudem udaje się Soni chodzić raz w tygodniu w czwartki (dni wolne), chociaż płacę abonament za trzy razy w tygodniu. I jak tu można walczyć z wadami

postawy u dzieci? W zimie Sonia często przychodzi po basenie z płaczem, że woda jest bardzo zimna. Ciągle dochodzi pomiędzy nami do scysji z powodu tego basenu. Ona nie chce chodzić, ja krzyczę i zmuszam ją prawie siłą do uczęszczania. Jest to jedyny sport, jaki udało mi się dla niej załatwić prywatnie. Szkoły nie interesuje nic poza nauczaniem.

Zastanawiam się, co zrobić z jej przyszłością. Czekam na wyniki egzaminu maturalnego, który ma się odbyć 13 i 14 czerwca. Co ja jej mogę zapewnić? Jedyne marzenie Soni - studia w Kanadzie -prysnęło jak bańka mydlana. W Polsce? A jak poradzi sobie z egzaminami na wyższą uczelnię? W jej przypadku - zdanie ich jest niemożliwe. Pomimo że doskonale mówi po polsku i nieźle pisze, nie zna przecież terminów naukowych po polsku. Poza tym wykształcenie zdobywała zgodnie z innym programem nauczania niż jej rówieśnicy w Polsce. Jest zdolna, pracowita i ambitna, mogłaby zajść bardzo daleko. Tak bardzo marzyła o wyjeździe do Kanady. Od czasu otrzymania odmownej odpowiedzi z biura emigracyjnego Ambasady Kanadyjskiej w Maroku Sonia straciła wszelka nadzieję.

25 maja 1993 roku

Dzisiaj mamy zakończenie roku szkolnego w Centrum Kultury Francuskiej. Zaczynaliśmy w liczbie 22 osób. Do końca dotrwało 12 osób. Jest to grupa arabska, a z cudzoziemców jest tylko troje: Mohamed (Palestyńczyk), Anna (Rosjanka) oraz ja. Kupiliśmy dla nauczycielki dwa duże bukiety kwiatów, ja przygotowałam podziękowanie, które napisałam na komputerze ozdobnym pismem. Wszyscy złożyli pod podziękowaniem swoje podpisy. Nauczycielka, Francuzka, jest wzruszona. Osobiście jestem bardzo zadowolona ze sposobu prowadzenia przez nią kursu, którego poziom był bardzo wysoki. Na początku trzeciego roku czułam się zakompleksiona. Wydawało mi się, że nie dam sobie rady w tej grupie arabskiej, w której wszyscy mówili już nieźle po francusku. Ale Palestyńczyk, który chodził również razem ze mną na drugim roku, pocieszał mnie i dodawał odwagi. Wzięłam się do pracy, tym bardziej że mogłam przeznaczyć trochę czasu na naukę języka w pracy. Pod koniec trzeciego roku zrobiono nam egzamin.

Okazało się, że razem z Mohamedem znaleźliśmy się w czołówce grupy i zdaliśmy na czwarty rok. Tak się cieszę! Język francuski jest dla mnie najpiękniejszym językiem świata!

Kończymy naszą lekcję, żegnamy się. Do zobaczenia na ostatnim, czwartym roku kursu języka francuskiego!

Przed budynkiem CCF spotykam córkę Emmy. Emma jest jedną z naszych koleżanek z Grupy Przyjaźni, Angielką po pięćdziesiątce, zamężną z Algierczykiem. Ma śliczną córkę w wieku dwudziestu paru lat, która wyszła za mąż również za Algierczyka. Życie tej dziewczyny zmieniło się w piekło z podobnych przyczyn jak moje. Z dwojgiem małych dzieci musiała uciekać od męża. Już od kilku lat ciągnie się jej sprawa rozwodowa, bez rezultatu. To ona wniosła pozew o rozwód i nie może go otrzymać, ponieważ jej mąż nie wyraża zgody. Wziął sobie adwokata, który z niezwykłą wprawą przekłada terminy rozpraw. Ojciec nie piaci ani dinara na dzieci. Dobrze, że Emma poprzez swoje rozliczne kontakty znalazła córce dobrze płatną pracę. Niemniej jednak dziewczyna rozwodu nie ma, nie ma też żadnych praw do dzieci, ponieważ ojciec wciąż pozostaje ich prawnym opiekunem. Córka Emmy jeszcze raz chce wiedzieć, w jaki sposób udało mi się uzyskać rozwód, prawa do dzieci i wywieźć syna. Chce, żebym jej udzieliła jakieś rady, co ma robić. Dyskutujemy. Myślę, że ta młoda dziewczyna nigdy nie zrozumie, co musiałam przeżyć, aby teraz rozmawiać z nią z pozycji osoby która wygrała. Ona nigdy nie będzie zdolna do tego typu poświęceń, ponieważ nie jest postawiona w sytuacji bez wyjścia. Ma całą swoją rodzinę do pomocy i to na miejscu, zarabia doskonale i dla niej „być albo nie być" nie istnieje i nigdy nie będzie istniało.

Czwartek, 27 maja 1993 roku

Zakupy od rana. Jestem na targu. Ażeby dojść do domu muszę, jak zwykle, pokonać niezliczoną liczbę schodów. Jestem cała mokra. Od kilku miesięcy odczuwam silne bóle rąk. Myślę, że jest to rezultat dźwigania ciężarów. Byłam u lekarza zakładowego. Dał mi skierowanie na wykonanie wielu badań i analiz. Gdzie mam je zrobić? Jako cudzoziemka na kontrakcie nie mam prawa do korzystania z laboratorium

zakładowego. Sygnalizowałam już kilkakrotnie tę sprawę dyrektorowi zakładowej opieki zdrowotnej, ale bez rezultatu. Obecnie w całym, liczącym przeszło 20 tysięcy pracowników zakładzie, jest nas troje cudzoziemców. Kto będzie interweniował w naszej sprawie? Nikt. Prywatnie nie jestem w stanie zapłacić za wykonanie tych badań. Okropnie drogo. W szpitalu? Nie mam zdrowia ciągle dowiadywać się, kiedy ewentualnie zostaną tam dowiezione odpowiednie odczynniki potrzebne do wykonania analiz. W największym szpitalu w stolicy - Mustapha - nie ma możliwości zrobienia nawet EKG. Mając swego czasu duże problemy z sercem, kilkakrotnie zwracałam się do oddziału kardiologii o przebadanie mnie (miałam skierowanie od lekarza ogólnego) i za każdym razem odpowiadano mi, że aparat jest popsuty. A gdybym miała zawał? Dokąd udać się w takim wypadku?

Po południu miałam wyjść do miasta. Nie poszłam jednak, byłam zmęczona po porannych zakupach i senna po nic przespanej nocy, ponieważ około pierwszej zbudziły nas odgłosy broni palnej. Dzisiaj gdzieś niedaleko naszego domu około szesnastej znowu rozpętała się strzelanina. Miałam wrażenie, że kule świszczą nad naszym domem. Przeciągłe wycie syren policyjnych. Przechodzą mnie ciarki. Sonia w panice wybiega z mieszkania.

- Soniu, wróć! - krzyczę.

Po chwili córka wraca, szczęśliwa. Trzyma w objęciach Mruczka. Teraz już mu nic nie grozi, jest w domu. Uratowała wszystko, co miała najdroższego. Mruczek - jedyny przyjaciel!

Koniec maja - początek czerwca 1993 roku

Groźnie postrzelono znanego algierskiego dziennikarza i pisarza Tahara Djaouta, który zmarł w szpitalu po ośmiu dniach ciężkiej walki lekarzy o jego życie. W telewizji pokazują fragmenty reportaży i wywiadów z udziałem tego dziennikarza i pisarza. Przystojny, inteligentny człowiek. Ujmująca twarz. Ogromna kultura słowa. Słuchanie go sprawia przyjemność. Jeden z ujętych sprawców zamachu na jego życie powiedział w telewizji, że postanowiono go zastrzelić,

ponieważ był komunistą, który pisał zbyt dobrze i jego wypowiedzi mogły wpłynąć na muzułmanów*.

* „Liberté" z 3 czerwca 1993 r.

* * *

Święto Barana, czyli L'Aïd Kbir, obchodzi się w 2 miesiące i 10 dni po L'Aïd Srir. Abraham na ofiarę Bogu ma zabić własnego syna Izaaka. Jednakże Bóg poprzez archanioła zsyła mu barana z poleceniem zarżnięcia go, zamiast Izaaka. W religii muzułmańskiej jest to dzień połączenia się z Bogiem, a symbolem tego połączenia staje się zarżnięcie barana. Religia nakazuje, aby zabitego barana podzielić na trzy części. Jedną zostawić dla siebie, drugą rozdać w prezencie znajomym, a trzecią oddać dla biednych. Kupno i rżnięcie barana nie jest obowiązkowe. Jednakże przed L'Aïd Kbir szał zakupów trwa. W tym roku ceny barana dochodzą do 7500 dinarów (zarabiam netto 10 000 dinarów miesięcznie). Potem te biedne barany trzymane są często w łazienkach lub na klatkach schodowych w blokach, aż do L'Aïd Kbir. Sądzę, że duża część Algierczyków kupuje barana tylko po to, ażeby sprawić radość dzieciom, które mają uczestniczyć w zarzynaniu zwierzęcia. Pamiętam, jak Yacine, jeszcze w okresie naszego małżeństwa, zabrał trzyletniego Riada do sąsiadów na ten obrzęd, by, jak powiedział, „sprawić radość dziecku i zrobić z niego mężczyznę". Radość skończyła się na tym, że syn, bardzo wrażliwy i uczuciowy, przez kilka następnych dni majaczył w wielkiej gorączce. Bratowa, która miała okazję przebywać u mnie i uczestniczyła w takim obrzędzie - zemdlała.

Dzisiaj sąsiedzi, którzy mają willę obok nas, przynieśli nam ze dwa kilo świeżej baraniny z zarżniętego przez nich barana. A przecież wcale się nie znamy, nie mówimy sobie nawet dzień dobry. Chyba słyszeli coś o naszej sytuacji. Również gospodyni przyniosła nam około trzech kilo baraniny. Jest to bardzo sympatyczny moment tego święta, że jednak nie zapomina się o sąsiadach, znajomych, biednych pozostawionych samym sobie.

Po dwóch dniach świąt wychodzę do miasta. Trudno opisać, jak wygląda piękny Algier. Śmieci nie zostały sprzątnięte. Wszędzie stosy baranich odpadów powywlekanych przez koty. Ulice zaśmiecone niemiłosiernie. Cuchnie. Jest już południe. Zakład oczyszczania miasta, jak widać, dzisiaj zrobił sobie również „most". Co to znaczy? Otóż święta przypadły w poniedziałek i wtorek. Środa miała być dniem pracy. Potem znowu „niepracujący" czwartek i piątek. Prawie wszystkie zakłady pracy zrobiły „most", to znaczy wolną od pracy środę, którą będzie się odrabiało w następny czwartek. Kto jest odpowiedzialny za tak skandaliczną sytuację z zaśmieceniem miasta?

9 czerwca 1993 roku

Dzisiaj idę do biura pośrednictwa pracy dla cudzoziemców odebrać pozwolenie na pracę ważne jeden rok. Pozwolenie nie jest jeszcze podpisane, pomimo że stosowne dokumenty złożyłam już dziesięć dni wcześniej. Czekam prawie całe przedpołudnie na kierownika biura. W końcu przychodzi i z miejsca podpisuje mi dokument. Wracając z pracy kupuję gazetę „Liberté". Znajduję w niej ciekawy artykuł. Związek Francusko-Algierski ubolewa nad najnowszymi przepisami dotyczącymi integracji w społeczeństwie francuskim rodzin algierskich, a w szczególności nad przepisami dotyczącymi otrzymania obywatelstwa francuskiego przez dzieci algierskie urodzone we Francji. Otóż komisja pod przewodnictwem Mr Marceau Longa uchwaliła, że warunkiem otrzymania obywatelstwa przez dziecko, urodzone we Francji i mające rodziców Algierczyków jest udokumentowanie pięcioletniego okresu zamieszkania we Francji tychże rodziców. Sądzę, że należałoby założyć w Algierii Związek Algiersko-Algierski, który zająłby się integracją w Algierii dzieci urodzonych w tym kraju z małżeństw mieszanych w sytuacji, gdy ojciec Algierczyk rozwodzi się z matką cudzoziemką, nie interesuje się pozostawionymi dziećmi, nie płaci alimentów, nie wydaje zezwolenia na wyjazd dzieci razem z matką, która nie może otrzymać obywatelstwa, pomimo 16-letniego pobytu w Algierii (nie jestem wyjątkiem), oraz otrzymać pracy dlatego, że jest cudzoziemką (a jeżeli już znajdzie, to może pracować na rocznych kontraktach, których

przedłużanie zależy od dobrej woli jej szefów). Ogromne pole do popisu dla takiego Związku Algiersko-Algierskiego.

17 czerwca 1993 roku

Profesor Boucebsi zamordowany.

„To już koniec świata!" - krzyczą tytuły algierskich gazet. Brutalnie zadźgany nożem przy wejściu do szpitala, w którym pracował. Wybitny naukowiec. Psychiatra o międzynarodowej sławie, autor licznych prac naukowych i popularnych, obnażający algierską rzeczywistość. Naukowiec Djillali Liabes, lekarz Laadj Flici, wyższy urzędnik państwowy Hafid Senhadri, dziennikarz Tahar Djaout, a teraz profesor Boucebsi - kolejna ofiara terrorystów, którzy w ciągu krótkiego czasu pozbawili Algierię jej największych autorytetów i umysłów.

W tym samym dniu trzech policjantów i dwóch obywateli zostało zastrzelonych w Laghouat przez uzbrojonych osobników. Codziennie gazety przynoszą podobne komunikaty. Codziennie towarzyszą nam widoki policyjnych samochodów z zamaskowanymi, uzbrojonymi siłami porządkowymi. Osobnicy w granatowych mundurach są wszędzie, nikogo to już nie dziwi. Przy głównych arteriach wjazdowych do stolicy pełno zapór *(barrage)*. Samochody przejeżdżają wolno pod bacznym spojrzeniem uzbrojonych „granatowców". Niektóre są zatrzymywane i poddawane szczegółowej kontroli. Do żadnego głównego urzędu czy budynku administracyjnego nie można wejść bez kontroli zawartości teczek, toreb itp. Wszędzie czuje się w powietrzu atmosferę bardzo napiętą. Jak długo jeszcze?

20 czerwca 1993 roku

Sonia jest już po egzaminach maturalnych i wybiera się na wakacje do Polski. Wyniki egzaminów zostaną ogłoszone dopiero 10 lipca, więc będę musiała zająć się zapisaniem jej na studia, o ile córka zdała maturę.

Podoba mi się sposób przeprowadzania egzaminu maturalnego w Algierii. Uczniowie nie zdają go w macierzystych szkołach, lecz są kierowani w wyniku losowania do różnych placówek w pobliżu miejsca zamieszkania. W komisjach egzaminacyjnych zasiadają niezależni

nauczyciele, z którymi uczeń nigdy nie miał do czynienia. Prace uczniów są anonimowe (nazwisko i imię jest zaklejone w górnej części kartki, na której znajdują się odpowiedzi). Egzaminy trwają trzy dni i odbywają się - ze względu na nieznośne upały panujące o tej porze roku zwłaszcza w południowej, saharyjskiej części Algierii - w godzinach porannych (8-11) oraz popołudniowych (16-19). Mają formę prac pisemnych na tematy obowiązujące w całym kraju dla danego profilu kształcenia. Sonia zdawała w liceum na Place du 1-er Mai: pierwszego dnia rano - przyrodę, po południu - filozofię, drugiego analogicznie - matematykę i język arabski, trzeciego - fizykę i język angielski.

Zdający może otrzymać z każdego przedmiotu maksimum 20 punktów. Wyniki egzaminów maturalnych stanowią podstawę do rekrutacji kandydatów na różne kierunki studiów, ponieważ w Algierii nie ma egzaminów wstępnych na wyższe uczelnie.

Wyjazd Soni na wakacje, zapisy na studia

21 czerwca 1993 roku

Dzisiaj wysyłam Sonię na wakacje do Polski. Samolot odlatuje o siódmej rano. Jak dojechać na lotnisko? Godzina policyjna obowiązuje do piątej rano. Rodzina gospodarzy radzi mi skontaktować się z sąsiadem - taksówkarzem. Chłopak zgadza się odwieźć nas na lotnisko o piątej rano.

Wcześniej umawiam się przez telefon z Grażyną, koleżanką, żoną Algierczyka, która leci z dziećmi do Polski również dzisiaj. Nie ma dużo bagażu, więc zgodziła się wziąć Soni na swoje konto 20 kilo. Przygotowałam dwie paczki z pościelą i książkami - prawie 30 kilo. Jeden kilogram dodatkowego bagażu kosztuje przeszło 80 dinarów, chcę więc korzystać z okazji i dokonać częściowej przeprowadzki do Polski. Ale jak się z tym uporać? Mam dużo książek, trochę odzieży i pościeli, kołdry i koce. Nie stanowi to żadnego majątku, są to jedynie najniezbędniejsze do przetrwania rzeczy. A jednak jest tego sporo. Trzeba więc przygotować paczki w kartonach, żeby w Polsce mama mogła je od razu wysłać pocztą z lotniska. Pakuję w papier. Wiążę sznurkiem. Gotowe!

Rano na ulicy nie ma żywego ducha. Widać, że godzina policyjna dopiero się skończyła. Na lotnisku przy samym wejściu grupa uzbrojonych policjantów. Kontrola bagażu, która nie ma nic wspólnego z kontrolą celną. Patrzą podejrzanie na nasze dwie ogromne, solidnie zapakowane paczki. Nie mają jednak odwagi kazać nam tego wszystkiego odwijać. Za to pozostały bagaż jest dokładnie przetrzepany. Na szczęście wszystko dobrze się kończy.

22-23 czerwca 1993 roku

Miesiąc temu Hamid pokazał mi listę osób, którym S. płaci za

mieszkania u prywatnych właścicieli. Jest ich przeszło stu. Teraz wszyscy otrzymali piękne mieszkania wybudowane przez S. w Ben Aknoun i na Koubie. Dostał również mieszkanie Hamid. Po 17 latach pracy w zakładzie, po 15 latach mieszkania na różnych kwaterach opłacanych przez zakład ten doświadczony inżynier w wieku 40 lat nareszcie doczekał się własnego mieszkania.

- Anno, zobacz tę listę, są tutaj mieszkania, które S. opłacił z góry na 2-3 lata! Wszystkie są wolne, a pieniądze i tak nigdy nie zostaną zwrócone zakładowi. Możesz więc prosić o zakwaterowanie w jednym z takich wynajętych mieszkań. Nawet na rok, to i tak się opłaca. Popatrz, poprawisz sobie warunki bytu, będziesz mieszkała za darmo - stwierdza Hamid.

Całkiem niezła myśl! - myślę sobie.

Piszemy razem z Hamidem podanie. Czyta je szefowa.

- Dlaczego nie? - mówi mi. - Jutro jedź do Hamma do dyrektora A.

Następnego dnia dostaję samochód służbowy. Jadę do dyrektora A., który wcześniej został powiadomiony o celu mojej wizyty. Jest to dyrektor administracyjny zakładu. Mieliśmy już okazję spotkać się kilka razy w czasie różnych narad. Zauważyłam, że wpadłam mu w oko. Pewny siebie typ, okropnie brzydki, niewysoki grubas z dużym brzuchem. Z rozmowy z nim jasno wynika, że mogę bez żadnych problemów dostać mieszkanie zakładowe w bloku. Mieszkanie zakładowe? Jedno z trzydziestu, które pozostały do rozdziału i o które walczy przeszło 3000 pracowników?! No cóż, sprawa jest jasna. Jeszcze jeden, który próbuje wykorzystać sytuację. Odmawiam złożenia podania o mieszkanie zakładowe. Nie podoba mi się to. Pan A. miał już chyba jasno ułożony plan w swojej głowie, zanim do niego przyjechałam. Ponieważ rozmowa nie poszła po jego myśli, każe mi złożyć podanie do dyrektora naczelnego o zasiedlenie jednego ze zwalnianych a opłaconych mieszkań. Twierdzi, że sam nie może podjąć decyzji. Rozstajemy się raczej przyjaźnie, udaję, że nie zrozumiałam jego niedwuznacznej propozycji.

Wracam do szefowej. Wyjaśniam, że podanie musi być zaakceptowane przez dyrektora naczelnego zakładu. Szefowa ma niewyraźną minę i już czuję, że nic z tego nie będzie. Ale każe mi zostawić podanie.

W tym samym dniu, 23 czerwca zasztyletowano M'Hameda Boukhobzę, doktora psychologii, członka *Conseil Consultatif National*,* autora licznych publikacji. Czterej osobnicy wtargnęli do jego mieszkania, a następnie na oczach całej rodziny zadali mu nożem liczne śmiertelne rany. Lista zabitych intelektualistów algierskich powiększa się. W Europie zaostrzono kontrolę cudzoziemców. W Niemczech aresztowano Oussama'a Madaniego, syna Abassiego Madaniego. We Francji w Nanterre odkryto lokal partyjny ex-FIS. pełen broni i amunicji. Aresztowano przewodniczącego działającej tam grupy i dwóch jej członków. Jak oświadczyli, chcieli oni, zgodnie z nakazem Koranu, chronić czystość i moralność publiczną przed dilerami**.

* dosł. Doradczej Rady Narodowej.

** „Le Matin", z 11 i 12 czerwca 1993 r. *(dealers* - rozprowadzający narkotyki).

Czwartek, 1 lipca 1993 roku

Trzy dni wolne. Środa, czwartek, piątek. Postanowiłam siedzieć w domu i pisać moją książkę. Nie potrafię się jednak skupić. Dzisiaj po południu przyjeżdża po mnie Dorota z mężem. Decyduję się jechać do nich, ponieważ boję się zostać sama w domu. Znowu „dopadła mnie" nerwica lękowa. Jutro piątek, 2 lipca 1993 roku, urodziny Sabrinki. Kończyłaby osiem lat. Jak wyglądałaby dzisiaj?

U Doroty czuję się lepiej, ale mam chandrę. Oglądamy telewizję do północy. Potem kładziemy się spać, ale nie mogę zmrużyć oka. Co chwila słyszę nad uchem bzykanie komarów. Nie pomaga rozpylacz, którym zasmrodziłam cały pokój. Komary, wszędzie komary! Na nieszczęście zapomniałam zabrać ze sobą aparat przeciw komarom. Życie bez niego jest tutaj koszmarem. Dorota ma tylko jeden aparat w sypialni.

Leżę i rozmyślam o Sabrince. Jakże cudownie byłoby, gdyby żyła. Sonia miałaby siostrę, której tak bardzo pragnie, nie przelewałaby wszystkich swoich uczuć na kota.

Starzy ludzie powiadają, że największą karą, jaką Bóg może zesłać na człowieka, jest przeżyć własne dzieci. Słyszałam to dawno w Polsce i słyszę w Algierii - teraz, gdy to oklepane porzekadło ludowe przestało być dla mnie abstrakcyjne, a stało się aż nadto oczywiste. Nie zrozumie

go nikt, kto sam nie doświadczył tego bólu. Ciągle na nowo zadaję sobie odwieczne pytanie: DLACZEGO?

Sabrinka nie pozwala o sobie zapomnieć, śni mi się regularnie - w każdą rocznicę urodzin i śmierci. Gdyby jednak żyła, przez jakież piekło i nędzę musiałaby przejść?! I to niezależnie od tego, u kogo by była - u matki pozbawionej wszelkich ludzkich praw i materialnych podstaw egzystencji, czy u ojca i jego drugiej żony - w warunkach nie zapewniających prawidłowego rozwoju człowieka. Widocznie wolała odejść z tego świata, który wydał na nią ten okrutny wyrok...

4 lipca 1993 roku

Dzwoni Teresa.

- Anno, czy wiesz, że są już wyniki egzaminów maturalnych?
- Nic nie wiem, miały być 10 lipca, a dzisiaj dopiero czwarty! No i jak tam twój syn? - pytam.
- Zdał - odpowiada mi Teresa, ale z notą - „passable" W klasie na czterdziestu uczniów maturę zdało ośmiu - ciągnie Teresa.

Przeliczam - 8/40, czyli 20%. Jest to coroczna średnia, taki bowiem procent młodzieży zdaje egzamin dojrzałości.

- Idź, może w szkole twojej córki już wywieszono wyniki! - mówi Teresa.

Brama szkoły jest otwarta. Na podwórku postawiono tablicę z rezultatami egzaminu maturalnego. Widzę nazwisko Soni i ocena - *assez bien.* Patrzę: maturę w tej szkole zdało 68 uczennic na przeszło 200, a należy ona do najlepszych i szczyci się wysokim procentem uczennic zdających egzamin maturalny. Przepisuję wyniki. Na 68 osób, które zdały, jedna osoba otrzymała *bien* (piątkę), 25 - *assez bien* (czwórkę), 42 - *passable* (trójkę).

Patrzę na tablicę obok. W jedynej klasie matematycznej, grupującej najzdolniejsze uczennice - spośród czterdziestu tylko osiem zdało egzamin maturalny!

Dyrektorka szkoły informuje mnie, że w tym roku w całym kraju maturę zdało 7,7% uczniów (gazety podały oficjalnie liczbę 11%), czyli na 390 000 zdających jedynie około 43 000 otrzyma świadectwa

dojrzałości. Reszta zasili armię bezrobotnych. Tylko nieliczni dostaną się do szkół dających jakieś przygotowanie zawodowe. Podobno w tym roku zadania z matematyki dla klas matematycznych były niezwykle trudne, na poziomie uniwersyteckim i, jak doniosła kilka dni temu prasa - zawierały błędy.

W ubiegłym roku zadania egzaminacyjne sprzedawano na każdym rogu ulicy dzień przed maturą po 50 dinarów. Do dziś nie podano nazwisk osób odpowiedzialnych za ubiegłoroczny skandal maturalny. Unieważniono maturę dla klas biologicznych, uczniowie powtarzali ją kilka tygodni później.

Sonia znalazła się w gronie dwudziestu pięciu najlepszych. No cóż, ucieszy ją ta „przepustka do raju". Tylko gdzie ten raj, gdzie szukać go dla tego zdolnego i upartego dziecka? Tak bardzo chciałaby coś osiągnąć w nauce. Ma zadatki na świetnego naukowca. Gdzie i jak mam zapewnić jej przyszłość? Obiecałam jej, że napiszę do stowarzyszeń polonijnych w Kanadzie, być może przyznają jej stypendium. Sonia żyje tylko tą nadzieją. Wiem, że czeka mnie jeszcze roczna batalia o to, żeby nie przegrała swojego życia. Muszę tu pozostać jeszcze rok, ponieważ chcemy skończyć z Sonią kurs języka francuskiego w CCF i zdać egzaminy. Da nam to liczne uprawnienia, a mnie być może większe niż dyplom ukończenia wyższej uczelni. Poza tym, jeżeli Sonia rozpocznie studia w Algierii, a nie otrzymamy pozytywnych odpowiedzi z Kanady, być może uda mi się uzyskać przeniesienie jej dokumentów na uczelnię w Polsce. Jednak czeka mnie ciężka walka o zatrzymanie córki przy sobie. Yacine nie daje za wygraną i robi wszystko, żeby przekonać ją do pozostania w Algierii i kontynuowania tutaj studiów. Jest ojcem. Czy powinnam buntować córkę przeciw niemu? Jak jej wytłumaczyć, że jest to człowiek chory, który kieruje się w swoim działaniu przeważnie irracjonalnymi motywami, a zawsze egoistycznym własnym interesem i że nie można na nim polegać? Nie zaznałabym chwili spokoju w Polsce, gdyby Sonia pozostała w Algierii skazana na tak niepewny los.

8 lipca 1993 roku

W Algierze zastrzelono oficera i podoficera Armii Narodowej, 34-letni piekarz zginął z rąk czterech uzbrojonych osobników, 54-letni kierowca został zastrzelony na szosie wiodącej do Tipazy...

To tylko komunikaty z jednego, wczorajszego dnia. Dzisiejszy bilans jest bardziej tragiczny. W województwie Blida zastrzelono pięciu urzędników rady miejskiej. W Boufarik zastrzelono małżeństwo - inżyniera agronoma i nauczycielkę. Zostało troje dzieci. Dzisiaj zastrzelono też trzech policjantów. Komu zależy na aż takiej destabilizacji tego kraju?

10 lipca 1993 roku

Nieraz wychodzę z biura nieco później i wtedy spotykam kobietę sprzątającą nasze piętro. Wygląda na 75 lat. Dziwię się, że kobiety w tym wieku są jeszcze zatrudniane. Jest malutka, drobniutka, cała pomarszczona, skóra i kości, nie ma ani jednego zęba. Od czasu do czasu daję jej 50 dinarów. Kobiecina nie umie mówić po francusku. Dzisiaj na nasze piętro przyszła również inna sprzątaczka, umiejąca trochę po francusku. Postanowiłam spytać ją o wiek naszej babci. Okazuje się, że ma 55 lat. Nie chce mi się wierzyć. W tym wieku i taki wygląd? Babcia odpowiada, że to życie tak ją zniszczyło. Jest Kabylką, mąż jej zmarł wcześnie i sama musiała wychowywać dziecko. Nie mając żadnych środków utrzymania, opuściła góry Kabylii i przywędrowała do stolicy, gdzie tułała się od domu do domu wykonując najcięższe prace. Tłumacząca słowa babci druga sprzątaczka też nie miała lżejszego życia. Taki jest los kobiet bez zawodu, pozbawionych opieki mężczyzny, zmuszonych do utrzymania rodziny w kraju, gdzie pozycja społeczna i zawodowa kobiety jest nie tyle niska, ile żadna, gdzie nawet mając wyższe studia i konkretny zawód trudno o jakąkolwiek pracę.

Pamiętam, w moim poprzednim zakładzie pracy zatrudniono sprzątaczkę, młodą dwudziestoparoletnią dziewczynę, rozwiedzioną, której rodzina nie chciała przyjąć z dzieckiem. Samą - owszem, ale dziecko - nie! To jest jego dziecko i niech się on o nie martwi! Takie stanowisko wobec kobiety rozwiedzionej często zajmuje algierska

rodzina. Dziewczyna nie chciała wyrzec się trzyletniej córeczki. Gdzie mieszkała, nie wiem. Przychodziła z dzieckiem do pracy, stawiała je w kącie korytarza, a sama brała się do sprzątania. Dziewczynka, bardzo grzeczna, ale niedożywiona, szczuplutka, często po prostu zasypiała na posadzce. Dałam tej dziewczynie dużo ubranek, które zostały mi po Soni. Szczególnie cieszyła się z rajstop i butów, dla córeczki, ponieważ było bardzo zimno, a dziecko miało gołe nóżki. Dziewczyna kończyła pracę około pierwszej, musiała jednak siedzieć z dzieckiem do godziny piątej, ponieważ ani dyrektor, ani kierownik nie zgodzili się, żeby wychodziła wcześniej. Zwróciłam kiedyś na to uwagę dyrektorowi, czym bardzo mu się naraziłam.

- I tak powinna czuć się szczęśliwa, ponieważ znalazła pracę i pozwala jej się przychodzić z dzieckiem! - odpowiedział mi w złości.

Chciało mi się płakać, gdy na to patrzyłam. Wiele jeszcze razy łzy ciekły mi z oczu na widok nieszczęścia tych kobiet i dzieci, które nie mogły odbić się od społecznego dna.

10-20 lipca 1993 roku

Wzięłam cztery dni urlopu, żeby załatwić formalności związane z zapisaniem córki na studia. Najpierw odbieram w liceum świadectwo maturalne, a wraz z nim wydruk komputerowy stanowiący analizę szans dostania się Soni na poszczególne kierunki studiów, przeprowadzoną na podstawie wyników uzyskanych na maturze. Jestem zaskoczona małą ilością punktów za prace z biologii (8/20) i języka arabskiego (9/20), z których Sonia była bardzo zadowolona. Należała do najlepszych uczennic w swojej szkole, więc jeżeli jej prace oceniono tak nisko, to łatwo zrozumieć, dlaczego tylko 11% młodzieży zdało maturę.

Z analizy możliwości przeprowadzonej metodą komputerową wynika, że Sonia ma największe szanse dostania się na planowanie i statystykę, następnie kolejno coraz mniejsze na ekonomię, informatykę, architekturę i... raczej marne szanse na kierunek, który pragnie studiować - WKS*. Pomimo wszystko będę próbowała zapisać ją na WKS. Nie wiem jednak, gdzie odbywają się zapisy na ten kierunek. W szkole nie potrafią odpowiedzieć mi na to pytanie. Idę na uniwersytet. Na tablicy ogłoszeń nie ma żadnej informacji na ten temat, a jest już późno i nie

ma nikogo zorientowanego w tych sprawach. Wracam do domu, a nazajutrz rano znów jestem na uniwersytecie. Tłum ludzi pyta o to samo. W końcu dowiaduję się, że maturzyści z kierunku biologicznego zapisują się w Caroubier. Caroubier? Gdzie to jest? Przez dwie godziny usiłuję złapać taksówkę w centrum miasta, ale nikt nie chce jechać na tę Caroubier. Klnę w duchu na cały świat. Jest okropnie gorąco. Wreszcie jakiś taksówkarz zatrzymuje się.

* WKS - Wymarzony Kierunek Studiów. W książce przyjęłam umowną nazwę kierunku studiów obranego przez córkę. Odpowiednio KKS będzie oznaczał Komputerowy Kierunek Studiów (wytypowany dla córki przez komputer).

- Mogę jechać, ale za stówę! - informuje mnie.

Żąda dwa razy tyle, niż wynosi taryfa, ale się zgadzam. Jedziemy spory kawał, często stoimy w korkach ulicznych. Wreszcie dojeżdżamy. Ale przeczucie mówi mi, że to nie koniec mojej pielgrzymki.

- Panie, niech pan poczeka! Zapytam tylko, czy to tutaj.

Wysiadam przed okazałym budynkiem i pytam porządkowego.

- A nie, u nas nie ma zapisów dla maturzystów z kierunku biologicznego - pada odpowiedź.
- A gdzie - pytam.
- ENS na Koubie - odpowiada.

Robi mi się gorąco. To na drugim końcu Algieru. Człapię do taksówki.

- Panie - prawie błagam - zgodzi się pan jechać na Koubę?
- Niech będzie, ale stówa! - odpowiada taksówkarz. Jedziemy. Na wszelki wypadek znowu proszę go, żeby czekał.
- Tak, to u nas - informuje mnie porządkowy.

Płacę taksówkarzowi 200 dinarów. Idę labiryntem korytarzy, korzystając z pomocy porządkowych, którzy wskazują mi kierunek. Wreszcie trafiam do właściwych drzwi. Dostaję formularz zapisu i niezbędne informatory. Otrzymuję również wyjaśnienia, w jaki sposób zapisać się na WKS. Otóż na formularzu zapisu należy wpisać wybrany kierunek studiów, wymieniając równocześnie 15 innych kierunków, na których chciałoby się ewentualnie studiować. Rekrutacji dokona

komputer na podstawie wyników egzaminu dojrzałości i liczby miejsc. Tym, którzy się nie dostaną na wybrany kierunek, wskaże stosowny dla nich spośród wymienionych na formularzu zapisu.

Jest późne popołudnie. Okropnie bolą mnie nogi, a tu trzeba jeszcze wrócić do domu. Autobusem dojeżdżam do Place du 1-er Mai, a potem idę pół godziny na piechotę, przeważnie po schodach. Z nieba leje się żar. Padam w ubraniu na łóżko i natychmiast zasypiam. Budzę się o czwartej rano i zabieram się do studiowania otrzymanych informatorów oraz do wypełnienia formularza. O ósmej jestem gotowa. Bez śniadania ruszam poprzednią trasą, żeby złożyć papiery. Uff! Wreszcie mam to za sobą!

Dzwonię do Magdy, Polki mieszkającej niedaleko.

- Przyjdź, pogadamy - odpowiada.

Nasze „gadanie" trwa cztery godziny. Magda nie bardzo widzi sensu dalszego życia tutaj. Jedyny syn kończy studia w Polsce i ożenił się z Polką. Magda nie pracuje.

- Żyjąc umieram w tym kraju, Anno. Co to za życie! Codziennie strzelają, cała dzielnica pełna żandarmerii. Ani tu żyć, ani wracać do Polski, bo wszystko należałoby zaczynać od nowa - narzeka.

Przy okazji chcę zajrzeć do rodziny D. i do Salehy, najlepszej koleżanki Soni. Jakże mile wspominam tę rodzinę! He serca nam okazali, kiedy byliśmy bez mieszkania i ja bez pracy. Pani D. wygląda staro, jak na swój wiek. Wszystkie włosy ma siwe. Mąż od dziewięciu miesięcy po zawale serca przebywa na rencie chorobowej. Dostaje zasiłek chorobowy w wysokości 4000 dinarów miesięcznie. A państwo D. mają przecież pięcioro nieletnich dzieci! Widać, że głód zagląda w oczy tej rodzinie. Witają mnie niezwykle serdecznie. Dowiaduję się, że Saleha nie zdała matury. Żadna z serdecznych koleżanek mojej córki nie zdała matury. Saleha wygląda jak szkielet. Jest w depresji.

- Uciekaj dziecko z tego kraju! - mówi mi pani D. - Uchroń od nędzy siebie i dzieci! Co ty tu jeszcze robisz?

Tłumaczę jej i przyznaje mi rację. Pani D. płacze. Nad moim i swoim losem, nad tragiczną sytuacją kraju.

Po długiej przerwie - spotkanie z Krzysztofem - tym razem ostatnie. Każda znajomość bez sensu zawsze musi się wcześniej czy później skończyć. Nie mam o to pretensji.

Jest pełnia lata, cudownego lata nad Morzem Śródziemnym. Jestem zupełnie sama. Sonia przebywa na wakacjach w Polsce. Nawet nad morze nie mam z kim pojechać, dojazd samotnej Europejki autobusem jest nierealny, a zaprzyjaźnieni koledzy i koleżanki są na urlopach. Z niechęcią chodzę do pracy, gdzie nie mogę znaleźć sobie miejsca. Po pracy doskwiera mi wszechobecna samotność. Chce mi się płakać, płakać, płakać...

Grupa Przyjaźni też rozjechała się na wakacje do swoich krajów. Czuję dziwny ucisk w okolicy serca i w żołądku. Jak przetrwać jeszcze rok w tym kraju? Tak daleko od Ojczyzny, od mamy, od syna, w tej pustce, w ciągłym stresie? Zadaję sobie pytanie, czy spotkam kiedyś człowieka na miarę moich oczekiwań, kogoś, kto nada nowy sens mojemu życiu. Czy taki człowiek istnieje na Ziemi?

Na razie staram się skupić na pisaniu tej książki, to jest mój cel. Zabiera mi każdą wolną chwilę, pozwala jakoś odnaleźć się w tej pustce, jaką zostawił po sobie Krzysztof. Gdyby nie to moje pisanie, w które uciekam, nie mogłabym chyba przeżyć tego lata.

Za parę dni upłynie miesiąc od złożenia mojego podania w sprawie otrzymania mieszkania na kwaterze prywatnej. Znikąd żadnej reakcji. Dzwonię do dyrektora A., który każe mi natychmiast przyjechać. Nasza rozmowa trwa około godziny. Oprócz jego intencji, które są zupełnie jasne, cała reszta jego wywodów jest tak zagmatwana, pełna krętactw, kłamstw i niedomówień, że muszę myśleć szybciej niż komputer, ażeby utrzymać się „na fali". Z cynicznym uśmiechem dyrektor A. stwierdza, że jestem osobą, która niezwykle komplikuje sprawy.

- Ja? Ciekawe dlaczego i w czym? Nie dacie mi mieszkania u prywatnego właściciela? Nie szkodzi, dajcie swoim, ja jakoś jeszcze nie umieram z głodu i opłacę z własnej kieszeni tyle, ile będę mogła.

Dyrektor A. widzi, że stoi na przegranej pozycji. Rezygnuje nawet z pozorów. Wstaje i podchodzi do mnie. Rozbiera mnie wzrokiem.

Odsuwam się, żegnam pośpiesznie i zamykam drzwi, chociaż mam ochotę trzasnąć nimi z wielkim hukiem. Wiem już, że nie mam co liczyć na pozytywne załatwienie mojego podania.

24 lipca 1993 roku

Dzisiejsze dzienniki radiowe donosiły co godzinę, że społeczny problem bezdomności kobiet, mieszkających wraz z dziećmi na ulicach stolicy, przybiera zastraszające rozmiary. Są to wszystko kobiety rozwiedzione, które kodeks rodzinny pozbawił dachu nad głową. Przeprowadzono nawet z nimi wywiady. Parę dziennikarek krzyczało do mikrofonu, że trzeba koniecznie przejrzeć przepisy tego hańbiącego Algierię aktu prawnego. Według mnie jedyną możliwością obnażenia katastrofalnej sytuacji prawnej algierskich kobiet (a więc i cudzoziemek - żon Algierczyków, podlegamy bowiem tym samym prawom) jest ukazanie tej sytuacji międzynarodowej opinii publicznej.

Spotkanie z Drissem, urlop z Salehą, wizyta u Djabira

Początek sierpnia 1993 roku

Pod koniec lipca zakład rozpoczął organizowanie, raz w tygodniu, wyjazdów na plażę do Tipazy, położonej 70 kilometrów za Algierem. Chętnie korzystam z tych okazji, wypoczynek nad morzem wzmacnia moje nadwątlone siły. Wyjeżdżamy spod zakładu o ósmej rano, wracamy o piątej po południu. Tipaza jest przepięknym kompleksem turystycznym. Kiedyś był on dobrze zagospodarowany, dzisiaj - brudne pokoje hotelowe wynajmowane są przypadkowej klienteli. Patrzę na ten bajkowy krajobraz. Gdyby dodać do tej przyrody właściwą organizację oraz odpowiednio zainwestować, to można by człowiekowi stworzyć warunki do rajskiego wypoczynku. Algieria mogłaby funkcjonować tylko dzięki turystyce.

Wracam do domu. Trzeba wykąpać się po plaży. Niestety, nie ma wody. Chodzę raczej brudnawa. Tylko przy okazji wizyt u koleżanek Polek mogę się porządnie wymyć. A Sonia? Korzystała z prysznica przed wejściem do basenu, przynajmniej tyle.

Na plażę jeździ kilka zakładowych autokarów. Jeden z nich przeznaczony jest tylko dla kobiet i dzieci. W ten sposób poznaję Mimi, Fadhelę, Fatihę. Wszystkie, tak jak ja, są rozwiedzione, pracują w S. Jesteśmy w podobnym wieku. Na plaży trzymamy się razem. Fadhela ma córkę w wieku Soni i trochę młodszego syna, córka Mimi jest koleżanką Soni jeszcze z przedszkola. Wszystkie opowiadają mi tragiczne historie swojego życia. Chce mi się płakać, gdy tego słucham. Na szczęście mają pracę w zakładzie, któremu nie grozi bankructwo, co pozwala im żyć w miarę normalnie. Mogą więc być spokojne o swoją przyszłość, mają zagwarantowane stałe dochody. Rozmawiamy o życiu. Dziewczyny są

sympatyczne. Ponieważ dużo przeszły, doskonale się rozumiemy. To one zrobiły pierwszy krok w moim kierunku, widząc moją samotność i wyraźną niechęć do otoczenia. Już czwarty raz jesteśmy razem na plaży. Mimi i ja mamy ogromne parasole przeciwsłoneczne, z czego cała grupa jest bardzo zadowolona, bo nie musi płacić za wypożyczenie, a to jednak drogo kosztuje.

12 sierpnia 1993 roku

W czwartek - kolejny wyjazd na plażę. Dziewczyny są już w autokarze, zajęły mi miejsce. Jedziemy znowu do Tipazy. Jest to jedna z bezpieczniejszych plaż w okresie nasilających się aktów terrorystycznych. Jej zaletą jest również to, że trzeba naprawdę pójść daleko w morze, by woda zakrywała człowieka, zatem bezpiecznie tu zarówno dla dzieci, jak i dla tych, co nie umieją pływać.

Dzisiaj morze jest cudowne, zupełnie inne niż zwykle. Ostatnio fale były wysokie, ale o małej sile uderzenia, więc szalejemy - ustawiłyśmy się w miejscu, gdzie nadchodząca fala osiągała swój najwyższy poziom i na jej grzbiecie z krzykiem radości unosiliśmy się do góry. Dwa tygodnie wcześniej - tafla morza nie drgnęła. Można więc było pływać do woli. Dzisiaj znowu natura okazała się wyrafinowana, ofiarując nam coś wspaniałego - prawdziwe Hawaje w Afryce. Niewysokie, ale bardzo spienione fale (ma się wrażenie, że całą produkcję proszku do prania wysypano do morza) mają ogromną siłę uderzenia. Poza tym woda jest tak ciepła, że właściwie wygląda to na podgrzewany basen. Fale coraz to zmieniają swoje położenie, trudno więc ustawić się we właściwym miejscu. Patrzymy tylko, co się będzie działo, z którego kierunku niespodziewanie przyjdzie uderzenie. I nagle już jest. Bach! Spieniona fala uderza nas z ogromną siłą.. Pomimo że wszystkie trzymamy się za ręce, nie możemy utrzymać równowagi. W końcu, przewrócone, lądujemy na dnie. Ale nie jest głęboko, woda nie sięga nam nawet do pasa. Co odważniejsi ustawili się o kilka metrów dalej, gdzie siła uderzenia fali jest chyba dwukrotnie większa. Patrzymy z rozbawieniem na to widowisko. Nadciąga fala i wszyscy z gromkimi okrzykami radości lądują przykryci zwałami wody. Na szczęście pomiędzy kolejnymi

falami jest trochę czasu i można się łatwo pozbierać. Gdyby było inaczej, zabawa mogłaby okazać się niebezpieczna. Przyglądają nam się ratownicy. Plaża jest pilnie strzeżona. Jestem w wodzie prawie cały dzień, wychodzę jedynie na krótkie chwile odpoczynku i na obiad. Od uderzeń fal boli mnie całe ciało. Jakiż to ma jednak korzystny wpływ na cały układ krążenia, jak poprawia samopoczucie! To właśnie morze, słońce i przyroda uspokoiły moje nerwy na długie miesiące.

14 sierpnia 1993 roku

Powrócili z urlopu przyjaciele - Anissa, Hamid, Nassiba, Kamil. Podniosło mnie to na duchu.

- Anno, co będzie, gdy wrócisz do kraju? Z kim ja będę jadał obiady? - słyszę prawie codziennie od Hamida.

Przyzwyczaiłam się do jego codziennej obecności. Wiem, że mogę na niego zawsze liczyć. Przywozi mi nieraz do domu butle z gazem, pożycza pieniądze i nie pyta, kiedy oddam. Poza tym jest mi przyjemnie przebywać w towarzystwie tego niezwykle przystojnego Araba, zawsze doskonale ubranego i schludnego. Cenię go również za to, że potrafił przeciwstawić się całej otaczającej nas społeczności i od dwóch lat pokazuje się ze mną w stołówce zakładowej, zdając sobie sprawę z tego, że muszą krążyć plotki na temat naszej znajomości. A przecież nie łączy nas nic oprócz zwykłego koleżeństwa. Czy ktoś może to zrozumieć? Chyba tak, skoro ten koleżeński układ zaakceptowała Anissa i Nassiba dołączając do nas, co jest naszym ogromnym zwycięstwem.

Po obiedzie mamy do wyboru kawę w niewielkiej sali obok stołówki albo w pobliskim parku, gdzie jacyś młodociani biznesmeni otworzyli małą kafejkę nieźle prosperującą. Od kiedy dołączyła do nas Anissa i Nassiba - wybieramy zawsze park obok zakładu. Lubię to miejsce, mój zakład, widok na morze z okna biura, park pełen palm, niewielką pocztę tuż obok... Wiem, że do końca życia będzie mi brakowało tych uroczych miejsc, kolegów i pachnącej poobiedniej kawy w towarzystwie przyjaciół.

15 **sierpnia** 1993 roku

Dzisiaj pojechałam do mojego adwokata, Amira. Ma on gabinet w tej samej dzielnicy, w której mieszka Yacine. Tak się złożyło, że ten sam przewóz dowozi pracowników do zakładu S. i do jego filii, w której obecnie pracuje Yacine. Mimo wszystko zdecydowałam się nim jechać. Yacine wszedł do autobusu, ale w momencie, gdy mnie ujrzał, kazał natychmiast zatrzymać i jak oszalały wybiegł na zewnątrz.

Przyjechałam do mojego adwokata prywatnie. Chciałam zapoznać się lepiej z niektórymi niezrozumiałymi dla mnie artykułami kodeksu rodzinnego. Ale nawet Amir trochę plątał się w interpretacji, by w końcu stwierdzić, że nie wszystko jest jasno powiedziane. Daliśmy więc spokój artykułom przenosząc dyskusję na tematy ogólne. Wreszcie Amir podsumował:

- Pakuj walizki, dziewczyno, i uciekaj jak najprędzej. Piękna przyroda i plaże to nie wszystko, liczy się przede wszystkim państwo, w którym istnieje prawo broniące obywatela, a tutaj na to nie masz co liczyć i to ci mówi właśnie przedstawiciel prawa!

Tak „podbudowana" opuszczam gabinet Amira w przekonaniu, że jak najszybciej trzeba zacząć myśleć o przeprowadzce.

21-27 sierpnia 1993 roku

Dzisiaj nie byłam rano w pracy, wzięłam CP* na załatwienie prywatnych spraw. Właściwie to ledwo zdążyłam na obiad. Moich przyjaciół już nie było. Po obiedzie skierowałam swoje kroki do zakładowej kafejki. Kawa w tej kawiarence podawana jest przy bufecie, pije się ją na stojąco, co jest okazją do poczytania różnych ogłoszeń lub obejrzenia np. fotoreportaży. Przy wejściu wita mnie dwóch młodych ludzi i zaprasza do obejrzenia fotoreportażu ze szkółki pływania, zorganizowanej przez nich dla dzieci pracowników zakładu. Zachęcona oglądam zdjęcia, ale właściwie najbardziej interesuje mnie ten młody człowiek, który stoi obok mnie, świetnie ubrany, a na zdjęciach prezentuje się ze swoimi maluchami tylko w slipkach. Przyznaję w duchu, że ma bardzo zgrabne nogi. Jest przystojny, ma ładny uśmiech i miły głos.

* *Convenance Personelle* - rodzaj płatnego urlopu okolicznościowego, 5 dni, które można sobie wybrać w dowolnym terminie w ciągu roku, bez potrzeby uzasadniania.

- To pan robił te zdjęcia? - pytam.
- Tak - odpowiada mi - interesuję się fotografią.

Właściwie znamy się już od kilku lat, ale to taka przelotna znajomość, która nigdy się nie pogłębiła. Driss zajmuje się sekcją sportową w zakładzie, prowadzi pływanie. Kilkanaście razy spotkaliśmy się przy okazji zapisu mojego syna na pływalnię. Potem pożyczyłam mu kasety z polską muzyką. Raz prosił o czasopisma, ale wszystko odbywało się w przelocie i rozmywało się w czasie, zresztą zajęta byłam swoimi problemami, Krzysztofem, nie zwracałam więc na niego specjalnej uwagi. Nie wiedziałam nawet, czy jest żonaty. Za to znałam dobrze jego brata, który udzielał się społecznie przy kościele katolickim, prowadząc różne kółka zainteresowań dla młodzieży, przy czym był praktykującym muzułmaninem. Teraz nadarza się okazja, żeby poznać bliżej tego kolegę z pracy.

- Czy nie zechciałby mi pan pomóc trochę w fotografowaniu?
- Dlaczego nie? - odpowiada. - A o co chodzi?
- Już niedługo opuszczam Algierię, chciałabym zrobić sobie pamiątkowe zdjęcia, niestety nie mam sprzętu.

Zgodził się chętnie. Nie wiem nawet, jak to się stało, że zaprosiłam go do domu. Przyszedł punktualnie, chociaż mieszka bardzo daleko. Przegadaliśmy całe piątkowe popołudnie. Okazało się, że dużo podróżował, ma licznych, rozsianych po świecie przyjaciół, gra świetnie na gitarze, doskonale pływa, jego hobby to fotografika, nie jest żonaty, nie ma dziewczyny i jest tylko trochę młodszy ode mnie. Zauważyłam, że jest bardzo kulturalny i taktowny. Złapałam się na tym, że miałabym ochotę przegadać z nim resztę swojego życia. Chociaż Driss bardzo mi się podoba, przyrzekłam sobie nic angażować się w żadne romanse z Algierczykami i zamierzam wytrwać w tym postanowieniu. Chcę jednak skorzystać z jego pomocy w zrobieniu pamiątkowych zdjęć z Algieru.

Koniec sierpnia - koniec września 1993 roku

Zbliża się termin powrotu Soni. Poprosiłam o dwutygodniowy urlop, ażeby koniec sierpnia i początek września spędzić razem z córką na plaży.

Jadę na lotnisko. Samolot jest opóźniony o cztery godziny. Nareszcie ląduje. Widzę Sonię - jakże zmienioną! Uśmiechnięta twarz, modne krótkie spodnie, rozpuszczone, długie do pasa włosy. Jest obładowana bagażami. Biedna mama! Ile kosztowało ją zdrowia i wysiłku, ażeby kupić i zapakować puszki pasztetów, szynkę, schab, zupy w proszku i tysiące drobiazgów, których brak tak nieraz odczuwam w Algierii.

Aby zaoszczędzić, jedziemy autobusem do centrum miasta. Ale z centrum nie możemy złapać taksówki. Po dwóch godzinach daremnych wysiłków prosimy o pomoc dwóch młodych policjantów, którym też nie udaje się to tak od razu. Ostatecznie cała „operacja" powrotu z lotniska do domu trwa cztery godziny. Czy warto było się tak męczyć dla zaoszczędzenia stu dinarów?

W domu czeka zawiadomienie, że Sonia została przyjęta na studia na KKS. Miał być WKS. został KKS jako drugi wybrany przez córkę kierunek studiów. Tak zadecydował komputer. Będzie studiowała...

Proponuję Soni zaproszenie Salehy D. na dwa tygodnie do naszego domu i do wspólnego spędzenia urlopu. Córka szaleje ze szczęścia.

Jedziemy na Koubę. Najpierw wstępujemy do Saidy, która jak zwykle wita nas bardzo serdecznie. Córki Saidy - Latifa, Medinia i Meriem nie odstępują Soni, a ja nie mogę nagadać się z Saidą. To anioł nie kobieta. Nie możemy się rozstać - ja z Saidą, Sonia z jej córkami.

Rodzina D. przyjmuje nas z wielką radością, ucałowaniom nie ma końca. Pan D., zmieniony nie do poznania, z trudem podnosi się z kanapy. Od wielu miesięcy jest przykuty do łóżka po ciężkim zawale serca, które nie wytrzymało trudów życia. Rodzina boryka się z nędzą, bo na utrzymanie pięciorga dzieci nie starcza zasiłku chorobowego ojca. Saleha, blada jak trup, nie wychodzi z domu, załamana po oblanej maturze. Państwo D. jeszcze nie wiedzą, co sprowadza mnie do ich domu. Myślą, że jest to zwykła kurtuazyjna wizyta. Nie wiem, jak zacząć, znam surowe poglądy pana D. na wychowanie dzieci.

- Chciałabym wziąć Salehę do nas na dwa tygodnie na wakacje - wreszcie udaje mi się to wykrztusić.

Pani D., ogromnie ucieszona, daje mi ostrzegawcze znaki za plecami męża, który w pierwszym momencie rzuca kategoryczne - nie! Ale ja nie daję za wygraną. Rozpoczyna się prawdziwy arabski targ, gdzie jeden drugiego przekrzykuje, wysuwając swoje argumenty. Dobrą godzinę trwa przetarg o Salehę, która zamknęła się z Sonią w pokoiku i obie niecierpliwie czekają na wynik tej batalii. Uff! W końcu pan D. ustępuje, ale... i tu wylicza, co mam robić, ażeby zapewnić fizyczne i moralne (szczególnie to ostatnie) bezpieczeństwo jego córce. Przyrzekam solennie.

- Możesz jechać! - oznajmiam dobrą nowinę, otwierając drzwi do pokoju dziewczyn.

Obie skaczą z radości. Saleha jak szalona pakuje swoje rzeczy. Taksówkarz nie chce jechać do naszej dzielnicy, zostawia nas w centrum Algieru. Mamy więc do pokonania setki schodów. Zziajane, dobijamy w końcu do naszej przystani.

Saleha jest zachwycona położeniem domu, naszym mieszkaniem, ogrodem i wspaniałą palmą w ogrodzie. Stoją z Sonią chyba z godzinę, oglądając roztaczający się przed nimi widok oświetlonego nocą Algieru, morza, statków stojących w porcie. Ten obraz będzie i mnie towarzyszył chyba do końca życia. Dla mnie miejsce to zostanie najpiękniejszym miejscem na Ziemi. Cisza tego starego arabskiego domu, otoczonego zielenią, zagubionego w centrum stolicy, przywraca spokój i siły moim poszarpanym nerwom. Budzące nas o świcie ptaki w ogrodzie, ich śpiew w przejmującej ciszy, skradający się przez okno Mruczek, wszystko to obudziło we mnie ochotę do życia, potrzebę szczęścia, daje mi siłę do przetrwania. To urocze miejsce dodaje mi każdego ranka energii życiowej, napędza mój „układ nośny". Często myślę sobie, że gdyby podobne piekło i kłopoty przyszło mi przeżyć w kraju, gdzie leży wieczny śnieg, nigdy nie widać słońca, a niebo łączy się z horyzontem, skończyłoby się to bardzo tragicznie. Tu, w Algierii, przyroda wspomaga człowieka na każdym kroku i może dlatego, pomimo tak ciężkich warunków życia, mało jest samobójstw, a każdy trudny dzień rozjaśniany jest przez świecące prawie cały rok słońce i przepiękną zieleń.

* * *

Pierwszy dzień urlopu. Umówiłam się z B., że będzie nas zawoził na plażę i przywoził przynajmniej przez tydzień. B. jest kolegą z pracy, sam się zaofiarował. Znamy się od wielu lat, ponieważ moją pierwszą pracę w Algierii zaczynałam w S. razem z nim, w tym samym biurze. Daję mu 1000 dinarów oraz piękny, duży drewniany talerz, który Sonia przywiozła z Polski. Club des Pins jest doprawdy nie tak daleko - około 20 minut jazdy autostradą w jedną stronę. Tymczasem B. już pierwszego dnia wycofuje się ze swoich zobowiązań, stwierdzając, że nie jest naszym szoferem, że nie ma czasu, że dałam mu za mało. A przecież dałam mu sumę, którą zapłaciłabym za taksówki, gdyby były osiągalne. Z trudem udaje mi się „wyciągnąć" od B. trzy dni, które kosztowały mnie więcej zdrowia i pieniędzy niż jazda taksówkami. B. znika, nie proponując nawet zwrotu pieniędzy. W zakładzie pracy udaje, że mnie nie zna.

Club des Pines to jedna z najpiękniejszych plaż w pobliżu Algieru. Łączy się z Moretti oraz Sidi Fredj. Prawdziwy cud natury, jako tako zagospodarowany. Jako tako, ponieważ bardzo mu daleko do jakiegokolwiek europejskiego standardu, np. plaż hiszpańskich. Przede wszystkim, i to nie tylko w Club des Pins, brak jest łatwo dostępnych toalet czy po prostu koszy na śmieci. Plaża ciągnie się kilometrami, a toaleta jest tylko na początku plaży Club des Pines, w centrum handlowym Moretti i w hotelach Sidi Fredj. Kilka budek, w których sprzedaje się kaskruty* i napoje, niezbyt dobrze schłodzone, nie rozwiązuje problemu zaopatrzenia wypoczywających. Na plażę chodzi się więc z własnym jedzeniem i piciem.

* Bagietka, przekładana najczęściej smażonym mielonym mięsem, z listkami sałaty, plasterkami pomidora itp.

Pierwsze trzy dni upływają nam na leżakowaniu i kąpielach morskich. Morze jest wspaniałe, spokojne, bardzo ciepłe. Sonia zapuszcza się niebezpiecznie daleko. Jak ona świetnie pływa! Zauważyłam, że ścigają ją zazdrosne spojrzenia. Saleha nie może jej dorównać, pozostaje więc ze mną. Ja nie wychodzę spod parasola, natomiast Saleha korzysta zachłannie z piekącego słońca i żadne rady do niej nie docierają. Po kilku

dniach ma objawy poparzenia skóry. Natomiast moja skóra, po raz pierwszy w Algierii, nabiera pięknego odcienia i nie łuszczy się. Ale też po raz pierwszy nie wychodziłam spod parasola, a w wodzie widać mi było tylko głowę.

Po zniknięciu kolegi B. moja szefowa wspaniałomyślnie ofiaruje się zawozić nas na plażę i przywozić przez trzy dni. Oddycham z ulgą.

Moje dziewczyny wzbudzają duże zainteresowanie przeważającej na plaży płci brzydkiej. W dni robocze dziewczyn jest tu jak na lekarstwo. Niedaleko nas usadowili się jacyś dwaj młodzi cudzoziemcy. Wysokie, wysportowane sylwetki, jasnoblond włosy. Co chwilę ich spojrzenia biegną w kierunku Soni i Salehy.

- Dalej dziewczyny, ruszcie się! - zachęcam je.
- Gdyby tak mój tata to widział - śmieje się Saleha.

Sonia, bardziej odważna, idzie pływać, ale już bliżej cudzoziemców. Jeden z nich zdecydował się jej towarzyszyć. Zaczyna się prawdziwe widowisko. Chłopak potężnie zbudowany, mający świetnie, jak widać, opanowaną sztukę pływania, w żaden sposób nie może dogonić mknącej jak ryba filigranowej Soni. Nie daje jednak za wygraną, wreszcie gdzieś tam na horyzoncie dopada córkę. Jak widzę, nie myślą o powrocie, w wodzie spędzają chyba z godzinę na konwersacji, zastanawiam się tylko, w jakim języku. Tymczasem drugi młodzieniec postanawia nie być gorszy i podrywa w wodzie Salehę, która zdecydowała się popływać. Teraz ja muszę wkroczyć do akcji. Przywołuję obie dziewczyny i zapraszam pod parasol ich znajomych.

- To moja mama - przedstawia mnie córka.
- Mama? - dziwią się obaj. - Myśleliśmy, że starsza siostra lub kuzynka.

Ten komplement sprawia mi dużą radość. Również dziewczyny twierdzą, że moje „niecałe 60 kilo" świetnie wygląda w modnym stroju kąpielowym, który kupiła mi w Polsce Sonia. Jak się okazuje, obaj panowie są holenderskimi marynarzami, a ich statek ma dwa tygodnie postoju w tutejszym porcie. Zaczyna się rozmowa i to jaka! Sonia i Saleha rozmawiają z Holendrami po angielsku, Holendrzy między sobą po holendersku, Sonia z Salehą po arabsku, ja z obiema dziewczynami po francusku, a z Sonią dodatkowo po polsku! Holendrzy mają jeszcze

przed sobą kilka dni pobytu w Algierze. Umawiamy się z nimi na następny dzień na plaży.

- Mama, a ty? - śmieją się dziewczyny. - Ty nikogo nie poderwałaś - prowokują mnie.
- Ja wam pokażę! - odcinam się.

Dwa dni spędzone na plaży z Holendrami mijają szybko. Obok nas zainstalowała się jakaś rodzina, trochę dalej chłopak z dziewczyną, oboje w wieku około 25 lat. On leży na jej kolanach, ona delikatnie gładzi mu włosy. Ona jest ubrana, on w spodniach, bez koszuli. Nagle szum, podbiega kilku uzbrojonych po zęby żandarmów. Kolbami karabinów wymierzają potężne ciosy chłopakowi, który usiłuje się bronić. Dziewczyna zaczyna płakać. Nie wiemy, o co chodzi. Dopiero po chwili okazuje się, że ojciec wypoczywającej obok rodziny oskarżył tych dwoje młodych o „niemoralne" zachowanie się i stanowczo zażądał interwencji żandarmerii. Jesteśmy oburzeni: Holendrzy, ja, dziewczyny. Co złego zrobiło tych dwoje młodych ludzi? Cóż to za przestępstwo pogładzić włosy ukochanego chłopaka w publicznym miejscu? Chłopak zostaje zabrany przez żandarmów, dziewczyna z płaczem podąża za nimi.

W czwartek mamy zaplanowany wyjazd autokarem zakładowym do Tipazy. A na piątek zaprosiłyśmy do domu Holendrów. Dziewczyny już od rana robią w mieszkaniu generalne porządki. Holendrzy są punktualni. Zachwycają się położeniem naszego mieszkania, oglądamy razem panoramę Algieru. Są zdziwieni i zaskoczeni warunkami, w jakich żyjemy. Inżynier? W takiej nędzy? A ubikacja i łazienka? Nie ma? Nieprawdopodobne!

Biorę krzesło i chcę usiąść przy stole. Nagle czuję, że się zapadam i znikam pod stołem. Akurat w najbardziej nieodpowiednim momencie „puściły" nogi krzesła i po prostu upadłam na ziemię w zwolnionym tempie. Dziewczyny pokładają się ze śmiechu, Holendrzy nie wiedzą, co robić i też się śmieją. Wieczorem dziewczyny postanowiły odprowadzić gości do taksówki. Słyszę je powracające w spazmach śmiechu.

- Co się stało? - pytam.

Dopiero po dłuższej chwili, kiedy zdołały opanować śmiech, dowiaduję się, co się stało. Otóż dziewczyny złapały taksówkę. Jeden z Holendrów otworzył tylne drzwi, chcąc wsiąść a one odpadły od zawiasów i runęły na ulicę. Tego już było dziewczynom za wiele - najpierw spadająca z krzesła mama, a potem odpadające drzwi taksówki!

Mnie jednak wcale nie było wesoło, coś niedobrego działo się ze mną. No i zaczęło się! Co 5 minut potworne wymioty i bóle, gorsze niż porodowe, oraz biegunka. Czuję, że już dłużej nie wytrzymam. Sonia woła na pomoc sąsiadów. Fouzia dzwoni kilkakrotnie po pogotowie. Ale nie ma się co łudzić. Jest godzina policyjna. Któż będzie ryzykował? Orkia znosi mi różne lekarstwa, czopki, parzy ziółka. Wymiotuję strasznie, krzyczę z bólu. Wydaje mi się, że umrę. Dziewczyny są przestraszone. Wreszcie nad ranem zasypiam. O godzinie 7^{00} Soni udaje się złapać taksówkę i jedziemy do szpitala Mustapha. Po godzinie czekania zostaję przyjęta przez lekarza. Diagnoza - zatrucie salmonellą. Antybiotyki, dwa tygodnie ścisłej diety. Gdzie nabawiłam się tego zatrucia? Chyba kupiłam na plaży coś do jedzenia. Widoczny na każdym kroku brak higieny dał o sobie znać. Za lekarstwa płacę 600 dinarów. Ląduję w łóżku, prawie nieprzytomna ze zmęczenia, ale spać nie mogę. Nadal mam wymioty i biegunkę.

Dziewczyny, za moim przyzwoleniem, pojechały na plażę z synem Orkii i jego kolegami. Yamina zbiega, żeby poprosić mnie do telefonu. Kto to może dzwonić? To Driss proponuje mi wspólny wyjazd na plażę. Opowiadam mu, co się stalo. Driss obiecuje przyjść do mnie po południu. A niech tam! - myślę sobie i zapraszam go, czego bardzo później żałuję, bo nadal czuję się podle.

- Jak ty schudłaś! Jak źle wyglądasz! - wita mnie.

Jest wspaniale opalony, w śnieżnobiałej sportowej koszulce, która podkreśla jego sylwetkę i dodaje młodzieńczego uroku temu prawie czterdziestoletniemu mężczyźnie. Wyglądam przy nim jak prawdziwa sierota. Nie przeszkadza mu to jednak i stara się uprzyjemnić mi popołudnie. Jak to miło z jego strony. Zostaje aż do przyjazdu dziewczyn.

Cztery dni urlopu, które mi jeszcze pozostały, spędzam praktycznie w łóżku, a dziewczyny na plaży w towarzystwie syna Orkii i jego znajomych. Nadchodzi piątek. Dwa tygodnie minęło jak jeden dzień. Trzeba odwieźć Salehę, która wcale nie ma ochoty wracać do domu.

- Anno, to były najpiękniejsze wakacje w moim życiu, bardzo ci dziękuję!

No, wyobrażam sobie. Gdyby to widział jej ojciec! Chociaż nie robiłyśmy nic złego, pan D. nigdy nie zaakceptowałby naszego zachowania.

Wracam do pracy. Wszyscy mówią, że schudłam. Umawiamy się z Drissem, że pójdziemy do Jardin d'Essai (doświadczalny ogród botaniczny) robić zdjęcia.

Jesteśmy w centrum Algieru w tym przepięknym ogrodzie, założonym w roku 1832. Swój obecny wygląd zawdzięcza francuskiemu architektowi Regnierowi, który zagospodarował go w 1920 roku. Egzotyczna roślinność została sprowadzona z wielu tropikalnych krajów świata. Spędzamy całe popołudnie w tej nieziemskiej scenerii, fotografując. Driss posiada aparat z teleobiektywem. Niestety, w Algierii nie ma baterii. Przysłonę reguluje ręcznie - na wyczucie. Ciekawa jestem, jaki będzie efekt. Zwiedzamy położone obok ogrodu Muzeum Sztuk Pięknych. Następnie wyciągiem wjeżdżamy na wzgórze, na którym wznosi się zaprojektowany przez naszego rzeźbiarza Mariana Koniecznego pomnik, wkomponowany w centrum handlowe. Pomnik, w kształcie trzech palmowych liści, widoczny jest z każdego miejsca Algieru. Jego nazwa brzmi Riadh El Feth. Całość - centrum handlowe i pomnik - jest dziełem kanadyjskich budowniczych. Zespół nowoczesnych czteropiętrowych pawilonów handlowych, ma kształt okrąglaka. Luksusowe artykuły, wygórowane ceny. Kawiarnie i restauracje na dość wysokim poziomie, ale niestety drogie, niedostępne dla inżyniera na państwowej posadzie.

Spędziliśmy razem cudowne popołudnie, przegadaliśmy tyle godzin. Driss opowiadał mi o swojej rodzinie, pokazał dużo zdjęć. Jego matka nie żyje, ojciec ożenił się ponownie. Wywnioskowałam z tego, co mi powiedział, że ojciec nigdy nie okazywał uczucia ani żonie, ani dzieciom.

Chyba podobnie jak mój teść był despotą i tyranem domowym. Matka obarczona dziećmi, nie miała dla nich czasu. Chłopak, puszczony samopas, robił co chciał, a ponieważ chciał naraz dużo, nie zaszedł daleko. Nie miał kto nim pokierować, nie uzyskał też z domu niezbędnej pomocy finansowej. Boks, pływanie, muzyka - wszechstronne zainteresowania i duże zdolności, które nie zostały wykorzystane. Czy jest on wyjątkiem? Nie. Spotkałam w Algierii bardzo wielu podobnych ludzi. Prawdziwe talenty, ciekawe osobowości, zdane całkowicie na siebie, zagubiły się w tym kraju chaosu gospodarczego i politycznego.

Driss ma 39 lat, nie ma mieszkania ani zbyt dużej perspektywy na otrzymanie go. Zastanawiam się, jak załatwia sprawy męsko-damskie w kraju, gdzie kobieta oddaje się mężczyźnie dopiero po ślubie. Zadaję mu to pytanie.

- Jestem zdany tylko na przygodne okazje, których w tym kraju nie ma za wiele - szczerze odpowiada.

Nic dziwnego. Pomimo że jest przystojnym mężczyzną, ma piękny głos, bogactwo wiadomości i jest elokwentny, to dla Algierki nie jest on atrakcyjny jako kandydat na męża, bo nie ma najważniejszego - życiowej stabilizacji, która mogłaby zapewnić jej poczucie bezpieczeństwa.

* * *

Driss zaprasza mnie do swojego brata. Znam Djabira przelotnie od kilku lat, ponieważ prowadzi z młodzieżą kółka zainteresowań przy kościele katolickim. Ożenił się z nauczycielką, która otrzymała w M. mieszkanie. Mają małą córeczkę. Weekend zapowiada się niezwykle ciekawie. Jedziemy z Drissem autobusem. Sonia wolała zostać w domu.

Wita nas Djabir z żoną Zahią, którą widzę po raz pierwszy. Przyjemna twarz, wysoka, smukła sylwetka. Od razu poczułam sympatię do tej Algierki. W domu jest Mounia - kuzynka Zahii, młoda i bardzo ładna dziewczyna, studentka. Obserwuję Drissa. Nie zwraca na nią żadnej

uwagi. Zahia odesłała swoją córeczkę do mamy, ażeby zająć się gościem, czyli mną. No i zaczyna się. Doprawdy jestem zażenowana, bo bez przerwy jesteśmy zapraszani do stołu, gdzie przygotowano iście królewskie potrawy. Biedna Zahia! Przecież ona pracuje zawodowo! Kiedy zdążyła to wszystko zrobić? Znając algierską kuchnię, w której najdrobniejsza rzecz wymaga przygotowania własnymi rękami, ponieważ nie ma żadnych gotowych półproduktów, podziwiam ją! Przywiozłam jej komplet drewnianych cepeliowskich talerzy. Djabir i Zahia są zachwyceni. Będą pasowały do ich salonu, urządzonego po europejsku.

Patrzę na tych dwóch braci, którzy tak świetnie się rozumieją, a jednocześnie każdy z nich żyje na swój sposób. Djabir jest wierzącym i praktykującym muzułmaninem. Driss - nie wierzy w nic, chyba nawet w miłość. Bracia mają jedną wspólną pasję - muzykę. Po jednym z posiłków Driss daje nam koncert na gitarze. Gra znane utwory klasyczne. Potem gitarę bierze Djabir i to już jest muzyka rozrywkowa i piękny śpiew. Rozmawiamy o różnych sprawach i oglądamy przezrocza z podróży krajowych i zagranicznych Drissa. Portugalia, Hiszpania, Włochy, Francja, Niemcy. Na większości z nich ciekawe ujęcia architektoniczne. Nigdzie jednak nie widzę zdjęcia z dziewczyną.

Jest już grubo po północy, widzę zmęczenie na twarzy Zahii. Pora iść spać, a nam tak przyjemnie razem! Zostaję wygodnie ułożona w pokoju razem z Mounią. Nie mogę zasnąć. Przypomina mi się dyskusja, jaką prowadziliśmy przed chwilą. Zadałam Mouni pytanie, jaki jest ideał jej przyszłego życiowego partnera. Otóż w kolejności musi być bogaty, dużo starszy od niej, dobry.

- Po co ci aż tak bogaty? - pytam.
- Bo chcę podróżować oraz ładnie się ubierać. Kocham ciuchy! - odpowiada bez żenady dziewczyna.

Dyskretnie obserwuję Drissa, który uśmiecha się trochę ironicznie na te wywody. Ale Mounia jest szalenie sympatyczna i niezwykle szczera w swoich wypowiedziach. Zresztą te poglądy powtarzają się u prawie wszystkich moich znajomych, niezamężnych Algierek. Po to jest mężczyzna, ażeby zapewnił dobrobyt kobiecie.

- Popatrz - mówi któregoś dnia Anissa. - Moja najlepsza koleżanka wyszła za mąż za ginekologa. Pięknie umeblowana willa, samochód, forsy w bród! A ona codziennie świetnie ubrana, umalowana, jedzie albo do kosmetyczki, albo do koleżanek na kawkę lub do rodziców. To jest mężczyzna! A nie jakiś urzędnik na państwowej posadzie, z którym miałabym dorabiać się od łyżki, wozić dzieci po przedszkolach i żłobkach!

- No dobrze - mówię do Anissy - a gdzie w tym wszystkim miejsce na uczucie?

Dziewczyna śmieje się.

- Uczucie? O jakim ty uczuciu mówisz, kiedy kobieta wraca zmęczona po pracy, dom i dzieci na jej głowie, a twój wybrany nie wie, jak dociągnąć z finansami do pierwszego? Uczucie przychodzi wtedy, gdy jest piękna oprawa w postaci luksusowych warunków życia, kiedy kobieta jest chroniona przez mężczyznę jak rzadki, delikatny kwiat.

I nie są to tylko słowa. Anissa poparła je czynami. Zerwała zaręczyny z kolegą z pracy. Urzędnik na państwowej posadzie to nie dla niej. Teraz czeka na tego jedynego, który pozwoli jej przestać pracować, zapewni luksus i dostatnie życie.

- Gdzie go znajdziesz? - pytam. - Przecież jesteś otoczona tylko takimi urzędnikami, którzy żyją od pensji do pensji.

- A, moja droga - odpowiada mi Anissa - o to już niech się martwi moja rodzina i znajomi. Czy myślisz, że taka partia jak ten ginekolog, który trafił się mojej przyjaciółce - spada z nieba? Czy myślisz, że takie znajomości zawierane są w pracy lub na ulicy? Nigdy! Oni zostali sobie przedstawieni przez znające się ich rodziny! Pamiętaj, Anno - poucza mnie Anissa - nigdy w naszym kraju nie znajdziesz sobie dobrej partii, jeżeli nie pomoże ci rodzina. To znaczy, jeżeli pochodzisz z odpowiedniego, dobrze sytuowanego, liczącego się środowiska, musisz poznać kogoś z tej sfery właśnie poprzez kontakty rodziny i znajomych. Trzeba bywać na przyjęciach urodzinowych, ślubach, spotkaniach noworocznych. Inaczej popełnisz mezalians, tak jak ja to chciałam zrobić, i do końca życia będziesz klepać biedę od pierwszego do pierwszego. Ci urzędnicy na państwowych posadach niech żenią się z urzędniczkami - sfera ze sferą. Ty nie masz szans na poznanie w Algierii stosownego

dla ciebie faceta! Jesteś inteligentna i zaradna życiowo, powinnaś mieć faceta z klasą i z forsą, a gdzie ty go znajdziesz, skoro nie masz nikogo dobrze ustawionego w odpowiedniej sferze, a obracasz się tylko wśród drobnych urzędników pochodzących z biednych rodzin?

Przyznaję dużo racji Anissie. Bo cokolwiek by powiedzieć, ja także w skrytości ducha marzę o mężczyźnie, który zapewniłby mnie i rodzinie całkowite bezpieczeństwo, w miarę dostatnie życie, który odciążyłby mnie od tej codziennej walki o byt. Czy może to zrobić ktoś taki jak Driss, pozbawiony zupełnie życiowych perspektyw? Z Drissem można ewentualnie przeżyć coś pięknego duchowo, pozostaną jednak dalej nie rozwiązane te przyziemne sprawy życiowe, jak powiedziałaby Anissa. Ale czy to jego wina, że pochodzi z biednej i wielodzietnej rodziny i nie miał nikogo, kto pomógłby mu wydźwignąć się ponad przeciętność? Zastanawiam się jednak, czy tak dobrze jak z tym mężczyzną, czułabym się z ginekologiem, ustawionym już świetnie w życiu. Mimo wszystko targają mną sprzeczne uczucia.

Po tych nocnych rozmyślaniach budzę się późnym rankiem. W salonie czeka na mnie cała rodzina i gorąca, kawa z mlekiem.

- No i jak się spało? - pytają mnie wszyscy bardzo serdecznie.
- Świetnie - odpowiadam, bo jestem naprawdę wypoczęta.

Po śniadaniu bracia biorą gitarę, a potem siadają do pianina. Djabir, samouk, świetnie sobie radzi z tym instrumentem. Ma niezwykły talent muzyczny i aktorski, który nigdy nie mógł się odpowiednio rozwinąć, sztuka bowiem jest ostatnią dziedziną życia, na którą się w Algierii stawia. Jest bardzo mało szkół artystycznych, a te istniejące prezentują niski poziom. Talenty rodzą się i umierają naturalną koleją rzeczy.

Po wspaniałym obiedzie, przygotowanym przez Zahię i jej kuzynkę, na deser dostajemy doskonałe ciastka i lody własnej roboty z orzechami. Potem, jak zwykle, kawa i trzeba się szykować do odjazdu. Wychodzę obładowana kuskusem i smakołykami domowej roboty. W Algierze żegnam się z Drissem i wracam do domu. Nic, żadnego gestu ani cieplejszego słowa z jego ust, a przecież spędziliśmy razem dwa dni i naprawdę

świetnie czuliśmy się w swoim towarzystwie. Na drugi dzień w pracy Driss udaje, że mnie nie widzi. Ale do takiego zachowania zdążyłam się już przyzwyczaić.

Wydarzenia polityczne w Algierii, sprawa alimentów dla dzieci, Wielkanoc

Październik 1993 roku

W Algierii trwa terror i anarchia. 21 września uprowadzono dwóch młodych francuskich geometrów. Znaleziono ich w Sidi Bel Abbes martwych, z poderżniętymi gardłami. Potem zamordowano dwóch rosyjskich oficerów, a następnie trzech pracowników firmy włoskiej - Filipińczyka, Kolumbijczyka i Peruwiańczyka.

17 października zamordowano Mustaphę Abadę, byłego dyrektora algierskiej telewizji. Zastrzelono go w biały dzień, o godz. 12^{30} na Alger Plage. Jaką logiką kierują się terroryści? - pytają algierskie gazety.

Trzy dni później przyszła kolej na młodego, 31-letniego dziennikarza telewizji algierskiej - Smaila Yefsaha. Wychodził z domu do pracy, była godzina 8^{30}, kiedy czterej osobnicy dopadli go na schodach domu, wbijając mu nóż w plecy. Dziennikarz mimo wszystko próbował uciec. Wtedy oddano do niego strzały. Zginął na miejscu. Przystojny, inteligentny mężczyzna, dopiero co się ożenił, dostał mieszkanie.

Kto zatrzyma tę masakrę?! - to rozdzierające tytuły algierskich gazet. Policjanci, żandarmi, lekarze, wykładowcy uniwersytetów, naukowcy, handlarze, zwykli obywatele - lista jest długa i wydłuża się każdego dnia.

Sześć dni później trzech pracowników ambasady francuskiej zostaje uprowadzonych sprzed swoich domów w momencie udawania się do pracy. W Algierii panika: jeżeli Francuzi nie się znajdą, wszystko to może bardzo źle się skończyć dla Algierii, dla której Francja jest głównym partnerem politycznym i gospodarczym. We Francji żyje ogromna liczba emigrantów algierskich, których dalszy pobyt w tym kraju byłby zagrożony w wypadku niekorzystnego obrotu sprawy.

Całe centrum Algieru zostaje otoczone przez siły porządkowe. Wszystkie drogi w naszej dzielnicy zastawione są przez wojskowe samochody z uzbrojonymi żandarmami. Ulice są puste. Po pracy wracam do domu. Idę niepewnie, ale jakoś nikt mnie nie zatrzymuje, chociaż ścigają mnie oczy stróżów porządku. Dochodzę bez przeszkód, jednak z duszą na ramieniu. Sonia informuje mnie, że była sama w domu, kiedy zapukali do niej uzbrojeni żandarmi. Grzecznie, ale stanowczo zaglądali w każdy kąt naszego mieszkania. Przeszukali również wszystkie domy w dzielnicy. Nie wiem, kogo (czego) szukali.

Tymczasem w Algierii pakują się rodziny francuskie, zamykane są zagraniczne firmy, ich pracownicy decydują się na powrót do swoich krajów. Wśród cudzoziemców narasta niepokój.

4 listopada 1993 roku

„Wielka ofensywa!" - krzyczą tytuły algierskich gazet.

O trzeciej nad ranem otoczono i zablokowano popularne dzielnice Algieru: Oued Ouchaïeh, Léveiliey, La Glacière, Badjarah. Operacja wyszła poza Algier, aż do l'Arbaâ i okolic. Ogromne wysiłki sil porządkowych przyniosły rezultat - trzej dyplomaci francuscy zostali uwolnieni. Zmuszono ich jednak do przekazania ultimatum: „Wszyscy cudzoziemcy mieszkający w Algierii mają do dyspozycji miesiąc na opuszczenie kraju. Jeżeli nie - ryzykują życiem".

6 listopada - 6 grudnia 1993 roku

U mnie w pracy rozdzwonił się telefon. Koleżanki Polki, żony Algierczyków, są w rozterce. Wracać do Polski? Żyć dalej w Algierii? Tymczasem Francja przekazuje wyraźne instrukcje swoim obywatelom żyjącym w Algierii (a jest ich około 70 000) - bez paniki, nie dać się zastraszyć, będziemy was wspomagać, macie prawo do życia w tym kraju!

Centrum Kultury Francuskiej wciąż funkcjonuje, wszyscy profesorowie są na miejscu, nie wyjechali i nie mają na razie zamiaru wyjechać. Nadal mamy lekcje języka francuskiego, które kończymy o 20^{00}. Wracamy z Sonią wieczorem do domu, na ulicach nie ma prawie nikogo, nie mówiąc już o kobietach. Dobrze, że często ktoś z kursu

podwozi nas pod dom, inaczej nie bardzo wyobrażałabym sobie nasz powrót. O taksówce o tej godzinie, 20^{30}, trudno marzyć! Dzień już dawno się skończył, życie na ulicach zamarło.

W nocy często towarzyszą nam odgłosy strzelaniny, normalny dzień to wycie syren policyjnych radiowozów, które słychać wielokrotnie w ciągu dnia w moim biurze.

2 grudnia 1993 zabito sędziego sądu w Algierze, lat 46, ojca czworga dzieci. Terroryści wprowadzają w czyn swoje pogróżki. 6 grudnia na targu w Diar El Afia w Algierze zostaje zastrzelona Rosjanka, żona Algierczyka, matka trojga dzieci. Włoch postrzelony w Birkhadem ciągle przebywa w szpitalu wojskowym w Ain Naâdja. Bilans - od 21 września 1993 r, do 6 grudnia 1993 r, zginęło w Algierii 9 cudzoziemców.

A oto typowy obrazek z życia stolicy: W Bab El Oued - jednej z najbardziej popularnych dzielnic Algieru biuro algierskich linii lotniczych stało się obiektem zamachu terrorystycznego w biały dzień. Jednak w jakiś sposób zdołano zawiadomić najbliższy komisariat. Kilka wozów policyjnych ruszyło we wskazanym kierunku. Rozpoczęła się ostra strzelanina pomiędzy policjantami a terrorystami. Sprzedawcy w popłochu zaczęli zamykać swoje sklepiki, zsuwając metalowe żaluzje. Przypadkowi piesi zaczęli biec w różnych kierunkach, wszędzie słychać było krzyki paniki i strachu. Korzystając z zamieszania terroryści spokojnie przemaszerowali na piechotę dwie ulice, by następnie wsiąść do czekającego na nich samochodu.

Cztery tysiące francuskich rodzin zdecydowało się na definitywne opuszczenie Algierii. Kilka Polek, żon Algierczyków, również opuszcza Algierię. Wyjeżdżają razem z mężami. Jedynie M. pojechała z synem. Małżeństwo nie układało się, nadarzył się więc pretekst. Mąż się chyba nawet ucieszył z takiego obrotu sprawy, pozostał mu ładnie umeblowany domek, urządzany przez wiele lat rękami M. Nic ze sobą nie zabrała, bo nic tu nie było jej. Co z tego, że zwoziła wszystko z Polski, ale przecież kupiła to za jego (!) pieniądze, nie ma więc do niczego prawa. M., z jedną walizką, już po czterdziestce, musi zaczynać w Polsce życie od zera.

Tymczasem, jak gdyby nigdy nic, ja dalej chodzę na kurs języka francuskiego, robię zakupy na targu, gdzie z daleka widać moje jasne

włosy i umawiam się z Drissem po pracy. Spacerujemy po ulicach Algieru tak, jak gdyby nic się nie działo. Sonia przez cztery dni w tygodniu przebywa w akademiku na El Alia, koło swojego uniwersytetu. Udało mi się załatwić dla niej akademik. Przyznaję, że w Polsce „taki numer by nie przeszedł". Mieszkać w tym samym mieście co uczelnia i dostać akademik! Był to pomysł Soni, która stwierdziła, że nie poradzi sobie z dojazdami na uczelnię i nauką. Rzeczywiście fizycznie jest bardzo słaba, a trzeba mieć zaiste końskie zdrowie, żeby dojeżdżać na drugi koniec miasta korzystając z tutejszych środków komunikacji.

Na początku roku akademickiego wybrałam się z odpowiednio przygotowanym pismem i stosownymi załącznikami do kierownika osiedla studenckiego na El Alia. Młody człowiek przeczytał podanie, przejrzał załączniki. Rozwiedziona. W pewnym momencie wyrzucona na ulicę wraz z dziećmi przez algierską rodzinę. Bez mieszkania. Dyskretnie nie pytał, gdzie teraz mieszkam. Złapał telefon: Załatwić natychmiast! I za pół godziny Sonia odbiera klucze do pokoju w akademiku. Osiedle jest ładne, kompleks niewysokich nowoczesnych budynków, otoczonych zielenią. Przewodniczący osiedla prowadzi nas do właściwego bloku. Dwuosobowy pokój znajduje się na pierwszym piętrze. We wspólnym korytarzu są cztery pokoje, łazienka i ubikacja. Zaglądamy wszędzie. Brudno. Popsute urządzenia. Cieplej wody nie ma nigdy. Kuchniami akademik nie dysponuje. Pozostaje jedynie stołówka studencka z wyżywieniem gorzej niż marnym. Dobrze, że dwa razy w tygodniu, ze względu na kurs języka francuskiego, Sonia przyjeżdża do domu. Myje się, pierze ubranie i obładowana jedzeniem wraca do swojego akademika. Musiałam jej kupić maszynkę do gotowania i grzejnik, bo w pokoju temperatura 10°C. Kupiłyśmy firanki, Sonia wyszorowała cały pokój, oblepiła przywiezionymi z Polski plakatami, udekorowała. Potem dostała współlokatorkę, biedną, zahukaną dziewczynę z algierskiej wsi. Za akademik za cały rok zapłaciłam 460 dinarów. Każdy posiłek w stołówce kosztuje jednego dinara, czyli symbolicznie. Jak widać, studia całkowicie finansowane są przez państwo. Każdy student otrzymuje stypendium w wysokości 800 dinarów miesięcznie. Pomimo, że uczelnia żąda zaświadczenia o zarobkach, to i tak nikt ich nie sprawdza i wszyscy

studenci mają „po równo", czyli 800 dinarów miesięcznie. W teorii. W praktyce do tej pory żadnego stypendium Sonia nie dostała.

Ogromnie wiele spraw rozwiązał ten akademik Soni. Mogę zabrać się pełną parą do pisania mojej książki. Wykorzystuję na to każdy moment. Nie dosypiam. Nie jem normalnie, nie mam czasu na przygotowywanie posiłków. No i dysponuję wolnym mieszkaniem. Wie o tym Driss, odczuwam, że ma dosyć spacerowania ze mną po ulicach. Postanawiam zaprosić go do siebie, chociaż teraz wydaje mi się to trochę ryzykowne, ponieważ niepostrzeżenie przekroczyliśmy granice koleżeństwa. Któregoś dnia przyszedł do biura, usiadł naprzeciwko mnie i nasze spojrzenia skrzyżowały się. Driss po raz pierwszy się zmieszał, a mnie zrobiło się jakoś dziwnie. Rozmowa nie kleiła się i Driss wyszedł. Potem wszystko wróciło do normy, ale spojrzenie pozostało.

- Drissie, zapraszam cię dzisiaj na kolację. Mam znakomitą polską potrawę. Co ty na to? - proponuję po kilku dniach.

- Dziękuję, z przyjemnością przyjdę - odpowiada z widocznym zadowoleniem.

Czuję się trochę nieswojo, sądziłam, że jednak nie przyjmie zaproszenia. Po pracy, każde osobno (nikt nie może nas widzieć razem) zjawiamy się w moim mieszkaniu. Po kolacji, którą Driss jest zachwycony, zaczynamy nasze nie kończące się dyskusje. Znowu łapię się na tym, że tego pięknego głosu mogłabym słuchać do końca życia. Zaczynam się jednak martwić. Zbliża się godzina 22^{00}, o godz. 22^{30} zaczyna się godzina policyjna. Wymownie patrzę na zegarek i na Drissa, dając mu do zrozumienia, że ma się wynosić. Udaje, że nie widzi, chyba już przed przyjściem podjął decyzję. Czas biegnie nieubłaganie szybko, a ja nie wiem, co robić. Widzę, że nie ma najmniejszego zamiaru wynieść się i udaje, że nie widzi moich coraz bardziej niecierpliwych spojrzeń na zegarek. Jakiego użyć fortelu, ażeby wyciągnąć go z domu? - myślę.

- Drissie, nie miałbyś ochoty zobaczyć pięknej stolicy nocą? - pytam.

- Ależ oczywiście!

- To chodź na taras, zobaczymy Algier z trochę wyższego poziomu - dodaję już na zewnątrz, idąc w kierunku górnego wyjścia.

Driss podąża za mną. Przed nami przepięknie oświetlona panorama Algieru. Stoimy oboje zauroczeni. Nagle widzę zbliżającą się w naszym kierunku taksówkę.

- O. pusta! - cieszę się, podnosząc rękę do góry.

Taksówka staje, a Driss, bez możliwości odwrotu, z ociąganiem się wsiada. Tak oto kończy się coś, co mogłoby być początkiem nowego, pięknego przeżycia. Dosyć mam jednak znajomości bez sensu i pogubionych uczuć. Wybieram samotność.

7-16 grudnia 1993 roku

Guermir Mohamed, jeden z terrorystów odpowiedzialnych za uprowadzenie trzech pracowników ambasady francuskiej, został zabity w Algierze. Przewodniczący sądu w Oranie, Mohamed Rouaz i trzech innych obywateli tego kraju zostało zamordowanych.

Pierwsza strona „Liberté" z dnia 9 grudnia 1993 r, w czarnym kolorze, na którym białymi literami wydrukowano: „Tragiczny koniec tygodnia". Zaiste, tragiczny. W Sidi Moussa, niedaleko Algieru -prawdziwa masakra. Z powodu braku na rynku algierskim semuliny, podstawowego produktu do wyrobu kuskusu, od rana w tym dniu ustawiła się duża kolejka ludzi przed hurtownią L'ERIAD. która podobno miała sprzedawać semulinę. W momencie otwarcia hurtowni zrobił się w kolejce bałagan. Wracający z nocnego patrolu radiowóz policyjny zatrzymał się, aby zrobić porządek w kolejce. Nie wiedzieli, że z grupą ludzi wymieszani byli uzbrojeni terroryści, którzy otworzyli ogień do zaskoczonych policjantów. Ośmiu zginęło na miejscu, tylko jednemu udało się ujść z życiem, ale ciężko ranny przebywa w szpitalu. W tej samej gazecie czytamy: „W Oued Fodha odbywało się spotkanie w domu pielęgniarki. Uczestniczyło w nim dziewięć osób i gospodyni. Nagle do mieszkania wtargnęło czterech uzbrojonych osobników, którzy bez żadnych skrupułów otworzyli ogień do zebranych. Osiem osób zginęło na miejscu (w tym dyrektor szpitala w Chief i dentysta-chirurg), dwie osoby ciężko ranne odtransportowano do szpitala".

Znowu zabito dwóch cudzoziemców: obywatela angielskiego, lat 41 oraz Francuza rencistę, lat 67. Kraje zachodnie oficjalnie wyrażają swoją troskę oraz niepokój związany z sytuacją ich obywateli w Algierii.

„Liberté" z dnia 11 grudnia 1993 donosi o masowym opuszczaniu Algierii przez cudzoziemców. Samoloty do Europy, a szczególnie do Francji mają komplety pasażerów do 10 stycznia 1994. Po masowym wyjeździe Rosjan kolej na Amerykanów. Francuzi kontynuują swój plan pozostania w Algierii, pomimo, że kilka tysięcy opuściło już Algierię, udając się do swojej ojczyzny.

Ale najgorsze miało dopiero nadejść. 16 grudnia wszystkie gazety donosiły o prawdziwej masakrze. Dwunastu jugosłowiańskich pracowników zatrudnionych na kontrakcie w Tamezguida zostało zamordowanych w bestialski sposób. Tamezguida znajduje się 10 km od Médéi. Około pięćdziesięciu uzbrojonych w karabiny osobników wdarło się do bazy. Pracownikom jugosłowiańskim w barbarzyński sposób poderżnięto gardła. Błyskawiczne poszukiwanie sprawców tej masakry nie dało żadnych rezultatów, pomimo że w poszukiwaniach uczestniczyło około 20 000 wojskowych i żandarmów.

15 stycznia 1994 roku

Moje urodziny. I szesnasty rok w Algierii. Jak ten czas leci! Przygotowuję w domu sernik z galaretką, ze smażoną skórką pomarańczową, przekładany chałwą turecką. O drugiej w biurze zjawia się Anissa i Nassiba oraz Kamil i Fadi ze swoją sympatią. Wszyscy są zachwyceni sernikiem. Tego typu ciasta są w Algierii nie znane. Przyniosłam kawę w dwóch termosach oraz filiżanki. Pijemy kawę, jemy sernik, rozmawiamy. Lubię tych młodych ludzi i dobrze się wśród nich czuję. Niestety, o żadnym, nawet najdrobniejszym upominku nie pomyśleli, nie mówiąc już o symbolicznych kwiatach. Nie zadzwonił także Driss. Taki mały gest, a jakże boli, gdy go nie ma.

16 stycznia 1994 roku

Wszystkie gazety donoszą o zastrzeleniu w biały dzień, w centrum Algieru, 45-pięcioletniej Francuzki, żony Algierczyka, matki trojga

dzieci, pracownicy konsulatu francuskiego. Dostała dwie kule w głowę. Cudzoziemcom zaczyna robić się gorąco, terroryści dotrzymują słowa, strzela się do nas jak do kaczek. Po południu idę na kurs języka francuskiego. W CCF pełno żandarmów, drzwi wejściowe zamknięte. Do odwołania! - krzyczy dozorca. Do kiedy - nie wiadomo. Znowu gazety donoszą o masowych wyjazdach Francuzów z Algierii.

18 stycznia 1994 roku

We wtorek CCF jest otwarte, ale nie ma naszej profesorki. Również nauczyciele francuscy wyjeżdżają. Wali się mój plan pozostania w Algierii jeszcze przez kilka miesięcy. Ukończenie przeze mnie i Sonię kursu języka francuskiego w CCF pozostaje pod znakiem zapytania. Odwołuję przyjęcie urodzinowe, zapowiedziane na czwartek. Boję się, że nie dam sobie rady z opłaceniem wszystkich wydatków związanych z moim wyjazdem do Polski. Bilety, bagaż dodatkowy (chyba około 200 kg samych książek). Skąd na to wszystko brać? Zarabiam nadal 10 000 dinarów netto miesięcznie, a już w pierwszym tygodniu stycznia wydalam 8700 dinarów - 1000 na żywność (mięso, mleko, chleb, warzywa, owoce, miód, kawa), 2000 na czynsz za mieszkanie, 300 na opłatę za skrzynkę pocztową, i 5400 za kurs języka francuskiego. Znowu nie starczy mi na jedzenie i będę musiała pożyczyć pieniądze, które trzeba oddać w następnym miesiącu i tak w kółko. Ciągle mi brakuje na najpotrzebniejsze rzeczy, nie mówiąc już o ubraniu czy poważniejszej inwestycji. Od tego miesiąca Sonia musi zaprzestać nauki języka polskiego. Nie mam z czego płacić. Trzeba oszczędzać na bilety i opłatę za przewóz bagażu. Znowu powracają mi nocne lęki. Budzę się przerażona, z wrażeniem, że moje serce zatrzymało się. Jestem spocona jak mysz. To stres i ogromne, ponad siły, obciążenie psychiczne.

Koniec stycznia - luty 1994 roku

26 stycznia ustąpił z życia politycznego Algierii HCE, kilka dni później wybrano prezydenta, został nim Liamine Zeroual, wojskowy, minister obrony narodowej. Partia FIS nie była obecna na posiedzeniu rządu. Czy zmieni się coś w Algierii?

W stolicy pełno było żandarmerii, ponieważ na uniwersytecie trwały burzliwe rozruchy. Równocześnie w Tizi Ouzou i Béjaia tysiące ludzi manifestowało domagając się wprowadzenia nauczania języka *amazight* i swobody rozwoju kultury berberyjskiej. W konsulacie francuskim ogromnie zaostrzono warunki wydawania wiz. W CCF zainstalowano przy wejściu specjalne urządzenie stosowane na lotniskach - dzwoni, jeżeli przechodzący ma przy sobie coś z metalu. Nasze torby są dokładnie kontrolowane W pracy już od wielu miesięcy trzeba pokazywać całą zawartość torebki czy teczki. *Quo vadis,* Algierio?

* * *

Dostałam list od mamy. Bardzo za nami tęskni i martwi się o nas w związku z sytuacją polityczną w Algierii. Żal mi mamy, żal mi mojego syna, który już trzeci rok przebywa tylko z babcią. Jakże brakuje mu rodziców! Życie nigdy nie rozpieszczało tego chłopca. Przez pierwsze dwa lata pobytu w Polsce żył z babcią w biedzie. Mama utrzymywała się z niewielkiej emerytury z trudem wystarczającej na jedną osobę, a tu doszedł jeszcze Riad, rosnący jak na drożdżach, potrzebujący wszystkiego. Mama nie mogła związać końca z końcem, a moja pomoc była minimalna. Dopiero niedawno zaczęła dostawać zasiłek z Wydziału Oświaty z racji stworzenia chłopcu rodziny zastępczej i ich sytuacja materialna nieco się poprawiła. Gdybym to ja wiedziała wcześniej o takiej możliwości!

Dla zasady postanawiam sprawdzić, czy istnieje możliwość transferu do Polski zasądzonych alimentów, choć wiem na pewno, że nie istnieje. Odbywam długą wędrówkę po wszystkich centralnych bankach stolicy, zajmujących się współpracą z zagranicą. Wszędzie przeprowadzam tę samą rozmowę, w której celowo rozmijam się z prawdą.

- Jestem Polką rozwiedzioną z obywatelem waszego kraju. Mój były mąż pragnie przysyłać do Polski zasądzone przez wasz sąd alimenty, ponieważ nasz małoletni syn mieszka teraz w Polsce u dziadków. Ale mój były mąż twierdzi, że żaden bank nie wyraża zgody na transfer dinarów do Polski. Czy to prawda?

- Oczywiście, proszę pani, nie ma możliwości transferu za granicę algierskich dinarów z tytułu zasądzonych wyroków sądowych.
- Czy mógłby mi pan dać to na piśmie?
- Niestety, nie.
- A dlaczego?

I w tym momencie dawano mi do zrozumienia, że jestem niemile widzianym petentem, z którym nikt nie ma zamiaru więcej dyskutować.

Tylko w jednym banku poradzono mi, żebym udała się z tą sprawą do Naczelnej Dyrekcji Banków zajmujących się współpracą z zagranicą. Oczywiście z rady skorzystałam. Do samego dyrektora naczelnego nie zostałam dopuszczona, ale bardzo miła pani sekretarka kazała mi złożyć pismo, które miałam przygotowane, i wysłuchała mojej bajki o tym, jak to wspaniały ojciec pragnie wysyłać dla swojego ukochanego syna alimenty, a ponieważ algierski dinar jest niewymienialny, chciałby dokonywać jego transferu przez bank. Niestety, żaden bank nie chce przetransferować do Polski tych nieszczęsnych 500 dinarów, a tam biedne dziecko żyje w strasznej nędzy i czeka na każdy grosik od swego ukochanego tatusia. Byłam bardzo przekonująca w swojej wymowie, prawie tragiczna. Czułam, że dziewczyna „połknęła haczyk". Niemniej jednak nie liczyłam na jakiekolwiek pozytywne załatwienie mojego podania i o całej sprawie szybko zapomniałam.

* * *

Algieria ma nowego prezydenta, a w kraju dalej szerzy się terroryzm i anarchia. W dniu 1 lutego 1994 dokonano zamachu na dwóch dziennikarzy - Francuza i Australijczyka, kręcących film na Casbah. Francuz zmarł, Australijczyk walczy w szpitalu ze śmiercią. W CCF nastroje nie najlepsze. Nasz profesor wyjechał, liczbę grup studentów zredukowano do minimum, nie ma zapisów dla nowych słuchaczy, jedynie ci, co byli od początku na kursie, mają prawo kontynuować. Zamiast jednego tygodnia mamy trzy tygodnie wakacji, bo CCF czeka na decyzję z Francji,

czy ma być definitywnie zamknięte, czy nie. Jeżeli zostanie zamknięte - diabli wzięli cztery lata mojej nauki! Nie będzie egzaminu i nie otrzymam dyplomu Aliance Française. Wszystko się wali.

Sonia jest przeciążona nauką i wyczerpana fizycznie. W szkole podstawowej i w liceum lekcje były prowadzone w języku arabskim. Na studiach uczy się tylko w języku francuskim, który jest dla niej tak samo obcy jak dla mnie. Za kilka miesięcy być może będzie musiała podjąć w Polsce naukę w języku polskim.

Wracać, wracać... Gdybym tylko miała pieniądze... Słyszę to dosyć często od Polek, które nie mogą zaaklimatyzować się w Algierii. Nie bez znaczenia jest sytuacja polityczna w ostatnim okresie. Co je tu trzyma? Na pewno miłość do mężów i znośne warunki życia, które im zapewniono. Nie pracują. Mogą sobie pozwolić na coroczny wyjazd do kraju. Tak było do tej pory. W chwili obecnej z mojego najbliższego otoczenia pozostały tylko trzy osoby, reszta wyjechała do Polski na stałe lub na pewien czas - w celu przeczekania niekorzystnej sytuacji politycznej w Algierii. Czy wrócą? Nie wiadomo. Życie staje się nieznośne. Boję się robić zakupy na targu. W ciągu dwóch ostatnich tygodni w każdy piątek rano przychodził do nas Tarik, kolega Soni, brał kosz i szedł na targ, aby kupić mi przede wszystkim ryby i mięso, ponieważ nie ma w pobliżu żadnego sklepu z tymi produktami. Resztę kupowałam w pobliskich sklepikach znacznie drożej niż na targu, ale nie miałam wyboru. W ten piątek Tarik nie przyszedł. Nie mam porządnego mięsa i ryb ani sardynek dla Mruczka. Z domu wychodzę jedynie do pracy i do CCF. Kłopot z tym, że na pewnym odcinku muszę chodzić krętymi schodami, prawie zawsze pustymi, wciśniętymi pomiędzy domy. Boję się, że któregoś dnia mogę zostać napadnięta w ciemnym zaułku i nie pozostanie po mnie żaden ślad.

- Anno - dzwoni Magda z ambasady - zmieniaj drogę do pracy, noś chustkę na głowę, przefarbuj włosy na ciemny kolor, ubieraj się w byle jakie łachy, bo inaczej ryzykujesz życiem! Nie wychodź nigdzie, tylko do pracy!

Dobre sobie! Właśnie teraz mam do załatwienia dużo spraw związanych z wyjazdem do Polski. Kto to za mnie zrobi?

Pakuję do trzech toreb różne drobiazgi i bibeloty - obrazy, sztuczne kwiaty przywiezione z Hiszpanii, świeczniki, wyroby z Cepelii. Wsiadam do przewozu pracowników i jadę z moimi torbami do Marii. Może w sklepiku jej koleżanki uda się coś sprzedać? Jest już szaro. Mam do przejścia kawał drogi, zupełne bezdroża, dzikie pola. Idę z duszą na ramieniu. Jakoś dochodzę do domu Marii. Rozpakowujemy przywiezione przeze mnie rzeczy.

- Ładne - mówi Maria - ale wątpię, czy Halina ci to sprzeda. Arabki kupują tylko złoto lub ciuchy, nie zawracają sobie głowy drobiazgami upiększającymi dom.

Zostaję u Marii na noc. Wieczorem przy kolacji znowu dyskusja.

- Wiesz - mówi Maria - my chyba też zjedziemy do Polski na stałe. Szukam kupca na nasz dom. Popatrz, ile myśmy pracy i pieniędzy w niego włożyli! Teraz trzeba wszystko zostawić i uciekać, bo robi się coraz gorzej. Czy pomyślałaś kiedyś, że dojdzie do takiej sytuacji? Że przez politykę trzeba będzie wszystko zostawić i wynosić się?

Mąż Marii nic nie mówi, ma niewyraźną minę. Stracił pracę. Kazano mu się zwolnić. Nowy dyrektor przyprowadził swoich ludzi, dla niego już nie ma miejsca. Siedzi całymi dniami w domu i ogląda telewizję. Doktor elektronik, bezsilny wobec sytuacji w swoim kraju. Do kogo się odwoła? Do związków zawodowych, które nie istnieją? Do sądu?

Rano wracam autobusem do Algieru. Trzęsę się z zimna, kaszlę, mam katar. W domu zjawiam się w południe - chora i zmęczona. Nie ma wody. Cały następny dzień również, a jest to pierwszy dzień ramadanu. Mam 39,5°C gorączki, zimno mi jak diabli. Nigdzie nie dostałam ani mąki, ani oleju. Gdzie jest olej? - pytają wszystkie algierskie gazety. Fabryki wyrabiają 120% normy, gdzie jest ten nieszczęsny olej? No właśnie - gdzie? Pochowany chyba w magazynach spekulantów, czekających na sprzyjającą koniunkturę, by rzucić go na rynek po podwójnej cenie. Przeważnie tylko takimi sposobami można zrobić w tym kraju pieniądze.

Dzwoni Dorota. Szuka dewiz. Zdecydowała się powrócić na stałe do Polski. To właściwie ze znajomych nie zostałby prawie nikt.

* * *

Ramadan... Moja córka, która ledwo trzyma się na nogach z przemęczenia nauką na uniwersytecie, postanowiła, jak co roku zresztą, pościć i nic nie jest w stanie odwieść jej od tego zamiaru. I bez postu jest blada jak trup, słaba. Cały dzień nic nie je i nie pije. Wieczorem, padając ze zmęczenia, zjada bardzo mało i idzie spać. Cały dzień krzyczę, awanturuję się pomimo wysokiej gorączki.

- Popatrz na siebie - jak ty wyglądasz? Ledwo żyjesz! Kto ci przywróci zdrowie, gdy wpadniesz w gruźlicę po miesiącu twojego postu? Przecież ty jesteś bardzo słaba fizycznie, wykończysz się, nigdy nie odzyskasz sił! Masz przed sobą jeszcze pięć lat nauki!

Nic! Jak od muru odbijają się moje słowa. Szkoda gadania.

- Nie przychodź do domu na ramadan. Masz akademik, to siedź tam razem z twoimi koleżankami i umieraj na własny rachunek! - decyduję. - Ja nie mogę patrzeć na to, co robisz z własnym zdrowiem i życiem. Jak padniesz i zabiorą cię do szpitala, może dopiero wtedy zrozumiesz, że matka ma rację, że nikt nie chce źle dla własnego dziecka!

Sonia, nieprzytomna ze zmęczenia, kładzie się spać bez jedzenia. U mnie gorączka dochodzi do 40°C, jest mi ogromnie zimno. Wody nie ma trzeci dzień, kuchnia wygląda jak pobojowisko. Zostawiam odkręcony kran. Czuwam. Woda przychodzi o trzeciej nad ranem. Ledwo zwlekam się z łóżka. Napełniam zbiorniki wodą i myję naczynia, bo moja 19-letnia córka po całodziennej głodówce śpi twardym snem, jak nieżywa. Boże, co ja tu jeszcze robię? Czy muszę się aż tak poświęcać, abyśmy otrzymały te dyplomy Aliance Française? A czy w ogóle uda nam się je zdobyć? Teraz jesteśmy na przymusowych wakacjach, CCF czeka na decyzję z Francji, czy zostanie zamknięte, czy nie. A zamknięto już centra kultury niemieckiej i amerykańskiej.

W „Liberté" z dnia 5 lutego znajduje się notatka podpisana przez *Rassemblement Algérien des Femmes Démocrates* - RAFD*, która donosi, że w niektórych regionach kraju rozpowszechnia się ulotki i nakleja afisze informujące o tym, że kobiety pracujące muszą obowiązkowo

zakładać *hidjab***, w przeciwnym razie czekają je liczne represje. W Reghaia, gdzie chodzi do liceum córka jednej z koleżanek Polek, wywieszono ulotkę zawiadamiającą o tym, że dziewczęta mają opuścić liceum i zostawić miejsca chłopcom.

* dosł. Algierskie Demokratyczne Stowarzyszenie Kobiet.

* *Hidjab* składa się z chusty oraz długiej sukni. Chusta jest najczęściej koloru białego. Owija się ją dookoła głowy, zasłaniając dokładnie wszystkie włosy, a następnie upina agrafką w charakterystyczny sposób. Twarz pozostaje odkryta. Suknia jest luźna, zasłania nogi do kostek i ręce do okolicy nadgarstka.

W „Liberté" z dnia 14 lutego 1994 roku dalszy ciąg „opowieści". Donosi się o tym, że w Mitidja terroryści dyktują obywatelom swoje warunki poprzez anonimowe listy i telefony. Żądają od właścicieli prywatnych przedsiębiorstw astronomicznych okupów, w razie odmowy grożą represjami w stosunku do ich rodzin. Obywatele są zmuszani do odłączania anten satelitarnych, ponieważ nadawane programy nie są w zgodzie z wartościami islamu. Nawet właściciele salonów fryzjerskich, łaźni, transportu miejskiego (żąda się podzielenia autobusu na dwie części - jednej dla kobiet, drugiej dla mężczyzn) są obiektem ataku integrystów. Zmuszają rzeźników do sprzedaży 1 kilograma mięsa po 150 dinarów (zamiast po 300). Ma to zjednać im sympatię u najbiedniejszych obywateli, którzy będą mogli częściej jadać mięso, rzadko przez nich kupowane ze względu na wysoką cenę. Zmuszają piekarzy do wypieku chleba bez przestanku, ażeby każdy mógł się zaopatrzyć w dowolną ilość, w dowolnym momencie.

Zadziwia mnie program telewizji w czasie tegorocznego ramadanu. W jakimkolwiek momencie włączę telewizor - nadaje się tylko i wyłącznie religijne, arabskie filmy. Tego jeszcze nie było w ciągu 15 lat mego pobytu w Algierii! Właśnie ramadan był najlepszym okresem do oglądania telewizji, gdyż nadawano dużo świetnych filmów (przeważnie amerykańskich) oraz programów rozrywkowych. Czegoś takiego jak w tym roku jeszcze w Algierii nie widziałam.

Sonia pojechała do akademika, żeby móc bez przeszkód umartwiać swe ciało odmawiając mu jedzenia i picia, ponieważ ja postawiłam sprawę ostro i zdecydowanie:

- Nie ma postu dla dorastającej, intensywnie uczącej się młodzieży!

Po tygodniu postu Sonia wróciła do domu. Wygląda jak trup. Już nie pości. Chyba czuje, że jej organizm dłużej nie wytrzyma. Jest skrajnie wycieńczona i osłabiona.

Idziemy razem na kurs języka francuskiego. Czeka nas nieprzyjemna niespodzianka. Dyrektor CCF oświadcza nam, iż trzeci i czwarty rok kursu ulega likwidacji, ponieważ prawie wszyscy nauczyciele wyjechali. Jest to decyzja francuskiego Ministerstwa Edukacji Narodowej. Koniec. Kropka. Pieniądze zostaną nam zwrócone. Cztery lata nauki poszło na marne, nie będzie egzaminów, nie dostaniemy dyplomów. A przecież tylko to zatrzymało mnie w Algierii. Za wszelką cenę chciałyśmy z Sonią ukończyć ten kurs języka francuskiego. Wieczorem płaczę w poduszkę. Rano dzwonię do Magdy, żeby się wyżalić.

- Słuchaj, Anko, przestań się rozczulać nad sobą. Przynajmniej nie straciłaś zdrowia. A nasza Lidka - zobacz, umiera. Jest już po drugiej „chemii", cała spuchnięta, wyszły jej wszystkie włosy. Jej dni są policzone, a ma dopiero 40 lat. A nasza druga koleżanka? Zobacz, ile ma majątku. I co z nim teraz zrobi? Wszystko musi zostawić, nikt jej tego nie kupi za dewizy, skończyły się czasy, kiedy cudzoziemcy czy algierscy emigranci szukali możliwości osiedlenia się w Algierii. Ty masz zdrowie, wolność, ciesz się tym, co masz, co ci dał Bóg.

Myślę o naszej Lidce, żonie Algierczyka, matce trójki dzieci. Ma raka piersi, po operacji nastąpiły przerzuty. Radio- i chemioterapia nic nie dały. Ostatnio cierpiała na okropne bóle głowy. Skaner wykazał trzy guzy mózgu. Znowu chemioterapia. Jest cała spuchnięta, ma łysą, zniekształconą głowę. Ile jeszcze pożyje? Nie powodzi jej się najgorzej. Oddałaby chyba cały swój majątek za zdrowie, niczego więcej nie chce.

To prawda - myślę sobie. Nie mogę jednak przeboleć tego, że moja Sonia nie docenia tej prawdy. Nie zdaje sobie sprawy z tego, że może funkcjonować w tych nienormalnych warunkach, w jakich się znalazłyśmy, tylko dzięki temu, iż noszą mnie jeszcze nogi. Sonia nie uświadamia sobie tego, że walczę fizycznie i psychicznie o zachowanie zdrowia, bo wiem, że jeżeli ja padnę, pociągnę za sobą dwójkę moich dzieci. W moich warunkach zdrowie jest największym skarbem danym mi od Boga

i dziękuję mu po stokroć za to, że po tym wszystkim, co mnie spotkało, mam tylko nerwicę lękową.

* * *

Mój roczny kontrakt kończy się z dniem 2 czerwca 1994 r. Poprosiłam o przedłużenie go o cztery miesiące, z jednoczesnym wypowiedzeniem. Moja decyzja wynika z prostej kalkulacji - brakuje mi pieniędzy na opłacenie niezbędnych wydatków związanych z powrotem do Polski. Mam prawie dwa miesiące zaległego urlopu, gdybym nie przedłużyła kontraktu, musiałabym odejść z zakładu już w kwietniu, co postawiłoby mnie w kłopotliwej sytuacji finansowej. Poza tym Sonia chce ukończyć pierwszy rok studiów. Chcę także podarować córce ostatnie wakacje nad morzem. Wiem, że miałaby do mnie żal, gdybyśmy wyjechały w kwietniu lub w maju. Miejscowi mogą odchodzić kiedy chcą, a nade mną wisi ciągle ten „bat" kontraktu.

Rozmawiam w tej sprawie z dyrektorem, z którym mam do czynienia dopiero drugi raz w ciągu czterech lat pracy. Odnoszę wrażenie, że mam przed sobą człowieka o wysokiej kulturze osobistej. Opowiadam mu szczerze swoje algierskie perypetie i podsumowuję:

- Wiem, że moja wydajność pracy w ostatnim okresie jest prawie zerowa i właściwie dużym nietaktem jest prosić o przedłużenie kontraktu, ale nie mam po prostu czasu na pracę. Muszę codziennie pokonywać nie kończące się trudności. Obecnie jestem najbardziej zapracowaną kobietą świata, pomimo że moja aktywność wcale nie jest aktywnością zawodową. Całą moją energię pochłania bieganie po urzędach w celu uzyskania różnych zaświadczeń oraz załatwianie dziesiątek spraw, które zwaliły mi się na głowę w związku z wyjazdem do Polski.
- Niech się pani nie martwi - odpowiada bardzo ciepło dyrektor - postaramy się pani załatwić to przedłużenie kontraktu o cztery miesiące.
- Dziękuję panu bardzo za życzliwość i za ludzkie podejście do sprawy.

* * *

Piątek. Soni nie ma. Została w akademiku. Po całodziennej nauce nie ma siły przyjechać do domu. Ale przyszedł Tarik.

- Może pani w czymś pomóc, zrobić jakieś zakupy?
- Nie, dziękuję ci. Ale moglibyśmy zrobić trochę zdjęć.

Za ostatnie pieniądze kupiłam aparat fotograficzny, który przypadkowo wpadł mi w ręce - japoński Olympus. Jest to prawdziwe cacko elektroniczne. Przyniósł mi go kiedyś Tarik, pożyczywszy od kolegi na dwa tygodnie. Jednocześnie dowiedziałam się, że aparat jest do sprzedania za niewielką sumę, ponieważ lampa błyskowa uległa uszkodzeniu. W Algierii nikt nie potrafi jej naprawić. Podjęłam ryzyko kupna licząc na polskich specjalistów, którzy potrafią wszystko. Na razie lampy błyskowej mi nie potrzeba.

Tarik ma niewyraźną minę. Ja zresztą też. Robić zdjęcia w dzisiejszej sytuacji? Ale chcę wykorzystać wolny czas, z każdym dniem bowiem sytuacja w Algierii pogarsza się. Nie mogę wrócić do Polski bez tych zdjęć. Jest to ostatnia okazja w moim życiu. Połączona jednak z ogromnym ryzykiem. Mogę zarobić kulę w głowę, a przy okazji Tarik. Jednak chłopak się decyduje:

- Niech pani założy coś na głowę!

Zakładam chustkę. Wyglądam idiotycznie. Jest luty, a na zewnątrz temperatura 28°C. Upał, a ja w tej grubej chuścinie na głowie! Przyciągam jeszcze większą uwagę niż bez chustki. W końcu decyduję się ją zdjąć. Jest lepiej, już nikt tak mi się nie przygląda.

Idziemy do centrum Algieru. Dyskretnie pokazuję Tarikowi, co ma sfotografować. Potem oddalam się o kilka metrów udając, że się nie znamy. W tym czasie Tarik szybko wyjmuje z torby aparat i błyskawicznie robi zdjęcie. Tak wypstrykaliśmy cały film. Kilkakrotnie widziałam złe spojrzenia, rzucane w naszym kierunku przez jakieś typy spod ciemnej gwiazdy. Baliśmy się oboje z Tarikiem. Ale film skończyliśmy. Konsekwentnie dążę do wybranego celu, tylko nie wiem, jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić. Jedyny zawód, w którym potrafiłabym się odnaleźć, to zawód dziennikarza lub fotoreportera. Tak, szczególnie fotoreportera. Nauczyłam się w szczególny sposób patrzeć na otaczający mnie świat,

widzę chyba „oczyma duszy". I jakąż ogromną przyjemność sprawia mi robienie zdjęć!

* * *

Dnia 21 lutego zastrzelono w biały dzień Francuza prowadzącego od wielu lat w centrum Algieru księgarnię. Kilka dni wcześniej zastrzelono Rosjanina, kooperanta z mojego zakładu. Stan na dzień dzisiejszy - jestem jedynym cudzoziemcem zatrudnionym w moim zakładzie na przeszło 20 000 pracowników. Czy uda mi się wytrwać w Algierii jeszcze te kilka zaplanowanych miesięcy?

Terroryści, integryści, fundamentaliści! Polityka, polityka! Jakże ja jej nie cierpię. Nigdy mnie nie interesowała. W codziennej prasie omijałam artykuły dotyczące polityki, która w końcu dopadła mnie w bezwzględny, brutalny sposób. To, co dzieje się w Algierii, wpłynęło całkowicie destrukcyjnie nie tylko na przyszłość wielu cudzoziemców przebywających w tym kraju, ale także na przyszłość wielu obywateli algierskich. Czyż w tych układach mogę całkowicie zignorować politykę?

W dzisiejszych gazetach znowu masa artykułów politycznych. „FMI uwalnia FIS", „Prezydent i FIS" *etc. Fonds Monétaire Internationale* - FMI* żąda uwolnienia przywódców FIS. Prezydent Zeroual jest zdecydowany na podjęcie dialogu z przywódcami rozwiązanej partii. Ait Ahmed, przebywający za granicą przywódca partii FFS. twierdzi publicznie, że sytuacja w Algierii skończy się wojną domową i to w ciągu najbliższych sześciu miesięcy. Wojna domowa już właściwie trwa. „Wyrzynają się" GIA i MIA**.

* Międzynarodowy Fundusz Walutowy.

** GIA - *Groupe Islamique Armé* (Islamska Grupa Zbrojna); MIA - *Mouvement Islamique Armé* (Islamski Ruch Zbrojny).

Siły porządkowe zastrzeliły głównego przywódcę GIA - Djaafara El Afgani i dziewięciu jej członków. Zostały poinformowane o miejscu ukrycia się tej grupy przez MIA, która w ten sposób załatwiła swoje

porachunki z GIA. To GIA było odpowiedzialne m.in, za zamordowanie dwunastu jugosłowiańskich kooperantów. Bilans ostatnich 48 godzin: szesnastu terrorystów zabitych, czterech zatrzymanych, zamordowanych ośmiu obywateli. Horror! A ja codziennie biegam po mieście w celu skompletowania wszystkich niezbędnych dokumentów przed wyjazdem do Polski!

* * *

Po trzech tygodniach od złożenia mojego podania do Naczelnej Dyrekcji Banków w moim biurze zjawił się goniec i wręczył mi dużą kopertę, a w niej dwa egzemplarze pisma (oryginał i kopia - oba na firmowym papierze), w których stwierdza się, że bank zajmujący się współpracą z zagranicą nie ma możliwości przetransferowania do Polski, dla mojego syna, alimentów zasądzonych przez algierski sąd. Pod tym oświadczeniem przyłożył swą pieczątkę i podpisał się sam dyrektor naczelny. Oczom nie wierzę. A jednak!

Przy najbliższej okazji pokazuję moją „zdobycz" konsulowi z naszej ambasady.

- Pani Aniu, jak pani udało się zdobyć coś takiego? Ja od kilku lat próbuję i bez rezultatu. A jest mi to potrzebne dla polskiego Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, które nie wierzy, że Algieria, będąca sygnatariuszem konwencji nowojorskiej z 20 czerwca 1956 roku, nie przestrzega porozumienia o dochodzeniu roszczeń alimentacyjnych za granicą. Także 9 listopada 1976 roku została podpisana w Algierze „Umowa między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Algierską Republiką Ludowo-Demokratyczną dotyczącą obrotu prawnego w sprawach cywilnych i karnych", opublikowana w Dzienniku Ustaw PRL nr 10 poz. 73 z 1982 r., na mocy której obywatele tych dwu państw mogą dochodzić wzajemnie roszczeń alimentacyjnych.

- Panie konsulu, nawet gdyby Algieria przestrzegała konwencji oraz podpisanej umowy, to o jakie kwoty my tu walczymy? Przecież alimenty na dzieci są zasądzone przez algierskie sądy w stałej kwocie, bez brania pod uwagę dochodów ojca i realnych potrzeb dziecka. Mój

były mąż, który zarabia netto około 12 tysięcy dinarów, płaci na dwoje dzieci 1500 dinarów, tj. 1/8 pensji! A niech pan weźmie pod uwagę, że dostałam bardzo wysokie alimenty, ponieważ jestem cudzoziemką i nie mam w Algierii żadnej rodziny. Alimenty dla Algierki wynoszą od 300 do 500 dinarów na dziecko. Zresztą te 750 dinarów alimentów na dziecko adwokat zażądał przy okazji drugiej sprawy sądowej, dotyczącej kwestii mieszkania. Wyrok nie jest prawomocny. Mój były mąż płaci jednak tę kwotę z powodów, które musiałabym panu długo wyjaśniać. W pierwszym, prawomocnym wyroku sądowym otrzymałam po 500 dinarów na dziecko. Cóż to za kwota, nawet gdyby mój były mąż zechciał ją transferować do Polski, a algierskie banki by na to pozwalały? Przy aktualnym kursie bankowym dinara - stanowi to około trzynastu dolarów amerykańskich! Czy taka kwota mogłaby stanowić rzeczywistą pomoc finansową dla naszych dzieci żyjących w Polsce? Zresztą nie jest to również żadna pomoc finansowa dla dzieci żyjących w Algierii. 750 dinarów na jedno dziecko, przy aktualnych cenach w Algierii, to jest po prostu śmieszna kwota.

- A czy jest inne wyjście z sytuacji?

- Teoretycznie tak. Gdyby sądy w Algierii przyznawały jakieś realne, a nie bzdurne alimenty, gdyby były one co roku rewaloryzowane, wtedy mogłabym otrzymać od ich ojca kwotę np. 4000 do 5000 dinarów, co stanowiłoby już realną pomoc finansową na dwoje dzieci żyjących obecnie w Algierii. Gdyby kwotę tę przetransferowano, dałoby to przeszło sto dolarów, co, w obecnej sytuacji w Polsce, byłoby już jakąś minimalną pomocą dla dzieci.

- Pani Aniu, gdybamy sobie i gdybamy, a tymczasem życie kobiety po rozwodzie w Algierii jest zupełną abstrakcją dla polskich władz. Kto na tym cierpi? Na pewno dzieci i ich matka, która musi wziąć na siebie podwójny ciężar utrzymania rodziny, co w algierskich warunkach jest prawie niemożliwe do realizacji. Gdyby przynajmniej byt materialny dzieci był w miarę rozsądnie zabezpieczony, o ileż byłoby jej łatwiej!

Gdyby, gdyby....

Marzec 1994 roku

1 marca trzech algierskich policjantów uprowadziło do Hiszpanii samolot algierskich linii wewnętrznych. Pasażerowie zostali uwolnieni, policjanci zażądali azylu politycznego. Trudno się dziwić takiej determinacji. To na barkach policji i żandarmerii złożono cały ciężar rozprawy z terrorystami. W tym samym dniu zastrzelono w Algierze w Birkhadem dyrektorkę szkoły. Zrobiono to w biały dzień w jej gabinecie. W ciągu czternastu ostatnich miesięcy 24 nauczycieli zostało zabitych, zniszczono 51 szkół. Na drugi dzień, również w Algierze, terroryści zastrzelili znanego dziennikarza telewizyjnego Abdelkadera Hireche. Był młodym, nieżonatym mężczyzną, jedynym żywicielem rodziców i licznego rodzeństwa. W Bel Abbes uzbrojona grupa wdarła się do mieszkania jednego z obywateli porywając dwie dziewczyny w wieku 18 i 19 lat. W Tighalimat grupa terrorystów uprowadziła dwie dziewczynki - 12- i 15-letnią, które zostały zgwałcone. W Meftah, małym miasteczku położonym niedaleko Algieru, gdzie od niedawna rozklejane były na murach afisze z pogróżkami w stosunku do dziewcząt i kobiet, które nie będą nosiły hidjab, zastrzelono 14-letnią dziewczynkę. Wyszła ze szkoły wraz z koleżanką, spokojnie podążała do domu. Drogę zagrodzili jej uzbrojeni terroryści, którzy oddali strzały do małej Kati, ponieważ ośmieliła się zignorować ich ostrzeżenia i szła ubrana po europejsku. *Hidjab!* Za ten kawałek materiału zapłaciło życiem 14-letnie dziecko. Tak jak gdyby ubiór decydował o *la foi**. Najlepszym tego przykładem jest rodzina Belaici.

* Wiara.

W pracy grobowy nastrój. Żadna z kobiet się nie uśmiecha. Anissa i Nassiba są zmartwione. Rozmawiamy.

- Anno, czy ty wyobrażałaś sobie kiedyś, że Algieria dojdzie do takiego stanu? - pyta Anissa.

- Nie, nigdy nie przypuszczałam, że w ciągu kilku miesięcy w kraju zapanuje taki terror!

Dzwonię do Marii.

- Pakujemy walizki. Przywoź, Anno, co jeszcze masz do sprzedania, może coś da się z tym zrobić. Już sprzedałam ci parę drobiazgów.

Maria jest wspaniałym człowiekiem. Wiele razy mi pomogła zarówno moralnie, jak i materialnie. W tajemnicy przed mężem dawała mi często dla mojego syna prawie nowe ubrania i buty po swoim Badisie wmawiając mężowi, że ich syn już je podarł lub zniszczył. Teraz też robi, co może, ażeby mi pomóc.

Dzwoni do mnie do pracy Katia.

- Anno, w maju wyjeżdżam do Rosji Już dłużej nie mogę. W mojej dzielnicy w B. codziennie strzelanina. Już nie wiadomo, kto komu przeszkadza.

* * *

Centrum Kultury Francuskiej. Proszę dyrektora CCF o wystawienie mi zaświadczenia stwierdzającego, że przez cztery lata byłam słuchaczką kursu języka francuskiego i że egzamin nie może się odbyć. Rozmawiam szczerze z dyrektorem, opowiadając mu w zarysie o swoich problemach. Dyrektor wyciąga jakieś dodatkowe formularze. Jest to zaświadczenie o zdaniu egzaminu z języka francuskiego*.

* Nie jest ono równoważne dyplomowi Alliance Française.

- Świetnie mówi pani po francusku - stwierdza. - A jak tam z pisownią?

- Trochę gorzej - odpowiadam. - Robię błędy.

Dyrektor wystawia mnie i Soni zaświadczenia, chociaż nie jest to chyba zbytnio zgodne z regulaminem, żadnego bowiem egzaminu nie zdawałyśmy. Ale jak to Francuz - gdzie może, tam pomoże! Tym, co wyróżnia tych ludzi w Algierii, jest właśnie czynna postawa, zaangażowanie i gotowość do pomocy. Nic wiem już po raz który stwierdzam, że jestem zakochana we Francji, we Francuzach, w języku francuskim.

* * *

Przed wyjazdem do kraju muszę przetłumaczyć na język polski oraz zalegalizować w sądzie i ambasadzie przekłady wszystkich dokumentów wydanych w języku arabskim i francuskim.

W sądzie każą zostawić tłumaczenia z języka arabskiego na francuski i przyjść za tydzień. Przychodzę. Okazuje się, że jedno tłumaczenie zostało zaakceptowane, a dwa nie. Widnieje na nich adnotacja, że zrobione zostały niepoprawnie. No cóż, robiłam je sama przy pomocy kolegów z pracy. Chcę mówić z tłumaczem. Nie ma go. Kiedy będzie? Jutro. Przychodzę nazajutrz. Tłumacza nie ma. Był rano. Wyszedł.

- Czy przyjdzie dzisiaj?
- Może.

Przychodzę na następny dzień. Uff. Tłumacz jest. Grzecznie proszę, żeby wyjaśnił mi, dlaczego nie zaakceptował dwóch tłumaczeń. Tłumacz grzecznie mi wyjaśnia i poprawia, według własnego uznania, moje tłumaczenia. Wracam do pracy. Następnego dnia całe przedpołudnie poprawiam i drukuję z komputera. Znowu do sądu dobre 40 minut marszu.

- Proszę przyjść za tydzień.

Przychodzę. Uff. Zaakceptowane.

- A teraz - informują mnie - proszę zanieść to wszystko na I piętro do podpisu przewodniczącemu sądu.

Zanoszę.

- Proszę przyjść za dwa dni.

Przychodzę. Podpisane. A teraz te i inne dokumenty, które sama tłumaczyłam na język polski, muszę zanieść do Ambasady Polskiej w Algierze w celu zalegalizowania tłumaczeń. Wszystko to załatwiam w godzinach pracy, sąd w Algierze bowiem pracuje w te same dni i w tych samych godzinach, co mój zakład pracy. To tylko drobny przykład, a jest masa spraw do załatwienia. I najgorsze jest to, że muszę sama wszystko przygotować, wszędzie pójść osobiście. W ambasadzie polskiej konsul, prawnik z wykształcenia, musiał poprawiać wszystkie trzy decyzje sądowe, które sama przetłumaczyłam z języka francuskiego na polski.

Terminologia była niewłaściwa. No cóż, nie jestem prawnikiem. Znowu trzeba będzie napisać je od nowa, znowu zanieść do ambasady. Oczywiście pracę tę mogliby wykonać pracownicy polskiego konsulatu, jednak wtedy są to znaczne koszty. Konsul, znając moją sytuację, zgodził się zastosować dla mnie taryfę ulgową, ale pod warunkiem, że przyniosę mu dokumenty gotowe do podpisu. Tymczasem muszę zanieść do CASORAL wypełnione przez zakład pracy druki na zasiłek rodzinny dla dzieci. Kawał drogi. A przecież dochodzi do tego wszystkiego prowadzenie domu, pisanie tej książki, robienie zdjęć, co jest na dodatek ogromnie ryzykowne. Trzykrotnie wychodziliśmy z Drissem na miasto właśnie w tym celu. Kilka dni temu przeprowadziłam przez stolicę Tarika, tym razem bez aparatu, pokazując mu, co chciałabym, aby mi sfotografował. Dzisiaj Tarik z Sonią całe popołudnie spędzili na fotografowaniu miejsc wskazanych przeze mnie. Jednak efekt naszych wysiłków jest często opłakany ze względu na fatalne wywołanie. A przecież na zrobienie tych zdjęć poświęciliśmy całe dnie! Jest to dla mnie bardzo ważne. Na zawsze opuszczam Algierię i chciałabym, chociaż na zdjęciach, utrwalić dla siebie piękno tego naprawdę niezwykłego kraju, który przyroda obdarzyła takim bogactwem. Chciałabym również pokazać te zdjęcia moim wszystkim znajomym w Polsce.

* * *

W ostatnim okresie zaraz po pracy kładę się spać na godzinę lub dwie po to, ażeby oszukać organizm. Wstaję około siódmej wieczorem, wykonuję niezbędne prace domowe i około dziesiątej zasiadam do pisania mojej książki. Kładę się spać około drugiej, trzeciej nad ranem. Boli mnie kręgosłup.

Sytuacja w Algierii pogarsza się z każdym dniem. W dniu 5 marca zastrzelono na uczelni rektora Wyższej Szkoły Sztuk Pięknych wraz z jego 23-letnim, jedynym synem. Codziennie gazety donoszą o ofiarach, o ogromnych stratach materialnych spowodowanych przez akty terrorystyczne. Przy okazji 8 marca gazety wydrukowały listę dwudziestu

pięciu kobiet zamordowanych w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy. Gdzie podział się rząd? - pytają dziennikarze.

* * *

Dzwoni Dorota.

- Anno, zwariuję, już nie mogę.
- O co chodzi? - pytam.

Zdenerwowana Dorota prawie krzyczy do słuchawki.

- Wyobraź sobie, mam problemy ze zdrowiem, chciałam sobie zrobić w szpitalu analizy. Mamy tam znajomego, żonaty facet. Ostatnio, gdy byłam z mężem u niego w szpitalu, zostawił nam swój numer telefonu i powiedział, że jeśli będziemy czegoś potrzebowali, to możemy dzwonić bez obiekcji. Więc zadzwoniłam. Powiedziałam o tym mojemu mężowi. Gdybyś widziała jego reakcję! Prawie płakał przez pół dnia, chwytał się za głowę powtarzając: - Jak mogłaś mi to zrobić? Zatelefonować do faceta! No powiedz Anno, czy ty widzisz coś złego w zatelefonowaniu do lekarza z prośbą o umożliwienie ci zrobienia analiz w szpitalu? Ja chyba śnię, ja chyba śnię...
- Jak się to skończyło?
- Wielką awanturą. Patrz, do jakiego wymiaru sprowadzają się moje problemy w tym kraju! Pojadę do Polski i już nic wrócę, nawet gdybym miała jeść codziennie kartofle z zsiadłym mlekiem! - mówi Dorota roztrzęsionym głosem.

Kartofle ze swojskim zsiadłym mlekiem... Wcale bym nie pogardziła tym rarytasem. Marzy mi się nasz polski żytni chleb, jego zapach towarzyszy mi wszędzie. Rodzice i znajomi nie mogli się nadziwić, widząc moje *menu* w czasie wakacji w Polsce. Żytni chleb ze swojskim salcesonem. Żadna tam szynka i inne łakocie mi nie smakowały. Tylko ten chleb i salceson. „Nie mów nikomu, jak ty się u nas odżywiasz - prosiła mama - bo będą się z nas śmiali, że cię głodzimy!" Patrzyła na pajdy pochłanianego przeze mnie chleba, nieraz suchego.

- Dziecko, czy ty nie jesteś chora?

Śmiałam się. Trudno zrozumieć Polakowi w Polsce, co znaczy dla kogoś takiego jak ja oryginalny zapach świątecznej choinki, zapach i smak polskiego żytniego chleba, ziemniaków kraszonych przysmażoną cebulą ze swojskim zsiadłym mlekiem. Ale też wiem jedno: gdziekolwiek zaprowadzi mnie los, już do końca życia będę tęskniła za słońcem Algierii, za bogactwem przyrody tego kraju, jego ciepłym morzem i świeżymi owocami przez cały rok. Nie można wymazać z pamięci szesnastu lat życia w innej kulturze. Zostawiam w tym kraju cząstkę swojego „ja". To Sabrinka pochowana na muzułmańskim cmentarzu. Czy ktokolwiek, oprócz mnie i Soni, będzie pamiętał o tym grobie położonym gdzieś w krzakach? A może właśnie ta książka będzie najpiękniejszym, trwałym dowodem pamięci o Sabrince? Nie cement i marmur. Jedynie pamięć ludzka jest niezniszczalna, niech ona będzie najpiękniejszym pomnikiem dla Sabrinki.

* * *

Normalny dzień przemocy terrorystów. Gazeta „Liberté" z 20 marca donosi:

- Dziennikarz Djamel Benzaghou zastrzelony w biały dzień. Jest to jedenasty dziennikarz zabity przez terrorystów od maja 1993 roku.
- Prokurator generalny miasta Mascara - zabity. Jest to piętnasty prawnik - ofiara terrorystów w ciągu ostatnich kilkunastu miesięcy.
- W ciągu ostatnich 24 godzin listę śmiertelnych ofiar terrorystów powiększyli: 24-letnia kobieta, imam, były partyzant.
- Algieria w ogniu! W ciągu ostatnich 24 godzin terroryści spalili pociąg relacji Béjaia - Algier, siedzibę Czerwonego Krzyża i magazyny wielu państwowych zakładów pracy.
- Blida była wczoraj po godzinie 16^{00} miastem wymarłym na skutek zarządzenia godziny policyjnej, wydanego przez terrorystów.

22 marca siedmiu uzbrojonych osobników wtargnęło do redakcji „Hebdo-Liberté", znajdującej się w samym centrum miasta. Kazano położyć się na podłodze wszystkim zastanym w biurze pracownikom,

a następnie oddano do nich strzały. Dwie osoby - fotoreporter i szofer - zostały zabite na miejscu, trzy osoby zostały ciężko ranne. Trudno mi przytaczać z codziennych gazet podobne komunikaty, nie miałoby to sensu. A dzienniki codziennie donoszą o podobnych aktach terrorystycznych.

23 marca zamordowano nożami we własnym domu dwóch obywateli francuskich, ojca i syna, mieszkających w Birkhadem - dzielnicy Algieru. Po raz pierwszy Paryż wystosował oficjalny apel do wszystkich obywateli francuskich mieszkających w Algierii, wzywając ich do opuszczenia tego kraju. Zaczyna się robić tak gorąco, że nie wiadomo, czy dożyje się jutra. Maria i Dorota nie wychodzą wcale z domu. Obie szykują się do wyjazdu do Polski - Dorota w maju, a Maria w lipcu. No a ja - w sierpniu. Czy zdążymy wyjechać?

Kwiecień 1994 roku

Odbieram moją *fiche de paye.* Patrzę - potrącono mi 1700 dinarów chorobowego. Moje zwolnienie lekarskie zostało potraktowane tak, jak gdybym była na urlopie bezpłatnym. Idę do DE - działu, który ma bezpośredni nadzór nad cudzoziemcami. Proszę o wyjaśnienie. Wyjaśniają. Musi pani iść do CASORAL, przynieść nam specjalne druki do wypełnienia. My wypełnimy. Pani je zaniesie. Wtedy oni pani zapłacą. Idę do CASORAL - 40 minut drogi. Proszę o druki. Coś tam sprawdzają w mojej kartotece.

- Po co pani druki? - pyta urzędniczka.
- Jak to po co? Byłam chora, chcę zwrot chorobowego.
- Nic pani nie dostanie - pada odpowiedź - ponieważ nie ma w naszej kartotece pani zwolnienia lekarskiego.

Moje zdziwienie nie ma granic. Zakład nie przysłał w obowiązującym terminie 48 godzin mojego zwolnienia lekarskiego ani nie poinformował mnie o tym, że mogłabym je ewentualnie wysłać sama. Wracam wściekła do zakładu. Pytam personalnego, gdzie jest oryginał mojego zwolnienia lekarskiego. Wielki szef odpowiada, że przesłał je do DE. Wracam znowu do tego działu.

- Żadnego pani zwolnienia nic dostaliśmy - słyszę odpowiedź. - Nawet gdybyśmy dostali, to nie jest naszą sprawą odesłanie go do CASORAL.

No cóż, zostawiam sprawę tak, jak jest. Nie mam ani sił, ani czasu na dochodzenie swoich racji, bo i tak nie odzyskam tych 1700 dinarów, które tak bardzo by mi się teraz przydały. I tak dobrze, że mam w ogóle jakieś dochody! Gdyby było inaczej, za co bym żyła i jak wróciłabym z Sonią do Polski?

* * *

Wielkanoc. Moja ostatnia Wielkanoc w Algierii. Idę na mszę do katedry. Jakże nas mało cudzoziemców-chrześcijan pozostało w tym kraju! Msza nie ma już takiego uroczystego nastroju. Jest smutno. Po mszy Jeanne oraz ksiądz M. odwożą mnie pod dom. Po drodze rozmawiamy o tym, co dzieje się w Algierii, o przyszłości tego kraju, o młodzieży, o rodzinie...

Spotykamy się po południu u Doroty. Jest Maria, Halina, Marta i ja. Każda, dawnym zwyczajem, przyniosła przyrządzone przez siebie polskie przysmaki. Jest bigos, barszcz czerwony, paszteciki, wspaniałe ciasta. Popołudnie mija nam na rozmowach typu: Co dalej, dziewczyny, zamierzacie zrobić? Konsternacja. Czujemy się zagubione i bezbronne wobec wydarzeń, które decydują o naszym losie. Poplątały się nasze życiorysy. Wiele z naszych koleżanek spakowało już walizki i wyjechało do Polski, zostawiając w Algierii cały swój dorobek. Te, które zostały, nic mają do kogo i po co wracać. A w razie powrotu - muszą zaczynać w Polsce od początku. Rozstajemy się w pesymistycznych nastrojach...

Decyzja Soni, wiadomość od konsula, wizyta u Marty

Maj 1994 roku

Piszę listy i wraz z pełnym zestawem dokumentów wysyłam do kilku uczelni w Polsce z prośbą o przyjęcie Soni na pierwszy rok studiów na zasadzie przeniesienia. Dość szybko otrzymuję odpowiedzi - wszystkie negatywne: „Z przykrością powiadamiamy, że Pani córkę obowiązuje - jako obywatela polskiego - wstępny egzamin konkursowy lub jako cudzoziemca - roczna opłata w wysokości 5000 dolarów". Dobre sobie! W jaki sposób Sonia może przebrnąć przez egzamin konkursowy na polskiej uczelni? A 5000 dolarów? Po obecnym czarnorynkowym kursie dolara jest to 550 000 dinarów rocznie! Śmieszne! Otrzymuję także poprzez ambasadę odpowiedź z Ministerstwa Edukacji Narodowej w Polsce: nie ma możliwości, ażeby Sonia, jako obywatel polski, kontynuowała studia w jakimś kraju francuskojęzycznym! Nie otrzymałyśmy również żadnych odpowiedzi ze stowarzyszeń polonijnych w Kanadzie. Córka podejmuje straszną dla mnie decyzję - postanawia zostać w Algierii i tutaj kontynuować studia.

- Dlaczego? - krzyczę rozpaczliwie.

Sonia spokojnie argumentuje:

- Zobacz, wracamy do Polski, gdzie zaczynać musimy od zera. Będę dla ciebie dodatkowym ciężarem. Tutaj, w Algierii, mam akademik i studia za darmo, dostaję stypendium, ojciec będzie mi płacił alimenty. Rodzina D. obiecała mi pomoc. Wiem, że mogę liczyć na innych twoich przyjaciół. A w Polsce, co będzie ze mną, co będzie z nami? Przynajmniej na początek będzie wam łatwiej beze mnie, a potem może się jakoś ułoży.

Jej rozsądne argumenty nie docierają do mnie, moja rozpacz nie ma granic. Zostawić córkę w Algierii? Mam dość wszystkiego. Jakie jeszcze problemy przyjdzie mi rozwiązać?

W pracy wyładowuję wszystkie swoje żale na Kamilu.

- To przez... prawo twojego kraju! - krzyczę. - Przez ten... kodeks rodzinny, który zrobił nas zakładnikami w twoim kraju! Jak można trzymać kogoś wbrew jego woli! Gdybyśmy wyjechały zaraz po rozwodzie, Sonia mogłaby skończyć liceum w Polsce, a ja pozbyłabym się tysiąca problemów, które spadły na moją głowę! - Mówię to wszystko w przypływie wściekłości.

- Uspokój się! - odpowiada Kamil. - My mamy takie arabskie przysłowie, które mówi, że gdy zamykają się jedne drzwi, to otwierają się drugie. Zobaczysz!

Po chwili, jeszcze cała w nerwach, dzwonię do konsula.

- Panie konsulu, co ja mam zrobić z tym moim dzieckiem, jedną z najlepszych studentek na roku? Zamknęły się przed nią wszystkie polskie uczelnie! Mam ją może zostawić w Algierii?!

- Ależ pani Anno - odpowiada konsul - nic podobnego! Mam dla pani wspaniałą propozycję! Przyszły dwa stypendia z naszego Ministerstwa Edukacji Narodowej na studia w Polsce. Proponuję jedno dla Soni.

Siadam z wrażenia. Potem krzyczę w słuchawkę:

- Jest pan wspaniały! Wspaniałe jest to nasze Ministerstwo Edukacji Narodowej!

Przez kilka ostatnich lat nic było stypendiów dla naszych dzieci i nagle są: dwa! Dzięki ci, Boże, że ktoś tam w Warszawie pomyślał o Afryce. Czy on wic, ile poplątanych ludzkich losów rozwiązała ta decyzja MEN? Sonia może wybrać sobie dowolną uczelnię bez zdawania egzaminów, dostanie stypendium, co pozwoli jej na rozpoczęcie WKS w Polsce. Po jego ukończeniu niech decyduje o swoim losie i o tym, jakiemu krajowi chce służyć swoją wiedzą. Ale niech wie, że to państwo polskie umożliwia jej zdobycie tego, czego chce!

Kamil widzi, że stało się coś ważnego. Potrząsa mnie za ramiona, pomimo że nie skończyłam jeszcze rozmowy z konsulem.

- Mów, mów, co się stało, co się stało? - niecierpliwi się.

Odkładam słuchawkę. Jednym tchem wyrzucam z siebie:

- Sonia dostała stypendium w Polsce!

- Hurra! - krzyczy Kamil autentycznie szczęśliwy, podrzucając do góry wszystkie dokumenty znajdujące się na biurku. Po biurze fruwają rozrzucone kartki ważnej dokumentacji, ale Kamil ma to gdzieś. Cieszy się jak dziecko.

- A widzisz! K i b u ż e - m a ż e r u ż e !

Kto się rusza - j e r u ż e ! Jest to slogan we francusko-arabskiej mieszaninie języków. R u ż e ! Wspaniały gatunek ryb morskich, bardzo drogich! A więc, żeby mieć coś wyjątkowego, trzeba sobie na to zapracować. Ten, kto stoi w miejscu, nie ma nic. Jest to życiowa dewiza Kamila. Teraz chce przez to powiedzieć, że moje starania przyniosły efekt. Akurat przychodzi do biura Khatima. Schodzę do pobliskiej kawiarni. Kupuję ciastka i lemoniadę. Zapraszam do biura Hamida. „Oblewamy", po arabsku, lemoniadą, dobrą nowinę. Wszyscy cieszą się jak dzieci. Są naprawdę szczerze mi życzliwi, zżyłam się z nimi jak z rodziną. Oprócz Hamida pozostali nie przekroczyli trzydziestego roku życia. W ich towarzystwie czuję się bardzo młodo, wydaje mi się, że mam dwadzieścia lat. Kamil ciągle prawi mi komplementy:

- Anno, wyglądasz świetnie, młodo, a przede wszystkim masz bardzo młody umysł!

Te słowa zawsze dodają mi otuchy.

* * *

Spotykam się z Jeanne i Haną. Wielka rozpacz. Hana obawia się o swoje życie i życie dzieci. Za wszelką cenę chce opuścić Algierię. Nie mogła zrozumieć, tak jak ja przez wiele lat, że jedynym rozwiązaniem dla niej jest wyjazd z dziećmi do swojego kraju. Kiedyś zarzucała mi, że odebrałam synowi ojca, a teraz zamierzam zabrać do Polski Sonię. Tak, zrobiłam to. Ale o wiele lat za późno! Sabrinka zapłaciła za to życiem. Nie mam w chwili obecnej żadnych wyrzutów sumienia, ale ciąży mi śmierć mojego dziecka. Yacine zniszczył rodzinę psychicznie i fizycznie,

zrujnował nas materialnie. Nie broni mnie żadne prawo. Mąż Hany jest na wolności, pomimo że ma rozpoznanie lekarskie i jego choroba jest bardzo zaawansowana. Powtarzające się ataki paranoi mogą doprowadzić do ogromnej tragedii, ponieważ jest on w stanie zabić najbliższych. Mąż Hany nie ma klucza do jej mieszkania, kursuje gdzieś po Algierii i nigdy nie wiadomo, co z tego może wyniknąć. Hana pokazuje mi list, który od niego niedawno dostała. Treść tego listu do złudzenia przypomina listy, jakie często dostawałam od Yacine. Co drugie słowo to k... Czuje do Hany straszliwą nienawiść za rzekome zdrady, których się dopuściła. Prawdziwe delirium. Odmówił wydania pozwolenia na wyjazd dzieci do Słowacji. Hana boi się. Wie, że popełniła błąd, zostając w Algierii. Przekonała się o tym za późno - kiedy straciła zdrowie i musiała być wielokrotnie hospitalizowana z powodu agresji męża - kiedy straciła szansę na wyjazd z dziećmi.

* * *

Dzwoni Emma.

- Anno, już nie możemy dłużej. Córka nie pracuje, jak wiesz, rozwodu nie uzyskała. A ten paranoik robi z rodziną, co chce. Wszelkie próby wywiezienia dzieci nie dały rezultatu. Jest uwięziona w Algierii. Przez kodeks rodzinny. Kto to widział, żeby chory psychicznie człowiek był ciągle na wolności, żeby matka nie miała do dzieci żadnych praw, mimo że ojciec od kilku lat nie daje ani dinara na ich utrzymanie? Żeby kobieta nie mogła uzyskać rozwodu, pomimo przedłożenia zaświadczeń o pobiciu?! Jak to jest możliwe? W jakim my świecie żyjemy?

Co mam ci odpowiedzieć na to, Emmo? Możemy tylko wykrzyczeć na cały świat naszą rozpacz i bunt, postawić pod pręgierzem opinii publicznej ten haniebny akt prawny, to algierskie prawo, które zepchnęło kobietę na margines! Jesteśmy zrównane z algierskimi kobietami, których los jest tragiczny. One, pomimo wieloletniej walki o zniesienie tego kodeksu nic nie osiągnęły. Co my, nieliczne Europejki, możemy

zrobić? Nic. Jedynie powiadomić opinię publiczną o tym, co się tutaj dzieje. Przestrzec dziewczyny innych narodowości przed pochopnym podejmowaniem decyzji o małżeństwie z obcokrajowcem i wyjeździe do ojczyzny męża. Uświadomić, w co mogą się wpakować w wypadku, gdy małżeństwo się nie ułoży.

* * *

Spotkanie naszej Grupy Przyjaźni na Hydrze. Jest nas tylko siedem, w tym Hana i ja. A jeszcze dwa lata temu było nas kilkadziesiąt. Zastanawiamy się, ile nas zostanie za kilka miesięcy. Nikt? Po mszy - jak zwykle tradycyjna herbata i ciastka. Jeanne przygotowała kartki pocztowe, które mamy wysłać do osób z naszej Grupy Przyjaźni, które wyjechały z Algierii. Każda ma napisać parę słów. Jest również kartka dla Maguy. Dla mojej Maguy, której tyle zawdzięczam. Do tej wspaniałej Francuzki o wielkim sercu! Dostałam niedawno od niej list. Pisze, że nie osiągnęła w życiu nic. Czyżby? A to, że wyciągnęła z bagna mnie i moje dzieci, nie ma żadnego znaczenia? To, że cała nasza Grupa Przyjaźni nie może zapomnieć jej ciepłego uśmiechu i życzliwego spojrzenia? Czy wartość człowieka trzeba mierzyć jedynie dobrami materialnymi? To dzięki Maguy poznałam Grupę Przyjaźni, to dzięki Maguy kocham Francję, Francuzów i język francuski!

Żegnamy się. Czy zobaczymy się jeszcze kiedyś w życiu? To nasze ostatnie spotkanie przed wakacjami. „Życzymy ci powodzenia, Anno, na twojej nowej drodze życia, w twojej ojczyźnie". W mojej Ojczyźnie... Tam, gdzie jest mama i czeka na mnie mój syn, tam, gdzie leży pochowany ojciec, tam, gdzie czyta się Sienkiewicza i słucha Chopina. Ale także tam, gdzie rzadko świeci słońce, a niebo bywa pochmurne, gdzie nie ma palm, ciepłego morza i tej cudownej przyrody, która łagodzi każdy smutek i pomaga przetrwać najtrudniejsze chwile. Tam nie ma Jeanne, Kamila i moich wspaniałych sąsiadów, którzy czuwali przy mnie całą noc, gdy byłam chora. Nie ma rodziny D. i Saidy. Nie ma Marii.

* * *

Przez trzy godziny rozmawiałam z Khatimą na temat relacji mężczyzna - kobieta.

- Anno, u nas jeżeli chłopak proponuje spotkanie dziewczynie, to tylko po to, aby się rozerwać. Bo dla niego dziewczyna, która zgadza się na randki, nic nie jest warta, nie pochodzi z dobrego domu. Nie mówiąc o tym, że gdyby się przespała ze swoim chłopakiem przed ślubem, jest w jego oczach spalona. Weź przykład naszych kolegów. K. flirtował z Lilliet, była w nim zakochana. I co? Ożenił się z dziewczyną, która nie wychodzi z domu. A M. flirtuje na prawo i lewo, ale do małżeństwa szuka dziewczyny przez swoją matkę. Ma to być dziewczyna, która nie będzie pracowała, będzie nosiła *hidjab* i nie będzie sama wychodziła z domu. W jaki sposób poznać charakter chłopaka? Nie możesz się z nim spotykać przed ślubem, bo będzie miał o tobie złe zdanie i na pewno się nie ożeni. A więc pozostaje małżeństwo zaaranżowane. W końcu trafisz na nic wiadomo kogo. Zaraz po ślubie rodzi się dwójka dzieci i wtedy okazuje się, że małżonków nic nie łączy, a wszystko dzieli. Popatrz na te małżeństwa - wszystkie nieszczęśliwe, nie ma między nimi miłości. Mężczyzna zaspokaja głód uczucia, potrzebę urozmaicenia monotonii takiego związku poprzez zdradę małżeńską. A kobieta? Nieszczęśliwa siedzi w domu i bawi dzieci. Co innego jej pozostaje? Powiedz mi, Anno, jak być szczęśliwą w tym kraju, jak znaleźć dobrego męża?

Nie wiem, co powiedzieć. Sprzeczność goni sprzeczność. Natura dopomina się o swoje prawa. A więc natura chce, ażeby młodzi, zanim staną na ślubnym kobiercu, przeszli przez najważniejsze etapy poznawania się - trzymania się za ręce, pierwszą randkę, pierwszy młodzieńczy pocałunek. Ileż emocji jest z tym związanych, ileż wspomnień, ileż rozbudzonych uczuć! Pozbawienie tego wszystkiego młodych ludzi wywołuje ogromną frustrację, z której przykładami spotykam się na każdym kroku.

* * *

Któregoś dnia odwiedzam Martę. Jej mąż jest wyjątkowym algierskim mężem. Przyjemna atmosfera w domu. Dwie śliczne córeczki. Akurat zastaję szwagierkę Marty, młodą, 28-letnią dziewczynę - Nahlę, niezwykle sympatyczną. Nahla nieźle mówi po polsku. Nauczyła się od Marty i jej córeczek. Śmiesznie to wygląda - mówiąca po polsku Algierka! Nahla pomaga w domu Marcie, która szyje i zarabia. Szyje również dla Nahli. Wspomagają się wzajemnie. Nahla opowiada mi historię swojego życia:

Miała 26 lat, w domu zanosiło się na skandal, ponieważ jeszcze nie wyszła za mąż, przynosiła wstyd rodzinie. Nahla ma tylko szkołę podstawową. Na tym skończyła się jej edukacja i zamknięto ją w czterech ścianach. Teraz trzeba było pilnować dziewczyny, aby nigdzie nie wychodziła i miała dobrą opinię. Tylko wtedy była nadzieja, że ktoś poprosi o jej rękę, gdy będzie uważana za porządną dziewczynę z porządnego domu. No i znalazł się taki. Rozwodnik - lat 40. Nahla widziała go tylko raz i postanowiła, że nigdy nie wyjdzie za niego za mąż. Ale rodzice uparli się. W końcu sprawa stanęła na ostrzu noża. Gdy Nahla zaprotestowała głodówką, ojciec zaczął ją podejrzewać, że nie chce wyjść za mąż, ponieważ straciła dziewictwo. Było to okrutne, uwłaczające jej godności oskarżenie, przed którym skapitulowała. Wydano ją za mąż wbrew jej woli. Znalazła się w domu, w którym rządziła teściowa - ”straszna baba”. Życie Nahli ograniczało się do usługiwania teściowej i jej synalkowi. Teściowa decydowała o wszystkim, nawet o tym, w co ma się Nahla ubrać. Mąż nie dawał jej ani dinara, wszystkie pieniądze oddawał matce. Bił ją z byle powodu.

Nahla zaszła w ciążę. W trzecim miesiącu zachorowała, dostała gorączki. Teściowa kazała jej wstać z łóżka i przygotować jak zwykle obiad oraz wysprzątać mieszkanie. Nahla błagała, żeby zabrali ją do lekarza.

- Moja córka ma pięcioro dzieci i nigdy nie była chora, na nic się nie skarżyła, a ty zaczynasz pobyt u nas od udawania choroby? - krzyczała na nią teściowa. - Ja ci dam lekarza, nigdzie nic pójdziesz, do żadnego lekarza!

Tak upłynął tydzień, po czym Nahla w ciężkim stanie znalazła się w szpitalu, do którego musiał zabrać ją własny ojciec. Miała ogólne zakażenie na skutek poronienia i z trudem uratowano jej życie. Po powrocie do domu kazano jej natychmiast zabrać się do pracy. Przepłakała niezliczoną ilość nocy.

W końcu kielich goryczy przepełnił się. Pewnego piątku usłyszała dzwonek do drzwi. Wyjrzała i zobaczyła bliskiego kuzyna swego męża z żoną i dzieckiem. Otworzyła drzwi. Gdy goście odeszli, w domu rozpętało się piekło.

- Jak śmiałaś otworzyć obcemu mężczyźnie? - krzyczała teściowa, a mąż okładał Nahlę, gdzie się dało.

- Jakiemu obcemu? - broniła się dziewczyna. - Przecież to wasza bliska rodzina!

- Nie masz prawa otwierać nikomu, tu ja o wszystkim decyduję! - teściowa nie dała jej dojść do głosu.

Nahla nie wytrzymała. Trzasnęła drzwiami i wybiegła w tym, co miała na sobie. Już dwa lata minęło od tej historii. Nahla przebywa w domu swoich rodziców, przynosząc hańbę całej rodzinie, ponieważ uciekła od męża. Mąż ani myśli dać jej rozwód - na złość. Zatrzymał jej paszport i inne dokumenty.

- Nie martw się - pociesza ją Marta. - Paszport odbierzemy, twoją kartę zamieszkania też. Nigdzie nie jest napisane, że jesteś mężatką. Umiesz gotować wszystkie polskie potrawy (Nahla robi świetny bigos i znakomicie kisi kapustę), więc pojedziemy do Polski i tam wydamy cię za jakiegoś Polaka. W Polsce nikt się nic zorientuje, że jesteś mężatką.

- Ależ Marto, to jest bigamia! - zwracam jej uwagę zaniepokojona.

- Mam to w nosie! Trzeba pomóc dziewczynie! - Marta nic ma żadnych skrupułów.

* * *

- Anno, znajdź mi jakiegoś Polaka! - prosi w pracy Khatima.

- Anno, nie masz dla mnie jakiegoś Polaka? Miałby ze mnie idealną żonę! - indaguje ciągle sąsiadka Rabia. - Zrobię dla niego wszystko,

byleby mnie tylko przyjął i żebym mogła wyjechać z tego kraju, gdzie kobieta nie znaczy nawet tyle, co zwierzę.

Dość często słyszę podobne propozycje od znajomych Algierek, którym opowiadałam o Polsce i łapię się na tym, że zrobiłam swoim rodakom niezłą reklamę.

Ale czy tylko kobiety są nieszczęśliwe?

Odwiedził mnie wczoraj w pracy Djabir, brat Drissa. Mówił o swoim małżeństwie. Cóż z tego, że żona jest dobrą i wykształconą dziewczyną, że pracuje? Nic go z nią nie łączy. Nie ma między nimi żadnego uczucia ani porozumienia duchowego, chociaż żyją bardzo zgodnie. Djabir po przekroczeniu czterdziestego roku życia doszedł do wniosku, że najwyższy czas założyć rodzinę. Ale, jak większość Algierczyków, nie miał mieszkania. Ożenił się więc z nauczycielką, której szkoła dała mieszkanie. Żyją w dobrych warunkach materialnych, ale Djabir szuka miłości. Nie może odnaleźć się w małżeństwie. Sądził, że uczucie przyjdzie z czasem. Nie przyszło. Życie bez miłości nie ma sensu dla tego człowieka. A miłość bez mieszkania też nie jest realna. Błędne koło się zamknęło.

Czerwiec 1994 roku

Sytuacja polityczna w Algierii zaostrza się. Zastrzelono rektora Uniwersytetu Bab Ezzouar, dyrektora urzędu celnego i 32 poborowych w Sidi Bel Abbes.

W gazecie „Liberté" z dnia 5 czerwca ukazał się przerażający artykuł o poczynaniach terrorystów w Médéa, Berrouaghia, Tamezguida. Médéa*, otoczona licznymi górami i lasami, stała się drugim domem terrorystów. W odległości 30 km od Médéa, w Ouamri, spalono 8 autobusów, uniemożliwiając tym samym tysiącu ludziom udanie się do pracy do pobliskich miejscowości. Jedyna apteka została zniszczona, lekarstwa ukradzione. To miasto i bez takich katastrof jest na marginesie planu Rozwoju. Nie realizuje się tam żadnej infrastruktury. Telefon znajduje się tylko w budynku żandarmerii i urzędzie miejskim. Gazety nie dochodzą tu od czternastu lat i miejscowa ludność nie wie nawet, że jest wydawana w Algierii prasa niezależna. Podobnie jest w oddalonej

o kilka kilometrów miejscowości Tamezguida. Deszcze padają tu rzadko. Wody brak, ponieważ projekt wybudowania zbiornika wodnego czeka od trzech lat na realizację. Robotnicy Hydro-Elektra nie otrzymali wynagrodzenia od dziewięciu miesięcy. Jedyny lekarz ośrodka zdrowia wyjechał. Grupy dzieci pokonują codziennie kilometry drogi do szkoły, ponieważ brak jakiegokolwiek transportu. Funkcjonuje tylko jeden, marnie zaopatrzony sklep spożywczy. Trzeba wstać o czwartej rano, ażeby kupić chleb w Médéi. Jedynym miejscem spotkań i rozrywki jest kawiarnia, która zamyka swoje podwoje o 17^{30}. Ma się wrażenie, że człowiek znajduje się na końcu świata. Ten koniec świata posłużył terrorystom za kryjówkę. To tutaj bestialsko zabito dwunastu Jugosłowian pracujących przy budowie zapory wodnej. Kilka dni temu uprowadzono młodego człowieka. Jego głowa została znaleziona przez siły porządkowe w Berrouaghia. Nos i uszy miał obcięte. W Robayia śmierć jest zjawiskiem codziennym. W Ksar El-Boukhari kilku sprzedawców coca-coli stwarza iluzję, że ten okręg ma jeszcze łączność ze światem. Bezrobocie sięga tu 70% populacji aktywnej zawodowo. Większość przedsiębiorstw państwowych została zniszczona. Setki pracowników są na przymusowych urlopach. Rankiem w święto L'Aïd znaleziono tu liczne zwłoki, pokrywające plac publiczny. Młodej dwudziestosiedmioletniej kobiecie po porodzie poderżnięto gardło, ponieważ była siostrą żandarma. Siedmiu pracowników urzędu miejskiego zostało zabitych.

* Stolica województwa Médéa - miasto Médéa leży 91 km od Algieru.

Uzbrojone grupy terrorystów bez obawy spacerują w biały dzień po miasteczkach. Wielu spośród nich to synowie rodzin, które współpracowały z armią francuską w czasie walk niepodległościowych. Zastraszeni mieszkańcy opuszczają nagminnie swoje domy uciekając, gdzie się tylko da. Ci, którzy odmawiają płacenia terrorystom haraczu, giną z podciętymi gardłami, jeżeli wcześniej nie zdążą wyjechać. Ratując swoje życie, tracą najczęściej cały materialny dorobek. O ile w dzień daje się odczuć ciężką atmosferę, o tyle noc jest tragiczna. Z nastaniem godziny policyjnej każdy, za zamkniętymi drzwiami, czeka, kiedy wybije jego godzina. Tutaj codziennie przy całkowitej obojętności władzy

zabijani są ludzie. Mieszkańcy mówią, że terroryści przychodzą w nocy, aby zabrać żywność, pieniądze i zabawić się z ich córkami. „Nawet w rodzinie brak jest zaufania. Twój brat lub nawet twój ojciec może cię sprzedać, ażeby uratować swoje życie. Nauczyliśmy się żyć według zasady: nie widziałem, nie znałem, nie słyszałem".

Na 64 siedziby APC w tym województwie 24 zostały spalone. Żadne przedsiębiorstwo państwowe nie może pracować w tym rejonie ze względu na akcje sabotażowe. Żaden przedsiębiorca prywatny nie chce inwestować z powodu braku bezpieczeństwa. Ośmiu dyrektorów i wicedyrektorów zostało zamordowanych. Okolice te zostały nazwane rzeźnią. Nawet żandarmi nie zapuszczają się w ten region pojedynczo, a jedynie w mocno uzbrojonych grupach.

To zaledwie pobieżne streszczenie artykułu z „Liberté" z niedzieli 5 czerwca 1994 roku. Gdy go czytałam, włosy dosłownie stanęły mi dęba.

* * *

Jestem zaproszona do Hany, która szykuje się do opuszczenia Algierii na zawsze. Z trudem uzyskała zgodę męża na wyjazd dzieci na wakacje. Mąż jej nie domyśla się, że dzieci już nie wrócą. Hana nie ma ochoty wyjeżdżać.

- Przywiązałam się do tego pięknego kraju. Mam tutaj sporo przyjaciół i doskonałą, dającą satysfakcję pracę. Niestety, warunki zmuszają mnie do wyjazdu. Boję się o nasze życie. Czujemy się zagrożeni zarówno ze strony terrorystów, jak i ze strony mojego męża. Popatrz, jak ja pięknie mieszkam! - mówi Hana. - Popatrz na ten piękny kraj. Gdzie w tym wszystkim jest jakiś sens?

* * *

Po obiedzie towarzyszę Anissie do lekarza zakładowego. W ośrodku zdrowia są dwie poczekalnie ogólne - jedna dla mężczyzn, druga dla kobiet. Wąski korytarz prowadzi do następnych dwóch poczekalni przed gabinetami lekarzy. Pacjenci są wywoływani według listy z poczekalni

ogólnych do poczekalni właściwego lekarza. Pada nazwisko Anissy. Idziemy. Zajmujemy miejsce na ławce przed gabinetem. Za chwilę pielęgniarka wymienia nazwisko Yacine, który wchodzi do naszej poczekalni i siada obok mnie, nie zauważywszy z początku, koło kogo siedzi. Nagle „schodzi na ziemię". Widzę przerażenie w jego oczach, chyba chce wyjść.

- Możesz zostać - mówię mu po polsku. - Nie mam zamiaru się z tobą kłócić.

Yacine siada. Patrzę na tego zniszczonego życiem i chorobą człowieka. Poszarzała, zupełnie zmieniona twarz, zgasłe oczy, błądzące bezmyślnie po ścianach. Musi być chory nie tylko psychicznie, ale i fizycznie, zresztą przyszedł do internisty, coś mu więc dolega.

- Jak tam Sonia? Jedzie do Polski na wakacje? - pyta.

Wiem już, że nic ma pojęcia, iż zdecydowałam się na powrót do Polski na stałe. Tym lepiej.

- Nie jedzie, bo nie mam pieniędzy - odpowiadam.

- Ty nie masz pieniędzy? Przecież płacę ci alimenty, aż po 750 dinarów na każde dziecko. To jest bardzo dużo. Mój syn nie kosztuje mnie więcej niż 500 dinarów, więc masz bardzo dużo pieniędzy - bredzi od rzeczy Yacine.

Mój Boże, jego dziecko z drugiego małżeństwa nic kosztuje go więcej niż 500 dinarów miesięcznie! Bzdura! Chociaż... Bardzo prawdopodobne. Ten chory człowiek stracił zupełnie poczucie rzeczywistości i możliwe, że jego wydatki na drugiego syna nic przekraczają 500 dinarów. Biedne dziecko, biedna rodzina.

Yacine zaczyna mi robić różne bzdurne zarzuty, te same, które nie miały końca w naszym małżeństwie. Przy tym wszystko przekręca. Są to błahostki, dla niego mają jednak zasadnicze znaczenie. Całe szczęście, że nasza rozmowa odbywa się w języku polskim i nie muszę wstydzić się przed Anissą.

- Uspokój się! - ucinam krótko ten potok bzdur i Yacine przestaje.

- To był twój mąż? - dziwi się Anissa po wyjściu od lekarza. - Wygląda strasznie, jak mogłaś żyć z takim potworem?

Co mam jej na to odpowiedzieć? Mam opowiedzieć jej dzieje mojego życia i historię choroby Yacine, która go zniszczyła? Zastanawiam się, co czuję w tej chwili do tego człowieka. Nienawiść? Litość? Współczucie? Chyba wszystko naraz. Za swoją chorobę Yacine zapłacił najwyższą cenę - odebrałam mu dzieci. Zastanawiam się, czy ten człowiek cierpi. Jego zachowanie potwierdza, że jest on pozbawiony jakiejkolwiek wrażliwości i uczuć w stosunku do najbliższych i otoczenia. Ale czy z tego wynika, że nie cierpi?

Wizyta u Wandy, jej porwanie

Piątek, 8 lipca 1994 roku

Sytuacja polityczna w Algierii znowu się zaostrzyła. Rodzina emerytowanego żandarma z Bouiry: żona, 23-letni syn i 9-letnia córka zostali zarżnięci w nocy z czwartku na piątek przez uzbrojoną bandę. Telewizja pokazuje okropne sceny. W domu pełno krwi. Trzy trupy z poderżniętymi gardłami. Koszmar! Druga rodzina - z Ain Defla: siedemdziesięcioletni ojciec, jego żona i ich trzydziestoletni syn zostali zamordowani przez grupę terrorystów. W nocy ze środy na czwartek poderżnięto gardła siedmiu marynarzom włoskim, którzy przywieźli do Algierii zboże. Statek stał niedaleko portu Jijel. Marynarze zostali zaskoczeni w czasie snu. Prawdziwa rzeźnia!

Nad centrum Algieru krążą helikoptery.

Jadę do Wandy do R. Znam ją od paru lat, ale niezbyt dobrze. Wiem, że miała i ma podobne problemy do moich. Chciałabym przedstawić je w mojej książce. Mam duszę na ramieniu. Na dworcu wsiadam do autobusu. Nie ma siedzących miejsc. Nagle czuję, że ktoś przyciska się do mnie. Kątem oka spostrzegam za sobą mężczyznę, którego widok przyprawia mnie o dreszcze. Brudny, nie ogolony. Za wszelką cenę usiłuje się do mnie „przykleić". Odsuwam się, jak mogę. Zrobienie awantury w dzisiejszych czasach to niepotrzebne narażanie życia. Dojeżdżam do R. Po drodze robię małe zakupy dla Wandy - owoce, jogurty, sery.

Wanda przyjmuje mnie bardzo życzliwie. Patrzę na jej zniszczoną twarz. Ma dopiero 41 lat! Na skutek wszystkich kłopotów i przeżyć w Algierii - strasznie się postarzała. W wieku 36 lat przekwitła. Oto cena,

jaką przyszło zapłacić matce za walkę o własne dzieci. Jeszcze jedna ofiara kodeksu rodzinnego, uwięziona wbrew własnej woli w Algierii.

- Wando - mówię - mam zamiar wydać książkę. Czy wyrazisz zgodę na opowiedzenie twojej historii?

- Oczywiście! - odpowiada bardzo zdecydowanie Wanda, chociaż jest to nieśmiała, bardzo wrażliwa kobieta, grzeczna i dobrze wychowana. Jestem z nią całe piątkowe popołudnie. Opowiada mi dzieje swojego życia.

Opowieść Wandy

Męża poznałam w Polsce na pierwszym roku studiów, w klubie studenckim. Skończył w Polsce trzyletnie pomaturalną szkołę budowlaną. Pobraliśmy się, gdy byłam na trzecim roku chemii. Przyjechaliśmy na wakacje do Algierii. Mieliśmy już wtedy dziecko. Mąż mój miał bardzo dobre warunki bytowe, teściowie byli bogaci, mieli willę. Dostałam w tej willi jeden pokoik. Popełniłam ogromny błąd. Zamiast wrócić do Polski, ażeby przynajmniej dokończyć studia - zostałam na stałe w Algierii. Teściowa była dla mnie nieprzyjemna, wyraźnie zazdrosna o syna. Teść był miły. Po raz pierwszy w życiu zobaczyłam ogromnego karalucha, kiedy poszłam do ubikacji. Karaluchy były wszędzie. Było to dla mnie straszne. Nic nie mogłam jeść. Mój dzienny posiłek składał się z jednej frytki, połowy pomidora, liścia sałaty. Przez 6 miesięcy schudłam 16 kilo.

Rodzina męża nie umiała gotować. Kiedy pierwszy raz poczęstowali mnie kuskusem z olejem kabylskim, myślałam że zwymiotuję. Mąż podpisał z zakładem umowę o pracę i miał odbyć trzymiesięczny staż we Francji. Pojechałam razem z nim, dziecko zostawiliśmy u teściów. Po powrocie - rozpacz. Kilkuletni synek nie poznał mnie. Zapomniał też zupełnie polską mowę, nie mogłam się z nim porozumieć. Wtedy przysięgłam sobie, że nigdy nie zostawię moich dzieci. To ta przysięga trzyma mnie przy nich w Algierii, gdyż zdaję sobie sprawę, że opuszczenie chłopców to nie tylko pozbawienie ich matki, ale także odcięcie ich od polskich korzeni i oddanie na pastwę obcego społeczeństwa.*

* Olej ten, wytłaczany z oliwek domowych sposobem, bez poddania procesowi rafinacji, ma specyficzny smak.

Po przyjeździe z Francji mąż pracował, a ja kończyłam studia na uniwersytecie w Algierze - uzyskałam licencję z chemii i fizyki. Zaczęłam pracę zawodową. Najpierw w liceum dla chłopców na Vieux Kouba, potem przeprowadziliśmy się do R., gdzie mój mąż dostał mieszkanie i znalazł mi znowu pracę w liceum. Wtedy jeszcze w liceum językiem wykładowym był francuski. Dostawałam 40% więcej niż Algierczycy, zgodnie z obowiązującymi wtedy przepisami. W międzyczasie urodziłam drugiego syna. W liceum w R, pracowałam 10 lat. Atmosfera była wspaniała. Wszystkie zarobione pieniądze musiałam oddawać mojemu mężowi na wspólną książeczkę CNEP. Mieliśmy samochód i pokaźne oszczędności. Mąż postanowił zainwestować te pieniądze. Najpierw planował kupić działkę i wybudować dom. Działki nie znaleźliśmy, więc zdecydował się kupić za grube pieniądze dwa sklepy - jeden w R., drugi w B. Ciągle ostrzegał mnie, że nikt nie może się o tym dowiedzieć - ani jego rodzina, ani znajomi. Zaczął coraz bardziej liczyć pieniądze. W roku 1988 dawał mi 800 dinarów na życie. To on miał „kasę" i robił, co chciał, mimo że nadal pracowałam zawodowo. Kiedy wyjeżdżałam z dziećmi na wakacje do Polski, z dokładnością do jednego dinara spisywał wszystkie wydatki. Kiedy mówiłam mu, że nie wystarcza mi 800 dinarów na prowadzenie domu, wtedy pokazywał tę swoją listę wydatków związanych z naszymi wyjazdami do Polski i mówił: „Popatrz, ile ja na ciebie wydaję pieniędzy!"

W roku 1988 nastąpiła arabizacja i językiem państwowym stał się arabski. Nie mogłam dalej pracować w liceum, ponieważ nie znałam języka arabskiego. Musiałam opuścić szkołę. Zgotowano mi w niej pożegnanie, którego nigdy nie zapomnę. Dostałam masę kwiatów, wszyscy płakali, a dyrektor palnął taką mowę, że hej!

Mąż znalazł mi pracę w Instytucie Kolejnictwa w R. Niestety, nie płacili tam regularnie. Kiedyś jechaliśmy samochodem do naszego sklepu. W samochodzie mąż urządził straszną scenę. Zaczął krzyczeć jak szalony, że wjedzie w drzewo i zabije mnie i siebie. Potem zatrzymał się i pobił mnie. Powód? Podobno sąsiadka dowiedziała się, że mamy sklep w R. Podobno. I tylko z tego powodu tak mi się dostało. Typowa algierska mentalność: brak zaufania, nawet do najbliższego człowieka. Muszę ci

powiedzieć, Anno, że nie był to jego pierwszy tak skandaliczny wybryk. Kilkakrotnie towarzyszył nam w wakacyjnym wyjeździe do Polski. A w Polsce tylko pierwszy tydzień z nim był znośny. Dalszy pobyt to był istny koszmar. Gniewał się o byle co, krytykował ciągle Polskę i nasze zwyczaje, nienaturalnie się podniecał przy najmniejszej okazji. Będąc w Polsce na wakacjach, dwukrotnie podejmowałam decyzję o pozostaniu na stałe w kraju. I zawsze kończyło się tak samo. Mąż szalał, płakał, klękał, przyrzekał poprawę i zapewniał nas o swojej miłości, chociaż starszego syna Daniela nigdy nie traktował jak swoje dziecko, miałam wrażenie, że go nienawidzi. W końcu ulegałam i wracałam, chociaż rodzice błagali mnie, żebym została, bo chyba przeczuwali zbliżającą się tragedię. Jestem jedynaczką, rodzice są dobrze sytuowani, mają dom. Ale widzisz, jaka ja jestem! Miękka, wrażliwa, mam dobre serce. Nie chciałam odbierać synom ojca.

Kiedyś, po jednej z jego licznych awantur, chciał zaraz mieć zbliżenie. Nie zgodziłam się. Kazał mi wyjść z pokoju.

- Jeśli wyjdę, to już nie wrócę! - oświadczyłam twardo i słowa dotrzymałam.

Nie wróciłam do jego sypialni, ale dalej z nim mieszkałam i chodziłam do pracy do instytutu. Przestał zupełnie dawać na utrzymanie domu, a ja nie miałam swoich pieniędzy, ponieważ były one na książeczce CNEP. Wtedy był już jedynym właścicielem tej książeczki, ponieważ cofnął mi upoważnienie. Wreszcie przyszły pieniądze - wypłata z instytutu. Schowałam je. Wpadł w szał. Zaczął wrzeszczeć:

- Gdzie są pieniądze?

- Ty nie dajesz na utrzymanie domu, ja nie będę ci wobec tego nic oddawała! - oświadczyłam.

- Ja ci pokażę, ja ci pokażę! - wrzeszczał i całą noc szukał tych pieniędzy.

Na szczęście nie znalazł. Następnego dnia wyniosłam 10 000 dinarów do koleżanki. Wieczorem rozpętało się piekło. Szalał.

- Nie dałaś pieniędzy - nie idziesz jutro do pracy! - oświadczył z pianą na ustach.

Zabrał klucze od domu. Do pracy nie poszłam, bo nie mogłam zostawić otwartego mieszkania. Zresztą bałam się, że może mi zrobić

coś złego, bo awanturował się codziennie i o byle co. Kilkakrotnie ciężko mnie pobił, powyrywał włosy. Tłukł moją głową o ścianę. Wzięłam od lekarza przysięgłego zaświadczenie o pobiciu. Wiedziałam, że do Polski z dziećmi już mnie nie puści. Pozostawał mi tylko rozwód.

Mąż sąsiadki - adwokat - dużo mi pomógł i to bezpłatnie. Nigdy nie wziął ode mnie pieniędzy. Pod napisaną przez niego petycją do sądu podpisali się wszyscy sąsiedzi. Mój mąż bał się sądu jak ognia. Dosłownie jak diabeł święconej wody. Na pierwszą rozprawę nie poszedł. Rano przed rozprawą zaczął udawać wariata. Chodził na czworakach i krzyczał: „Przez całe życie będę siedział na drzewie i patrzył z niego na mój dom i moje ukochane dzieci". Przyszli sąsiedzi i przy świadkach złożył obietnicę, że wyprowadzi się z domu i przestanie nam dokuczać.

Z domu rzeczywiście się wyprowadził, ale zaczął wydzwaniać do mnie całymi nocami, a po dwóch tygodniach przyszedł, żeby zabrać dzieci na weekend. Dzieci oczywiście nie zabrał, z domu nie poszedł, tylko został. Piekło zaczęło się na nowo. Tym razem już oboje stanęliśmy przed sądem. No, ale zgodnie z algierskim prawem, zgodnie z kodeksem rodzinnym - rozwodu nie dostałam, ponieważ mąż nie wyraził zgody! To nic, że miałam kilka zaświadczeń od lekarzy sądowych o ciężkim pobiciu. To nic, że adwokat wniósł podpisaną przez wszystkich lokatorów skargę na skandaliczne zachowanie się mojego męża. Zgodnie z prawem - woli mężczyzny, pana i władcy - sprzeciwiać się nie można! Jeżeli ten pan i władca chce dostać rozwód - proszę bardzo, otrzyma go bez żadnych dowodów rzeczowych, bo taka jest jego wola! Jeżeli sponiewierana do granic ostateczności, bita żona wystąpi o rozwód - nie otrzyma go, jeżeli pan i władca nie wyrazi zgody, bo taka jest jego wola!

Odwołałam się do sądu wyższej instancji, w Tizi Ouzou w Kabylii. Była to jedyna szansa na uzyskanie rozwodu. Po wielomiesięcznych perypetiach, o których nie mam ochoty opowiadać, dostałam rozwód z prawem do dotychczas zajmowanego mieszkania. Sąd, podobnie jak w twojej sprawie, nie miał odwagi tak po prostu wyrzucić mnie z dziećmi na ulicę. Ale w moim przypadku doszedł jeszcze jeden argument.

Udowodniłam, że rodzice mojego męża sa bogaci, posiadają willę i mąż ma gdzie się wyprowadzić.

Po rozwodzie, pomimo że to mnie przyznano mieszkanie i opiekę nad dziećmi - mąż ani myślał opuścić mieszkanie. Przyprowadził matkę i siostrę i bardzo mnie pobił. Nie mogłam ruszać ręką. Wzięłam zaświadczenie od lekarza sądowego. Złożyłam skargę u prokuratora. Otrzymałam od niego dobrą radę, żeby zmienić zamki. Żadnych konsekwencji wobec mojego byłego męża nie wyciągnięto.

Posłuchałam rady pana prokuratora. Zmieniłam zamki. Myślałam, że coś wygrałam. Nagle, gdzieś około dziesiątej w nocy odchyliły się żaluzje, rozległ się huk tłuczonego szkła i w oknie ukazała się głowa byłego męża. Jak on wlazł na to pierwsze piętro? Nasz krzyk zaalarmował sąsiadów. W domu rozpętało się piekło. Ktoś powiadomił policję, która przyjechała i zabrała napastnika. Na drugi dzień ja również zostałam wezwana na komisariat.

- *Jak cię traktowano na policji? Jak to odczuwałaś? - pytam Wandę.*

- *Patrzono na mnie bardzo nieprzyjaźnie i chociaż nikt tego nie powiedział, czułam, że jestem dla nich polską k.... która jak najszybciej powinna opuścić święty kraj islamu i która doprowadziła swojego męża do zguby.*

- *No, a jakie sankcje policja zastosowała w stosunku do twojego byłego męża?*

- *Żadnych. Po prostu został wypuszczony, pomimo że nie był już moim mężem w momencie, kiedy mnie pobił i pomimo iż policja dysponowała moim oficjalnym oskarżeniem, złożonym na piśmie.*

No cóż, myślę sobie, wszystko odbywa się „zgodnie z prawem". Jakim? Prawem dominacji mężczyzny w świecie, w którym kobieta zepchnięta jest na samo, dno społeczne.

Wanda odpala papieros od papierosa. Trzęsą się jej ręce. Jej twarz jest stara, szara i pomarszczona.

- *Zabrał całą moją biżuterię, papiery, dyplomy, książeczkę rodzinną, wszystko. Po szesnastu latach pracy zawodowej jestem bez grosza.*

- *To z czego żyjesz? - pytam.*

- Dostaję marne alimenty, ale tylko na młodsze dziecko. Na starszego Daniela nie płaci, stwierdził, że syn jest już pełnoletni. A przecież Daniel studiuje i potrzebuje pieniędzy. Przez kilka lat szyłam szmaciane lalki i sprzedawałam je znajomym. Potem piekłam ciastka arabskim rodzinom. Ostatnio pracowałam w sklepie u znajomej Polki, która mieszka niedaleko. Ale ze względu na sytuację polityczna, i mordy popełniane na cudzoziemcach Polka sklep zamknęła, a mnie wszystko się urwało. Gdyby nie sąsiedzi z dzielnicy, którzy z okazji różnych arabskich świąt składają się i przynoszą mi pieniądze - zawsze po kilka tysięcy dinarów - umarłabym chyba z głodu.

- A twój były mąż zostawił cię w spokoju?

- Ale gdzie tam! - Wanda nerwowo szarpie papieros. - Odwołuje się ciągle do różnych sądów, a to o wyrzucenie mnie z mieszkania, a to o odebranie mi praw matki! Już mi się wszystko miesza: daty, sądy, prokuratorzy i policja. Ostatnie kilka lat spędziłam na korytarzach w tego typu instytucjach. I końca nie ma. Dobrze, że mąż sąsiadki, adwokat, prowadzi mi wszystkie sprawy za darmo. A gdybym musiała płacić za to wszystko? Przecież adwokata muszę mieć, nie znam języka arabskiego, obce mi są tutejsze prawa.

Myślę sobie, że chwała tym prostym ludziom z dzielnicy, którzy pomagają naszej rodaczce. Chwalą temu adwokatowi i jego żonie, tak dzielnie wspierającym Wandę.

- A czy ty wiesz, Anno, kto pomógł mi wymienić wtedy zamki u drzwi? Sąsiad, brodacz, zwolennik partii FIS, jawnie się z tym manifestujący. To on, pomimo że przedtem nigdy mi się nie kłaniał, usłyszawszy skądś o moich problemach i o tym, że jedynym wyjściem z mojej sytuacji byłaby zmiana zamków, sam zaproponował mi tę przysługę.

No cóż, myślę sobie, żadne przynależności ani orientacje polityczne nie świadczą o wartości człowieka. Ja przecież też przyjaźnię się z Algierczykiem, praktykującym muzułmaninem.

Żegnam się z Wandą, która gorąco mnie zapewnia, że mogę napisać o tym wszystkim, co tutaj usłyszałam.

- Napisz jeszcze, Anno - dodaje już w drzwiach - że po 16 latach pracy zawodowej w Algierii „dzięki" mojemu mężowi nie mam co jeść,

a gdyby przyszło mi wracać do Polski, musiałabym chyba iść na piechotę. Jestem skończonym zerem ze zrujnowanym zdrowiem i bez żadnego dorobku materialnego. Mam wrażenie, że całe moje życie upłynęło na wycieraniu sądowych ławek w tym arabskim kraju. Nie zapomnij o tym napisać, Anno!

Nie zapomniałam.

12 lipca 1994 roku

Wczorajszy poniedziałek był chyba jednym z najkrwawszych znanych mi poniedziałków. Rano w jednej z dzielnic Algieru - Oued Ouchaïeh - został zatrzymany autobus wiozący do pracy w Sonatrach robotników, wśród których było pięciu cudzoziemców: Rosjanin, dwóch Białorusinów, Ukrainiec i Rumun. Szofer zatrzymał się na widok dwóch uzbrojonych mężczyzn stojących na środku ulicy sądząc, że są to policjanci po cywilnemu. Uzbrojeni osobnicy weszli do samochodu. Wyprowadzili pięciu cudzoziemców z autobusu, a następnie rozstrzelali.

Do restauracji „Mouflon d'Or" wszedł przebrany za policjanta terrorysta i dokładnie zlustrował wnętrze. Ujrzawszy dwóch cudzoziemców, siedzących w towarzystwie dwóch Algierczyków, dał znak swoim kompanom, którzy wdarli się do środka i oddali serię z broni maszynowej. Dwóch obywateli byłej Jugosławii i dwóch pracowników wyższego nadzoru z przedsiębiorstwa COSIDER zginęło na miejscu.

Zabito także w stolicy dwóch intelektualistów algierskich: dyrektora *L'Ecole Nationale Vétérinaire** i naczelnego dyrektora *L'Agence Nationale des Equipementes et de la Formation Professionnelle***.

* Państwowej Szkoły Weterynarii.

** Państwowego Biura Wyposażenia i Kształcenia Zawodowego.

13 lipca 1994 roku

Telefon od Marii.

- Anno, terroryści porwali Wandę ze stacji benzynowej, trzymali ją całą noc w górach, jej koleżankę Algierkę zabili, poderżnęli jej gardło i

wyrzucili w centrum stolicy, a naszą Wandę puścili, ale syn nie poleciał do Polski! - Marii plączą się bezładnie słowa.

Niewiele mogę się dowiedzieć od Marii, nie chcę też pytać za dużo, chociaż mówimy po polsku. Wiem, że telefony są na podsłuchu, a Maria dzwoni do mnie do pracy. Zresztą zdawkowe informacje o tym wydarzeniu znajdują się w prasie. Szczegółów dowiaduję się od serdecznej koleżanki Wandy. W poniedziałek po mojej piątkowej wizycie Daniel miał lecieć do Polski. Dzień przed jego odlotem Wanda wybrała się z koleżanką Algierką samochodem na lotnisko, żeby załatwić jakieś formalności związane z wyjazdem syna do Polski. Po drodze zatrzymały się na stacji benzynowej na obrzeżach R. Algierką zajmowała się tankowaniem benzyny do swojego samochodu, Wanda stała na zewnątrz. Wtedy podjechał jakiś samochód. Uzbrojeni mężczyźni przystawili Wandzie pistolet do pleców i kazali wsiąść do ich samochodu. Dlaczego Wanda? Był to akurat okres nagonki na cudzoziemców, a ona wyróżniała się już z daleka słowiańską urodą. Zapakowali ją do samochodu, zawiązali oczy. Usłyszała, jak porozumiewali się ze swoim szefem i chociaż mówili po arabsku, zrozumiała. Informowali oni swego szefa, że złapali jakąś cudzoziemkę i pytali, co mają z nią zrobić. Szef kazał przywieźć ją do siebie.

Koleżanka Wandy dzielnie podążała swoim samochodem tropami terrorystów. Ci, zorientowawszy się, że są śledzeni, zatrzymali samochód Algierki i kazali jej wsiąść do ich samochodu. W ten sposób obie kobiety znalazły się razem i wieziono je gdzieś w góry. Wreszcie terroryści dotarli do swojej kryjówki i do swojego szefa. Rozpoczęło się żmudne śledztwo, którego myślą przewodnią było: „Wszyscy cudzoziemcy dostali od nas nakaz opuszczenia Algierii. Co pani tu jeszcze robi? Jakie są pani poglądy polityczne? Co pani myśli o islamie?"

Przesłuchiwano każdą z kobiet osobno przez całą noc. Nad ranem Wandę zwolniono. Jej koleżankę znaleziono w tym samym dniu około 18^{30} w centrum Algieru z poderżniętym gardłem. Makabra!

Wanda, pomimo strasznego niebezpieczeństwa, które jej grozi w każdej chwili, nie chce wracać do kraju bez młodszego syna. Starszy

jest już wolny, ukończył 19 lat i mógł wyjechać, gdyby nie tragiczna przygoda matki, która zatrzymała go w Algierii. Wanda załamała się nerwowo, straciła wszelką nadzieję. Podobno jest już wrakiem człowieka, nie wiadomo, czy dożyje jutra. Zniszczyło ją okrutne i bezwzględne prawo wymyślone przez złych ludzi, by zdeptać naturalne i święte związki matki z dziećmi.

Czy społeczeństwo, które sankcjonuje lekceważenie, pogardę i dyskryminację matek, może oczekiwać od obywateli szacunku dla ojców? Poszanowania człowieka w ogóle? Wszak rodziców mamy dwoje... Dokąd zaprowadzi ten naród pogarda dla człowieka i nietolerancja?

Koniec lipca 1994 roku

Znajomi ostrzegają mnie, żebym nigdzie nie wychodziła. Dobre sobie! Muszę przecież doprowadzić do końca swoje sprawy zawodowe i odpowiednio przygotować się do wyjazdu. Oczywiście, mogę wyjechać w ciągu jednego dnia, to bardzo proste zostawić wszystko rozgrzebane i zdezorganizowane. Tylko, co potem? Przecież w Polsce muszę zacząć życie od nowa, od zera, nie mogę zaczynać od bałaganu i od tłumaczenia się przed polskimi urzędami, że nie mam stosownych zaświadczeń, gdyż uciekłam w popłochu.

Chodzę więc do pracy oraz załatwiam różne sprawy. Myślę sobie, że gdyby miano mnie na oku, już dawno bym nie żyła, gdyż moja codzienna droga do zakładu jest wszystkim znana. Znają mnie także wszyscy mieszkańcy dzielnicy, ponieważ jestem jedyną cudzoziemką.

Często odwiedzam naszą ambasadę, bo ciągle mam tam coś do załatwienia. Konsul jest wspaniałym człowiekiem. To dzięki niemu atmosfera w konsulacie jest bardzo przyjemna. Ambasady pilnują polscy „gorylе", przystojni i weseli młodzi chłopcy. Można zawsze z nimi pożartować i pośmiać się.

- Anka, ustrzelą cię, dlaczego nie chodzisz w chustce, tylko z odkrytą głową? - martwi się Magda.

Jak przy czterdziestostopniowych upałach zawiązać sobie jeszcze chustkę na głowę?

- Pani Aniu - pociesza mnie konsul - niech się pani nie martwi! Jeżeli jest pani na ich liście, to nawet chustka nie pomoże. A jeżeli pani nie jest, można się jeszcze trochę poprzemieszczać.

Więc przemieszczam się, ale tylko w obrębie centrum.

* * *

Jest cudowne, a zarazem koszmarne lato. Ostatnie moje lato w Algierii.

- A może byśmy tak skoczyły w piątek na plażę? - proponuje Anissa na początku lipca.

- Zwariowałaś? Ty i ja - już lepszego duetu nie mogłybyśmy stworzyć!

Anissa nie daje jednak za wygraną, a ja myślę o swojej nerwicy, o kręgosłupie Soni i zaleceniach lekarzy - pływać, pływać. Pokusa jest zbyt silna.

W końcu dochodzimy z Anissa do porozumienia. Ja mam ukryć pod chustką moje jasne włosy i założyć tradycyjną, długą do ziemi suknię. Anissa ma ubrać się podobnie. Z Sonią nie ma kłopotu - ma przecież arabską urodę. Bierzemy jeszcze ze sobą Tarika i jedziemy. Ale dokąd jechać, żeby było najbezpieczniej? Wybieramy małą plażę w niewielkiej odległości od miasta. Jest tam dużo ludzi ale, niestety, prawie sami mężczyźni. Całe szczęście, że jest z nami Tarik, inaczej zostałybyśmy „zjedzone" oczami przez tych wygłodniałych samców. Ogromny parasol nieźle chroni nas nie tylko przed słońcem, ale także przed wszystkimi ciekawskimi oczami.

Morze jest cudownie ciepłe, spokojne. Za każdym razem kiedy do niego wchodzę - nie mam ochoty wyjść. Czuję zbawienny wpływ lekkich uderzeń delikatnych fal na moje ciało, czuję rozgrzewający mnie wodny masaż. Jest mi tak dobrze. Rozmawiamy i pływamy. Słońce i woda morska koi moje rozklekotane nerwy.

Nie kończy się na jednej wyprawie, jeździmy na plażę co piątek. Jak to dobrze, że Anissa ma samochód. Elegancka dziewczyna, elegancki samochód, europejski sposób myślenia. Anissa zaplanowała sobie wyjazd

do brata w San Francisco. Mogła jechać wcześniej, ale chce abyśmy ten czas, który nam pozostał, spędziły razem. Postanowiła więc swój urlop rozpocząć w dwa dni po moim wyjeździe z Algierii, który nastąpi pod koniec sierpnia. Sąsiedzi krzyczą na mnie, że chyba postradałam zmysły, jeżdżąc na plażę. W pracy też patrzą na mnie jak na wariatkę, ponieważ jestem opalona, z czego prosty wniosek, że weekendy spędzam poza domem. Rzeczywiście, ulice Algieru, szczególnie w piątki, wyglądają nieciekawie. Sami mężczyźni, kobiet ani na lekarstwo. Ponure twarze, złe spojrzenia, brody.

Za trzecim razem Tarik nie jedzie. Jesteśmy więc we trzy: Sonia, Anissa i ja. Na drodze zostajemy zatrzymane przez żandarmów. Jeden z nich zagląda nam do samochodu. Widząc trzy kobiety same - klnie na czym świat stoi. Wiem, o co mu chodzi. O to, że w takiej sytuacji politycznej poruszamy się same, bez mężczyzn i to jeszcze ekskluzywnym samochodem. Ja jednak mam jakieś wewnętrzne przeczucie, że nic mi się nie stanie. Ten głos wewnętrzny jest tak silny, że na nic nie zdają się upomnienia i krzyki moich znajomych: „Nie chodź do pracy, siedź w domu, wyjeżdżaj natychmiast!”

Wierzę w Opatrzność Boską, teraz wierzę. Nie po to musiałam aż tyle wycierpieć, żeby teraz tak marnie zginąć. Cierpienie musi mieć swój sens, a moja śmierć w tym momencie byłaby bezsensowna. Nie znaczy to jednak, że nie zdaję sobie sprawy z niebezpieczeństwa i że jestem lekkomyślna. Sama siebie nie mogę poznać, gdy wystroję się przed wyjazdem na plażę. Suknia długa do samej ziemi, głowa szczelnie okręcona chustką, na twarzy ani śladu makijażu.

Żegnaj, Algierio!

Sierpień 1994 roku

Szybko mijają dni w natłoku codziennych spraw. Powoli zbliża się 3 sierpnia - ostatni dzień mojej pracy. Planujemy z Anissą uroczyste pożegnanie. Ale jak to zrobić, gdy sporo osób z mojego działu ze mną nie rozmawia? Piszę na komputerze uroczyste zaproszenia.

- Daj tylko tym, z którymi rozmawiasz - doradza mi Anissa.
- Nigdy! Albo wszystkim, albo nikomu!

Zbieram się na odwagę, biorę zaproszenia i chodzę od pokoju do pokoju. Zaskoczenie jest ogromne, gdy swoim największym wrogom wręczam zaproszenia, prosząc o przybycie na imprezę, która ma odbyć się o godzinie 15^{00} w sali konferencyjnej, udostępnionej mi na ten cel przez zakład. Nawet dyrektor naszego działu oraz mój były dyrektor T., któremu zawdzięczam przyjęcie do pracy, obiecali przybycie. Dodatkowo zapraszam kilku przyjaciół z innych działów. Będzie też Sonia i cała rodzina szefowej. W sumie około 50 osób, jeśli wszyscy przyjdą. W cukierni w centrum Algieru zamawiamy z Anissą miniaturowe ciasteczka i miniaturową pizzę, w stołówce - oranżadę. Wszystko odbywa się sprawnie. Myślę o tym, czy zaprosić Drissa, który wie, że 3 sierpnia jest ostatnim dniem mojej pracy. Nie umiem podjąć żadnej rozsądnej decyzji, jeżeli chodzi o jego osobę.

Nadchodzi ten dzień sierpnia. O dwunastej jedziemy z Anissą po zamówione ciastka i pizzę, Kamil z Hamidem zajmują się dostawą oranżady. Po drodze kupuję trzy ogromne bukiety róż - dla szefowej i dwóch dyrektorów. W powrotnej drodze widzę na chodniku niedaleko zakładu Drissa z kolegami. Co za zbieg okoliczności! Zupełnie o nim zapomniałam! Wracamy obładowane kartonami ciastek. Dowiaduję się, że mój dział też organizuje mi pożegnanie. Kupili mnóstwo ciastek

i coca coli. Kilka dni wcześniej otrzymałam wspaniałe prezenty od moich przyjaciół. Anissa ofiarowała mi prześliczny arabski serwis do kawy, jej szef - oryginalny, arabski dzbanek, Khatima - kabylski naszyjnik, Nassiba przyniosła ogromną pakę, w której znalazłam ręcznie tkaną narzutę, dwa pokrowce na poduszki oraz skórzany puf. Kamil ofiarował mi dużą, srebrną broszkę - oryginalny kabylski wyrób.

Zbliża się godzina 15. Jeszcze raz czytam w biurze przemówienie, które poprzedniego dnia napisałyśmy z Sonią po francusku. Łapię za słuchawkę i wykręcam numer Drissa.

- Za pięć minut w sali konferencyjnej na dziewiątym piętrze odbędzie się moje uroczyste pożegnanie z kolegami. Jesteś zaproszony razem z Habibem. Przyjdziesz?
- Oczywiście! - odpowiada wyraźnie ucieszony.

Z bijącym sercem idę do sali. Ciekawa jestem, kto przyjdzie. A może będzie tylko kilka osób, a wszyscy pozostali zbojkotują przyjęcie? Skądże znowu! Są wszyscy, nie brakuje nikogo. Przeszło 50 osób! Ogromny stół zajmujący całą długość sali konferencyjnej jest suto zastawiony. Wszyscy stoją dookoła i ja też zajmuję miejsce. Robi się cicho. Dyskretnie kładę na stole kartkę z moim przemówieniem. Zaczynam mówić, chociaż po raz pierwszy w życiu zabieram głos przed tak licznym audytorium.

Szanowni Państwo!

Jestem szczęśliwa, że mogłam tutaj zebrać wszystkich Państwa - moich przełożonych, kolegów, przyjaciół.

Dzisiejszy dzień jest dla mnie szczególnym dniem: to ostatni dzień mojej pracy w Algierii. Niedługo powrócę do Polski. Bardzo żałuję, że opuszczam Wasz przepiękny kraj, którego urok podziwiałam przez szesnaście lat mojego pobytu. Zielona natura wokół mnie, świecące przez cały rok słońce, mój kosz na zakupy napełniony zawsze świeżymi owocami - wszystko to zachwycało mnie ogromnie. Niestety, piękny sen kończy się, ponieważ wydarzenia, o których wszyscy wiemy, zmuszają mnie do powrotu do Polski - do kraju, gdzie nie zawsze świeci słońce, w zimie pada śnieg, wieje wiatr i sroży się mróz, a świeże owoce są tylko przez

kilka miesięcy w roku. Żałuję nie tylko tego, że opuszczam Algierię, ale także żałuję, że opuszczam S. - zakład, w którym przepracowałam 7 lat. W przedsiębiorstwie tym, a szczególnie w moim dziale znalazłam przyjemne atmosferę, która pozwoliła mi na wykonywanie mojej pracy w bardzo dobrych warunkach. Znalazłam tu również wyrozumiałych zwierzchników. Bardzo im za to dziękuję. Dziękuję również moim kolegom za wspaniałą współpracę, a szczególnie za chęć niesienia mi pomocy w każdym trudnym momencie życia. Na zakończenie życzę Wam wszystkim i Waszemu przepięknemu krajowi dużo szczęścia i powodzenia na przyszłość.

Dziękuję.

A teraz pozwolą Państwo, że zgodnie z polskim zwyczajem, ofiaruję kwiaty moim przełożonym.

Rozlegają się brawa. Biorę bukiety róż i wręczam mojej szefowej oraz dwóm dyrektorom. Kwiaty, pocałunki, brawa kolegów. Atmosfera jest mila i swobodna. Cały czas cyka aparat w rękach jednego z kolegów. Naszym polskim zwyczajem biorę tacę i podchodzę do stojących w grupach osób, prosząc o częstowanie się. Wszystkim się to bardzo podoba. Dostaję dużo prezentów - od Felli ręcznie malowany, piękny obraz przedstawiający Casbah, od dentystki kabylską broszkę, od Fadiego tradycyjną pamiątkę z Sahary, od wszystkich kolegów z mojego działu oryginalną srebrną tacę na owoce. Goście powoli rozchodzą się, a ja podchodzę do Drissa i mówię mu do widzenia w przekonaniu, że już nigdy więcej się nie zobaczymy.

Zostaje nas na sali garstka przyjaciół - smutna tego dnia Fella, wesoła jak zawsze Khatima - dusza towarzystwa, Anissa, Fadi, Kamil, Hamid. Robimy sobie ostatnie pamiątkowe zdjęcia. Pora się żegnać. Wiedzą, że odlatuję dopiero za trzy tygodnie i że jeszcze do nich wpadnę, dlatego nie rozstajemy się definitywnie. Ale choć wiem, że ich jeszcze zobaczę - jest mi smutno, bo zdaję sobie sprawę, że nadejdzie ten dzień, kiedy trzeba będzie się rozstać z nimi na zawsze. Patrzę na uprzątnięte już biurko, przy którym zasiądzie Khatima. Chyba nigdzie już nie będę miała takich warunków pracy. Dwa komputery, wyrozumiałe szefostwo,

wspaniały kompan biurowy i roztaczający się z okna widok na Algier, na morze i stojące w porcie statki. Ten widok będzie już do końca życia powracał w moich myślach. Nigdy nie potrafię wymazać go z pamięci.

Na drugi dzień, 4 sierpnia 1994 roku - horror w dzielnicy Dely Ibrahim. O 7^{30} rano samochód marki nissan sforsował zaporę wejściową na placu przed budynkiem szkoły francuskiej. W wyniku ostrej wymiany ognia z terrorystami zginęło na miejscu dwóch francuskich żandarmów. Druga wymiana ognia nastąpiła przy wyjściu. Zginął jeden żandarm francuski i dwóch pracowników francuskiego konsulatu. Do Algieru przylatuje minister spraw zagranicznych - Alain Jupe i minister obrony - François Léotard. Paryż ostro potępia mord dokonany na pięciu Francuzach, wzywając wszystkich swoich obywateli, których obecność w Algierii nie jest konieczna, do opuszczenia tego kraju. Od września ubiegłego roku zabito w Algierii pięćdziesięciu sześciu cudzoziemców, w tym piętnastu Francuzów. Krwawa rzeź trwa!

Zwijam się jak w ukropie. Trzeba uporządkować wszystkie dokumenty, posortować książki, które zabierzemy, uporządkować mieszkanie. Cały mój dobytek stanowi telewizor kolorowy, lodówka i mała, zwykła pralka. Zostawiam to wszystko gospodarzom za uzgodnioną wcześniej cenę.

W zakładzie pracy wypłacają mi wynagrodzenie za ostatni przepracowany miesiąc oraz za półtora miesiąca urlopu. Jest to spora suma pieniędzy, ale też wydatki mam ogromne. Jestem dłużna Marii 7 tysięcy dinarów i Dorocie 5 tysięcy. Muszę zapłacić za transport około 200 kilogramów książek. Kupuję na czarnym rynku 2000 FF, za które płacę 30 000 dinarów. Nie mam już za co kupić prezentów dla rodziny, a Sonia nie ma nawet butów na podróż. Patrzę na materialny dorobek mojego życia. 16 kartonów z książkami córki. Pościel. Trochę ciuchów. W kieszeni 2000 FF. Prawdziwa nędza. Ale ja czuję się bogata i silna tą wewnętrzną siłą, której nie potrafię opisać, a która napędza mnie już od wielu lat. Dokąd mnie ona zaprowadzi?

* * *

Zostaję zaproszona przez Anissę, jej szefa i jednego z kolegów na pożegnalny obiad do restauracji. Nowo otwarta, przyjemna knajpka o ciepłym nastroju i miłej obsłudze. Po posiłku zamawiam sobie dwa piwa. Koledzy, ażeby zrobić mi przyjemność, również zamawiają piwo dla siebie. Mijają wspaniałe dwie godziny w doborowym towarzystwie, w którym czuję się świetnie i z którym doskonale znajduję wspólny język. W pewnej chwili zapomniałam, że są to Algierczycy, muzułmanie, mieszkańcy innego kontynentu. Wydaje mi się, że jestem u siebie w kraju, otoczona bliskimi mi osobami. Zniknęły wszelkie bariery między nami, ponieważ jestem wśród ludzi inteligentnych, wrażliwych i myślących, toteż ani kolor skóry, ani rasa, ani religia nie mają w tym momencie żadnego znaczenia.

Wracam do domu w dobrym humorze.

Będąc w mieście, odwiedzam Anissę w biurze. Przyjaciółka informuje mnie, że szukają mnie panie z centrali telefonicznej naszego zakładu. Idę się pożegnać. Dostaję od nich piękną pamiątkę - trzy wielbłądy idące po Saharze, odlane z jakiegoś metalu.

- Nigdy pani nie zapomnimy - rozklejają się panie telefonistki. - Po raz pierwszy ktoś o nas pamiętał z okazji 8 marca. Wszędzie mamy na ścianach te wspaniałe pamiątki, które dostałyśmy od „Numeru 26-55”*. Tego numeru nigdy nie zapomnimy. Życzymy pani szczęścia.

* Wewnętrzny numer telefonu do biura, w którym pracowałam (co roku z okazji Międzynarodowego Dnia Kobiet mobilizowałam Kamila do wspólnego ofiarowania paniom telefonistkom bukietu kwiatów, z dołączonym bilecikiem „Od numeru 26-55”).

* * *

Wywołuję zdjęcia z uroczystości zakończenia mojej pracy. Są bardzo udane. Zanoszę je do zakładu, wszystkim się podobają. Przy okazji umawiam się z Drissem na czwartek. Sądziłam, że już nigdy go nie

zobaczę, a tymczasem zadzwonił dowiedziawszy się, że przyszłam do biura. Spędzamy razem siedem godzin! Najwspanialszych godzin, jakie może sobie podarować mężczyzna i kobieta. Dzisiaj w jego spojrzeniu widzę wyraz bezsilności człowieka, który chciałby zatrzymać coś dla siebie i nie może. Staram się tego nie dostrzegać. Wyjątkową przyjemność sprawia mi słuchanie jego pięknego głosu i ładnie sformułowanych zdań. Czy ja aby nie zwariowałam? Tak niewiele mi potrzeba w kontakcie z mężczyzną? Ładny głos? Driss odchodzi zapowiadając, że obaj z Habibem przyjdą do nas wieczorem przed naszym odjazdem. Nie protestuję, chociaż nie bardzo mi to odpowiada, mam jeszcze tyle spraw do załatwienia, a czasu tak niewiele!

Moje pożegnanie z Jeanne jest ogromnie smutne. Nie wiem, co powiedzieć. Że jest wspaniałym człowiekiem, tak jak i wszyscy jej rodacy, których miałam okazję poznać? Że bardzo pomogła mi psychicznie? Jest tyle do powiedzenia, że właściwie nie mówię nic, bo mam ściśnięte gardło. Wychodzę z bólem w sercu.

* * *

Przyjeżdża po mnie mąż Marii. Spędzam z nimi cały czwartek i piątek. Czuję się wspaniale w tym przepięknym domu. Ich czarodziejski ogród ma na mnie jakiś dziwny wpływ. Jak zwykle siedzimy z Marią do rana i nie możemy się nagadać. Jej mąż mawia żartobliwie, że gdybyśmy nawet spędziły 20 lat w jednej celi więziennej, to i tak zaraz w pierwszy dzień po wyjściu na wolność umówiłybyśmy się na kawę i na pogaduszki. Pora żegnać się z Marią i jej rodziną, która w Algierii była także moją rodziną.

* * *

Paczki z książkami trzeba odwieźć kilka dni wcześniej na lotnisko, ażeby załatwić formalności związane z ich przewozem samolotem systemem „cargo". Tarik załatwia skądś bagażówkę i ładujemy to wszystko na samochód. Jadę z Tarikiem w szoferce bagażówki niepokojąc się,

czy nie spotkamy po drodze jakiegoś fałszywego *barrage* i terrorystów przebranych za żandarmów. Dojechaliśmy jednak szczęśliwie. Niestety, odprawy dokonać nie można, bo komputery są zepsute. Zostawiamy cały bagaż w magazynie i wracamy do domu.

Mam jechać na lotnisko na drugi dzień. Jak to zrobić? Taksówką za drogo. Tarik nie może ze mną jechać, ponieważ pracuje. W końcu wyruszam z Sonią. Z nieba leje się żar, 45°C. Jak w taki upal założyć chustkę, żeby zakryć wszystkie włosy? Ubieram się w długą, brzydką spódnicę i brzydką bluzkę. Głowę pozostawiam odkrytą. Idziemy przez całe centrum miasta do przystanku autobusów. Czuję się jak idiotka, która spadła do tego kraju z innej planety. Patrzą na mnie zdziwione oczy przechodniów, zdające się mówić: „A pani nie wie, co się u nas dzieje?" Mam przerażająco słowiańską urodę - okrągłą twarz, niebieskie oczy i jasne włosy. Radzono mi ciągle, żebym się przefarbowała, ale zupełnie „nie widzę się na czarno". W autobusie sami mężczyźni - najczęściej z brodami, o ponurych twarzach, spoglądający spode łba.

Dojeżdżamy na lotnisko. Dowiaduję się, że komputery nadal są nieczynne. Taka ewentualność nie przyszła mi do głowy. Szef każe mi czekać. Czekamy kilka godzin, ale bez rezultatu. Wracamy do domu. Próbujemy znowu w środę, bo w czwartek i piątek lotnisko bagażowe nie odprawia klientów.

Kolejna wyprawa z Sonią na lotnisko. I znowu komputery nieczynne. Moja złość nie ma granic, ale muszę się pohamować. Grzecznie tłumaczę szefowi, że nie mogę pozwolić sobie na codzienne przyjazdy na lotnisko, bo, po pierwsze, jest to dla mnie ogromnie niebezpieczne, a po drugie - tracę masę cennego czasu przed odjazdem. Szef podziela moje obawy, ale twierdzi, że dzisiaj nic się nie da zrobić i muszę przyjechać w sobotę. Zapewnia mnie, że jeżeli komputery będą nieczynne - kwity wypisze ręcznie. Aż ciśnie mi się na usta pytanie: „A teraz nie może pan tego zrobić?" Ale nie mogę pozwolić sobie na tego typu uwagi.

Boję się, że nie zdążę. W Algierze coraz bardziej gorąco - dosłownie i w przenośni. Nie mam wyboru. Dzwonię do pracy do Drissa.

- Mam do ciebie ogromną prośbę. Ponieważ Habib ma samochód, czy nie moglibyście zawieźć mnie jutro na lotnisko? Muszę odprawić bagaż.

- Ależ nie ma sprawy, Aniu - odpowiada tak ciepło, że moje ciało przenikają błogie dreszcze.

Następnego dnia jesteśmy w trójkę na lotnisku. Komputery dalej nie działają. Chce mi się płakać, ale szef zapewnia mnie, że będą na pewno działać. Czekamy kilka godzin, wreszcie informatyka rusza. Robi mi się słabo, zaczynam odczuwać paniczny strach. Przemęczenie ostatnich dni, bieganina i stres dają o sobie znać.

Nie jest łatwe wywiezienie tych książek, podobnie jak i całego „dobytku". Zaczynam od pobrania na policji druków zezwolenia na wywóz mienia, które należy wypełnić, i wraz z listą wywożonych przedmiotów (w pięciu egzemplarzach, w języku francuskim), potwierdzić na policji. Wywóz książek wymaga zgody głównego algierskiego wydawnictwa ENAL. Dla polskich władz celnych muszę uzyskać zaświadczenie z ambasady, stwierdzające fakt przesiedlenia, do którego muszę dołączyć, w języku polskim, listę mienia.

- Pani Aniu, co to za lista? Niech pani przynajmniej wpisze na nią jakiś komputer, żeby przyzwoiciej wyglądało - żartował konsul.

No, ale formalnościom musi się stać zadość.

Biegam po lotnisku pytając, jak wywieźć z Algierii kota. Muszę się upewnić, czy też nie trzeba jakichś specjalnych zaświadczeń na naszego Mruczka. Sonia nie przeżyłaby rozstania z nim. Nikt jednak nie wie, jak wywieźć kota. Wobec tego decyduję się po prostu schować go w podręcznej torbie.

Na lotnisku w klimatyzowanym pomieszczeniu jako tako trzymam się na nogach. Na dworze upał nie do wytrzymania. Temperatura dochodzi do 48°C, przy braku wiatru i dużej wilgotności powietrza. Ubranie klei mi się do ciała, a w domu nie ma wody. Takich upałów już dawno Algieria nie pamięta. Ciągle jest mi słabo i znowu odzywa się ten straszny lęk nie wiadomo przed czym.

Wczorajsze popołudnie spędziłyśmy w domu szefowej, która urządziła na moją cześć wystawne przyjęcie. Zaczęliśmy od słonych orzeszków,

popijając je słodką oranżadą. Potem była słodka szarlotka, a po niej sałatka jarzynowa. I znowu jakieś słodkości. Następnie danie mięsne. Potem wątroba w postaci sałatki. No i kurczak. Potem lody itd., itd. Musiałyśmy to wszystko zjeść, ażby nie sprawić przykrości gospodyni, która zadała sobie wiele trudu, żeby przyrządzić tyle doskonałych potraw. Przy pożegnaniu Soraya wręczyła Soni piękną srebrną kolię z prawdziwym koralem. Był to prezent od szefowej, która chyba straciła mnóstwo pieniędzy w związku z moim wyjazdem. Podejrzewam, że dołożyła się znacznie do prezentu, który kupiła mi dyrekcja. Szefowa nigdy nie była skąpa ani małostkowa i za to ją bardzo cenię. Dowiedziawszy się o tragedii naszej Wandy podarowała jej 1000 dinarów.

Na skutek tej przeogromnej, zupełnie wariackiej gościnności mojej szefowej obie z Sonią jesteśmy chore z przejedzenia. Nie spałam całą noc, brałam jakieś środki na trawienie, Sonia także czuła się fatalnie. Jesteśmy w nie najlepszych nastrojach. Powrót do Polski wiąże się z wielką niewiadomą. Przyjdzie nam zacząć życie od zera... W Polsce nie mam żadnych znajomości, nie znam obecnych stosunków. Czuję się tak, jak gdybym wyjeżdżała do obcego państwa. W głowie kotłują mi się różne myśli. Jest mi ciężko na sercu i źle się czuję. Daje o sobie znać nerwica lękowa. Boję się. Robi mi się słabo, nogi odmawiają posłuszeństwa, ciało oblewa zimny pot. Staram się przełamać i skierować myśli na przyjemniejsze sprawy. Ale jak tu wprawić się w wesoły nastrój, gdy człowiek czeka pół dnia na lotnisku, nie wiedząc z jakim skutkiem?

Wreszcie odprawiam ten nieszczęsny bagaż i w domu jestem późnym popołudniem. Habib i Driss zmarnowali przeze mnie prawic cały dzień. W domu czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy. Inaczej sobie to wszystko zaplanowałam. Teraz denerwuję się dodatkowo czując, że czasu mam coraz mniej.

* * *

Sonia zniknęła na całe dwa popołudnia. Poszła pożegnać się z koleżankami i z ojcem. Powiedziała mu wcześniej, wbrew mojej woli, że

wyjeżdżamy do Polski. Nie chciałam, żeby się o tym dowiedział, bałam się jego nieobliczalnych reakcji. No, ale stało się! Yacine dał Soni 400 dinarów (!) jako „posag" na nową drogę życia. Nie omieszkał poinformować o tym wyczynie wszystkich kolegów z zakładu pracy, o czym dowiedziałam się zupełnie przypadkowo. O Riadzie nie wspomniał.

Na grób Sabrinki przed odjazdem nie pojechałyśmy, było to zbyt niebezpieczne. Miesiąc wcześniej Sonia i Tarik zostali „zwinięci" z cmentarza przez zamaskowanych, uzbrojonych żandarmów. Nie dokończyli porządkowania grobu.

W niedzielę rano idę pożegnać się z kolegami z pracy. Wszyscy życzą mi szczęśliwego powrotu do Polski i „miękkiego lądowania". Dzisiaj są mili i przyjaźni. Zastanawiam się, dlaczego wielu z nich poprzednio było do mnie tak wrogo nastawionych. Anissa ma czerwone, zapuchnięte oczy i płacze już na sam mój widok. Nie może nic powiedzieć, ma tragicznie żałosną minę. Wreszcie rzuca mi się na szyję szlochając:

- Nawet nie wiesz, Anno, jak będzie mi ciebie brakowało, nawet nie wiesz!

- Nie becz - mówię - może jeszcze kiedyś się zobaczymy.

Mówię to bez przekonania. Odwracam się szybko i wychodzę ze ściśniętym gardłem. Duszę się od tłumionych łez. Biegnę do mojego biura. Kamil gdzieś się zapodział. Wreszcie przychodzi. Trzęsą mu się ręce, nic nie może powiedzieć.

- Uważaj na siebie, Anno! Powodzenia w życiu... - wydusza w końcu.

- Powodzenia, Anno i niech realizuje się twoje marzenie o *„dinners dansants"** - życzy mi Khatima. Uśmiech nigdy nie schodzi z jej twarzy.

* Tańczące kolacje.

W rozmowach z nią często żartowałam, że pierwszą rzeczą, którą zrobię po przyjeździe do Polski, będzie pójście na dansing z dobrym tancerzem do jakiejś ekskluzywnej restauracji. Bardzo lubię tańczyć i sprawia mi to ogromną przyjemność.

Wychodzę, żegnana przez przyjaciół, po raz ostatni ogarniając spojrzeniem moje biuro, z którym łączy mnie tyle wspomnień.

Jest popołudnie. Mam jeszcze mnóstwo do zrobienia, a w kranie od kilku dni nie ma ani kropli wody. Zostało nam jeszcze dużo rzeczy osobistych, których nie mamy do czego zapakować. Sonia nie chce tego zostawić. Kłócimy się. Sonia argumentuje, że w Polsce to wszystko nam się przyda. Przyjeżdża Habib i Driss z gitarą. Sonia jest wściekła.

- Po co oni tu przyszli? Mamy jeszcze tyle pracy, a oni z tą swoją gitarą!

Wychodzimy do ogrodu, w którym panuje przyjemny chłód. W mieszkaniu, mimo otwartych okien, nie można oddychać. Driss gra na gitarze, a ja myślę o tym, że samolot odlatuje o 7^{00} rano. Zaczynają się schodzić sąsiedzi, przychodzi gospodyni. Każdy przynosi mi jakiś upominek. Mile wspominam pobyt w ich domu. Nigdy nie było między nami nieporozumień. Obiecuję, że napiszę. Przychodzi Tarik. Ma jechać jutro z nami do Polski na dwa tygodnie. Zaprosiła go moja mama, chcąc mu w ten sposób podziękować za pomoc, którą nam okazał. Sama załatwiłam mu wizę w konsulacie, korzystając z uprzejmości konsula. Nagle Sonia wybiega z domu szlochając.

- Co się dzieje? - krzyczę i biegnę za nią.
- Mamo, wyobraź sobie, że on z nami nie jedzie! Nie załatwił zaświadczenia stwierdzającego jego stosunek do służby wojskowej.

No tak, to było do przewidzenia. Wielokrotnie mogłam się przekonać o jego braku odpowiedzialności, ale nie przypuszczałam, że posunie się aż tak daleko. Przypominałam mu ciągle, żeby pozałatwiał wszystkie formalności związane z wyjazdem. „Oczywiście, oczywiście..." - odpowiadał, bimbając sobie z tego, co mówię. Po zaświadczenie poszedł do urzędu w ostatni dzień. Brakowało na nim jakiegoś podpisu szefa i kazano mu przyjść po odbiór następnego dnia, to znaczy w dzień naszego odjazdu. Oczywiście, jego wyjazd w tej sytuacji okazał się niemożliwy.

Myślę o tym, co zrobię z 20 kilogramami bagażu, który miał wziąć na swoje konto, co zrobię z dwiema dużymi torbami podróżnymi, które również miał nieść Tarik. Sonia zanosi się płaczem, mnie zalewa krew,

sąsiedzi przyszli w komplecie, Driss jak gdyby nigdy nic gra na gitarze, a Habib smętnie sączy lemoniadę. Ja zaś nie wiem, jak ratować swoje rozstrojone nerwy. Żal mi Soni, która płacze chyba dlatego, że myśli o tych nieszczęsnych bagażach i o tym, że w Polsce nie będzie miał nam kto pomóc. Nic nie łączy ją z tym Tarikiem, zwykła sąsiedzka znajomość. Ale nie może przeżyć, że w ten sposób załatwił sprawę.

- Mamo, chyba nawet dziecko postąpiłoby poważniej niż on! Popatrz, ma 24 lata i żadnej odpowiedzialności!

Sonia szlocha, goście zbierają się do odejścia. Już na schodach wiodących do górnego wyjścia Driss bierze mnie za rękę i oświadcza:

- Aniu, poznałem lekarkę z naszego zakładu pracy, ma zrobioną specjalizację, myślę o niej poważnie.

- Na mnie w Polsce czeka wiceminister - odcinam się z premedytacją, czego później żałuję.

Do odlotu samolotu zostało kilka godzin, z domu trzeba wyjechać o piątej rano. Obie z Sonią nie śpimy, staram się jej wytłumaczyć wiele spraw.

- Soniu, jesteś ładna i młoda, przed tobą świat i przyszłość. Na pewno spotkasz na swej drodze wielu mądrych i odpowiedzialnych ludzi. Nie przejmuj się zachowaniem Tarika.

Sonia całą noc pilnuje Mruczka, żeby nie wyszedł na dwór. Rano pakujemy go do tornistra, który zakładam sobie na plecy. Na lotnisko odwozi nas brat Tarika. Przeżywam sądny dzień. Muszę wepchnąć komuś moje dodatkowe 20 kilo bagażu, bo nie mam pieniędzy, żeby zapłacić. Mamy sześć podręcznych toreb i plecak z Mruczkiem. Było przewidziane, że każde poniesie dwie torby. Odpadł Tarik - wypadło nam po trzy torby. Nie możemy sobie poradzić. Nikt nie chce nam pomóc. Przy odprawie paszportowej jest ogromny bałagan i przeraźliwie długa kolejka. Kłótnie i przepychanki Algierczyków. Patrzę na zegarek. Jest godzina 8, a o 7 mieliśmy odlecieć. Są czynne tylko dwa okienka, a liczba ludzi jest ogromna. Tracę nadzieję, że polecimy. Nikt nie może udzielić mi informacji o naszym samolocie. Może już odleciał? Co za organizacja!! Co za potworny bałagan!

Po przejściu przez odprawę dopychamy się z naszymi bagażami do czekającego na nas autokaru. Jak się okazuje, wcale nie jesteśmy ostatnie. Z przemęczenia ogromnie boli mnie serce, nie czuję rąk od ciężaru siatek. Jest straszny upał. Otwieram plecak z Mruczkiem, już na wpół uduszonym. Sonia biegnie prosić o wodę. Polewamy nią nasze poddduszone stworzenie. Wreszcie autokar rusza.

Wchodzimy do samolotu. Konam z przemęczenia psychicznego i fizycznego. Padam jak nieżywa na siedzenie. Samolot powoli nabiera prędkości. Jeszcze jestem tutaj, ostatnie sekundy... Już! Łzy jak grochy płyną mi z oczu. Znika przepiękny, oświetlony słońcem Algier. Wzbijamy się coraz wyżej i wyżej. To już chyba niebo. Gdzieś w tym zakątku świata została na zawsze Sabrinka. Został Kamil, Anissa, Khatima, Fella, Nassiba, rodzina D. i rodzina Saidy. Zostali moi francuscy przyjaciele. Rozdzielono mnie z nimi wszystkimi. Moje serce krzyczy - jakim prawem?

Postscriptum

Przyjaciele krzyczeli na mnie:

- Po co tak się męczysz przy tej książce, komu ona będzie potrzebna, kogo zainteresuje twoja historia w czasach wielkiej tragedii w byłej Jugosławii, Czeczenii, Zairze, gdzie ofiary liczone są w setkach tysięcy, a ludzie oglądają o tym reportaże w telewizji chrupiąc orzeszki i popijając coca colą!

To prawda.

Świat pędzi ku katastrofie. Wojny, przemoc, terroryzm, bezprawie, kult pieniądza i niewyobrażalna pogoń za wartościami materialnymi za wszelką cenę. Obojętność na ludzką krzywdę i nieszczęścia, brak MIŁOŚCI. Dlatego warto wiedzieć o tym, że gdzieś tam w świecie są tacy ludzie jak Maguy i jej francuscy przyjaciele, rodzina D. czy rodzina Saidy, dla których wartością nadrzędną jest niesienie pomocy drugiemu człowiekowi, że w każdym zakątku świata można znaleźć przyjaciół niezależnie od koloru skóry czy poglądów politycznych lub religijnych. Miałam szczęście poznać takich ludzi i zdobyć sobie ich przyjaźń. Jest to ogromna wartość, której nie można przeliczyć na pieniądze i której nikt mi nie zabierze. Niech pamięć o tych ludziach nie zaginie i dlatego niech żyją na kartkach mojej książki.

Chcę także, ażeby moje dzieci rosły w państwie, w którym jest mądre i silne prawo, dające poczucie bezpieczeństwa jednostce i rodzinie. Niech nigdy prawo nie przyczyni się do śmierci niewinnego człowieka ani do odebrania mu wolności osobistej. I temu celowi niech również służy ta książka.

Z podziękowaniem za wszystko mojej ukochanej Mamie oraz znakomitemu polskiemu sędziemu - pani Z. Ch.

Spis treści

Prolog	7
Część pierwsza	
W Polsce	11
Pierwszy rok w Algierii	24
Dom, praca, Riad	49
Choroba Yacine, trzecie dziecko	75
Awantury	88
Dalszy ciąg awantur, rozprawa rozwodowa	107
Śmierć Sabrinki	136
Walka o mieszkanie, obrzezanie	151
Poszukiwanie pracy	161
Praca w bazie S	173
Hiszpania, utrata pracy	189
Konflikt z rodziną Belaici	197
Sophie, rodzina D., Pierre, Halima	222
Prywatna wojna, praca w bibliotece, mieszkanie	241
Oferty pracy	257
Praca w S., śmierć ojca, sąd, wyjazd dzieci	269
Część druga	
Przeprowadzka, nowi sąsiedzi, dymisja prezydenta	291
Polacy z „Metra", Krzysztof, ślub Dalili	302
Urlop w Polsce, spotkanie z Riadem i mamą, lato w Algierii	321
Nagrobek Sabrinki, pożegnanie z Weroniką, Boże Narodzenie	341

Wycieczka do Ghardai i Tamanrasset, ramadan 350
Sytuacja w Algierii, Zielone Świątki 366
Wyjazd Soni na wakacje, zapisy na studia 380
Spotkanie z Drissem, urlop z Salehą, wizyta u Djabira 391
Wydarzenia polityczne w Algierii, sprawa alimentów dla dzieci, Wielkanoc 408
Decyzja Soni, wiadomość od konsula, wizyta u Marty 436
Wizyta u Wandy, jej porwanie 449
Żegnaj, Algierio! 461
Postscriptum 474